

Diane Johnson

Małżeństwo

Przełożył
Jarosław Mikos



ROZDZIAŁ 1

Clara

Wśród członków amerykańskiej społeczności w Paryżu panowało raczej zgodne przekonanie, że Clara Holly wiedzie we Francji idealne życie, i wielu z nich uważało, że nawet jeśli szczęśliwy los odróżnił ją nieco od zwykłych Amerykanów, a nawet, prawdę mówiąc, od większości istot ludzkich, nie znaczy to jeszcze, że Clara jest potworem, o co dość często podejrzewa się kobiety podobnego rodzaju - piękne i bogate, które dobrze wydały się za mąż i zaszły w życiu daleko od swoich oregońskich początków. Czasami kobiety należące do tej kategorii, jeśli poślubiły jakiegoś Europejczyka, nabierają nieokreślonego transatlantyckiego akcentu i zaczynają cierpieć na swoistą amnezję dotyczącą amerykańskiego pochodzenia, jeśli nie liczyć ośmiu tygodni, jakie każdego lata spędzają w Martha's Vineyard.

- Jak wiecie, ludzie, którym fortuna sprzyja - stwierdziła pewnego razu księżna Sternholz, *nee* Minor z Cincinnati, z myślą o Clarze, mimo że darzyła ją pewną sympatią - zwykle nabierają przekonania, że zasłużyli na swój dobry los.

Clara Holly pamiętała o swoich korzeniach, ale nie miała większej ochoty wracać do USA i prawie nigdy tam nie jeździła. W Paryżu jej życie zamykało się niemal bez reszty w granicach amerykańskiego świata, który istnieje tam jako pewna wyspecjalizowana forma złożonego ekosystemu, zależna wprawdzie od organizmu macierzystego, ale od niego odrębna, rozrastająca się niczym mech od Marais po Neuilly, nijakie północno-zachodnie przedmieście, oraz w rejo-

nie pięknych wiejskich krajobrazów między Saint-Cloud a Wersalem, tak bardzo w stylu Marii Antoniny z powodu pretensji do dzikości, natury i prostoty.

Clara razem ze swoim mężem Serge'em Crayem, znanym, choć żyjącym od pewnego czasu na uboczu reżyserem filmowym, mieszkała właśnie w tej okolicy, niedaleko miasteczka Etang-la-Reine, w niezwykle pięknym *chateau*, należącym niegdyś do Madame du Barry. Ta rozsypana się budowla, która w jakiś sposób umknęła uwadze ministerstwa od tego typu spraw, z czasem popadła w jeszcze większą ruinę, na krótko stała się pensjonatem, po czym znalazła się w rękach jednego z rosyjskich nowobogaczy który sprzedał jej zabytkowe *boisseries* oraz *cheminees*, czyli boazerie i kominki. Cray, nabywszy posiadłość, zajął się remontem budynku, wykorzystując w tym celu cieśli ze studia filmowego i rekwizyty ze swojego kostiumowego filmu *Królowa Karolina*, a Clara z pasją poświęciła się przywracaniu dawnej świetności ogrodom i jeździła do Paryża jedynie kilka razy w tygodniu na zakupy albo obejrzeć jakąś wystawę lub pójść na przyjęcie.

Clara zawsze zamierzała wrócić do Oregonu - jej owdowiała matka mieszkała w Lake Oswego i Clara rozmawiała z nią niemal codziennie przez telefon - ale jakoś nie udawało jej się jeździć tam częściej niż raz na rok albo na dwa lata. Działo się tak głównie ze względu na Craya, który nie mógł pojechać do Ameryki z powodu jakichś dawnych kłopotów z podatkiem dochodowym, przybierających postać nieustannej walki z IRS, ale prawdę mówiąc, nakaz ekstradycji mu nie groził.

Mimo to Cray wyobrażał sobie, że Amerykanie zatrzymają Clare jako zakładniczkę. Na wiadomość, że jego żona pragnie wyjechać do domu, popadał zawsze w głębokie przygnębienie. Sam pochodził z Polski, choć od dwunastego roku życia wychowywał się w Chicago. Nie chodziło mu jednak o to, że miałyby zostać bez Clary - często oboje gubili się w licznych pokojach i korytarzach swojego domu i rzadko się widywali - ale o to, że Ameryka mogłaby zawłaszczyc coś, co do niego należało: Clare.

Bez względu na to, czy jego obawy były uzasadnione, Clara je szanowała. Zgadzały się bowiem z jej własnymi, które w ciągu wielu

lat pobytu na obczyźnie nabrały nieco przesadnych rozmiarów pod wpływem lektury amerykańskich gazet opowiadających o przemocy, broni palnej, wypadkach ulicznych i zbrodni.

Clara, kobieta obecnie trzydziestodwuletnia, była mężatką od lat kilkunastu, ale nie grała w filmie od czasu pierwszego występu, przy którym spotkała Serge'a i który zapewnił jej pewną sławę z racji śmiałej sceny tańca. Tak naprawdę w pamięci widzów zapisał się nie tyle jej taniec, który nie był wcale aż tak niezwykły, ile młodzieńcze piękno niespełna dwudziestoletniej kobiety, kręcone czarne loki i ponętna zmysłowość jej kształtów, wówczas nieomal pulchnych. Małżeństwo, a potem macierzyństwo sprawiły, że nieco schudła. Lars, ich jedenastoletni synek, mimo zastrzeżeń Clary i mimo jej tęsknoty, został wysłany do szkoły w Anglii, ponieważ Cray głęboko wierzył w to, że angielskie szkoły są lepsze od francuskich i nauka w Anglii będzie dobrodziejstwem dla chłopca cierpiącego na pewien rodzaj upośledzenia. Pani Holly, wiecznie chorująca babcia Larsa, podzielała pogląd, że to okropne wysyłać takie małe dziecko samo z dala od matki, i była przekonana, że Clara jest nieszczęśliwa, ale jej mąż postawił na swoim, jak to zwykle bywa z filmowcami. Pani Holly nie kryła się ze swymi myślami przed swoją opiekunką Cristal, na zakończenie dodając zawsze: „Między nami a Francją jest dziewięć godzin różnicy czasu”, ilekroć ze zdumieniem uprzytomniała sobie, że Clara żyje tak daleko od domu, po drugiej stronie świata, gdzie jest już ciemno, gdy w Oregonie świeci słońce.

Amerykańska społeczność w Paryżu nie postrzegала Clary jednoznacznie. Ogromną podejrzliwość, jaką ludzie czują wobec osób obdarzonych niezwykłą urodą, łagodziła nieco jej rzucająca się w oczy skromność i inteligencja. Pewną wyniosłość przypisywano nieśmiałości, dzięki czemu można było niemal zapomnieć o jej urodzie. Niektórzy nawet współczuli jej z powodu Larsa, który był głuchy od urodzenia, i myśleli o tym, jak bardzo musi za nim tęsknić; inni sentencjonalnie zauważali, że nawet w życiu najszczęśliwszego człowieka nie zawsze świeci słońce. Niemniej trudno było zaprzeczyć, że ludzie, którym los tak bardzo sprzyja, chętnie traktują przychylność fortuny jako oczywistość i oczekują, że tak będzie zawsze

- i Clara nie stanowiła tu wyjątku. Niewykluczone, że sama była głęboko przekonana o tym, iż w jakiś tajemniczy sposób zasłużyła sobie na atrakcyjny wygląd, bogactwo i przychyłność losu, ponieważ starała się wieść przykładowie cnotliwe życie.

ROZDZIAŁ 2

Tim

Rankiem tego samego dnia, w którym poznał wieczorem w Paryżu była aktorkę Clarę Holly, amerykański dziennikarz Thomas Ackroyd Nolinger dziwnym zbiegiem okoliczności rozmawiał w Amsterdamie o Serge'u Crayu w kontekście pewnego interesującego przestępstwa. Nolinger, niedoszły powieściopisarz i niezależny dziennikarz pracujący dla amerykańskiego konserwatywnego pisma „Reliance” (a także, jako TAN, dla liberalnego miesięcznika „Concern”; ta ideologiczna sprzeczność nie przysparzała mu specjalnych trosk), publikował również w angielskim magazynie literackim „Weekly”, od czasu do czasu zamieszczał recenzje w „Times Literary Supplement” i udzielał się jako krytyk filmowy (oraz zamieszczał swoje wrażenia z wizyt w restauracjach). Siedząc w amsterdamskiej Cafe Prolle, gdzie przedzierał się przez stertę materiałów, jakie podrzucił mu jego przyjaciel Cees, pracownik holenderskiego wymiaru sprawiedliwości, Thomas zauważył coś, co miało pewien związek z Clara, a ściślej biorąc, z jej mężem. Do głowy mu nie przyszło, że będzie miał okazję poznać ją osobiście jeszcze tego samego dnia wieczorem.

Zdarzeniem, które przykuło uwagę Nolingera wśród informacji na temat różnych przestępstw, była kradzież cennego średniowiecznego manuskryptu z Morgan Library w Nowym Jorku. Przestępstwo, choć dokonano go z drugiej strony oceanu, miało pewien związek z jego życiem, ponieważ na podrzuconej przez Ceesa liście najważniejszych kolekcjonerów inkunabułów i ilustrowanych manuskryp-

tów znalazł nie tylko dobrze znane nazwisko Serge'a Craya, ale także nazwiska ludzi, których swego czasu poznał we Frankfurcie. Zdaniem policji przestępcy przypuszczalnie będą się starali sprzedać swój łup właśnie jednej z tych osób.

Listę kolekcjonerów starodruków, sporządzoną przez Interpol przy współpracy z Booksellers Association, opracowano na podstawie katalogów aukcyjnych i danych dotyczących prywatnych transakcji. Nikogo z wymienionych na liście nie kojarzono nigdy z handlem kradzionymi dziełami sztuki, wyjaśnił Cees - i nie podejrzewano ich o udział w niedawnej kradzieży, ale Interpol zawiadomi wszystkie te osoby o zniknięciu Apokalipsy Driad na wypadek, gdyby którejś z nich zaproponowano kupno cennego dokumentu.

- Amerykanie mają podstawy przypuszczać, że manuskrypt zostanie sprzedany w Europie - powiedział Cees. - Dlatego lista koncentruje się na europejskich kolekcjonerach.

Tim jeździł od czasu do czasu do Amsterdamu, żeby zapalić trawkę, wypić parę piw z Ceesem i zebrać podobne informacje krążące oficjalnie i nieoficjalnie na temat belgijskich gangów specjalizujących się w przestępstwach seksualnych, planowanych zamachów w Luksemburgu, zaostżenia szwajcarskiej polityki zwalczania przestępczości narkotykowej, kradzieży dzieł sztuki i prób przemycania terrorystów. Tim nie zajmował się takimi sprawami - nie był reporterem kryminalnym i nie zamierzał rozszyfrować żadnej zagadki - mimo to co kilka miesięcy jeździł pociągiem z Paryża do Amsterdamu posłuchać opowieści Ceesa z nadzieją, że kiedyś zrobi z nich użytek w tekście do „Reliance”, jeżeli tylko znajdzie w nich jakiś aspekt, który mógłby zainteresować amerykańskiego czytelnika. W redakcji „Reliance” chętnie widziano materiały opowiadające o tym, jak strasznie zepsuta jest Europa i o ile bardziej przesiąknięta przestępczością niż Ameryka, i nie lubiano tekstów o wyższości europejskich kolei. „Reliance” uważała koleje za instytucję kryptokomunistyczną, ponieważ - co akurat było zgodne z prawdą - wymagały państwowych subsydiów.

Tim hołubił także pewne ogólne, choć mgliste przekonania na temat przestępczości, które wystarczyłyby wszakże na nieduży esej

zatytułowany „Zorganizowana przestępczość jako sposób narzucania ładu wśród przypadkowych elementów chaotycznego świata”. Przesłupstwo wymagało skupienia, podobnie jak perwersja, i w tym sensie jedno i drugie prezentowało ład. Psychologiczne *soulagements* zbrodni... jaki jest angielski odpowiednik *soulagement*? Często zdarzało mu się nie móc znaleźć słowa, które najwyraźniej wpadało w jakąś szczelinę między jego angielskim a francuskim, co było bardzo uciążliwe w wypadku osoby zarabiającej na życie pisaniem.

Tim był w połowie Amerykaninem, w połowie Belgiem, ze strony matki, i wszyscy mówili na niego Tim, oprócz jego matki, która nazywała go Tom. Zachował płową czuprynę z dzieciństwa i był mocno zbudowanym osobnikiem o różowych policzkach i budowie gracza rugby. Z powodu swojej europejskiej edukacji nie pasował bez reszty do żadnej z obu kultur, a usposobienie miał o wiele łagodniejsze, niż wskazywałyby jego fizyczna powłoka. Z zawodu był dziennikarzem, z powołania wędownikiem, może nawet marzyicielem. Wyglądał na nieco młodszego niż w rzeczywistości, co rodziło przypuszczenia, że stracił gdzieś kilka lat na jakimś etapie swojego życia.

Tim znał się z Ceesem od dawna. Gdy po raz pierwszy spotkali się w szwajcarskiej szkole z internatem, Cees był chudym cynikiem z kręconymi włosami, dziś jednak przypominał surowego wyznawcę idei prawa i porządku, w dodatku znacznie przybrał na wadze. Ojciec Tima pracował jako rezydujący w Europie przedstawiciel amerykańskiej sieci hoteli i firm wynajmu samochodów. Rodzina sporo podróżowała od Londynu po Stambuł, więc Tim najczęściej chodził do jednej ze szwajcarskich szkół z internatem. Jego amerykańskie ciotki mówiły wówczas, że został „odesłany”, choć sam widział w tym raczej przygodę. Jego belgijska matka postrzegała okresy separacji z synem jako rzecz normalną, choć bolesną, rodzaj ofiary, jaką sama sobie narzucała, ponieważ poświęcanie się było istotą jej życia. Tim mówił zawsze o matce z tak wielkim uczuciem, że jego rozmówcy byli przekonani, że dawno zmarła, choć w rzeczywistości żyła sobie spokojnie w amerykańskim stanie Michigan.

Tim zawsze szukał materiału na nowy tekst, jako że pisanie stanowiło jedyne źródło dochodów pozwalające mu na dość *mondaine* paryskie życie, toteż postanowił teraz znaleźć jakiś sposób na to, żeby umówić się z Serge'em Crayem na rozmowę poświęconą jego kolekcji starych rękopisów i inkunabułów; o ile się orientował, nikt dotąd nie wykorzystał tego wątku. Ludzie interesowali się raczej firmami Craya albo jego życiem osobistym, a nie zbiorami starych ksiąg. Pasja zbierania, kolekcjonerstwo jako automatyczne przedłużenie roli *auteur*? Praca nad filmem jako forma kolekcjonowania - w tym znaczeniu, że stanowiła zbiór pomysłów i obrazów? Tim wyjął notatnik i zapisał te pomysły z obawy, że są zbyt mgliste, by zachowały się w jego pamięci, jak wiele jego koncepcji.

Jako młody człowiek ze skłonnością do ironii i wolny od złudzeń w pewnym sensie stanowił uosobienie typowego młodego człowieka, ponieważ w Paryżu zawsze można spotkać dziesiątki podobnych mu Amerykanów, trzymających się swoich dość niepewnych źródeł utrzymania albo dla samej przyjemności życia w tym mieście, albo dlatego, że spalili za sobą wszystkie mosty i nie wiedzieli, jak wrócić do domu, skoro przegapili właściwy moment na zrobienie MBA, na praktykę w lokalnej radiostacji czy w gazecie lub w niewielkim wydawnictwie typu Conde Nast. Jednak Tima Nolingera coś wyróżniało na ich tle, coś więcej niż aura absolwenta szwajcarskiej szkoły z internatem.

- Spodziewamy się wizyty FBI - powiedział Cees. - To dość niezwykle. Trudno powiedzieć, dlaczego interesują się tą sprawą: rękopis skradziony z prywatnej amerykańskiej biblioteki to nie jest przestępstwo federalne. Zwykle przekazują kradzieże dzieł sztuki ludziom, którzy się tym zajmują w Interpolu.

- To może być przestępstwo federalne. Amerykańskie prawa są skomplikowane, granice stanów, jurysdykcje... Przez rok studiowałem prawo w Ameryce - powiedział Tim. - Jak widzę, na liście nie ma żadnych japońskich ani arabskich kolekcjonerów.

- Często zapominam, że jesteś Amerykaninem - odparł Cees.

- Tylko w połowie, ale w której, zadaję sobie pytanie: od głowy czy serca? Od góry czy od dołu? - powiedział ze śmiechem Tim,

żegnając się. Sam nie znalazł odpowiedzi, tak długo już przebywał w Europie.

Ponieważ obiecał swojej francuskiej *fiancee*, że pojawi się dziś na *soiree* w Paryżu, kupił bilet na samolot odlatujący o szesnastej z Schiphol, dzięki czemu znajdzie się we Francji akurat na czas, by utkwąć w korku podczas koszmarnej godziny szczytu.

Pomysł na tekst: Straszliwe korki w Paryżu? Aż dziw, że nie ginie tu więcej ludzi. Jego niechęć do francuskiego ruchu ulicznego nie była jedynie figurą retoryczną. Wiele najwybitniejszych postaci zginęło tu na ulicach - choćby Roland Barthes albo szef Cartiera, który wyszedł przed swój sklep na place Vendôme. Śmierć w ruchu ulicznym, tradycja sięgająca co najmniej męża pani Curie, który zginął pod kołami powozu konnego, w chwili gdy rozmyślał zapewne o niewierności żony.

ROZDZIAŁ 3

Anne-Sophie

Sympatyczny Tim Nolinger miał zostać zięciem znanej francuskiej powieściopisarki Estelle d'Argel (*Les fruits; Doric, Ionian; Plusieurs Fois*) - był zaręczony z jej córką Anne-Sophie. Co za niedobre towarzystwo dla nich obu. Narzeczony córki nie bardzo spełniał oczekiwania światowej i praktycznej Estelle, która miała większe ambicje dla Anne-Sophie i spodziewała się raczej hrabiego albo obiecującego polityka lub choćby przyszłego członka Akademii, w najgorszym razie znanego sportowca - oczywiście z jakiejś godnej szacunku dyscypliny, jak tenis. A przynajmniej jakiegoś Francuza. Tim naturalnie grał w tenisa, ale jedynie dla rozrywki.

Anne-Sophie, obiekt tych macierzyńskich obaw, dla amerykańskiej społeczności w Paryżu stanowiła przykład idealnej młodej Francuzki, szczupłej, pewnej siebie, zalotnej, pełnej radości życia i przedsiębiorczej - miała bowiem mały sklepik. Ukończywszy wydział *Sciences-Po**, mogłaby zostać asystentką jakiegoś ministra albo *attache de presse* w poważnym wydawnictwie, jednak zamiast tego zajęła się handlem i sprzedawała dzieła sztuki oraz wyroby rzemiosła związane tematycznie z jeździectwem, co stanowiło przedłużenie jej hobby z czasów dzieciństwa. Stoisko Anne-Sophie, Cheval-Art, należało poprzednio do monsieur Lavallo'a, który jednak z wiekiem spędzał w nim coraz mniej czasu. W końcu prak-

tycznie przekazał interes w ręce Anne-Sophie, zwłaszcza prowadzenie ksiąg i dokonywanie zakupów, i jedynie w poniedziałkowe popołudnia czasami wyręczał ją w pracy na straganie. Ich więź nawiązała się w czasach, gdy Anne-Sophie chodziła jeszcze do szkoły i kręciła się wokół stoiska, stopniowo zdradzając swą dużą wiedzę, zaskakującą jak na taką *jeune filie*, na temat figurek Nidervillera przedstawiających konie i innych podobnych antyków. Początkowo jej matka podejrzewała monsieur Lavallo'a o niecie zamiany wobec Anne-Sophie, ale niepotrzebnie się martwiła, ponieważ Lavallo był stuprocentowym gejem.

Anne-Sophie w swoim małym mieszkaniu przy rue Saint-Dominique szykowała się do kąpieli. Różowa i drobnej budowy, z biustem przypominającym dziewczęce piersi nimf z dzieł Bouchera, z różową kropką sutków, przywodziła na myśl scenę rodzajową z obrazu wiszącego w Musee du Luxembourg. Sutki widoczne ponad powierzchnią piany. Może jeszcze palec z lakierowanym paznokciem od strony kranu. Anne-Sophie ułożyła wszystkie niezbędne atrybuty, jakich używała do swoich wyszukanych kąpieli: olejek kąpielowy, mydło, szampon, balsam, *creme de gommage*, golarkę, pumeks.

Ale tego wieczoru czuła się zbyt rozbita, a jednocześnie zbyt podekscytowana, by oddać się absorbującemu rytuałowi, który mógłby ukoić umysł, przywracając kontakt z codziennością po szokujących wydarzeniach minionego dnia. Pragnęła zachować jak najostrzejszą pamięć o tym wszystkim dla Tima, z którym miała się spotkać na przyjęciu u księżnej. Wiedziony instynktem dziennikarza na pewno zada jej pytania, na które chciała umieć odpowiedzieć. Zanotowała w pamięci, jak sądziła, wszystko, na wypadek gdyby spytał ją o jakiś szczegół, na przykład: „Jak był ubrany ten facet?”. Szara koszula, niebieska kamizelka robiona na drutach, niebieski krawat robiony na drutach nasiąknięty krwią! Jeśli chodziło o Tima Nolingera, Anne-Sophie była mu całkowicie oddana, jak przystało na prawdziwą Francuzkę - jednak poza tym była także specjalistką od sztuchów przedstawiających sceny łowieckie i bardzo sprawną kobietą interesu.

Od matki, powieściopisarki Estelle, Anne-Sophie otrzymała dwie wersje wyobrażeń na temat tego, jak należy żyć. Z jednej strony wskazówki dotyczące realnego życia rodziców Anne-Sophie oraz życia jej i brata, z drugiej strony ogólną filozofię, zawartą w książkach Estelle przedstawiających rzeczywistość bardziej wyrafinowaną, bardziej cyniczną i bardziej wymagającą. Na przykład hrabina Ribemond w *Wbrew fali* powiada: „Nie możesz nigdy dopuścić do tego, by mężczyzna czuł się winny”, podczas gdy w domu jej matka często ignorowała zasady wykładane przez hrabinę, czyniąc wyrzuty mężowi: „Mogłeś zadzwonić, szalałam z niepokoju” albo „Gdzie byłeś?”.

Na swój użytek Anne-Sophie doszła do wniosku, że przypuszczalnie racja leżała po stronie hrabiny. Trudno było powiedzieć coś złego na temat małżeństwa jej rodziców, jeśli nie liczyć pewnego chłodu, który budził jej rozczarowanie. Przecież można żyć na co dzień pięknie, namiętniej. Anne-Sophie starała się więc kształtować swoje przekonania raczej na podstawie powieści napisanych przez matkę. „Zwracaj uwagę na *petits soins*”, powiada madame Godchaud, światowa dama z *Plusieurs fois* autorstwa Estelle d'Argel, do swojej wnuczki, która właśnie wychodzi za mąż. Drobne szczegóły kobiecego wyglądu. W powieści oznaczało to obsesyjną depilację i noszenie wykwintnej bielizny. Anne-Sophie starała się więc pamiętać o *petits soins*, zarówno pod wpływem własnych skłonności, jak i w następstwie studiowania dzieł matki, chociaż w realnym życiu Estelle nigdy nie wspominała o takich rzeczach, jeśli nie liczyć zwyczajowych pouczeń na temat czystej bielizny.

Kiedy człowiek kształtuje swoje życie na wzór tego, co wyczytał w książkach, może sprawiać wrażenie osoby nieco oderwanej od rzeczywistości, niezdolnej samodzielnie orientować się w świecie. Zdaniem niektórych Anne-Sophie zbyt intensywnie żyła światem opisywanym w powieściach, a przecież dziewczyna interesująca się końmi powinna być osobą prostą i trzymającą się ziemi. Nie można być jednocześnie miłośniczką koni i żyć z głową w chmurach. W rezultacie Anne-Sophie postrzegano zgoła opacznie jako kobietę rozsądną i praktyczną, która najlepiej czuje się w siodle, podczas

gdy w rzeczywistości co najmniej równie mocno pociągały ją luksusy i wyrafinowanie.

Anne-Sophie umieściła lustro między kolanami, żeby przytrzymać je ponad pianą, i zajęła się swoimi brwiami, ale myślami błądziła gdzie indziej. Przed oczami miała ponurą scenę, jaką widziała rankiem na pchlim targu.

Gospodynią wieczornego przyjęcia, odbywającego się we wspańniętych pomieszczeniach jej paryskiego apartamentu, była Amerykanka w starszym wieku, księżna Dorothy Minor Sternholz. Jej mąż, Blaise Sternholz, oczywiście nie był francuskim księciem, raczej kimś ze wschodu, może z Litwy albo z Czech, a jego mglisty cudzoziemski tytuł przysługiwał mu bardziej mocą zewnętrznych okoliczności niż osobistych zabiegów. (Francuzi uwielbiają tytuły mimo swoich rewolucji. Pod tym względem nie różnią się zresztą od Amerykanów). Blaise Sternholz, książę, wydawca sportowej gazety i członek Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego, wychował się w szesnastej dzielnicy i nigdy nie był na Litwie. Dorothy stanowiła odwieczny element amerykańskiego światka w mieście świateł i posiadała godny uwagi zbiór dzieł sztuki, które stały się jej własnością jeszcze przed ślubem, w czasach gdy - jeśli sądzić po liczbie obrazów, do których pozowała - miała okazję poznać dość blisko wielu francuskich artystów.

Amerykańska społeczność w Paryżu stanowiła w pewnym sensie odrębny świat. Amerykanie mieli tu swoje instytucje dobroczynne, angażowali się z oddalenia w życie polityczne własnego kraju, co było zajęciem dość jałowym. Niekiedy ogarniało ich pragnienie rozpowszechniania amerykańskich mądrości, myśli i literatury wśród Francuzów, jak w czasach Toma Paine'a; mieli swoje kursy gotowania w języku angielskim, imprezy muzyczne, amerykański kościół i amerykańską katedrę, kręgi francuskich przyjaciół, huczne uroczystości na cześć nieco przebrzmiałych amerykańskich sław, które akurat zjawiły się w Paryżu; ambasadę, na której czele stała, zdarzało się, jakaś zabawna postać - nowemu ambasadorowi zwykle przyglądano się nieufnie, mając w pamięci gościnność poprzednika - oraz specjal-

ny sklep, w którym mogli kupić masło orzechowe i popcorn. Być może nie istniała żadna naturalna sprzeczność między francuskim krajobrazem a Amerykanami, którzy tak nieśmiało się weń wtapiali, ale często można było odnieść wrażenie, że Amerykanie lepiej by zrobili, gdyby trzymali się z dala od tego, czego nie potrafią zrozumieć. Chyba że to oni byli przyczyną nieszczęścia.

Anne-Sophie przybyła na przyjęcie u Dorothy wcześniej od Tima i przywitała się ze zgromadzonymi tam Amerykanami, rówieśnikami jej rodziców. Każdy z nich cmoknął ją w oba policzki, na francuską modłę. Jej uwagi nie uszły szczególnie gorące pocałunki męża Olivii Pace, bogatego pana w starszym wieku, ani to, jak mocno ucisnął jej dłoń. Robert Pace należał do typu mężczyzn, których Francuzi nazywają *vieux beau*.

Dorothy przeszła przez salon, by zgodnie ze zwyczajem pocałować ją w policzki. Życzliwość księżnej dla Anne-Sophie wyrastała po części z podobnych upodobań. Matka Anne-Sophie była tak bardzo niepodobna do córki, że nigdy jej nie potrafiła zrozumieć, natomiast Dorothy ją rozumiała. Zamiłowanie Anne-Sophie do koni przywodziło księżnej na myśl własne zainteresowania sportowe i związane z nimi nieokreślone poczucie jakiegoś niemal niekobiecego odstępstwa od przyjętych reguł, mimo że Anne-Sophie była uosobieniem francuskiej kobiecości. Dorothy uważała się za wielką znawczynię kultury francuskiej i charakterystycznych dla niej postaw, choć swoją wiedzę zawdzięczała głównie mężowi, którego poznała przed czterdziestu laty na olimpiadzie jako członkini amerykańskiej drużyny strzeleckiej.

Anne-Sophie uniosła swój rozkoszny podbródek z lekkim dołeczkiem jak u dziecka i rozejrzała się wokół w poszukiwaniu bardziej zabawnego towarzystwa. Rozczarowanie. Jedyne ci sami co zwykle i niewielu Francuzów, w tym ta beznadziejna madame Wallingforth. Z rozpaczą przebiegała wzrokiem piękne pomieszczenia barwy głębokiego łosiowego różu, zielone zasłony, francuskie posrebrzane kandelabry, malowidła olejne przedstawiające amerykańskie motywy, zwłaszcza stajnie i *petits bateaux*, obszerne sofy koloru jasnej

zieleni. Doszły do niej gardłowe dźwięki angielskiej wymowy i spostrzegła wysokiego antropologa z przekrwionymi oczami i jego śliczną sekretarkę, czy też kimkolwiek ona była - zawsze krążyło o nim wiele plotek - oraz jakiegoś nudnego profesora w muszce, jak zawsze w towarzystwie pulchnej żony. Czy to przyjęcie nie było aby na cześć jednego z tych gości w muszce, jakiegoś sławnego ekonomisty albo historyka? - kogoś, kto właśnie napisał książkę, kolejną książkę na temat Francji? *Zut*, drukowali je w nieskończoność. Anglosasi i te ich książki! Nawet Tim groził, że jąkaś napisze.

- Dzwonił twój niepoprawny Tim, żeby powiedzieć, że się spóźni - przekazała jej Dorothy. - Utknął gdzieś w taksówce, jadąc z lotniska.

- *Tant mieux*, zemszczę się więc, zanim tu dotrze. - Anne-Sophie roześmiała się i ruszyła prosto w stronę przystojnego, ciemnoskórego aktora Sama Straita.

ROZDZIAŁ 4

Co widziała Anne-Sophie

Kiedy Tim, zgodnie ze swoją obietnicą, znalazł się w końcu w tych przestronnych różowych salonach z wysokimi oknami, ozdobionymi zielonym adamaszkiem i dzięki grubym szybom doskonale izolującymi od hałasu niezwykle ruchliwej rue du Bac, poczuł nagły przypływ apatii na myśl o czekającej go nudzie. Jego krąg znajomych składał się z różnorodnych postaci, niekoniecznie dobrze ułożonych i nie tylko Amerykanów, po których - poczynając od dziennikarzy po instruktorów z siłowni - nie zawsze mógł się spodziewać, że spodobają się Anne-Sophie. Jego narzeczona zaś wolała raczej *bon-chic-bon-genre* towarzystwo swoich szkolnych koleżanek (i kolegów), dobrze wychowanych młodych paryżan, którzy imali się obecnie rozmaitych zajęć, do którego to grona dołączali czasem znajomi z czasów jej pasji jeździeckiej, starzy nauczyciele jazdy konnej i kierownicy stajni, nieodmiennie patentowani nudziarze.

Patykowane krzesła ustawiono na sposób francuski, pod ścianami pokoju, jak w szkole tańca, i na jednym z nich od razu dostrzegł Anne-Sophie, choć jego narzeczona należała raczej do osób, które wolały tańczyć niż siedzieć. No tak, oczywiście to nie było przyjęcie taneczne, ale koktajl party połączone ze zbiórką pieniędzy na rzecz American Library - a w każdym razie tak mu się wydawało. A może to przyjęcie z okazji jakiejś książki? Nie mógł sobie przypomnieć. Większość amerykańskich gości w swoich gabarydach i wełnianych

marynarkach sprawiała w tych wspianiałych, osiemnastowiecznych wnętrzach wrażenie zagubionych w czasie przybyszów z innej epoki.

Amerykanie nie byli zbyt popularni w tym sezonie, czy też należałoby raczej powiedzieć, że byli mniej popularni niż zwykle. Stany Zjednoczone zaangażowały się właśnie w misję ratunkową na Bałkanach, która w oczach Francuzów jawiła się jako z lekka tylko zamaskowany przejaw amerykańskiego dążenia do dominacji nad światem. O czym, ledwie wszedł do salonu, nie omieszkała poinformować go madame Wallingforth należąca do małego grona przybitych tu francuskich gości.

Tim wyjaśnił jej, że choć nieczęsto odwiedza Stany Zjednoczone, jest głęboko przekonany, że coś zgoła przeciwnego niż pragnienie podboju skłania jego rodaków do takich działań.

- Amerykanie chcą, żeby wszystko działało jak w zegarku, bo wtedy mogą spokojnie zajmować się swoimi sprawami - podobnie jak człowiek, który musi się ogolić, zanim zacznie czytać gazetę.

Madame Wallingforth tylko prychnęła.

- Amerykanie mają kolonialne zamiary i zawsze je mieli.

Gdyby nie to, że obiecał Anne-Sophie, że się zjawi, wykręciłby się od tej wizyty. Nie czuł specjalnego zainteresowania postacią profesora Hoffa, Froffa czy jak on tam się nazywał, a poza tym całkiem niedawno zjadł lunch z wiekową, towarzyską księżną i w tej chwili wolałby raczej usiąść przy swoim komputerze, żeby zebrać trochę informacji na temat okoliczności kradzieży w Morgan Library.

Wkrótce jednak zrozumiał, że to szczęśliwy traf sprowadził go na przyjęcie do księżnej. Wśród gości dostrzegł bowiem kobietę Serge'a Craya (żona czy kochanka?) - osobę, która najbardziej mogła mu pomóc w zaaranżowaniu spotkania z reżyserem. Clara Holly, natychmiast rozpoznawalna, jeśli widziało się jej film z pamiętnym tańcem, nawet jeśli to było kilkanaście lat temu, przez chwilę stała trochę niepewnie w drzwiach, najwyraźniej zastanawiając się, czy w ogóle wejść, po czym skierowała się w stronę jednego z niedużych pozłaczanych krzesel. Usiadła i poprawiła coś u swego buta.

Widać było, że jest nieco starsza niż owa cudowna dziewczyna z filmu, ale w rzeczywistości niewiele się zmieniła, jeśli nie liczyć

tego, że aktorzy filmowi zawsze wydają się inni, kiedy widzi się ich z bliska, nieco niżsi, starsi, z normalnym odcieniem skóry albo niedoskonałościami ubioru. Przysunął się bliżej i przedstawił się - czy też zaprezentował się, jak mówią Amerykanie, choć byłoby raczej dość ryzykowne powiedzieć coś takiego po francusku.

- *Bonjour*, Clara - usłyszał głos Doroty. - Sądziłam, że nie przyjdiesz.

- Też tak myślałam, ale skoro znalazłam się w mieście...

- Zostaniesz na kolacji? - Wymieniły pocałunki, dotykając swoich policzków.

- Tak, czemu nie? Twoje kolacje są zawsze takie wspaniałe. - Clara przyjęła zaproszenie. - Nie pojmuję, czemu przykładasz taką wagę do jedzenia, chociaż i tak wiesz, że ludzie przyszli po to, żeby się napić.

- Nazywam się Tim Nolinger - zwrócił się do niej Tim. - Miss Holly, czy mogę zamienić z panią kilka słów, tylko dwie sekundy?

Szybko pożałował nieco unżonego, a zarazem natrętnego tonu swojego głosu, bo natychmiast wyczuła w nim dziennikarza, albo wielbiciela, i na jej ustach pojawił się sztywny, zawodowy uśmiech.

- Oczywiście, miło mi - powiedziała, wyciągając do niego rękę.

Tim przyznał się, że istotnie jest dziennikarzem, i wymienił czasopisma, dla których pracuje, w nadziei, że nazwa któregoś z nich zabrzmie jej znajomo. Niezależny europejski korespondent amerykańskiego konserwatywnego czasopisma „Reliance”, i tak dalej. Nie wspominał, że recenzuje filmy i ocenia restauracje, ale przeszedł od razu do sedna, czyli kolekcji jej męża oraz listy sporządzonej przez amsterdamską policję.

Najwyraźniej z ulgą przyjęła wiadomość, że nie zamierza jej wypytywać o nią samą ani o Craya, i odprężyła się nieco. Tim pomyślał, że jest piękna, tuż po trzydziestce, i jedyne niedoskonałości urody, jakie zdołał u niej dostrzec, to dwa małe ślady po ospie na czole. Zawczasu uznał, że będzie albo wyniosła, albo figlarna, jak to zwykle bywa z aktorkami, a teraz rzeczywiście przypisał jej wyniosłość, ale nie zauważył jej inteligencji oraz poczucia humoru. Tyle jeśli chodzi o jego instynkty dziennikarza.

- Mógłby pan przyjechać i porozmawiać z Serge'em - dodała. - Uwielbia popisywać się swoimi dokumentami.

Tim nie bardzo ufał jej słowom - nie słyszał, żeby z Serge'a Craya był gadatliwy *collectionneur*. Mimo to ucieszył się z zaproszenia, zadowolony ze swojego małego podstępu. Jednak Clara Holly szybko zgasiła jego poczucie, że został potraktowany w jakiś wyjątkowy sposób, mówiąc mu, żeby zadzwonił do biura Craya w mieście.

- Pracownicy biura znają jego rozkład zajęć i poinformują pana, jak do nas trafić, jeśli mąż się zgodzi na spotkanie z panem. - Jeszcze raz uśmiechnęła się i odeszła.

W końcu zauważył Anne-Sophie, która, jak przystało na osobę dobrze wychowaną, znalazła troje innych Francuzów obecnych na przyjęciu i zagłębiła się z nimi w ożywioną rozmowę, niepomna danej sobie samej obietnicy, że ograniczy się do kontaktów z Amerykanami, by opanować i przezwyciężyć obawy związane z mówieniem po angielsku, mimo że opanowała ten język bez zarzutu.

Francuzi, którzy pojawiali się na amerykańskich imprezach towarzyskich, zazwyczaj czynili to pod wpływem pewnych okoliczności swojego życia: albo pracowali dla amerykańskich firm, albo spędzili w dzieciństwie rok w anglojęzycznym kraju, albo byli protestantami, przez co otaczała ich aura pewnej nieprawomyślności. Nie dołączając do grupy, Tim na moment uchwycił spojrzenie Anne-Sophie; postąpiła mu całusa. Pomyślał, jak zawsze przy takich okazjach, że bardzo podoba mu się jej uroda (podobnie jak on była jasną blondynką), jej kwitnąca świeżością skóra, okrągłe, lekko wyłupiaste oczy i świetliste spojrzenie, jak u postaci z obrazów Fragonarda albo Watteau - ale tego wieczoru dostrzegł w nim jakieś niezwykle podniecenie, co sprawiało, że jej oczy wydawały się większe niż zwykle.

O ósmej trzydzieści tłum uczestników koktajlu zaczął się przerzedzać i gości zaproszonych na kolację zaprowadzono na dół, gdzie czekał na nich długi stół nakryty na kilkanaście osób. Madame *la princesse*, tak bardzo amerykańska pod tym względem, prezentowała swoją niezwykłą gościnność. Tim uznał, że *znalazł* się w tym gronie ze względu na Anne-Sophie, ponieważ cieszyła się sympatią niektórych bogatych Amerykanów z powodu swojej dobrej angielszczyzny, god-

nego zaufania gustu w dziedzinie rycin o tematyce jeździeckiej i innych pamiątek związanych z tą dyscypliną sportu, a także - dzięki jednej z przyjaciółek - swoich dobrych koneksji z pewnym sławnym domem mody W rzeczywistości, ze względu na wesołe usposobienie, dobre maniere i dobry wygląd, Tim sam był cenionym gościem, choć bez wątplenia już nie tak jak w czasach, gdy nie był jeszcze zaręczony. Księżna nalała mu scotcha gestem wskazującym, że spodziewa się, iż Tim zabierze go ze sobą do stołu, w amerykańskim stylu. Estelle d'Argel czasami miała wrażenie, że Tim pije nieco za dużo. Anne-Sophie uważała to za typowo anglosaski obyczaj.

Zasada nakazująca, by nie sadzać pary obok siebie, stawała się obowiązująca dopiero pół roku po ślubie, toteż Tim i Anne-Sophie usiedli razem i podczas kolacji Anne-Sophie, z wyrazem udręki na twarzy, raz po raz szturchała go znacząco, skrywając swój gest za niedużą ozdobą w centrum stołu, nieco przedwcześnie przywodzącą na myśl święta Bożego Narodzenia - był późny październik - jak gdyby nie mogła doczekać się chwili, gdy będzie mogła podzielić się z nim jakąś niezwykłą wiadomością. Wśród gości zaproszonych na kolację znalazła się także Clara Holly, która siedziała po tej samej stronie co Tim, dzięki czemu nie mógł wprawiać jej dłużej w zakłopotanie ciągłymi spojrzeciami, co przypuszczalnie robiłby w innym wypadku. Pozostali goście starali się nie patrzeć w jej stronę zbyt natrętnie, kierując wzrok wszędzie, tylko nie na nią. Tim pomyślał, że musi czuć się dość samotna na świecie. Wśród gości znalazło się kilka osób, na które można było liczyć w sprawie obfitych donacji, jacyś ludzie z „Herald Tribune” oraz brytyjski rzeźbiarz, z którym Tim czasami grywał w tenisa.

Po zupie (*homard aux morilles*), gdy rozmowa zeszała na wydarzenia dnia, Anne-Sophie d'Argel, wyczuwając moment, w którym może skupić na sobie uwagę obecnych, powiedziała:

- *Moi? Pas grand-chose*. Pewien człowiek został dziś zamordowany u moich stóp, to wszystko. Poderżnięto mu gardło i niemal weszłam w kałużę jego krwi.

Jej słowa oczywiście wywołały pożądany efekt. Wszyscy przestali rozmawiać i czekali na dalsze szczegóły tej niezwykłej opowieści.

Widziała na twarzy Tima uśmiech zaskoczenia i aprobaty dla jej narracyjnego talentu, dzięki któremu z ogromną powściągliwością przemilczała tę niezwykle dramatyczną nowinę podczas aperitifu i pierwszego dania.

- Tak - mówiła dalej. - Byłam właśnie na moim stoisku na Marche Paul Bert.

- Ma sklep z antykami na pchlim targu - wtrącił ktoś.

- Tak, rzeczy związane tematycznie z *cheval* - dodała wyjaśniająco. - Ryciny przedstawiające sceny myśliwskie, stare siodła Hermesa, świeczniki zrobione z końskich podków, wszystko, co ma związek z jeździectwem, czasami bardzo zabawne. A ten człowiek, monsieur Boudherbe, ma stoisko w sąsiedniej *allee*. Najpierw usłyszałam gwałtowny łomot metalowej rolety, jak gdyby komuś przy otwieraniu nagle wymsknęła się z rąk i opadła jak gilotyna. A potem krzyki. *Zut*, te krzyki...

Ich wspomnienie wróciło do niej teraz z przerażającą intensywnością. Nieprędko o nich zapomni. Nie wezwała policji, tylko pobiegła do Raoula Pecucheta (meble z epoki dyrektoriatu), który ma stoisko obok. Zajrzał do Boudherbe'a i zaraz wybiegł, by wezwać pomoc z jej telefonu. Potem oboje zaprowadzili policjantów na miejsce, gdzie leżał Boudherbe. Miał poderżnięte gardło, a nad nim stało dwoje Amerykanów z twarzami białymi jak porcelana z Limoges.

Najlepiej jak umiała odpowiedziała na pytania gości. Czy to Amerykanie go zabili? Czy zostali aresztowani? Miała wrażenie, że nie. Nie, nie zapamiętała, jak się nazywają. Co było motywem? Czy pchli targ, ogólnie rzecz biorąc, jest niebezpiecznym miejscem?

Opowiadając o tych wydarzeniach, zdołała jakoś odpędzić natrętne wspomnienie lepkiej krwi. Nie była więc szczególnie zadowolona, gdy nagle odezwała się Clara Holly:

- Och, jakie to dziwne, myślę, że wiem coś na ten temat.

Szybko skupiła na sobie uwagę całego towarzystwa.

- Naprawdę, co za zabawny zbieg okoliczności - mówiła dalej.
- Dziś rano zadzwoniła do mnie jakaś kobieta z mojego rodzinnego miasteczka z prośbą o pomoc i jak się okazało - na pewno to ona

- była jedną z dwojga Amerykanów, których pani widziała. Była rano na targu staroci i widziała to morderstwo.

Clara opowiedziała swoją historię.

Anne-Sophie nie widziała twarzy Tima, ale zauważyła, że inni mężczyźni wpatrują się w Clarę jak urzeczeni. Najwyraźniej nie sprawiała na nich wrażenia osoby szczególnie asertywnej, a już na pewno nie wydawała im się niekobieca.

ROZDZIAŁ 5

La virtue

Tego samego dnia Clara Holly odebrała dwa telefony z Oregonu i ogarnęło ją nieodparte poczucie, że dwie rozmowy telefoniczne z Oregonem jednego dnia to zbyt potężna dawka agresji i zbyt daleko idące zakłócenie dość zrytualizowanego, wytwornego życia, jakie wiodła we Francji. Zrobiło jej się nawet żal samej siebie, co było dość niezwykle.

-Jakie to irytujące. Ale przynajmniej - powiedziała lekko do swojego męża Serge'a - uzalanie się nad sobą ma tę zaletę, że zazwyczaj jest szczerze.

Wróciła właśnie z ogrodu, gdzie zbierała późne astry i pomidory; zamożna pani na włościach wśród symboli otaczającego ją ładu. Ale, niestety, pod usychającymi łodygami dostrzegła robaki atakujące owoce. Miała też inne zmartwienia: kłopoty z wiekową matką, twórczy impas Serge'a (który ciągnął się już od jedenastu lat), wyjazd Larsa do szkoły w Anglii, początek sezonu łowieckiego i znużenie, które ostatnio ciążyło jej coraz bardziej, po części, jak wiedziała, z powodu sytuacji w Oregonie, na którą nie miała wpływu. Zwykle nie brakowało jej energii, biegle opanowała francuski tryb łączny, przeczytała wszystkie książki Gertrude Jekyll i wiedziała, jak się przyrządza *foie gras frais*.

Ale tego poranka cotygodniowa rozmowa z Cristal, która dzwoniła z Oregonu, nastąpiła dzień wcześniej niż zwykle i opiekunka matki długo rozprawiała płaczącym głosem, jak zawsze. Tym razem

chodziło o to, że Lady, ulubiona suczka matki Clary, wpadła pod samochód i chociaż uszła z życiem, leczenie u weterynarza będzie kosztowało majątek, cztery tysiące dolarów, chyba że zdecydują się na jej uśpienie.

- Kocham twoją mamę, ale dłużej już tego wszystkiego nie wytrzymam, to niesprawiedliwe, żeby zwałać wszystkie kłopoty na mnie - jęczała Cristal jak przy każdej rozmowie. Clara zawsze wyobrażała sobie, że jej łzy wysychają natychmiast po odłożeniu słuchawki. Chyba że naprawdę była już u kresu wytrzymałości jako osoba niezrównoważona, a jeśli tak, to Clara powinna poszukać kogoś innego do opieki nad matką. Nic nie chciało być łatwe.

- Spróbuj ją uratować - powiedziała Clara. - Tak, oczywiście wyślę pieniądze.

Oczywiście, trzeba uratować Lady, głupiego, słodkiego, jednookiego owczarka collie. Clara nie była pewna, czy jej matka w ogóle jeszcze zauważa tego psa, raczej chodziło o Cristal, no i rzecz jasna, o samą Lady. Spytała, czy może rozmawiać z matką, ale oczywiście pani Holly leżała już w łóżku.

Była pewna, że Serge zgodzi się wyłożyć cztery tysiące dolarów na weterynarza, nawet nie musiała go o to pytać. Wszyscy wiedzieli, że namiętnie przejmując się losem zwierząt i część krytyków oraz widzów widziała w tym wyraźne potwierdzenie jego braku zainteresowania losem ludzi i chłodu emocjonalnego, który miał jakoby wyjaśniać artystyczną doskonałość jego filmów. Clara dostrzegała kryjące się za tym rozumowaniem założenie, że ludzkie uczucia wykluczają perfekcjonizm, ale uważała, że ta opozycja nie odnosi się do jej męża, Serge'a Craya.

Choć była już dziesiąta, Cray czytał wciąż przy kuchennym stole. Zwykle wstawał o siódmej i zamykał się w gabinecie. W swoim przekonaniu pracował. Był przecież artystą, więc zawsze pracował. Jednak im bardziej mroczne i bardziej złożone stawały się jego wizje, tym trudniej było mu znaleźć dla nich odpowiednie środki wyrazu. Przede wszystkim nie najlepiej szło mu pisanie, musiał więc polegać na zawodowych scenarzystach, którzy jednak zawsze budzili jakieś wątpliwości. Na przeszkodzie jego twórczych poczynań stawały też trudności

natury politycznej - na przykład chaos w Rosji pokrzyżował mu prace nad filmem historycznym (*Rasputin*, opowieścią bogatą w metaforyczne odniesienia do współczesnych wydarzeń), mimo że przygotowania były już mocno zaawansowane. Irytowały go krytyczne głosy coraz częściej podnoszące się w wytwórni Monday Brothers - oczywiście nie chodziło o Woly'ego, Wolforda Biermana, który darzył go bezgranicznym zaufaniem i któremu można było ufać, ale o innych ludzi szepczących za plecami Woly'ego.

Tego dnia Serge czytał przy kuchennym stole *Człowieka bez właściwości*. Wracał do tej powieści raz po raz od lat, właściwie odkąd go znała. Trzynaście lat.

- Ktoś potrafił Lady? - Uniósł wzrok znad książki.

Clara niemal widziała, jak w tym momencie wyobraża sobie pisk opon, skowyt psa, dreszcze wstrząsające kończynami rannego zwierzęcia. Serge miał żywą, plastyczną wyobraźnię, widział wszystko ze szczegółami i na jego twarzy wyraziście malowały się emocje towarzyszące tym obrazom, cała empatia dla królestwa zwierząt wyczierała ze spojrzenia jego dziwnych oczu.

- Potrzebna będzie operacja kręgosłupa - powiedziała. Sama czule kochała Lady, psa, którego matka przyniosła do domu jako szczenię, może jako rodzaj zastępczej córki, właśnie w chwili, gdy Clara dostała swoją wielką szansę i wyjeżdżała do Francji, żeby zagrać w filmie.

A potem drugi telefon, około południa, także od mieszkanki Oregonu, młodej kobiety o imieniu Delia, ze znanym wstępem: „Nie zna mnie pani, ale”, tyle że Delia dzwoniła z Paryża i była wyraźnie roztrzęsiona. Clara zdążyła już się przyzwyczaić do telefonów swoich rodaków. Zawsze mieli jakieś kłopoty i zawsze mieli numer telefonu od jej matki. Raz byli to przyjaciele rodziny, innym razem dawna nauczycielka Clary z trzeciej klasy szkoły podstawowej, i niezmiennie okazywało się, że albo skradziono im paszport w drodze z lotniska, albo pytali, czy może polecić jakąś restaurację, wystawę lub doradzić, gdzie najkorzystniej wymienić pieniądze. I zawsze w tle kryła się niewypowiedziana nadzieja, że uda im się zobaczyć jej sławne *chateau*, a może nawet tajemniczego Craya.

Również w tej rozmowie pojawiło się kilka dobrze znanych elementów. Rodzice Delii, Sadlerowie, rzeczywiście mieszkali niedaleko matki Clary w Lake Oswego w Oregonie, a sama Delia straciła paszport, gdyż ktoś go ukradł. Jednak trzeci problem Delii Sadler zaskoczył Clare - nieszczęsna młoda kobieta była zamieszana w jakieś paskudne morderstwo na *marche aux puces* - i to wszystko przydarzyło jej się w ciągu niecałej doby od przylotu do Francji.

Problem skradzionego paszportu, standardowy element nieszczęść, jakie przytrafiały się telefonującym do niej Amerykanom, można było łatwo rozwiązać. Nieco trudniej mogła zorientować się w niespójnej opowieści Delii o jakimś facecie, z którym podróżowała, o nieznanym człowieku z poderżniętym gardłem i o francuskiej policji. Słysząc było, że dziewczyna ma poważne kłopoty i wpadła w panikę, a teraz oczekuje pomocy od Clary, choć ta nie bardzo potrafiła pojąć, co właściwie mogłaby zrobić poza wyjazdem do Paryża i spotkaniem się z Delią w jakimś hotelu niedaleko Gare du Nord - policjanci zabronili dziewczynie ruszać się z miejsca - oraz porozmawianiem z policją po francusku.

Clara powiedziała, że pamięta Sadlerów.

- Chyba jesteś młodsza z rodzeństwa? Frank chodził razem ze mną do klasy.

- On jest najstarszy. Ja mam dwadzieścia cztery lata - powiedziała Delia i westchnęła rozpaczliwie.

Zatrzymała się w hotelu Le Mistral w osiemnastej dzielnicy. Clara odparła, że i tak wybiera się do Paryża, więc wpadnie, żeby się z nią zobaczyć i pomóc, jeśli będzie mogła. Dziewczyna próbowała sprawiać wrażenie osoby dzielnej i energicznej, ale czuło się, że jest przerażona i wdzięczna, iż może porozmawiać z kimś znajomym.

- Znasz ją? - spytał Serge, gdy Clara odłożyła słuchawkę. - To miło z twojej strony, że chcesz się nią zająć.

Uważał, że Clara, choć potrafiła być nieco zgryźliwa, przejmuje się innymi; poza tym ma dobry charakter jak na kogoś tak fotogenicznego; jednak z żalem musiał przyznać, że jej charakter tak naprawdę wcale go nie interesował. Łagodność i stałość (co nie znaczy, że naprawdę taka była, ale jego umysł tak ją zakwalifikował)

miały tę wadę, że choć bez zarzutu, były nieinteresujące, nie zaprzątały myśli i nie budziły sprzeciwu. Były jak kartofle albo seler. Dobry charakter nie nadaje się na temat filmu, a nawet powieści.

- Znam jej rodzinę - powiedziała Clara. - Mieszkają przy drodze niedaleko mojej matki.

- Nie daj się w nic wplątać - ostrzegł ją Serge. - Nie podawaj swojego nazwiska. - Czasami uważał, że Clara jest zbyt ufna, zbyt, by tak rzec, oregońska.

Spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami, tymi niezwykłymi oczami, którym być może zawdzięczała swoją sławę. Były naprawdę ogromne, szare, z intensywnym blaskiem, którego czasami nie lubiła, jak gdyby miała zaraz się rozpłakać. Na przykład w tym momencie ich wyraz mógł oznaczać: „dobrze, nie będę”, albo „znowu zaczynasz z tą swoją paranoją”.

- Zadzwoń do ciebie później - powiedziała.

W pociągu Clara zastanawiała się nad opowieścią Delii. Obawiała się zaangażować w sprawę tej dziewczyny, ale ponieważ w zasadzie zawsze z radością pomagała innym, a poza tym i tak miała kilka innych spraw do załatwienia i zamierzała pójść na przyjęcie wieczorem, więc wstąpienie do hotelu Le Mistral nie było zbyt wielkim wysiłkiem. Ale być może gdy chodzi o pomaganie innym, każdy człowiek ma określony zasób możliwości, który jej matka i Cristal wyczerpały już w zupełności jak na ten dzień.

Clara starała się być dobra. Ostatnio często rozmyślała o dobroci, co nie znaczy, że pojawiała się w jej myślach pod wpływem poczucia winy. W jej rodzinie nie starano się specjalnie odwoływać do poczucia winy, zachęcano ją raczej, żeby była dobra dla zasady, ponieważ należało coś dać w zamian niedoskonałemu światu, który z niewyjaśnionych powodów był tak dobry dla niej. Jednak nie zawsze udawało się Clarze o tym pamiętać.

W dodatku sens tego, co to znaczy być dobrym, zmieniał się i ewoluował. W dzieciństwie oznaczał posłuszeństwo, w szkole średniej notliwie zachowanie. Teraz, gdy była już po trzydziestce, oznaczał dobroczyńność i pomaganie innym. A skoro los ciągle jej sprzy-

jał, stawiała sobie coraz wyższe wymagania. Nie czuła się jednak przez to kimś cnotliwszym, toteż gdy zdarzała się okazja do spełnienia dobrego uczynku, niezbyt uciążliwa sposobność, by pomóc bliźniemu, sięgała po nią bez wahania i jechała do Paryża pomagać każdemu rodakowi, który tego potrzebował. Jednocześnie bardzo zależało jej na tym, żeby spełniać się jako doskonała żona - oto była kariera, którą wybrała i która przynosiła jej tyle satysfakcji w istniejących okolicznościach.

A poza tym oczywiście lubiła jeździć do Paryża - czy osobista przyjemność w jakiś sposób kasuje dobry uczynek? Etang-la-Reine, typowe modne przedmieście, pasowałyby do każdego miejsca na świecie, ale Paryż ze swoimi zdobionymi złotem latarniami i balkonami o koronkowych żelaznych balustradach stanowił kwintesencję francuskości i zawsze przypominał jej, że naprawdę żyje na tym rozkosznym wygnaniu.

Przypuszczalnie Serge miał w sobie coś z prawdziwej cnoty. Przekazywał znaczne sumy na różne cele polityczne, choć wyrażał się dość mgliście, gdy prosiła, żeby coś o nich powiedział. Clara miała nadzieję, że nie miało to nic wspólnego z pomocą dla IRA, tych obłąkanych ludzi, którzy choć są biali i mówią po angielsku, zachowują się, jak gdyby pochodzili z trzeciego świata.

Sprawdziła adres w nieznannej sobie części Paryża i wzięła z dworca taksówkę, jadąc tłoczną, wąską ulicą na tyłach Gare du Nord, zamieszkaną przez barwnie ubranych mieszkańców Afryki, Algierczyków, aż do hotelu Le Mistral, paskudnego budynku z frontem wyłożonym formiką i opatrzonego niewielką tabliczką w oknie informującą o cenach: bez *douche*, z *douche*, WC *commune*, WC *privee*. Gdy spytała w recepcji o mademoiselle Sadler, w niewielkim holu wyłożonym lustrami i pomalowanym na pomarańczowy kolor z wyplatanej krzesła poderwała się młoda kobieta i podeszła do Clary, mocno utykając, a właściwie kołysząc się niczym statek na falach. Delia Sadler - drobna, delikatna osoba, jak gdyby cały wigor rodziny Sadlerów nagle się wyczerpał, zanim doszło do jej narodzin. Miała bladą skórę, prawie szarą, rzadkie, kręcone rudobrazowe włosy w nieładzie, nieduże druciane okulary;

oczywiście ludzie zawsze wyglądają najgorzej przez kilka pierwszych dni po przylocie, Clara bez trudu rozpoznała w jej twarzy znajome rysy rodziny Sadlerów. To samo spojrzenie co u jej braci i sióstr, te same krowio brązowe oczy i rudawe włosy, chociaż Frank i pozostali członkowie rodziny byli wysocy i mocno zbudowani. Uśmiechnęła się nieśmiało.

Clara lubiła oglądać znajomo wyglądające twarze, podobnie jak lubiła nostalgiczne wspomnienia, które wywoływały w jej pamięci. Tym razem przypomniała sobie Franka grającego w drużynie futbolowej Oswego Lakers w szkole średniej - grał w środku czy na skrzydle? Pani Sadler cieszyła się u dzieci wielkim poważaniem, ponieważ w Halloween rozdawała snickersy. Zawsze na widok ludzi z Lake Oswego ogarniało Clarę głębokie zadowolenie, że się stamtąd wyrwała.

- Nazywam się Delia - powiedziała dziewczyna.

Nigdy nie widziała filmu z Clary; zresztą ta zagrała tylko raz, a potem wyszła za mąż i zrezygnowała z kariery. A jednak wydawała się Delii znajoma; podobnie jak Clara rozpoznała w twarzy Delii rysy Sadlerów.

Uścisnęły sobie ręce. Clara zaproponowała, że pójdą na kawę, i wtedy Delia spokojnie opowie, co się stało. Z zaskoczeniem zauważyła, jak mocno dziewczyna kuleje. Clara nigdy nie słyszała, żeby Sadlerowie mieli dziecko z jakąś wadą. Może to niedawny wypadek?

- To moje chore biodro - powiedziała Delia, wywołując rumieniec na twarzy Clary, która uświadomiła sobie, że dziewczyna bez trudu odgadła jej myśli. - W końcu będę musiała wstawić sobie plastikowe, ale lekarze chcą poczekać tak długo, jak to możliwe, ponieważ sztuczne wystarcza tylko na jakiś czas i potem trzeba je wymieniać.

Nie licząc tego wyznania, dziewczyna mówiła niewiele, jakby była zamknięta w pancerzu lęku. Clara próbowała ją rozruszać.

- Jak ci się podoba we Francji? - spytała niedorzecznie, gdy podawano im kawę w sąsiedniej kawiarni.

Delia włożyła mnóstwo cukru do swojej filiżanki i przez chwilę się w nią wpatrywała, a potem spojrzała na Clary.

- Och, jest wspaniale. Wczoraj ograbiono mnie minutę po przylocie, resztę dnia spędziłam w biurze konsulatu, starając się o paszport, a drugiego dnia zobaczyłam mężczyznę z poderżniętym gardłem.

- Przepraszam. - Clare rozśmieszyło własne niemądre pytanie, ale zabrzmiało to tak, jak gdyby śmiała się z komicznego obrazu człowieka z poderżniętym gardłem. - Proszę, opowiedz mi o tym.

Jednak usłyszawszy opowieść Delii, Clara nie była pewna, czy powinna jej wierzyć. Najwyraźniej w jej historii było coś, co młoda kobieta zachowała dla siebie.

ROZDZIAŁ 6

Opowieść Delii

Delia opowiedziała Clarze swoją historię.

- Nasz samolot przyleciał wczoraj rano około siódmej, ale byłam ożywiona, bo przespałam się trochę podczas lotu. Czułam się dobrze. Mimo to musiałam być trochę otumaniona, ponieważ nie mam pojęcia, kiedy skradziono mi paszport. Mogło się to stać w pociągu, który przywiózł nas z lotniska, ale nikt na mnie nie wpadł, ani nic takiego, nic podejrzanego się nie zdarzyło. Początkowo myślałam, że zostawiłam go w taksówce, lecz Gabriel - mój partner w interesach, człowiek, z którym tu przyleciałam - płacił za kurs, więc nie musiałam wtedy wyciągać portfela. Tak czy inaczej, portfel zniknął, a razem z nim wszystkie karty kredytowe i paszport. A potem ta krew... Nie mogę zapamiętać widoku martwych, wytrzeszczonych oczu...

Pierwszego dnia, w piątek - czyli wczoraj - zamiast rozejrzeć się po Paryżu, musiała spędzić cały dzień w konsulacie, starając się o nowy paszport. Wyjazd do Francji miał być swego rodzaju w interesach, ale miała nadzieję, że zdoła znaleźć czas na codzienne wizyty w Luwrze. Tymczasem zmarnowała cały dzień w amerykańskim konsulacie.

- Gabriel... Nie wiem, co się z nim działo. Chyba poszedł do Luwru, a potem zabrał mnie z konsulatu i zjedliśmy kolację.

Razem z paszportem straciła oregońskie prawo jazdy, licencję handlarza dzieł sztuki i legitymację członkowską lokalnego basenu.

Powinna była zostawić to wszystko w domu! Takie myśli dodatkowo wzmagają jej niepokój, choć i bez tego nie brakowało jej kłopotów - nie miała ani grosza, była właściwie uwięziona w hotelu i przesła-
dowało ją wspomnienie czarnej plamy krwi oraz martwych, wytrzesz-
czonych oczu ofiary morderstwa.

- Na szczęście udało mi się zablokować karty kredytowe; mia-
łam numery w swoim filofaksie. Ale karta Visa może być przysłana
wyłącznie na adres stałego zamieszkania. Czy to nie głupie? Jak oni
sobie wyobrażają, co ja mam teraz zrobić?

- A więc dziś rano...? - odezwała się Clara Holly głosem aktorki
grającej rolę osoby, która dostarcza rozmówcy łagodnej zachęty.

Delia i jej towarzysz Gabriel umówili się, że wyruszą wcześniej rano,
jeszcze o świcie. Wynajęli osobne pokoje. Delia obudziła się i ubrała,
czekając na jego pukanie. Słyszała, jak szedł korytarzem i szepnął:
„Delio? Jesteś gotowa?“, więc cicho otworzyła drzwi, starając się nie
budzić ludzi pogrążonych we śnie, i wyszła na zewnątrz. Nieoczekiwana
miłość przepełniała ją łagodnym zdumieniem i na chwilę złagodziła
niepokoje związane z utratą paszportu. Część nocy spędziła z Gabrielem
- najpierw długo rozmawiali, a potem kochali się. Po raz pierwszy! Ale
o tym nie wspomniała Clarze Holly.

Gabriel Biller - mapy, ryciny i rysunki. Delia wyjaśniła Clarze, że
przyjechała z nim do Paryża razem w interesach i opowiedziała, jak
we dwoje wyszli z hotelu chłodnym świtem i poszli rue Duhesme
w stronę targu staroci.

- Możemy napić się kawy w holu - powiedział Gabriel. - Podają
ją tutaj naprawdę wcześniej. Mnóstwo handlarzy zatrzymuje się
w tym hotelu. - Uśmiechnął się do niej. Z pewnością on także roz-
myślał o chwilach intymnej bliskości, która pochłonęła ich nocą.
Miał niezwykle przekonujący, uroczy i piękny uśmiech. Delia od
wielu miesięcy żywiła nadzieję, że coś takiego się wydarzy, choć
sama przed sobą nie przyznawała się do swoich pragnień aż tak
otwarcie. Przystojny Gabriel, który mieszka z tą swoją stukniętą
dziewczyną w Oregonie, teraz został jej kochankiem, nawet jeśli
miałoby to być chwilowe, na czas tej nieoczekiwanej wycieczki. Nie
wspomniała o tym Clarze.

Poza nimi, Gabrielem i Delią, w hotelu nie było innych Amerykanów, chociaż tak naprawdę Gabriel nie jest Amerykaninem, lecz jakimś Słowianinem. W tej sprawie jest dość tajemniczy. Choć mieszkał w Oregonie od czasów szkoły średniej i twierdził, że czuje się w Paryżu niemal tak samo zagubiony jak ona, najwyraźniej znał to miasto. Może to dlatego, że co roku przyjeżdżał do Europy na targi sztuki w Maastricht.

Pragnienia serca - przyjazd do Europy, romans z Gabrielem - mają swoją cenę, to pewne, ale Delia nie sądziła, że ta cena może być aż tak wysoka. Nie powiedziała Clarze Holly o swoich uczuciach - i co z tego, że Clara jest żoną tego wielkiego reżysera Serge'a Craya, też mi coś. Czy poza tym coś zrobiła ze swoim życiem? Nic, o czym by się słyszało w Lake Oswego.

Pchli targ wyglądał inaczej, niż Delia sobie wyobrażała. Ujrzała niekończące się niby-miasto pełne rozmaitych załośnie wyglądających przedmiotów, wśród których tylko czasem trafiało się coś wspaniałego i które wydawały się jakoś nie na miejscu w poświacie wczesnego poranka, wśród łoskotu otwierania żelaznych rolet, zgrzytu przesuwanych stołów i krzeseł wnoszonych na alejki, głosów handlarzy pokrzykujących do siebie, zapachów croissantów i kawy. Nigdy dotąd nie widziała takich dość dziwacznie wyglądających francuskich mebli w kolorze złota i czerni ani tyłu marmurowych posagów, marmurowych półek wyrwanych z kominków, tyłu kolumn i kryształowych żyrandoli błyszczących mimo wczesnej godziny, tyłu popękanych urn, koni na biegunach z odłóżką farbą czy niezliczonych klamek.

Gabriel miał adres jakiegoś sklepu, gdzie czekał na niego pewien człowiek, Francuz. Chciał się z nim skontaktować w interesach, o których wypowiadał się dość mglście - podobno miał tam coś sprzedać. Gabriel zabrał ze sobą plan okolicy, szukali passage de Sains. Uliczka zdrowia? Trzeźwości umysłu? Delia starała się dotrzymać mu kroku, zdumiona - jakby wędrowała drogą w jakiejś krainie Oz - mnogością nagromadzonych starych przedmiotów, pokrzykiwaniami handlarzy, tym, że wszyscy bez przerwy palili mimo tak wczesnej pory, oraz zawrotnymi cenami.

Sama zamierzała kupić trochę starych tkanin i zielonej ceramiki. To była jej specjalność. Jej sklep, jej nisza, stragan w Sweet Home Antiques Barn, w Sweet Home w Oregonie, przypominał mały ogród pełen koronek i kwiatów oraz ilustracji z dawnych książek dla dzieci. Razem ze swoją partnerką Sarą Towne sprzedawały sterty równo poskładanych i przewiązanych płóciennych serwetek, długie fildekosowe pończochy, kapelusiki od słońca oraz zielone dzbanki, talerze i półmiski w kształcie liści. Zapowiedź czekającego nas słodsze- go, prostszego świata.

Idąc za Gabrielem, starała się zapamiętać różne przedmioty, po które wróci później, zielone fajansowe półmiski, obrusy udrapowane na parawanach. Cieszył ją widok tego bogactwa przedmiotów i perspektywa przygody; co tam, nieważne, że została oszukana i okradziona, dokładnie tak, jak ją wszyscy ostrzegali, kiedy słyszeli, że wybiera się do Francji.

Za pomocą planu bez trudu znaleźli drogę, mijając rejon straganów, na których Afrykańczycy sprzedawali swoje tkaniny, gliniane maski i współczesne rzeźby. Czy wśród nich istnieje naprawdę jakiś piękny przedmiot, jakiś talizman? Delia miała ochotę się zatrzymać i rozejrzeć, ale Gabriel szedł dalej. Ciekawe, zastanawiała się, czy należy do tego rodzaju mężczyzn, którzy idą przed siebie i oczekują, że kobieta za nimi nadaży, i nawet się nie obejrzą, żeby sprawdzić, czy istotnie tak się dzieje. Czy ich obyczaje widoczne na chodniku mają jakikolwiek związek z ich zachowaniem w łóżku? Ta mimowolna refleksja wprawiła ją w niejakie zakłopotanie, ale zaraz pocieszyła się, że pomysł z przyjściem tutaj był świetny. Poczowała nagle, że życie otwiera się przed nią: cała przyszłość i całe bogactwo pięknych przedmiotów całego świata. Pora przestać się przejmować tą durną dziewczyną Gabriela, SuAnn, jej starożytną furgonetką volkswagenem i matką czarownicą, Cristal, która zawsze przynosi jakieś śmieci, żeby je opchnąć za kilka dolarów.

Miejsce, którego szukali, było zamknięte. Przed drzwiami leżało kilka ulotek reklamowych, stalowe, zwijane rolety zasłaniające okna były opuszczone do samego dołu. Nie rozumiała, czemu Gabriel jest tak bardzo zdenerwowany.

- Cholera - powtórzył kilkakrotnie i zaczął chodzić tam i z powrotem, rozglądając się, jakby kogoś szukał. Potem spróbował otworzyć drzwi i okazało się, że nie są zamknięte, co zaskoczyło go tak bardzo, że musiał chwycić za framugę, żeby nie wpaść do środka. Otworzył drzwi szerzej i wszedł do przestronnego magazynu wypchanego meblami i kartonami. Delia podążyła za nim. W półmroku wczesnego poranka wewnątrz robiło wrażenie jakiejś magicznej jaskini, teatralnych kulis albo poddasza czarnoksiężnika. Wzdłuż ścian, poustawiane jedne na drugich do zawrotnych wysokości, piętrzyły się obrazy w połamanych złożonych ramach i meble pozasłaniane jakimiś płachtami płótna. Kawałki wyblakłych fresków imitowały okna z rozległym widokiem, z jakiegoś pudełka w rogu wyrastało drzewo palmowe zrobione z cyny, u powały wisiały dziesiątki zwierzęcych poroży. Ten tajemniczy świat snuł swoją opowieść o wszystkich miejscach, w których Delia nigdy nie była.

- Halo - odezwał się Gabriel. - *Alló?*

Chyba w tym samym momencie oboje zauważyli w rogu za palmą wystające spod jakiejś tkaniny w kratę ludzkie nogi i krew, która wsiąkała w materiał. Delia nie krzyknęła, w każdym razie tak jej się wydawało; nie należy do osób, które krzyczą. Coś pociągnęło ich w tamtą stronę, podeszli niepewni, czy mają na to patrzeć, a jednocześnie nie potrafili się temu impulsowi oprzeć - może ten człowiek jeszcze żył? Musieliby zdjąć z niego tkaninę. Gabriel musiałby ją zdjąć. Niczym para tancerzy przesunęli się powoli wokół wystających nóg i plamy krwi.

Nagle Gabriel zatrzymał się, chwycił ją za ramię i rozejrzał się wokół. Oczywiście miał rację, przecież ktoś jeszcze mógł tam być!

- Muszę czegoś poszukać. Miał dla mnie pieniądze.

- Czy nie powinniśmy wezwać policji?

- Nie, to zbyt skomplikowane. Nawet nie wiem, jak ich wezwać. Po prostu poszukam. Nikt nie wie, że tu jesteśmy.

Pomyślała, że to niemożliwe, by ten człowiek jeszcze żył; w układzie jego bezwładnych nóg było coś dziwnego, nie mogły należeć do żywej osoby, poza tym było za dużo krwi. I nagle...

I nagle było za późno, by cokolwiek szukać lub żeby uciec. Kiedy cofali się w stronę drzwi, usłyszeli za plecami odgłosy podekscytowanych Francuzów nadchodzących od strony ulicy. Drzwi otworzyły się i do środka weszło dwóch policjantów w okrągłych czapkach z płaskim denkiem. Popatrzyli groźnie na Delię i Gabriela, którzy skulili się wśród połamanych krzeseł i zwiniętych dywanów. Za nimi wepchnęło się więcej osób, jakiś mężczyzna w niebieskim fartuchu, dobrze ubrana blondynka, druga, która mogła być jej młodszą siostrą, i niewysoki Arab.

- Cholera - powiedział Gabriel.

Delia poczuła zeszytywnienie jego ciała gotowego do ucieczki, i wiedziała, że znaleźli się w pułapce, schwytani na miejscu zbrodni, we Francji, pod okiem coraz liczniejszej grupy policjantów. Sama jednak nie czuła się zagrożona; z jej punktu widzenia nie było to tak okropne jak kradzież paszportu. Kiedy zdarzy się coś strasznego, co nie dotyka człowieka osobiście, ogarnia go dziwne uczucie wolności. Tymczasem Gabriel był biały jak kreda i cały się trząsał.

Wskazał w stronę stóp trupa - bo to musiał być trup - i powiedział do policjantów:

- *Nous sommes des Etats Unis.*

Delię to zaskoczyło. Co innego powiedzieć do kelnera, jak poprzedniego wieczoru, „*Out, merci*”, a co innego sensownie odezwać się po francusku w tak dramatycznej chwili. Jeden z nowo przybyłych ściągnął nasączoną krwią tkaninę z ciała zmarłego i wtedy Delia zobaczyła jego wytrzeszczone, nieruchome oczy bez źrenic, wykrzywione usta i czarną krew, która wciąż sączyła mu się z gardła. Na chwilę sklep zawirował wokół niej.

- „Albowiem drugi anioł zanurzył swój kielich w morzu i morze stało się jako krew martwego człowieka” - Delia zacytowała Clarze jakiś tekst. - Wiesz, Apokalipsa, to było zupełnie tak jak w Apokalipsie.

Ale Clara nigdy nie wczytywała się w szczegóły Apokalipsy.

Z gestów i westchnień otaczających ją Francuzów Delia zrozumiała, że większość z nich znała zmarłego - był właścicielem sklepu, w którym się znajdowali - i nikt z nich nie słyszał niczego niepoko-

jącego. Potem młodsza z blondynek - ta w kostiumie jak od Chanel, pomalowane paznokcie, pałaca jak smok - zawołała kogoś jeszcze, kto wszedł i zobaczył, co się stało. Kiedy policjanci wskazali na Delię i Gabriela, Francuzi pokręcili głowami: nie, nie widzieli ich przedtem, bez wątplenia jest prawdą, cokolwiek Gabriel mówił policjantom w swojej francuszczyźnie, Delia nie rozumiała z tego ani słowa, ale wyczuła, że mu uwierzyli. Z zachowania policjantów wносиła, że nie traktują ich jakoś szczególnie podejrzliwie. Dwanaście albo piętnaście osób, wliczając w to policjantów, pokiwało głowami z żalu i smutku na widok tego świadectwa ludzkiej śmiertelności i przejawu przemocy w zakątku ich bezpiecznego, znanego świata.

- Kazali nam nie opuszczać hotelu, więc tu jestem - kończyła opowieść Delia. Westchnęła ciężko, jakby ogarniała ją sennaś. - Nie wychodziłam. Gabriel powiedział, że idzie wymienić pieniądze, i jak dotąd się nie pojawił. Ale nie sądzę, żeby uciekł.

Ostatecznie Clara nie miała wiele do zrobienia. Dała Delii kilkakaset franków, poprosiła kobietę w recepcji, żeby się nią zajęła, i obiecała, że sama za wszystko zapłaci.

- Pani nazwisko, madame?

Clara przypomniała sobie słowa Serge'a, żeby nie podawała swojego nazwiska.

- Camus - powiedziała. - Pani Albertowa Camus.

- Gabriel wróci, to jasne - zapewniła Clara Delię. - Na pewno nie zostawi cię samej, przypuszczalnie poszedł załatwić swoje sprawy albo zatelefonować. Sama mówiłaś, że zna francuski, więc się nie zgubi.

Jej słowa najwyraźniej nie przekonały Delii Sadler, ale oczywiście każdy, kto przeżył dwa takie straszne dni, miałby prawo się niepokoić.

- Ta dziewczyna jest teraz swego rodzaju więźniem, ale w hotelu, i na razie nie dostała paszportu - wyjaśniła Clara gościom podczas kolacji u księżnej. Miała nadzieję, że ktoś wpadnie na jakiś konstruktywny pomysł w tej sprawie. Czy na przykład powinna sama pojechać do konsulatu i odebrać paszport, a potem zawieźć go Delii? A może konsulaty mógłby go przesłać, jeśli rozumieją, że Delia, zgodnie z poleceniem francuskiej policji, nie ma

prawa ruszyć się z miejsca, mimo że nie jest podejrzana? Padały rozmaite sugestie.

- Biedny monsieur Boudherbe - odezwała się Anne-Sophie. - Jadłam z nim lunch w każde sobotnie południe - mówiła płaczącym tonem, zaćmiona przez tamtą; taka śliczna dziewczyna, nie-przyzwyczajona do tego, żeby ktoś ją przyćmiewał. Nie uszło jej uwagi, że Amerykanie, którzy z powodu swojej telewizji i obyczajów panujących w ich społeczeństwie są przyzwyczajeni do przemocy i widoku krwi, najwyraźniej bardziej żałowali dziewczyny zamkniętej w hotelu niż zamordowanego człowieka. Miała wrażenie, że nawet Tim jest zafascynowany opowieścią Clary Holly. Anne-Sophie przypomniała sobie, że to jakaś aktorka, spotkała ją kiedyś tutaj u księżnej. Zauważyła, że Tim przygląda się Clarze Holly z wielką uwagą. Wiedziała, że Clara jest, albo była kiedyś, bardzo ładna, ale mogłaby bardziej o siebie zadbać. Miała nieco szorstką skórę, jak gdyby pracowała w ogrodzie, i - chyba po wietrznej ospie - jakieś maleńkie blizny, które zwykle pokrywane są makijażem i niewidoczne na ekranie. Mimo to Tim był wyraźnie pod ogromnym wrażeniem jej urody.

Profesor Hoff, jak zwykle profesorowie mają w zwyczaju, wykorzystał opowieść Clary jako punkt wyjścia do rozważań na temat kultury. Tych dwoje Amerykanów, jeśli nawet nie popełnili morderstwa, znajduje się w kręgu podejrzanych z powodu postawy francuskich władz wobec Ameryki. Przypuszczalnie i tak są winni, pewnie jakiś handel narkotykami, w tej sprawie Francuzi muszą wyzbyć się swojej naiwności. Ale nie powinni być tacy zadowoleni, gdy chodzi o wartości ich kultury, czego dowiodło ich zachowanie podczas drugiej wojny światowej oraz niedawne wypadki w Kosowie. Im prędzej skonfrontują się ze swoimi wadami - choć właściwie jest już za późno - tym szybciej zdołają osiągnąć dobroczynny społeczny konsens, za którego pomocą będą mogli pokonać Front Narodowy, polityczne zagrożenie ze strony prawicy, zdobywającej coraz większe poparcie dla nazistowskich haseł i nienawiści wobec Algierczyków... Anne-Sophie przestała słuchać.

ROZDZIAŁ 7

Dernier train

Wracając ostatnim pociągiem do Etang-la-Reine, Clara czuła się całkiem zadowolona z siebie. Przede wszystkim pomogła Delii, rodaczce z Oregonu, a przecież życie tak rzadko stwarza okazję, by człowiek mógł sobie pogratulować. Lubiła sytuacje, w których okazywało się, że może komuś pomóc, a czyniła to z tym większą przyjemnością, im bardziej rzecz była kłopotliwa. Czasami ogarniało ją poczucie, że powinna jakoś zasłużyć na swoje szczęście, ale brakowało jej sposobności. Po przeprowadzce do Etang-la-Reine próbowała czynić skromne dobre uczynki w okolicy, rozdając stare ubrania albo książki, ale te wysiłki przyniosły jej tylko rozczarowanie. W końcu zorientowała się, że w odróżnieniu od Lake Oswego w okolicach Etang-la-Reine mieszkali ludzie zamożni, którzy dobrze zarabiali w Paryżu.

W pociągu rozmyślała o Oregonie, przywołując z pamięci obrazy zarośniętych rowów wzdłuż Kendall Road, zarośla nawłoci i jeżyn oraz maleńkie stokrotki i bleuetki - nie, *bleuet* to francuskie słowo. Na obczyźnie człowiek zapomina angielskich nazw ptaków i kwiatów. Rudziki. Chryzantemy. Pomyślała o dzikich zaroślach, żywopłotach kolczastych krzewów i kamelii. Przypomniała sobie, jak jej matka godziła się latem z wysychaniem trawników wokół domu, żeby oszczędzać wodę - ale tak naprawdę chodziło jej o to, żeby trawa nie rosła i żeby nie trzeba było jej ścinać. W ten sposób oszczędzała sobie hałasu kosiarek i wydatku na chłopaka do koszenia trawy.

Przypomniała sobie dom Sadlerów, stojący spory kawałek od drogi płaski bungalow z niebieskimi szczytami i pokojami dobudowanymi po jednej stronie. Ilu właściwie było tych Sadlerów? Frank chodził z nią do jednej klasy, JoAnne była o rok młodsza. Pani Sadler zawsze coś pielęła na skraju trawnika, który cieszył zielenią przez całe lato. Podobnie jak to się dzieje z większością wygnańców, im dłużej Clara przebywała z dala od domu, tym bardziej osobliwe, a nawet cenne stawały się te strzępy wspomnień.

A teraz Cristal, gosposia matki - Cristal wyjaśniła jej, że właściwym słowem, jakiego należy tu używać, jest „opiekunka” - chce, żeby trawnik był zawsze zielony, chce dodatkowych pieniędzy na opłacenie człowieka zajmującego się ogrodem, prawdopodobnie jakiegoś swojego kuzyna czy innego członka jej nieszczęsnej rodziny. Clara oczywiście wysyłała pieniądze, tak jak teraz wysyłała cztery tysiące dolarów na weterynarza; nie musiała nawet pytać Serge'a.

Pomyślała o Lady, biednej psinie, przynajmniej ją można było uratować.

Nie zastanawiała się wiele nad morderstwem, o którym opowiadała Delia Sadler; wydawało się jej nieprawdopodobne, wręcz wymyślone. Bardziej zajmowały ją dzikie kwiaty rosnące przy Kendall Road. Z przyjemnością myślała o Oregonie. Choć za nic nie chciałaby wyjechać z Francji, opuścić męża i domu, lubiła wspominać rodzinne strony. Widok twarzy jednego z Sadlerów to był taki mały powrót do Oregonu. Powinnam tam pojechać, westchnęła, jak zawsze po rozmowie z matką.

Serge często prosił: „Pojeżdż później”, ale to wszystko nie było takie proste. Jej dom był teraz we Francji, a Oregon tak naprawdę zawsze wydawał jej się nudny i zapyłony, nie miała tam nic do roboty, mogła tylko pójść do stajni i popatrzeć na starą uprzęż. Nie miała już żadnych przyjaciół w Lake Oswego. Mogła pójść na spacer z Larsem i podrapać sobie kostki w zaroślach, a potem oglądać razem z matką program Oprah; nigdy nie udało jej się wytrzymać dłużej niż tydzień takiego życia.

Czasami myślała sobie: on chce, żebym pojechała. Lubi mieć cały dom tylko dla siebie, choć jest taki ogromny, że prawie się

w nim nie spotykamy. Wydaje mu się, że patrzę na niego, jak gdybym pytała, nad czym teraz pracuje, choć wcale o to nie pytam, a on i tak zawsze nad czymś pracuje. Gdyby tylko coś z tego wynikło. Może gdybym nie stała mu na drodze...

Ale kiedy proponowała wspólny wyjazd, zawsze mówił: „Nie, nie jedź”, czyli właśnie to, co pragnęła usłyszeć.

Wzięła taksówkę z dworca. W świetle zimowego księżycy jej dom przypominał bryłę jakiegoś mrocznego zamku, nie paliły się żadne światła na dziedzińcu. Czasem, kiedy była poza domem (Francuzi nazywają go *chateau*, ale ona jakoś nie mogła się do tego zmusić), przypominała sobie, jak wyglądał w chwili, gdy zobaczyli go po raz pierwszy, pusty i zrujnowany. Watr tłukł okiennicami, wszędzie było pełno gniazd szcurów i odchodów gołębi na schodach. Na tynku wewnętrznych ścian można było dostrzec narysowane czerwoną kredą, sporządzone przez osiemnastowiecznych rzemieślników, drobne rysunki kwiatów i girland, które snycerze mieli potem wyrzeźbić w boazeriach.

To właśnie te rysunekzki sprawiły, że zakochała się w tym domu. Uwielbiała tę pamiątkę po uporządkowanym, spokojnym świecie dawnych budowniczych. Chociaż dom należał kiedyś do Madame du Barry, której ścięto głowę na gilotynie podczas rewolucji, jej duch dawno został wyegzorcyzmowany jeśli rzeczywiście kiedykolwiek chodził po tych korytarzach. Clara nigdy nie zdołała natrafić na żaden jej ślad w ceglach i odpadającym tynku. A potem w domu zaroilo się od cieśli z wytwórni filmowej, malarzy i dekoratorów - pojawił się nawet scenograf - zupełnie jak na planie filmowym, w każdym razie dla pracowników z Hollywood. Najwyraźniej ogromna skala była dla nich czymś zupełnie normalnym, ale jej, zwłaszcza początkowo, wydawała się przytłaczająca.

Kiedy taksówka podjechała pod dom, zobaczyła na dziedzińcu pomarańczowego mercedesa. Przypomniała sobie, że właśnie dziś mieli odwiedzić Serge'a ludzie z wytwórni filmowej w Los Angeles. Wchodząc do środka, słyszała dobiegające z kuchni głosy Serge'a i innych. Miała wrażenie, że goście z Hollywood pojawiają się coraz częściej, im dłużej jej mąż zwlekał z kolejnym filmem, a jego twór-

cze milczenie stawało się dla nich coraz kosztowniejsze. Na czele tych delegacji stał zwykle jego przyjaciel, Woly Bierman, niski człowiek o posturze dżokeja, który zawsze nosił niebieskie dżinsy, białą koszulę i złoty łańcuch w stylu dyrektorów wytwórni z lat siedemdziesiątych, wyraźnie odróżniając się pod tym względem od swoich młodszych kolegów ubranych, na wzór Japończyków, w ciemne garnitury. Razem z Wolym przyjeżdżało zawsze trzech albo czterech takich osobników.

Woly który wyszedł do holu razem z Serge'em, objął ją serdecznie na przywitanie. Poczula silny zapach amerykańskiej wody kolońskiej.

- Witaj, piękna. - Chociaż była przyzwyczajona do bezpośredniego stylu Woly'ego, tego wieczoru wydawał jej się dość poważny, być może nie bez związku z nie najlepszymi wynikami finansowymi wytwórni. Poszła razem z nimi do kuchni. Serge podejmował swoich gości przy kuchennym stole, pili kawę i mówili o wszystkim, byle nie o filmie - omawiali kalifornijskie plotki i ogólny upadek Ameryki, rozprawiali o samochodach. Jej gosposia, senhora Alvares, wspaniałomyślnie nie położyła się jeszcze spać i przyniosła trochę pierników, które Clara zamawiała w amerykańskim sklepie przy rue de Grenelle. Natychmiast jednak wróciła do siebie, gdy tylko upewniła się, że Clara zauważyła ten niezwykły akt poświęcenia z jej strony o tak późnej porze.

Rozmowa była dość ogólnikowa, powierzchowna, dotyczyła pewnie czegoś, o czym rozmawiali wcześniej - niewykluczone, że chodziło o fabułę jakiegoś filmu. Najchętniej jednak w nieszczerzy sposób wychwalali jej pierniki, jak gdyby była kobietą podatną na komplementy dotyczące prowadzenia domu. Powiedziała im „dobranoc” i poszła na górę.

Przyzwyczała się, że po domu kręcili się ludzie z filmu, i nawet lubiła niektórych z nich. Ale teraz ogarnęły ją niepokój i rozdrażnienie, miała poczucie, że dom najechali obcy. Czy to zaczęło się już wcześniej, po telefonie Delii, czy już z samego rana po rozmowie z Cristal? Nie sądziła, by miało to coś wspólnego z ponurą historią opowiedzianą przez Delię Sadler, raczej z mężczyznami towarzyszącym Wolym i z samym Wolym. I z Serge'em.

Serge lubił te wizyty z Kalifornii i nie odbierał ich jako ponaglenie, chociaż wiedział, że ich przesłanie było właśnie takie. Kiedy możemy spodziewać się twojego następnego filmu? Wszystko podane w przebraniu plotki.

- Pamiętasz, kiedy Ray Stark nosił te swoje jasnozielone kombinezony?

- To zupełnie jak złapać Boba Towne'a przez telefon.

Serge, który spędził w Kalifornii ledwie dwa lata, lubił takie filmowe historie. Przypominały mu Polskę i Chicago, czasy, gdy wysiadywał w kawiarniach, w których na ścianach widniały powiększone portrety Marii Skłodowskiej-Curie i Konrada Korzeniowskiego. Wszyscy zasiedzą się do drugiej, potem Kalifornijczycy wrócą do swojego hotelu w Paryżu, przypuszczalnie do Intercontinentala. Clara słyszała ich głosy i nie mogła zasnąć. Jakiś czas później rozbrzmiał odgłos odjeżdżającego samochodu, potem zorientowała się, że Serge wchodzi na górę i przechodzi obok jej pokoju. Nie spodziewała się, że wejdzie do niej, i miała rację.

Chociaż była jesień, otworzyła wysokie okno w swojej sypialni ponieważ lubiła zimne powietrze. Ktoś był jeszcze na dole i palił na parterze. Rano znajdzie niedopałki w doniczkach bazylii stojących na kuchennych oknach.

Woly, który stojąc samotnie, palił w ciemnościach, zobaczył, że Clara patrzy na niego z góry.

- Zejdź do mnie, dobrze? Możesz na minutkę?

Zawałała się, zeszła na dół w szlafroku i stanęła w drzwiach kuchni. Woly tak naprawdę jej nie widział, ale poprzez nią wpatrywał się w szare zarysy przedmiotów w bladej poświacie księżycy.

- Czy on posuwa się w ogóle do przodu, jak sądzisz? Masz jakieś wyczucie, co to może być? Co on właściwie robi?

- Nie ma scenariusza, jeśli o to pytasz. Jestem pewna, że ci o tym powiedział. Jego pomysły... Cóż, myślę, że siedzi głęboko w jakimś temacie - odrzekła zirytowana i lojalna wobec Serge'a. - Cały czas nad czymś pracuje.

- Ludzie z kierownictwa wytwórni są trochę niezadowoleni. On kosztuje masę pieniędzy.

- Jedź ostrożnie z powrotem. Będziesz uważał? - powiedziała, odrzucając zaproszenie do rozmowy o rzeczach, które i tak znał aż za dobrze.

- Tak, mam kierowcę - odparł.

Po powrocie do pokoju zadzwoniła do matki. Pierwsza w nocy we Francji to dobra pora, żeby ją zastać, w Oregonie była czwarta po południu. Ale usłyszała tylko głos automatycznej sekretarki: „Rezydencja Cynthii Holly, tu mówi Cristal. Nie możemy teraz podejść do telefonu...”. Clara wyobraziła sobie, że są u weterynarza z Lady.

Cristal nie odbierała telefonu, ponieważ kopała w ogrodzie. Kopała grób dla Lady. Która oczywiście nie żyła. Cristal miała nadzieję, że cztery tysiące dolarów są już w drodze. Pomyślała, że przypuszczalnie nie poproszą jej o to, żeby pokazała rachunek od weterynarza. Zajmie się tym, kiedy przyjdzie pora, a może taka pora nigdy nie nadejdzie... Kopiąc w ogrodzie, łkała gorzko, nad Lady, nad własnym życiem i nad życiem w ogóle; stała po kostki w liściach lepiących się jej do butów, wśród mrówek i pajaków, zgniłych orzechów, a łzy spływały jej strumieniami po policzkach.

ROZDZIAŁ 8

Niedzielnny poranek

Anne-Sophie zdawała sobie sprawę, jak nieracjonalne było jej pragnienie, żeby znaleźć się na pchlim targu, zamiast spokojnie zjeść w domu śniadanie z Timem, ale mimo to przygotowywała się do wyjścia do pracy tak samo jak w każdy niedzielny poranek. O dziwo, czuła teraz większy lęk niż wczoraj.

- J a d ę . *Je m'en vais*. Muszę stawić temu czoło. Powinnam jak najszybciej znaleźć się w siodle - powiedziała i z wyrazu twarzy Tima domyśliła się, że jej narzeczony nie ma zielonego pojęcia, o czym ona mówi. Ale po chwili zrozumiał. Nie potrafił sobie wyobrazić Anne-Sophie jako dziewczyny, która mogłaby przeżyć jakiś szok i teraz stara się uwolnić od krwawych obrazów podsuwanych przez wyobraźnię. Do tego stopnia odbiegało to od jego wyobrażeń na jej temat, że niemal zapomniał o jej opowieści o zwłokach monsieur Boudherbe'a, albo spodziewał się, że i ona zapomni. Patrząc na jej naburmuszoną śliczną twarz, Tim nagle zorientował się, że poczuła się rozczarowana brakiem troski z jego strony akurat tego ranka.

Tim spędził noc u niej (ponieważ nie do końca żyli razem - zatrzymał swoje mieszkanie, którego używał jako biura do pracy), ale zawsze rankiem, dopóki nie przeczytał wszystkich gazet, był najmniej komunikatywnym człowiekiem na świecie; poza tym ludzie nie potrafia dzielić z innymi przerażenia ani krwawych wizji, jeśli sami ich nie doświadczyli.

- Wszystko będzie tak samo jak zwykle - powiedział. - Tak to właśnie jest z krwawymi zdarzeniami, że ktoś potem zmywa krew i nie ma po niej ani śladu.

Miała jednak nadzieję, że jakiś ślad pozostał. Wprawdzie kiedy znajdzie się na pchlim targu, zapewne nie będzie mogła odpędzić się od wspomnień ponurej sceny z poprzedniego dnia, ale przynajmniej spotka swoich kolegów, którzy także ją widzieli. Będą mieli wiele spraw do omówienia i nawzajem uzupełnią swoje wspomnienia, ożywione przez opowieści pozostałych świadków. Człowiek nie może w chwili przerażenia *tout voir*, oczy instynktownie odwracają się od lepkiej rany widocznej na szyi ofiary. Może ktoś zapamiętał jego buty, szczegóły sceny w sklepie Boudherbe'a, który umknął jej uwagi.

- Nigdy nie widziałeś czegoś takiego jak martwe ciało monsieur Boudherbe'a - sprzeciwiła się Anne-Sophie.

Tak, zdecydowanie wolała znaleźć się dzisiaj w towarzystwie ludzi, którzy przeżyli to samo co ona, zamiast rozmawiać o zbrodni ze zblazowanym, sceptycznym dziennikarzem. Zastanawiała się nad losem dwójki Amerykanów, ciekawa, czy znaleźli się w areszcie. Wolała teraz towarzystwo osób, których dusze posiadały wczoraj tę samą wiedzę o ludzkiej śmiertelności co ona, od wszelkich słów nieszczerego i lekkomyślnego współczucia, jakich mogła się spodziewać po ludziach, którzy tego nie widzieli, a zwłaszcza po Timie. Poczuła się urażona, gdy goście Dorothy Minor tak spokojnie przyjęli jej opowieść, i żaden z nich nawet nie zasugerował, żeby pojechała na tydzień do Evian lub do Quiberon, jakby nie potrafili sobie wyobrazić koszmarów, które być może będą nękały ją do końca życia. Czytała gdzieś, że Amerykanie mają kogoś takiego jak „doradca od spraw żałoby”, który przypuszczalnie i tak niewiele może pomóc, ale jego obecność nadaje pewną godność cierpieniu, przez które człowiek przechodzi. Z zasady była bardzo proamerykańska.

- Pojadę z tobą do Gare du Nord. Chciałbym porozmawiać z tą dwójką amerykańskich świadków - powiedział Tim, wyczuwając, że Anne-Sophie nie ma szczególnej ochoty, by jej towarzyszył.

Poza tym być może Amerykanie opowiedzą mu jakąś historię. - Powiedziała, że to był hotel Le Mistral?

Każdego innego dnia Anne-Sophie zadzwoniłaby do swojej matki, żeby poplotkować na temat przyjęcia u księżnej, ale wciąż była zbyt przerażona i zdenerwowana, aby się do niej odezwać. Spodziewała się też, że reakcja matki mogłaby ją rozczarować. Tymczasem to księżna zadzwoniła do Estelle d'Argel, żeby, jak to miały w zwyczaju, porozmawiać o przyjęciu, ponieważ Estelle, choć sama nie lubiła chodzić na te amerykańskie imprezy, lubiła wiedzieć, co się na nich działo. Podobnie jak wielu innych powieściopisarzy Estelle miała dość pesymistyczną wizję natury ludzkiej, a że i Dorothy żywiła przynębiające przekonanie (przypuszczalnie właściwe wszystkim bogatym ludziom), zgodnie z którym na świecie było więcej naciągaczy, karierowiczów i ludzi słabego charakteru niż w rzeczywistości, obie z wielką przyjemnością omawiały bieżące wydarzenia towarzyskie, komentując je na swój sposób.

Znały się od dawna i były starymi przyjaciółkami, choć Estelle zasadniczo nie utrzymywała kontaktów towarzyskich z Amerykanami. Jak większość powieściopisarzy prowadziła mieszczański, uporządkowany tryb życia i miała skłonność do przerysowanych poglądów na wiele spraw, co w jej wypadku dotyczyło zwłaszcza Anglosasów. Przede wszystkim nie lubiła Anglików, ale i o Amerykanach nie miała wiele dobrego do powiedzenia, czyniąc wyjątek jedynie dla księżnej Dorothy Minor Sternholz i może jeszcze dla kolekcjonera dzieł sztuki Amesa Everetta oraz, do pewnego stopnia, dla Tima Nolingera. Czy niechęć matki dla Amerykanów nie wyjaśniała po części, czemu Anne-Sophie zadała się jednym z nich? Estelle uważała, że Tim jest przystojny i dobrze się prezentuje, choć może trochę za bardzo przypomina Anglika; prywatnie obawiała się, że jego dobrze umięśnione ciało oraz, przypuszczalnie, silnie rozwinięta zmysłowość nie znajdowały należytego uznania w oczach Anne-Sophie. *Dommage*.

Doceniała także jego gotowość do opowiadania zabawnych historii o ludziach i zdarzeniach, z którymi się zetknął jako dziennikarz, a kiedy jego ojciec, człowiek z branży hotelarskiej, przyjeżdżał

z Ameryki do Paryża, Tim zabierał ich wszystkich na kolację do takich miłych restauracji, jak Lasserre. Poza tym cechowała go naturalna życzliwość, skończył dobrą szkołę (Swathmore) i przejawiał pewne zalety właściwe Amerykanom (pogodne usposobienie), choć wcale ich nie przypominał. Po stronie wad musiała mu zapisać brak pieniędzy, a ponadto uważała, że trochę za późno zabierał się do ustatkowania, jak gdyby coś mu w tym wcześniej przeszkodziło - chyba dobiegał czterdziestki - ale może nie miała już tak dobrego rozeznania w kwestiach chronologii sukcesu.

- Zauważyłam, że uroda Clara Holly zrobiła wielkie wrażenie na Timie - powiedziała w pewnym momencie Dorothy, która lubiła Clarę. Czy chodziło jej o to, żeby ostrzec Anne-Sophie? - Oczywiście jest bardzo atrakcyjna.

- Och, przypuszczalnie Tim zacznie uganiać się za innymi kobietami dopiero po ślubie - oświadczyła Estelle, ale przyjęła ostrzeżenie. W jej umyśle zapaliło się małe czerwone światełko wskazujące, że Clara Holly może być źródłem zagrożenia dla Annie-Sophie. W jakim innym celu Dorothy w ogóle wspominałaby o czymś takim? Jako intelektualistka i powieściopisarka Estelle była naturalnie osobą niezwykle pesymistyczną, wręcz złośliwą - a cechy te pogłębiały się z wiekiem - tak że nawet jeśli starzy przyjaciele wciąż wierzyli w jej dobre serce, to nowi znajomi byli zdumieni, a czasem wręcz przerażeni niektórymi wypowiedziami pisarki. Jej powieści cechowała oczywiście charakterystyczna dla niej mieszanina wybujałej zmysłowości i surowych osądów moralnych na temat natury ludzkiej, którym zawdzięczała swoją reputację. Ale jej córka Anne-Sophie zawsze wprawiała ją w zdumienie.

- Anne-Sophie jest taka buntownicza - mówiła często Estelle w rozmowach z księżną. - Jeśli akceptuję jej pogodne usposobienie, muszę spodziewać się buntu. Buntowniczność i radosne usposobienie idą w parze. - Innym ludziom Anne-Sophie wydawała się uosobieniem potulności, posuniętej wręcz za daleko. Niemniej spodziewano się, że pewnego dnia naprawdę się zbuntuje i być może jej matka miewała podobne przeczucia. Na razie jednak Anne-Sophie gładko pokonywała kolejne życiowe przeszkody - miała własne

mieszkanie, swój sklepik oraz kota, chodziła na randki i w jakimś bliżej nieokreślonym momencie straciła dziewictwo; wszystko bez ostentacji i wyznań, jakie miałyby powierzać swojej matce, której w końcu przedstawiła Tima i obwieściła, że są zaręczeni. A teraz Anne-Sophie grzecznie wychodziła za mąż za niezwykle przystojnego faceta.

Handlowe zainteresowania Anne-Sophie stanowiły dla Estelle zagadkę, która nie budziła jej szczególnego zachwytu - w końcu jej córka była dzieckiem intelektualistów - jako coś jednocześnie zbyt praktycznego i zbyt skromnego. Ze swoją urodą Anne-Sophie mogła liczyć na porywające podboje i przygody seksualne! Nie znaczy to, że Estelle jakoś ją do nich zachęcała, ale chętnie pogodziłaby się z bardziej urozmaiconym, barwniejszym życiem córki, ba, wolałaby, żeby takie było. Tak więc Estelle patrzyła na swoją córkę raczej z pesymizmem. Jak to się stało, że miała dziecko, które pasjonowało się jeździectwem i prowadziło własny sklep, do tego na targu staroci? Czemu Anne-Sophie nie wyszła za mąż koło trzydziestki i czemu teraz zamierza poślubić dziennikarza bez grosza przy duszy? Było oczywiste, że Estelle snuła rodzicielskie marzenia o zamążpójściu Anne-Sophie, o wnukach i tak dalej, i rzeczywiście pozwoliła sobie na ostrożną radość - wbrew swej naturze - gdy Anne-Sophie się zaręczyła. Wolałaby jednak, gdyby narzeczony córki miał większy majątek, był Francuzem z krwi i kości i ukończył jakąś *grande école*.

- *J'imagine*, że w twoim wieku będziesz musiała brać lekarstwa na płodność, trojaczkii... *alors, quelle horreur* - powiedziała Estelle, gdy Anne-Sophie oświadczyła jej, że zamierza wyjść za mąż.

- Ludzie po trzydziestce mają dzieci bez problemu, *maman* - odparła Anne-Sophie. - Trojaczki zdarzają się bardzo rzadko.

- Tak czy inaczej, mam nadzieję, że poczekaś z tym do ślubu...

Następnie Dorothy i Estelle przeszły do sprawy przykrego zdarzenia, jakie Anne-Sophie przeżyła poprzedniego dnia na targu staroci. Dorothy była zaskoczona, że Anne-Sophie nic o tym matce nie powiedziała. Estelle to raczej nie zdziwiło, ale zaniepokoiła się stanem psychiki córki.

- Podobno wspomnienia takich wydarzeń z czasem stają się jeszcze gorsze. Ona ciągle jest w szoku - mówiła. - Traumatyczne następstwa podobnych przeżyć powracają potem latami.

- Syndrom stresu pourazowego - stwierdziła Dorothy, która była na bieżąco w sprawach amerykańskiej medycyny.

Gdy Anne-Sophie znalazła się przy swoim stoisku na pchlim targu, uświadomiła sobie, że w ogóle nie pamięta, by opuszczała wczoraj metalową roletę. Ogarnął ją lęk na myśl, że musi ją podnieść, jakby podświadomie spodziewała się, że zastanie na podłodze kolejne zwłoki albo ujrzy jakiś inny makabryczny widok, potwierdzający, że to nie koniec serii przerażających wydarzeń na *marche aux puces*. Kiedy zaczynała podnosić roletę, z sąsiedniej *allee* nadeszli jacyś ludzie, kupcy albo turyści, i czekali, aż skończy, by mogli wejść do środka. Widocznie chcieli po prostu coś kupić, nieświadomi dramatu, który rozegrał się tu poprzedniego ranka i który nadal sprawiał, że Anne-Sophie czuła się w tym miejscu nieswojo. Sądząc po ubraniach, to byli Anglicy.

- Dostaliśmy pani nazwisko - odezwała się kobieta. - Jeden z naszych przyjaciół kupił tutaj ryciny Stubbsa.

- O tak, je *me souviens* - potwierdziła Anne-Sophie. - W doskonałym stanie, świetnie się sprzedały. Jedną chwileczkę, proszę tędy.

Podniosła roletę do końca i zablokowała podpórkę. Rozpoczął się zwykły dzień. Po drugiej stronie uliczki pokrytej trocinami policjanci przechodzili tam i z powrotem przez szeroko otwarte drzwi do dużego magazynu monsieur Boudherbe'a. Anne-Sophie obserwowała cały ten ruch zza swojego biurka stojącego na tyłach sklepu, ale coś powstrzymało ją przed tym, żeby zbliżyć się do tamtego sklepu i zajrzeć do środka. Oczywiście wiedziała, że ciała monsieur Boudherbe'a już nie było, zabrano je jeszcze wczoraj; najwyżej na podłodze mogła zostać plama krwi. Jej kolega Alain Grau wsunął głowę do jej stoiska i potwierdził te przypuszczenia. Obiecali sobie porozmawiać o wszystkim później, podczas lunchu, kiedy wyciągną stół madame Colombe, ustawią go dokładnie pośrodku między swoimi sklepikami i rozsiądą się przy nim, żeby

zjeść *saucisson* i *salade*, jak w każdy weekend. W tym czasie na straży jej stoiska staną dwa drewniane konie i dwie statuetki dżoków trzymających małą tabliczkę z napisem DEJEUNER.

Stoisko Anne-Sophie i kilku innych sprzedawców z alei Onze przylegało od tyłu do długiego piętrowego budynku z cementowych bloków, którego parter zajmował sklep pana Boudherbe'a, a na piętrze, będącym czymś w rodzaju poddasza, znajdował się magazyn używany przez handlarzy z sąsiednich sklepików. Każdy z nich wykorzystywał określoną przestrzeń i choć nie postawiono żadnych ścianek działowych, antykwariusze surowo przestrzegali honorowych zasad, które chroniły ich przed pomyleniem własnej zakurzonej szafy sterty krzeseł albo ramy obrazu, czekających na restaurację, z towarami sąsiada. Całe to spiętrzenie staroci sprawiało wrażenie jakiegoś zgromadzenia duchów przedmiotów, jakby dusz oczekujących na narodziny „Chyba mam coś takiego na górze”, mawiała Anne-Sophie do klienta i jeśli przedmiot był ciężki, mogła liczyć, że jeden z kolegów pomoże jej ściągnąć go na dół wąskimi schodami. Tego popołudnia sama pomagała panu Grau przy znoszeniu na dół marmurowej kolumny.

Kiedy weszli na górę, ogarnęło ją poczucie, że strych wygląda jakoś inaczej, że ktoś tutaj coś ruszał. Nie umiałaby powiedzieć, czy nieład wydał się jej większy niż zazwyczaj, czy tylko odniosła wrażenie czyjejs obecności, ale przeszył ją sygnalizujący niebezpieczeństwo lęk. Ktoś tam coś robił i bez trudu mogła sobie wyobrazić, że tą osobą był na przykład morderca. Monsieur Grau miał widać podobne odczucie, rozejrzał się bowiem wokół ze szczególną uwagą, ale niczego nie dostrzegł. Nikogo nie było. Wczoraj handlarze korzystający ze strychu zaglądali tam przez cały dzień, przesuwali swoje rzeczy, jedne towary znosili na dół, a inne wnosili na przechowanie - nic dziwnego, że magazyn mógł teraz wyglądać inaczej. Grau wzruszył ramionami. Anne-Sophie nie mogła oprzeć się pokusie, żeby otworzyć drzwi szafy i ukradkiem zajrzeć do środka, ale oczywiście i tam nikogo nie było. W końcu każde z nich chwyciło kolumnę po przeciwnych końcach i powoli znieśli ją na dół.

Jak na niedzielę handel toczył się dość ospale, choć nic w tym dziwnego, bo pogoda robiła się coraz chłodniejsza i sezon najbardziej intensywnego napływu turystów mieli już za sobą. Kiedy w sklepiku nic się nie działo, Anne-Sophie miała sporo czasu na lekturę - zwykły los sprzedawcy spędzającego wiele godzin w sklepie, do którego rzadko ktoś zagląda. Anne-Sophie uwielbiała aktywną stronę swojego zawodu, czyli wynajdowanie rzeczy nadających się do sprzedaży, interesy z innymi antykwariuszami, odwiedziny na wiejskich targowiskach, coroczną wyprawę do Prowansji. Lubiła także jego aspekty towarzyskie - swoich kolegów, wspólne lunche, kontakt z tą nieco *declassé* stroną życia, z którą nie miałaby do czynienia na co dzień, gdyby pracowała na przykład jako *attache de presse*. Ale nie lubiła wyczekiwania na klientów i nie znosiła siedzenia beczynnym - więc czytała.

Czytała namiętnie i zachłannie, co wydawało się nieco sprzeczne z upodobaniami dziewczyny, która kochała konie. Swobodnie czytała po angielsku. W tej chwili pograżyła się właśnie w lekturze książki Henry'ego Jamesa, pisarza, który spędził wiele czasu we Francji. Była to powieść o francuskiej dziewczynie, której matka ma romans z młodszym mężczyzną, Amerykaninem. Dziewczynie grozi małżeństwo z człowiekiem, którego nie kocha, zasadniczo zaaranżowane po to, by jej kłopotliwa matka mogła swobodnie kontynuować swój niestosowny związek z młodszym kochankiem i spędzać z nim długie weekendy w wiejskich gospodach i innych podobnych miejscach. Na szczęście pojawia się pewien starszy Amerykanin i przerywa romans matki, powołując się na fakt, że jej kochanek musi wrócić do domu i podjąć swoje obowiązki w rodzinnej fabryce. Ale dla dziewczyny jest już za późno. Anne-Sophie podejrzewała, że dziewczyna zadurzyła się w kochanku matki.

Po lunchu Anne-Sophie przyłapała się na tym, że przez całe popołudnie podświadomie obserwowała przejście prowadzące do schodów na strych, żeby zobaczyć, kto wchodzi i wychodzi. Nie zauważyła niczego niezwykłego, nikogo, kto nie miałby prawa tam wejść. O czwartej sama poszła na górę, żeby jeszcze raz się rozejrzeć.

Tym razem zauważyła coś, co wcześniej umknęło jej uwagi: *porte-cle/s*, breloczek z dwoma kluczami od samochodu i niewielką latar-

ką, na której dostrzegła nazwę jakiejś amerykańskiej firmy, Nolinger-Webb Rent-a-car, Portland, Oregon. Klucze zostawiła przypuszczalnie osoba, która ukrywała się na strychu. To potwierdziło jej wrażenie, że ktoś jednak tam przebywał wcześniej i że był to Amerykanin.

Przyjemnie zaskoczyło ją nazwisko Nolinger występujące w jakimś innym, niezwiązanym z nią kontekście. Dotąd sądziła, że Tim był jedynym Nolingerem na ziemi, a ona jako jedyna musiała znosić przekleństwo tego trudnego do wypowiedzenia słowa - Tim wymawiał je w postaci zbitki gardłowych głosek, czy jak tam je nazwać, w każdym razie anglosaskich dźwięków, których sama nie była w stanie powtórzyć - co stanowiło pewną niedogodność w sytuacji, gdy wkrótce to miało być jej nazwisko. Podobnie jak jej matka wymawiała je „Nolęże”, co prywatnie uważały za wersję o wiele ładniejszą. Zastanawiała się, czy nie przybrać jakiejś łagodniejszej kombinacji: Nolinger-d'Argel albo d'Argel-Nolinger, która byłaby łatwiejsza do wymówienia. Jednakże jej ukochany, skądinąd człowiek tak niezwykle pod innymi względami, nie ponosił przecież winy za coś tak przypadkowego, jak brzmienie jego nazwiska; a ona sama nie zdawała sobie sprawy ze znaczenia homonimów, jakie przywodziła na myśl preferowana przez nią i jej matkę wymowa jego imienia - albowiem w jego uszach w ich wydaniu brzmiało raczej jak „Tiim”.

Anne-Sophie uważała, że Tim jest idealny, wręcz doskonały, jeśli pominąć jego marne dochody i otaczającą go czasem aurę jakiejś tajemniczości; sprawiał wtedy wrażenie, jakby był nieobecny. Ale cechę tę dzielił prawdopodobnie ze wszystkimi mężczyznami, jeśli nie Uczyć - jak wyczytała z książek Estelle d'Argel - mężczyzn zazdrosnych, lecz i oni między atakami irracjonalnej namiętności byli przypuszczalnie równie roztargnieni i zajęci swoimi sprawami jak Tim. Ogólnie rzecz biorąc, sądziła, że Anglosasi są mniej podatni na ataki zazdrości niż Francuzi, choć potrafią być nieznośnie ekscentryczni. Naturalnie wolałaby, żeby Tim bardziej interesował się końmi, jednak w odróżnieniu od swojej matki nie była rozczarowana tym, że Tim nie jest Francuzem. Uważała za wielką przygodę mieć męża, który nie jest Francuzem, zwłaszcza w świetle oczywistych i powszechnie znanych wad francuskich mężów. W dodatku Tim

świetnie grał w tenisa, a jego artykuły wydawały się bardzo inteligentne. Oczywiście nie była najlepszym sędzią w tej sprawie, ponieważ zostały napisane w obcym języku, a ona mogła przeoczyć jakieś subtelności, jednak słyszała od innych, że były inteligentne. Z czasem Tim napisze jakąś ważną książkę. A zresztą czy miłość powinna poddawać się racjonalnej analizie?

Zabrała breloczek z kluczami i latarkę, po czym zeszła z poddasza, postanawiając uważnie obserwować przebieg dalszych wypadków.

Usłyszawszy o przejściach córki, Estelle d'Argel pospieszyła metrem ze stacji Porte de Clignancourt do jej sklepika, by upewnić się, że Anne-Sophie jest cała i spokojna, i zaoferować macierzyńskie pocieszenie. Powieściopisarstwo nauczyło ją cenić życiowe doświadczenia, ale jak każda matka wołała, żeby jej dzieci nie musiały przez nie przechodzić. Anne-Sophie, podobnie jak wszystkie córki, ucieszyła się na widok matki, a jednocześnie poczuła się zakłopotana, że ta odwiedziła ją w pracy. W obecności własnej matki Anne-Sophie czuła się zwykle nijaka i niezdarne. Estelle była nieduża, zawsze znakomicie ubrana, jej zdjęcia zdobiły pisane o niej artykuły, występowała w telewizji i nie miała pojęcia o dziwnym zajęciu, któremu Anne-Sophie postanowiła poświęcić życie. Poza tym żywiła szczerą awersję do koni. Pocałowała Anne-Sophie i uważnie jej się przyjrzała.

- Zadzwonił do mnie Ames. To zapach krwi, prawda? - powiedziała Estelle. - Nawet dzisiaj czuć zapach krwi. Coś jak *boudin noir*. Czy to się stało właśnie tam, po drugiej stronie? - W drzwiach magazynu pana Boudherbe'a policjanci ustawili rozkładaną drabinię, do której przykleili żółtą taśmę. - I jak ty to znosisz?

- Myślę, że wyczułaś raczej zapach *rillettes* Yvonne - odparła Anne-Sophie, widząc, że jej sąsiadka zaczyna przygotowania do lunchu.

- Tiim nie przyjechał razem z tobą?

- Nie chciałam go tutaj, mamo. Muszę sama się z tą sprawą uporać.

- A jednak czy nie powinien był przy tym obstawać? Po tym wszystkim, co tu przeszłaś!

- Po prostu chcę, żeby wszystko wróciło do normy.
- Chętnie zabrałabym cię na lunch, ale mam spotkanie, którego nie mogę odwołać - oznajmiła Estelle. - Przyjechałam tylko po to, żeby sprawdzić, jak się czujesz.
- Naprawdę, *maman*, nic mi nie jest.

Jednak w rzeczywistości było inaczej. Przed oczami ciągle miała dziwną czarną plamę krwi i przypominała sobie ten okrzyk, który wtedy usłyszała - przedśmiertny okrzyk monsieur Boudherbe'a właśnie w tej chwili wyłonił się z jej pamięci!

- Popatrz, mamo, znalazłam taką małą latarkę i jest na niej to samo nazwisko, które nosi Tim! Możesz ją dla mnie przechować? - poprosiła, ponieważ przyszło jej do głowy, że będzie lepiej, jeśli Estelle zabierze ją ze sobą. Może przestraszyła się, że to jakiś trop, który bezzasadnie łączył Tima z miejscem zbrodni; a może chodziło o coś innego.

O wpół do szóstej wieczorem wszyscy zaczęli już zbierać się do domu. Rozległy się odgłosy spuszczenia rolet, sprzedawcy chowali krzesła i stoły, wciągając je do swoich sklepików, w alejkach pojawiły się wózki i furgonetki po odbiór przesyłek, dobijano ostatnich targów, a ona sama schowała posążki koni do witryny na wystawie i wniosła do środka mały stolik, na którym stały zawsze dla przyciągnięcia wzroku przechodniów zainteresowanych jeździectwem (często Anglików). I właśnie w tym momencie, była absolutnie pewna, zobaczyła tego samego Amerykanina, który znalazł ciało pana Boudherbe'a, jak przemyka alejką i szybko, ukradkowo wślizguje się przez drzwi prowadzące na schody do magazynu na strychu.

Ucieszyła się na myśl, że zagadka staje się jeszcze bardziej tajemnicza; kolejna komplikacja, dodana do wydarzeń wczorajszego dnia, wyraźnie gwarantowała dalszy ciąg intrygującego dramatu. Dlaczego Amerykanin poszedł schować się na strychu? Kim on jest? Co ma wspólnego z zabójstwem biednego monsieur Boudherbe'a? Niezwykle przystojny Amerykanin, mniej więcej w jej wieku. Ich spojrzenia zetknęły się wtedy na moment. Miał wielkie brązowe oczy, jak koń, długie włosy, szczękę pokrytą lekkim zarostem i muskularne ramiona.

Nie sądziła, by miał cokolwiek wspólnego z zabójstwem, ale niewątpliwie był wczoraj na miejscu zbrodni i dziś zjawił się ponownie, a do tego jako jedyna widziała, jak potajemnie zakradł się na górę.

W pierwszym odruchu chciała kogoś zawołać, Pecucheta albo jednego z wielu policjantów, którzy wciąż mogli kręcić się wokół magazynu monsieur Boudherbe'a, chyba że skończyli dziś swoją robotę. Ale po namyśle postanowiła chwilę zaczekać - nie musiała jeszcze wracać do domu - żeby zobaczyć, czy nieznajomy zejdzie na dół, jeśli to rzeczywiście był on. Chwilę wahała się, czy sama nie powinna tam pójść. Chociaż wiedziała, że nie powinna tego robić, poczuła jakąś nieodpartą pokusę, jak gdyby to ona, Anne-Sophie, stała się ośrodkiem wirujących wokół niej wydarzeń. Czasami ogarniało ją poczucie, że w jej życiu działo się w istocie niewiele, w każdym razie odkąd w wieku dziewiętnastu lat przestała uczestniczyć w zawodach w ujeżdżaniu i podjęła studia na uniwersytecie. Większość ludzi uważała zaręczyny za jakiś ważny moment w życiu, ale ona nie bardzo mogła się z tym zgodzić; nie był to cel sam w sobie, lecz nieuchronne następstwo całego ciągu z góry ustanowionych wydarzeń. Natomiast myśl, że mogłaby schwytać mordercę, a przynajmniej uciekiniera, miała w sobie coś ekscytująco niebezpiecznego. Czuła, że powinna coś zrobić.

W końcu nie zrobiła nic. Monsieur Martin, miejscowy *gardien*, przeszedł alejką, zamykając korytarz wiodący na schody, jak zawsze po zakończeniu dnia pracy, więc Amerykanin był teraz zamknięty na górze i nie mógł wyjść, o ile się nie pomyliła, i nie mógł się wy dostać, chyba że wyskoczyłby przez okno. Anne-Sophie opuściła swoją żelazną roletę i poszła z Nathalie Serre na miejsce, gdzie zaparkowała swoje mini. Odwróciła się raz na wypadek, gdyby udało jej się natrafić na spojrzenie nieznajomego w oknie poddąsza, ale w oknie nie było nikogo.

Kochając się tego wieczoru z Timem, na moment ponad jego ramieniem zobaczyła to puste okno i miała nadzieję, że ujrzy w nim mroczną twarz.

ROZDZIAŁ 9

Hotel Le Mistral

Jadąc na *puces*, Anne-Sophie wysadziła Tima przy Gare du Nord. Stamtąd poszedł piechotą do hotelu Le Mistral porozmawiać z młodymi Amerykanami, o których losie usłyszał od Clary Holly. Zastanawiał się, czy nie uda mu się z tego zrobić jakiejś historii dla CNN (Wymarzona wycieczka zamienia się w koszmar) albo dla „Reliance” (Amerykańska obywatelka, pozbawiona paszportu, zatrzymana bez postawienia zarzutów, na podstawie niepewnych poszlak). Miał nadzieję, że młoda kobieta okaże się ładna i fotogeniczna. A ponieważ nie miał pojęcia, jak się ona nazywa, musiał zdać się na dobrą wolę recepcjonistki, która początkowo, jakże typowe, nie chciała mu pomóc i oświadczyła, że w hotelu zameldowały się dziesiątki Amerykanów, więc skąd miałyby wiedzieć, jak się nazywa osoba, której szuka? Kłopoty, policja, przyjechała zaledwie przed dwoma dniami - naciskał. Wreszcie rzuciwszy mu opryskliwy uśmiezek, oświadczyła, że na pewno chodzi o pokój 204. Pozostawało jeszcze przekonać mieszkankę pokoju numer 204, żeby zeszła na dół i zechciała z nim porozmawiać. W końcu czemu miałyby się fatygować? Jednak zeszła, najwyraźniej nie mając pojęcia o przysługującym jej w tej sytuacji prawie do prywatności, a może po prostu zaufała amerykańskiemu brzmieniu jego głosu.

- Słyszałem o pani sytuacji od Clary Holly. - Uśmiechnął się tak serdecznie, jak tylko potrafił. - Pomyślałem, że to interesujące, interesujący temat dla mojej gazety, a poza tym może mógłbym jakoś pani pomóc?

- Pewnie mógłby pan, ale prawdę mówiąc, nawet nie wiem, co się dzieje - powiedziała.

Nieduża, dwudziestokilkuletnia dziewczyna, z wyrazem niepokoju na twarzy, włosami barwy klonowego syropu i bladą, prawie przejrzystą skórą, wydawała się delikatna i krucha, jakby była niedożywiona, w każdym razie nie tak sobie wyobrażał przeciętną, tryskającą zdrowiem mieszkankę Oregonu. Miała na sobie dżinsy i T-shirt oraz niemodne druczane okulary. Mocno utykała na jedną nogę; jej drobna miednica leżała ukośnie, niczym spadzisty dach, przypuszczalnie z powodu zdeformowanego stawu biodrowego. Było coś szokującego w tym widoku i Tim uświadomił sobie, że rzadko widuje się Amerykanów, którzy utykają albo są w inny sposób kalecy, przypuszczalnie ortopedzi zajmują się nimi jeszcze w kołysce.

Odpowiadając na jego pytania, wyjaśniła, że właściwie aż do tej chwili, ku swemu zaskoczeniu, wcale nie wpadła w panikę ani w rozpacz z powodu swoich przeżyć i dopiero teraz poczuła ogarniające ją przerażenie. Wcześniej nie martwiła się o swoje bezpieczeństwo. Co mogło się przydarzyć kobiecie z klasy średniej, do tego Amerykance, nawet jeśli znalazła się we Francji? Starła się zachować poczucie wiary w swój ludzki status, jako biała kobieta, która nie popełniła żadnego morderstwa, ma legalny paszport (choć go jej skradziono), może liczyć na pomoc i finansowe wsparcie szanowanej mieszkanki Francji, która mówi po francusku; w dodatku na razie ma dach nad głową, ponieważ francuska policja, w myśl własnego nakazu, zadbała o to, żeby jej nie wyrzucano z hotelu.

A jednak kiedy naprawdę zastanowiła się nad swoją sytuacją, poczuła w gardle skurcz lęku i oburzenia. Słyszało się o amerykańskich turystach wtrąconych do tureckiego więzienia, którym podrzucano narkotyki i których oskarżono o przemyt, o turystach skazanych na śmierć w Singapurze i w innych miejscach - choć nie we Francji. Przypominała sobie wszystkie straszne sceny, jakie w życiu widziała, choć tylko w telewizji - stosy trupów w Rwandzie, gnijące groby w Bośni, czaszki wykopywane na polach, zbryzgane krwią chaty w Meksyku, Algierii, Indonezji, Kurdystanie, Turcji, Iraku, w tych

wszystkich miejscach, w których terroryści, albo siły policyjne, przepuszcili szturm, masakrując mieszkańców z broni automatycznej.

- Clara Holly powiedziała, że zapłaci za pokój - oznajmiła Delia.

Tim spytał:

- Jaka jest Clara Holly w bezpośrednim kontakcie, czy jest sympatyczna?

- W porządku - powiedziała Delia. - Lepsza, niż się spodziewałam.

Zorientował się, że dziewczyna wcale nie przepada za Clarą Holly. Dlaczego?

- Może to z powodu jej futra... - rzekła z wahaniem Delia, jak gdyby wyczuwając jego niewypowiedziane pytanie. - No tak, zaskoczyło mnie, że kobieta urodzona w Oregonie, osoba w jej wieku, może nosić skóry martwych zwierząt z gatunków zagrożonych wyginięciem. Ale oczywiście wiem, że w Europie mają do tego inny stosunek, a poza tym logicznie i z moralnego punktu widzenia nie ma większej różnicy między butami i futrami. - Westchnęła.

Tim cierpliwie wysłuchał jej opowieści, nie wspominając, że łączy go z tą sprawą osoba Anne-Sophie, jednak dziewczyna nie dodała wiele do tego, co już wiedział. W nerwowym pośpiechu wyrzuciła za to z siebie kolejne skargi: Jak ludzie mogą w ogóle spać w Paryżu? Klaksony, syreny, które wyją w taki sposób, że czuje się ich wibracje w całym ciele, głośne alarmy samochodowe, które uruchamiają się jeden po drugim niczym wiadomości przekazywane z dżungli. Straszliwy łoskot tłuczonego szkła, jak gdyby ktoś rozgniatał tony butelek, samochody, roześmiane głosy pod oknami hotelu, z rykiem ruszające motocykle.

- Zdaje się że muszę tutaj tkwić, dopóki nie dostanę nowego paszportu, ale nikt mi nie chce nic powiedzieć - skarżyła się.

- A co z pani towarzyszem?

- Nie wiem, gdzie on jest - odparła po chwili namysłu. - Zniknął. Nie martwię się o siebie... - Porwała ją kolejna fala obaw, przyjmując postać dobrze znanych obrazów ze starych filmów. Może go aresztowano? Może we Francji nie pozwalają człowiekowi zatelefo-

nować? Tortury, Amnesty International, filmy pokazujące mężczyzn w łachmanach, w podkoszulkach, z niedopałkami papierosów w kącikach szyderczo wykrzywionych ust, mężczyzn stawiających opór brutalnym strażnikom. Tim widział jej obawy jak na dłoni: Czy tak zwany przyjaciel celowo jej tutaj nie zostawił na pastwę losu, przerażoną, bez paszportu i pieniędzy ani znajomości języka?

Na pewno nie, nigdy, powiedziała. Gabriel by tego nie zrobił. Tego akurat była pewna po tym, co zdarzyło się między nimi ostatniej nocy.

Nie trzeba było specjalnego doświadczenia, by zorientować się, że dwaj mężczyźni, którzy weszli do hotelu, są z policji: ruchy wolniejsze niż u normalnych przechodniów, spojrzenia niesynchronizowane z ruchami ramion, prześlizgujące się po obecnych pod jakimś dziwnym kątem. Tim nie miał wątpliwości, że to policjanci, choć byli przyzwoicie ubrani, w dobrze skrojone europejskie garnitury. Uznał, że to francuscy detektywi, ale okazało się, iż są Amerykanami. Delia od razu podniosła się z miejsca, gdy tylko zobaczyła, że wypytują o coś w recepcji i odwracają głowy w jej stronę. Tim poszedł za nią, spodziewając się, że potrzebna będzie jej pomoc językowa, ale to okazało się zbędne.

- Miss Sadler, jak rozumiem? Jestem Frank Knowles, a to jest Frank Durkin. FBI. Dwóch Franków. Będziemy z panią szczerzy*.
- Uśmiechnął się zawodowo. - Europejska sekcja specjalna. - Zamachał przed nią odznaką, zupełnie jak w telewizji. Posłusznie zerknęła na plakietkę. - Domyślam się, że nie tak wyobrażała sobie pani swoje wakacje.

- Prawdę mówiąc, to nie były wakacje - zaczęła. - Jestem... Mój brat też ma na imię Frank.

- Era Franków. - Wszyscy roześmieli się, robiąc porozumiewawcze miny. - Zasadniczo opieka nad turystami, którzy wpadli w tarapaty, to nie nasza sprawa, ale pani sytuacja jest szczególna.

- Francuska policja do was zadzwoniła?

- Tak.

- A więc wiecie, że moja sytuacja polega na tym, że mi skradziono paszport! Poszłam prosto do konsulatu i wypełniłam wszystkie papiery, a oni mają ściągnąć moje dane ze Stanów, i polecono mi przyjść w poniedziałek, żeby go odebrać, ale teraz...

- Na razie wstrzymaliśmy sprawę - przerwał jej Durkin. - Na ich prośbę. Nie może pani dostać paszportu w poniedziałek, w każdym razie nie dostanie go pani, dopóki Francuzi nie zdecydują, czy nie jest pani zamieszana w ich dochodzenie. Kooperujemy z Francuzami, respektując ich prośby i vice versa, najczęściej.

- Chcemy, żeby opowiedziała nam pani, co się wydarzyło - rzekł Knowles i oboje usiedli na krzesłach stojących w holu. Delia powtórzyła historię, którą wcześniej słyszał od niej Tim, o targu staroci, jej przyjacielu Gabrieli Billerze, a potem o człowieku z poderżniętym gardłem.

- A zatem gdzie jest pan Biller? - spytał Knowles.

- Nie wiem - powiedziała. - Ale wróci.

- Musimy z nim porozmawiać. Dowiedzieć się, co go łączyło z ofiarą. Kiedy wyszedł?

Delia zawahała się; albo liczyła godziny, albo postanowiła skłamać, a może nie wiedziała. Jak na taką wątłą osobę i niedoświadczoną podróżniczkę robi wrażenie kogoś obdarzonego pewną siłą moralną, pomyślał Tim.

- Nie zwracałam uwagi. Byłam zbyt zajęta... Dzwoniłam do Stanów i usiłowałam uporządkować swoje sprawy. Mam nadzieję, że możecie nam pomóc.

- Ale widziała pani, jak wychodził? - Sceptycyzm.

- Nie jesteśmy „parą”. - Intonacją głosu umieściła to słowo w cudzysłowie. - Po prostu razem podróżujemy.

- Potrzeba nam trochę dodatkowych informacji - rzekł jeden z Franków spokojnym głosem. - Co właściwie pani robi we Francji?

Najwyraźniej nie mieli nic przeciwko temu, żeby Tim przysłuchiwał się rozmowie, podobnie zresztą jak Delia, która posłusznie odpowiadała na ich pytania. Prawdę mówiąc, nawet nie musieli się

szczególnie wysilać, ponieważ czuła się z nimi zupełnie swobodnie, jak gdyby fakt, że byli Amerykanami, stał się dla niej ważniejszy niż to, że pracowali dla FBI. Nie miała nic przeciwko temu, żeby jeszcze raz opowiedzieć swoją historię: przyjechała tu w interesach, chciała kupić płócienne serwetki, poza tym zamierzała chodzić do Luwru. W pewnym momencie przeprosiła ich na chwilę, aby odebrać telefon z Oregonu. Sara, jej partnerka w interesach, powiedziała jej, że wysłała trochę pieniędzy, osiem tysięcy dolarów, za pośrednictwem American Express, wystarczy po prostu pójść do ich przedstawicielstwa w Paryżu. Delia pomyślała, że chyba wyjaśniła przyjaciółce, że nie wolno jej opuszczać hotelu. Tak czy inaczej, trzeba będzie jakoś poradzić sobie w tej sprawie. Z ogromną ulgą usłyszała głos Sary, normalny głos z Ameryki.

Zajmowała się handlem antykami, wyjaśniła dwóm agentom o imieniu Frank, ma stoisko w centrum handlowym w Sweet Home w Oregonie. To swego rodzaju dom towarowy, w którym kilku sprzedawców połączyło swe siły. Razem ze swoją partnerką w interesach Sarą Towne sprzedawała stare tkaniny, zieloną porcelanę, koszyki, potpourri i kwiaty, takie rzeczy, i miały nadzieję, że pewnego dnia będą miały cały własny sklep w jakimś atrakcyjniejszym miejscu - w Lake Oswego, a może nawet w centrum Portland.

- A ta druga osoba?

- Sara?

- Nie, człowiek, z którym pani przyjechała.

- Gabriel Biller, rzadkie książki, ryciny, dokumenty. On także nie jest zbyt zadowolony z położenia naszego stoiska, ponieważ przypadkowi klienci nie szukają u nas rzeczy na jego poziomie. Jednak coraz częściej odnajdują go poważni kolekcjonerzy, a przez internet sam może dotrzeć wszędzie.

- Dużo handluje przez internet, tak? - spytał jeden z Franków. Coś w jego tonie, Tim widział to wyraźnie, sprawiło, że stała się ostrożniejsza i już nie była taka otwarta. Coś ją zaniepokoiło.

- Nie wiem - odparła. - Naprawdę nie znam szczegółów jego działalności handlowej. Poza tym kompletnie nie znam się na internecie.

- Powiedziała pani, że pan Biller dużo handluje przez internet.
- Słyszałam, jak mówił, że internet zrewolucjonizował handel rzadkimi książkami. Wcześniej trzeba było wszędzie rozsyłać katalogi.
- Może przypadkiem ma pani taki katalog?
- Czemu nie zajrzyć na jego stronę internetową? - odrzekła Delia, wiercąc się; coraz mniej podobała jej się ta rozmowa. - Nazywa się Biller. - Przeliterowała jego nazwisko. - Naprawdę nie jestem wtajemniczona w jego sprawy.

- Powiedział, że idzie wymienić pieniądze. Kiedy to było, o której godzinie?

- Nie wiem, ciągle odczuwam skutki różnicy czasu.
- Dziś rano?
- Myślę, że wczoraj wieczorem albo dziś wczesnie rano.
- Tak pani myśli? I jeszcze nie wrócił.
- Nie wiem, może wrócił.
- A nie czekała pani na niego, nie chciała się z nim zobaczyć?
- Złe się czułam i położyłam się do łóżka.
- Więc go pani nie widziała? Nie jedliście razem kolacji?
- Zjedliśmy wczesną kolację i wtedy powiedział, że musi pójść zmienić pieniądze.

- A więc nie wie pani, czy spał tutaj ostatniej nocy?

Nagle nie spodobał jej się ton jego głosu, a może coś ją przestraszyło. Przygryzła dolną wargę, poszukała wzrokiem Tima.

- Byłam po prostu wykończona i poszłam spać koło dziesiątej - powiedziała.

- Jak rozumiem, wie pani, że nasz rząd nie może pani ochraniać w tych okolicznościach. Kiedy jest pani oskarżona o przestępstwo, sprawę przejmuje obcy rząd - powiedział Frank Knowles.

- Ale przecież nie jestem oskarżona o przestępstwo? - spytała Delia, nagle zdumiona. Jak to możliwe?

- Obowiązuje tutejsze prawo. Mam nadzieję, że pani o tym wie. Ale zrobimy, co w naszej mocy.

Tim poczuł nagły przypływ rycerskości.

- Moglibyście jej pomóc dostać paszport - odezwał się do agentów FBI.

W tym momencie jeden z Franków, Knowles, który najwyraźniej odgrywał rolę tego twardego, zmierzył go wzrokiem z pewnym szczególnym skupieniem, jak gdyby starał się zapamiętać jego twarz przed późniejszą identyfikacją.

- A właściwie dla kogo pan pracuje?

Tim wymienił listę czasopism.

- Czemu interesuje się pan panną Sadler, panie Nolinger, o czym miałyby pan tutaj napisać? - spytał nagle agent niemiłym tonem.

- Po prostu jako ktoś, kto mógłby jej pomóc - odparł Tim. - Mamy wspólną znajomą. Pomyślałem, że mógłbym pomóc wyrobić paszport, służyć jako tłumacz, zrobić wszystko, czego będzie potrzebowała. Moja narzeczona była tam wczoraj, na targu staroci.

- Mówi pan: jako tłumacz? - Jak gdyby była to jakaś wywrotowa działalność, coś całkiem niestosownego. - Proszę poprosić recepcjonistkę, żeby wpuściła nas do pokoju Billera. Może pan powiedzieć, że jesteśmy jego przyjaciółmi, musimy zabrać coś z pokoju.

- Wątpię, żeby to zrobiła - odparł Tim. - Będziecie musieli zdobyć nakaz. - Zauważył, że Delia patrzyła na nich ze zdumieniem.

- Niech pan ją poprosi.

Tim podszedł do kontuaru. Recepcjonistka obserwowała ich przez cały czas i przypuszczalnie miała własną opinię na temat znaczenia i tonu ich rozmowy w rogu hotelowego holu. Uśmiechnął się możliwie jak najbardziej przekonująco i powtórzył prośbę.

- To wykluczone - oświadczyła zgodnie z tym, czego się spodziewał.

Był zadowolony z takiego obrotu rzeczy.

- Cholera, te zabójady po prostu nie chcą współpracować - warknął Frank Knowles.

- Kiedy pan Biller znowu się pojawi, proszę do nas zadzwonić, dobrze? - Frank Durkin wręczył Delii złożoną kartkę papieru. - A my tymczasem zobaczymy, co da się zrobić w sprawie pani paszportu. Dostaje tu pani coś do jedzenia?

- To bardziej snack bar - powiedziała Delia - ale tak.

- W porządku, będziemy w kontakcie - rzekł drugi Frank, po czym obaj wyszli, zostawiając Delię w hotelowym holu.

Tim posiedział z nią jeszcze trochę, niepokojąc się o jej kolację i o to, z kim będzie mogła porozmawiać, ale w końcu także wyszedł. Zapisał jej kilka numerów telefonicznych, z grubsza opisując, co będzie robił w ciągu następnych kilku dni, na wypadek gdyby potrzebowała pomocy albo gdyby przyszło jej do głowy coś, co mógłby dla niej zrobić. Musiał przyznać, że na razie nie wyłaniał się z tego żaden artykuł, ale dziewczyna wzbudziła jego zainteresowanie. Podobnie jak obecność FBI.

Delia została w hotelowym holu nieco dłużej, patrzyła, jak zapada zmrok, zapalają się światła, przyglądała się recepcjonistce sprzątającej popielniczkę. Cały czas odruchowo zerkała w stronę drzwi, spodziewając się Gabriela, ale się nie zjawił; minęła kolejna godzina, a jego nie było.

Skąd można wiedzieć, kiedy mężczyzna jest z tobą szczerzy? Kobieta po prostu wie takie rzeczy, pomyślała. Oczywiście należałoby spytać, w jakiej sprawie szczerzy. Nie oczekiwała od niego miłości czy zaangażowania i nie wiedziała, czy dla Gabriela to była miłość. Ale nie było to za wielkie słowo na opisanie jej własnych uczuć, jej namiętności narastającej podczas codziennych spotkań w Antiques Barn w Sweet Home, w Oregonie, porannych powitań albo chwil, gdy kilka razy pomógł jej rozładować pudełko świeżo kupionych zielonych naczyń, które leżały u kogoś na strychu. Namiętność odwzajemniona i spełniona podczas żarliwych godzin ostatniej nocy, wśród jego niezwykle sprawnych pocałunków, w jakimś sensie szczerych.

Pomyślała, że pocałunki, podobnie jak ból zęba, to coś, czego nie sposób przywołać z pamięci. Pamięta się jedynie słowa, które je opisują. Fantastyczne, cudowne? To była noc, która będzie miała następstwa, mówiły jej to jego uściski. Poczwała w piersiach ogień, jak gdyby znowu jej dotykał. Bywała już zakochana, choć może nie za często, ale tym razem było inaczej - to było święte.

Dlatego wiedziała, że coś poszło nie tak, coś się zdarzyło, przecież Gabriel nie zniknąłby tak po prostu, bez żadnych wyjaśnień, pozostawiając ją samotnie w tym francuskim hotelu.

Jej pokój wydal jej się zbyt okropny żeby mogła tam wrócić. Uświadomiła sobie, jak nieswojo się w nim czuła, jak bała się, że ktoś mógłby bez trudu sforsować tekturowe drzwi, wejść do pokoju i coś jej zrobić. Do tego te puste korytarze, na których nikt by niczego nie usłyszał. Nie bardzo wiedziała, co takiego mieliby jej zrobić, i tak naprawdę wcale nie wierzyła, że ktoś spróbowałby ją skrzywdzić. Poza tym jak mogłoby się to stać, kiedy kręcą się tutaj ci ludzie z FBI. Frank i Frank, i ten dziennikarz. Wszyscy wydawali jej się okropni, ale niegroźni. Dziennikarz przynajmniej był przystojny.

Przypomniła sobie wszystkie pocieszające rozmowy telefoniczne, jakie odbyła dotąd z Sarą, z ojcem i matką, z bratem Boydem, który wciąż mieszkał z rodzicami. W ich współczuciu była jakaś nuta zawiści - zazdrościli jej przygód w dalekim Paryżu. Musiała przyznać, że to są przygody, ale pewne sprawy budziły jej niepokój, głównie zniknięcie Gabriela. Wszystko inne - pieniądze, paszport i to, że musi siedzieć w tym obskurnym hotelu - da się jakoś załatwić.

Niemniej tamten człowiek na pchlim targu nie żył i miał coś wspólnego z Gabrielem, a Gabriela nie było. Usiłowała na trzeźwo zastanowić się nad zagrożeniem, odzyskać poczucie rzeczywistości, ale nie mogła. Jej myśli spowiła jakaś gęsta mgła. Morderstwo, kradzież, agenci FBI, a nawet gwiazdy filmowe, nic nie mogło przebić się przez ogarniające ją ciężkie opary zmęczenia i ospałości. Uprzymiotniła sobie, że to przypuszczalnie skutki różnicy czasu, którym jakoś umknęła w ciągu dwóch ostatnich nocy dzięki podniecającej obecności Gabriela, ale które teraz powalały ją niczym podany dożylnie środek nasenny. Oczy jej się same zamykały. Przyleciała w piątek, teraz była niedziela. Czwarta po południu, najgorsza godzina dla osób cierpiących z powodu różnicy czasu. Słyszała, że w żadnym wypadku nie wolno uciąć sobie drzemki. Kawa, pomyślała, spacer po okolicy, nie wsadzą mnie przecież za to do więzienia.

Pokuśtykała na zewnątrz i spojrzała w głąb ulicy. Szła z trudem, ale prawie nie zauważała już tego bólu, to tylko jej biodro, wrodzona wada. Właściwie po raz pierwszy miała okazję przyjrzeć się paryskiej ulicy. Wydarzenia dwóch ostatnich dni, ekscytująca mgła oczarowania Gabrielem, morderstwo, utrata paszportu, chwile zdumienia,

a potem lęku, różni ludzie, którzy do niej przychodzili, nowe twarze, rozmowy - to wszystko na chwilę nieco zbladło. Zobaczyła przejeżdżający autobus, hałasujące taksówki, więcej ludzi na ulicy niż w Sweet Home, a nawet w centrum Portland. Dłuższą chwilę oglądała stroje na wystawie sklepu z modą afrykańską, jasne szaty z drukowanej bawełny, zdumiewające nakrycia głowy i bogato zdobione spódniczki. Zastanawiała się, czy warto coś takiego sprowadzić, i uznała, że nie nadają się do Oregonu, nawet w jego najbardziej folklorystycznej wersji. Kto to nosił w Paryżu? Paryż, Francja, zupełnie obce miejsce, w którym nie mogła z nikim porozmawiać.

Aby się pocieszyć, zaczęła myśleć o Amerykanach, których spotkała do tej pory - dwóch Frankach z FBI, Clarze Holly, Timie Nolingerze - zastanawiając się przez chwilę, jak by to było pójść z nim do łóżka, ale zaraz sama się zawstydziła swoich myśli. Najwyraźniej jej libido, wyzwolone przez noc z Gabrielem, albo przez Francję, zaczęło szaleć, w nieopanowany sposób poszukując jakiegoś przedmiotu pożądania niczym potwór Frankensteina. Oczywiście była wściekła na Gabriela za to, że ją tak zostawił. To o niego się bała. Poczula, jak jej serce bije mocno. Gdzie on się podziewał?

ROZDZIAŁ 10

Bogini łowów

W podparyskich okolicach wraz z nadejściem jesieni, pory suchych liści i przesywających chłodem wiatrów oraz światła przesyconego szarością pojawiły się niebudzące wątpliwości oznaki sezonu łowieckiego. W oknach sklepów rzeźniczych wisiły martwe bażanty, przyniesione przez pierwszych myśliwych, i spoglądały na przechodniów szeroko wytrzeszczonymi oczami barwy ołowiu; malutkie czarne ślady ran niemal znikały wśród ich bogatego upierzenia. Na sąsiedniej farmie pod ogrodzenie podbiegło nowe stado kropkowanych psów, głośno ujadając na widok samochodu Clary. Wiejskimi drogami tam i z powrotem jeździli osobnicy w mniej lub bardziej tyrolskich kostiumach, z epoletami i mosiężnymi guzikami; wszyscy mieli eleganckie wypolerowane buty do jazdy konnej.

Clara i Serge uważali, że należy powstrzymać bezsensowną i okrutną rzeź jeleni i przepiórek, jaką na terenie ich skromnej posiadłości ochoczo zajmowali się, zgodnie z tradycją, miejscowi myśliwi w sezonie łowieckim. Serge śmiało przemierzał ścieżki własnego lasu ze strzelbą w dłoni i sprawdzał łańcuchy założone na drogach wjazdowych. Jego złość w równej mierze jak rzeź nieszczęsnych zwierząt budziło pogwałcenie świętego terenu jego prywatnej własności. Sam nigdy nie polował. Swego czasu wuj zabrał go raz na polowanie na króliki niedaleko Cicero w stanie Illinois i Serge do dziś pamiętał woń prochu i zapach stężających ciał zabitych stworzeń leżących na pustej cementowej podłodze garażu. Rozpłakał się

wtedy, ponieważ coś, co jeszcze niedawno było żywe, leżało teraz martwe, a przecież wcale nie musieli zabijać tych zwierząt. Ale płakał w ukryciu, żeby uniknąć szyderczych docinków wuja.

Clara, mimo że nosiła prawdziwe futro, jak przystało na mieszkankę Oregonu, także sprzeciwiała się rytuałom łowieckim w sąsiedztwie, zwłaszcza jeśli naruszały teren ich posiadłości. Złoscili ją ludzie z bronią przebiegający nagle przez jej ogrody, czasami myśliwi na koniach, dźwięk rogów, ujadające psy, podeptane kwiaty. Raz była pewna, że słyszy odgłosy jelenia przedzierającego się przez zarośla, zdezorientowanego, rannego stworzenia, do tego harmider ujadających psów, i wszystko to w jej lesie! Zdarzyło się to w ubiegłym roku. Na pewno usłyszała dźwięk rogu. Jak to możliwe, że te barbarzyńskie oddziały, niczym postacie z jakiegoś gobelinu, niczym chór z jakiejś opery, mogą dać w rogi w jej lesie? A potem zobaczyła martwego jelenia, tego albo innego, niesionego do miasteczka. Całkiem nieduże zwierzę. Ktoś powiedział jej, że myśliwy zabił je osobiście nożem, że nie rozszarpały go psy - czego się obawiała, pamiętając obrazy w Luwrze, przedstawiające psy, które rozdzierały boki zaszutego, udręczonego jelenia.

W pewnym sensie była zaszokowana, gdy dowiedziała się, że ten cały wyszukany rytuał polowania - psy, czerwone surduty i konie - nadal rozgrywa się we Francji, która wydawała jej się krajem o wiele za małym na to, by ludzie biegali tam swobodnie z bronią w rękę. Poza tym zawsze sądziła, że to przejaw angielskiego barbarzyństwa, zwłaszcza czerwone surduty i sfory psów ujadających niczym bestie z piekieł. Oczywiście myśliwi zabijali zwierzęta także w Oregonie, ale uśmiercali swoje ofiary za pomocą strzelb, miłosiernie, a czerwone stroje nosili jedynie dlatego, żeby przypadkiem nie pozabijać siebie nawzajem.

Tak czy owak, oboje z Serge'em uznali, czy też raczej ona uległa w tej sprawie jego wpływom, że powinni w miarę możliwości nie zwracać na siebie uwagi w okolicy, nie podkreślać swojej cudzoziemskości, próbować stapiać się z Francją. Zgodnie z tym usiłovali być dobrymi obywatelami i sąsiadami, zawsze brali udział w lokalnych imprezach na cele dobroczynne, nawet kościelnych, choć żadne

z nich nie wyznawało katolicyzmu, a Serge był z pochodzenia Żydem. Starali się ostrożnie wypośrodkować wysokość swoich datków w nadziei, że nie będą wyglądały ani zbyt skąpo, ani zbyt ostentacyjnie, choć w końcu i tak zawsze mieli poczucie, że się pomylili. Jednak w sprawie polowań nie zamierzali zrezygnować ze swoich przekonań. W tej kwestii Serge zdecydowanie się z nią zgadzał, czy może ona z nim - oboje byli przeciwnikami polowań. Co roku prawnik Serge'a pisał list do lokalnego prezesa kola łowieckiego, powiadając za jego pośrednictwem myśliwych, że nie życzy sobie polowań na terenie swojej posiadłości - i każdego roku miejscowi myśliwi gorąco się temu sprzeciwiali. Wysyłali delegacje, składali protesty i polowali, jak im było wygodnie, twierdząc, że dopóki sprawa nie zostanie ostatecznie rozstrzygnięta, muszą postępować zgodnie z tradycją. Myśliwi przemierzali te lasy od stuleci i na tym właśnie polegała tradycja.

- Uważa się, że zadanie *coup de grace* jest aktem wielkiej odwagi - oświadczył mer, gdy delegacja mężczyzn w blezerach i muszkach za pierwszym razem zawitała do nich na spotkanie z Serge'em, który zmusił wtedy Clare, żeby to ona z nimi porozmawiała.

- Chce pan przez to powiedzieć, że po prostu może pan wchodzić na teren mojej posiadłości? - spytała.

- W pościgu za zwierzyną, jeśli myśliwi już ją zranili, oczywiście, że tak - potwierdził mer. - Zgodnie z prawem. Byłoby czymś nieludzkim, niewybaczalnym okrucieństwem pozwolić jej, aby zdychała w mękach. Otrzymuje *arme blanche*. Madame - dodał, najwyraźniej zirytowany, że musi rozmawiać z nią, a nie z Serge'em. Niemniej przyjęła ich z całymi honorami w salonie, w którym panował w tym okresie jeszcze pewien nieład, ponieważ cieśle z wytwórni nie skończyli napraw, a malarze malowali pokoje.

Co roku w ciągu czterech lat, odkąd tu zamieszkali, musieli znośić te sztywne, nieprzyjemne spotkania z miejscowym merem i delegacją myśliwych. W tym czasie umieścili ciężkie łańcuchy przegradzające drogi na obrzeżach swojej posiadłości i zbudowali mocną bramę zagradzającą główną drogę. Zdaniem prawników Serge'a nie powinni byli tego zrobić.

- Gdybyście mieli więcej hektarów, nie mogliby - to się nazywa *loi verdeille* - polować na waszym terenie. Wydaje się, że macie nieco poniżej minimalnej ilości hektarów wymaganych przez prawo, żeby trzymali się z daleka. Poza tym jest kwestia statusu pewnych dróg dojazdowych przecinających waszą posiadłość.

Serge zastanawiał się, czy nie wynająć psów do patrolowania swojego lasu, ale na razie tego zaniechał, mając na względzie uczucia domowych psów, Taffy'ego i Freddy'ego, pogodnych żółtych labradorów, które w ogóle nie nadawały się do odpędzania nieproszonych gości.

Clara sumiennie zajmowała się sprawami *chateau*, traktując to niemal jako rodzaj pokuty za ogarniający ją czasem niepokój. Doszła bowiem do wniosku, że popełniła w życiu jakiś błąd. Nie umiała dokładnie powiedzieć jaki. Po prostu błąd. Może to były nadmierne ambicje - pragnienie, by zostać aktorką, oznaczające, że uważa się za osobę szczególnie piękną, zasługującą na to, by na nią patrzeć, osobę godną skupiania na sobie uwagi innych. A może błędem była właśnie rezygnacja z aktorstwa, to, że pozwoliła się od niego odwieść w imię wartości roli żony i matki.

A może chodziło o to, że poślubiła człowieka, którego tak naprawdę nie kochała? Oczywiście kochała Serge'a, ale to nie była porywająca miłość seksualna i Clara zaczynała wątpić, czy coś takiego naprawdę istnieje. Czy wyszła za mąż w złej wierze, z konwencjonalnych powodów, takich jak ciąża? Albo dlatego, że był sławny, co łatwo pomylić z miłością? Była wtedy taka młoda. Tak czy inaczej, ów błąd, na czymkolwiek on polegał, popełniła ponad dziesięć lat temu i zdążyła już do niego przywyknąć, zadomowiła się w nim. Tylko czasami, kiedy czytała coś w duchu New Age, coś na temat życia w zgodzie z samym sobą albo pokuty, wracała do tego myśлами.

W efekcie, w akcie ekspiacji za popełniony nieokreślony błąd, również tego roku, podobnie jak w latach ubiegłych, to ona miała przyjąć delegację myśliwych i posłusznie stawić się na wezwanie do *mairie* w odpowiedzi na listy, pozwy, sądowe nakazy i kary pieniężne, jakie na nich spadały z powodu łańcuchów i bram. Tegoroczna rytualna konfrontacja wypadła akurat tego dnia.

Poszła poszukać Serge'a w nadziei, że pojedzie razem z nią na spotkanie. Miał w nim uczestniczyć mer, członkowie lokalnego stowarzyszenia łowieckiego i miejscowy sędzia pokoju.

- Nie wdawaj się w żadne dyskusje. Mamy prawników do dyskusowania z ich prawnikami. Po prostu powiedz, że nasze stanowisko nie zmieniło się, i powiedz im, żeby poprosili miejscowe jelenie, żeby biegały gdzie indziej - oświadczył Serge, nie odrywając niemal wzroku od telewizora. W amerykańskim stanie Georgia dwunastolatek zaczął nagle strzelać na szkolnym dziedzińcu, zabił czwórkę innych dzieci, i Serge, który oglądał telewizję przy kuchennym stole, był całkowicie pochłonięty obrazami pojawiającymi się w relacji CNN. Ambulans, sanitariusze z noszami, jakiś sąsiad, jedna z nauczycielek łkająca w rozmowie z dziennikarzem, cięcie, dyrektor szkoły wygłasza oświadczenie na temat psychologów, którzy będą pomagać rodzinom ofiar w żałobie, cięcie, widok tłumuskiupionego wokół kobiety leżącej na ziemi.

- To matka tego, który strzelał - powiedział Serge. - Zemdłała.

Clara pomyślała o Larsie, który był mniej więcej w tym samym wieku, i o tym, że w Anglii albo w Szkocji, w każdym razie na Wyspach Brytyjskich, czyli tam, gdzie teraz znalazł się Lars, zdarzył się podobny wypadek, chociaż ostatnio zaostorzono tam prawa regulujące dostęp do broni palnej. Poczwała w gardle skurcz lęku na myśl o synu.

- Coś niedobrego się dzieje z ludźmi z tego miasteczka, popatrz na nich - mówił Serge. - Wyglądają jak opóźnieni w rozwoju.

- Wszyscy są grubi - odpada Clara. - Ta powszechna otyłość zawsze mnie uderza, kiedy jadę do domu.

- Ci ludzie są grubszy niż przeciętni Amerykanie - powiedział Serge zatopiony w myślach na ten temat. - Wyglądają, jak gdyby byli upośledzeni, ponieważ wyglądają, jak gdyby karmiono ich wszystkich w tym samym zakładzie psychiatrycznym. Nawet dzieci.

Clara powiedziała sztywno:

- Jestem pewna, że byliby tak samo smutni, gdyby byli szczupli.
- Serge nie był szczupły.

W tym roku spotkanie z myśliwymi miało się odbyć w biurze regionalnego dyrektora gminy Lanval, na piętrze, powyżej pomiesz-

czeń merostwa i Biblioteque Municipale, w niewielkim odrestaurowanym budynku, położonym w niedużym zagajniku pod miasteczkiem. Wchodziło się przez bibliotekę, w której Clara skinęła głową kilku znajomym kobietom; zaglądała tu kiedyś, żeby wypożyczać książki, ale zdążyła już przeczytać wszystko, co mieli po angielsku, Poe'go, Williama Styrona, Melville'a, Jamesa Fenimore'a Coopera i Ericę Jong.

Panowie czekali na nią w pomieszczeniu położonym na szczycie schodów, na górze. Było oczywiste, że miała usiąść nieco z boku, na jedynym wolnym krześle stojącym koło okna. Wstali na jej widok, grupa miejscowych mężczyzn, krzepkich, rumianych, w sztruksowych spodniach i marynarkach, w których chodzili na wsi, jeden w dżinsach - delegacja myśliwych, jak przypuszczała - oraz mężczyzna, którego kiedyś wzięła za bibliotekarza, a który, jak się w końcu dowiedziała, był merem Etang-le-Reine, monsieur Briac. Byli ubrani jak wieśniacy i farmerzy, ale wiedziała, że w rzeczywistości to maklerzy albo inżynierowie, którzy są zarejestrowani w tutejszej komisji wyborczej podczas wyborów, ponieważ mają tu wiejskie domy. Miała wrażenie, że większość Francuzów to inżynierowie. Tak czy inaczej, ci tutaj na pewno byli myśliwymi. Uśmiechnęła się do nich. Przyzwyczała się do wrażenia, jakie robiła na ludziach jej uśmiech, zwłaszcza na mężczyznach, ale tym razem czuła, że nie odniosła pożądanego skutku. Nastroje były minorowe, sprawę *la chasse* traktowali zbyt poważnie, hektary należące do Serge'a odgrywały zbyt istotną rolę w należytym organizowaniu sportowych rozgrywek w tym regionie.

Podnoszono te same kwestie co zawsze, poczynając od sprawy skutecznego ograniczania populacji jeleni, która każdego roku groziła zalaniem ludzkiej cywilizacji, jeśli nie zostanie odpowiednio przetrzebiona. Uśmiechnęła się i zauważyła, że istnieją bardziej humanitarne metody kontroli wielkości populacji niż zamęczenie każdego jelenia gonitwą na śmierć po to, by następnie przebić mu serce. Jej zgryźliwy ton dość szybko pogorszył i tak już dość napiętą atmosferę. Jakiś otyły mężczyzna siedzący koło drzwi burknął coś z irytacją. Podniosły się protesty, padły argumenty te same co zwykle, przedstawiane tak samo jak zawsze.

Przeszli do kwestii prawa, które zezwalało na wkroczenie na teren cudzej posiadłości podczas ścigania zwierzyny w trakcie polowania, ale nie zostało dokładnie sprecyzowane, jak należy rozumieć ten ostatni warunek. Tamci omawiali tę sprawę ze swoimi prawnikami, podobnie uczynił Serge. Wiedziała jednak, że właśnie w tym punkcie ich stanowisko było najsłabsze i dlatego stosowali metodę odstraszenia w postaci fizycznych przeszkód: bram, łańcuchów i sterty suchych gałęzi na ścieżkach.

Słyszała wcześniej wszystkie argumenty, powtarzane bez końca. Zaczęła błędzić myślami wokół sceny z gobelinu wiszącego na ścianie za plecami mera: Trzy dość tłuście nagie kobiety o świetlistej skórze spały w lesie, w swobodnych pozach, z rozłożonymi nogami, w otoczeniu martwych królików i wiewiórek. Obok widać było stado psów trzymany na wodzy przez cheruba, czekające, aż boginie zbudzą się ze snu; z mroku ocieniających je gałęzi spoglądała na nie grupa satyrów, pochłaniających wzrokiem obfite piersi, zapraszające szczeliny i obfite pośladki śpiących piękności.

Jakiś siedzący obok mężczyzna podążył za jej spojrzeniem i powiedział:

- *Diane la chaste et ses nymphes, d'apres la toile de Rubens.* Diana, bogini łowów.

Clara poczuła nagły przypływ krwi w policzkach. Mimo woli spojrzała na mówiącego, wysokiego, łysiejącego Francuza w marynarce w kolorze khaki; był bardzo przystojny.

- Tradycja polowań - rozprawiał w tym czasie mer Briac - w każdym razie oficjalna tradycja w tej postaci, w jakiej ją znamy, choć oczywiście człowiek polował od niepamiętnych czasów, została skodyfikowana w czasach Ludwika XIV który był także wielkim uczonym i sprzyjał działalności wielkich przyrodników, jak Buffon...

Clara poruszyła się niespokojnie. Odwołania do stuleci tradycji, dziejów Francji i królewskich przywilejów wydawały się niezbyt uczciwe i niezbyt istotne w odniesieniu do realiów okrucieństwa, cierpienia, żądzy krwi i namiętnego pragnienia zabijania, które tak łatwo można było przenieść na istoty ludzkie. W domu przepisała kilka słów z obrazu Durera i teraz wyjęła je z torebki, żeby odczytać na głos.

Qui tue la bete par plaisir plus que par necessite offense la Pere. Kto zabija zwierzęta dla przyjemności, obraża Boga.

Ale kawałek papieru pozostał w jej dłoni, ogarnęło ją jakieś nagłe zażenowanie, nie mogła wykrztusić ani słowa. Może tak podziałyły na nią postaci pożądliwie łypiących satyrów zrodzonych z wyobraźni Rubensa, a może naga płeć śpiącej Diany i jej towarzyszek, w swym bezbronnym śnie tak bardzo przypominających martwą zwierzyne... Jakie to dziwne, że ten obraz, tak jednoznacznie kojarzący polowanie z seksem, miałyby przedstawiać boginię dziewiczej czystości. Co tak naprawdę znaczy dla Francuzów słowo *venerie**? Nagle poczuła się bardzo niezręcznie jako jedyna kobieta w tym pokoju, sama, w towarzystwie kilkunastu mężczyzn, myśliwych. Drapieżników. W promieniach jesiennego słońca wpadających przez wysokie okna tańczyły drobinki kurzu; w sali robiło się coraz cieplej. Jednak jeszcze gorsze niż poczucie niewygody było poczucie nieszczęścia i upokorzenia, wzbierające nie wiadomo skąd. Wbiła wzrok w podłogę, żeby uniknąć spoglądania na którykolwiek z obrazów; szereg rycin przedstawiających myśliwych, myśliwych, myśliwych i ich łup. Zabijają dla przyjemności.

Tuer par plaisir. Skojarzenie z przyjemnością stało się nagle dla niej całkowicie oczywiste. *Plaisir* z jej seksualnymi konotacjami. Męska energia nagrzała pomieszczenie, naładowała drobiny kurzu, niczym jony jakąś wrogą siłą, która zaczęła ją dusić, wprawiać w przerażenie. U szczytu nosa poczuła jakieś nieznane, silne pulsowanie, jak gdyby ktoś zrobił jej w tym miejscu głęboką dziurę od postrzału. Oczy ją zapiekły, przypomniała sobie to odczucie - to łyzy Zaraz się rozpłaczę. Drapanie w gardle... spłynęła pierwsza łza, w piersiach poczuła ucisk jakiegoś dogłębnego smutku albo rozpacz. Szybko wstała, udając, że musi nagle wyjść, alergią, nie wiedziała, co to jest ani dlaczego.

- Dziękuję panom - powiedziała. - Niestety jestem spóźniona... zostawiam panów... Nie zgadzam się... Mój mąż...

Wyszła niepewnym krokiem, a jej przeciwnicy, zbyt zaskoczeni, zdołali jedynie na wpół podnieść się z krzeseł i odprowadzić ją wzrokiem. Kobieta siedząca za biurkiem w bibliotece zawahała się między retorycznym pożegnaniem: „*Bonne fin d'apres-midi, madame*” a milczeniem. Clara wypadła na zewnątrz, przebiegła żwirowy dziedziniec i wsiadła do samochodu.

ROZDZIAŁ 11

Będziesz ubrana na biało?

W poniedziałki pchli targ wprawdzie nie zawieszał swojej działalności, ale w pewnym sensie zwracał się ku sobie samemu z cichym westchnieniem przyjemności, że niedzielni spacerowicze wrócili do pracy i nie zostało śladu po tłumach turystów. Antykwariusze mieli czas porozmawiać ze sobą i z nielicznymi klientami, którzy wracali na targ, by jeszcze raz spojrzeć na wazę, nieduży stolik lub terakotowe popiersie, które zwróciło ich uwagę poprzedniego dnia. Zawierano poważne transakcje, gotówka w kopertach wędrowała z kieszeni na piersiach do szuflad biurka, w powietrzu unosił się zapach *pate* i *carottes rapees* z wyraźną wonią czosnku. Anne-Sophie zjadła lunch ze sprzedawcą rycin z Lyonu w Resto Pergolese, ale to był jedyny moment, kiedy pozwoliła sobie opuścić punkt obserwacyjny w swoim stoisku, z którego miała doskonały widok na korytarz prowadzący na schody i mogła zauważyć każdego, kto wchodził na górę, albo schodził z *grenier*.

Kiedy przyjechała do pracy tego ranka, okazało się, że dozorca zdążył już otworzyć korytarz, więc nie miała pojęcia, czy ktoś wchodził do środka albo stamtąd wychodził i czy Amerykanin zszedł na dół. Nerozwiązana zagadka wydawała jej się jeszcze bardziej fascynująca, a jej niepokojący urok odwracał uwagę Anne-Sophie od zwykłych poniedziałkowych zajęć. Po lunchu sama wybrała się na górę, choć na wszelki wypadek powiedziała o swoich zamiarach monsieur Pecuchetowi. Ale na strychu nie było nikogo. Podobnie jak

wczoraj, miała wrażenie, że wcześniej był tam ktoś obcy, choć nie zauważyła żadnych większych zmian czy bałaganu. I podobnie jak poprzednio ogarnęło ją ekscytujące poczucie niebezpieczeństwa. Pod koniec dnia niemal z żalem opuściła rolety swojego stoiska i wyruszyła do miasta pozałatwiać różne sprawy, a potem na kolację z matką, aby omówić kwestie związane ze ślubem.

Był już październik, a Anne-Sophie i Tim mieli się pobrać dziesiątego grudnia. O większość przygotowań sama zadbała niezawodna Anne-Sophie, w porozumieniu z Timem oraz doradczynią do spraw weselnych, madame Louise Aix z domu towarowego Bon Marche. Madame Aix była piersiastą niewiastą ubraną na czarno, miała rude włosy, nosiła okulary na tasiemce i roztaczała wokół siebie aurę niezwykłej powagi, która działała kojąco na Anne-Sophie, zwłaszcza w porównaniu z nieco lekceważącą postawą jej matki. Niemniej pojawiły się pewne problemy z zaproszeniami. Nadeszła pora, o ile nie było trochę późno, żeby je zamówić, tymczasem Anne-Sophie wciąż miała wątpliwości co do ich kształtu i treści, trzeba bowiem było brać pod uwagę, że rodzina pana młodego była anglojęzyczna.

Chociaż Estelle zasadniczo zgadzała się z ideą małżeństwa, Anne-Sophie nie miała żadnej pewności, który z elementów tradycyjnej ceremonii ślubnej jej matka uzna za niedorzeczny albo zbędny. Na przykład roześmiała się szyderczo, gdy Anne-Sophie podzieliła się z nią swoim pragnieniem, by Tim stanął do ślubu ubrany bardziej uroczysto, we fraku. Bohaterka powieści *Les fruits*, Raymonde, w ogóle odmówiła pójścia do merostwa i do kościoła! „Na to co mi te wszystkie głupie formalności”, oświadczyła z właściwą sobie cudowną porywcznością.

W tej sytuacji madame Aix szybko dostrzegła w młodej, pozabawionej pomocy matki, ambitnej kobiecie kogoś, kto potrzebuje rady i macierzyńskiego wsparcia. Wkrótce osiągnęły w swoich kontaktach punkt, w którym madame Aix ośmielała się doradzać Anne-Sophie w wielu innych różnorodnych sprawach, nie ograniczając się do formalnych szczegółów uroczystości. Madame Aix wiele razy nawiązywała podobne więzi z młodymi kobietami, co często obejmowało

także ich matki, kobiety zadreęczające się z niepokoju, że mogłyby popełnić jakiś błąd w zawiłych kwestiach związanych ze ślubem.

- Czy będziesz ubrana na biało? - spytała pewnego razu.

Anne-Sophie miała właśnie taki zamiar. Madame Aix lekko zmarszczyła brwi.

- To jest takie... w stylu - *jeune filie*.

Czy madame Aix sądziła, że Anne-Sophie jest za stara? Anne-Sophie obawiała się, że tak, sama miała podobne obawy, wiedziała, że jest nieco za stara jak na pannę młodą, która pierwszy raz idzie do ołtarza.

- To pasowałoby do bardzo młodej dziewczyny przed dwudziestką. - Madame Aix najwyraźniej szukała taktownego sposobu, by przekazać jej swoje przesłanie. - Chodzi o to, że znaczenie bieli, starożytnego symbolu dziewictwa, stanowi element naszej zbiorowej podświadomości, więc panna młoda w bieli skłania do spekulacji, jeśli nie wprost do wybuchów śmiechu. Ludzie wyciągają wnioski, których lepiej nie prowokować, rozumiesz? Dlatego zaproponowałabym raczej *ivoire*, satynę w barwie kości słoniowej, a może nawet *rose-ivoire*. Przy twoich zaróżowionych policzkach to będzie wyglądało pięknie i świeżo, a poza tym prawie biało.

Anne-Sophie, podobnie jak Tim, nie miała wątpliwości, że we Francji przeważają te same zwyczaje, co w Ameryce, w myśl których można zignorować symboliczne znaczenie bieli, gdy chodzi o wybór sukni ślubnej; jej biała satynowa suknia ślubna miała wkrótce nadejść z domu mody Ines de la Fressange przy avenue Montaigne, w którym szkolna przyjaciółka Anne-Sophie kierowała działem public relations. Ceremonia religijna odbędzie się w kościele St. Blaise w miasteczku Val-Saint-Remy gdzie mieszkała wciąż babka Anne-Sophie, matka jej ojca, bardzo wiekowa i cierpiąca na starcze otępienie. Przyjęcie koktajlowe zaplanowano po drugiej stronie placu, w małej restauracji Pere Norand, a kolację w domu babki Anne-Sophie w tym samym miasteczku. Zamówiono już odpowiednią ilość szampana u monsieur Braquera, który swego czasu zaopatrywał w wina jej ojca, ale nierozstrzygnięta pozostawała jeszcze decyzja, kto ma zrobić przystawki i gdzie młoda para pojedzie na miesiąc miodowy.

W tych wszystkich przygotowaniach nie było żadnego pożytku z Estelle, która uskarżała się na hipokryzję i kłopoty związane z eleganckim modnym ślubem - ona wolałaby raczej krótką ceremonię w magistracie albo wyprawę boso do jakiegoś maleńkiego alpejskiego kościółka. Ale oczywiście, jak zauważyła Dorothy Minor, to Estelle była w swojej rodzinie przedstawicielką pokolenia '68, *soixante-huitarde*, podczas gdy młodzi byli bardziej konwencjonalni. Tim szczerze współczuł Anne-Sophie z powodu nastawienia jej matki, ponieważ podzielał męskie przekonanie, że młode kobiety powinny intensywnie współpracować ze swymi matkami w sprawach ślubu i że powinno być to dla jednych i drugich źródłem wielkiego szczęścia. Tak było w wypadku jego matki i siostry.

Jeśli chodzi o swoją rolę w uroczystości ślubnej, Tim przejawiał typowo męską postawę, pełną gotowości do współpracy, sentymentalizmu i rezygnacji. Pogodził się z marką szampana i doborem potraw, jakie miano podać na weselnej kolacji, zdradzał tylko pewne zastrzeżenia co do religijnej strony uroczystości. Estelle wyśmiewała się z jego obiekcji, mówiąc, że to bardzo amerykańskie traktować religię tak dosłownie i brać ją na tyle poważnie, by formułować jakieś zastrzeżenia. Ogólnie rzecz biorąc, Tim nie widział żadnych wyraźniejszych różnic między amerykańskimi a francuskimi ceremoniami weselonymi, zarówno jeśli chodzi o ogólne założenia, jak i szczegóły - suknia panny młodej, tort, namiot, gdyby rzecz miała się odbyć latem, oraz pasiaste markizy, pod których osłoną był świadkiem wielu ślubów swoich amerykańskich przyjaciół z college'u i widział, jak zamieniają się w mężów. Taki był los wszystkich mężczyzn i Tim miał generalnie pozytywny stosunek do tradycji, podobnie jak i do własnego wyboru żony. Anne-Sophie jeszcze nie była w Ameryce i nie znała krewnych Tima, ale jego ojciec, który często bywał w Paryżu, spotkał się z rodziną d'Argel i nie krył przed Timem, że uważa Anne-Sophie za miłą dziewczynę, mimo jej ekscentrycznej matki. Matka Tima i Anne-Sophie nigdy się dotąd nie spotkały, choć wymieniały uprzejmą korespondencję.

Tim i Anne-Sophie przyjechali do Estelle nieco wcześniej, zanim zjawili się pozostali goście zaproszeni na kolację, aby omówić

z Estelle pewną ważną sprawę - chodziło o mieszkanie, które właśnie znaleźli. Oboje poczuli z tego powodu wielką ulgę, ponieważ każde z nich poświęciło niezliczone popołudnia na poszukiwanie takiego lokum, które byłoby wystarczająco duże i ładne, a zarazem nie przekraczało ich możliwości finansowych; mieszkania, w którym mieli rozpocząć nowe życie jako małżeństwo.

Tim nie przepadał za tą rozrywką. Jego zadanie polegało na tym, by wstępnie przyglądać się kolejnym propozycjom w dniach, gdy Anne-Sophie była zajęta pracą; kiedy indziej to ona biegła rano kupić „Le Figaro”, przeglądała ogłoszenia o sprzedaży mieszkań trzy- i czteropokojowych w odpowiednich dzielnicach (piątej, szóstej i siódmej), co do których oboje się zgodzili, nie rezygnując całkowicie z pierwszej, drugiej, ósmej i dziewiątej, a może nawet i czternastej, ale to oznaczałyby, że znajdują się za blisko *maman*. Przy okazji kilku wspólnych wypraw niezbitnie wyszło na jaw, że pod względem temperamentu Tim lepiej nadawał się do tego przedsięwzięcia. Anne-Sophie natychmiast popadała w skrajne zniechęcenie i ogarniały ją najczarniejsze obawy na widok najdrobniejszych ekscentryczności w układzie pomieszczeń albo przeróbek, które nie przypadły jej do gustu. Jak ludzie mogą tak mieszkać”, jęczała wtedy, przekonana, że oboje z Timem znaleźli się na samym skraju przepaści i mogą z niego runąć w otchłań brzydoty i doraźnych rozwiązań. Nie tak wyobrażała sobie ich idealne gniazdko; brzydkie mieszkanie symbolizowało kompromisy tego świata, szyderstwo z ludzkich nadziei. Tim czuł się bezradny wobec tych emocji; zawsze wydawało mu się, że ludzie świeżo po ślubie w ogóle nie zwracają uwagi na otoczenie, bo przecież kochają się na okrągło. Niemniej pogodził się z faktem, że należy chronić Anne-Sophie przed nazbyt intensywnym polowaniem na mieszkanie. A poza tym to on miał elastyczne godziny pracy.

Starał się nie myśleć za wiele o praktycznej stronie życia małżeńskiego - zakładał, że oboje z Anne-Sophie zajmą się tym wtedy, kiedy to będzie niezbędne - ale proces poszukiwania odpowiedniego lokum w niemiły sposób zmusił go do kontaktu ze sferą praktycznych rozstrzygnięć. Widok realiów życia innych ludzi, niosący ze sobą tak wiele oznak zniszczenia i tandety, opuszczenia i tymczasowych napraw,

przygnębiał go niemal tak mocno jak Anne-Sophie. Francuskie mieszkania były małe. Pomieszczenia pomyślane jako pralnie przerabiano na pokoje dziecięce, kuchnie zajmowały miejsce dawnych garderób. Przygnębiało go rozwiązanie zwane *cuisine americaine*; sama nazwa wydawała mu się nazbyt krytycznym wyrazem przekonań Francuzów na temat bezwzględnej pragmatyzmu Amerykanów: kuchnia połączona z salonem! Nieważne, że w Ameryce kuchnia nigdy nie jest połączona z salonem. Miał wrażenie, że określenie *cuisine americaine* wskazywało, że sam mógłby posunąć się do takich przeróbek - chociaż miał nadzieję, że nigdy nie będzie do tego zdolny, gdyż byłaby to prawdziwa moralna katastrofa. Poza tym najwyraźniej kryło w sobie oskarżenie o zły gust.

Pod innym względem pojęcie *cuisine americaine* dawało wyraz radosnej pomysłowości Francuzów, którzy w ten sposób odważnie radzili sobie z faktem, że muszą mieć kuchnię połączoną z salonem - rzecz nie taka rzadka w dzisiejszych czasach, gdy wykrawano sześć mieszkań z jakiegoś starego domu, który niegdyś należał do jednej zamożnej rodziny. Usiłując jakoś zamieszkać w swoich klitkach i nadać im osobisty charakter, ludzie malowali ściany na jasnobłękitny kolor albo obniżali sufit za pomocą płyt z włókna szklanego. Swego czasu panowała era barwy pomarańczowej i różu. Ile pięter można wspinać się w górę w domu bez windy?

Pewnego dnia Tim nagle poczuł, że znalazł ich wymarzone mieszkanie, przy *passage de la Visitation* - sama nazwa była urocza - i w takiej dobrej dzielnicy. Czteropokojowe mieszkanie z niedużą kuchnią. Do tego prawdziwa jadalnia, na czym mu bardzo zależało, ponieważ wychował się w mieszkaniach, w których była jadalnia. Potrafił już zwracać uwagę na pewne rzeczy ważne dla Francuzów - na przykład na którą stronę świata wychodzą okna albo czy w mieszkaniu są w ogóle jakieś szafy wnękowe. Cena była nieco za wysoka jak na ich możliwości, ale sądził, że Anne-Sophie niemal na pewno spodoba ją parkiety w jodełkę i kominek w sypialni z marmurowymi ozdobami, druga toaleta i duży przedpokój. Ogarnął go ogromny optymizm co do przyszłości, jaki potrafi wzbudzić jedynie perspektywa nabycia nieruchomości na własność, a jednocześnie czuł narasta-

jący niepokój, że ktoś inny mógłby kupić to mieszkanie, zanim Anne-Sophie zdąży je zobaczyć.

Zadzzwonił do niej do pracy i umówił się z agentem od razu na to popołudnie. Anne-Sophie była rozczarowana, jeszcze nim weszli do środka, kiedy okazało się, że mieszkanie, które zamierzał jej pokazać, znajduje się na *premier etage*, czyli na pierwszym piętrze. Dość wysoko, a zarazem nie dość wysoko, by móc jechać do niego windą. Zdaniem Tima - wielki plus, dla niej - rzecz kompletnie nie do przyjęcia.

- Będzie ciemne - oświadczyła.

- Nie, ma dużo światła - zaprzeczył. - Kiedy je oglądałem rano, było bardzo jasne.

- Nigdy nie sądziłam, że będę mieszkała na *premier etage* - oświadczyła.

Tim zupełnie nie rozumiał, co miała na myśli.

- Jest urocze, zobaczysz - rzekł. - O, jest nasz facet.

Agent od nieruchomości z powagą uściskał ich dłonie, mniej lub bardziej otwarcie zmierzył Anne-Sophie wzrokiem i porozumiewawczo uśmiechnął się do Tima. Wspięli się na schody.

- Monsieur był pierwszą osobą, która oglądała to mieszkanie - powiedział agent do Anne-Sophie.

Gdy weszli do środka, z jej zachowania nie sposób było domyślić się, co myśli. Z surowym wyrazem twarzy zaglądała do szaf i bardzo krytycznie badała podłogi, z niemal naukową dokładnością przyglądała się szczelinom między klepkami i rozważała, jak wiele z nich trzeba będzie wymienić.

Kiedy wyszli z powrotem na ulicę i rozstali się z agentem, powiedziała:

- *Tres bien*, mniej więcej.

- Nie podoba ci się?

- Podoba mi się. Ale są pewne problemy. Ulica jest *tres bien*, ale to jest *premier etage*¹.

- Podoba mi się mieszkanie na piętrze. Nie na poziomie ulicy, ale i nie za wysoko, żeby trzeba było ciągle jeździć windą.

- Nie rozumiesz podejścia Francuzów do *premier etage* - powiedziała to z czułością, jak gdyby był pojętnym dzieckiem.

- J a k mam je zrozumieć? Jest kompletnie irracjonalne - odparł.

Po przedyskutowaniu prestiżowego adresu, uroku samej ulicy i praktycznych cech mieszkania, zwłaszcza *bibliothèque*, czyli ładnego kompletu półek wbudowanych w ściany, postanowili wrócić do biura agenta i złożyć ofertę. Wiedzieli, że nie powinni się zastanawiać, ponieważ naprawdę dobre propozycje znikają od razu.

Ojciec Anne-Sophie, lekarz, nie żył od dziesięciu lat, ale Estelle nadal mieszkała w ich rodzinnym mieszkaniu, dużym dziewiętnastowiecznym apartamencie na Montparnasse, w którym wszystkie pokoje miały kształt owalny i były pomalowane w gustownych odcieniach szarości. Ponieważ wkrótce miała się ukazać jej kolejna książka, odwiedził ją fotograf, aby zrobić zdjęcie na obwolutę. Zabawił trochę dłużej, niż się spodziewała, więc gdy Anne-Sophie i Tim weszli do salonu, usłyszeli, jak Estelle mówi do fotografa:

- Oczywiście kompletnie nie znam się na mężczyznach, nigdy ich nie rozumiałam, ciągle którzyś łamie mi serce.

Na twarzy Anne-Sophie pojawiło się chwilowe zaskoczenie, choć już dawno nauczyła się oddzielać fikcyjną personę matki, ciepłej, zmysłowej narratorki powieści, od jej realnej postaci, osoby, która krytykowała ją z powodu wybranej drogi życiowej i była mniej lub bardziej szczęśliwą żoną jej ojca.

Z holu, do którego wpuściła ich Elwira, dostrzegli wyraz namiętnego żalu na twarzy Estelle, mającego przypuszczalnie coś wspólnego z jej niepowodzeniami w sprawach miłosnych, choć o ile Anne-Sophie się orientowała, jedynym mężczyzną w życiu matki był obecnie podstarzały uczonek Cyrille Deroux. Fotograf pakował swój sprzęt. Tim i Anne-Sophie nie mieli pojęcia, czego dotyczyła wcześniejsza rozmowa tamtych dwojga, ponieważ Estelle w tym momencie zobaczyła córkę z narzeczonym i powitała ich radośnie. Miała na sobie dzinsy i fotogeniczną koszulę z falbankami.

— *Ah! Ma filie Anne-Sophie et son fiancé monsieur Noligner!* - wyjaśniła.

Uśmiechnęli się do fotografa i wyciągnęli dłonie na powitanie. Starał się właśnie złożyć ogromny srebrny parasol foliowy i upchnąć go do niewielkiego futerału. Estelle uściskała ich oboje.

- Anne-Sophie przeżyła w ostatnich dniach straszliwe, traumatyczne chwile, przerażające morderstwo na *puces*, słyszałeś o tym? - spytała zaprzyjaźnionego fotografa.

Gdy opowiadała mu wszystko ze szczegółami, w pewnym momencie srebrny parasol, kierując się sobie tylko wiadomymi powodami, z niecierpliwym trzaskiem otworzył się w całej okazałości i biedny człowiek musiał zmagać się z nim od nowa.

- To urządzenie - powiedziała Estelle - przypomina mi przeszony z dawnych czasów.

Tim i Anne-Sophie zignorowali biednego fotografa, który musiał być zakłopotany walką ze srebrnym parasolem. Estelle sama czuła się zakłopotana faktem, że Anne-Sophie przyłapała ją na odgrywaniu powieściopisarki - zawsze starała się minimalizować tę stronę swego życia *en famille* - ochoczo zaprosiła ich więc na aperitif i wysłuchała opowieści o mieszkaniu, które, jak przyznała, zapowiadało się interesująco. Rzecz nie bez znaczenia, ponieważ Estelle miała założyć za Anne-Sophie jej część ceny, jaką będą musieli zapłacić.

ROZDZIAŁ 12

Łzy w klubie tenisowym Marne-Garches-la-Tour

Kiedy Tim miał przyjść do niej na obiad, Estelle z reguły zapraszała innych Amerykanów, zwykle Dorothy Sternholz i czasami Amesa Everetta. W rezultacie Tim czuł się bardziej, a nie mniej obco, ponieważ podkreślała w ten sposób, że jest Francuzem, jak gdyby jego narodowość była czymś, o czym należy zawsze pamiętać. Księżna i Ames sęczyli przez chwilę porto, po czym Estelle poprosiła wszystkich do stołu.

- Mamy dziś coś wspaniałego, mój wynalazek, to znaczy ciekawa jestem, co o tym powiecie. - Estelle nie była wielką kucharką, ale czerpała dumę z faktu, że używa zawsze prostych składników doskonałej jakości, przypominając w tym względzie postać hrabiny Morilly ze swoich powieści, w których często pojawiały się długie dygresje na temat *courgette* albo *betterave*. - To jest *omelette aux truffes*, ale tak naprawdę nie ma tu mowy o żadnej ekstrawagancji, ponieważ to są chińskie trufle! Naprawdę pachną tak samo i sprzedawca w sklepie warzywnym zapewniał mnie, że nadają taki sam *parfum* potrawie. A więc zobaczmy!

- Mam nadzieję, że Tim będzie jadł jajka? Wiem, jacy są Amerykanie.

Anne-Sophie uświadomiła sobie, że nigdy nie widziała, żeby Tim jadł jajka, ale nie miała pojęcia, czy wynikało to z jego przekonania, czy po prostu działało się tak dlatego, że nigdy mu ich nie proponowała. Padło stosowne pytanie, na co Tim nieobecny tonem oświad-

czył, że może jeść jajka; podobnie powiedzieli Ames i Dorothy. Tima pochłaniały w tym momencie dręczące obawy na temat tego, co właśnie zrobili z Anne-Sophie, decydując się na zakup niezwykle kosztownej nieruchomości.

Wszyscy z należytym podziwem pochwalili danie Estelle. Matka Anne-Sophie prezentowała każdą uprzejmość, każde danie, każdy pomysł z właściwą Francuzkom przesadą, jak gdyby uczyniła je specjalnie dla szczęśliwego gościa. Być może na tym właśnie polegała istota jej literackiego stylu, pomyślał Tim. „Chciałabym, żebyś skosztował tej rozkosznej *confiture aux groseilles*”, mawiała Estelle, tak jak zapewne mogłaby powiedzieć: „Chciałabym, żebyś spróbował tego rzadkiego, doskonałego przymiotnika”, i rzeczywiście miała rację, ponieważ konfitura, albo przymiotnik, wydawała się niezwykle smakowita, nawet jeśli - jak nieco uszczypliwie zauważyła później Anne-Sophie - prawdopodobnie, podobnie jak i inne dżemy, pochodziła z Monoprix.

- Anne-Sophie - spytała w pewnym momencie księżna Sternholz - czy możemy się dowiedzieć czegoś o ślubnej sukni?

- Oczywiście! Jestem z niej szalenie zadowolona. Od Ines de la Fressange. Więc tak, góra jest w *soie blanche* z czystego tiulu, długie rękawy, okrągły dekolt, a do tego spódnica z organzy z jedwabnymi wstążkami. Zupełnie prosta, ale jak sądzę, bardzo ładna.

Tim był zaskoczony, że tak otwarcie cieszy się ze swojej sukni, ponieważ Anne-Sophie zwykle, jak każda Francuzka, w odpowiedzi na komplement mówiła: „Och, to taki drobiazg, po prostu nic”, podczas gdy Amerykanka powiedziałyby po prostu: „Dziękuję”.

Jej matka posłała Timowi szeroki uśmiech. Oboje, a w każdym razie Estelle miała takie wrażenie, patrzyli na to całe zamieszanie wokół ślubu z cierpliwą pobłażliwością. Na szczęście Anne-Sophie niczego nie zauważała. Kiedy przyłapywała ich na tych porozumiewawczych spojrzeniach, inicjowanych zawsze przez Estelle, obrażała się i skarżyła potem Timowi, że traktują ją jak dziecko, *femme-enfant*.

- Musisz pójść w czymś do ślubu - powiedział Tim, lojalnie ignorując złośliwy uśmiezek Estelle - i goście spodziewają się, że zobaczą piękną suknię.

- To będzie całkowicie tradycyjny ślub - powiedziała Estelle zaczepnie do Amesa i Dorothy. - Ale jak przypuszczam, Anne-Sophie nie wtajemniczyła jeszcze Tima w swój pomysł na temat jego ślubnego stroju.

- Mężczyźni lubią się elegancko ubierać - odpada Anne-Sophie. - Tylko pomyślcie o tych wszystkich mundurach i strojach myśliwskich. Kilty. Nakrycia głowy. To jasne, że mężczyźni są najszcześliwsi, jeśli mogą włożyć jakiś kostium.

Kiedy rozmowa nieco osłabła i przy stole zapanowała cisza, Tim poczuł, że przyszła kolej na niego. Zwykle ożywiał konwersację jakąś anegdotą albo plotką jako człowiek, który więcej przebywał w świecie niż Anne-Sophie, spędzająca dni w swoim sklepiku, lub Estelle pracująca za biurkiem. Tim często ubarwiał swoje opowieści na użytek Estelle, z myślą o kreowanym przez nią uniwersum desperatów. Ciągłe nie tracił nadziei, że w końcu zdobędzie jej całkowitą aprobatę jako właściwy kandydat na męża dla Anne-Sophie. Estelle rzeczywiście lubiła jego opowieści i starała się w takich chwilach, aby miał poczucie, że jest bardziej przenikliwy i spostrzegawczy niż inni mężczyźni. Czasami sprawiała nawet wrażenie, jak gdyby obawiała się, że z Tim może czuć się nieco znudzony Anne-Sophie. Tim zaś uważał, że Estelle zdecydowanie nie docenia swojej córki.

Opowiedział więc o tym, jak zobaczył Clarę Holly i jakiegoś nieznanego mężczyznę w klubie tenisowym Marne-Garches-la-Tour, niedaleko Lasku Bulońskiego. Mając zwyczaj grywać w tenisa w poniedziałkowe popołudnia, a także piątkowe, jeśli znalazł na to czas, spotkał się w tym odległym, niewygodnie położonym klubie tenisowym z Adrianem Wilcoxem, angielskim rzeźbiarzem. Tim zwykle wygrywał z Wilcoxem, ale tego dnia Wilcox kompletnie go rozniósł na korcie i z tej radości zaproponował pójście do baru na kilka piw. Najwyraźniej chciał jeszcze raz przeżyć swoje zwycięstwo, a Tim był zbyt przyjaźnie nastawiony, by mu odmówić. Wilcox przypisywał porażce i zwycięstwu nazbyt przesadne, metaforyczne znaczenie - widział w nich albo oznakę upadku i impotencji, albo, gdy wygrywał, odrodzenia i nieśmiertelnej witalności - by Tim mógł traktować lekko jego pragnienia.

Zgodziwszy się na jego propozycję, Tim zastrzegł się, że musi zdążyć do miasta na obiad z Anne-Sophie i jej matką, co stanowiło, jak Adrian dobrze wiedział, ich poniedziałkowy zwyczaj. Na przystawkę wzięli *assiette anglaise* - jakie to typowe dla Francuzów nadać angielskie pochodzenie budzącej lekkie poczucie winy przekąsce z kiełbasek i *rillettes* - a do tego kilka piw. Tim siedział zwrócony w stronę drzwi, więc natychmiast zauważył wchodzącą Clare Holly. Wydawała się czymś przygnębiona, a nawet zrozpaczona. Nie zauważyła go.

- Co powinienem być zrobić? - zastanawiał się teraz. - Oczywiście powinienem zaraz się z nią przywitać, teraz to dla mnie jasne. Ale wtedy, zanim się zdecydowałem, było już za późno. To znaczy zdążyłem już za dużo zobaczyć. Miała prawie łzy w oczach i zamówiła coś, co wyglądało jak dżin. To od razu postawiło mnie w niekorzystnym położeniu, bo pomyślałem, że być może nie miałyby ochoty, bym widział, jak zapłakana pije czysty dżin, siedząc samotnie przy barze.

- Too jest takie amerykańskie - wtrąciła Estelle. Mówiła po angielsku z teatralnie francuskim akcentem. Anne-Sophie mówiła po angielsku naprawdę o wiele lepiej niż jej matka; w czasach szkolnych każdego roku latem wysyłano ją do Londynu, żeby pracowała nad swoim akcentem. - Czemu miałyby się przejmować? Czy kobieta nie ma prawa wypić aperitif w Ameryce? Czy to jest tak głęboko kompromitujące?

- Cóż, nie chodziło mi o to, żeby ją osądzać z powodu drinka, ale wydawała się taka przybita. Zwykle nie mamy ochoty narzucać się komuś, kto się smuci albo jest przygnębiony.

- Chyba jesteś pierwszym dziennikarzem w dziejach tej profesji, który ma podobne skrupuły - zauważyła Estelle. Często pozwalała sobie na kpiny z jego zajęcia, które w istocie bardzo przypominało jej własne.

- Ona musi być przyzwyczajona do tego, że robi wrażenie, jest piękna. A na ludzi pięknych wszyscy patrzą - powiedział Ames Everett.

- Niewykluczone, że to była wódka... - rzekł w zamyśleniu Tim.

- Myślę, że jesteście okropni, wszyscy! - zawołała radośnie Anne-Sophie. - Potępiacie biedną kobietę, jak gdyby była *alcoolique*. Co z tego, że piła samotnie w klubie tenisowym! Może poprosiła o szklankę wody! Spodziewam się, że zaraz dojdziecie do wniosku, że przyszyła podrywać mężczyzn, tak?

- Próbuję tylko wyjaśnić, że moja chwila wahania, która sprawiła, że nie przywitałem się z nią od razu, miała fatalne skutki, ponieważ, jak się domyślacie, minutę później zjawił się jakiś człowiek i usiadł koło niej. Wydaje mi się, że nie była z nim umówiona, a nawet że nie budził jej sympatii - początkowo skinęła mu dość lodowato - ale wyglądało na to, że widzieli się już wcześniej. Jakiś Francuz, członek klubu tenisowego, parę razy sam go tam widziałem. Łysiejący, w pewnym sensie przystojny, ale około pięćdziesiątki, może trochę młodszy.

- Próchno - rzuciła Estelle, która sama była nieco po pięćdziesiątce. - Taki wiekowy mężczyzna, a więc to musiało być całkiem niewinne.

- Nie wiem, co powiedział, ale w końcu się uśmiechnęła.

Adrian z Timem zamówili sobie jeszcze po piwie i zanim zdążyli wypić je do końca, Clara się śmiała. Tim pomyślał, że tamci dwoje prawie się nie znają, ale łączył ich jakiś temat rozmowy. W pewnej chwili poczuł się niezręcznie, że tak się przygląda, ponieważ najwyraźniej coś się z nimi działo, o czym świadczyły rumieńce na ich twarzach. Te twarze ich zdradzały. Byli jakby sparaliżowani jakąś emocją, która budziła ich zażenowanie.

- Tak czy inaczej, udało mi się zręcznie uniknąć chwili, w której musiałbym przyznać się do swojej obecności, ponieważ zanim wyszliśmy z klubu, poszedłem do toalety, a kiedy wróciłem do baru, okazało się, że tamtych dwojga już nie było.

- Wyszli razem? - spytała Estelle.

- Nie wiem, Adrian mi ich zasłaniał.

- To przypuszczalnie był jej makler albo dentysta - powiedziała Estelle, broniąc tej nieznaney sobie Clary przed kolejnymi domysłami, takimi anglosaskimi i pruderyjnymi, zupełnie jakby nieszczęsna kobieta została praktycznie przyłapaną in flagranti.

- Pewnie tak. Wyglądał jak bankier albo ktoś w tym rodzaju.

- Jakie to praktyczne, mieć kochanka, który jest bankierem - zauważyła Anne-Sophie. - Takim, który udziela pożyczek na zakup nieruchomości.

Tim nigdy nie czuł się całkiem swobodnie podczas domowych obiadów ze swoją przyszłą teściową - w odróżnieniu od wielu Francuzów, którzy świetnie by się przy tym bawili, ceniąc zarówno plotki, jak i dobrą kuchnię - a teraz dodatkowo wstydził się, że w ogóle opowiedział o Clarze Holly ludziom, którzy ją znają. W końcu to było pewnie tylko niewinne spotkanie, a przez niego rzecz przekształciła się w plotkę albo w dyskretny skandal. Jednak w jakiś sposób owa scena go poruszyła. Zawsze reagował żywo na emocje innych; wiedział, że trudno o gorszą przypadłość u dziennikarza. Jeśli ktoś miał łzy w oczach, Tim czuł, że zaraz sam się rozpłaczę. Kiedy widział pożądanie, sam zaczynał pożądać. Każdy pożądałby tej pięknej kobiety, nie było w tym nic dziwnego.

Około dziesiątej odezwał się telefon komórkowy Tima. Dyskretnie odszedł na chwilę od stołu, po czym niespokojnie usiadł do *tarte aux pommes*. Dzwoniła młoda Amerykanka, Delia.

- Jest przerażona. Mówi, że w całym hotelu nikogo nie ma, kierownik gdzieś zniknął, a ona słyszy jakieś podejrzone dźwięki. Powiedziałem jej, żeby poszła do sąsiedniej kawiarni i poczekała, aż wróci recepcjonistka. Hotel nie wygląda zbyt zachęcająco. Zajrzę do niej jutro rano.

ROZDZIAŁ 13

Kim jest Tim?

Jechali do domu i Tim ze swoimi długimi nogami z trudem mieścił się na przednim siedzeniu mini Anne-Sophie. Ponieważ nie rozłożyła z powrotem płóciennego dachu samochodu, zwiniętego na czas przewożenia jakiegoś parawanu, w chłodzie wieczoru czuli nadchodzącą zimą.

- Zastanawiam się, czy nie powinniśmy pojechać do tego hotelu, w którym mieszka ta Amerykanka - powiedziała Anne-Sophie.

- Nic jej nie będzie.

- *Maman* była bardzo miła w sprawie mieszkania. Jutro ją tam zaprowadzę, jeśli zdołam złapać agenta.

W żołądku Tima zagościł pewien niepokój - zapomniał o mieszkaniu.

- *Comme je suis contente* - westchnęła Anne-Sophie.

Nie kryła się z uczuciami radości i miłości. Cieszyło ją nowe mieszkanie, aprobatą matki oraz ich amerykańskich przyjaciół, Dorothy i Amesę, co prawda protestantów, ale niezbyt purytańskich, a także fakt, że Tim uprawia tak interesujący zawód, owocujący dramatycznymi rozmowami telefonicznymi podczas kolacji, oraz obietnica przyszłej małżeńskiej harmonii. Wszystko to sprawiło, że los tamtej amerykańskiej dziewczyny wydał się jej nagle szczególnie smutny.

- Biedaczka, jak ona się nazywa? - spytała.

- Kto? - krzyknął Tim z poczuciem winy, ponieważ właśnie rozmyślał gorączkowo o zbyt pospiesznej decyzji zakupu mieszkania

i o Clarze Holly - zwłaszcza o wyrazie jej twarzy, gdy patrzyła na przystojnego mężczyznę w barze, i rumieńcu zawstydenia, jaki oblał jej szyję i policzki.

- Ta Amerykanka, która do ciebie dzwoniła. Ta, która znalazła ciało biednego monsieur Boudherbe'a.

- Delia.

- Czego ona właściwie się obawia, teraz, wieczorem? - spytała Anne-Sophie

- Nie powiedziała. Nie wiem, dlaczego do mnie zadzwoniła. Chyba jestem dla niej po prostu jeszcze jednym Amerykaninem w dżungli żabojadów. Poza tym sam podałem jej numer telefonu.

- Co mogłoby się wydarzyć we francuskim hotelu o dziesiątej wieczorem? Nic. *La pauvre* - podsumowała Anne-Sophie. Zastanawiała się, czy powinna wspomnieć o tym, że widziała tego Amerykanina na strychu magazynu, ale coś jej podszeptało, żeby to przemilczeć. - Oczywiście musimy jej pomóc. Pamiętam, jaka była błada i przestraszona, gdy patrzyła wtedy na zwłoki.

- Na pewno - zgodził się Tim.

- Było ich dwoje - powiedziała Anne-Sophie. - Mężczyzna i kobieta.

- Nie widziałem tego faceta, poszedł wymienić pieniądze.

Anne-Sophie zamilkła na chwilę, po czym spytała:

- Naprawdę będziesz przeprowadzał wywiad z Serge'em Crayem?

Tim wiedział, że bardzo jej imponowało, iż czasami jako dziennikarz styka się ze sławnymi politykami i artystami.

- Jutro.

- Widziałam, że zaczynasz wdawać się w jedną z tych beznadziejnych kłótni z *maman* - odezwała się Anne-Sophie za jakiś czas.

Tim i Estelle rzeczywiście spierali się często o politykę, przy czym każde z nich zajmowało dość skrajne stanowisko, on zwykle na lewo mimo swoich związków z konserwatywnym „Reliance”. Początkowo nie mógł sobie przypomnieć, żeby tym razem groziła mu jakaś kłótnia przy kolacji, choć doszło do nieśmiałej dyskusji na temat amerykańskiego charakteru, którą udało się szybko zakończyć.

- Często się krytykuje nas, Francuzów, że wypowiadamy się niejasno, mówimy nie wprost - oświadczyła Estelle zaczepnym tonem na chwilę przed przybyciem Amesa i Dorothy.

- Nie wprost? Masz na myśli to, że nie mówicie niczego bezpośrednio? Jesteście pokrętni?

- Możesz to sobie ujmować, jak chcesz. Chodzi mi o to, że *au contraire* jesteśmy o wiele bardziej bezpośredni niż Amerykanie, którzy są zawsze nieugięci, niezmiennie uśmiechnięci. Żywe reklamy ortodoncji. Twierdzą, że się kochają, a potem mordują się bez mrugnięcia okiem.

Jednak Tim nie miał nastroju do tego, żeby dać się wciągać w obronę statystyk dotyczących amerykańskiego współczynnika zabójstw.

- Czemu ktoś miałby oskarżać Francuzów o skłonność do niejednoznaczności? - rzekł łagodnie, choć pomyślał, że ta rozmowa była dobrym przykładem takiego właśnie sposobu mówienia. - Potrafią być bardzo bezpośredni.

- Och, masz na myśli Anne-Sophie - powiedziała Estelle, która zawsze ubolewała nad zatrwającym brakiem wyrafinowania u swojej córki. Postrzegała Anne-Sophie jako uosobienie bezpośredniego sposobu bycia, co przy jej wrodzonej szczerości oznaczało całkowitą niezdolność do zrozumienia istoty flirtu; być może właśnie dlatego *jej fiance* jest Amerykaninem.

Jednak trudno powiedzieć, żeby tym razem doszło do jakiegoś sporu. Anne-Sophie złościło nieraz, że jej matka rozmawia z Timem o różnych sprawach, których nie poruszała w rozmowach z nią, jak gdyby ciągle była dzieckiem albo osobą beznadziejnie niezdolną do intelektualnej rozmowy. Estelle i Tim byli zaś pisarzami i najwyraźniej głównie to, a nie przyszełe związki rodzinne, łączyło ich ze sobą.

Jednak prawdziwym kłopotem dla Anne-Sophie nie był fakt, że Estelle była pisarką, ale to, o czym pisała. Jej powieści były często fascynujące, ale także przerażające i zawstydzające. Jako młoda dziewczyna Anne-Sophie raz po raz wracała do niektórych fragmentów, na przykład opisu młodego Pabla w powieści *Estragon*, kochanka Maude. „Miał zachwycającą rozetkę swojego odbytu, otoczoną

przez najbardziej delikatne i cudowne mahoniowe włoski, i kiedy wyginając się pod nim w ekstazie, zdołała tam sięgnąć i zaledwie wetknąć do środka koniuszek swojego malutkiego palca, ogarniał go taki zabawny paroksyzm rozkoszy - na szczęście nie tej największej, póki jej własna przyjemność nie sięgnęła zawrotnych wyżyn, ale.

Nie zadając sobie wprost tego pytania, Anne-Sophie zastanawiała się mgliście, czy Tim lubiłby, żeby wetknąć mu palec w tyłek, ale nawet gdyby tego pragnął, rzecz była fizycznie niewykonalna z powodu dzielącej ich różnicy wzrostu - po prostu nie potrafiłaby tam dosięgnąć. Istniało jeszcze kilka innych problematycznych fragmentów budzących pytania, o których wolała nie myśleć.

Dla swojej realnej córki Estelle miała zawsze jedynie najbardziej prozaiczne wskazówki, jak choćby inna rada, równie uniwersalna co wszystkie macierzyńskie pouczenia na temat czystej bielizny: o tym, że należy wychodzić za mąż z miłości, ale przecież równie łatwo zakochać się w kimś bogatym, jak w biednym. Niektórzy powiedzieliby, że o wiele łatwiej, ale nie Estelle, która mimo wygodnego mieszczkańskiego życia żywiła romantyczne poglądy na temat ubóstwa jako siły wyzwalającej, a nawet uszlachetniającej. Tak czy inaczej, niezależnie od swoich przekonań Estelle do niedawna starała się nie wypytywać córki nazbyt dokładnie, co też Anne-Sophie mogłaby ewentualnie wiedzieć o jakichś odległych, fitzgeraldowskich trawnikach na Środkowym Zachodzie, białych kolumnach, świetlikach albo bankowych skrytkach pełnych długoterminowych papierów wartościowych czy innych tego typu sprawach, jakie sama zaczynała sobie wyobrażać w związku z Timem. Albowiem ubóstwo, nawet jeśli uszlachetnia, nie jest czymś, co chciałoby się koniecznie mieć w rodzinie.

- J a k wiecie - powiedziała Estelle do swoich przyjaciół Amesa Everetta i Dorothy Minor, kiedy Anne-Sophie i Tim wyszli po kolacji - nie mam za grosz intuicji, nie potrafię kierować się zdrowym rozsądkiem i jestem absolutnie beznadziejnym sędzią natury ludzkiej...

To była jedna z jej słabostek, albowiem mimo kategoriycznych osądów lubiła udawać, że nie potrafi oceniać ludzkich charakterów i swoje powieści zaludnia postaciami zrodzonymi w wyobraźni. Sprawiała

wrażenie, jakby uważała, że jest coś odrobinę wulgarnego i wścibskiego w zwykłej umiejętności obserwowania ludzkich zachowań.

Naprawdę nie było wiadomo, kim właściwie jest Tim. Zainteresowanie Estelle rozbudziła niewielka latarka opatrzona nazwiskiem Nolinger, którą pokazała jej Anne-Sophie, oraz fakt, że trzeba będzie zapłacić za mieszkanie. Ale oczywiście jako powieściopisarka pamiętała o archetypicznych opowieściach - książkę student, Kopciuszek - w których nieznamy cudzoziemiec po ślubie okazywał się człowiekiem bardzo zamożnym w swoim kraju i pochodzącym ze znamienitego rodu.

- Nie mam żadnego wyczucia w tych sprawach, a tak bardzo zależy mi na szczęściu Anne-Sophie. Jeśli ten okropny Tim ją unieszczęśliwi, osobiście go zamorduję.

- A czemuż miałyby to zrobić? - spytał Ames. - Będzie ją traktował po królewsku. Zawsze wydawało mi się, że Tim, jako człowiek nieco pozbawiony korzeni, na pewno tęskni za spokojem i stabilnością francuskiej rodziny oraz praktyczną skutecznością dobrze zorganizowanej francuskiej żony - a w każdym razie powinien.

- Czemu teraz cię to niepokoi? - spytała Dorothy.

Estelle zawahała się. Za nic nie chciała, żeby ktoś mógł o niej pomyśleć jako o osobie wykazującej jakieś zainteresowanie pieniędzmi. Nie była chciwa - gardziła pieniędzmi, a przynajmniej ludźmi usiłującymi zdobyć je nazbyt otwarcie, toteż postaci, które w jej powieściach starały się zrobić majątek, dotykały rozliczne nieszczęścia, jak choćby monsieur Todeaux w *Plusieurs fois*. Aż do tej pory - choć dzieliło ich zaledwie osiem tygodni od ślubu, *liste de mariage* czekała gotowa i większość przygotowań była na ukończeniu - odczuwała osobliwą niechęć, być może bardzo francuską, do tego, by dowiadywać się czegoś bliżej na temat materialnej sytuacji Tima. Zapewne kryła się w tym także odrobina francuskiego przekonania, że wszyscy Amerykanie są bogaci. Z trudem więc mogła usprawiedliwić się z nadmiernego zainteresowania pochodzeniem Tima właśnie teraz. Chyba że potraktować to jako rodzaj macierzyńskiej ciekawości; w końcu która dobra matka nie pragnie, aby jej dziecko miało zapewniony bezpieczny dochód?

- To rzecz bardzo delikatna. Znamy Tiima, a jego ojciec jest wspaniałym człowiekiem, taki amerykański, pracuje w branży hote-larskiej, nigdy nie było na ten temat żadnych tajemnic. Paragon Hotels.

- Spotkałem raz jego ojca - potwierdził Ames. Domyślał się, że Estelle i Anne-Sophie nie mają pojęcia o tym, z jakiej rodziny pocho-dzi Tim; żadna z nich nigdy nie była w Ameryce.

- Czy coś wiemy na temat tych hoteli? Czy to jest jakaś duża firma?

- Paragon Hotels to sieć - a co?

- Może być jakoś związana z nazwiskiem Nolinger-Webb?

- To sieć hoteli i firm wynajmu samochodów, takie rzeczy. Raczej wątpię, żeby Tim był głównym spadkobiercą Nolinger-Webb, jeśli to masz na myśli - dodał pospiesznie Ames, choć po raz pierwszy przy-szło mu do głowy, że to nie jest wykluczone.

Czy Tim Nolinger mógł być jakimś nieszczęsnym młodszym synem, wydziedziczonym buntownikiem, niedoszłym dziedzicem wielkiej firmy oferującej usługi na lotniskach? A jednak woń każdej poważnej amerykańskiej fortuny prędzej czy później docierała do Paryża, lecz, jak dotychczas, aura żadnej z nich nie spowiła i nie przyozdobiła Tima.

- Ale nie jesteś pewny! - Głos Estelle wskazywał na rodzącą się nadzieję.

- Nolinger to nie jest popularne nazwisko, może być ta sama rodzina, ale nadal nie wiemy, czy ojciec Tima ma z nią jedynie jakieś odległe związki, czy chodzi raczej o bezpośrednie więzi rodzinne. Ktoś musiałby go zapytać. Tak czy inaczej, ja nic o tym nie wiem. To są kluczyki Tima?

- Nie, nie, to nie ma nic wspólnego z Timem, ale skłoniło mnie do namysłu w sprawie nazwiska. Raczej nie mogę spytać Anne-Sophie, lecz zastanawiam się, czy ona sama czegoś nie wie na temat ewentu-alnych związków Tima z tą siecią.

- Na pewno rozmawiali o swoich rodzinach - powiedział Ames.
- Przypuszczalnie to dla niej całkiem jasne, Anne-Sophie ma zawsze klarownie wyrobione zdanie.

- Czy to nie nazbyt prostackie czerpać nadzieję z myśli o tym, że jakaś wielka sieć hoteli kryje się w drzewie genealogicznym Tima? A jednak... - Ames poznał po timbrze głosu Estelle, że naprawdę zaczęła mieć nadzieję. - Co o tym sądzisz? Jest dobrze wychowany, ale to może być zasługa matki, która z domu mówi po francusku. Poza tym chodził do szkoły w Szwajcarii. Wychowywał się w Stambule czy innym takim dziwnym miejscu. Co można z tego wywnioskować? Nic.

- Lata, które jego ojciec spędził w Stambule, oznaczają jak dla mnie w najlepszym razie „odległy kuzyn”, ale czemu sama go nie spytasz? - zaproponował Ames.

- Spytać go?! Niemożliwe!

„To porządna rodzina, *maman*, naprawdę - powiedziała raz Anne-Sophie. - Widziałam fotografie domu, w którym mieszkali w Ameryce jego rodzice, bardzo przyjemny biały budynek zrobiony z drewna, ale większość czasu spędzali w Europie z powodu pracy jego papy. Zresztą poznałaś monsieur Nolingera”.

- J e g o *portefeuille* - nazywacie to „biilfold”, portfel? Kiedyś to był niezawodny wskaźnik zamożności mężczyzny, ale teraz jest często zrobiony z jakiegoś podejrzanego plastiku. To samo, jeśli chodzi o buty, „riibok” albo „niick”. Nie sposób się zorientować - Estelle uskarżała się księżnej i Amesowi.

W drodze powrotnej taksówką do domu Ames w pewnym momencie powiedział do Dorothy:

- Nie przyszło mi to wcześniej do głowy: dziedzic wielkiej fortuny. Ale jest w nim coś zagadkowego, tajemniczego. Czy może chodzić o to?

- Bardziej prawdopodobny wydaje mi się jakiś wyrok sądowy - zaprotestowała.

Roześmiali się pod wpływem lekko nieprzyzwoitej przyjemności, jaką czują ludzie, którzy wiedzą, że naruszają uświęcone tabu - w tym wypadku obowiązujące wśród Amerykanów przebywających za granicą tabu dotyczące zaglądania sobie nawzajem w swoje amerykańskie życiorysy albo kwestionowania takiej wersji swojego życia, jaką każdy wygnaniec ma prawo przedstawiać innym, nie narażając się na ich wątpliwości.

- A do tego jeszcze Clara Cray i ten tajemniczy człowiek - dodała Dorothy.

- Powiedz mi coś o tej kobiecie, która, jak powiedziałaś wczoraj rano, najwyraźniej zafascynowała Tima - poprosiła Estelle na odchodnym.

Niewielu Francuzów oglądało zapomniany hollywoodzki film, który przyniósł Clarze sławę w rodzinnym mieście i sprawiał, że część kinomanów zapamiętała ją jako Clarę Holly; dla Francuzów była madame Cray tak jak inne żony swoich mężów. Estelle zdążyła już nabawić się pewnej abstrakcyjnej niechęci do tej kobiety w imieniu Anne-Sophie oraz pod wpływem właściwej Francuzkom odruchowej niechęci do innych kobiet w ogóle, nie licząc sprawdzonych przyjaciółek, chociaż i dla nich nie można czynić wyjątku tam, gdzie w grę wchodzi mężczyźni.

- Blondynka?

- Nie, nie, krótkie ciemne włosy, kręcone. Ma raczej dość zaróżowione policzki, ciemną karnację i bardzo duży biust jak włoska aktorka.

- No tak, rzeczywiście - przyznał Ames Everett.

ROZDZIAŁ 14

Gdzie jest Gabriel?

Tim i Anne-Sophie znaleźli Delię Sadler w kawiarni niedaleko hotelu Le Mistral. Siedziała samotnie w zacienionym kącie sali przy małym stoliku z marmurowym blatem, wpatrując się w pustą filiżankę po kawie. Sprawiała wrażenie opuszczonej, zdenerwowanej i przestraszonej. Wydawało się, że jej drobne ramiona w bluzce w paski drżą delikatnie i żeby się uspokoić oraz zaprowadzić jakiś ład wokół siebie, wycierała blat stołu serwetką. Uśmiechnęła się na ich widok i pomachała do nich z ulgą. Anne-Sophie pierwsza ruszyła energicznie w jej stronę, wołając:

- Byłam tam, wiesz, widziałam cię! Na *puces*. Widziałam wszystko! Co za straszny widok!

Delia przypomniała sobie tę kobietę: ładna młoda blondynka, która ciągle paliła, podobnie jak teraz. Anne-Sophie zawsze paliła, jak gdyby papieros stanowił rodzaj balastu, który utrzymywał ją w pionie. Tim dostrzegł w spojrzeniu Delii, że rozpoznała Anne-Sophie, następnie przeniosła wzrok na jej papierosa, a potem ponad nią w jego stronę. Najwyraźniej była zaskoczona połączeniem Tima, amerykańskiego reportera, z młodą Francuzką, którą widziała na targowisku staroci.

- To jest Anne-Sophie - wyjaśnił Tim.

- Widziałam cię tamtego ranka - powtórzyła Anne-Sophie, wyciągając dłoń.

Delia Sadler wydawała się nieco zdezorientowana tym widokiem, jak gdyby zastanawiała się, po co Anne-Sophie chce podać jej rękę.

Czy kobiety nie witają się w ten sposób w Ameryce? Tim nie mógł sobie przypomnieć. Miał wrażenie, że ucieszyła się na ich widok.

- Tak mi przykro, że was niepokoję, nie powinnam była dzwonić, ale spanikowałam. Myślę, że mają Gabriela, mojego kolegę - wyjaśniła.

Anne-Sophie usiadła przy stoliku i wezwała gestem kelnera.

- *Je prends un cafe.*

- Weź jeszcze jedną kawę - powiedział Tim do Delii. - *Une biere, s'il vous plait.* Co się stało?

Delia zaczęła opowieść.

Z natury była osobą wolną od podejrzliwości i zasadniczo nie miała wątpliwości co do swego bezpieczeństwa i przysługujących jej praw oraz swojego statusu jako amerykańskiej obywatelki - chwilowo bez paszportu - oraz jako ukochanej Gabriela Billera. Mimo to, zbudziwszy się tego ranka, poczuła się jeszcze bardziej zaniepokojona i zdezorientowana niż poprzedniego dnia. Przypomniała sobie o ludziach z FBI i dziennikarzu Timie - najwyraźniej wszyscy czegoś od niej chcieli, czegoś, czego nie mogła im ofiarować, jakiejś informacji, wyjaśnień, współpracy, kluczy. Chociaż na początku udawali, że traktują ją przyjaźnie, potem zniechęcili się do niej i w końcu ją porzucili. Dwaj mężczyźni o imieniu Frank nakazali, by nie ruszała się z miejsca, powiedzieli, że będą w kontakcie, wrócą i zobaczą, co się z nią dzieje.

- Ale dzisiaj wcale się nie zjawili. Spędziłam tutaj cały dzień, mój czwarty dzień we Francji. Chciałam przynajmniej pójść do Luwru, w końcu po to tu przyjechałam - wyjaśniła. - Zamierzałam tam chodzić każdego dnia przez cały tydzień, zostały mi jeszcze cztery dni.

Rano siedziała przez jakiś czas nad kawą w malutkiej jadalni przylegającej do hotelowego holu, dopóki sprzątaczką nie zaczęła spoglądać w jej stronę z coraz większą niechęcią. Pozostali goście, kupcy i handlowcy, siorwali kawę i przegryzali suchym chlebem; do tego w ogóle nie było soku pomarańczowego. Przypomniała sobie o paszporcie i o tym, jak ludzie z FBI powiedzieli do tego faceta Tima: „Chyba nie powinienes pisać o tej sprawie, która i tak nie jest zbyt interesująca, a Francuzi są bardzo wrażliwi i prasowa informacja na ten temat mogłaby skomplikować obecną sytuację miss Sadler”.

Tim wątpił, żeby to była prawda, ale najwyraźniej zgodził się z ich opinią, stanowiącą skądinąd miły komplement dla potęgi dziennikarstwa; podobała mu się myśl, że jego tekst mógłby wpłynąć na bieg procedur prawnych i wywołać międzynarodowe komplikacje.

- Też się nad tym zastanawiałem - powiedział teraz. - Dlaczego nie miałbym o tym pisać i dlaczego nie powinienem tego robić?

- Dziś rano miałam wciąż pięćset franków, jakie Clara Holly pożyczyła mi w sobotę, ale zaczynałam mieć już dosyć hotelowej restauracji, gdzie mogłam dopisać jedzenie do rachunku, więc powiedziałam sobie, że wkrótce i tak dostanę jakieś pieniądze z Oregonu, i w porze lunchu postanowiłam zjeść coś gdzie indziej, niedaleko, żeby nie można mi było zarzucić, że ruszałam się z miejsca.

Na rogu obskurnej uliczki usianej małymi kafejkami znajdowała się brasserie pod nazwą Le Bon Tabac, co stanowiło dla Delii kolejny przykład kulturowych zagadek.

- W Oregonie szybko byś zbankrutował, gdybyś nazwał restaurację *Dobry Tytoń* - stwierdziła.

Usiadła przy stoliku na zewnątrz, ponieważ słońce świeciło na tyle mocno, by ogrzać chłodne październikowe powietrze, a poza tym była dobrze widoczna, co świadczyło o tym, że nie zamierzała nigdzie uciekać, na wypadek gdyby zjawiała się policja. Jako wegetarianka zamówiła kanapkę z serem, która okazała się ogromna, całe pół bagietki, naprawdę wspaniała, ponieważ mogła starczyć na godzinę, jeśli pogryzać ją powoli. Dwadzieścia dwa franki. Kiedy już rozsiadła się przy stoliku i została obsłużona, pograżyła się w myślach o swoim losie, o tym, co się dzieje z Gabrielem i co z tych doświadczeń będzie mogła opowiedzieć w domu.

Kiedy wróci do Oregonu, oczywiście opowie o martwym człowieku na pchlim targu. Ale mogła także opowiedzieć o nieprzyjemnej scenie, jaka przydarzyła jej się w kawiarnianej toalecie, w piwnicy tej brasserie. Opowiadając ten epizod, uważnie przyglądała się Anne-Sophie i Timowi, jak gdyby chciała się przekonać, czy są zaszokowani.

- To była ogólna toaleta, taka z pojedynczymi małymi kabinami zamykanymi na solidne drzwi, ale wszystkie były zajęte i kosztowały dwa franki. Dwa franki! Kręciłam się więc, czekając, aż ktoś wyjdzie,

żebym mogła wejść do środka. W końcu wyszedł jakiś mężczyzna, ale kiedy próbowałam chwycić drzwi, żeby zaoszczędzić w ten sposób dwa franki, zagroził mi drogę. Naprawdę! Co za egoista! Coś takiego nigdy nie zdarzyłoby się w Ameryce. U nas w kraju druga kobieta na pewno przytrzymałaby ci drzwi, żeby się nie zatrzasnęły! Jak jest u mężczyzn, nie wiem.

Tymczasem mężczyzna mocno zatrzasnął drzwi, a kiedy usiłowała włożyć dwufrankową monetę w szczelną automat, okazało się, że są dalej zamknięte i nie przyjmują monety. Mężczyzna leniwie wymył ręce w umywalce i poszedł na górę.

Kiedy czekała, aż zwolni się druga toaleta, otworzyły się drzwi tej pierwszej i ze środka wyszła jakaś kobieta. Z tej samej kabiny, co przedtem tamten mężczyzna! Delia była zaszokowana. Może wszyscy znak to miejsce, Le Bon Tabac, gdzie są dźwiękoszczelne kabiny i można je wynająć za dwa franki, żeby się w środku pieprzyć i zażywać narkotyki albo robić jeszcze coś innego! Usiłowała wyobrazić sobie, jak to jest, kiedy się to robi, stojąc na misce klozetowej.

Ta dwudziestokilkuletnia kobieta wcale nie wyglądała jak prostytutka, nie była wcale zaniedbana czy zrezygnowana; prawdę mówiąc, wyglądała na dość zadowoloną z siebie, poprawiła włosy przed lustrem i uśmiechnęła się do swojego odbicia, z którego trudno coś wywnioskować na temat jej nastroju.

Anne-Sophie i Tim śmiali się, słuchając tej opowieści, a ich śmiech najwyraźniej zaszokował Delię jeszcze bardziej.

Wróciła na górę i ponownie zamówiła kawę, siedem franków, po czym usiłowała jakoś poukładać sobie to wszystko. A potem poszła do innej kawiarni po drugiej stronie ulicy, gdzie wypiła kolejną kawę - *café* - sześć franków pięćdziesiąt centymów. Ciągłe można się czegoś nauczyć! Jakie to dziwne, że jeśli nie jesteś ofiarą morderstwa (oczywiście), zaczynasz dostrzegać wokół tyle interesujących szczegółów podróży, takie bogactwo otaczającego cię świata niczym w pięknym, bogato zdobionym brokacie, ale także mnóstwo oznak zużycia, jak w starych serwetach stołowych, które sprzedawała w Oregonie, niekiedy oznaczonych monogramem z inicjałami panny młodej, ale czasem noszących ślady spłowiących, niewywabionych

plam powstałych podczas dawnych przyjęć. Wszystko, co widziała znad swojego małego stolika z czarnej formiki przez szparę w ścianie Cafe Le Destin, nosiło na sobie spłowiałe ślady minionych stuleci. Na wystawie sklepu rzeźniczego dostrzegła czarną tablicę, na której odręcznie napisano coś kredą tak nieczytelnie, że nie sposób było tego odcyfrować, nawet gdyby się znało dobrze język francuski.

Wędrując dalej, zaczęła się zastanawiać, czy warto wydać parę franków na jakieś czasopismo, skoro i tak nie umiałyby go przeczytać. Długo stała przy stoisku z gazetami, porównując ceny kolorowych magazynów, a ponieważ i tak nie mogłaby żadnego z nich przeczytać, chciała znaleźć taki, w którym będzie przynajmniej najwięcej fotografii. W końcu zdecydowała się na „Marie Claire”, dwadzieścia pięć franków, i wróciła do hotelowego holu, żeby przejrzeć pismo. Co jakiś czas rozmyślała o przedziwnym losie prostytutki, która musi pieprzyć się w toaletach, i o społeczeństwie, które na coś takiego pozwala. Coraz więcej widziała we Francji rzeczy, które jej się nie podobały i budziły jej sprzeciw.

Jej francuski horror wzbudził w niej swego rodzaju abstrakcyjną fascynację. Zaczęła sobie zapisywać wszystko w niewielkim notatniku, poczynając od kradzieży portfela i paszportu. Hotel: materac był cienki, pokój brzydki, recepcjonistka patrzyła na nią z góry i odnosiła się do niej nieprzyjaźnie; mówiła po angielsku, a mimo to często udawała, że nie rozumie, co się do niej mówi. Pracownicy w amerykańskim konsulacie wcale nie byli Amerykanami, tylko Francuzami, prawdopodobnie z powodu jakichś francuskich praw. Sama widziała, jak arogancko i wzgardliwie potraktowali jakiegoś starszego człowieka stojącego przed nią w kolejce; starego, niezbyt dobrze ubranego, bezbronnego człowieka, który miał posklejane żółtawe włosy. Usiłował uzyskać świadectwo urodzenia albo inny dokument związany z ubezpieczeniem społecznym swojej zmarłej żony. Chciał ponownie się ożenić i potrzebne mu były jakieś papiery dotyczące nieżyjącej małżonki.

- Nie chce pan stracić jej emerytury, tak? - powiedziała szyderczo dziewczyna w okienku.

- T a k . . .

- Chcemy zachować każdy kawałeczek, ile się da - mówiła dalej urzędniczka ze straszliwą wzgardą.

- Jak gdyby to była jej sprawa - oburzała się Delia - jak gdyby te pieniądze pochodziły z jej kieszeni. „Chce się pan upewnić, że każda emerytura do pana dotrze”, mówiła dalej ta kobieta tym samym szyderczym tonem. - Ci biurokraci po prostu się z niego wyśmiewali! - Zdaniem Delii był to kolejny przykład niewrażliwości zniechęconego rządu i tego, jak wtrąca się on w ludzkie życie. - Co ona wiedziała o życiu tego biednego człowieka?

O czwartej po południu Delia znowu była chora z niewyspania. Jak długo można cierpieć z powodu zmiany czasu? Wiedziała, że nie powinna się kłaść, ale zasypiała na stojąco. Czuła się tak, jakby jakaś chłodna rtęć wyciekająca z rdzenia kręgowego zalewała jej mózg, wymazując wszelkie myśli; zasnuwała jej oczy coraz głębszym cieniem. Powiedziała sobie, że krótka zdrowa popołudniowa drzemka uwolni ją od tej udręki. Ze zgrozą pomyślała o torturach polegających na odmawianiu człowiekowi snu.

Spać. Uległa tej przemożnej myśli i opuściła hol hotelu Le Mistral. Zirytowana recepcjonistka odprowadziła ją wzrokiem. Delia nie potrafiła powiedzieć, czy była nastawiona do niej życzliwie, czy nie. W końcu dzielnie odmówiła wpuszczenia agentów FBI do pokoju Gabriela, tak jak należało postąpić. Z drugiej strony możliwe, że nie lubiła Amerykanów ani w ogóle turystów. Nie sprawiała wrażenia kogoś, kto ich lubi. Kiedy Delia przechodziła obok jej kontuaru, kobieta powiedziała sucho:

- Wie pani, madame, że nawet jeśli monsieur nie używa swego pokoju, i tak musi za niego płacić, dopóki się nie wymelduje?

Delia wzruszyła ramionami i poszła do siebie.

- Szczerze mówiąc, jak na razie, nie jestem powalona życzliwością Francuzów, włączając w to ludzi w amerykańskim konsulacie - powiedziała do Anne-Sophie i Tima.

Znalazłszy się w swoim pokoju, zdjęła tylko dżinsy i położyła się na łóżku. Nie rozebrała się do końca na dowód, że zamierza wstać za godzinę albo dwie, po czym zapadła w głęboki kamienny sen. Jakiś czas później, trudno powiedzieć o której, obudziła się trzeźwa,

jak gdyby to był poranek, choć neonowe światło, odbijające się w suficie, mówiło jej, że jest noc.

- Nie miałam pojęcia, która godzina, ale byłam zupełnie przytomna jak w środku dnia i od razu zorientowałam się, że zza ściany, z pokoju Gabriela, dobiegają jakieś hałasy. Może to one mnie zbudziły. Słyszałam, jak ktoś wysuwa i wsuwa szuflady. Myślę teraz, że to byli dwaj faceci z FBI - powiedziała. - Chcieli zajrzeć do jego pokoju i znaleźli jakiś sposób, żeby się tam dostać.

Anne-Sophie i Tim zasypali ją pytaniami. Dlaczego FBI chciałyby wejść do pokoju Gabriela, mimo że nie ma nic wspólnego z francuskim morderstwem i spędził tamtą noc razem z nią? Dlaczego Gabriel miałby zamordować nieznanego sobie handlarza antyków? Zaczęło do niej docierać, że jej pewność opiera się na kruchych podstawach, a bezpieczeństwo najwyraźniej zależy od współpracy, braku złośliwości i dobrej woli wszystkich zainteresowanych. Zwłaszcza obu mężczyzn o imieniu Frank.

- Wiem, że to brzmi jak paranoja, ale przyszło mi do głowy, że morderca zauważył nas z Gabrielem na pchlim targu i doszedł do wniosku, że i my go widzieliśmy. Zaczaił się więc i zamordował Gabriela, a teraz poluje na mnie. To tylko moje paranoiczne myśli. Ale przecież nie próbowałyby mnie zabić w holu hotelu Le Mistral. A może próbowałyby?

Tak więc zeszła z powrotem do holu, zdecydowana raczej nie wracać na górę, do swojego pokoju, który i tak był za mały, a do tego miał brzydkie jasne meble, cienkie zielone nakrycie łóżka, stare krzesło i popękane lustro, w którym jej twarz jakby się rozpyływała. Wtedy właśnie postanowiła zadzwonić do Tima.

- Siedziałam tu, starając się jakoś w tym wszystkim połapać. Coś się stało, Gabriel nie wrócił, po prostu zniknął. Myślę, że ktoś go złapał, policja albo morderca mężczyzny z pchlego targu, a więc mogą i mnie coś zrobić.

Tim nadal nie wiedział, czy ma jej uwierzyć. Może to tylko kwestia nieszczęśliwego zbiegu okoliczności albo pecha, chyba że jednak naprawdę była w coś zamieszana - najbardziej prawdopodobne to narkotyki albo kradzież dzieł sztuki, skoro chodzi o ludzi związanych z pchlim targiem.

- A może on sam przyszedł do swojego pokoju? - spytał Tim, ale Delia wydawała się urażona sugestią, że Gabriel miałby zakraść się do swojego pokoju i nie dać jej znaku życia.

Oczywiście, że to nie mógł być on, bo inaczej czemu nie zapukał do jej drzwi, a poza tym z kim by rozmawiał? Może z dwoma mężczyznami o imieniu Frank.

- Chyba nie powinnaś tu zostać - odezwała się Anne-Sophie. - Możemy znaleźć jakieś miejsce, w którym mogłabyś się zatrzymać, i powiadomić policję, gdzie się znajdujesz. A na razie może przeniesiesz się do innego hotelu, w którym poczułabyś się bezpiecznie?

- Ale wtedy Gabriel nie mógłby mnie znaleźć, gdyby... gdyby wrócił.

U mnie na strychu, pomyślała Anne-Sophie, myśląc o Gabrielu. Ogarnęło ją przyjemne poczucie, że wie coś, czego inni nie wiedzą. W pewnym sensie Gabriel należał teraz do niej niczym jakiś sekret, zupełnie jakby znalazła na wyprzedaży cenny przedmiot przeoczony przez innych. Czy postępowała nielejalnie, nie mówiąc o tym Timowi? Nie miała pewności, wiedziała jedynie, że to jest coś, o czym tylko ona może w tej chwili rozmyślać. Na razie ta amerykańska dziewczyna nie ma się czego obawiać, to w końcu jest Francja. Chyba że oboje zajmują się przemytem narkotyków, ale młoda kobieta nie wyglądała na kogoś takiego i naprawdę byłoby szkoda, gdyby się okazało, że taki przystojny mężczyzna jest przestępcą.

- Nie wymeldował się? - spytał Tim. - Czy obsługa pozwoliłaby ci wejść do jego pokoju? Może Gabriel zostawił tam jakieś pieniądze, jakieś wskazówki. Czy umiałabyś poznać, gdyby kto coś stamtąd zabrał?

- Nie sądzę, żeby otworzyli jego pokój, skoro nie wpuścili tam facetów z FBI. Ale spróbujmy się dowiedzieć. Możesz spytać ich po francusku, tak jak zrobiłeś poprzednio? Wyłumatczyć, że to nadzwyczajna sytuacja, że zniknął? Mogłabym przechować jego rzeczy w swoim pokoju, przynajmniej nie musielibyśmy płacić za dwa - powiedziała.

- Dobrze - zgodził się Tim. - Tak czy inaczej, nie zrobią tego dziś wieczorem. Wrócimy teraz razem z tobą i poczekamy, dopóki nie

zjawi się recepcjonistka. A na razie się nie martw, nic więcej nie może się wydarzyć we francuskim hotelu.

Kiedy przechodzili przez słabo oświetlony hol, Anne-Sophie przyznała, że hotel nie wygląda zbyt elegancko, ale na prowincji zatrzymywała się w gorszych miejscach podczas swoich wypraw na zakupy. Domyślała się, że nieśmiałość Delii wynika z tego, że jest *handicapee*.

- Czy chcesz, abym ci pożyczyła *telephone*? - spytała. - Wtedy mogłabyś od razu zadzwonić po pomoc, gdyby nikogo nie było w recepcji. - Dała Delii swój telefon komórkowy i powiedziała, jak zadzwonić na policję.

Potem poszli z nią do jej pokoju i zajrzeli do środka - był pusty. Głębokie westchnienie Delii zdradziło, że targają nią sprzeczne pragnienia, by zostać i wyjść stamtąd jak najszybciej, oraz że się boi - mimo to odważnie pożegnała się z nimi, życząc im dobrej nocy.

ROZDZIAŁ 15

Pudełko z wycinkami

Pierwsza myśl, jaka przyszła do głowy Clarze we wtorkowy poranek, nie dotyczyła jej synka, jak to zwykle bywało, ale francuskiego myśliwego, z którym rozmawiała poprzedniego dnia, monsieur de Persanda. Wyszła z budynku biblioteki mocno zdenerwowana, w stanie wzburzenia, którego nie potrafiła sobie wytłumaczyć, z powodu konfrontacji z merem i delegacją myśliwych. A potem jeszcze ta rozmowa w klubie tenisowym z łysiejącym Francuzem, który odezwał się do niej podczas spotkania w bibliotece. Czy jechał za nią? Czy to zbieg okoliczności, że przyjechał do klubu tenisowego Marne-Garches-la-Tour? Los czy celowe działanie? Ale czy to miało dla niej jakiegokolwiek znaczenie? Tak czy inaczej, był miły, starał się ją pocieszyć i rozśmieszyć, mówiąc, że jego przyjaciele i tak bardzo niecelnie strzelają.

- Gdzie byłeś? - spytał Serge, kiedy wróciła do domu. - Myślałem, że przyjedziesz zaraz po spotkaniu.

Poczuła lekkie ukłucie irytacji, że ją przepytuje, jak gdyby domyślił się jej wzburzenia z powodu spotkania, na które nie chciało mu się pojechać.

- To było denerwujące - powiedziała. - Nie wiem czemu, bo nie działo się nic nowego. Ale przez chwilę byłam roztrzęsiona i wolałam nie siadać za kierownicą.

Nieustannie błędziła myślami wokół wczorajszych wydarzeń. Przypomniała sobie, jak straciła równowagę emocjonalną podczas

spotkania, jak rozmawiała potem z tym człowiekiem. Kilka minut flirtu, zaciekawienia, zupełnie ją to zaskoczyło. Może jego także to zaskoczyło? Nie sprawiał wrażenia mężczyzny, który poluje na kobiety w barach klubów tenisowych.

Był żonaty, nosił obrączkę. Ona ma męża. Zanim wyrzuci to wszystko z pamięci, pozwoliła sobie tego ranka przez chwilę albo dwie porozmyślać o jego bardzo długich rzęsach - niektórzy mężczyźni mają takie rzęsy - i o jakiejś nieokreślonej sile związanej z jego łysiną, sile, która przypuszczalnie leży także u podstaw mitu (a może to prawda?), że łysina jest oznaką szczególnego męskiego wigoru. Musiała przyznać, że jeśli mężczyzna jest przystojny, łysina nadaje mu jeszcze większego uroku. Duże szare oczy z dość ciężkimi powiekami... wyobraziła sobie, jak patrzy z góry na innych mężczyzn podczas spotkań biznesowych. Próbowwała otrząsnąć się z tych rojeń. Dlaczego coś takiego w ogóle zaprzęta jej uwagę? Jakiś nieinteresujący mieszczanin, pewnie dyrektor towarzystwa ubezpieczeniowego, może bankier.

Ale wciąż o nim myślała, kiedy nagle zadzwonił telefon. To była Cristal, co położyło kres chwilom samotnych rozważań, jakimi mogła się cieszyć, zanim Serge zejdzie na dół. Cristal bardzo często dzwoniła z samego rana, a to oznaczało, że nie położyła się jeszcze spać tam u siebie, w Oregonie, może z powodu bezsenności albo jakichś kłopotów. Clara poczuła dobrze znane uczucie lęku.

- Teraz z pomocą innych jakoś sobie radzę z tą moją złością - mówiła Cristal. - Ale to nie zawsze tak będzie. Czasami po prostu nie mogę oddychać, brak mi tchu.

- Co cię tak bardzo złości? Matka? Wiem, że potrafi być męcząca. Nie jej nie jest?

- Twoja matka jest aniołem, to uosobienie słodyczy. Tak nam się dobrze żyje razem, ona jest... myślę o niej jako o swojej najdroższej przyjaciółce.

- Więc nie rozumiem. - Clara pomyślała, że Cristal robi się jeszcze bardziej męcząca niż poprzednio.

- Wiem, że zachowuję się zbyt emocjonalnie. Jestem zbyt emocjonalna, ale to z powodu tych wszystkich cierpień, jakich doznałam

w przeszłości. A do tego napięcia codziennego życia. To nie twoja matka jest winna, to przez SuAnn. Bierze jakieś nowe lekarstwo i ono nie pomaga, i...

Córka Cristal, SuAnn, chorowała na psychozę maniakalno-depresyjną i często musiała przebywać w szpitalu. Miała malutką córeczkę. Clara rozumiała, że mogło to być dla Cristal źródło dużego stresu. Sama z powodu Larsa znała to uczucie ciągłego skurczu w piersi, poczucie nierozwiązanego problemu, troski o dziecko, tęsknoty. Ale Cristal robiła się doprawdy nieznośna, ciągle narzekała. Clara bezustannie wysyłała jej pieniądze.

- Cristal, daj mi znać, jeśli mogę jakoś pomóc. Wiesz, że ci pomogę. Czy SuAnn powinna spotkać się z kimś nowym? Z nowym lekarzem?

- Nie widzę sensu w tym, żeby wyrzucać na to więcej pieniędzy. Twoich pieniędzy, cha, cha. Spotykała się już z najlepszymi lekarzami. Z tego, co widzę, traktują ją jak świnkę doświadczalną. Zostawmy to lepiej. - Zaczęła opowiadać o starszej pani Holly, która o tej porze już spała.

- Dobrze - powiedziała Clara, wdzięczna, że mogą zmienić temat.

- Lekarz dał jej jakiś nowy środek, chodzi teraz spać wcześniej, dzięki Bogu. Mam na myśli twoją mamę.

- Ale ty jeszcze nie śpisz.

- Tak to już ostatnio jest - stwierdziła Cristal.

Clara odkładała właśnie słuchawkę, gdy do pokoju wszedł Serge, trzymając w ręku garść wycinków.

- Popatrz - powiedział, pokazując jej artykuł, który właśnie wyciął z „Herald Tribune”. Trzymał te wszystkie wycinki starannie poskładane w specjalnym pudełku, ognioodpornej skrzynce. Była prawie pełna. - Czterech mężczyzn wdarło się do sklepu z bronią w Kansas. To jak dotąd najdalej na wschód.

Clara przeczytała tekst i położyła papier na wierzchu sterty. Chodziło o to, gdzie miał się rozgrywać hipotetyczny nowy film Serge'a. Omawiał to prawdopodobnie tamtego wieczoru z Wołym

i pozostałymi pracownikami wytwórni. Rozmowy z nimi na ten temat trwały już od kilku lat, Serge gromadził wycinki w swojej skrzyneczce i przypuszczalnie pracował nad scenariuszem, ale jak dotąd nie miał wiele do pokazania.

- Kansas? Pola pszenicy, te domy na farmach, to mogłoby być malownicze - powiedziała tonem zachęty.

- Jeśli zebrać do kupy wszystko, co się działo w ostatnich sześciu miesiącach - rzekł Serge - a mówię tylko o prasowych doniesieniach, wygląda na to, że ci ludzie zgromadzili spory arsenał broni w rękach cywilów, nie licząc takich historii jak Waco czy Oklahoma City.

Wyobrażał sobie, że Ameryka to kraj na skraju prawicowej rewolty, kraj zdesperowanych szkolnych komitetów rodzicielskich, wywrotowych drużyn skautów i zbuntowanych lokalnych Rad Handlu, potajemnie zbrojących się klubów Lion's i Elks, słowem, naród w przededniu rewolucji. Serge nigdy nie spierał się z Clarą na ten temat, gdyż z góry założył, że ona z racji swojej płci albo swojej amerykańskości po prostu nie potrafi tego pojąć. Zgromadzone przez niego wycinki opowiadały o napadach na sklepy z bronią, o bombach podłożonych w małomiasteczkowych ratuszach i pod trybunami dla orkiestr, od czasu do czasu były to także szczegółowe relacje wydarzeń z Waco czy Ruby Ridge. Tak, to prawda, przyznawała, że trafiają się w Ameryce jacyś szaleńcy i czasem dochodzi do tragedii. Serge wyobrażał sobie film o niezwykłym rozmachu, oddający na ekranie wszystkie lęki mieszkańców prairii; film, który jednocześnie odzwierciedlałby całe pokłady protestu kryjące się w sercach wszystkich patriotów we wszystkich miejscach na ziemi i piętnowałby zło wszelkiej opresji.

Film bowiem - niezależnie od swoich ograniczeń, jeśli chodzi o elastyczność w obrazowaniu pojęć - potrafił oddać ruch oraz głębię. Serge miał na myśli ogromne kadry na nieskończenie szerokim ekranie, równie wszechobjmujące, jak ludzki umysł. Problem polegał tylko na tym, jak znaleźć właściwy obraz, który by je wypełnił. Wyobrażał sobie, że powinny to być obrazy wyrażające takie abstrakcje, jak wolność, natura i potęga człowieczych możliwości wiodących

ludzkość wprost w nieskończoność - gdyby tylko udało mu się je znaleźć. Myślał też o zobrazowaniu takich pojęć, jak komizm, piękno i słodycz życia. Dla Serge'a „życie” uosabiała postać zadowolonego mężczyzny siedzącego na tle ściany zalanej słońcem: sombrero nasunięte na oczy, które obserwują świat życzliwie. Człowiek owinięty w błękitny płaszcz, czujne spojrzenie. Potem następstwo kadrów, jak kolejne posunięcia w grze, takie piękne w porównaniu z ograniczeniem i zawiłością książek z żółtawym papierem i poplamionymi grzbietami. Ale i książki darzył miłością. Uwielbiał je z powodu ich roli poprzedników i zwiastunów filmu, bezkształtnych, płaskich, ale tchnących aurą ludzkich namiętności, wysiłku, pasji.

- Nie zapomnij, że dzisiaj przyjeżdża ten człowiek, dziennikarz. Nazywa się Tim Nolinger - powiedziała Clara.

ROZDZIAŁ 16

Iluminowane manuskrypty

Tim pożyczył tego dnia samochód od Anne-Sophie, ponieważ miał wiele spraw do załatwienia. Ledwie usiadł za kierownicą, zadzwonił jego telefon komórkowy. To była Delia, zdyszana i przerażona.

- Ktoś usiłował dostać się do mojego pokoju dziś w nocy - mówiła szybko. - Jestem tego pewna. Ktoś na mnie poluje, ktoś złapał Gabriela...

Tim uspokoił ją na tyle, na ile potrafił, i powiedział, żeby na niego poczekała w kawiarni obok hotelu, gdyż nie zdoła dotrzeć tam wcześniej niż o pierwszej.

Tego ranka miał bowiem spotkanie z Crayami. Wniósł o wskazówek, jakie otrzymał w paryskim biurze wytwórni Monday Brothers Films, że posiadłość Crayów znajdowała się tuż pod Etang-la-Reine, bliżej Marne-Garches-la-Tour, niż się spodziewał, i nie daleko miasteczka Val-Saint-Remy skąd pochodzili przodkowie Anne-Sophie, przy bocznej drodze prowadzącej przez zagajnik patykowatych drzew posadzonych w rzędach oraz dużych zarośli rododendronu. Piękny duży dom, albo jak woła niektórzy, małe *chateau*, przypuszczalnie z osiemnastego wieku, wymagające z zewnątrz *ravalement*, otaczał przyjemnie zaniedbany las o powierzchni wielu hektarów. Bliżej domu widać było ogrody kwiatowe w stylu angielskim z jeszcze kwitnącymi astrami. Do budynku dojeżdżało się albo długą aleją, po minięciu imponującej bramy, albo wystarczyło zaparkować przy głównej drodze, do której przylegała jedna ze ścian *chateau* -

ktos nasmarował na murze jakieś nieczytelne graffiti. Tim wyczuł, że należało wybrać się od strony bramy i alei wjazdowej.

Drzwi otworzyła mu sama Clara Holly, a nie służąca, choć słyszał w głębi domu dźwięk odkurzacza i jakieś głosy. Z rana, w dzinsach, wydawała mu się jeszcze piękniejsza niż poprzedniego wieczoru, zachwycała pięknem, które tym dobitniej jawiło się jako jej cecha wrodzona, a nie jakaś sztuczka osiągnięta za pomocą makijażu i kostiumu - duże, szare oczy, usta bez szminki, a mimo to równie głęboko czerwone, jak gdyby przygryzała wargi, skóra jaśniejąca świeżością. Nie umiał zgadnąć, czy pamiętała o jego umówionym spotkaniu.

Clara zaprowadziło go do salonu o doskonałych proporcjach, pomalowanego po prostu na biało - swego czasu zapewne znajdowały się w nim boazerie i złocenia - i zostawiła przy kominku. Pokój był skąpo umeblowany, ale nie sprawiał wrażenia niezamieszkanego przestrzeni, jak gdyby wspomnienia po osiemnastowiecznych meblach nadal były tu obecne. Dostrzegł kilka klasycznych, nieomal przewidywalnych nowoczesnych zamienników - skórzany szezlong Eamesa, stolik do kawy Miesa, lampa Noguchiego i oczywiście jakiś Warhol oparty o ścianę oraz jasnobłękitna *Wenus* Ives'a Kleina.

Na widok Clary przypomniały mu się wydarzenia poprzedniego dnia. To dziwne, pomyślał, że czuł się zaszokowany, widząc Clare Holly siedzącą przy barze jak jakaś dziwka w filmie, nawet jeśli był to bar przyzwoitego klubu tenisowego, do którego przypuszczalnie sama należała. Raz po raz wracał do tej sceny; nie miała większego znaczenia, a jednak zajmowała go bardziej, niżby tego sobie życzył. Kiedy nieznajomy Francuz do niej mówił, zarumieniła się jak dziewczyna. Stary przyjaciel? Tim mógłby przysiąc, że nie, to było jasne, sądząc po tym, jak ostrożnie zaczęli rozmowę, i po jej początkowo niepewnym uśmiechu. Przypomniał sobie, jak piła dżin i śmiała się i jak wyraz jej twarzy, teraz uprzejmiem obojętny, najwyraźniej zdradzał zmieszanie i podekscytowanie, kiedy rozmawiała z tamtym mężczyzną. Miała uroczę dołeczki na policzkach. Można by pomyśleć, że to scena z jakiegoś filmu; wyobrażał sobie, jak ktoś nagle mówi „stop” i Clara wraca do obojętnej uprzejmości, z jaką odnosiła się do niego dzisiaj.

Przyszło mu do głowy, że to dość osobliwe, w jaki sposób wyobrażenia na temat czyjegoś charakteru mogą powstawać w naszym umyśle pod wpływem oglądanych filmów - a może jest na odwrót, może to film zaczerpnął z życia obraz kobiety siedzącej przy barze w smutnym zamyśleniu i nagle ożywiającej się, gdy odezwie się do niej jakiś mężczyzna, i wykorzystał ten obraz jako skrótowy opis jej charakteru? Należałoby spytać Craya o ten archetyp, z którego film tak chętnie korzysta, zresztą książki także, wystarczy wymienić bohaterki Hammetta i Chandlera. No tak, ale to nie bohaterki siedziały przy barze, to były złe kobiety, kusicielki, a nawet morderczynie. Zawsze miały w sobie jakieś zło.

Kobieta siedząca przy barze nigdy nie ma uczciwych zamiarów, tak głosił przekaz, który skaził teraz jego wyobrażenie Clary jako kobiety o nienagannych manierach, spokojnej, pewnej siebie, raczej dość cnotliwej w swojej rezerwie, z jaką odnosiła się do innych. Czy przypadkiem podświadomie nie martwił się o Anne-Sophie? Zastanawiając się, czy i ona mogłaby kiedyś - a może już kiedyś to robiła - siedzieć samotnie przy barze, powiedzmy, w wiejskiej gospodzie podczas wypraw po towar do swojego stoiska? Na pewno tak było, dlaczego nie? Co się z nim dzieje? Pomyślał o Emmie Bovary. Czy Anne-Sophie będzie nieszczęśliwa, kiedy się pobiorą? Czy Clara Holly była nieszczęśliwa? Kiedy spojrzała na niego i powiedziała, że zostawi go na chwilę, żeby zawiadomić Serge'a o jego przybyciu, Tim boleśnie zdał sobie sprawę z jej uroku wywołującego w nim uczucia niezupełnie dozwolone dla zaręczonego mężczyzny, który wkrótce ma się ożenić.

Po kilku minutach, sapiąc i dysząc, wtoczył się Serge Cray niczym niedźwiedź pełen skumulowanej energii, z niezadowoleniem kręcący głową. Tim nie spodziewał się po nim tego promieniowania zwierzęcej energii - styl jego filmów był dostojny, rozwlekły, wręcz afektowany. Sam Cray sprawiał wrażenie, jakby przed chwilą wybiegł z jaskini. Trudno było sobie wyobrazić sobie jego związek (żeby nie nazwać tego bardziej bezpośrednio) ze zwiewną, wyciszoną Clarą, trudno było sobie wyobrazić ich uściski, ale zawsze tak już jest z wyobrażaniem sobie miłosnych uścisków innych ludzi.

Cray był grubym mężczyzną średniego wzrostu, a może nawet nieco niższym, mocnej budowy, z rzadziejącymi szpakowatymi włosami, miał na sobie sweter z zielonej alpaki, sztruksowe spodnie, miedziane bransoletki na obu nadgarstkach. W czujnym spojrzeniu jego błyszczących oczu było coś niezwykłego, ale może tak się tylko wydawało, jeśli ktoś szukał jakichś dowodów jego geniuszu. Tim zadał sobie pytanie, czy gdyby ten człowiek sprzedawał, powiedzmy, lody albo naprawiał rynny, ktoś zauważyłby w nim coś szczególnego? Chyba tak. Miał dziwne oczy, to nie było złudzenie.

- No tak - rzucił Cray sarkastycznie, widząc, jak Tim odprowadza wzrokiem jego żonę wychodzącą z pokoju. - Czasami „jakaś osoba jest cudownie obdarzona pięknem, gracją i talentem w sposób, jaki wykracza poza naturę”, jak powiedział Vasari o Leonardzie. - Można było odnieść wrażenie, że Cray ma na myśli Clarę i że nie lubi takich cech, jak piękno, gracja i talent.

- Leonardo był kimś więcej niż człowiekiem, nie sądzi pan? W zbieraniu dzieł Leonarda jest coś z megalomanii. Jego dzieła są dla megalomanów. Bill Gates kupuje Leonarda. Czy słowo „megalomania” kojarzy nam się z królową Anglii? Chyba nie, jeden z jej przodków zapoczątkował tę kolekcję. Poznałem raz człowieka, który opiekuję się Leonardami królowej...

- Proszę tędy, na górę. Nigdy nie pokazuję nikomu tych rzeczy, ale tym razem zrobię wyjątek, na prośbę Clary - powiedział Cray bez żadnych wstępów. - Proszę tędy. Jak się domyślam, uważa, że brakuje mi kontaktów z innymi kolekcjonerami, okazji do rozmawiania o moich skarbach. Pewnie dlatego pana tu zaprosiła.

Tim czuł się nieco zdezorientowany widokiem grubych szkielec jego okularów, które powiększały oczy, nadając im hipnotyzujący blask. Szerokie strome schody zaprowadziły ich do korytarza wiodącego, jak się wydawało, do kilku sypialni. Cray otworzył jedną z nich.

- Środki ostrożności. Te zamki. We Francji czasem zdarzają się włamania. Clara myśli, że brakuje mi towarzystwa innych wielbicieli starodruków - mówił dalej Cray. - Oczywiście finansowo nie mam się co równać z Billem Gatesem, który kupuje Leonarda i Gutenberga.

Pod tym względem trudno rywalizować, nawet gdyby człowieka było na to stać.

- Nie - przyznał Tim, choć zauważył, że nikt nie oczekuje od niego odpowiedzi.

- Co konkretnie chciałby pan zobaczyć?

- Właściwie nie wiem, co pan ma, nic konkretnego - powiedział Tim. - Nie znam się zbyt dobrze na manuskryptach. Może ma pan coś, co przypominałoby dokument skradziony w Nowym Jorku. - Założył, że policja skontaktowała się już z Crayem w sprawie kradzieży i przekazała mu, że ktoś może się do niego zwrócić po informacje.

Cray miał specjalną szafę z szerokimi płytkami szufladami zaopatrzonymi w pokrowce. Na pierwszej z nich widniał napis „Apokalipsa”.

- W średniowieczu krążyło sporo kopii tego rodzaju apokaliptycznych proroczeń, rozmaicie iluminowanych. Niektóre z nich okazały się prawdziwe wieśset lat później, przynajmniej w pewnych szczegółach... Na przykład Holokaust został przepowiedziany. Wydają mi się wyjątkowo fascynujące, by nie powiedzieć niepokojące, w miarę jak zbliżamy się do końca milenium.

Tim posłusznie obejrzał duży sztywny welin z brązowymi plamkami, pokryty napisami w nieczytelnej łacinie, a potem kilka innych pergaminów umieszczonych w płóciennych pokrowcach.

- Bezkwasowe wyściółki i inne tego rodzaju rzeczy. Wszystkie najbardziej zaawansowane techniki konserwacji. Oczywiście nie jestem ekspertem, doradza mi ktoś z British Museum.

- Bardzo cenne.

- Powiem panu coś jeszcze. Ciekawa sprawa, o której dowiedziałem się od Interpolu. W tym roku skradziono już cztery albo pięć takich manuskryptów Apokalipsy, głównie z hiszpańskich klasztorów, jeden z wyspy Wight. W czasach, kiedy nie istniał rejestr skradzionych dzieł sztuki, można to było przeoczyć, ale dziś widać wyraźnie dziwną zbieżność albo koordynację. Nikt nie wie, czy to zbieg okoliczności, czy celowy zamiar.

- Zbliżyliśmy się do końca milenium - rzekł Tim ostrożnie. - To budzi coraz większe zainteresowanie.

- A pana ciekawią biblijne proroctwa? Jest pan wierzący? - spytał Cray.

- Raczej nie - wyznał Tim.

- Proszę mnie źle nie zrozumieć. *Moi non plus*. Jestem sceptykiem, a nie człowiekiem wierzącym. Mimo to musimy zachowywać się tak, jakbyśmy wierzyli. Wiem, że gdybym był człowiekiem wierzącym, poświęciłbym swój czas i pieniądze na to, w co wierzę - religię, politykę. Skądinąd i tak to robię, nieważne, czy wierzę, czy nie. W każdym razie daję pieniądze. Czytałem wiele dzieł z dziedziny teologii i polityki i stworzyłem sobie dość arbitralny zbiór przekonań, którymi się kieruję. Nie pochodzą bezpośrednio z wiary, lecz są wynikiem mojej decyzji, która nie jest tak bardzo zależna od temperamentu, nie jest tak chwiejna jak wiara. Czy scharakteryzowałby pan swoją wiarę jako niewzruszoną?

Tim był nieco zaskoczony tą nagłą wycieczką na teren licealnej filozofii. Wymamrotał, że sam jak dotąd także unikał wyznawania jakiegoś jednego sztywnego systemu moralnego. Razem ze swoim przyjacielem Ceeseem miał w szwajcarskiej szkole z internatem nauczyciela chemii, który twierdził, że mieszane pochodzenie narodowe jest jak niestabilny związek chemiczny. W innym kontekście ten sam nauczyciel powiedział, że człowiek powinien z największą nieufnością odnosić się do tego, co wydaje mu się absolutnie niepodważalnym faktem. Wziąwszy sobie to zalecenie do serca, Tim, choć nie porzucił pewnych absolutnych przekonań, jak choćby to, że jest czymś absolutnie złym zabijać, zrezygnował z wszelkich zasad moralnych, które wydawały mu się zbyt wymyślne, jak rozmaite zakazy wynikające z religii, na rzecz pewnej podstawowej instynktownej przyzwoitości: nie należy kłamać, nie można szkodzić ludziom i oczywiście wykluczone są morderstwa oraz kradzieże.

Poza tym kierował się swego rodzaju łagodnym hedonizmem i poczuciem odpowiedzialności jedynie za to, co zostało mu konkretnie powierzone, nie przejmując się zbyt szerszymi problemami świata, które wydawały się poza zasięgiem możliwości pojedynczego dziennikarza żyjącego z tego, co napisze. Jednakże wiedział, że czasami do jego tekstów o pewnych oczywistych sprawach - afrykań-

skich masakrach czy politycznej korupcji we Francji - wkradał się poważniejszy ton. Gdyby mógł być pewien, że ktoś naprawdę czyta jego artykuły, przypuszczalnie częściej dawałby upust swej polemicznej pasji.

- Jaka jest ogólna tematyka tych manuskryptów? - spytał.

- Oczywiście koniec świata ujęty mniej lub bardziej szczegółowo, czasami bardzo barwnie, jak w hiszpańskich prorocत्वach o pięciu smokach, które zatopią świat w ogniu, podpalając lasy swoimi łuskowatymi rozżarzonymi ogonami. Tutaj jest mała ilustracja, obrazek ognistego smoka.

Ranek minął, zanim Tim się zorientował. Cray był bardzo zajmującym kompanem i dysponował niebagatelną wiedzą.

W południe, pożegnawszy się z Crayem, Tim pojechał do hotelu Le Mistral. Zgodnie z jego przewidywaniami recepcjonistka była oburzona na myśl, że miałyby otworzyć pokój monsieur, który gdzieś zniknął, dopóki nie dotarło do niej, że takie rozwiązanie ma sens. Monsieur nie zjawił się od sobotniego popołudnia, czyli od czterech dni, i nie uprzedził, że zamierza być tak długo nieobecny. Tak więc nie naruszyłyby to prawa obowiązującego w hotelach, gdyby otworzyli pokój i wynieśli z niego rzeczy, skoro osoba, która go wynajęła, zniknęła i nie zamierzała zapłacić. Jednak recepcjonistka nie chciała się zgodzić na to, żeby Delia zabrała rzeczy Gabriela. Według obowiązujących przepisów należało je umieścić w magazynie. Następnie zażądała, by oboje poszli razem z nią na górę i byli świadkami pakowania bagażu, tak żeby potem nikt nie mógł o nic oskarżyć ani podejrzewać personelu hotelowego.

Delia weszła na schody razem z recepcjonistką, a Tim z ciekawości poszedł za nimi. Podobnie jak Delia spodziewał się, że zastanie w pokoju ślady działalności ludzi, których Delia słyszała poprzedniej nocy, ale wszystko wyglądało zupełnie normalnie: marynarka na łóżku, świeże mydło położone przez pokojówkę, papierowa torba, otwarta walizka na stojaku i mały plecak na komodzie, do tego maszynka do golenia i grzebień na półce w łazience.

- Proszę zamknąć walizki, zniemiemy je na dół - powiedziała recepcjonistka, kiedy Tim wychodził z pokoju. - Niemniej musi pan

zapłacić za cztery noce, a do tego wnieść opłatę za późne opuszczenie pokoju dzisiaj, pan albo ktoś inny.

Ścisłym głosem, jak gdyby obawiała się, że ktoś ją podsłucha, Delia powiedziała mu, że na pewno nie spędzi już ani jednej nocy w tym hotelu.

- Zdecydowanie coś tu jest nie w porządku.
- Niewykluczone, że masz rację - musiał przyznać Tim.
- Przeniosę się do jakiegoś innego hotelu, ale moje pieniądze wciąż nie nadeszły, wiem, że celowo je w jakiś sposób zatrzymują. Często też nie mówią mi, że jest do mnie telefon...

Tim nie potrafił wymyślić nic lepszego poza zaproponowaniem jej, żeby spędziła noc w mieszkaniu Anne-Sophie.

ROZDZIAŁ 17

Zaproszenia

Estelle nie była osobą pozbawioną serca czy obojętną, ale po prostu nie sprawdzała się w organizowaniu uroczystości, a w każdym razie sama tak to wyjaśniała. Kiedy zdarzało jej się rozmawiać z Timem na temat ślubu, zwykle czuł się tak, jak gdyby wyznaczyła mu rolę posłańca, który miał tłumaczyć Anne-Sophie obawy jej matki. Estelle wyznała mu, że za nic nie chciałaby sprawić córce zawodu, gdyby się okazało, że nie potrafi sprostać przygotowaniom, nie mówiąc już o jakiejś prawdziwej pomocy, pożytecznych radach, a przynajmniej podrzucaniu twórczych pomysłów na temat wystroju wnętrz i kolacji weselnej.

- Wiem, że potrzeba do tego wyobraźni i umiejętności zabawy, ale po prostu upodobałam do tego typu ceremonii jakoś ze mnie wyparowało. *Au contraire*, rytuały doprowadzają mnie do łez i ogarnia mnie straszny sceptycyzm na myśl o tych wszystkich niewłaściwie ulokowanych nadziejach, o ostatecznej porażce wszelkich nadziei. A mimo to jestem równie pełna optymizmu jak ty, mój drogi, kiedy myślę o waszym cudownym *mariage*. Dlaczego miałyby nie być doskonałe?

- Będzie doskonałe - zapewnił ją Tim. - Na szczęście Anne-Sophie uwielbia sporządzać plany i jest kobietą dobrze zorganizowaną.

- Naprawdę? Czasami się nad tym zastanawiam. Moja córka jest taka *etonnante*. Praktycznie nie sposób się przyczepić do jej perfekcjonizmu.

Nie wiedział, czy mówiła to ironicznie.

Estelle musiała wysłać zaproszenie do madame Nolinger, a nawet do obu mesdames Nolinger do Michigan, i czekała, by Tim powiedział jej, jak powinna sformułować nazwiska jego rodziców. Nigdy właściwie nie wspominał o ich rozwodzie i nie był nawet pewny, czy Anne-Sophie i Estelle zdają sobie do końca sprawę z tego, że jego rodzice są rozwiedzeni, choć wiedziały, że mają dwa różne adresy w Michigan. Pozostawała kwestia tytułów, stopni albo odznaczeń wojskowych, które należałoby przy tej okazji wymienić. Na przykład czy jego ojciec służył w wojsku podczas wojny? O ile Tim się orientował, przez ostatni rok wojny służył w marynarce. Mógł więc powiedzieć, że jego ojciec służył w wojsku oraz że za młodu zrobił dyplom wyższej uczelni w zakresie wiedzy o teatrze, ale wątpił, czy ojciec chciałby, aby wspomniano o tym w zaproszeniu. Jeśli chodzi o matkę, nigdy nie słyszał o tym, by miała jakiś tytuł czy odznaczenie, którego nazwa mogłaby ozdobić stroniczki z grubego welinowego papieru, jakie wkrótce miano dostarczyć z drukarni.

Estelle uznała, że najlepiej będzie, jeśli zwróci się ze swymi pytaniami bezpośrednio do rodziców Tima, co zresztą i tak miała w planie, ponieważ chciała się zorientować, co mogłaby dla nich zrobić w sprawie rezerwacji hoteli, i dowiedzieć się, którzy krewni wybierają się na ślub do Francji. A ponieważ nie do końca ufała swojej angielszczyźnie, napisała po francusku do matki Tima. Jednak odpowiedź przyniosła jej rozczarowanie, ponieważ madame Nolinger udzieliła jej niewielu interesujących informacji, jeśli nie Uczyć tego, że ukończyła Academie Sacre Coeur w Brukseli. Anne-Sophie przyniosła teraz uzyskane odpowiedzi do swojej konsultantki w kwestii zaproszeń.

Madame Aix po namyśle uznała, że zaproszenia powinny się zaczynać od słów:

Madame Louis d'Argel

(co odnosiło się do babki Anne-Sophie ze strony ojca, wiekowej damy żyjącej w Val-Saint-Remy, gdzie miał odbyć się ślub),

Madame Philippe d'Argel (zastanawiały się, czy dodać „*en litterature Estelle d'Argel*”, ale uznały, że to niekonieczne),

*sont heureuses de vous faire part du mariage de
Mademoiselle Anne-Sophie d'Argel, leur petite-fille et filie,
avec Monsieur Thomas Ackroyd Nolinger
et vous prient d'assister ou de vous unir d'intention
a la ceremonie religieuse qui sera celebree vendredi
le 10 decembre, a 16 heures, en l'eglise de St. Blaise,
Val-Saint-Remy. Le consentement des epoux sera recu par
Monsieur l'Abbe Francois des Villons, l'oncle de la mariee,
et le Right Reverend Edward Marks.*

Obok, na sąsiedniej stronie, która miała składać się w taki sposób, by stanowić pierwszą stronę zaproszeń wysłanych do Ameryki, znajdował się napis w języku angielskim:

*Mr. and Mrs. Gerald Franz Nolinger
Mrs. Cecile Barzun Nolinger
z radością pragną zaprosić Pana/Panią na ślub swojego syna i pasierba
Thomasa Ackroyda Nolingera z Miss Anne-Sophie d'Argel*

a potem reszta informacji. Anne-Sophie sądziła, że zaproszenia wyglądają właściwie, ale martwiła się, że goście mogą nie rozpoznać jej matki w mało znanej „*madame Philippe d'Argel*” ani matki Tima w „*Mrs. Barzun Nolinger*”. Przyszło jej nawet do głowy, że jego matka może nie używać nazwiska jego ojca.

Tak czy inaczej, musiała jak najszybciej pokazać próbne wydruki zaproszeń *madame Aix*, mimo że tego dnia jej myśli krążyły nie tyle wokół ślubu, ile wokół nowych wydarzeń związanych z postacią Amerykanina, który wciąż ukrywał się na poddaszu pawilonu na targu staroci i rankiem wymykał się niezauważony Anne-Sophie zajrzała nawet na swoje stoisko we wtorek i w środę, żeby się trochę pokręcić, poczytać, i od czasu do czasu zerknąć na schody prowadzące na górę. Czytała właśnie *Jane Eyre*, o małej francuskiej dziewcz-

czynce Adele, której ojciec, bogaty zgryźliwy Anglik, zamknął swoją nieszczęsną żonę na strychu i zaczął romansować z niepozorną guwernantką. Tego dnia, czyli w czwartek, wczesnym rankiem, mimo że wokół nie było prawie nikogo, w typowo francuskim stylu kąpać się z niebezpieczeństwa, postanowiła pójść na strych i stanąć twarzą w twarz z intruzem.

„Właściwie nigdy nie udało mi się zrozumieć, jak Francuzi pojmują niebezpieczeństwo”, napisał Tim pewnego razu. Anne-Sophie kilkakrotnie czytała ten fragment jego tekstu. „Wydaje się, że pociąga ich ono w sposób, który jest dla nas obcy. Być może chcą odpuścić krytyczny moment w dziejach swojego narodu, kiedy postanowili unikać niebezpieczeństwa, albo też przynależność do starej cywilizacji daje im pewien punkt widzenia, którego my, niepewni w naszym optymizmie i przekonani, że musimy się jeszcze tyle nauczyć, najwyraźniej nie posiadamy. My jesteśmy ostrożni, oni jeżdżą za szybko, biorą udział w wyścigach samochodowych przez pustynię, samotnie żeglują w małych łódkach przez oceany, wspinają się na wieżowce, uprawiają chodzenie po linie, nie mają litości dla swoich arterii, spożywając duże ilości *rilettes* i zasmalają sobie płuca *gauloise*'ami”. Estelle pogratulowała mu tego fragmentu, jak sądził, bez ironii, ale Anne-Sophie uważała, że jest zupełnie nieprawdziwy i niesprawiedliwy.

Ignorując niebezpieczeństwo, jakie wiązało się z zaskoczeniem przestępcy w jego kryjówce, odnalazła monsieur Martina, miejscowego *gardien*, i poleciła mu, aby do końca dnia nie otwierał drzwi prowadzących na strych.

- Gdyby ktoś chciał tam wejść, proszę odesłać go do mnie - poleciła.

I kiedy koło południa rzeczywiście znalazł się chętny, monsieur Henron, przejął komendę. Oświadczyła, że razem z Henronem i Martinem pójdą na górę. Wchodząc po schodach, Anne-Sophie ścisnęła w dłoni paczkę *marlboro*. Na strychu, jak się tego spodziewała, znaleźli Amerykanina. Siedział na krześle, czytał gazetę, ale podniósł się, słysząc ich kroki. Po chwili zaskoczenia uśmiechnął się niefrasobliwie, całkowicie opanowany, spokojny, niemal jakby się ich

spodziewał. Mówił po francusku z akcentem. Uśmiechnął się do niej i spojrzał jej głęboko w oczy.

- *Excusez-moi* - powiedział. - Ktoś musiał mnie tu zamknąć. Miałem nadzieję, że ktoś się zjawi, zanim będę musiał spędzić tutaj kolejną noc.

Uśmiechnął się ponownie. Z wielką pewnością siebie zabrał swoją kurtkę, gazetę i ruszył w stronę schodów.

- *Merci*, że mnie państwo uwolnili.

Anne-Sophie dostrzegła jego mroczne, bajroniczne piękno. Czytała poezje lorda Byrona i innych Anglików. Podziwiała takie buntownicze natury.

- Monsieur, proszę nam powiedzieć, co pan tu robi na górze - zaczęła.

- Czy nic nie zginęło? - zawołał Henron.

Dozorca targowiska zasypał nieznanego groźbami i pytaniami. Jak rozumiała, monsieur Martin czuł się winny, ponieważ dopuścił do tego, że ktoś nieuprawniony przebywał na poddaszu przez te wszystkie noce.

- Proszę wyjaśnić, monsieur, co pan tutaj robi!

Nie troszcząc się o odpowiedź, mężczyzna zszedł na dół schodami, usiłując ukryć swój pośpiech pod maską wyrachowanego spokoju.

Anne-Sophie została chwilę dłużej, aby rozejrzeć się po strychu. Serce biło jej odrobinę szybciej. Zaczynało docierać do niej rozczarowanie. Tajemniczy gość miał zaraz zniknąć. Nie dowie się niczego więcej na temat jego zagadkowej obecności. Zobaczyła kartonowe opakowanie po *pommes frites*, jakieś skórki pomarańczy, papierową serwetkę. Mógł tutaj ukrywać się przez wiele dni - sikał do ceramicznego stojaka na parasole, który przysłał talerzem, żeby stłumić ostrą woń amoniaku; jego odór uderzył ją w nozdrza, kiedy z wahaniem uniosła talerz.

Kiedy razem z panem Henronem zeszli na dół, kilku *policiers* trzymało już Amerykanina za ręce, a monsieur Martin mówił coś, gwałtownie gestykulując. Amerykanin gniewnie odpowiadał na jego zarzuty przyzwoitą francuszczyzną.

- Gdybym przed kimś uciekał, nie byłoby mnie tutaj, prawda? - bronił się.

Pomyślała, że w jego głosie słyszeć desperację i lęk. W tym momencie Anne-Sophie poczuła przypływ wyrzutów sumienia, że go zdradziła.

Po chwili policjanci zabrali go gdzieś ze sobą i nikt z obecnych nie umiał właściwie powiedzieć dlaczego. Wyglądało na to, że to nie byli policjanci, którzy zwykle dbają o bezpieczeństwo na pchlim targu, ale raczej ich koledzy zajmujący się morderstwem, którego ofiarą padł monsieur Boudherbe. Amerykanin spojrzął na Anne-Sophie przez ramię, kiedy go odprowadzano. Znaczący gest, gdyby tylko wiedziała, jak go interpretować! Pretensja? Błaganie? W jego spojrzeniu rzuconym za siebie była poezja, udręka, coś intymnego.

Anne-Sophie żywiła właściwą Francuzom skłonność do stawiania w obronie ofiar biurokracji i obojętności albo podejrzanego przestępcy, względnie osób, które padły ofiarą policyjnej brutalności. Tim mógłby zauważyć, że tego rodzaju wspaniałomyślna sympatia stanowi moralny luksus, który w Ameryce należał już do przeszłości. Ale właściwie skąd miałyby to wiedzieć? Na stałe żył teraz we Francji.

Mimo że sama odkryła kryjówkę Amerykanina, Anne-Sophie poczuła, że musi teraz zrobić, co w jej mocy, by wyrwać go z rąk policji. Najpierw zaczęła głośno protestować, twierdząc, że nie miała nic przeciwko temu, żeby przebywał na jej strychu. Zasypała policjantów wszelkimi możliwymi wyrazami skrajnego oburzenia, jakie tylko przyszły jej do głowy. Ponieważ jednak funkcjonariusze, którzy odprowadzili nieszczęsnego człowieka, nie byli niczemu winni, musiała skierować swoje oskarżenia pod adresem ich kolegów, którzy nadal pracowali w odgradzonym kolorową taśmą obszernym magazynie monsieur Boudherbe'a. Tam dowiedziała się, że nie ma pojęcia o szerszym kontekście sprawy, i nie powiedziano jej, dokąd zabrano nieznanego Amerykanina.

Jej wzburzenie rosło, w miarę jak narastały wyrzuty sumienia, że sama go wydała. Została kolaborantką! Usiłowała odkręcić swoje wątpliwe dzieło.

- J a k o świadek i jako sąsiadka *je vous assure...* - Mogła przysiąc, że ten człowiek zjawił się na miejscu zbrodni tuż przed nią i nie miał nic wspólnego z morderstwem. Poza tym ani jej samej, ani jej kole-

gom nie przeszkadzał fakt, że znaleźli go na swoim strychu. - *Non, non*, niczego nam nie skradziono.

Policjanci obojętnie słuchali słów wzburzonej ślicznej młodej kobiety w krótkiej spódnicy w kratę, z ładnymi nogami i szalikiem od Hermesa, na którym widać było motywy końskiej uprzęży. Sierżant zapalił jej papierosa, przez chwilę trzymając jej dłoń w swojej ręce, i zapewnił ją, że oni nie mają nic wspólnego z aresztowaniem tamtego człowieka. To sprawa zupełnie innego wydziału, tamci ludzie polowali na niego już od kilku dni.

- Mademoiselle nie powinna czynić sobie wyrzutów.
- *Quand meme* - powiedziała niepocieszona.

ROZDZIAŁ 18

Gość

Po wyjściu od madame Aix Anne-Sophie nie mogła opędzić się od gnębiącego ją poczucia winy na myśl o roli, jaką odegrała w aresztowaniu nieszczęsnego Amerykanina. Ale bez względu na to wstąpiła do sklepu i skupiła się na rozważaniu, co kupić na kolację. U rzeźnika poprosiła o pół kilo *tendron de veau*, z myślą o *blanquette*. Na stole z warzywami wzięła trochę drobnej marchewki, niedużą rzepę i nieco malutkich cebulek. *Blanquette de veau* było jednym z jej popisowych dań, wychodziło jej niemal zawsze i Tim bardzo je lubił. Do tego zamierzała podać gotowany ryż, a na deser truskawki z cukrem, ale bez śmietany - dobra kolacja, po której będą się kochać, dwa rodzaje aktywności ściśle ze sobą związane zarówno w życiu, jak i w literaturze, by wspomnieć choćby powieści Estelle d'Argel, gdzie światowa *Anglaise* madame Foster ostrzega, żeby nie dodawać śmietany ani przypraw, jeśli później ma się ochotę na seks.

Właściwie dlaczego? To przypomniało Anne-Sophie dalszą część tego fragmentu z *Les fruits*, najbardziej upokarzającą, w której jej matka podejmuje wyjątkowo szczegółowe omówienie *creme feminine*, jak to nazywa, i zgodnie ze swym upodobaniem do szczegółu przyrównuje go nie tylko do jakiegoś delikatnego morskiego zapachu, ale wprost do *haddock fume*, co latami przysparzało Anne-Sophie o głęboki niepokój w sprawach higieny osobistej - miała chyba osiemnaście lat, gdy po raz pierwszy przeczytała *Les fruits*...

Wiedziała, że próbuje jedynie odwlec moment, w którym będzie musiała powiedzieć młodej kobiecie z hotelu Le Mistral, że jej przyjaciel został schwytany i aresztowany i prawdopodobnie znajduje się wciąż w rękach policji. Zdawała sobie sprawę z tego, że powinna od razu pojechać do hotelu, ale niestety tego nie zrobiła. Była więc szczerze zdumiona, gdy zastała Delię w swoim salonie.

- Ktoś próbował dostać się do mojego pokoju! - wyjaśniła Delia z głębokim przekonaniem o prawdziwości swoich słów. - Wiem, że to brzmi jak paranoja, ale wczoraj wieczorem widziałam, jak porusza się klamka u drzwi. Ktoś czekał na ulicy za każdym razem, gdy wyglądałam przez okno, ten sam mężczyzna. Tak więc Tim przywiózł mnie tutaj.

- Rzeczywiście ktoś mógł próbować otworzyć twoje drzwi - przyznała Anne-Sophie. - Mam nadzieję, że to nic nie znaczy. Coś takiego ciągle mi się przydarza, kiedy jestem na południu, i dlatego zawsze zabieram ze sobą taki specjalny drobiazg do blokowania drzwi.

Delia została w salonie, podczas gdy Anne-Sophie przygotowywała kolację. Tim wrócił około wpół do ósmej i nalał wszystkim po szklaneczce porto. Powstrzymał się od pytań, gdy Anna Sophie opowiedziała im obojgu o aresztowaniu Amerykanina, o swojej roli w tym zdarzeniu i o tym, jak przez cały tydzień rozmyślała o człowieku ukrywającym się na strychu, domyślając się, że to może być Gabriel. Nie potrafiła wyjaśnić, dlaczego nie wspomniała o nim wcześniej. Niewykluczone, że stało się tak za sprawą ciekawości, może chciała po prostu zobaczyć, co będzie dalej, albo bała się, że wyjdzie na głupią, jeśli okaże się, że tylko wyobrażała sobie jego obecność na poddaszu... Może chciała, żeby nieznamy pozostał bezpiecznie w swoim ukryciu i nie dostał się w ręce policji. A może po prostu nie chciała, żeby ta amerykańska dziewczyna dostała to, czego pragnie... Anne-Sophie miała nadzieję, że nie to było powodem jej milczenia.

- A jeśli okaże się, że to niebezpieczny morderca i dostanę medal? - Zaśmiała się, tak niedorzeczna wydała jej się ta myśl.

Jednak Delia najwyraźniej nie zrozumiała, że Anne-Sophie tylko żartuje; nagle łyż stanęły jej w oczach i zaczęła mówić gniewnie, drżącym głosem.

- Ale ja wiem, że nie zostawiłby mnie samej sobie w ten sposób!
- zawołała. - On nie mówi po francusku, ma bezzwrotny bilet, on...

- On mówi po francusku całkiem dobrze! - zaprotestowała Anne-Sophie. - Tim na pewno dowie się, co się z nim teraz dzieje.

Anne-Sophie zdjęła ostrożnie szumowinę z wrzącego bulionu, w którym gotowały się kostki cielęciny.

- Dlaczego nie powiedziałaś mu, gdzie jestem? - spytała Delia.

- Przecież wiedział, gdzie jesteś.

- Musimy mu znaleźć prawnika - mówiła dalej Delia jak nakręcona. - Jak mam to zrobić? Czy powinnam zadzwonić do amerykańskiego konsulatu? Nawet gdybym miała paszport, nie mogłabym go tak zostawić...

Nie przestawała mówić, mniej więcej w tym samym stylu; jej udreka wydawała się całkiem zrozumiała. Przysłuchując się temu, Anne-Sophie dodała marchewki i resztę warzyw do rosółu.

Delia żywo pamiętała wieczór w dniu morderstwa, swój drugi wieczór we Francji. W nocy długo nie mogła zasnąć i rozmyślała o tym, jak Gabriel przyszedł do jej pokoju i przysiadł na jej łóżku. Oprócz twardego krzesła nie było tam nic innego, na czym można było usiąść, więc Delia umieściła się obok niego i słuchała, jak wciąż rozpamiętywał poranne wypadki. Widziała jego skupione spojrzenie wbite w róg pokoju, jego zmarszczone czoło i czuła, że to morderstwo wstrząsnęło nim bardziej niż nią samą.

- Cholera, dlaczego zabili tego faceta? I kto to zrobił? - Wydawał się naprawdę przerażony.

Delia odniosła wrażenie, że jego zainteresowanie ofiarą płynie z czegoś więcej niż z czysto ludzkiego współczucia. Pocił się, jak gdyby bardzo się czegoś obawiał.

- Kto? Gabe, powiedz mi.

- Kto? Nie wiem. Nie mam najmniejszego pojęcia, na Boga!

- Czy to ma coś wspólnego z tobą?

- Ze mną, nie, w jaki sposób? - odparł. - A jednak ten człowiek nie żyje, a ja miałem się z nim spotkać, to z nim miałem zrobić interes.

Nie ulegało wątpliwości, że Gabriel się boi. Urodził się w jakimś obcym kraju, gdzie bez wątpienia widywał straszne rzeczy, i wszystko to teraz wróciło do niego. Ona sama nie miała takich problemów, nie zetknęła się dotąd z niczym potwornym. Oczywiście zobaczenie trupa było okropne - odwróciła wtedy wzrok, nigdy tego nie zapomni - a jednak było w tym coś tak dziwnie nierzeczywistego, nieprawdopodobnego, że nieznamy nieboszczyk leżący u jej stóp nie wzbudzał w niej żadnych szczególnych uczuć.

Zaczęła pocieszać Gabriela, ale nie opowiedziała Anne-Sophie i Timowi całej reszty, że nagle zaczęli się całować. Ich pocałunki niosły za sobą jakieś przecucie dzikiego żalu, lęku i tajemnicy. Nie było w nich radosnej niefrasobliwości, a uścisk Gabriela był zbyt gwałtowny, jakby trzymał się jej kurczowo. Zrozumiała, że jest dla niego boją ratunkową, jedynym punktem oparcia wśród szalejących fal. Był silny. Jego brwi niemal stykały się ponad czarnymi oczami, które były zupełnie jak oczy korsarza z jakiegoś wiersza, jej ulubionego wiersza z dzieciństwa. Czyż nie wyczuwała zawsze tej dzikości kryjącej się pod jego powłoką handlarza książek? Ani tego, że było między nimi coś więcej niż tylko ton familiarniej koleżeńskości, z jakim planowali swoją wycieczkę do Paryża? A potem oboje byli nadzy i połączyło ich coś znacznie więcej niż koleżeńskie żarciki. To była jak dotąd najcudowniejsza noc w życiu Delii.

Wspominając dzisiaj ten wieczór, nie miała wątpliwości, że Gabriel był śmiertelnie przerażony, a pocałunki pozwalały mu pokonać lęk. Starając sobie przypomnieć wszystkie słowa, jakie wtedy padły między nimi, szukała wskazówki, która pomogłaby jej zrozumieć, co się z nim stało, wyjaśnić sens tych zdarzeń i odpowiedzieć, co powinna teraz zrobić.

- Możemy zadzwonić do madame Cray - zaproponowała Anne-Sophie, ożywiona na myśl o emocjonującym niebezpieczeństwie przechowywania zbiega przeciwstawiającego się wyraźnym zaleceniom gliniarzy, dzięki czemu mogłaby choć częściowo odpokutować swoją rolę w wydaniu tamtego mężczyzny w ich ręce. - Ona chętnie ci pomoże. Tim mówi, że mają bardzo duży dom pod Paryżem, może mogłabyś się tam zatrzymać.

Delia westchnęła. Najwyraźniej znowu ogarnął ją przypływ paniki. Jako młoda Amerykanka przestrzegająca prawa nie stykała się dotąd z niebezpieczeństwem, jeśli nie liczyć parkingów i tym podobnych miejsc, gdzie należało zachować ostrożność. Tymczasem teraz była osobą poszukiwaną, ponieważ zignorowała i polecenie francuskich policjantów, którzy kazali jej nie opuszczać hotelu, i instrukcje ludzi z FBI, a wszystko to w obcym kraju, którego języka nie znała, i bez grosza przy duszy. Nagle znalazła się w mieszkaniu tej dziwnej kobiety - a może powinna była zostać w hotelu? Nawet jeśli był ponury, nawet jeśli w rogach widziało się pełno kurzu, nawet jeśli jakieś wrogie palce podstępnie ścisnęły jej klamkę, to w samym słowie „hotel” było coś pokrzepiającego. Obowiązywały w nim pewne zasady, według których nie mogła odejść, zabierając rzeczy Gabriela; była recepcjonistka i nieustannie krzątające się pokojówki - co nie znaczy, żeby się jakoś specjalnie w swojej pracy wysilały.

Uświadomiła sobie, że znalazła się teraz w znacznie gorszym położeniu niż w hotelu, ponieważ wylądowała gdzieś, gdzie już nikt, nawet ona sama, nie potrafiłby jej znaleźć: w jakimś paryskim mieszkaniu, którego adresu nie znała, i nie znała nawet numeru telefonu jego lokatorów.

Młoda para gospodarzy przygotowała dla Delii nocleg na sofie, a sama położyła się spać w sypialni. Oboje spali marnie. Anne-Sophie obudziła się o pierwszej i leżała z otwartymi oczami. Śpiący obok Tim zajmował większą część łóżka. Było coś obcego w tym dużym ciele cudzoziemca okupującego jej terytorium, jej łóżko. I tak już będzie do końca ich życia. Siłą woli stłumiła wszelkie ślady nielojalności, jakie ta myśl ze sobą niosła. Tim pracował nad historią, która wydawała się taka interesująca, nad opowieścią o jednoczesnej kradzieży kilku starodawnych manuskryptów, które miały coś wspólnego z końcem świata. A kiedy się pomyślało o końcu świata, obecność dużego, postawnego mężczyzny w łóżku miała w sobie coś pokrzepiającego.

Słyszała, że w Ameryce łóżka są bardzo duże i nawet bywają okrągłe. Oboje z Timem zastanawiali się, czy kupić normalne francuskie łóżko o szerokości stu czterdziestu centymetrów, takie

jak to, na którym leżeli teraz, czy powinni zdecydować się na bardziej nowoczesne o szerokości stu pięćdziesięciu centymetrów. W końcu postanowili, że wezmą to drugie, a nawet jeszcze większe, szerokie na sto sześćdziesiąt centymetrów, mimo że tutaj trudniej znaleźć pościel o takim rozmiarze, ale za to łatwiej w Ameryce... Dlaczego leży trzeźwa w środku nocy i rozmyśla o takich sprawach?

Chcąc badać sprawę kradzieży manuskryptów, Tim będzie musiał pewnie pojechać do Hiszpanii i odwiedzić klasztory, w których zjawili się złodzieje udający badaczy dziejów zakonu i zabrali ze sobą cenne inkunabuły. Nie będzie jedną z tych głupich, niepewnych siebie żon, które robią trudności, gdy ich mąż musi wyjechać gdzieś daleko w sprawach służbowych. Nigdy nie pytaj mężczyzny, gdzie był, mawia hrabina Ribemont w *Wbrew fali*.

Idąc wtedy na pchlim targu z dwoma znajomymi mężczyznami na strych, czuła się jak Pandora, która waha się, czy otworzyć puszkę, a potem otwiera ją, pełną furii i złośliwych duchów. A potem pojawił się duch wyrzutów sumienia, gdy policjanci zaaresztowali młodego Amerykanina, i ogarnęła ją frustracja, gdy daremnie protestowała, mówiąc, że nie wnosi przeciw niemu żadnej skargi, ale nikt nie chciał jej słuchać. Do tego wzięła pod opiekę młodą Amerykankę, zaprosiła na kolację i oddała jej sofę na noc, stając się w ten sposób osobą za nią odpowiedzialną i przypuszczalnie dopuszczając się przestępstwa. Takie myśli dręczyły ją do drugiej, gdy wreszcie znów zapadła w sen.

Tim obudził się o czwartej, próbując sobie przypomnieć niedawny sen. Kochał się popołudniem z jakąś piękną kobietą... w pokoju hotelowym... Kiedy jego wyobraźnia nadała temu wspomnieniu wyraźniejszy kształt, przypomniał sobie, że przez otwarte okno wpadał gorący powiew, a wraz z nim melodia piosenki. Cóż, takie marzenia są już dla niego zakazane, wkrótce będzie żonaty. Kobieta o pełnych kształtach była bowiem Clara Holly, ponętna i smagła, a nie drobna i zaróżowiona Anne-Sophie. Czy i w jego wypadku ma się potwierdzić straszliwy freudowski dylemat, zgodnie z którym żona nigdy nie jest obiektem pożądania?

A jednak śpiąca obok Anne-Sophie wzbudziła w nim najpierw czułość, a potem pożądanie. Niestety spała głęboko, a poza tym nie wiadomo, co ich gość mógłby usłyszeć, nawet gdyby kochali się bardzo cicho. Co, do diabła, mieli zrobić z tą Delią? I w jaki sposób miał niby znaleźć jej przyjaciela, o czym zapewniła dziewczynę Anne-Sophie, głęboko wierząc w jego możliwości? Takie myśli rozbudziły go do końca i poczuł, że już nie zaśnie tej nocy. Wtedy jednak Anne-Sophie poruszyła się obiecująco i westchnęła, jak gdyby miała się ocknąć. Tim pogłaskał ją delikatnie po czole, a potem po piersiach. Przebudziła się nieco i wyciągnęła ku niemu ręce, szepnęła coś. Mogliby to zrobić, jeśli będą zachowywać się bardzo cicho, bezgłośnie, tak żeby nie zbudzić swojego gościa.

Delia wcale nie uważała się za świętoszkę, ale we Francji wszyscy pieprzyli się bez umiaru, albo w publicznych toaletach, albo nie bacząc na to, że ktoś leży dwa metry obok i wszystko słyszy - bo oczywiście nie spała o czwartej nad ranem, to w końcu *heure blanche* dla ludzi cierpiących na skutki jet-lag. Powiedziano jej, że będzie się męczyła tyle dni, ile godzin wynosi różnica czasu - dziewięć - i rzeczywiście, była we Francji od tygodnia i nadal o czwartej rano budziła się całkiem wyspana, a jednocześnie oczy zamykały jej się o czwartej po południu. Doskonale słyszała dobiegające z sąsiedniego pokoju odgłosy spadającej na podłogę pościeli, ukradkowych poruszeń dwóch ciał, stłumione chichoty, stęknięcia, jęki.

Jacyś ludzie uprawiają seks tuż obok, ona sama leży na niewygodnej sofie, musi korzystać z cudzej łazienki, u jakichś obcych ludzi, w której są ich szczoteczki do zębów, ich płyn do płukania ust oraz inne kosmetyki, i nie ma pojęcia, jak mogłaby się dowiedzieć, co się stało z Gabrielem, jeśli oni jej nie pomogą. „Tylko mnie nie zastawiaj, pamiętaj”, powiedział lekko, ale całkiem poważnie. Gabriel był przerażony, a mężczyzna na pchlim targu nie żył. Działo się coś groźnego. Ale jeśli kobieca przyjaźń i zdecydowanie mogły pomóc uratować Gabriela, postanowiła, że zmobilizuje wszystkie swoje siły i zrobi, co w jej mocy.

ROZDZIAŁ 19

Dworek Madame du Barry

W końcu wszyscy zasnęli, a kiedy obudzili się w piątkowy poranek, w całej okazałości stanęło przed nimi pytanie, co zrobić z oregońskim gościem. Anne-Sophie, która zawsze była nieszczęśliwa po źle przespanej nocy, oświadczyła, że Delia musi niezwłocznie pojechać do Clary Cray. Tim, niewątpliwie nie bez związku z własną fascynacją Crayem i jego piękną żoną, uznał, że to bardzo dobry pomysł, by ich odwiedzić. Jednak z pewnym zaskoczeniem usłyszał, że Delia ma jakieś zastrzeżenia.

- Nie mogę ciągle czegoś od niej chcieć. Po pierwsze w ogóle nie powinnam była do niej dzwonić. Uświadomiłam sobie, że chociaż poprosiłam Clarę o pomoc, nigdy w życiu nawet nie odwiedziłam jej matki, chociaż pani Holly mieszka niedaleko moich rodziców i wiem, że jest starą kobietą, która nie rusza się z domu. Kiedyś stale odwiedzała bibliotekę i zawsze ją tam widziałam, kiedy zachodziłam coś pożyczyć. A gdy przestała się pojawiać, spytałam o nią bibliotekarkę, która powiedziała, że pani Holly już nie przychodzi i Cristal Wilson wypożycza teraz dla niej książki.

Delia przeklinała więc samą siebie, bo przecież mogła wpaść na to, że pani Holly jest przykuta do łóżka i na pewno ucieszyłaby się, gdyby ktoś ją odwiedził. Delia pomyślała, że bywa czasami okropnie niewrażliwa.

- Ale to Gabriel dał mi numer telefonu Clary, a ja po prostu spakowałam i zadzwoniłam.

- Miał jej numer telefonu?

- Nie wiem czemu, ale go miał. Prawdę mówiąc, to trochę dziwne - przyznała. - Ale skoro dał mi ten numer, to najwyraźniej musiał wiedzieć, że może nie wrócić do hotelu.

Anne-Sophie spojrzała na Delię surowo i wręczyła jej słuchawkę telefonu. Słysząc było, że Clara jest zaskoczona, ale oczywiście powiedziała, że Delia może się u nich zatrzymać i najlepiej będzie, jeśli Tim od razu ją przywiezie. Umawiając się z Clara, Tim nie mógł oprzeć się wrażeniu, że ona - w każdym razie coś w jej głosie skłaniało go do takich przypuszczeń - ucieszy się na jego widok. Anne-Sophie widziała wyraźnie, że Tim w najmniejszym stopniu nie wzbraniał się przed kolejną wizytą w tych malowniczych okolicach.

- Pojadę z wami - zdecydowała. Ze względu na Delię mówili po angielsku. - Zawsze chciałam zobaczyć to miejsce, a poza tym może spotkamy samego Serge'a Craya?

Zjedli tosty z masłem, amerykański zwyczaj ochoczo przejęty przez Anne-Sophie, i zaczęli przygotowywać się do wycieczki do *chateau* Crayów, dokąd jechało się piękną zalesioną okolicą, przez Saint-Cloud, tradycyjną trasą wypadów Tima do klubu tenisowego. Delia bezwiednie, ale z wyraźną radością, wchłaniała widok niemal nagich drzew, gdzieniegdzie przyozdobionych złotawymi liśćmi, których rudobrazowe dywany pokrywały ziemię. Zachwycała się wspaniałością i ładem podparyskich *banlieue*. Znikła gdzieś nieco napięta aura nieufności, jaką widywali na jej twarzy, a chmurne spojrzenie nabrało wesołości.

Wielki dom Crayów wyrósł przed nimi na końcu alei równo posadzonych drzew, na skraju miasteczka Etang-la-Reine. Podobnie jak poprzednio Clara osobiście otworzyła im drzwi i powitała ich ciepło, ale Anne-Sophie powitanie wcale nie wydało się ciepłe. Widziała, że Clara dłuższą chwilę przyglądała się idącej Delii, może wcześniej nie zauważyła, że dziewczyna tak mocno utyka? Podziękowali za kawę, więc Clara powiedziała, że zaprowadzi dziewczynę na górę, do jej pokoju. Wyglądało na to, że Delia jest oszołomiona rozmiarami domu i jego szacownym wiekiem, ale oczywiście nie miała dotąd okazji oglądać prawie niczego we Francji.

- Chcecie obejrzeć resztę domu? - spytała Clara.

Anne-Sophie zgodziła się ochoczo. Tim miał ochotę pójść z nimi, ale wtedy właśnie zjawił się Cray, w swetrze i domowych pantoflach.

- Chciałbym zamienić z tobą dwa słowa - powiedział do Tima bez żadnych wstępów. - Chodź na górę. - Kiedy obaj skierowali się w stronę schodów, usłyszeli, jak Anne-Sophie radośnie komentuje w holu na użytek Delii niezwykle atrakcje *chateau*.

- *Imaginez!* Sama *la du Barry!* Który pokój do niej należał? *La pauvre!* Wiesz, co się z nią stało? Obcięli jej głowę, chociaż wcale nie była żadną arogancką zdrajczynią swojej klasy, była przyzwoitą kobietą. Nawet jeśli zadała się z królem, nie zapomniała o swoim pochodzeniu.

Clara, wyraźnie niższym głosem, opowiadała o tym, jak razem z Serge'em starali się odrestaurować dom; tu odnowili balustradę, tam przywrócili pierwotną barwę, urządzili nową łazienkę i wstawili listwy oraz gzymsy w miejsce tych, które usunięto w przeszłości.

- To pokój mojego synka - mówiła w chwili, gdy Tim i Cray wspinali się po schodach leżących za jej plecami. - Jest teraz w szkole za granicą.

W tym momencie Tim po raz pierwszy pomyślał o Clarze jako matce. Jakoś nie bardzo umiał wyobrazić sobie Anne-Sophie w tej roli, choć i w jej życiu przypuszczalnie za jego sprawą nastąpi podobna odmiana. Ilekroć przychodziły mu na myśl tego rodzaju implikacje małżeństwa, zawsze wprawiały go na chwilę w lekką konsternację. Z tyłu dobiegał radosny głos Anne-Sophie:

- Tylko sobie wyobraź, sama *la du Barry* chodziła po tych schodach!

W tym momencie przed domem rozległo się trzaskanie drzwiczek samochodu i dobiegły ich jakieś głosy. Z okna pracowni Craya zobaczyli grupę mężczyzn, którzy wysiedli z dwóch samochodów i zgromadzili się na dziedzińcu.

Clara wspięła się razem Delią i Anne-Sophie na niewysokie drugie piętro, do ślicznego pokoju, który zdobiły tapety w kwiaty i szafy z lustrami w drzwiach. Na ich widok Delia wyraźnie pojaśniała,

z nadzieją patrząc na tę fortunną odmianę swojego losu. Od razu zaczęła rozpakowywać swój niewielki dobytek i chociaż nadal uskarżała się, że powinna coś zrobić w swojej sprawie, wiedziała, że teraz nie ma nic lepszego do roboty.

Pozostali nie mieli wątpliwości, że z wielką ulgą znalazła się w pięknym, wspانياły domu, zamiast tkwić w obskurnym, podejrzanym hotelu. Ale chciała jeszcze zobaczyć wieżę Eiffla albo Champs Elysees, albo Luwr, zwłaszcza Luwr. Lamentowała, że jak tak dalej pójdzie - kto wie, może ma to zapisane w kartach - znajdzie się w samolocie, zanim zdąży zobaczyć którykolwiek ze sławnych paryskich zabytków i nawet nie spróbuje niczego szczególnie francuskiego, jeśli nie liczyć kanapki z serem i z jajkiem na wierzchu, którą zjadła w brasserie obok hotelu, albo cielejącej potrawki, którą Anne-Sophie zrobiła poprzedniego wieczoru. Zresztą i tak jej nie tknęła, dla zasady.

Anne-Sophie postawiła torbę z rzeczami Delii na toaletce.

- Jaka śliczna, *dix-huitieme* - powiedziała Anne-Sophie, przyglądając się toaletce z zainteresowaniem eksperta.

- Serge jest wielkim amatorem pchlich targów - wyjaśniła Clara Holly. - Ciagle tam chodzi. Nikt go nie rozpoznaje. Wszystko mamy stamtąd. Kupił tam kandelabry, jakie były w salach balowych i restauracjach w *Królowej Karolinie*. Widziałyście ten film?

- Tak, *tres bien, superbe* - rzekła Anne-Sophie.

- Nie - odpada Delia.

Choć prawdę mówiąc, widziała. Właściwie nie wiedziała, dlaczego nie chciała się do tego przyznać; może nie chciała czuć się zmuszona do opowiadania, jakie to wszystko było cudowne, a może nie chciała wspominać w ten sposób o bezpośrednich związkach Clary ze światem filmu, sławy i pieniędzy, żeby nie dać powodu do przypuszczenia, że właśnie dlatego do niej zadzwoniła.

- Po skończeniu zdjęć zabraliśmy te wspانياłości z planu i przywieźliśmy do naszego domu - wyjaśniła Clara. - Prawdopodobnie to wszystko pochodziło z jakiegoś podobnego *chateau*, potem zostało sprzedane, a teraz wróciło tam, gdzie powinno się znaleźć. Wcale nie staraliśmy się dokładnie odrestaurować domu.

Nie można być niewolnikiem przeszłości... - Mówiła to z pewnym roztargnieniem, jak gdyby powtarzała słowa zasłyszane od kogoś innego, pewnie od męża.

Clara usłyszała odgłosy samochodów na drodze wiodącej do domu i wyjrzała przez okno.

- To myśliwi! - powiedziała.

Anne-Sophie początkowo nie zrozumiała, czemu w jej głosie pojawia się nuta niezadowolenia. Sama знаła niektórych tutejszych myśliwych, w tym prezesa koła myśliwskiego monsieur Crepina. Zostawiwszy Dekę w pokoju, zeszła na dół z Clarą i radośnie ruszyła w stronę myśliwych, żeby się z nimi przywitać przed domem. Nie zdawała sobie sprawy z tego, że Antoine de Persand także poluje; znała rodzinę Persandów z Paryża, a tu proszę, zjawił się w otoczeniu innych mężczyzn w zielonych pilśniowych kapeluszach. Persand najwyraźniej przyjechał bezpośrednio z miasta, miał na sobie elegancji garnitur i płaszcz przeciwdeszczowy Burberry z nieodzownym szalikiem.

Słyszac glosy na dziedzińcu, Cray zmarszczył czoło i wstał z fotela, dając Timowi znać, żeby poszedł za nim. Kiedy znaleźli się na dole, Clara wychodziła właśnie frontowymi drzwiami, a Anne-Sophie rozmawiała przyjaźnie z grupą mężczyzn, którzy stali na podwórzu, w żółtych kurtkach z zielonymi kołnierzami i w jeździeckich butach, i spoglądali nerwowo w stronę lasu. Jedną z wielu rzeczy, jakie Tim podziwiał u Anne-Sophie, były jej talenty towarzyskie; potrafiła zupełnie bezinteresownie przywołać z pamięci nazwiska z *Bottin Mondain* i z całkowicie niewymuszoną swobodą witać się z ludźmi albo przedstawiać się, jeśli jej nie pamiętali.

- To delegacja z *mairie* - powiedziała Clara do Craya dość ponuro. W tym momencie Tim nie znał jeszcze dziejów ich potyczek z merem Briakiem. - Jutro rozpoczyna się sezon polowań na drobną zwierzynę i chcieli z tobą pomówić.

Cray prychnął z irytacją.

- Myślałem, że to załatwiłaś. - Przeszedł koło niej niezadowolony i ruszył w stronę grupy myśliwych spoglądających w stronę jego lasów. Tim od razu zauważył, że wśród nich znajduje się mężczyzna,

z którym Clara rozmawiała tak ciepło w klubie tenisowym, wysoki, łysiejący, w odróżnieniu od pozostałych ubrany po miejsku. Tim odniósł wrażenie, że Clara doskonale zdaje sobie sprawę z obecności tamtego. Jej piękna twarz lekko zaróżowiła się, jakby Clara była zawstydzona, co wyraźnie kontrastowało z poprzednim wyrazem zdawkowej uprzejmości, choć może reagowała w ten sposób, bo jej mąż odezwał się do niej nieuprzejmie w obecności innych ludzi.

- Pan myśliwym? Monsieur! - Anne-Sophie uśmiechnęła się szeroko do znajomego Clary, którego najwyraźniej sama dobrze знаła.

- Nie żebym był jakimś zdeklarowanym zabójcą zwierząt - odparł tamten, całując Anne-Sophie w ojcowski sposób i rzucając jednocześnie spojrzenie w stronę Clary. - Nie miałbym nic przeciwko temu, żebyśmy nie wytropili żadnego jelenia. Po prostu lubię spędzać czas na świeżym powietrzu. Jak się miewa twoja matka?

- Mógłbym pozwolić wam przejechać przez moje ziemie, pod warunkiem, że nie zabijecie żadnego zwierzęcia, jeśli rzeczywiście chodzi tylko o przejazd - zgodził się Cray.

- Antoine de Persand - przedstawił się wysoki mężczyzna, wyciągając dłoń do Craya. - Jestem pańskim sąsiadem. Nie poznał pan jeszcze monsieur mera? Monsieur Briac.

Briac i Cray uściśniły dłonie, ale spotkali się już wcześniej, byk starymi wrogami.

- Zawsze pragnąłem zobaczyć pański dom, podobno należał przez chwilę do Madame du Barry, wiedział pan o tym? - powiedział Persand.

- Dziękuję, że zgodził się pan nas przyjąć, monsieur - oświadczył mer Briac. - Czy moglibyśmy, jak sam pan kiedyś proponował, przyrzec się pańskim alejom?

- Możemy też pójść? - zawołała Anne-Sophie. - Tak bardzo chciałabym zobaczyć pański piękny *foret*.

Tim i Anne-Sophie poszli nieśmiało za grupą mężczyzn towarzyszących merowi ciekawi tego, co się wydarzy, choć wiedzieli, że nie ma to nic wspólnego z nimi.

- *Vous savez*, monsieur, że prezes kola i pozostali panowie doszli do przekonania, że niektóre z pańskich ogrodzeń w sposób nielegal-

ny przegradzają publiczne drogi dojazdowe oraz drogi, które zgodnie z tradycją powinny pozostać przejezdne, i to przegradzają w taki sposób, aby ograniczyć prawa myśliwych oraz przechodniów - wyjaśnił mer. Przywiózł ze sobą kserokopię jakiegoś starożytnego statutu i z całą powagą wręczył pismo Crayowi.

Cray rzucił okiem na dokument, po czym lekceważąco oddał go merowi i ruszył w stronę lasu, kierując się ku wspomnianym ogrodzeniom; jego oskarżyciele podążyli za nim.

- Może pan oglądać moje ogrodzenia zawsze, kiedy ma pan na to ochotę - powiedział Cray. - Są całkowicie legalne. Omawiałam te sprawy z moimi prawnikami. - Reżyser mówił po angielsku z doskonałym amerykańskim akcentem, jednak jego francuszczyzna miała silne polskie naleciałości.

Tim poszedł za Crayem i pozostałymi mężczyznami, zostawiając z tyłu kobiety, które szły nieco wolniej. Zauważył, że Persand w pewnym momencie odwrócił się i spojrzał w stronę Clary idącej razem z Anne-Sophie, jak gdyby szukał choćby najmniejszego potwierdzenia jej obecności. Tima tknęło jakieś przecucie, może podpowiadał mu to zmysł reportera, że wkrótce coś się wydarzy. Być może jeszcze nic się nie stało, ale czy na pewno? Na razie to tylko drobne strumyki, coraz szybciej przepływające wokół kamieni, które wkrótce zbiegną się w rwący strumień, porywając różne rzeczy za sobą - rzeczy, które chwilę unoszą się na powierzchni, a potem znikają pod wodą, drobne patyczki, zarodniki dmuchawca. O wiele zabawniej byłoby spekulować zawczasu, kto i co da się wessać pod powierzchnię strumienia. Ale takie sprawy stają się jasne dopiero z perspektywy czasu, kiedy jest już za późno, żeby o nich pisać.

Delia zeszła na dół w ślad za innymi. Czuła się bezpiecznie pod dachem nieco starszej kobiety, która także pochodziła z Oregonu; mogła teraz intensywniej skupić myśli na biednym przyjacielu Gabrielu, zwłaszcza że czuła się winna, iż na chwilę o nim zapomniała. Czy siedział gdzieś w celi albo w policyjnym areszcie, brutalnie pobity gumowymi pałkami, a może odesłano go do Legii Cudzoziemskiej? Postanowiła okazać się użyteczna dla Clary Holly,

a jednocześnie spróbować wciągnąć tych ludzi w akcję uratowania Gabriela, ponieważ wiedziała, że sama jest bezsilna. Pomyślała, że ten mężczyzna, Tim, może najprędzej odkryć, co się stało z Gabrielem; to dziennikarz, który na pewno ma swoje kontakty. Ponadto trzeba będzie spytać w konsulacie, może zostali zawiadomieni o aresztowaniu jednego z amerykańskich obywateli, a może zadzwoni sam Gabriel, gdyby pozwolono mu zatelefonować z celi. Czy Gabriel jest amerykańskim obywatelem? Tak, przecież miał amerykański paszport.

Zaczęła przysłuchiwać się głosom dobiegającym przez wejściowe drzwi z dziedzińca, na którym Clara, Anne-Sophie i Tim rozmawiali w chłodnym poranku z grupą nieznanym mężczyzn, którzy nie byli ani z policji, ani z amerykańskiego FBI. Dołączyła do całego grona, trzymała się z tyłu, choć na tyle blisko, by zorientować się z ich głosów, ponieważ wszyscy mówili po francusku, nawet Clara, że to, co się teraz dzieje, nie ma z nią nic wspólnego. Nagle cała grupa ruszyła ścieżką w stronę położonego za domem lasu patykowatych drzew. Na czele szedł otyły mężczyzna z groźnym wyrazem twarzy, a jego mina dawała jasno do zrozumienia, że nie chodzi tu o przyjemne spotkanie towarzyskie, ale o jakiś problem. Powinna iść z nimi czy zostać? Uznała, że jako gość, który pragnie być użyteczny, musi iść za nimi.

Las wydał się Delii najładniejszą jak dotąd częścią Francji, poczuła się jak w Oregonie; dobrotliwy stwórca sprawiedliwie obdarzył pięknem natury zarówno Francję, jak Oregon. Ścisnąc ją wewnątrz węzeł zmartwień nieco się poluzował. Wiedziała, że nie nadąży za całą grupą, więc nawet tego nie próbowała, ale kuśtykała w swoim tempie, ciesząc oczy widokiem żółknących liści i wdychając zapach przedzimowej wilgoci. W pełnym słońcu las o tej porze roku promieniałyby blaskiem złotych liści osiki, ale tego dnia, w szarym świetle psującej się pochmurnej pogody, wydawał się ponury, z posępnymi zapadliskami zarośli.

Akurat w chwili, gdy towarzystwo znalazło się przy pierwszych ciężkich, pomalowanych na żółto łańcuchach, jakie Cray zawiesił w poprzek swoich dróg, francuskie niebo ze swoją malarską zdolnoś-

cią odtwarzania ludzkich emocji nagle pociemniało i nie wiadomo skąd napłynęły chmury przygnane zimnym jesiennym wiatrem. Resztki liści zaszeleściły, opadły pod ciężarem grubych kropli deszczu i leżały teraz rozmoknięte na deszczu. Niczym odruch serca przepełnionego nienawiścią siekający deszcz uderzył w grupę mężczyzn, wlewając się im za kołnierze i ściekając wzdłuż rękawów. Czy niebo zesłało swój gniew na myśliwych, czy na tych, którzy pragną pokrzyżować ich słuszne dążenia do zachowania równowagi w przyrodzie?

Deszcz! Tak skutecznie zmuszający do nawiązywania natychmiastowych kontaktów między ludźmi. Francuzi oczywiście mieli parasole, które sztywno unieśli do góry, aby objąć nimi mniej przewidujących Anglosasów, i cała grupa skierowała się szybkim krokiem w stronę domu Crayów. Tim wziął parasolkę od Anne-Sophie i uniosł ją wyżej, żeby osłonić Anne-Sophie i Clarę Holly. Widział, że tamten Francuz - najwyraźniej jakiś znajomy Anne-Sophie - ruszył w ich stronę ze swoim parasolem, pragnąc osłonić Clarę, ale ta poszła szybko razem z Anne-Sophie, zaśmiewając się z uciechy, jaką budzi w ludziach fakt, że są przemoczeni. Delia samotnie kuśtykała za nimi, ale nagła ulewa nie robiła na niej, jak na każdym mieszkańcu Oregonu, żadnego wrażenia.

ROZDZIAŁ 20

Gościnność

Szli w głąb lasu około kwadransa, więc tyle samo czasu musieli teraz iść z powrotem, ale droga do domu wydała im się o wiele dłuższa. Drzewa ugiwały się i kołysały na wietrze, nie dając żadnej ochrony przed deszczem. Mimo parasoli wszyscy dotarli do *chateau* przemoczeni, kurtki myśliwych kleiły im się do grzbietów.

- Lepiej wejdźcie do środka - powiedział Cray głosem bez wyrazu i gestem ręki zaprosił wszystkich do wnętrza swojego domu. Myśliwi weszli do holu, tupiąc i potrząsając głowami niczym zmoknięte psy gończe. Clara widziała, że Serge nie ma ochoty gościć swoich wrogów, ale podobała mu się myśl, że zaciągną w ten sposób u niego dług wdzięczności za tę chwilę ciepła i ochrony przed wilgocią.

Monsieur de Persand nie wszedł jednak razem z innymi. Wymamrotał coś wyjaśniająco do mera i uściśnął mu rękę, po czym skłonił się ponad dłońią Clary Holly.

- *Madame... malheureusement, je suis presse...*

Skinął pozostałym i pobiegł do swojego samochodu.

Antoine de Persand polował przez całe życie wraz ze swoim ojcem i braćmi, ta rozrywka stanowiła element miejscowej tradycji w okolicy ich wiejskiej posiadłości. Było to ożywcze zajęcie na świeżym powietrzu, nie do pogardzenia w życiu człowieka, który większość czasu spędza za biurkiem, jako bankier i ojciec rodziny, oraz *responsible* całego rodu. Prawdę mówiąc, nie przepadał za zabija-

niem zwierząt i właściwie nawet nie lubił jeść *gibier*, jeśli nie liczyć *terrines* z królika, ale to była raczej kwestia smaku. Lubił natomiast maszerować po polach ze strzelbą w rękę. Z zasady nie polował na grubego zwierza, jedynie strzelał do ptaków, ale jego pozycja społeczna, wyprostowana, nieco sztywna postawa oraz autorytet moralny zapewniły mu miejsce w zarządzie kola miejscowych myśliwych (a także w rozmaitych radach organizacji dobroczynnych i społecznych). Podczas polowań zwykle nawet nie starał się strzelać. Paradoksalnie, pozostali myśliwi uważali go za najważniejszą postać w swoim gronie, jedyne go człowieka, który jest tak zapracowany, że nie ma czasu skupić się i dobrze wycelować ze swojej strzelby. Raz nawet w odruchu współczucia ofiarowali mu *demi-biche*, tylną ćwiartkę jelenia, którą musiał następnie zawieźć do rzeźnika na masce swojego samochodu.

Ożenił się z *une Strasbourgeoise* o imieniu Trudi i niemieckich korzeniach, z którą miał dwoje dzieci. Niedawna rodzinna tragedia, śmierć młodszego brata zamordowanego przez męża kochanki, głęboko wstrząsnęła jego matką i sprawiła, że Antoine nominalnie stał się głową rodu, odpowiedzialną za rodzinne interesy - inwestycje i inne podobne sprawy - choć teoretycznie powinien się tym zajmować jego starszy brat Frederic, który wiodł rozpustne życie w Nicei. Antoine miał czterdzieści siedem lat i zajmował wysokie stanowisko w banku Maller et Cie, wobec którego spełniał także rolę jednego z najważniejszych adwokatów.

Antoine de Persand z rozmysłem postanowił, że nie wejdzie do domu reżysera filmowego razem z pozostałymi członkami komitetu łowieckiego. Niedawną tragedię, jaka rozegrała się w jego rodzinie, stanowiącą zasadniczo następstwo cudzołóstwa, potraktował jako poważne ostrzeżenie i wiedział, że nie może sobie pozwolić nawet na najmniejszy przejaw słabości, jaką byłaby ponowna rozmowa z tą piękną kobietą. Pokładał wielką ufność w cnocie samokontroli.

Widząc odjeżdżającego Persanda, Tim doszedł do wniosku, że pomysł, jakoby coś szczególnego działo się pomiędzy tym jegomościem a Clarą Holly, był jedynie wytworem jego wyobraźni. Niemniej

nieznajomy mężczyzna sprawiał wrażenie, jakby czuł się dziwnie niezręcznie i przed czymś się powstrzymywał. Tim z niewiadomego powodu wracał wciąż myślami do tamtego przypadkowego spotkania w klubie tenisowym i kryjącej się w nim sugestii - której wołał sobie w pełni nie uświadamiać - że jeśli ktoś inny mógł mieć tę kobietę, to również on, Tim. W tym momencie poczuł wyraźnie w kieszeni płaszcza przeciwdeszczowego małą dłoń Anne-Sophie szukającą chusteczki, którą tam włożyła.

- Znam ten dom, monsieur - odezwał się mer Briac do Craya.
- Kiedyś należał do władz miejskich. Został sprzedany jeszcze w latach siedemdziesiątych. Decyzja sprzedaży nie była moja, należała do mojego poprzednika.

- Kupiłem go z ogłoszenia w „Maisons et Chateaux” - powiedział Cray ostro. - Nigdy nie spotkałem się z właścicielem.

Mer prychnął, być może na wspomnienie o poprzednim właścicielu, człowieku, który przypuszczalnie obdarł budynek z jego osiemnastowiecznych wspaniałych ozdób.

Clara poszła po ręczniki. Przyniosła całe naręczce, jednak myśliwi nie chcieli z nich skorzystać. „*Non, non, ca va*”. Tim i Delia także odmówili, ale Anne-Sophie i Cray wytarli sobie twarze.

- Sherry - zawoła Clara. - Wszyscy koniecznie powinni napić się sherry i spróbować trochę kanapek, póki nie wyschniecie, to niezdrowo być tak przemoczonym.

Nie wiedziała właściwie, dlaczego to powiedziała ani czemu zaprzagnęła okazywać gościnność zgromadzonym siłom wroga. Jednak oboje z Serge'em tak rzadko miewali gości, że być może chodziło o chęć podejmowania gości w *chateau*. Pamiętała o pierwszym towarzyskim błędzie, jaki popełniła we Francji, gdy nie zaprosiła ludzi do środka. Wkrótce po tym, jak się tu sprowadzili, urządzili wielkie barbecue pod gołym niebem z okazji święta czwartego lipca i zaprosili na nie mieszkańców miasteczka. Jednak miejscowi byli wyraźnie zirytowani, ponieważ mieli nadzieję, że będą mieli okazję wejść do domu i obejrzeć wnętrza. Wprawiło to Clare w pomieszenie, gdyż wydawało się jej, że wiele francuskich uroczy-

stości odbywa się na świeżym powietrzu, często w takim samym namiocie, o jakiego rozstawienie zadbała tamtym razem.

Teraz była więc nieco zaskoczona, gdy mer Briac zgodził się napić sherry i powiedział, że nie odmówi kanapki. Zaprowadziła ich korytarzem do obszernej jadalni, którą niedawno sama urządziła, dużego słonecznego pomieszczenia od południa, otwartego na kuchnię. Anne-Sophie ochoczo poszła za nią, wygłaszając radośnie mały wykład, w którym uwzględniła idee zaczerpnięte od Tima:

- To właśnie z powodu istnienia „pokoju rodzinnego”, czyli jadalni, Francuzi nie zdają sobie sprawy z tego, że w amerykańskim domu oprócz niego jest także salon i w przekonaniu, że w Ameryce kuchnia jest zawsze połączona z salonem ukuli wyrażenie *cuisine americaine*, którym określają nieszczęsne przeróbki we własnych wnętrzach.

Pokój jadalny doskonale nadawał się do tego, aby mogli wyschnąć przy ogniu wielkiego kamiennego kominka (pierwotnie go tam nie było). Senhora Alvares miała zrobić kanapki. Delia poszła jej pomóc, podczas gdy przemoknięci myśliwi stali w zbitej grupie pośrodku pokoju. Tim wciągnął jednego czy dwóch do rozmowy na temat październikowego deszczu.

- Często pada na początku sezonu *petit gibier*, gołębi i kuropatw - powiedział.

Cray gdzieś zniknął. Tim widział niezadowolenie na jego twarzy, gdy Clara zaproponowała myśliwym sherry, zauważył, jak gniewnie rzucił jej znaczące spojrzenie. Nie powstrzymało to jednak jej odruchu gościnności. Lubiła wczuwać się w rolę gospodyni podejmującej gości w swoim pięknym domu, w którym sprowadzony z Anglii piec Aga emanował przyjaznym ciepłem, a w położonej obok niedużej spiżarni czekały poskładane i równo ułożone dziesiątki małych płóciennych serwetek oraz niewielkie koktajlowe talerzyki, nadające się do trzymania na kolanach.

W kuchni znalazły się różne składniki, z których można było zrobić kanapki, a Delia pomogła senhorze Alvares smarować chleb masłem orzechowym i odkrawać skórkę. Clara, która także im pomagała, smarowała chleb masłem i kroić ogórki. Pomyślała sobie, że bardzo przypomina w tym momencie swoją matkę, która zawsze

lubiła przyrządzać jedzenie dla dużych grup, na przykład dla rodziców graczy drużyny futbolowej, dla King's Daughters albo członków swojego klubu brydżowego, dla organizatorów wyprzedaży w bibliotece lub członków komisji po zamknięciu punktów do głosowania w dniu wyborów.

Rozsmarowując masło, Clara przyłapała się na tym, że jej myśli zajmuje tamten mężczyzna, Antoine de Persand. Dlaczego nie wszedł do środka, czyżby miał jakieś szczególne powody, by tak postąpić? Co to miało za znaczenie? Jak mogła sobie wyobrażać, że i on wejdzie do środka, że będzie chciał ją zobaczyć... Oczywiście wcale nie miała ochoty kiedykolwiek wdawać się w coś takiego... W co takiego? Jakie to żenujące, że pozwoliła sobie na drobne, niczym nieuzasadnione szaleństwo wyobraźni.

Clara przyniosła sherry, senhora Alvares rozdała małe szklaneczki i koktajlowe talerzyki oraz nieduże płócienne serwetki ozdobione motywem małych kogutów. Delia obejrzała je z zawodowym zainteresowaniem, trafnie rozpoznając w nich amerykańskie serwetki koktajlowe z lat trzydziestych.

- Lake Oswego - powiedziała Clara.

W końcu mer Briac, który już rozgrzał się i wysuszył, uściskał dłoń Clary, następnie Tima i Anne-Sophie, a nawet Delii, po czym każdy z jego kompanów odprawił ten sam rytuał - długie kilka minut potrząsania dłońmi i uprzejmych pożegnań - a potem poszli do swoich samochodów. Pod koniec wizyty ożywili się i wdali w przyjemną rozmowę na temat pogody, miejscowej *bibliotheque* i małego zawalonego mostku na skrzyżowaniu oraz planów jego naprawy. Nikt nie napomknął o polowaniu. Clara doceniła tę chęć uszanowania ich gościnności.

Po wyjeździe myśliwych zabrała się do przywracania porządku, w czym pomagały jej Anne-Sophie i Delia. Zebrały szklaneczki i talerzyki, pogniecione papierowe *serviettes*, popielniczki. Tim pomyślał, że kobiety najwyraźniej znajdują coś przyjemnego w sprzątanii po swoich gościach. Zwłaszcza Clara wydawała się bardzo zadowolona. Na półmisku zostało kilka kanapek - większość z masłem orzechowym.

- Zauważyłam, że nikt nie spytał, czy w tym domu się pali - powiedziała Delia, marszcząc brwi na widok pełnej popielniczki.

Serge Cray zszedł na dół i reżyserskim okiem obserwował pobojowisko talerzyków, szklanek i pogniecionych serwetek oraz widok kobiet, które zaprowadzały porządek. Zauważył to samo, na co zwrócił uwagę Tim - kanapki z masłem orzechowym. Na półmisku leżała jedna, z której ktoś ugryzł kawałek. Cray uśmiechnął się sarkastycznie i powiedział do żony:

- Tylko ty mogłaś podać masło orzechowe bandzie Francuzów.

Clara zareagowała uśmiechem, odwróciła się, być może epizod nie miał większego znaczenia, ale Tim był zaszokowany niemiłym tonem tej uwagi, która nadspodziewanie wiele mówiła na temat Clary Holly i jej męża, a nawet w ogóle na temat małżeństwa. Nigdy nie zastanawiał się zbyt nad codzienną stroną małżeństwa z jego nieuchronnymi drobnymi urazami, wspólnymi radościami albo rozczarowaniami. Czy to możliwe, że mówiłyby podobnie niegrzeczne rzeczy własnej żonie? Dotąd nigdy nie odezwał się nieuprzejmie do Anne-Sophie, nie odczuwał takiej potrzeby. Jednak podświadomie zdawał sobie sprawę z jej niektórych irytujących cech. Na przykład palenie. Poza tym czasami nie potrafiła rozpoznać prostych anglosaskich odniesień kulturalnych. „Satchmo?”. Teraz te różnice (tylko ty!) zaczęły mu się objawiać jako potencjalne pole minowe.

Odkrycie, że mąż Clary potrafi być wobec niej okrutny i szorstki, wzbudziło w nim odruch rycerskości. Pragnął pocieszyć tę biedną piękną damę, zapewnić ją, że nie wszyscy mężczyźni będą ją dyskredytować lub potępiać i że kanapki z masłem orzechowym stanowią naturalny wyraz ludzkiej gościnności. Ogarnęło go pragnienie, by wziąć ją w ramiona, pocieszyć i ukoić - każdy by tego pragnął.

Anne-Sophie także dostrzegła coś niepokojącego i rozczarującego w złośliwej uwadze Craya. Tylko ty mogłaś zrobić *une telle betise*. Mężczyzna może upokorzyć kilkoma słowami, w dodatku tak niesprawiedliwie, bo przecież to tamta dziewczyna, Delia, przygotowała kanapki, które, choć wyglądały odstręczająco, jak *caca*, z pewnością były nieszkodliwe i zrobione w dobrej wierze. Wydawało się, że madame Cray niemal nie zwróciła uwagi na to, co się stało, jak

gdyby obyczaj czynienia chamskich uwag przez jej męża nie potrafił już jej zranić, tak wiele dotąd wycierpiała.

A więc tak! To jest małżeństwo! Anne-Sophie poczuła się zaniepokojona kryjącym się w tym przesłaniem o podległości kobiet. Ona, Anne-Sophie, rozbiłaby mu raczej półmisek na jego głowie. Clara Holly zaś wolała zachowywać się tak, jak gdyby nie zauważyła - może naprawdę nie zauważyła - że jej mąż pozwolił sobie na prostaczką, miażdżącą uwagę, która znaczyła mniej więcej tyle, że uważa ją za najgłupszą kobietę na świecie. Tylko ty! W dodatku zrobił to na oczach innych ludzi - Tima, dziewczyny z Oregonu i jakiegoś nowego, nieznanego człowieka, którego przedstawiono jako projektanta ogrodów i który nadal tam był. Anne-Sophie poczuła głęboki wpływ siostrzanego uczucia.

Spojrzała na Tima. W jego oczach dostrzegła, jak miała nadzieję, ukrytą deklarację, że będzie ją kochał i że nigdy nie odezwie się do niej w ten sposób. Między nimi będzie panowało idealne zrozumienie. Pomyślała o tym, jaki przystojny jest jej ukochany, jak bardzo go kocha i jakie to szczęście, że się spotkali. Gdyby tylko sama była tak piękna, jak on na to zasługiwał! Gdyby tylko potrafiła być zawsze równie spokojna i życzliwa jak madame Cray. Takie właśnie nuty rozbrzmiewały w akordzie jej miłości dla przyszłego męża. Tylko ty!

- Masło orzechowe jest dla nich zbyt amerykańskie? - spytała Delia, zastanawiając się, kogo to obchodzi, co sobie myśli mer. Co za dupki. To straszne być żoną kogoś tak grubego - nawet jeśli jest sławny - kto robi awanturę z powodu kanapek z masłem orzechowym i odzywa się do ciebie w ten sposób w obecności innych, czy choćby w cztery oczy.

- To jedna z przepastnych różnic kulturowych - wyjaśniła Clara.

ROZDZIAŁ 21

Apokalipsa Driad

Cray dal Timowi znak ręką, żeby poszedł za nim na górę. Kiedy zamknęli się w gabinecie, powiedział:

- Wczoraj ktoś do mnie zadzwonił w sprawie manuskryptu, jak rozumiem, chodzi o ten skradziony z biblioteki w Nowym Jorku. Dokładnie tak, jak to przewidziano. - Jego dziwne oczy błyszczały z podniecenia za grubymi szklami okularów.

Tim skinął z satysfakcją. Rzeczywiście wszystko działo się zgodnie ze słowami Ceesa.

- Cena jest wysoka, pięćset tysięcy dolarów. Warunki takie jak zwykle w takich sytuacjach - mam nic nie mówić policji i tak dalej.

- I co pan na to?

- Przyjąłem te warunki. Uznałem, że postąpię odpowiedzialnie, kupując ten manuskrypt, a w każdym razie odbierając go z rąk złodziei. Nie martwię się o pieniądze, jestem pewien, że ubezpieczenie biblioteki pokryje koszty albo będzie jakaś nagroda. Naturalnie oddam pergamin do rąk właścicieli. Na razie grałem na zwłokę. Ten człowiek miał zadzwonić ponownie dziś rano, żeby się dowiedzieć, jaka jest moja odpowiedź, i udzielić mi instrukcji, ale jeszcze się nie odezwał. Ktoś będzie musiał przekazać mu pieniądze i odebrać dokument, a tego akurat nie chciałbym robić osobiście.

- Chce pan, żebym ja to zrobił? - spytał Tim i pomyślał bez wahania: czemu nie? Nie było w tym nic nielegalnego, a przypusz-

czalnie także niebezpiecznego. No i będzie miał o czym napisać. Oczywiście najpierw zawiadomi Ceesa.

- Tak.

- Dobrze - zgodził się Tim. - Tylko muszę wiedzieć kiedy, no i w jaki sposób mam poznać, że dokument jest autentyczny.

- Może pan przestudiować to, co mam tutaj. Interpol przesłał kserokopię skradzionego manuskryptu i zawiadomienie o kradzieży.

Tim obejrzał uważnie kserokopię oraz informacje nadesłane przez amerykańską policję. Poplamiony, napisany ręcznie dokument po łacinie; najwyraźniej kserokopię zrobiono z mikrofilmu, ponieważ słowa były jasne na czarnym tle.

- Oczywiście zdarzają się bardzo zręczne fałszerstwa. Mogą próbować sprzedać nam podróbkę.

- Chyba powinienem jeszcze raz obejrzeć oryginalne manuskrypty z tego okresu. - Ani oryginał, ani zręczna podróbka nie wyglądałyby przecież jak kserokopia.

Cray wzruszył ramionami i podszedł do swoich szaf gabinetowych.

Tim zastanawiał się, co powinien zrobić. Zważywszy na bieg wydarzeń minionego tygodnia, nie od rzeczy wydawało się przypuszczenie, że kradzież, morderstwo na pchlim targu oraz zniknięcie Amerykanina mają ze sobą coś wspólnego. Tylko co, skoro Amerykanin był razem z Delią w chwili popełnienia morderstwa i jest w tej sprawie równie niewinny jak ona, a teraz przypuszczalnie znajduje się w rękach francuskiej policji i nie mógłby osobiście zadzwonić do Craya.

Cristal wzięła czek na cztery tysiące dolarów, wypisany przez Serge'a Craya dla weterynarza leczącego Lady, i zniosła go do Ben Franklin Banku, gdzie włożyła pieniądze na swoje konto, zostawiając sobie jedynie tysiąc w gotówce. Patrząc na pięć plików dwudziestodolarowych banknotów leżących na kontuarze, w czasie gdy kasjer je przeliczał, pomyślała, że nigdy w życiu nie miała w ręku tylu pieniędzy naraz. Starannie zwinęła rachunek kasowy i włożyła go do torebki. Gotówkę umieściła na dnie torby na zakupy, na wypadek

gdyby ktoś zerwał jej torebkę z ramienia. Jej córka SuAnn zawsze tak trzymała pieniądze i płaciła wszystkie rachunki gotówką, nawet za lekarza. To stanowiło jedną z podstawowych zasad grupy, do której należała, i właściwie trudno się z tym nie zgodzić. Zasada była całkiem dobra, w każdym razie na pewno mogłaby za taką uchodzić w świecie idealnym. W idealnym świecie nikt by cię nie okradł, ale też nikt nie cierpiałby na chorobę afektywną dwubiegunową. SuAnn była zaangażowana w walkę o doskonały świat.

Cristal była trochę roztrzęsiona, jadąc z powrotem do domu pani Holly, w końcu wiozła w torbie na zakupy tysiąc dolarów, ale na szczęście nic się nie zdarzyło. Pani Holly oglądała telewizję w salonie, więc Cristal wzięła pliki banknotów i schowała do szafy w jej sypialni, umieszczając je pod szpitalnym basenem i piankowym materacem, którego musiały ostatnio używać, rzeczami tak odstręczającymi, że na pewno nikt nie chciałby pod nie zaglądać, a nawet ich dotykać.

Jeśli Clara kiedykolwiek spyta, co się stało z Lady, Cristal może powiedzieć, że suka zmarła po operacji, kiedy ona już zapłaciła rachunek. Tak, tak właśnie powie.

Toteż gdy podczas następnej rozmowy Clarę ogarnęły wyrzuty sumienia, że nie odwiedza matki, Cristal zdecydowanie odwiodła ją od pomysłu o szybkiej wizycie.

- Przyjadę - powiedziała Clara, dławiąc się wyrzutami sumienia.
- Nie, wszystko jest w porządku, będzie lepiej, jak przyjedziesz w grudniu, na jej urodziny, będzie taka szczęśliwa.
- Tak, w grudniu, to da mi trochę czasu, żeby oswoić męża z tym pomysłem - zgodziła się Clara.
- Tak, to tylko miesiąc.

ROZDZIAŁ 22

Aresztowanie monsieur Savarda

Następnego ranka, w sobotę, Anne-Sophie pracowała jak zwykle na targu staroci, a ponieważ miała do zabrania ze sobą tylko teczkę rycin, pojechała autobusem do Clignancourt i poszła piechotą ciemnymi jeszcze ulicami w stronę Marche Paul Bert. Panowała tam niecodzienna atmosfera podniecenia. Wiele stoisk otworzyło już swoje podwoje, wyładowywano sterty krzeseł poskładanych jedno na drugim i powiązanych sznurkiem do bielizny, a dwóch zwinnych niewysokich Arabów w niebieskich kombinezonach roboczych, niosło ogromne pozłacane lustro, ledwie mogąc udźwignąć jego ciężar. Huguette Marsac dawała im rękami znaki, gdzie mają je postawić. Jednakże źródłem dziwnego poruszenia była grupa znajomych *antiquaires*, którzy stali w alejce w żółtych *impermeables*, z podniesionymi sztruksowymi kołnierzami dla osłony przed chłodem, i pocierali zgrabiałe palce pogrążeni w ożywionej rozmowie.

Huguette przerwała w pewnym momencie pracę, żeby przekazać Anne-Sophie nowinę.

- Monsieur Savard, stanowisko dziewięćdziesiąt w czwartej alei, został aresztowany pod zarzutem zabójstwa biednego monsieur Boudherbe'a. Czy to nie zdumiewające?

Oczywiście Anne-Sophie była zdumiona. Zaledwie wczoraj policja zabrała stąd Amerykanina - jak sądziła, na przesłuchanie w sprawie morderstwa. A tu nagle oskarżono o tę zbrodnię monsieur Savarda, spokojnego, niezbyt towarzyskiego, ale przykładnego handlarza niewielkimi rzeźbami z brązu.

- Wygląda na to, że policja aresztowała go wczoraj wieczorem w jego mieszkaniu!

Przez cały dzień po targu krążyły różne plotki, przetaczając się niczym fale aż po zmierzch. Powiadano, że monsieur Boudherbe i monsieur Savard usiłowali wspólnie zrobić jakiś podejrzany interes, który się nie powiódł. Może chodziło o jakieś kryminalne przedsięwzięcie, jak handel narkotykami albo bronią dla Irlandczyków lub Algierczyków, a może o rosyjskie prostytutki lub kradzież dzieł sztuki ze świeżo powstających państw Europy Wschodniej. To znów mówiono, że byli kochankami i doszło między nimi do kłótni na tle zazdrości - choć nikt raczej nie wyobrażał sobie otyłego i nieco pożółkłego od tytoniu monsieur Boudherbe'a w roli seksualnego zwierzęcia, a tym bardziej monsieur Savarda. Jednak pod koniec dnia potwierdziła się wiadomość, że Savard miał w domu w szufladzie trzy miliony franków, które przypuszczalnie ukradł Boudherbe'owi.

Anne-Sophie nie mogła dojść do siebie. „*Ce n'est pas possible*” - powtarzała. Jej wyobraźnia obsadziła już romantycznie wyglądającego Amerykanina w roli zdesperowanego włamywacza, ofiary policyjnej niesprawiedliwości, zapomnianego więźnia, a nawet zbiega przed wymiarem sprawiedliwości z jakiegoś bardziej brutalnego i niebezpiecznego kraju. Była pewna, że jest także mordercą.

Jednak jej niewątpliwy żal, że Amerykanin nie okazał się mordercą, szybko znalazł rekompensatę w postaci podniecającej myśli, że mogła tak się pomylić co do monsieur Savarda. Ten ewidentny błąd otworzył przed nią zupełnie nowe, wstrząsające perspektywy wiedzy na temat granic ludzkiej intuicji. Poczowała też wyraźny respekt dla policjantów - wykazali ogromną determinację w swoim bezstronnym poszukiwaniu prawdy, do tego stopnia bezstronnym, że aresztowali w końcu Francuza, nie ulegając pokusie przetrzymania amerykańskiego *etranger*. Czy to znaczy, że wypuścili Amerykanina? Anne-Sophie uznała, że powinna zawiadomić Delię o tych wydarzeniach, ale uświadomiła sobie, że nie ma numeru telefonu Crayów i będzie musiała poczekać, aż Tim wróci do domu.

ROZDZIAŁ 23

Wyznania

W ciągu następnego tygodnia życie w domu Crayów nabrało nowego, ale dość regularnego rytmu. Pierwszego dnia Delia zesłała na dół z samego rana, czując lekką ulgę, że pozostali domownicy jeszcze śpią, a jednocześnie pewien niepokój, ponieważ mogliby pomyśleć, że myszkuje w ich kuchni. Rozmyślała o swoich nowych gospodarzach, Clarze i Serge'u Crayach. Pan Cray bez wątpienia zachowywał się w stosunku do swojej żony jak świnia. Delia zaczęła dostrzegać, że życie ze sławnym, ale wybuchowym mężem może mieć swoje dobre i złe strony. O ósmej pojawiła się nieduża, przysadzista pokojówka, a może sprzątaczką, którą widziała tu wczoraj, i skinęła jej na powitanie z jakiegoś drugiego brzegu językowego świata.

- *Bonjour* - powiedziała Delia, zdając sobie sprawę z tego, że właśnie pierwszy raz powiedziała coś po francusku oprócz *merci*.

- *Bom dia* - powiedziała kobieta w języku, którego Delia nie rozpoznawała. Po czym zrobiła kawę i podała Delii półmisek *crois-santów*.

W nocy, leżąc bezsennie w łóżku, Delia starała się uporządkować w głowie wszystko, co miała dzisiaj do zrobienia. Przede wszystkim, skoro już znalazła się z dala od tamtego hotelu, musi zadzwonić do konsulatu, powiadomić swoich rodziców, że się przeprowadziła, i podać im swój nowy numer telefonu. Dalej - powiedzieć Timowi, że jej pieniądze jeszcze nie przyszły, ponieważ następnego dnia, czyli jutro, powinna znaleźć się na lotnisku i odlecieć do domu, gdyż jej

tygodniowy bezzwrotny bilet tracił ważność. Miała poczucie, że znalazła się w sytuacji przypominającej paragraf 22, nie miała ani paszportu, ani nadziei. Może jakimś cudem zdobędzie dokument potwierdzający powody, dla których przedłuży pobyt, co pozwoliłoby jej przedatować bilet, ale wydawało się to niewykonalne, no chyba żeby umarła, ale może policyjny nakaz nieopuszczania Francji liczyłby się tak samo jak śmierć.

Kiedy Clara zeszła na dół, Delia wyjaśniła, na czym polegają jej kłopoty. Clara budziła w niej poczucie bezpieczeństwa. Miała na sobie szlafrok frotte i zdaniem Delii wyglądała na nieco rozmemłaną - tak to już jest, kiedy się ma duży biust i nie nosi biustonosza.

- Gabriel też ma bezzwrotny bilet.

- Zadzwoimy, gdzie trzeba - uspokoiła ją Clara mgliście.

Chociaż obawiała się, że obecność Delii wprowadzi zamieszanie w domu, w sumie było dość przyjemnie spotkać rano w kuchni kogoś, z kim można porozmawiać.

- Nie mogę tak po prostu pojechać do domu, nie wiedząc, gdzie jest i co się z nim stało.

- Kochasz go? - spytała Clara. - Jest twoim chłopakiem?

- Nie jest moim chłopakiem - odrzekła Delia. - Mieszka z kim innym... ona jest trochę obłąkana. Myślę, że mu jej żal i martwi się, co by się z nią stało, gdyby odszedł.

- Sądzę, że możemy zaufać Timowi Nolingerowi - powiedziała Clara. - Wydaje się, że jest kompetentny i odpowiedzialny, i przypuszczalnie już stara się dowiedzieć, gdzie jest Gabriel.

- Jednak bycie kompetentnym i odpowiedzialnym to nie jest to samo - zauważyła Delia.

Wydaje się, że osoby obdarzone naturalnym pięknem dzielą się na dwa rodzaje: na tych, którzy swój wygląd mają za nic, i tych, którzy nie myślą o niczym innym. Clara należała do tej pierwszej grupy, jednak gdy obudziła się tego ranka po wizycie myśliwych, przez dłuższą chwilę przyglądała się swojemu odbiciu w lustrze. Nadal zastanawiała się, dlaczego ten miły Francuz, który był taki uprzejmy po spotkaniu w bibliotece (nazywał się Antoine de Persand), nie wszedł do

środka razem z innymi. Miała nadzieję, że wejdzie, zamieni kilka niewinnych słów, a on obejrzy jej piękny dom i zje kanapkę.

Czy się zaniedbała? Gdyby dalej grała w filmach, musiałaby na bieżąco śledzić drobne zmiany, jakie czas odciskał w jej wyglądzie w ciągu tej dekady, ale życie na uboczu i konieczność zajmowania się Larsem sprawiły, że zupełnie o tym zapomniała - aż do tej chwili. Z niepokojem zauważyła, że moc, jaką kiedyś miała jej uroda, przypuszczalnie należy do przeszłości, i poprzysięgła sobie, że wróci do swojego dawnego pomysłu, żeby zebrać sekrety Francuzek na temat piękna i seksu i zawrzeć je w małej książeczce. Zaskoczona, jak wiele wiedzą na ten temat, zaczęła pracować nad taką książką kilka lat temu w przekonaniu, że musi mieć jakieś bardziej twórcze zajęcie, ale teraz sama chętnie zastosowałaby te sekrety, gdyby rzeczywiście jakieś znalazła. Pomyślała, że Anne-Sophie d'Argel mogłaby stanowić dobre źródło takiej wiedzy, była taka energiczna, świeża i śliczna, najwyraźniej miała w małym palcu stulecia sekretnej wiedzy francuskich kobiet. Clara zaczęła się zastanawiać, gdzie też mogła położyć notatnik, w którym zapisywała swoje spostrzeżenia. Zastanawiała się też, czy madame Antoine de Persand jest piękna.

Tim i Anne-Sophie zaczęli dostrzegać, że ich nowe związki z Crayami oraz ich podopieczną Delią mają także swoje minusy. Kiedy Tim po raz pierwszy usłyszał o kradzieżach, postanowił, że pojedzie do Hiszpanii odwiedzić dwa klasztory i bibliotekę w Sewilli, z których jakiś człowiek przebrany za mnicha, przybyły rzekomo z jednego z niemieckich klasztorów, ukradł manuskrypty Apokalipsy. We wszystkich trzech przypadkach kradzieży obiektem zainteresowania złodzieja były karty Apokalipsy świętego Jana dotyczące końca świata. Tim zgromadził informacje na temat tych kradzieży z informacji prasowych, internetu i od Ceesa. Ale teraz zgodził się wystąpić jako wysłannik Craya w sprawie zakupu świeżo skradzionego manuskryptu, co odwlekało jego hiszpańską wyprawę.

Zadał sobie pytanie, czemu to robi, i z całkowitym zadowoleniem sam sobie odpowiedział, że jego zawód wymaga, by do pewnego stopnia poddawał się biegowi wydarzeń, a ponadto artykuły i teksty,

jakie będzie mógł dzięki temu napisać, były warte kilku tygodni pracy w tej sprawie.

Związki z Crayem miały także inne pozytywne aspekty. Zaproponował, że zapłaci za jego czas - w istocie powiedział, że na okres ich współpracy umieści go na liście płac Monday Brothers Films jako swego asystenta przy filmie, nad którym pracował. Cray od razu zapewnił Tima, że to zupełnie normalna praktyka, na wypadek gdyby Tim miał jakieś skrupuły, zanim ten miał czas zastanowić się, czy w ogóle je ma. Praca była łatwa, a pieniądze na pewno się przydadzą, w końcu miał wkrótce się ożenić.

Codziennie jeździł więc do domu Crayów, gdzie zjawiał się koło południa, gdy minęła już poranna fala intensywnego ruchu, i zostawał u nich godzinę albo dwie. Tim był zaskoczony tym, jak łatwo wszedł w nową rolę, co skłoniło go do szerszych refleksji na temat powołania. Wiedział, że nie chce spędzić życia jako czyjś asystent, lecz czy miał coś lepszego do roboty? A może powinien zaangażować się w coś większego? Napisać powieść? O czym? A może książkę o europejskiej polityce? Ale jeśli na czymś naprawdę się znał, to na życiu we Francji - na jej historii, winach, warunkach społecznych. Może powinien podjąć jakieś bardziej systematyczne studia na temat średniowiecznych manuskryptów. Tylko że wtedy musiałyby się nauczyć łaciny...

Tak czy inaczej, musiał chwilowo zawiesić swoje plany związane z podróżą w oczekiwaniu na moment, w którym złodzieje skontaktują się ponownie z Crayem. Poza tym powinien się dowiedzieć, co się stało z zaginionym mieszkańcem Oregonu, który przypuszczalnie znajdował się pod opieką policji, a tym samym nie mógł być ani niemieckim mnichem, złodziejem, ani osobą usiłującą sprzedać manuskrypt. Tim zgodził się, że zrobi obie te rzeczy - spotka się ze złodziejem i znajdzie Gabriela - ale niestety nie miał żadnych specjalnych kontaktów we francuskiej policji. Na szczęście miała je jego przyjaciółka pracująca dla „New York Timesa”, od której jeszcze tego ranka dowiedział się, że wprawdzie w Paryżu w areszcie znajduje się kilku Amerykanów - kradzież sklepowa, problemy z wizą, napaść - ale żaden z nich nie nazywa się Gabriel Biller.

Jednocześnie Cees potwierdził z Amsterdamu, że złodzieje nie skontaktowali się na razie z żadnym z pozostałych kolekcjonerów znajdujących się na liście. Skoro więc nic innego się nie działo, Tim napisał tekst o jakiejś restauracji dla „Wine Observer” i postanowił spędzić trochę czasu w bibliotece, co zawsze sprawiało mu wielką przyjemność, czytając o Apokalipsie.

Clara Holly stała się mniej nieprzystępna, a w każdym razie traktowała go uprzejmiej, wypijała z nim filiżankę kawy, zanim Cray zszedł na dół, i jak przystało na gościnną panią domu, wypytywała go o jego życie albo zbliżający się ślub.

- Serge dał mi kilka twoich artykułów do przeczytania - powiedział. - Są bardzo interesujące!

Tim, z przyjemnością słuchając jej komplementów, był zaskoczony, że Cray czytał jego teksty, ale to zgadzało się z reputacją reżysera znanego z bardzo starannych przygotowań.

- W „Concern”?

- W czasopiśmie „Reliance”. Zdziwiło mnie, że ty i Serge macie podobne poglądy polityczne.

- Nie wiem, czy mam jakieś poglądy polityczne - rzekł Tim. - Staram się być obiektywny, nawet dla „Reliance”.

- Sądzę, że dziennikarstwo nie zwalnia od posiadania poglądów politycznych - zaprotestowała.

Innym razem poruszyła sprawę ślubu.

- Twój ślub ma się odbyć niedaleko, w Val-Saint-Remy - zagadnęła.

- Za sześć tygodni - potwierdził.

- Anne-Sophie jest rozkoszna. Taka francuska! W porównaniu z Francuzami Amerykanie to prostacy. Wydaje się, że Francuzi wiedzą wszystko o... cóż, o tym, co jest naprawdę ważne. Sztuka kulinarna. Eros.

Na wzmiankę o Erosie puls Tima nieco przyspieszył.

- Zawsze wyobrażałam sobie, że ten dom może być wspaniałym miejscem na przyjęcie weselne - dodała. - Szkoda, że nie znaleźmy was, zanim zaczęliście układać plany. To byłoby wspaniałe, gdybyście urządzili przyjęcie w naszym domu.

- Dziękuję - powiedział - ale zdaje się, że to zostało już dawno przesądzone.

- Masz wrażenie, że twoje życie zaczyna się czy kończy? - zadała to pytanie lekkim tonem, który miał złagodzić powagę tej bolesnej kwestii.

Sam je sobie zadawał i znał odpowiedź.

- Zasadniczo to początek.

- Przeczytałam gdzieś, że dla większości mężczyzn na świecie ich ślub to najwspanialszy moment w ich życiu, niemal jedyna okazja, kiedy mają na sobie nowe ubranie oraz znajdują się jednocześnie w centrum uwagi.

- Co za przerażająca myśl. Ale czy to nie odnosi się także do kobiet? - spytał.

- Och, kobiety mają jeszcze poród - odpada.

Ostatnimi czasy Tim trochę niepokoił się pewnym szczegółem ich wspólnego życia z Anne-Sophie. Anne-Sophie, która dotąd była radosną i chętną kochanką, nagle zaczęła przejawiać jakąś niepewność związaną z seksualną stroną ich życia, mimo że, jak mu się wydawało, starał się być czuły i uważny i zawsze zapewniał ją, że jest piękna i seksowna. Dotąd nie mieli żadnych problemów, które podobno prześladowają innych - oziębłość, przedwczesna ejakulacja, brak pożądania i pewnie jeszcze wiele innych. Początkowo, wyczuwając jej niepokój, zaczął obawiać się, że może jemu samemu czegoś brakuje, ale przyszło mu na myśl, czy przypadkiem z powodu krzykliwej zmysłowości powieści Estelle Anne-Sophie nie zaczęła odczuwać pewnego znużenia. Chociaż pod względem języka Estelle w swoich powieściach pozostawała damą, jej literacka osobowość, jako dziedziczki Huysmansa czy Patera, chętnie wdawała się w rozważania na temat różnic między *parfum vert* a *parfum fruited* oraz opisom rozmaitych odczuć zmysłowych właściwych wewnętrznej stronie uda. Jej bohaterki i bohaterowie zdradzali pewne ospałe, ale nieustępliwie apetyty seksualne, właściwe bywalcom wyrafinowanego *monde*, w którym podczas wystawnych przyjęć z udziałem haszyszu swobodnie omawiano kwestię orgazmu. (Ach! Ten gwałtowny puls

le bouton, malutki tympanon w centrum wszechświata!). Wszystko to mogło nieco zrazić Anne-Sophie.

A potem, gdy kochali się we wtorek rano, Anne-Sophie powiedziała po angielsku (zapamiętał ten szczegół, ponieważ o miłości zawsze rozmawiali po francusku): „Chcę, żebyś mnie pieprzył, jak gdybyś nigdy wcześniej się ze mną nie pieprzył”. Był zaskoczony tą tak kompletnie do niej niepasującą deklaracją - choć starał się spełnić jej życzenie - i w jego umyśle odezwało się jakieś echo. Może to angielski przekład jakiegoś fragmentu książki Estelle? A może Anne-Sophie zaczyna odczuwać zdudzenie ich tradycyjnym doborem pozycji (zasadniczo on na górze albo ona na górze) i pragnie czegoś więcej? *En levrette*? Co miał o tym sądzić w perspektywie wielu lat, jakie mają spędzić razem? Nie umiał odpowiedzieć, ale odnotował zmianę.

Zacząta także bardziej stanowczo domagać się swego samochodu, twierdząc, że go potrzebuje, akurat wtedy, gdy chciał go pożyczyć, więc nie mógł jeździć do Crayów tak często jak przedtem. Rozumiał, że i to jest jakiś symptom, ale nie wiedział czego, być może wywołany napięciem związanym ze zbliżającym się ślubem.

- Myślę, że to, niestety, całkiem normalne, że przed ślubem mężczyzna robi się niespokojny i zaczyna tęsknie rozglądać się za innymi kobietami - madame Aix zapewniła Anne-Sophie, która zwierzyła się starszej kobiecie z pewnych obaw dotyczących Tima, zwłaszcza tego, że spędza tak wiele czasu u Crayów i często wspomina o pani Cray.

- Mówi o niej cały czas.

- Nie sądzę, żeby to miało jakieś znaczenie, ale... Słyszałam przerażające historie. Mężczyźni spotykają się ze swoimi byłymi przyjaciółkami, tancerkami, prostytutkami - to rodzaj panicznej reakcji.

- prostytutki! *Quelle horreur*. Na pewno nie Tim.

- Nie, oczywiście, że nie, ale chciałam, żebyś wiedziała, że możliwe są rozmaite zachowania. To nie takie dziwne, że spogląda tęsknie na inne kobiety.

Skłoniło to Anne-Sophie do zastanowienia się, jak utrzymać seksualne zainteresowanie mężczyzny przez całe życie. Zawsze zaleca

się wtedy coś dzikiego, niepohamowanego. Może więcej *soixante-neuf*? Czasami tego próbowali, ale wyczuwała, że Tim wolał skupić się na *soixante* z pominięciem *neuf* - powszechna męska przypadłość, jeśli wierzyć hrabinie Ribemont, coś, na co nie powinno się w nieskończoność pozwalać.

- Czy wiedziałaś o tym, że Tim Nolinger jest dziedzicem fortuny Nolinger-Webb? - Dorothy Sternholz spytała Vivian Gibbs u fryzjera (Nigel Coiffure, Anglik). - Nigdy bym się tego nie domyśliła, jest takim skromnym, słodkim chłopcem.

- Nie wiedziałam, ale to mnie nie zaskakuje - odpada Vivian. - Choć czy powiedziałabym, że skromny i słodki? Myślę, że ma raczej w sobie coś z księcia, chociażby dlatego, że tak swobodnie czuje się w świecie, a poza tym, jak prawdziwy księżę, rzadko ma parę groszy w kieszeni.

ROZDZIAŁ 24

Aresztowanie

Clara i Delia nabrały zwyczaju rozmawiania rankiem przy kawie. Clara opowiadała o swoim synku Larsie albo snuła wspomnienia z Lake Oswego, starając się przypomnieć sobie obraz pewnych miejsc, nawet całkiem banalnych, jak Safeway albo tak zwany City Hall lub Ben Franklin Bank. Delii wydawały się one zupełnie nieciekawe, choć chętnie pomagała Clarze skorygować albo odświeżyć zapamiętane szczegóły. Wydawało się, że dzięki tym rozmowom Clara odczuwała jeszcze większą satysfakcję, że mieszka we Francji, a Delia miała wyrzuty sumienia jako współwinna zapominania przez Clarę o amerykańskim patriotyzmie.

Bardzo szybko ustaliły że narzeczona, z którą mieszkał Gabriel, to nie kto inny, tylko szalona córka Cristal, SuAnn - niezrównoważona dziewczyna nafaszerowana lekami, która angażowała się w dziwne sprawy i żywiła dziwne przekonania, a zwłaszcza wierzyła, że rok 2000 przyniesie światu jakiś straszliwy kataklizm. Niespodziewane związki z Cristal stały się dla nich źródłem kolejnej nieoczekiwanej więzi.

Clara zaczęła zdawać sobie sprawę z tego, że Delia przywiązała się do niej, przenosząc na nią swoją potrzebę posiadania przyjaciółki i zwierzenia się z obaw i lęków dotyczących ostatnich wydarzeń. Wydawało się to całkiem naturalne. Clara widziała, że młoda kobieta jest dość krucha psychicznie, tym bardziej iż znalazła się z dala od domu i rodziny, i z natury miała usposobienie osoby zależnej, typowe dla najmłodszych dzieci; do tego dochodziło jeszcze jej kalectwo, cokolwiek dla niej to znaczyło. Delia praktycznie chodziła za nią po

całym domu i Clara często zwalniała kroku, żeby dostosować się do wolniejszego tempa dziewczyny.

Clara zabrała ją do amerykańskiego konsulatu, żeby omówić sprawę paszportu. Nie było już powodu, żeby jej go nie wydano, skoro ktoś inny został aresztowany w sprawie zabójstwa na pchlim targu. Urzędnicy w konsulacie nie mieli na ten temat żadnych wiadomości od francuskiej policji, ale zgodzili się, że mogą wydać duplikat paszportu. Clara i Delia odniosły wrażenie, że chętnie przeciwstawiali się woli władz francuskich, jeśli tylko mieli poczucie, że mogą sobie bezpiecznie na to pozwolić.

- Ale ja naprawdę chcę pojechać do Luwru, właściwie tylko po to tu przyjechałam - powtarzała Delia i Clara obiecała, że wkrótce ją tam zabierze.

Delia dowiedziała się nieco na temat Clary, choć nie bezpośrednio z jej wyznań - Clara była wręcz dziwnie zamknięta w sobie - ale na podstawie swoich domysłów. Delia zorientowała się, że życie Clary wcale nie było takie bajkowe, choć nie można powiedzieć, że ciężkie. Pomijając ogromny dom, było raczej normalne, a nawet zabarwione smutkiem z powodu oschłego męża zajętego swoimi sprawami oraz tęsknoty za synkiem, którego wysłano do szkoły za granicę, gdzie Clara nie mogła nawet posyłać e-maili, jedynie list raz na tydzień. Mimo to była dobrą, oddaną domowym obowiązkom żoną i miała niemal purytańskie poglądy na temat małżeństwa. Mówiła, że nigdy nie zdradzi swojego męża, i kiedy rozmawiały o pewnym skandalu obyczajowym w Lake Oswego, powiedziała:

- Czemu odrzuciła wszystko w ten sposób dla jednej chwili przyjemności? To nie ma sensu. Co niby zyskała? W końcu i tak będzie nieszczęśliwa, nie wspominając już o jej mężu. Seks to przecież tylko seks, z tą czy inną osobą.

Pewnego razu, gdy Delia opowiadała o swoim straganiku, w którym sprzedawała stare obrusy, serwety i zielone talerze, i o tym, jak sobie radzi w życiu, Clara rzekła z zadumą:

- Wysłałam za mąż, mając dwadzieścia lat, tak naprawdę nigdy nie prowadziłam samodzielnego życia. Przypuszczalnie nie wiedziałabym, co mam zrobić, jak się do tego zabrać...

Delia zaczęła się zastanawiać, czy nadszedł czas, aby wspomnieć Clarze Holly o Bogu.

Delia, która wciąż budziła się przed piątą rano, zwykle wstrzymywała się z zejściem na dół do siódmej. Niebo było jeszcze dość czarne i księżyc świecił jasno, kiedy usłyszała odgłos samochodu podjeżdżającego pod dom, a potem zgrzyt ręcznego hamulca. Było za wcześnie na wizytę gości i przebiegł ją dreszcz, gdy ktoś zadzwonił do frontowych drzwi, ale poszła otworzyć.

Przed drzwiami stało dwóch mężczyzn, którzy trzymali w ręku krótkofalówki albo telefony, i kobieta policjantka. W koszuli nocnej i szlafroku (pożyczonym od Clary) Delia zdrząła ze strachu. Wiedziała, że w końcu po nią przyjdą.

Ale pierwszy z mężczyzn powiedział:

- *Madame Clara Cray, vous etes en etat d'arrestation.*

Delia wytrzeszczyła oczy i odrzekła:

- *Aaa, myślę, że chodzi wam o Clare.*

- *Je regrette, il faut que je vous prenne en garde a vue* - mówił dalej mężczyzna.

Delia cofnęła się i tamci weszli do środka. Niespodziewanie pojawiła się Clara, która także już się zbudziła, i stanęła za nią. Wydawała się zaspana. Choć Delia nie rozumiała, o czym rozmawiają, po reakcji Clary domyśliła się, że policjanci przyszli po nią.

Clara po prostu stała z wyrazem zdumienia na twarzy i niezdecydowania. Wskazała na swój szlafrok; musi się ubrać. Wszystko było całkiem jasne. Nieznajomi coś powiedzieli i zaszokowana Clara zwróciła się do Delii:

- Czy możesz obudzić Serge'a i poprosić, żeby zszedł na dół? Nie wiem, czy muszę od razu z nimi iść.

Po czym znowu odezwała się do obu mężczyzn po francusku i poszła na górę kuchennymi schodami w towarzystwie policjantki. Delia, zdezorientowana, możliwie jak najszybciej wspięła się głównymi schodami i zastukała do drzwi sypialni Serge'a Craya. W holu na dole stali policjanci, obserwując kobiety wchodzące po schodach.

Cray jęknął, usłyszała odgłos odrzucanej pościeli, po chwili drzwi się otworzyły i wyrzwał z nich Cray Miał na sobie dół od piżamy i T-shirt, opinający jego tłusty brzuch, i emanował zapachem snu.

- Przyszli jacyś policjanci i wygląda na to, że aresztują Clare - wyszeptła Delia. - To znaczy przypuszczam, że to policjanci. Wyglądają jak policja.

Cray wychylił się bardziej ze swoich drzwi i wbił w nią wzrok, mrugając jak kret przez grube szkła okularów.

- Lepiej, żeby pan zszedł na dół. Myślę, że to może mieć coś wspólnego ze mną, z tym, że tu jestem - dodała Delia. - W pewnym sensie Clara wzięła za mnie odpowiedzialność w hotelu. I w konsultacji. Są na dole, w holu. Clara się ubiera.

- To te pieprzone polowania - warknął Cray i zszedł na dół kuchennymi schodami. Jego ciężkie ciało nagle nabrało zwinności, jak gdyby był rączym konikiem. Myślał o łańcuchach w swoim lesie, przypuszczalnie nielegalnych w świetle prawa - jakiegoś pieprzonego *loi* - na temat swobody przejazdu. Jego amerykańscy prawnicy nie byli pewni co do łańcuchów.

W grę wchodziło także inne *loi* - *loi verdeille*. Zgodnie z tym prawem, które najbardziej irytowało jego i Clare, myśliwi i obcy ludzie mogli wchodzić na teren czyjejs prywatnej własności i w pewnych określonych sytuacjach, określonych tak szeroko, jak to tylko możliwe. W praktyce oznaczało to całkowitą wolność polowania tuż pod oknami salonu, tak że porcelana brzęczała w kredensie i było się narażonym na widok ciał wspaniałych szlachetnych zwierząt wleczonych przez zbroczone ich krwią zarośla. Kwestia naruszania prywatnej własności miała dla Craya jeszcze większe znaczenie niż sprzeciw wobec polowań i jeśli tego właśnie chcą miejscowi, na pewno nie zawaha się wciągnąć swoich prawników jeszcze głębiej w tę sprawę. Zaczynała ogarniać go wściekłość.

Nie znał tych dwóch mężczyzn ubranych po cywilnemu. Clary nie było na dole.

- Messieurs? Co to ma znaczyć? - spytał. - Czego chcecie od mojej żony? Jasno przedstawiłem swoje poglądy panu burmistrzowi, a poza tym moje stanowisko w tej sprawie nie ma nic wspólnego

z moją żoną. - Jego ciemna skóra pociemniała jeszcze bardziej od rumieńca gniewu, wyglądał jak wściekły tłusty Cygan.

- Nakaz dotyczy madame Cray - powiedział pierwszy człowiek uprzejmie. Niespokojnie spoglądali w górę schodów, jak gdyby obawiali się, że Clara ucieknie.

- Proszę usiąść - powiedział Cray, prowadząc ich do salonu. - Zadzwoń do moich ludzi. - Była dopiero siódma trzydzięci, kto wie, o której prawnicy przyjeżdżają do biura, na pewno nie wcześniej niż o dziesiątej. Na pewno nie przed dziesiątą. - Delio, mogłabyś im zrobić kawy? - Mężczyźni nie chcieli usiąść. Cray, który zwykle nagle wchodził i wychodził, zniknął bez słowa. Delia czekała na jakąś oznakę ze strony mężczyzn, że chcą kawy. Ale może nie zrozumieli. Stali z kamiennymi twarzami.

- *Cafe?* - spytała.

Pokręcili głowami i usiłowali nadać swoim twarzom bardziej przyjazny wyraz, jak gdyby chcieli nieco załagodzić i ucywilizować niezręczną sytuację. Uśmiechnęli się do Delii, dając wyraz sławnego galijskiego taktu.

Clara zeszła na dół w kostiumie, pończochach i butach na wysokim obcasie, trochę jakby się wybierała do kościoła. W co właściwie należy się ubrać, kiedy aresztuje cię policja?

- Powiedziałaś Serge'owi?

- Był tutaj - odpada Delia. - Poszedł z powrotem na górę, żeby zadzwonić do prawnika czy coś takiego. „Do swoich ludzi”, powiedział.

Clara wiedziała, że czasami dzwonienie do „jego ludzi” polegało na tym, że Serge telefonował do prawników w Los Angeles, a ci łączyli się z biurem swojej firmy w Paryżu, które następnie realizowało pragnienia Craya, chyba że o tej porze w Los Angeles to było niemożliwe i wtedy musiał wyciągnąć z łóżka Woly'ego.

- Nie wiem, o co chodzi. Czy panowie wiedzą, messieurs? - spytała Clara. Ale przypuszczalnie byli jedynie urzędnikami sądowymi, *huissiers*.

- Wygląda na to, że chodzi o kradzież i zniszczenie własności narodu francuskiego, madame. Zniszczenie budynku znajdującego się pod ochroną. W akcie podano kilka zarzutów.

Delia widziała, że Clara nie ma zielonego pojęcia, o czym tamci mówią.

- Możemy poczekać, aż wróci mój mąż?
- Kilka minut, nie więcej. Obawiam się, że musimy to pani założyć. Wiem, że w pani kraju jest podobnie.

Cray pojawił się ponownie w chwili, gdy policjanci wyprowadzali Clarę. Wyglądała spokojnie, ale na rękach miała kajdanki. Spojrzała na niego błagalnie, usiłując jednocześnie posłać mu pokrzepiający, nawet ironiczny uśmiech. Przez moment stał zbity z tropu, po czym przeklinając gwałtownie i rzucając wściekłe spojrzenia, pobiegł do swojego samochodu. Nie zaproponował Delii, żeby pojechała razem z nim.

ROZDZIAŁ 25

Więzienie

Clara siedziała w kajdankach z tyłu małego renault, z przodu obaj *magistrats du parquet* co chwila odwracali się, by na nią popatrzeć, jak gdyby spodziewali się, że będzie próbowała wyskoczyć z samochodu. Zastanawiała się, czemu nie jest bardziej przestraszona, i doszła do wniosku, że po prostu czuła się niewinna. Wiedziała, że jest pionkiem w zaostrażającej się rozgrywce z myśliwymi, a poza tym była pewna, że Serge (sławny, wpływowy) będzie wiedział, co zrobić, albo prawnicy Woly'ego będą wiedzieli, a poza tym to wszystko przecież nie może dziać się naprawdę. Przed chwilą stała w szlafroku w swojej kuchni, a teraz jedzie skuta w kajdankach do więzienia w Wersalu.

Wydawało się bezcelowe pytać tych mężczyzn o cokolwiek, i tak by nie powiedzieli albo okazałoby się, że nie wiedzą, choć wyglądało na to, że nie żywią wobec niej złych uczuć i jeden z nich nawet uśmiechnął się do niej zachęcająco. Dręczyło ją tylko pytanie, dlaczego to ona została aresztowana, a nie Serge bądź oboje?

Opada się wygodniej i pomyślała o swoim synku Larsie, podobnie jak to czyniła niezliczoną ilość razy każdego dnia. Jak to dobrze, że Lars nic nie wie o tym, co się z nią dzieje, niewątpliwie by się przestraszył. A może pomyślałby że to zabawne i ekscytujące jak przedstawić w telewizji? W pewnym sensie to było zabawne i ekscytujące.

Dotarli do budynku więzienia, miejsca, które mijała trzy razy w tygodniu, jadąc na targ; w ogóle nie spoglądała w tę stronę, na posępne zakratowane okna, za którymi siedzieli więźniowie, czasem

pewnie równie niewinni jak ona. Nie znała nawet nazwy tego więzienia. Otworzyły się przed nimi wielkie drewniane drzwi, ciężkie jak z granitu, wpuszczając ich na dziedziniec, po czym złowrogo zamknęły się za nimi. Wcześniej nie przyszło jej nigdy na myśl, że poczerńiałe, drewniane, starożytne, dębowe drzwi, pokryte patyną stuleci nieszczęść, jakich były świadkiem, mogą wydawać się bardziej ostateczne i przygnębiające niż metalowa brama. Przywodziły na myśl stulecia władzy królewskiej, obojętności, brutalności, skojarzenia z wrzącym olejem. Serce zadrżało jej nieco na myśl, że brama zamknęła się za nią jak szczęki. Była w obcym kraju i nie znała swojego położenia, praw, jakie jej przysługują, ani sposobu ratunku. Ale głowę trzymała wysoko. W końcu miała przecież pewną pozycję społeczną i jakieś prawa.

Urzednicy, którzy wydawali się niemal sympatyczni, gdy przepaszali, że muszą jej założyć kajdanki, teraz zaczęli traktować ją szorstko i opryskliwie; wyciągnęli Clarę z samochodu, jak gdyby stawiała opór, i kładąc jej na ramionach swoje ciężkie dłonie, popychali w stronę budynku. Wyobraziła sobie spojrzenia anonimowych świadków tej sceny z aprobatą obserwujących władzę sędziów, którzy surowo traktują złoczyńców zagrażających Francji. Straciła z siebie ręce urzędników i spojrzała gniewnie w stronę bezosobowych okien.

- Spotka się pani teraz z przedstawicielką *procureur*, która poinformuje panią, o co jest pani oskarżona i *tout cela* - powiedział ten, który się uśmiechał, i ponownie lekko uchwycił jej ramię powyżej łokcia.

Teraz zobaczyła w jego oczach jedynie obojętność, a uśmiech był zwykłym grymasem. Zaprowadzili ją do wysokiej kobiety czekającej na nich w holu, która zabrała ją do westybulu wyłożonego brązowym linoleum. Kobieta zaczęła ją przeszukiwać, obmacując po całym ciele. Teraz Clara była naprawdę zaszokowana. Niczego nie ukryła pod bielizną. Oddała torebkę.

Poszły korytarzem, na końcu którego, w rejonie wyglądającym jak szpital więzienny, czekała na nich inna strażniczka trzymająca w ręku ręcznik.

- Tędy. - Zaprowadziła Clarę do pustego w pomieszczenia. - *Prenez une douche, madame.* - Przez chwilę Clara poczuła się, jakby chodziło o angielskie *douche**; słowo w języku angielskim tak intymne, kojarzące się z inwazją i gwałtem. Ale chodziło jedynie o prysznic. Ma wziąć prysznic?

- Ale... - Clara zaczęła, poirytowana.

Niedawno przecież brała prysznic w domu. Właśnie wstała. Żle pachnie? Uważają, że może być zawszona? Jej irytacja zaczęła przedzać się w panikę. Gdy uświadomiła sobie, że ogarnia ją coraz większe przerażenie, dotarło do niej jednocześnie, że panika jest bezużyteczna. Kiedy popchnęli ją do przodu, w stronę salki z prysznicem, próbowała opanować dławiący ścisk w gardle i chęć, by krzyczeć i stawiać opór. Kobieta jeszcze raz skinęła głową w stronę prysznicznicy znajdującego się w pomieszczeniu o cementowej podłodze i rzuciła Clarze cienki ręcznik.

Wewnątrz wiało chłodem. Podłoga była zimna i nieco śliska, a może tak tylko podpowiadała jej wyobraźnia dla potwierdzenia ogarniającej ją odrazy. Na łuszczących się ścianach z odpadającą farbą dostrzegła jakieś zarysowania, jak gdyby pierwsze próby pisania na skalach. Ktoś zdążył wyskrobać „Jacq...”. Clara zdjęła zakiet i rozpięła bluzkę, a kiedy strażniczka wyszła, odkręciła letnią wodę. Czy ktoś ją obserwuje? Odkręciła wodę mocniej, ale nie weszła pod prysznic.

Trzeba było naciskać przycisk, żeby woda leciała. Zamoczyła sobie rękę, starając się stać możliwie jak najdalej od strumienia wody. Przyszły jej do głowy wszystkie straszliwe skojarzenia z prysznicami - obozy zagłady, *Psychoza* Hitchcocka. Kiedy tamta kobieta wróci? Uznawszy, że spuszczała wodę już wystarczająco długo, puściła przycisk, wysuszyła rękę i czekała, co będzie dalej. Po chwili kobieta zjawiła się, uśmiechnięta krzywo, jak gdyby wiedziała dobrze, że Clara nie wystawiła ciała na strumień więziennej wody.

Kilka kroków dalej do celi. Do celi! Małeńki pokój, piętrowa prycza, prosty stolik, niczym nieosłonięta toaleta. Na podłodze niedopałki papierosów, zastarzały smród tytoniu. Wstrząśnięta siedzia-

ła przez cały poranek, niezdolna składnie pomyśleć, co właściwie miałyby zrobić. Trudno było się skupić, umysł pogrążony w nudzie oczekiwania dryfował w stronę dziwnego letargu pozbawionego treści, z którego starała się raz po raz otrząsnąć, po czym znowu zapadała w letarg. Minęła godzina, a jej wydawało się, że wiele godzin. Nie zabrali jej zegarka.

Wsadzili ją tutaj o dziewiątej. O pierwszej trzydzięci po południu zaprowadzili ją na dół długim korytarzem, jej kroki odbijały się echem jak w filmie o Kafce, pusty, złowieszczy odgłos. Uświadomiła sobie, że nie może tak po prostu odwrócić się, powiedzieć „Mam dość tego” i wyjść. Za każdym razem rzeczywistość docierała nieco dalej w głąb jej otępiatego umysłu i coraz trudniej przychodziło jej zachowanie opanowania. W pokoju za biurkiem siedziała szczupła, nawet elegancka kobieta, mająca przed sobą jakieś dossier, jak gdyby to była rozmowa w sprawie pracy, i bez słowa kazała Clarze usiąść na składanym krześle naprzeciw siebie. Clara przytapała się na tym, że chciałyby zrobić na niej dobre wrażenie, jak gdyby jej życie zależało od gotowości do współpracy malującej się na twarzy.

- Wie pani, dlaczego się tu znalazła?

- Nie mam najmniejszego pojęcia - odpada Clara, uśmiechając się niepewnie.

- Jest pani oskarżona o kradzież - powiedziała kobieta. - O kradzież własności należącej do Francji oraz do gminy Val-Lanval. Tu jest lista: dziewięć kominków, dziewięć luster, boazerie w salonie i parkiety Są także inne zarzuty mające związek ze zniszczeniem pomnika narodowego dziedzictwa. Kiedy usunęła pani kominki i pozostałe rzeczy?

Przez moment Clara nie miała pojęcia, o czym mówi ta kobieta, ale oczywiście chodziło jej o dom.

- Ale przecież tam nie było żadnych kominków, kiedy go kupiliśmy - zaprotestowała. - Ani luster. W ogóle nic.

- To są bardzo poważne zarzuty, zagrożone karą więzienia. Ale jak sądzę, że można je będzie zamienić na obowiązek przywrócenia pierwotnego stanu, *etat* może rozważyć nakazanie pani przywrócenia

na swoje miejsce przedmiotów, które pierwotnie znajdowały się w *chateau*.

- Ale ja ich nie mam! Ja... Tam zupełnie nic nie było! - zawołała Clara.

Urzędniczka sprawiała wrażenie, jakby nie była tym zaskoczona. Szybko zaszeleściła papierami i spojrzała na strażnika, który stał przy drzwiach.

- *Detention provisoire*. Zostanie pani umieszczona w areszcie do czasu, gdy stanie pani przed obliczem sędziego. Czy chciałaby pani porozmawiać teraz z adwokatem? Poinformuje panią o przysługujących jej prawach i o tym, w jaki sposób dalej postępować. Proszę podpisać te papiery u dołu, tutaj.

Clara siedziała bez ruchu, patrząc przed siebie.

- Czy mam prawo zadzwonić do męża? Czy mogę mieć własnego adwokata?

- Na pewno, w swoim czasie. Tak wygląda procedura aresztowania i musi pani się do niej dostosować jak wszyscy inni. - Mówiła głosem surowym, ale nie brzmiała niemiło, jak gdyby pouczała zbuntowanego ucznia.

Clara popatrzyła na papiery. Nie widząc innej możliwości, podpisała je. Kobieta czekała, nieco zirytowana, obserwując, jak Clara powoli wstaje, odwraca się w stronę drzwi, rozgląda się wokół, szukając kogoś, kto pokazałby jej, co ma zrobić. Wróciła wysoka strażniczka i wzięła ją za ramię.

ROZDZIAŁ 26

Czy słyszałaś, co stało się z Clarą?

Delia popatrzyła na odjeżdżający samochód, który zabrał Clarę, po czym weszła do środka. Chwilę stała w kuchni, bardziej rozbawiona niż zaniepokojona nowym obrotem wydarzeń, ale czego można się spodziewać po kraju, który nie budzi zaufania i gdzie człowiek nie może liczyć na sprawiedliwy proces. Sama stała się tutaj ofiarą, a teraz proszę: francuskie władze wywlokły Clarę Holly z jej domu! Pomyślała, że najwyraźniej nie obowiązują tutaj żadne prawa obywatelskie, i ogarnęły ją złe przeczucia, ale niepokoiła się bardziej o Gabriela niż o Clarę. Była przekonana, że aresztowanie Clary musi mieć coś wspólnego z wydarzeniami dotyczącymi Gabriela, a może z jej hotelowym rachunkiem albo z dwoma agentami FBI o imieniu Frank, którzy nie odezwali się od dnia, w którym przyszli do niej do hotelu. Czuła, że ma pewien obowiązek wobec Gabriela i bardziej niż kiedykolwiek musiała teraz zadbać o to, by nie dać się złapać, ale wszystko uważnie obserwować, żeby móc potem dać świadectwo i uratować innych uczciwych Amerykanów ze szponów Francji.

- Wszystko widziałam - zapewniła Craya. - Traktowali ją brutalnie.
- Chcę, żebyś zapamiętała wszystko, co tu zobaczyłaś - odparł.

Po południu Cray, który spędził cały ranek przy telefonie, miał nieoczekiwanego gościa. Zjawił się mer Briac, tym razem w garniturze, w towarzystwie sekretarza, młodego mężczyzny z notesem w rękę. Cray zaprowadził ich do małego pokoju położonego obok

salonu; półki pełne książek, globus oraz skórzane fotele nadawały mu aurę oficjalnych spotkań.

- To bardzo niefortunne, co przydarzyło się madame Cray - oświadczył mer bezczelnie. Nie chciał usiąść.

- Hipokryci - warknął Cray. - Czego pan chce?

- Prawo działa z całą bezstronnością na rzecz realizacji sprawiedliwych zasad. Siły porządku muszą dbać o ich przestrzeganie, to wszystko. Pan na przykład naruszył *loi verdeille*, uniemożliwiając myśliwym wjazd na swoją posiadłość, a gmina z całą surowością wyegzekwowała ciężące na niej zobowiązania z tytułu *monuments historiques, c'est tout*. Nie ma osobnych praw dla Amerykanów i dla pozostałych ludzi, monsieur, wbrew temu, co najwyraźniej pan sądzi.

- Chce pan powiedzieć, że istnieje jakikolwiek związek między tak zwanym prawem a tym, co stało się z Clarą?

- W rzeczy samej.

Mer Briac zapewnił Craya, że gmina jest gotowa ponownie rozważyć wniesienie zarzutów przeciw Clarze, jeśli Cray przemyśli swoje stanowisko w sprawie polowań. Wściekłe ryki Craya słychać było w całym domu. W kuchni Delia i senhora Alvares wymieniły znaczące spojrzenia.

- Nie będzie żadnych polowań na mojej ziemi, monsieur! - wrzeszczał Cray. - Tchórze, którzy wolą prześladować kobiety! - I tak dalej w tym stylu.

Jakaś ciemnoskóra kobieta przyniosła Clarze skąpy obiad, *puree de pommes de terre avec cornichons*, o wodnistym smaku - niejadalne, do tego kilka kawałków śluzowatego mięsa. Kazano jej zjeść w samotności, ale potem zaprowadzono ją do jakiegoś korytarza, gdzie zobaczyła kilka innych kobiet, które rozmawiały ze sobą. Czy to czas na trochę ruchu fizycznego, jakiś przywilej? Aresztantki były wszystkie białe i nie wyglądały na to, by życie obeszło się z nimi jakoś surowo. Były uczesane, ubrane w spodnie albo bezkształtne sukienki. Popatrzyły na Clarę, jedna czy dwie uśmiechnęły się i Clara uśmiechnęła się do nich, ale trzymała się na uboczu. Pomyślała, że

nawet w więzieniach Francuzki są takie francuskie, uprzejme i pełne rezerwy. Nie wyglądały na uliczne prostytutki czy oszustki - nie miała pojęcia, kim były.

- *Tu es Americaine, toi* - odezwała się jedna z nich, uśmiechając się z zadowoleniem. Nawet cudzoziemcy nie mogą liczyć na pobłażliwość naszych potężnych instytucji. Potem kobiety zupełnie ją zignorowały i dalej paplały ze sobą.

Na podstawie filmów więziennych Clara wyobrażała sobie, że więźniowie zawsze przechwalają się swoimi przestępstwami, aby w ten sposób zastraszyć innych groźnych ludzi, z którymi ich zamknięto. W filmach każdy mężczyzna starał się wyglądać na większego twardziela i osobnika bardziej bezwzględ nego niż inni. Ale te kobiety wszystkie były niewinne, o czym głośno zapewniały strażniczkę i siebie nawzajem. Jakaś zniszczona kobieta w pewnym wieku zaczęła opowiadać Clarze historię, którą pozostałe najwyraźniej słyszały aż nazbyt często, o tym, jakie to niegodne, że została tak brutalnie potraktowana przez personel sklepu, który rzucił na nią oskarżenie, jakoby usiłowała wyjść, nie zapłaciwszy za kilka rzeczy, po prostu drobiazgów.

- Które w końcu nie były takie cenne, powiedziałam im to, madame, po prostu rzeczy osobiste, niezbędne każdej kobiecie.

- Jak oni mogą sądzić, że jestem *pute, moi?* - ze śmiechem oświadczyła inna, gruba kobieta z włosami farbowanymi henną. - Żadna prostytutka raczej nie ma takiej figury jak ja.

Clara nie wiedziała, w jaki sposób ma wyjaśnić swoją obecność w tym miejscu, nie wspominając jednocześnie o tym, że mieszka we wspaniałym *chateau*, czym nie zaskarbiłaby sobie przecież odruchu siostrzanej solidarności z ich strony.

- Uważają, że ukradłam drewniane wyposażenie jakiegoś historycznego budynku - powiedziała. - Ale jestem niewinna.

To nie było interesujące przestępstwo, nie interesowała tamtych. O wpół do dziewiątej strażniczka zaprowadziła ją z powrotem do celi.

Nocą leżała na pryczy, rozmyślając o Edmundzie Dantesie i o Chateau d'If, a także o filmach, takich jak *The Prisoner of Zenda*, *Soul on Ice*, *Człowiek w żelaznej masce*. Myślała też o Serge'u, zasta-

nawiając się, jak ją stąd wyciągnie; i o monsieur de Persandzie, wyobrażając sobie, że jest jakimś prawnikiem albo potężnym sędzią, który mógłby przyjść jej na ratunek. Była pewna, że Serge zrobi, co trzeba. Starła się nie pamiętać, że Serge uczynił ją właścicielką posiadłości z powodów podatkowych, ani o tym, że to on powinien znaleźć się w więzieniu. W końcu jej niespójne myśli rozplynęły się w odczuciu zmęczenia i zasnęła, ale tylko na niespełną godzinę, a potem leżała, rozbudzona, nie wierząc w to, co się stało, i przypominając sobie, że jest w więzieniu.

Tim Nolinger dowiedział się o aresztowaniu Clary Holly od Amesa Everetta, którego spotkał w American Library. Nie zamierzał tego dnia odwiedzać Crayów, miał bowiem coś do załatwienia w mieście, a poza tym Anne-Sophie znowu nie podobało się, że w kółko pożycza jej samochód. Kilka razy była wyraźnie zirytowana, gdy chciała pojechać autem, a on dowodził, że jemu jest bardziej potrzebne. To był w końcu jej samochód, a on używał go praktycznie codziennie. Zawsze ustępowała i Tim naprawdę nie słyszał kryjącej się w jej głosie pretensji, że tyle czasu spędza w Etang-la-Reine z Crayami.

Wśród osób, do których Serge zadzwonił tego ranka, był także amerykański ambasador Charlie Nolan. Wiadomość o aresztowaniu Clary rozeszła się dzięki temu wśród personelu ambasady i dotarła do innych Amerykanów. Dorothy Sternholz dowiedziała się o tym od Amesa Everetta i natychmiast zadzwoniła do swojej przyjaciółki Vivian Gibbs.

- Słyszałaś o Clarze Holly?
- Nie, a co?
- Aresztowana! Podobno za niszczenie francuskiego pomnika dziedzictwa narodowego. To znaczy ich *chateau*. Najwyraźniej chodzi o to, żeby zmusić ich w ten sposób do zmiany postawy wobec polowań.
- Nie wiedziałam, że sprzeciwiają się polowaniom.
- I to zdecydowanie. Moja droga, ona jest w więzieniu!

Wszyscy zgadzali się, że pomysł, jakoby Clara zniszczyła pomnik narodowych dziejów Francji, jest niedorzeczny. Amerykańska społeczność zwada szeregi, organizując spotkania swoich klubów politycznych: Demokratów w Paryżu oraz Republikanów na Obczyźnie, które zgodnie wyrażały swoje namiętne oburzenie. Wszyscy wiedzieli, że dom kupiony przez Crayów znajdował się w ruinie i że Serge Cray uratował go przed zniszczeniem, a Clara Holly dzięki swojej troskliwości i dobremu smakowi przywróciła do życia ogrody. Gdyby nie Crayowie, dom dawno by rozebrano mimo całej uwagi, jaką poświęcało mu Ministerstwo Dziedzictwa Narodowego. Na nadzwyczajnych posiedzeniach obu klubów powołano stosowne komitety w głębokim przekonaniu, że chodzi o zagrożenie praw cudzoziemców mieszkających we Francji.

Oczywiście padały również pewne zastrzeżenia.

- Prawdę mówiąc, zawsze sądziłam, że trochę arogancko podchodzili do swoich *travaux*, nawet nie skontaktowali się z ludźmi od dziedzictwa - wyznała Dorothy Sternholz w rozmowie z Amesem.

- Zawsze uważałem, że to niemądre pomalować wszystko na biało - odwzajemnił się Ames. - Zupełnie nie pasuje do epoki.

- Clara zdaje się uważa, że wszystko, co robi, jest doskonałe...

Inni Amerykanie także nie pozostali bezczynni. Chociaż Serge Cray nie był człowiekiem, któremu zanosilo się zapiekankę, zarówno Alena Coe, przewodnicząca komisji programowej Demokratów w Paryżu, jak i Maydie Bailey z Union Interallie, zadzwoniły do paryskiego biura Monday Brothers Films w sprawie solidarnościowych oświadczeń. Jednak szczególnie interesujące i niepokojące wydawało się to, że jeśli coś takiego mogło przydarzyć się Crayom, kto z pozostałych mógł czuć się bezpiecznie i mieć pewność, że nie zostanie wyciągnięty nocą z łóżka za to, że wbił gwóźdź w jakąś ścianę, pod którą sikał Chateaubriand?

Jednak Cray mimo swoich ryków, które potrafiły poruszyć ziemię w Kalifornii, nie mógł w żaden sposób przyspieszyć poczynañ francuskiego wymiaru sprawiedliwości. Wszyscy zgodnie przyznali, że popełnił błąd, działając za pośrednictwem pracującej dla wytwórni

Monday Brothers kalifornijskiej kancelarii prawnej Biggs, Rigby Denby Fox, która chociaż miała francuski oddział, każdego dnia traciła wiele godzin z powodu różnicy czasu. Jedynie dzięki heroicznemu manewrowi polegającemu na rozpoczynaniu pracy o ósmej rano w Los Angeles (co oznaczało dodatkowe honorarium za nadgodziny dla adwokata, który chciałby przyjść tak wcześnie do biura) amerykańscy prawnicy zyskali dwie godziny, podczas których czas ich pracy pokrywał się z czasem pracy francuskiego oddziału, przy założeniu, że jego pracownicy zostaną w biurze do siódmej wieczorem. Choć zapewne nie pomagało i to, że we francuskim oddziale szanowanej starej firmy prawniczej przejęto francuskie podejście do upływu czasu, pełne godności i historycznych perspektyw, oraz właściwe Francuzom przekonanie, że wszystkie wydarzenia potoczą się zgodnie ze swoim wytyczonym biegiem.

ROZDZIAŁ 27

Uwięziona

Minęły trzy dni i ku zdumieniu i narastającej wściekłości Clary nikt nie pojawił się, aby ją uratować. Jej początkowe niedowierzenie ustąpiło złości. Chodziła tam i z powrotem po cek, wściekała się, szarpała za kraty jak więźniowie na filmach i krzyczała, co sprawiało, że przybiegały strażniczki, po czym musiała wysłuchiwać ich gróźb. Nie wolno krzyczeć, bo zostanie zamknięta w malutkiej *celulle isolee, un miserable cachot*. Przestała krzyczeć.

Godziny przestały ciągnąć się w nieskończoność, stały się jedynie ciężkie i puste, nie odczuwała ich upływu. Siedziała tu od zawsze, równie dobrze mogła przestać cokolwiek odczuwać. Wiedziała, że dostała się w ręce diabolicznych sił, które wykorzystują ją do swoich celów, była pionkiem w tej grze. Pomyśleć, że Edmund Dantes nauczył się w więzieniu łaciny i innych języków; byk więźniowie, którzy opanowywali gramatykę nieznanym sobie języków albo recytowali z pamięci układ okresowy pierwiastków! A ona nie potrafiła sobie niczego przypomnieć, wszystko wydawało się jak za mgłą.

Nie mogła jednak uwierzyć w to, że nikt nie próbował jej stąd wyciągnąć. Widocznie jej sprawa jest nierozwiązywalna, istnieje gdzieś jakiś dowód świadczący o tym, że popełniła jakieś przestępstwo, złamała jakieś nieubłagane francuskie prawo i teraz już nikt nie mógł w jej sprawie niczego zrobić. Kiedy spytała, czy może zadzwonić do Serge'a, powiedziano jej, że administracja więzienia przekaże mu wiadomości od niej. Ale tak naprawdę nie miała mu nic

do powiedzenia, brakowało jej siły przekonania. Wiedząc, że Serge oczywiście próbuje ją uratować, ograniczała się do zapewnień, że czuje się dobrze i że dostaje coś do jedzenia. Poprosiła tylko, żeby nie mówił o niczym Larsowi, który był dzieckiem nieśmiałym i bardzo by się przestraszył, gdyby się dowiedział, co się z nią stało. Nie musiała dodawać, że chce stąd wyjść.

Jak to się dzieje, że w ciągu zaledwie trzech dni człowieka może opuścić wszelka chęć życia i ogarnąć go przygniatająca bierność i rozpacz?

Spała źle. Po drugiej nocy poprosiła o pigułki nasenne i w końcu władze więzienne zgodziły się, by lekarz wypisał jej receptę. Ale nadal nie mogła zasnąć i leżała rozbudzona, rozmyślając o różnych, nawet niezwiązanych z jej obecnym losem sprawach, ot conocna lista trosk, zamiarów, niepowodzeń. Jej matka, Lars, jej matka, Lars, ogród, biedne jelenie i króliki, pies Lady, Francuz, jej matka, Lars. Przystojny Francuz Antoine de Persand. Serge.

Ponieważ czuła się niewinna stawianego jej zarzutu kradzieży, obsesyjnie myślała długo w nocy o tym wszystkim, w czym przypuszczalnie zawiniła - o zaniedbywaniu swojej matki, o Larsie, o tym, że zbyt łatwo uległa Serge'owi, kiedy postanowił wysłać go za granicę, i jeszcze o wysypce podczas ciąży, czy to mogła być odra? Nie, lekarze zawsze zapewniali ją, że niczemu nie mogła zaradzić, ale czy to była prawda? A teraz jej synek całe życie spędzi w bezbrzeżnej ciszy

Ponieważ Lars potrafił równie dobrze czytać z ust, jak posługiwać się językiem migowym, Serge uważał, że dziecko może prowadzić mniej więcej normalne życie i musi nauczyć się przebywać wśród zwykłych ludzi i nie uważać siebie za jakiegoś odmieńca. Był przekonany, że uczniowie w angielskiej szkole nie będą okrutni wobec głuchego chłopca, choć ona sama nie wierzyła w to ani przez chwilę, ale nie dlatego, by miała coś przeciw Anglikom. Nie mogą być okrutni wobec chłopca obdarzonego dobrocią swojej matki i jej urodą, powiedział Serge. Clara jednak nie była tego taka pewna. Cały czas podświadomie martwiła się o Larsa, z niepokojem, jaki budzą nas troski, które są z nami na stałe. Nigdy już nie pozbędzie się tych lęków, a Lars nigdy o nich nie usłyszy.

Będzie taki duży, kiedy następnym razem odwiedzą jej matkę! Muszą koniecznie pojechać do niej tego lata, jednak matka za nic nie może się dowiedzieć o tym, co się teraz stało. Winiłaby o wszystko Serge'a, a prawdę mówiąc, nigdy go nie lubiła.

A może monsieur de Persand miał coś wspólnego z jej aresztowaniem i dlatego nie wszedł wtedy do domu? Ale najprawdopodobniej to mer Briac, albo jeden z jego kompanów, wymyślił to mściwe posunięcie. Przywołała z pamięci ich zawistne oblicza, doszukując się w nich oznak zdrady. Jakie to dziwne, że jej pamięć, zwykle tak mało wyrazista, stała się ostra, niemal fotograficzna, gdy chodziło o twarze tych mężczyzn, wściekłość w oczach mera albo tego płowowłosego prezesa koła łowieckiego, zawsze w butach do jazdy konnej. Bez wątpienia uważali, że tylko ona nienawidzi polowań, nie kontaktowali się z Serge'em. Tylko ty. Jakie to szczęście, że najwyraźniej de Persand nie żywi wobec niej żadnych szczególnych uczuć i nie wszedł wtedy ogrzać się razem z innymi.

Myślała o ciałach mężczyzn. Pobudzały ją ich sprawne ruchy, ich siła. Cieszyła się, że chociaż jest wierną żoną, nie przestała odczuwać abstrakcyjnego erotycznego uwielbienia dla wyglądu mężczyzn, dla potencji kryjącej się w ich ciałach. Zwróciła uwagę na pewne szczególności wyglądu Persanda, naprawdę drobiazgi bez znaczenia, na przykład, jeśli sądzić z widoku jego rozpiętego kołnierzyka koszuli, miał owłosioną pierś, za czym zasadniczo nie przepadała, ale właściwie dlaczego w ogóle to zauważyła? Czemu widziała ten rozpięty kołnierzyk, mocną szyję, kolor skóry, kępkę włosów...

Myślała o kobietach dotykających mężczyzn. Nigdy nie dotykała Serge'a, nie był człowiekiem, który lubiłby takie pieszczoty. Pragnęła dotykać twardego ramienia mężczyzny i gładzić jego plecy, pieścić jego twardy seks.

Tim Nolinger pojechał do Crayów nazajutrz po tym, jak dowiedział się o jej aresztowaniu - zaraz jak tylko był w stanie taktownie pożyczyć samochód - z nadzieją, że będzie mógł w jakiś sposób pomóc. Zastanawiał się też, czy odezwał się złodziej manuskryptów.

Potrafił na poczekaniu wymyślić rozmaite powody dla których powinien tam jechać, choć wiedział, że jej nie będzie. Zaparkował przy głównej drodze i poszedł w stronę domu. Budynek był jakiś inny, emanował swoistą aurą wrogości. Kiedy stanął u drzwi, uświadomił sobie, że dziwnie niepostrzeżenie i bezszelestnie z krzaków za jego plecami wyłonił się masywny rottweiler i obserwował go z nastawionymi uszami. Crayowie mieli domowe psy, żółte labradory o imionach Freddy i Taffy ale tego psa Tim wcześniej nie widział. A potem pojawił się drugi rottweiler i teraz obserwowały go dwa milczące stworzenia w ciężkich skórzanych kagańcach na pyskach. Ogarnęło go poczucie, że gdyby zszedł ze ścieżki, na pewno zbliżyłyby się do niego, a może nawet zaatakowały. To były psy, które miały wpojone określone rozkazy, sumienne i groźne. Nie ulega wątpliwości, że takie psy budzą w człowieku przesadne obawy, znacznie wykraczające poza to, co w rzeczywistości mogą mu zrobić. Choć bez kagańców pewnie mogłyby zabić.

Senhora Alvares wpuściła go do środka.

- *O senhor esta em cima.*

Tim domyślił się z jej nieobecnego spojrzenia, że Clara jest wciąż w więzieniu. Zaprowadziła go do stołu w jadalni i przyniosła kawę. Wkrótce zjawił się Cray.

- Miałeś jakiś problem z psami? Dostały polecenie, żeby nie ruszały ludzi, którzy podchodzą do frontowych drzwi. Patrolują lasy, ale jak przypuszczam, ich główny odruch polega na ochronie domu. Zajmuje się nimi *maitre-chien*.

- Nie, tylko stały i patrzyły na mnie. Mają kagańce.

- Podobno są niemal równie niebezpieczne w kagańcach, uderzają intruza ciężkim skórzanym czubkiem. Powinienem był wcześniej je sprowadzić, zanim to się zaczęło.

- Mówiąc o intruzach, ma pan na myśli myśliwych?

- Oczywiście.

Bez wątpienia to była eskalacja. Tim zastanawiał się, czy miejscowym myśliwym będzie teraz zależało na tym, by wchodzić na tereny Craya i rzucić wyzwanie psom.

- Jest coś, co mogę zrobić dla pańskiej żony? Dla pana?

- Myślę, że wypuszczą ją jutro za kaucją. Potem zobaczymy - powiedział Serge ponuro. - Jeśli chodzi o tę drugą sprawę, nie ma żadnych nowych wiadomości, tylko milczenie.

Miał na myśli manuskrypt. Tim z zadowoleniem usłyszał, że przynajmniej w tej sprawie nic się nie wydarzyło. Za kilka godzin miał zająć się inną kwestią prawną. Chodziło o podpisanie umowy w kwestii mieszkania, które kupili razem z Anne-Sophie, co stanowiło wystarczająco poważne zobowiązanie w tej mętnej gmatwaniu długów i prawnych komplikacji.

Zabawił u Crayów kilka minut, po czym pojechał na spotkanie z Adrianem Wilcoxem w klubie tenisowym. A ponieważ następni gracze się spóźniali, zostali na korcie przez dodatkowe trzy kwadransy i w rezultacie musiał pojechać *peripherique*, żeby, przekraczając dozwoloną prędkość, zdążyć na spotkanie u *notaire* w szesnastej dzielnicy, na którym mieli podpisać *promesse de vente*.

Od razu zorientował się, że popełnił błąd, przyjeżdżając na tę uroczystość w stroju sportowym, ale nie miał już czasu się przebrać. Nie znał się na szczegółach transakcji dotyczących nieruchomości ani we Francji, ani w Ameryce, toteż przyjął amerykańską postawę wobec podobnych procedur, raczej dość swobodną, zakładając, że złożenie własnego podpisu na dokumencie, który zobowiązywał człowieka do zapłacenia setek tysięcy franków i wzięcia kredytu hipotecznego do końca życia, należy traktować z tą samą niefrasobliwością, jaką podziwiamy u wielkich złoczyńców maszerujących na szubienicę.

Anne-Sophie, w swoim najbardziej poważnym biznesowym kostiumie i butach na wysokim obcasie, była wyraźnie zaróżowiona z podniecenia; pojawiła się także Estelle oraz para Francuzów sprzedających mieszkanie, monsieur i madame Flieu. Notariusz odczytał na głos dokument zawierający daty urodzenia, podstawowe fakty dotyczące małżeństwa i potomstwa oraz adres państwa Flieu, po czym Tim musiał postawić swoją parafkę na dwudziestu siedmiu stronach owego dokumentu, które odwracano przed nim jedna za drugą. Wszyscy byli elegancko ubrani jak Anne-Sophie oraz *notaire*

siedzący za biurkiem. Tim ostatecznie przybrał minę pełną powagi i rzeczywiście czuł się wyjątkowo nieswojo, przytłoczony poczuciem ciężkiego błędu, nadmiernych ambicji i wstąpienia na drogę bez odwrotu.

Następnie państwo Flieu uścisnęli im dłonie, życzyli szczęścia w małżeństwie i oświadczyli, że wszyscy powinni się spotkać wkrótce, albo za jakiś czas, żeby omówić cenę takich rzeczy, jak oświetlenie i wbudowane półki na książki, chyba że Tim i Anne-Sophie nie będą chcieli ich zatrzymać.

- *On pensait*, zastanawialiśmy się, trzydzieści tysięcy franków za wszystko - powiedział monsieur Flieu. - Co państwo na to?

Anne-Sophie westchnęła.

- Będziemy musieli to przemyśleć.

Tim nie miał najmniejszego pojęcia, o czym oni mówią, choć w jadalni rzeczywiście były wbudowane jakieś półki na książki, a do tego w pokoju wisiał duży żyrandol, który zresztą i tak wydawał mu się nieco przesadnie ozdobny.

Ponownie uścisnęli sobie dłonie.

- Wkrótce się odezwiemy - powiedziała Anne-Sophie.

Na zewnątrz wyjaśniła mu, że sprzedający zasugerowali teraz, że powinni zapłacić dodatkowe trzydzieści tysięcy franków za wbudowane półki na książki. Przypomniała mu, że rozmawiali już o tym wcześniej.

- Mogę państwu zostawić te półki, jeśli wam się podobają - powiedziała wtedy przyjaźnie madame Flieu, kiedy przyszli po raz drugi do mieszkania, żeby mu się przyjrzeć dokładnie i obejrzeć *cave*.

- Bardzo mi się podobają pani półki - odparł wówczas Tim, podniecony obrazem samego siebie w otoczeniu swoich książek, które obecnie trzymał w chaotycznym nieładzie pod łóżkiem i na blatach kuchennych.

Dzień albo dwa dni później przyszedł list, w którym wymieniono kilka rzeczy, jakie madame Flieu była gotowa zostawić - półki na książki, szafka na leki, podgrzewany wieszak na ręczniki. Ale nie wspomniano w nim ani słowem o trzydziestu tysiącach franków, czyli

prawie pięciu tysiącach dolarów! Tim był teraz kompletnie oszołomiony. Anne-Sophie była nieco mniej zdumiona, choć zacisnęła swoje różowe usta kobiety interesu i zaczęła zastanawiać się nad proponowaną sumą.

- Będziemy musieli im zaproponować, żeby nieco spuścili - orzekła, kiedy wyszli z biura notariusza. - Myślę, że to za dużo.

- Trzydzieści tysięcy franków! O czym oni mówią? Mogę pójść do BHV i kupić jakieś pieprzone regały.

Anne-Sophie odwołała się do swojego doświadczenia osoby zajmującej się handlem dziełami sztuki.

- Chcą, żebyśmy kupili te półki, które oczywiście są ci potrzebne, ale nie jestem pewna co do *lustre*. To osiemnasty wiek. Z tych *trente mille* sam *lustre* musi być wart połowę. Możemy im powiedzieć, żeby zachowali swój *lustre*, w ten sposób zapłacimy jedynie piętnaście tysięcy za półki. Mogę znaleźć lepszy *lustre* na *puces*.

- Zaraz, przecież te rzeczy są częścią mieszkania! Półki są wbudowane, przymocowane na stałe!

- Czasami ludzie, wchodząc do swojego nowego mieszkania, przekonują się, że poprzedni właściciele zabrali wszystkie klamki, a nawet instalację sanitarną - powiedziała Anne-Sophie. - Ale państwo Flieu wydają się bardzo sympatyczni, nie martwiłabym się. Poza tym agent sprawdzi, jak się sprawy mają, zanim podpiszemy ostateczny akt kupna.

W ten sposób Tim dowiedział się, że nie wszystko jest takie, jak się wydaje, i że jeśli nie będą ostrożni, państwo Flieu mogą zabrać toalety i umywalki, powołując się na fakt, że we Francji kupuje się tylko gołe ściany. Był zaszokowany, że musi teraz zapłacić dodatkowe pięć tysięcy dolarów dokładnie za te rzeczy, które skłoniły go do zainteresowania się tym mieszkaniem, i był niepomiernie wściekły, że nie powiedziano mu o tym wszystkim wcześniej. Czy gdyby to wiedział, mieszkanie mniej by mu się spodobało? Nie wiadomo. Na szczęście Anne-Sophie nie widziała niczego niezwykłego w takim biegu wypadków, więc dał za wygraną, a raczej starał się skupić na tym, skąd wziąć dodatkowe pieniądze. Anne-Sophie ze swojej strony wydawała się zadowolona z mieszkania, a jej zastrzeżenia najwyraź-

niej ustąpiły ekscytującej świadomości, że podejmują nowy, znaczący krok w życiu.

Pocałowali się przed wejściem do metra, Anne-Sophie spieszyła się na jakąś licytację.

- No cóż, *c'est fait* - dodała z uśmiechem.

- *Madame la proprietaire*.

Jednak wbrew mglistym wyobrażeniom Tima nie poszli napić się szampana. Stracili okazję, by świętować poważny, szczęśliwy moment w życiu, formalne zobowiązanie, jakie podjęli jako para, która zamierza żyć razem w nowym mieszkaniu, coś, co powinno się uczcić, stuknąć się kieliszkami szampana. Odjechał ze smętnym poczuciem straty, a nie pomyślnego zakończenia.

- Tim Nolinger kupił mieszkanie niedaleko od ciebie - powiedziała Vivian Gibbs do Kathy Dolan, której mąż pracował jako amerykański attache kulturalny. - Passage de la Visitation. Wiesz, że za tą bramą na końcu ulicy mieszka jeden z Rothschildów?

- Pierwsze wspólne gniazdko twoich nowożeńców? - zastanawiała się Kathy.

Plotka o rodzinnych korzeniach Tima dotarła już do ambasady, co przypuszczalnie wyjaśniało fakt, że Tim i Anne-Sophie zostali kilka razy zaproszeni na odbywające się tam uroczystości, raz na kolację dla prawników i dziennikarzy, a kiedy indziej na przyjęcie na cześć dyrygenta amerykańskiej orkiestry symfonicznej. Tim, zaskoczony, że sprawia mu to przyjemność, nawet nie zastanawiał się, dlaczego i w jaki sposób Ameryka go odnalazła. Belgia nigdy nigdzie go nie zapraszała.

ROZDZIAŁ 28

Wyjść za wszelką cenę

Czwartego dnia Clara tkwiła w swoistym transie zagubienia i poczucia nieszczęścia, przerywanym jedynie przez chwilowe napady irytacji, że jest prześladowana za swoje przekonania moralne, gdy nagle jej rozmyślania przerwała strażniczka. Bez żadnych wyjaśnień wyprowadziła ją z cek do miejsca spotkań z gośćmi odwiedzającymi więźniów i gestem kazała jej usiąść na krześle stojącym po jednej stronie szklanej szyby. Clara z niepokojem wpatrywała się w puste miejsce po drugiej stronie, czekając, aż pojawi się Serge. Drzwi z tyłu sak otworzyły się i wszedł jakiś mężczyzna w towarzystwie strażnika. W pierwszej chwili wzięła go za prawnika przysłanego przez Serge'a. Mężczyzna w szaliku i doskonale skrojonym ciemnym garniturze, na ramieniu niósł płaszcz z wielbłądziej wełny. To był Antoine de Persand.

W swoim zdumieniu nie wiedziała, co powiedzieć, kiedy siadała po drugiej stronie i pochylił się w stronę niewielkiego zakratowanego otworu w szybie. Przemknęła jej absurdalna myśl, że jest zupełnie nieumalowana i ma pogniecione ubranie. Na pewno wygląda okropnie, kompletnie zaniedbana i zrozpaczona.

- Madame Cray.

- Jestem zdumiona, że pana widzę.

- Musiałem przyjść. Nie wiem, dlaczego tu jestem, dlaczego przyszedłem, nie mam niczego do zaproponowania, po prostu... wydawało mi się ... - urwał najwyraźniej zmieszany.

- Rzeczywiście, to wszystko jest bardzo dziwne, zgadzam się z panem - powiedziała.

- Nie chciałem, żeby pani pomyślała, że mógłbym mieć coś wspólnego z tą sprawą, madame. Jestem przyjacielem, może być pani pewna, i w obliczu tych prześladowań moje drogi z kołem łowieckim zdecydowanie się rozchodzą. Pani tereny wcale nie są takie ważne dla polowań, teraz chodzi wyłącznie o ego mera Briaca. Obawiam się, że monsieur Briac jest bardzo pamiętliwy i chociaż osobiście nie jest pani wrogiem, jego *amour propre* została wystawiona na szwank.

- Czy trudno było się tu dostać na widzenie ze mną?

- Nie, w moim wypadku dość łatwo. Choć zapewne, ogólnie rzecz biorąc, może nie być łatwe.

- Mój mąż jakoś nie zdołał tutaj dotrzeć.

- Aha - powiedział.

- Co powinnam zrobić, żeby mnie wypuścili na wolność?

- Nie mam pojęcia. Nie jestem emisariuszem. Przyszedłem... na znak przyjaźni. Nie mam pojęcia, czemu tu jestem - dodał z pewnym zaskoczeniem.

- Niemniej dziękuję panu. Jestem pewna, że wkrótce wyjdę.

- Czy... wszystko w porządku?

- Francuskie więzienia nie są wygodne.

- Pojadę spotkać się z pani mężem. Jestem pewien, że podjął odpowiednie kroki. Jestem prawnikiem, mam pewne koneksje, jeśli więc będę mógł pomóc w czymkolwiek...

- Dziękuję panu, monsieur. Wiem, że mąż robi wszystko, co w jego mocy.

Więcej - znacznie więcej - zostało powiedziane w ich intensywnej wymianie spojrzeń. Czy on także czuł to nieme cielesne pożądanie? Albowiem to coś, co w niej wzbierało, to było pożądanie. Zdawała sobie sprawę, jak bardzo to było nie na miejscu. Być może coś podobnego czują zakładnicy, którzy zakochują się w pierwszym człowieku, jaki przybywa na ratunek. Clara nie mogła znieść widoku tej szklanej bariery, która co prawda nie pozwalała nawet na uścisk dłoni, ale za to skłaniała do namiętych, dość chaotycznych wypo-

wiedzi, słów, które starała się, jak mogła, powstrzymać. Chciała powiedzieć, że gdyby mogła spędzić choć jedną noc z nim, jedno popołudnie...

A potem wbrew swojej woli, wbrew zdrowemu rozsądkowi usłyszała swój głos, który wypowiadał te słowa. Z więziennej celi, ona, Clara Holly, składała obcemu Francuzowi dziwną propozycję.

Monsieur de Persand zeszywniał. Wydawało się, że zbladł. Jej twarz płonęła.

- Och, muszę się po prostu pozbierać - wyjaśniła przepraszająco.
- Nie miałam... niczego na myśli. Zdaje się, że mówię i myślę jakieś dziwne rzeczy. To wszystko przez to miejsce ...

- Muszę kiedyś opowiedzieć pani o tym, co zdarzyło się w ubiegłym roku w mojej rodzinie, wtedy zrozumie pani, dlaczego ja... nie mogę sobie pozwolić na żadne szalone myśli. Śmierć mojego brata, cierpienie mojej matki, *orphelins*, chaos w sprawie spadku, problemy mojej ciotki i wuja... a wszystko dlatego że... - Westchnął.

- Tak, tak, ma pan rację, mówię niedorzeczności - powiedziała Clara. - Człowiek traci tutaj orientację. Proszę mi wybaczyć.

Ale oczywiście dokładnie wiedział, co miała na myśli. Zapewne kobiety zamknięte w więzieniu nieustannie oferowały się prawnikom w nadziei na uwolnienie...

W tym momencie nastąpiło jakieś poruszenie wśród strażniczek oznaczające, że wszyscy muszą wstać, a goście mają niezwłocznie opuścić salę, bez dalszych wyjaśnień. Clara i Antoine de Persand, zaszokowani, rozpaczliwie wpatrywali się w siebie przez dzielącą ich szybę. Persand pospiesznie wyszedł, ściskając płaszcz.

Po powrocie do celi Clara poczuła się jeszcze bardziej nieszcześliwa. Po raz pierwszy po jej policzkach spłynęły gorące łzy. Jak mogła powiedzieć coś takiego do Antoine'a de Persanda? Skąd w ogóle wzięło się to pragnienie, żeby znaleźć się w jego ramionach? Najwyraźniej więzienie coś zrobiło z jej umysłem. Zobaczyła siebie jako osobę, która pełźnie przez pustynię w stronę mirażu miłości i dzikiej, zmysłowej namiętności. I dlaczego ten obraz jałowego pustkowania miałby odnosić się do jej życia? Ponieważ jej życie było suche, pozbawione zmysłowych przyjemności, a w zrutynizowanym seksie,

jaki uprawiali z Serge'em, wcale nie tak znowu często, brakowało prawdziwej intymności. Zobaczyła, że więzienie jest po prostu jedynie metaforą jej losu. Ogarnął ją ogromny żal nad samą sobą i poczucie nieszczęścia. Po czterech dniach zamknięcia w więziennej celi nie zostało jej nic prócz rozpaczy i złudzeń.

ROZDZIAŁ 29

Wiadomość od Gabriela

Tim jeździł teraz codziennie do Crayów, samochodem Anne-Sophie albo pociągiem, żeby sprawdzać na bieżąco, czy nie pojawiły się jakieś nowe wiadomości w sprawie skradzionego rękopisu, i dowiedzieć się, jak wygląda sytuacja prawna w związku z aresztowaniem Clary. W ten sposób, *faute de mieux*, osiągnął status przyjaciela rodziny, opiekuna Delii i niemal totumfackiego. Zorientował się, że Cray zwykle polegał na Clarze jako osobie łączącej go ze światem zewnętrznym i tą osobą podczas jej nieobecności stał się Tim. Czemu się na to zgodził? Nie miał pojęcia, może przez ciekawość albo litość, albo z powodu artykułu lub powieści, jaką dzięki temu napisze. Chodziło o coś więcej niż pieniądze, choć dostał swoje pierwsze trzy tysiące dolarów od Monday Brothers Films i czuł się zażenowany tą przesadnie wysoką gratyfikacją. Oczywiście pieniądze na pewno się teraz przydadzą, na półki na książki.

Jednak jego obecność u Crayów miała także coś wspólnego ze zniewalającą siłą przyciągania władzy i sławy. Szczerze nie znosił siebie za to, że jej ulega. Inny powód jego bytności w ich domu - pragnienie, żeby pomóc Clarze - pozostawał jego słodką tajemnicą; niemniej rzeczywiście chciał zobaczyć, jak to się wszystko skończy, dotrzeć do końca przedstawienia.

Nie był pewien, czy właściwie lubi Craya. Reżyser był szorstki, opryskliwy i krótko skupiał się jednej rzeczy, co zasadniczo wykluczało jakąkolwiek rozmowę. Poza tym miał ciągle oblane czymś

ubranie z przodu. Ale właśnie w chwili, gdy te jego cechy stawały się nieznośne, Cray nagle skupiał uwagę na sprawie, o której rozmawiali, i potrafił powiedzieć coś zastanawiająco trafnego; okazywało się, że cały czas wiedział, o czym była mowa. Kiedy mówił o filmie, robił naprawdę imponujące wrażenie. Być może to geniusz. Tim nie potrafił tego rozstrzygnąć.

Cray zaczął na serio pracować nad swoim filmem. Pudełko z wycinkami stało teraz na jego biurku. Miał skupiony, zaferowany wyraz twarzy i nieustannie konferował przez telefon z różnymi ludźmi w Anglii albo Kalifornii.

Stykając się z Crayem na co dzień, Tim znalazł się w wyjątkowym położeniu kogoś, kto mógłby szerzej opisać poczynania tej intrygującej postaci, jednak z powodu ich pogłębiającej się przyjaźni nie mógł naruszyć przywilejów wynikających z zażyłości. Jednocześnie Cees usilnie nakłaniał go, żeby wytrwał na posterunku w oczekiwaniu na ewentualny kontakt ze złodziejem manuskryptu. Tim czuł się więc niczym jakiś podwójny agent - poczucie w pewnym sensie irracjonalne, ponieważ Cray i Cees ostatecznie pragnęli tego samego: chcieli schwytać złodzieja i uratować Apokalipsę Driad. Cees słusznie przypuszczał, że zażyłość z Crayem będzie stanowiła dla Tima wystarczającą zachętę, by kręcić się w pobliżu reżysera, że możliwość oglądania z bliska tej niemal legendarnej postaci będzie dla Tima czymś zdecydowanie interesującym. Cray przypuszczalnie myślał podobnie, przekonany, że sam stanowi dla Tima wystarczającą nagrodę, dla której młody człowiek miał ochotę poświęcać mu swój czas. Cray był przyzwyczajony do tego, że ludzie mu służą, a poza tym dał Timowi nowe zadanie.

- Czy możemy dowiedzieć się, co się stało z tymi cholernymi *boiseries*? Mógłbyś to zrobić?

Tim powiedział, że spróbuje.

- Masz teraz coś innego do roboty?

Pytanie zaskoczyło i odrobinę zraniło Tima. Czy miał? Oczywiście. Co? Cóż... Było mnóstwo rzeczy, które powinien był zrobić.

- Czytałem niektóre twoje teksty - powiedział Cray. - Kazałem moim ludziom, żeby mi je przysłali. Ale właściwie po której stronie

stoisz: „Reliance” czy „Concern”? Czy nie ma między nimi naturalnych sprzeczności?

- Zwykle potrafię patrzeć na sprawy z obu punktów widzenia - oświadczył Tim. - To rodzaj przekleństwa.

Minęło kilka dni, ale człowiek, który do nich dzwonił, albo złodziej, nadal się nie odezwał. Kiedy raz zadzwonił telefon, okazało się, że to matka Clary. Serge pokręcił głową, dając Deki znak, że nie chce rozmawiać z panią Holly niech Delia to zrobi.

- Och, dzień dobry, pani Holly tu Delia Sadler. Sąsiadka. Jestem w odwiedzinach u Clary, nie ma jej teraz w domu. - Delia spojrzała w stronę Serge'a, czekając na instrukcję.

Zastanawiali się, czy przypadkiem rękopisy dotyczące końca milenium, a zwłaszcza dokument z Morgan Library który złodziej chciał sprzedać Crayowi, Apokalipsa Driad, nie miały jakiegoś związku z nieobecny przyjacielem Deki, Gabrielem. Czy nie za daleko wybiegają wyobraźnią? Ale w końcu uznali, że niekoniecznie. Jego zagadkowe zachowania - pojawiał się i znikał, i nadal się ukrywał, choć policja oczyściła go z podejrzeń w sprawie morderstwa na pchlim targu - oraz jego przypuszczalne związki z kultami milenijnymi za pośrednictwem narzeczonej z Oregonu, najwyraźniej wskazywały że to całkiem możliwe, w tej chwili nawet bardziej prawdopodobne niż poprzednio. Tim pomyślał, że mógłby porozmawiać z Deką na ten temat, ale nie musiał się o to martwić, ponieważ rzecz sama się wkrótce wyjaśniła.

W piątek, w dniu, w którym Cray miał nadzieję, że Clara zostanie zwolniona z aresztu, on sam, Delia i Tim zebrali się w jadalni, która przekształciła się w swego rodzaju sztab wojenny, o czym świadczyły trzy aparaty telefoniczne. Kiedy jeden z nich zadzwonił, Cray skinął na Delię, która siedziała najbliżej, żeby odebrała (często kazał podnosić słuchawkę senhorze Alvares albo robotnikowi, któremu wcześniej polecano, aby twierdził, że dzwoniący pomylił numer).

Zanim cokolwiek powiedziała, na jej twarzy pojawił się uśmiech radości, ewidentnie rozpoznała dzwoniącą osobę. Tim i Cray nastą-

wili uszu. Jak to możliwe, że ktoś dzwonił do Delii? Ale oczywiście rozdała ich numer setkom swoich krewnych i przyjaciół, z którymi pozostawała praktycznie w nieustannym kontakcie.

- Gabe, to ja! - zawołała. - Jakie to dziwne! Skąd wiedziałeś, że tu jestem?

Usłyszawszy te słowa, Tim przysunął się bliżej. Można było wyobrazić sobie zdumienie, a nawet okrzyki po drugiej stronie. Cray, który czytał coś w rogu, także usłyszał jej słowa i uniósł głowę. Gabriel, tajemniczy młody człowiek, którego Anne-Sophie widziała po raz ostatni, gdy odwozili go francuscy gliniarze. Nie mieli najmniejszej wątpliwości, że Delia obdarza go uczuciami, których intensywności nawet się po niej nie spodziewali.

Zaczęła szeroko opowiadać swojemu rozmówcy o wszystkim, co się jej przytrafiło, po czym długo słuchała, przypuszczalnie opowieści o tym, co jemu się przydarzyło, odkąd widzieli się po raz ostatni. Gabriel, zaginiony przyjaciel.

- Nic ci nie jest? Gdzie jesteś? Musiałam opuścić tamten hotel, nie było bezpiecznie - słyszeli jej wyjaśnienia.

Twarz Delii jaśniała głębokim przekonaniem, że życie będzie odąd płynęło dobrze znanym kursem, jej przyjaciel ocalał, nic mu się nie stało, telefon działał, wszystko było tak, jak trzeba, w jej życiu powróciła nadzieja.

Spojrzała na Craya.

- Czy mój przyjaciel może się tutaj zatrzymać? Tylko chwilowo, do czasu, aż odbierzemy jego paszport i jego rzeczy z hotelu i załatwimy jakieś bilety na samolot?

Cray popatrzył na Tima. Przypuszczalnie obu ogarnęło to samo przeczcucie, że Gabriel jest także złodziejem manuskryptu, albowiem inaczej w jaki sposób Gabriel mógł wiedzieć, że Delia jest akurat tutaj? I skąd miał numer telefonu znajdujący się na *liste rouge*, a jednocześnie znany złodziejowi manuskryptu?

- Oczywiście - powiedział Cray. - Bardzo chętnie go przyjmiemy. Powiedz, żeby tu przyjechał.

Powtórzyła słowa Craya i skinęła rozpromieniona. Najwyraźniej Gabriel przyjął zaproszenie.

- Może pan powiedzieć mu, jak tu dojechać? - spytała, wręczając Crayowi słuchawkę.

- Halo - powiedział Cray; w jego głosie pojawił się ton jowialnej życzliwości, jakiego Tim wcześniej nie słyszał. - Naprawdę będziemy bardzo szczęśliwi, że pan tu przyjedzie!

Opowiedział, jakim autobusem trzeba pojechać z Wersalu, jak przejść przez miasteczko oraz o tym, że trzeba uważać na psy. Cray był bardzo zadowolony ze swoich psów. Raz po raz wysyłał jakiegoś nieszczęsnego posłańca drogą na skróty po to, by zobaczyć, jak otaczają go warczące rottweilery i jak biedny człowiek musi następnie odpowiadać na liczne pytania *maitre-chien*, Belga, który nosił buty z cholewami jak oficer SS.

- Widzę, że ci ulżyło, Delio - powiedział, odkładając słuchawkę.
- Twój przyjaciel jest bezpieczny, oboje możecie wyjechać z Francji, gdy tylko załatwicie wszystkie niezbędne sprawy, a na razie macie tutaj bezpieczną przystań.

- To bardzo miło z pańskiej strony - potwierdziła Delia z wielkim przekonaniem. - O Boże, co za ulga.

Ale nawet jej zachwyt z powodu nagłego odnalezienia się Gabriela najwyraźniej nie rozerwał jej nowych więzi z Crayem, gdyż chwilę później reżyser zabrał ją ze sobą do sąsiedniego pokoju, niedwuznacznie wykluczając Tima z towarzystwa.

ROZDZIAŁ 30

Na wolności za kaucją

Ostatecznie minął tydzień, nim Clara, wstrząśnięta i wściekła, wyszła z więzienia za kaucją. W tym czasie *juge d'instruction* gromadził dowody do jej procesu, który miał się odbyć tuż przed świętami. Cray przyjechał po nią land-roverem w towarzystwie jednego z prawników - zupełnie jakby wybierał się na stację, żeby odebrać ją z pociągu po jakiejś wyprawie na zakupy, zauważyła zjadliwie, gdy potrząsając głową i mrużąc oczy w jasnym jesiennym słońcu, wyszła z budynku więzienia, upokorzona, brudna, wzburzona. Przedstawiciele francuskiego wymiaru sprawiedliwości zgromadzeni na więziennym dziedzińcu w milczeniu obserwowali, jak wsiada do samochodu. Cray wyczuwał jej gniew.

- Wolałabyś pewnie limuzynę, trochę ceremonii. - Roześmiał się.
- Powiniennem być się domyślić.

- Nie, nie. - Ale w głębi duszy miała mu za złe, że to wszystko trwało tak długo, a on jej, że nie udało mu się załatwić tego szybciej, choć zrobił wszystko, co mógł. Krążyła plotka, że sam amerykański ambasador złożył w jej sprawie skargę na Quai d'Orsay.

- Osobiście powiedział mi to Jean Beaumarche - oświadczył Christophe Oliver, francuski prawnik pracujący dla firmy Biggs, Rigby Denby Fox.

Odwiedzając Crayów w następnych dniach po uwolnieniu Clary, Tim wyraźnie wyczuwał, że atmosfera w ich domu nadal się zmienia

i staje się coraz cięższa. Czy działo się to za sprawą warczących rottweilerów oraz ich opiekuna w butach z cholewami, wprowadzających nastrój pewnego zagrożenia, jaki towarzyszył teraz wszystkim przyjazdom i odjazdom z *chateau*? A może energicznego zaafierowania, z jakim Cray nieustannie przemieszczał się z pokoju do pokoju, przypominając chorego człowieka w gorączce, albo wychodził przed dom sprawdzić czujność swoich psów, niczym bohater jakiejś wiktoriańskiej powieści gotyckiej, które czytywała Anne-Sophie, właściciel jakiegoś majątku albo zamku na odludziu? A może chodziło o poczucie irytacji, a nawet wściekłości, jakie emanowało z Clary, chociaż na pozór wydawała się opanowana i pełna godności jak dama?

Uważając siebie samą za osobę z natury spokojną, Clara nie rozpoznawała oznak ogarniającego ją gniewu, a w każdym razie nie rozpoznawała ich od razu. Kiedy Serge razem z prawnikiem Chrisem Oliverem przyjechał odebrać ją z więzienia, szczerze ucieszyła się na ich widok: dwaj energiczni mężczyźni w akcji, głęboko oburzeni jej losem, sprawnie pociągający odpowiednie sznurki. A jednocześnie, choć wiedziała, że byłoby czymś irracjonalnym winić Serge'a za to, co się stało, wzbierała w niej świadomość jego winy, ożywiana przez wspomnienia różnych żalów i rozczarowań związanych z Larsem i innymi sprawami.

Tak, w jakiejś mierze wiedziała, że nie może winić Serge'a. W końcu sama, nawet bardziej niż on, sprzeciwiała się polowaniom i chętnie godziła się zostać męczennicą - do pewnego stopnia - tak szlachetnej sprawy. Ale kiedy przypominała sobie o tym, że Serge nie przyjechał do niej do więzienia przez tyle dni, że sprytnie i przewidująco uczynił ją formalną właścicielką posiadłości, że wysłał Larsa za granicę, że wszystkie jej pragnienia musiały zawsze ustępować wobec jego dominującej osobowości, jego pieniędzy, bierności oraz letargu artystycznej rozpaczki, która przenikała jej życie niczym trujące miazmaty zaczynała narastać w niej jakaś rozpaczliwa wściekłość i furia, tym silniejsza, że jak dobrze wiedziała, nic nie będzie mogła z nią zrobić i będzie musiała po prostu jakoś ją przetrwać.

Po wyjściu Clary z więzienia Tim po raz pierwszy zobaczył ją, wjeżdżając samochodem na dziedziniec *chateau*; stała właśnie

przed domem. Uśmiechnęła się do niego w ten swój zniewalająco promienny sposób i gdy wysiadał z wozu, wzięła go za rękę, jak gdyby chciała ochronić go przed psami. Rzeczywiście wydawała mu się trochę szczuplejsza i jakby nieco wymizerowana, z lekkimi cieniami pod oczami, jednak podkreślało to tylko jej naturalną urodę i otaczało aurą nieszczęśliwego zbiega nieuchronnie skazanego na porażkę.

- Witaj, Tim. Tak wspaniale radziłeś sobie z Serge'em - powiedziała, jak gdyby Cray był jakimś kaleką wymagającym stałej opieki, którego musiała z żalem zostawić na łasce obcych ludzi.

Weszli do środka. W domu zastali Bradleya Dunne'a, innego prawnika z kancelarii Biggs, Rigby Denby Fox, który chodził za Claram po całym domu, jak gdyby chciał zbadać, czy nie odniosła jakichś obrażeń dających podstawę do wytoczenia sprawy o uszczerbek na zdrowiu.

Jak można uwolnić się od ciężaru wspomnień tych wszystkich dni i nocy spędzonych w więzieniu? Tim zadał jej to pytanie. Oczywiście chciał się dowiedzieć, jak było w areszcie, podobnie jak inni, opowiedziała więc mu swoją historię, którą najwyraźniej powtarzała wielokrotnie w ciągu minionych dwudziestu czterech godzin i która z tego powodu zdążyła już nabrać cech pewnej rutyny. Opowiedziała o wodnistych kawałkach ościstej ryby i o tym, że nie dawali jej kawy i przez siedem dni musiała pić jakąś lurę zabarwioną cykorią.

- Czy wiesz, że nagłe odstawienie kawy wywołuje bóle głowy? - spytała. - Naprawdę straszne bóle i nic na nie nie pomaga. Zaczynają się drugiego dnia. A jak już cię chwycą, ból jest tak silny, że chętnie kładziesz się nawet na więziennej pryczy. Przypuszczam, że potem trochę łagodnieje, ale pierwszą rzeczą, jaką zrobiłam po wyjściu z aresztu, było wypicie filiżanki kawy.

- Naprawdę, to nie do wiary, że mogą coś takiego zrobić komuś niewinnemu - odruchowo powiedział Tim, choć oczywiście bez trudu wyobrażał sobie, że można coś takiego zrobić.

- I oczywiście człowiek niewinny musi cierpieć bardziej niż winny. Ponieważ winny może liczyć przynajmniej na pewną rekompensatę: ma szansę odpokutować swoje winy - przyznała z uśmiechem.

Jednak za tą dziwną atmosferą, podszytą irytacją, jaką wyczuwał w domu Crayów, kryło się coś więcej niż tylko fakt, że Clara spędziła tydzień w więzieniu. Na pewno zauważyła, że podczas jej nieobecności Craya ogarnęła jakaś fascynacja osobą Delii. Dzwonił teraz codziennie do Kalifornii i w trakcie licznych rozmów z Wolym poprosił, żeby wytwórnia Monday Brothers Films sfinansowała dalszy pobyt Delii we Francji przez kilka następnych tygodni, dzięki czemu dziewczyna będzie mogła mu pomóc w gromadzeniu informacji niezbędnych do jego filmu. Bez paszportu i tak nie miała nic innego do roboty, a ponieważ jasno oświadczyła, że zamierza poczekać, aż zjawi się jej tajemniczy przyjaciel, Tim nie bardzo rozumiał, dlaczego Cray chciał jej jeszcze za to wszystko płacić.

- Te jej drobne kości... rozkoszne. To drobne wykrzywione biodro, czy nie wydaje ci się...? - Cray zachichotał.

Tim nie bardzo wiedział, co właściwie reżyser miał na myśli. Czy chciał przez to powiedzieć, że Delia jest seksowna? Czy raczej chodziło o coś bardziej szalonego, jakieś sadystyczne pragnienie, by zgnieść te jej uszkodzone kosteczki? A może podziwiając jej ułomność, w jakimś sensie krytykował doskonałość Clary? Chyba że pod nieobecność Clary po prostu skupił swoją uwagę na innej, uległej kobiecie, jaką akurat znalazł pod ręką?

- Ona jest wyznawczynią jakiegoś kultu, wiedziałeś o tym? - zapytał Cray. - Ściśle biorąc, to jest cały zbiór rozmaitych kultów. Skądinąd, zgodnie z tym, co ona mówi, to bardzo typowe dla Oregonu. I właśnie te połączone kultury Oregonu zarządzają centrum handlu antykami, w którym Delia prowadzi sklep z przyjaciółką. Ona zna rozmaitych ludzi, którzy wierzą w katastrofę milenium, mormońskich poligamistów, superpatriotów, wyznawców teorii spiskowych, nic jej nie dziwi. Czuje się, jakby została specjalnie tu zesłana przez opatrność.

- To daleko na zachodzie Stanów - przyznał Tim.

Choć sam nigdy nie był w tej części kraju, wiedział, że właśnie tam żyje najwięcej ludzi przekonanych, że wraz z nadejściem nowego milenium świat czeka wielka katastrofa. Sądził jednak, że to raczej w Idaho albo w Montanie, a poza tym jakoś nie wyobrażał sobie roz-

sądnej małej Delii, uosobienia dziewczyny z klasy średniej, w roli gorliwej wyznawczynie jakiegoś kultu albo członkini sekty.

- Co to właściwie za kult?

- Ona mówi, że nie jest religijna, ale zgadza się z wierzeniami różnych swoich znajomych. Sam ją o to spytaj.

Kiedy Delia schodziła na dół, Cray zabierał ją ze sobą do jadalni, gdzie wspólnie jedli kanapki; nie zapraszał wtedy swojej żony ani Tima. Jednak Timowi to nie przeszkadzało, ponieważ dzięki temu zostawał sam na sam z Clarą. W swoim zauroczeniu nią - nie ośmieszał się nadać temu uczuciu poważniejszej nazwy - cieszył się na każdą możliwość rozmowy, każde przypadkowe muśnięcie dłoni, każde wyznanie z jej strony, które mógł potraktować jako dowód, że obdarza go zaufaniem i przyjaźnią. Oczywiście wiedział, że Anne-Sophie zaczyna zdawać sobie sprawę z niepokojów, jakie zagościły w jego sercu, i zauważył, że sam przed sobą sięga po obrazowe metafory, które najwyraźniej najlepiej pasują w takich sytuacjach: „pewne uczucia zagościły w moim sercu...” i tak dalej. Ale nie mógł uspokoić narzeczonej, mówiąc: „Wiesz, moje zauroczenie Clarą to nic poważnego”, nie potwierdzając jednocześnie jej podejrzeń, co tylko jeszcze bardziej skomplikowałyby sprawę.

W następnych dniach nie mieli żadnych wiadomości od tajemniczego Gabriela. Delia co chwila wyglądała przez okno i podrywała się na dźwięk telefonu - podobnie zresztą jak Cray i Clara, każde z innych powodów, jak przypuszczał Tim, zważywszy na kłopoty prawne wiszące nad głową Clary. Czasami Cray dla zabawy drażnił się z Delią.

- To jest *foie gras*, Delio. Czy wiesz, jak to się robi? Widziałaś, jak wtykają do gardła gęsi taki wielki lejek, a potem sypią w niego ziarno, tyle ile, się zmieści, w nieskończoność ją karmią na siłę, aż jej wątroba puchnie i robi się ogromna - właśnie to teraz jesz!

- Błę... - zareagowała, jak można się było spodziewać. Po czym dodała: - Myślisz, że jestem kompletną wieśniaczką, ale prawdę mówiąc, wiem, jak się robi *foie gras*. Na pewno powiedziałeś to tylko dlatego, że chcesz zjeść moją porcję.

Chociaż wiedział, że powinien zajmować się innymi sprawami, jak choćby sprawdzaniem, co się stało ze sprzedaną boazerią albo porządkowaniem swoich książek czy wreszcie pisaniem kolejnego tekstu, Tim do tego stopnia zadomowił się u Crayów, że całkiem swobodnie czuł się teraz w ich kuchni, w której zwykle przesiadywał i czytał gospodarz, albo w małym pokoju śniadaniowym sąsiadującym z jadalnią, niewielkiej przestrzeni pomalowanej na żółto i ozdobionej rysunkami w wąskich czarnych ramkach, w której leżały sterty gazet i czasami grało radio. W kuchni ciepły piec Aga coraz bardziej przyciągał wszystkich w chłodne poranki - *chateau* nie było łatwo ogrzać. Z wysokich kuchennych okien rozpościerał się widok na ogrodowy krajobraz cementowych donic i roślin posrebrzonych przez pierwsze przymrozki. W basenie nieczynnej fontanny zbierały się zeschnięte liście. Senhora Alvares zaczęła uważać Tima za człowieka od wszystkiego, spełniającego polecenia Craya (zamiast, powiedzmy, wielbiciela madame), i witała go z mieszaniną uniżoności i familiarności zarezerwowaną przez ostatnią służbę dla służących stojących wyżej w domowej hierarchii. Zważywszy na to, że dostawał teraz pieniądze z wytwórni, Tim uważał, iż w tym punkcie rzeczywiście jest człowiekiem Craya. Jednak przesiadywał w ich domu, ponieważ inne stojące przed nim zadania wydawały się mniej zachęcające - jak choćby przenoszenie książek i układanie ich na nowych półkach. Poza tym nadal czekali na wiadomość od złodzieja manuskryptów.

We wszystkich sprawach dotyczących Gabriela Tim, od chwili gdy przenieśli Delię do domu Crayów, pozostawał w stałym kontakcie z Ceesem w Amsterdamie. Wiedział, że interesuje się on sprawą Gabriela, choć Cees nie wspominał nic o tym, czy jego zdaniem wiąże się ona z kradzieżą Apokalipsy Driad. W pewnym momencie omawiali hipotezę, że Gabriel może mieć jakiś związek z manuskrytem, jednak Cees powiedział ostatnio, że ktoś skontaktował się telefonicznie z dwoma innymi potencjalnymi kupcami z listy, obiecując im, że dostarczy manuskrypt. Czy to był Gabriel, czy ktoś zupełnie inny? Pozostali kolekcjonerzy, podobnie jak Cray, zostali poinstruowani przez policję, żeby współpracowali ze złodziejem

i sygnalizowali swoją gotowość do zakupu ofiarowanego towaru, ale jak dotąd złodziej po raz drugi nie odezwał się do żadnego z nich.

Tim nie był jedyną osobą, która częściej pojawiała się teraz w domu Crayów. Tyle że on miał konkretny powód, zagadkę średniowiecznego rękopisu. Antoine de Persand zjawił się u nich dwukrotnie, akurat w czasie wizyt Tima, pod jakimś zupełnie błałym pozorem. Tim razem z Delią obserwowali z boku rozwój wypadków - piękna kobieta i przystojny mężczyzna, którzy nie mogą oderwać od siebie wzroku. Wydawało się wręcz niemożliwe, żeby i Cray nie dostrzegł niezwyklej aury otaczającej tamtych dwojga, którzy znaleźli się we władaniu jakiejś niewidzialnej mocy. Ale wyglądało na to, że nic nie zauważył.

Pewnego dnia, gdy Tim zaraz po przyjeździe wieszał swój płaszcz w garderobie znajdującej się obok pokoju śniadaniowego, usłyszał w holu głos Clary. W kuchni zastał Craya przy porannej lekturze i senhorę Alvares, która robiła kawę.

- Czy ma pan...? Właśnie zamierzaliśmy... - jąkała się Clara.

- Nie, dziękuję... *merci*, tak, *sil vous plait*. - Antoine de Persand wszedł kilka kroków do kuchni.

Jednak Clara, uznawszy najwyraźniej, że stosowniejsze będzie bardziej eleganckie otoczenie, zaprowadziła go do sąsiadującego z kuchnią pokoju śniadaniowego. Pozostali przez chwilę wahali się, ale senhora Alvares zanosła tam całą tacę filiżanek, więc Tim, Cray i Delia poszli za nią. Clara usadowiła się przy końcu stołu, niczym pani *chateau*, i pochyliła się nad filiżankami. Persand właśnie siadał tuż obok niej.

Spoglądając sponad filiżanek, zobaczyła wchodzącego Craya.

- Poznał pan już mojego męża - powiedziała do Persanda.

Persand wstał i uściśnął dłoń Craya, a następnie Tima i Delii.

- Jaki więc będzie następny krok powszechnie szanowanego mera? - spytał Cray.

Persand zawahał się.

- Pomyślałem, że powinienem przyjść i powiedzieć panu o tym. Czy jest pan pewien prawnego statusu swojej *surface*? Myślę, że mer zamierza podważyć status części pańskich gruntów, poza tym może się domagać prawa przejazdu.

Serge powiedział:

- Proszę usiąść, monsieur. Może pan to wyjaśnić?

Nastąpił rytuał napełniania filiżanek i podawania cukru pod pieczę Clary, która skryła się teraz za dziewczęcą nieśmiałością, wbijając wzrok w czajnik z kawą. Nie mogła zapomnieć o upokarzającej chwili, gdy wbrew swoim zasadom złożyła temu mężczyźnie propozycję - albowiem, bądźmy szczerzy, to była propozycja - i spotkała się z odmową. Nie sposób sobie wyobrazić, że coś takiego w ogóle mogłoby się zdarzyć w jej życiu. Hubris, nieposkromiona pycha. Ale nie przyszłoby jej także do głowy, że mogłaby znaleźć się w więzieniu. Serce jej biło, ręka - co było niedorzeczne - zadrżała, gdy spojrzała na monsieur de Persanda siedzącego przy jej stole.

- Zna pan prawo zwane *loi verdeille*? - mówił dalej Persand.

- Oczywiście. Skandaliczne faszystowskie przepisy...

Cray wyjaśnił Delii, że w myśl tego prawa właściciel majątku o powierzchni mniejszej niż dwadzieścia hektarów nie mógł zabronić myśliwym polowania na terenie swojej posiadłości. Cray nie mógł pojąć, jak wolne, demokratyczne społeczeństwo może godzić się na takie pogwałcenie praw dotyczących własności prywatnej. Kiedy poprzysiągł, że złoży w tej sprawie skargę do Europejskiego Trybunału w Strasburgu, powiedziano mu, że próbowali już tego inni, równie oburzeni właściciele, ale Trybunał nie wydał jeszcze orzeczenia, a do tego czasu we Francji zgodnie z prawem drobny posiadacz ziemski nie mógł zabronić myśliwym przebywania na swoim terenie, w przeciwieństwie do właścicieli wielkich posiadłości.

- Rzeczywiście - Delia przytaknęła z przekonaniem. - To zdumiewające.

- Jest jeszcze jedna sprawa - powiedział Persand sztywno. - Zdaniem mera niewykluczone, że dokładne zbadanie statusu prawnego niektórych dróg na obrzeżach pańskiego majątku może doprowadzić do dalszego zmniejszenia pańskiej *surface*. Prawdopodobnie doliczał pan do swojej powierzchni publiczne drogi dojazdowe. Briac szuka kolejnych sposobów, żeby panu dopiec.

Cray burknął:

- Czy moje psy niepokoiły pana?

- Widziałem je, monsieur. One także mnie widziały.

- Na terenie posiadłości biega swobodnie osiem psów, a ich opiekun dostał polecenie, żeby posyłał je w stronę wszelkich nieproszonych gości oraz ich psów. Co ciekawe, wygląda na to, że najwyraźniej potrafią dostrzegać różnicę między intruzami a gośćmi zaproszonymi do domu i przyjaciółmi, takimi jak pan. Może chodzi o to, że mile widziani goście przychodzą do domu jak należy, główną drogą. A może *maitre-chien* sam to jakoś rozpoznaje i daje im odpowiednie znaki.

- Ponadto mer może z tytułu swojej władzy przeznaczyć pewne fragmenty pańskiej *surface* pod publiczne drogi dojazdowe, co w efekcie jeszcze bardziej ograniczyłoby powierzchnię pańskiego majątku - dodał Persand.

Ta wiadomość zrobiła wrażenie na Crayu, który w końcu zorientował się, na czym polega plan mera. Spojrzał wściekle, jego oczy załśniły, a szczeka pociemniała, jak gdyby nagle zgęstniała mu broda.

- A więc o to im chodzi - powiedział.

Persand zwrócił się do Clary.

- A pani, madame? Jak pani zniosła straszliwą udrękę więzienia?

- Myślę, że każdy powinien czegoś takiego doświadczyć - odpada Clara, uśmiechając się radośnie, niemal jak Francuzka. - Człowiek dowiaduje się wiele na temat siebie samego, a poza tym mówi się i robi rzeczy, których byśmy się po sobie nie spodziewali. Rzeczy, których nigdy nie zrobilibyśmy ani nie powiedzielibyśmy w realnym świecie.

- Mogę to sobie wyobrazić. Przypuszczam, że wszyscy mamy sekretne wyobrażenia, których nie ośmielamy się zdradzać innym.

- Ale w więzieniu można sobie na to pozwolić - odpada Clara.

- Można myśleć o robieniu wszystkiego, co zakazane.

Przygotowania do wesela postępowaly gładko, ale kłopot z mieszkaniem raczej się nasilał.

- Proszę powiedzieć madame Flieu, żeby zabrała deski ze sobą - poradził trzeźwo agent nieruchomości Timowi i Anne-Sophie, gdy Tim zaczął uskarżać się na dodatkowe koszty.

Ale to nie było takie proste, oboje chcieli zachować półki. Problem polegał na tym, skąd wezmą dodatkowe pieniądze. Tim miał

pewną skromną sumę na swoim amerykańskim koncie, zadzwonił więc do matki, która miała upoważnienie i mogła je podjąć.

- Te półki są przymocowane na stałe! - uskarżał się Tim wszystkim bez wyjątku. - Sprzedający nie mogą zabrać rzeczy, które są zamontowane na stałe!

Ale najwyraźniej mogli, w każdym razie we Francji, i w ostatecznym rachunku okazywało się, że oboje z Anne-Sophie kupili tylko gołe ściany. Pozostawienie jakiegokolwiek ozdoby było kwestią dobrej woli sprzedającego, w ich wypadku madame Flieu. Tim nie potrafił opanować irytacji, jaka ogarniała go na myśl o tych półkach, widząc w nich kolejny przykład brukania ich przeszłego gniazdka przez obce siły, nad którymi nie mieli żadnej kontroli, jak gdyby jakieś ciężkie, paskudne ptaszyska wdarły się do ich gniazda i rozsiadły na delikatnych jajkach spodziewanych małżeńskich radości. Oboje z Anne-Sophie znajdowali wytchnienie w szczególnie namiętym i częstym kochaniu się, i właśnie wtedy Anne-Sophie pewnego razu powiedziała: „O Boże, ale jestem napalona”. To niefrancuskie wyrażenie, tak niepasujące do powściągliwej, londyńskiej angielszczyzny Anne-Sophie, wolnej od slangowych naleciałości, całkowicie zaskoczyło Tima, który odebrał je jako coś zabawnego, tak jak wtedy, kiedy powiedziała, żeby ją „pieprzył”.

Dopiero kilka dni później, gdy zajął do jej mieszkania w środgu dnia, natknął się na egzemplarz powieści *Sexus*. Anne-Sophie czytała Henry'ego Millera i to najwyraźniej stamtąd zaczerpnęła inspiracje dla swoich, raczej dość beznadziejnych, prób postugiwania się w łóżku pieprzną angielszczyzną. Tim znowu zaczął się zastanawiać, czy wszystko z nią jest w porządku; a może myślała, że z nim jest coś nie tak? Czy jego zainteresowanie Clarą ścigało ich teraz w sypialni? Nie sądził, żeby to była prawda, ale trudno rozmawiać o seksie, nie wprowadzając czegoś sterylne go i zniechęcającego do aktywności, która wydawała się spontaniczna i pełna radości. Tylko tego mu teraz brakowało - kolejnego źródła obaw.

Estelle ze swej strony chciała się koniecznie czegoś dowiedzieć na temat funduszu powierniczego Tima, z którego zamierzał pobrać pieniądze na półki. Słyszała o tym finansowym rozwiązaniu, którym amerykańscy milionerzy wspierali finansowo swoich ubogich synów albo córki na wydaniu.

ROZDZIAŁ 31

Clara i Delia

Clara początkowo darzyła Delię pewną sympatią, jednak teraz coraz częściej wydawała jej się irytująca. Tim przypuszczał, że być może denerwowała ją wyraźna fascynacja Craya tą dziewczyną - w kółko o czymś rozmawiali - a może po prostu sądziła, że sama zasługuje na więcej uwagi, skoro jej problemy były o wiele poważniejsze niż Delii. W końcu kłopoty dziewczyny polegały jedynie na przymusowym pobycie we Francji, w luksusowym *chateau*, i lekkim niepokoju o jej przyjaciela Gabriela, podczas gdy Clara musiała liczyć się z groźbą ponownego pobytu w więzieniu, a w każdym razie tak wynikało ze słów francuskiego sędziego.

Z początku Clara starała się traktować Delię z pewną wyrozumiałością w przekonaniu, że ludzie fizycznie upośledzeni często bywają sceptyczni i sardoniczni, przytłoczeni zapewne przez nieco obłudną cierpliwość otoczenia - skądinąd całkiem naturalną. Delia wydawała jej się jednak osobą zasadniczo miłą, choć może trochę nazbyt bierną i zamkniętą w sobie. Może czekała na operację, dzięki której jej życie zacznie się naprawdę? W dzieciństwie Clara biegała i skakała do woli i nie potrzebowała niczyjego współczucia, toteż nie zamierzała osądzać Delii.

Jednak z pewnym zdumieniem spostrzegła, że Delia miała zdumiewający talent do tego, by nic nie robić. Wszyscy to zauważyli. Potrafiła godzinami siedzieć w krześle bez ruchu. Zastanawiali się, czy to z powodu ciągłego bólu biodra nabrała takiego upodobania

do inercji. A jednak kiedy utykając, chodziła, na jej twarzy nie było widać oznak nieznośnej udręki. Nie podobała jej się francuska telewizja, nic nie czytała, czasami oglądała trochę CNN, ale zawsze w końcu prychała z rozdrażnienia i głośno wzdychała zawstydzona jako Amerykanka wyjątkowo niskim intelektualnym poziomem CNN.

- W Stanach CNN nie jest taka głupia jak tutaj - mawiała. - Zupełnie jakby sądzili, że jeśli nie jesteś w Ameryce, to musisz być idiotą.

Czasami pomagała w domu, odbierając telefony albo zanosząc filizanki do kuchni. Poza tym spędzała długie godziny na rozmowach z Crayem. Kto wie, co właściwie robili? Tim uznał, że po prostu rozmawiali, ale zdążył się już nie raz przekonać, że ludzie, o których nigdy nie pomyślałoby się, że mogą się pieprzyć, pieprzyli się bez opamiętania. Niemniej wątpił, żeby tak było w ich wypadku. Ospały, gruby Cray i drobniutka, młoda kobieta - niemal równie trudno było to sobie wyobrazić jak Craya razem z Clara.

Delia najwyraźniej uważała się za ofiarę, i to ofiarę, której cierpieniom nic nie mogło dorównać. Żywo i namiętnie rozprawiła o tym z krewnymi i przyjaciółmi w Stanach, o czym Tim i Cray miewali okazję się przekonać, ponieważ nie starała się mówić ciszej, kiedy ktoś był w pobliżu. Tim zauważył, że przestała płacić za swoje telefony kartą kredytową i zamiast starannie recytować przed każdą rozmową długi ciąg cyfr, wykręcała teraz po prostu potrzebny numer o dowolnej porze ze spokojem kogoś, kto ma do tego prawo. Może Serge ją do tego namówił. Kontaktowała się także z niezliczonymi osobami w Paryżu - ich numery telefonów dziesiątkami napływały od jej znajomych z Oregonu, z których każdy najwyraźniej miał jakiegoś amerykańskiego przyjaciela żyjącego w stolicy Francji. Dzięki temu los Delii stał się znany w gronie amerykańskiej społeczności i zaczęto nawet uważać go za równie ponury jak los Clary. Postać dziewczyny, która nie może dostać paszportu z powodu jakiegoś tajemniczego oporu francuskiej biurokracji, kojarzyła się ludziom z postacią Clary Holly, którą czekało więzienie za kradzież historycznej boazerii.

Pracownicy amerykańskiego konsulatu zapewнили Delię, że opóźnienia w wydaniu jej paszportu prawdopodobnie wynikają jedynie

z jakichś administracyjnych nieporozumień, polegających na tym, że francuska policja, zapomniawszy o niej, nie powiadomiła Amerykanów, że wycofuje prośbę o wstrzymanie wydania jej paszportu, względnie zapomniała zawiadomić francuskie władze imigracyjne, że Delia nie jest już jej do niczego potrzebna. W tej sytuacji francuskie władze emigracyjne nie wycofały swojej prośby wystosowanej do władz amerykańskich.

Tim przypuszczał jednak, że ktoś pragnie nadal zatrzymać Delię we Francji, przynajmniej do czasu, aż pojawi się jej przyjaciel Gabriel. Co też pewnego dnia się stało.

- Czy słyszałaś, że „Mademoiselle Decor” zamierza zrobić reportaż ze ślubu Tima Nolingera? Jego *fiancee* to Francuzka z towarzystwa, ale czy słyszałaś najświeższe nowiny na jego temat? Jesteś zaproszona? - Vivian Gibbs pytała Maydie Baliey po wspólnym spotkaniu paryskich klubów demokratów i republikanów z okazji Dnia Dziękczynienia, na którym postanowiono omówić także kwestię praw cudzoziemców mieszkających we Francji w kontekście kłopotów, jakie dotknęły Clarę Holly.

- Czy rozesłano już zaproszenia? - spytała Maydie ostrożnie.

- Uwielbiam francuskie śluby. Byłam na jednym, który trwał sześć dni...

- Obawiam się, że nie znam Tima aż tak dobrze - przyznała Maydie.

- Dlaczego Francuzi są tak zacofani w korzystaniu z internetu - westchnęła Delia, nie mogąc sobie poradzić z minitelem, tą prymitywną francuską wersją sieci.

- Cóż, mieli tak bardzo rozbudowany minitel, każdy we Francji był podłączony do sieci lokalnej, że po prostu nie zauważyli rozwoju internetu. Poza tym mają obsesję na temat wpływów kultury amerykańskiej, dlatego nieufnie podeszli do internetu.

- To dlaczego mają u siebie McDonalda? Czemu woleli McDonalda zamiast internetu?

- Nie sposób tego wyjaśnić - przyznał Cray.

Anne-Sophie zmęczona prozą Henry'ego Millera ostatecznie dała za wygraną. Szukała anatomicznych wyrażań angielskiego slangu, żeby rozbudować swój słownik erotyczny zgodnie z sugestią hrabiny Ribemont w *Wbrew fali*. Jak uszczęśliwić mężczyznę? To nie jest żaden sekret, wystarczy podniecający ton głosu i *vocabulaire dur, alors*. Sięgnij po słowa, które w swoich marzeniach zawsze pragnął od ciebie usłyszeć". Jednak okazało się, że wcale nie tak łatwo odkryć, jakie to słowa, i w końcu, wypróbowawszy jedno czy dwa wyrażenia Millera, musiała uznać, że nie zrobiła większego wrażenia na Timie. Właściwie doszła do wniosku, że angielskie słownictwo w tej materii pozostawia wiele do życzenia, także gdy chodzi o kobiecą anatomie, tak rozkosznie opisywaną we francuskim - *praline, petit pain, l'as de trefle, lucarne enchantee* - podczas gdy słowa używane w języku angielskim wydawały się dość niemiłe.

- Tak, widzę już wszystko bardzo dokładnie, mam wszystkie brakujące kawałki, jestem gotowy, możemy ruszać - oświadczył radośnie Cray w rozmowie telefonicznej z Wolym. - Możecie organizować u siebie drugi zespół do zdjęć z helikoptera. Zacząłem już pracować nad wstępnym scenariuszem.

ROZDZIAŁ 32

Cave canem

Gabriel pojawił się u Crayów nagle w dniu, w którym Anne-Sophie niespodziewanie została ranna. Tima i Anne-Sophie zaproszono do Etang-la-Reine na lunch z Crayami oraz Delią i gospodarze poprosili ich, żeby przywieźli ze sobą sławną matkę Anne-Sophie, Estelle, jako że Cray był ponoć wielbicielem jej powieści, a w każdym razie tak powiedział. Tim spodziewał się także, że Anne-Sophie i Delia łatwo znajdą wspólny język, skoro obie zajmują się handlem antykami, choć nigdy nie słyszał, żeby o tym ze sobą rozmawiały. Być może nie przyszło im do głowy, że mają podobne zainteresowania.

Anne-Sophie była podekscytowana - zachwycona - na myśl o lunchu u sławnych Crayów, mimo zachowania reżysera przy okazji ich pierwszego spotkania. Tim uważał, że Francuzi za bardzo fascynują się ludźmi kina. W oczach Francuzów Cray był wielkim *auteur*, postacią niemal legendarną. Anne-Sophie, która pod wieloma względami stanowiła uosobienie utartych francuskich przekonań, nigdy nie przestawała się zdumiewać, że Tim tak często widuje Craya w jego domu jako człowiek obdarzany przez niego zaufaniem. Z kolei na Crayach stosowne wrażenie robił fakt, że Anne-Sophie jest córką Estelle d'Argel.

Zaproszono ich na niedzielę, najbardziej pracowity dzień Anne-Sophie, zdołała jednak namówić monsieur Lavallo'a, żeby zajął się stoiskiem, i przyjechali do Crayów około pierwszej. Senhora Alvares, choć zwykle nie pracowała w niedzielę, tym razem także

była na miejscu, i gdy wchodzili ostrożnie po schodach, powitał ich rozchodzący się z kuchni zapach jedzenia; psów nie było widać w pobliżu. Estelle zachwycała się późnojesiennymi kwiatami i lesistym krajobrazem oraz zachęcającą wonią potraw.

Na spotkanie z Crayem Anne-Sophie przyszykowała się starannie, wyglądała jak z obrazka Watteau, zaróżowiona i uśmiechnięta, z dołeczkami w policzkach, jednak Cray był bardziej milczący niż zwykle i nie zwracał uwagi na piękne kobiety. Tim zastanawiał się, czy nie jest to charakterystyczna cecha wszystkich reżyserów, którzy stale znajdują się w ich towarzystwie. Niemniej był uprzejmy wobec Tima, a nawet ciepły i gościnnie wobec Estelle, którą formalnie tytułował „madame”, jak gdyby był Francuzem. - *"Asseyez-vous, je vous en prie, madame"* - i tak dalej.

Siedzieli na tarasie położonym przed kuchnią, w mglistych promieniach późnolistopadowego słońca, jak gdyby wszyscy kierowali się tym samym odruchem, by złapać jak najwięcej słonecznych promieni i zmagazynować je przed nadchodzącą zimą. Clara nie pokazała się od razu, a kiedy w końcu przyszła, była uprzejma, ale zdystansowana, zwłaszcza wobec Craya. Najwyraźniej nie doszła jeszcze do siebie po przejściach więziennych, czego należało się spodziewać, i zapewne była zirytowana, że musi gościć obcych ludzi na lunchu. Tak więc wszyscy siedzieli z początku dość sztywno.

- Ach, jesienna przyroda niknąca w oczach, taki dotkliwy komentarz na temat ludzkiego życia, po prostu sprawia, że ma się ochotę rzucić jej wyzwanie swoim libido - zaczęła Estelle, ale inni nie podchwycili tego wątku.

Tim dość niefortunnie zaczął opowiadać o zamieszaniu związanym z półkami na książki i z pewnym zdziwieniem zauważył, do jakiego stopnia złości się z powodu pięciu tysięcy dolarów i znienawidzonych poprzednich właścicieli mieszkania, ludzi o nazwisku Flieu.

- Sądząc po nazwisku, pochodzą z Prowansji - oświadczyła Estelle, jak gdyby to wyjaśniało wszystko. - Przypuszczalnie z Nicei.

Tim zauważył, że zarówno ona, jak inni Francuzi często mówili o „les Nicois”, a nawet „Francuzach”, jak gdyby mieli na myśli jakąś zupełnie inną zbiorowość. Kiedyś uważał to za oznakę alienacji,

potem zorientował się, że to raczej zręcznie odwrócony symbol społecznej solidarności (a także dosłowne tłumaczenie, ponieważ we francuskim trzeba użyć rodzajnika).

- Wiem, że to z powodu mojej nieznajomości zwyczajów związanych ze sprzedażą nieruchomości, ale sprawa nie staje się przez to łatwiejsza - wyjaśnił.

- Trzeba bardzo uważać, kiedy ma się do czynienia z Francuzami - powiedział Cray. - Znajdą każdą lukę, jeśli tylko takowa istnieje.

- Ale chodzi o zasadę - dodał Tim niezręcznie.

Estelle się roześmiała.

- Tak, Amerykanom zawsze chodzi o zasady - powiedziała. - To jest ich najbardziej nieznośna cecha.

- Gdybyś mógł się jeszcze wycofać, zrobiłbyś to? - spytała Clara lekko nieobecny tonem, jak gdyby myślała o czymś innym.

- Myślę, że tak. Wolałbym znaleźć inne mieszkanie i zacząć od zrobienia własnych półek. - Nagle uświadomił sobie, że to prawda, nienawidził ich mieszkania.

Anne-Sophie spojrzała na niego zdumiona.

- *Alors*, Tim - powiedziała - przecież to ty byłeś nim taki zachwycony! Nigdy nie chciałam mieszkać na pierwszym piętrze!

W przypływie niezwykłego jak na niego poczucia taktu, o ile nie był to po prostu przejaw braku świadomości potencjalnie niemiłego charakteru tej rozmowy, Cray nagle bardzo się ożywił. Od czasu do czasu miewał takie napady wesołości, jak gdyby zwykle żył na samotnej wyspie, i właśnie teraz ogarnął go taki nastrój. Lubił rozprawić o różnych rzeczach, o których większość ludzi przestaje mówić po skończeniu studiów - kwestiach moralnych, sensie życia, sztuce, psychologii. Gardził psychoanalizą, choć przyznawał, że wobec innych ludzi może być skuteczna.

- No więc dowiadujesz się, że nienawidziłeś swojego ojca albo że jesteś gejem - skądinąd dziwny przykład, pomyślał Tim - i co to ma za znaczenie? I tak możesz robić to, na co masz ochotę.

Tak, może.

Tim lubił jego zamiłowanie do snucia swobodnych rozważań o sztuce. Film jest sztuką obrazów. Słowa nie odgrywają w nim żad-

nej lub prawie żadnej roli; najważniejszym obrazem współczesnego świata jest obraz eksplozji, tak jak w czasach renesansu takim podstawowym obrazem był trójkąt (czemu, tego Tim nie mógł nigdy pojąć) albo garotta. Ponieważ świat powstał dzięki spójności materii, zniknie, gdy ten proces się odwróci. Tim spytał Craya, czy jego zdaniem czeka nas to w najbliższym czasie, w sensie apokaliptycznych przepowiedni, Apokalipsy świętego Jana? Reżyser nie umiał na to odpowiedzieć.

Kiedy Cray zaczął snuć swoje wywody o sztuce i apokalipsie, Clara przeprosiła gości i wyszła coś sprawdzić do kuchni. Anne-Sophie, nadal wzburzona słowami Tima o jego prawdziwych odczuciach w kwestii mieszkania, także wstała i poszła do położonego za domem ogrodu, w którym zasadzono warzywa, niewidoczne od strony frontowego wejścia. Wzięła ze sobą książkę.

Tego dnia czytała jakąś opowieść, która zaczynała się bardzo obiecująco, o biednej francuskiej dziewczynie, która tuż po wojnie głodowała, ale na szczęście spotkała jakiegoś Amerykanina, który zabrał ją na kolację do restauracji, w której znał wszystkich obecnych, i właśnie gdy bohaterka zastanawiała się, czy będzie musiała się przespać z nim albo z jednym z pozostałych gości, narracja nagle zmieniła kierunek, przekształcając się w opowieść o męskim bohaterze imieniem Jake, który w ogóle nie przypominał Tima, oraz o oślizgłej Angielce, lady Brett. Anne-Sophie straciła nieco zainteresowanie tymi postaciami, starając się nie myśleć o tym, co usłyszała od Tima. Na obwołucie tej głupiej książki napisano, że to obowiązkowa lektura na pierwszym roku dla wszystkich studentów w amerykańskich college'ach. Coś podobnego!

Wtedy usłyszeli jej krzyk.

Poderwali się od stołu i pobiegli za róg domu; Tim jako pierwszy. Anne-Sophie siedziała zaszokowana na żelaznym krześle ogrodowym, a jakiś człowiek schylał się nad jej krwawiącym ramieniem. Tim chwycił mocno nieznanomego i rzucił nim na żwirową alejkę, czym wprawił go w kompletne osłupienie. Ale gdy ujrzał jego zdumione spojrzenie osoby całkowicie niewinnej i usłyszał drugi okrzyk

Anne-Sophie, zrozumiał, że popełnił błąd. Anne-Sophie miała rozszarpaną rękę i krew wypływająca z rany nasączała jej białą bluzkę oraz džinsy w pulsującym rytmie zgodnym z biciem jej serca. Tim zawahał się, chętnie wziąłby ją na ręce, ale obawiał się, że mógłby przysporzyć jej bólu i jeszcze bardziej ją zdenerwować. Wszyscy zaczęli krzyczeć niemal jednocześnie, z przerażeniem wpatrując się w ranną, niepewni, czy i w jaki sposób zatamować krew.

- Co się stało?

- T i m !

- Została pogryziona, on ją ugryzł! - odezwał się nieznajomy, podnosząc się z ziemi. - Pies ją ugryzł!

- *Oh, mon Dieu* (Estelle).

Powoli zza rogu wytoczył się Cray razem z kuśtykającą u jego boku Delią. Anne-Sophie zaczęła łkać. Nieznajomy wyjął chusteczkę (dziwny szczegół!) i wręczył jej w charakterze bandażu.

- Gabriel! - krzyknęła Delia na widok mężczyzny, którego Tim przed chwilą odepchnął. Gabriel Biller wreszcie pojawił się we własnej osobie.

Tim zaklął. Na ramieniu Anne-Sophie widać było wyraźne, choć zapewne powierzchowne ślady zębów.

- Te pieprzone psy - złościł się bezradnie na Craya, nie mogąc odebrać wzroku od strużek krwi wsiąkającej w rękaw Anne-Sophie.

Jednak to nie był żaden z wynajętych rottweilerów, ale domowy pies Craya, żółty labrador, łagodny Freddy który niepewnie stał przy ogrodzeniu, szczerząc zęby.

- Freddy! Siad - krzyknął Cray, wpatrując się w rękę Anne-Sophie. Pozory panowania nad sytuacją, choć i tak już było za późno. - Jest szczepiony na wściekliznę.

Anne-Sophie łkała dalej, ale widać było, że bardziej pod wpływem szoku niż bólu. Czuła się nieszczęśliwa, że właśnie ją zaatakował pies, choć zawsze uważała, że ma doskonały kontakt ze zwierzętami.

- Przepraszam - odezwał się Tim do nieznajomego, który otrząpywał żwir z dłoni.

Delia radośnie uczepiła się ramienia przybysza.

- Szwy - oznajmił Tim, pomagając Anne-Sophie wstać.

Starła się przywołać na twarz niefrasobliwą pogodę ducha niczym dzielna amazonka, która właśnie spadła z konia. Posłała Gabrielowi uroczy odważny uśmiech.

- Monsieur z mojego strychu! - powiedziała. - My się znamy. Nie spodziewałam się, że spotkamy się ponownie w takich okolicznościach!

Zaprowadzili ją do domu. Cray po namyśle doszedł do wniosku, że to nie mógł być Freddy, po prostu nie mógłby zrobić czegoś takiego. Anne-Sophie zapewniła go, że jednak się nie myli, ale była gotowa wybaczyć zwierzęciu, które z podkulonym ogonem wlokło się za nimi i rozpaczliwie dopraszało się przebaczenia przez resztę popołudnia.

- Myślę, że próbował dowieść swojej męskości, czy swojej „psiości”, jest zazdrosny o te wszystkie zawodowe psy. - Anne-Sophie siliła się na radosny uśmiech.

Tim pomyślał z podziwem, że im gorsze rzeczy im, czyli Francuzom, się przytrafiają, tym bardziej zdecydowanie starają się uśmiechać.

Senhora Alvares przyniosła czysty ręcznik do owinięcia ramienia Anne-Sophie. Zdenerwowana Clara krążyła po domu, powtarzając raz po raz: „Nigdy niczego takiego nie zrobił!”. Człowiek o imieniu Gabriel razem z pozostałymi poszedł do kuchni, ale nieśmiało zatrzymał się w drzwiach. Anne-Sophie obdarzała go, podobnie jak innych, swoimi uśmiechami, pewna, że znają się z pchlego targu. Gabriel odwzajemnił uśmiech, myśląc o zdumiewających niespodziankach, jakie niesie życie.

- Ta sama mała suka, która mnie zakablowała! - powiedział do siebie, kręcąc głową z niedowierzaniem, gdy wszystkie niezwykle zbiegi okoliczności złożyły się w całość. Blondynka z papierosem, która przekazała go glińiarzom.

Wszedł do kuchni Crayów. Delia podniosła jego plecak (czy kryła się w nim Apokalipsa Driad?) i przycisnęła do piersi, jakby to był jej pierworodny, ani na moment nie przestając wpatrywać się w jego przystojną nieogoloną twarz o dość dzikim spojrzeniu. A więc w końcu wszyscy poznali Gabriela.

Ktoś zaproponował, żeby wezwać pogotowie, ale Cray postanowił, że osobiście zawiezie Anne-Sophie do szpitala. Najbliższy oddział doraźnej pomocy znajdował się w miejscowości Marne-Garches-la-Tour, piętnaście minut jazdy samochodem. Anne-Sophie, razem z Timem, posadzono na tylnym siedzeniu land-rovera Craya; Estelle jechała z przodu obok Serge'a, konspiracyjnie szczebiocząc do niego, jak gdyby oboje byli rodzicami rannej. W szpitalu oczyszczono i zabandażowano ranę, *medecin* przyjął na wiarę zapewnienia Craya, że Freddy był szczepiony przeciw wścieklicznie, po czym dla pewności zrobił Anne-Sophie zastrzyk przeciwko tężcowi i wypuścił ją do domu.

Anne-Sophie chciała koniecznie wrócić do Etang-la-Reine. Choć wśród gości i mieszkańców *chateau* przeważali Amerykanie, nie zrezygnowano z zaplanowanego lunchu, ponieważ rzecz działa się we Francji i wszyscy wiedzieli, że nie opuszcza się posiłków, nawet z powodu pogryzienia przez psa czy przybycia przestępcy ściganego przez policję. Jednak Anne-Sophie była wstrząśnięta i jadła niewiele. Od czasu do czasu w jej dużych niebieskich oczach pokazywały się łzy, jak sądzono z powodu bólu, jednak nikt nie ośmielał się jej dotknąć pocieszająco, z obawy, że ręka rozboli ją jeszcze bardziej.

Przy stole zrobiono miejsce dla Gabriela. Przystojny mężczyzna, koło trzydziestki, mówił z nieco wschodnioeuropejskim akcentem, ale tylko nieco, i z licznymi amerykańskimi manieryzmami w wymowie, tak że jeśli ktoś nie wiedział, że nie urodził się w USA, mógł nie zauważyć trochę twardszego „s” i niewyraźnego „th”.

Po dość ryzykownym *entree* z sardynek oraz włóknistych i bładych jesiennych pomidorów, co bez wątplenia stanowiło próbę odtworzenia przez senhorę Alvares jakiegoś iberyjskiego specjału, Gabriel opowiedział o swoich przygodach. Obawiał się, że zostanie aresztowany w ramach śledztwa z powodu morderstwa, a że musiał spotkać się ze swoimi klientami i miał różne rzeczy do zrobienia, nie mógł sobie pozwolić na aresztowanie. Właśnie dlatego wołał trzymać się z dala od hotelu.

- Początkowo byłem przerażony - powiedział. - Ktoś poderżnął facetowi gardło. Byłem bardziej wstrząśnięty niż Delia, ponieważ

ona nigdy czegoś takiego nie widziała w swoim Lake Oswego w Oregonie. Mogła mieć wrażenie, że to rodzaj obrazu w telewizorze. Ale ja wychowywałem się w Rangunie.

- Rangunie?

- To długa historia - powiedział, lecz poskapił słuchaczom dalszych szczegółów.

- To wcale nie było jak w telewizji, to było straszne - zaprotestowała Delia.

- Straszne - przytaknęła Anne-Sophie. - Prawie weszłam w jego krew.

Gabriel wydawał się zrelaksowany i mówił swobodnie, najwyraźniej postrzegając pozostałych jako pełnych zrozumienia rodaków, podobnie jak zbiegli niewolnicy, pewni współczucia słuchaczy, opowiadali o swoich przeżyciach w tajnych punktach przerzutowych na szlaku linii kolejowych.

Następnie opowiedział o dwóch tygodniach swojego życia na ulicy. Kiedy wyrzucono go ze strychu na pchlim targu, zaczął sypiać gdzie popadnie, zdając się na życzliwość nieznanym - sugerował jakieś seksualne przygody, ale nie wchodził w żadne szczegóły - albo w tanich hotelach ze względu na kurczące się zapasy franków. Spędził kilka godzin w policyjnym areszcie, kiedy Anne-Sophie zadenuncjowała go na targu. Chodziło o jego paszport, powiedział, ale wypuścili go na wolność, gdy przekonał ich, że paszport został w hotelu, że nigdzie nie ucieka i zgodnie z ich poleceniem pozostał na miejscu. Od policjantów dowiedział się, że jego przyjaciółka opuściła hotel Le Mistral, więc uznał, że Delia dostała paszport i wróciła do Oregonu.

- Jak mam odzyskać swoje rzeczy z hotelu, to zupełnie inna sprawa - stwierdził. - Myślę, że po prostu pójdę i je wezmę.

Tim powiedział mu, że zostały zamknięte za kontuarem i że czeka na niego wysoki rachunek. Przyszło mu do głowy, że Apokalipsa Driad może także znajdować się w hotelu Le Mistral, dokument wart pół miliona dolarów w niczym niezabezpieczonym schowku bagażowym!

Gabriel nie wyjaśnił, jak to się stało, że zadzwonił na prywatny numer Crayów i znalazł Delię. Podobnie jak nie wyjaśnił, skąd

w ogóle miał numer telefonu Crayów - może dostał go od Delii? Numer Clary Holly, kiedyś mieszkała w Lake Oswego, zadzwoń do niej, jeśli będziesz w Paryżu. Był ożywiony, przekonujący; Delia nie spuszczała go z oczu, podobnie zresztą, co zauważył Tim, Clara i Anne-Sophie. Bez wątpienia był postacią przykuwającą uwagę, ze swoimi głęboko osadzonymi cygańskimi oczami, długimi włosami i mroczną poetycką aurą.

Kiedy Delia opowiedziała Gabrielowi o swoich przygodach, nie pominęła wizyty FBI, dwóch mężczyzn o imieniu Frank, niczym para z komedii. Ta wiadomość najwyraźniej zrobiła wrażenie na Gabrielu. Na moment w jego oczach mignął cień obawy.

- Wiedziałem, że muszę trzymać się z daleka - powiedział.

- Ale dlaczego?

- Cholera, to właśnie FBI przez cały czas staram się unikać - oświadczył.

- Ale dlaczego? Musisz mieć jakiś powód.

Zawahał się.

- No dobrze, prawdopodobnie uważają mnie za kogoś, kim nie jestem. Nie chcę być w to zamieszany, cokolwiek im się wydaje. Wiedziałem, co stało się z facetem na targu staroci.

- Ale to zrobił monsieur Savard - wyjaśniła Anne-Sophie. - Siedzi w więzieniu i czeka na proces. Straszna sprawa. Nikt nie wie, dlaczego to zrobił.

- Tak, oczywiście - rzekł Gabriel posepnie.

Tim postanowił, że przy pierwszej nadarzającej się okazji omówi to wszystko z Ceeseem, żeby się dowiedzieć, co on o tym sądzi. Zaintrygował go zwłaszcza jeden szczegół.

- Dobrze, możemy cię tutaj przechować, dopóki to wszystko się nie wyjaśni - oświadczyła Clara. - Mamy mnóstwo miejsca.

- Delia zostaje tu jeszcze tydzień albo dwa, żeby mi pomóc w pracy nad scenariuszem - powiedział Cray, przyglądając się Gabrielowi uważnie.

- Delia? - zapytał Gabriel, jak gdyby zaskoczony, że dowiaduje się o jakichś nieoczekiwanych talentach literackich Delii. - Wspaniale.

- A potem, jakby po chwili namysłu, dodał: - Czy FBI wie, gdzie teraz znaleźć Dekę?

- Nie - odpada Clara - chyba że Tim powiedział o tym w hotelu.

- Nie podałem w hotelu twojego adresu - wyjaśnił Tim - ale zostawiłem im mój numer telefonu.

- Sukienka ma wąskie dopasowane rękawy, moja ręka *comme ça*, jakie to okropne - odezwała się nagle Anne-Sophie, wpatrzona w ogromny opatrunek na swojej szczupłej ręce, która wydawała się dwa razy grubsza w tym miejscu.

Gdy Anne-Sophie zaczęła mówić o czymś w związku ze ślubem, Tim w pierwszej chwili czuł się zazwyczaj kompletnie zdezorientowany, nie miał pojęcia, o czym ona mówi. Aha, chodzi o jej suknię ślubną.

Obawiając się, że Anne-Sophie może się przemęczyć, Tim uznał, iż powinni pojechać do domu zaraz po lunchu. Gabriel wspomniał coś o prysznicu, najwyraźniej poczuł się już u Crayów jak u siebie w domu. Tim przy pożegnaniu zobaczył w oczach Craya jakieś znaczące spojrzenie. Czy miało znaczyć: Zadzwoń do mnie? Pomówię z tobą później? W bladym słońcu jesiennego popołudnia trudno było dostrzec oczy reżysera zza grubych szkieł okularów. Wydawało się bardzo prawdopodobne, że Cray sam zadzwoni do Interpolu albo do FBI. Naturalnie Tim zatelefonuje do Ceesa.

Kiedy znaleźli się sami w samochodzie, Anne-Sophie spytała:

- Dlaczego w ogóle kupujemy to mieszkanie, jeśli tak bardzo go nienawidzisz? To będzie jakieś przekleństwo.

ROZDZIAŁ 33

Cień ołtarza

Serge i Clara już wcześniej sprzeniewierzyli się prawom obowiązującym we Francji, zarówno w kwestii polowań, jak i ochrony pomników narodowego dziedzictwa, a teraz ukrywali jeszcze amerykańskiego zbiega, a w każdym razie sami tak to rozumieli, choć nie było dla nich całkiem jasne, która właściwie agenda wymiaru sprawiedliwości poszukiwała Gabriela, i czy w ogóle ktoś i za co go ścigał. Policja francuska wypuściła go po krótkotrwałym areszcie, gdy został zatrzymany na pchlim targu, a ściśle biorąc, wypuściła go nawet dwukrotnie, ponieważ wcześniej nie aresztowała go także bezpośrednio po tajemniczej śmierci monsieur Boudherbe'a. Zdaniem Ceesa nie widać było także szczególnych powodów, by wyobrazić sobie, że Gabriel miał jakieś związki z manuskrypcją. Gabriel nie wydzielał już nieprzyjemnej woni ściganego zbiega, ale pachniał dobrą wodą kolońską, jak człowiek, który właśnie wziął prysznic i odczuwa bezbrzeżny wewnętrzny spokój. Najwyraźniej skorzystał z wody po goleniu Craya.

Nastąpił dziwny impas w rozwoju wydarzeń. Nadal nie sposób było się zorientować, czy Gabriel, który u nich zagościł, jest tym samym człowiekiem, który zadzwonił z propozycją sprzedaży rękopisu. Przypuszczalnie tak właśnie było, ponieważ skąd znałby zastrzeżony numer z *liste rouge*, zarejestrowany na nazwisko Clary, jeśli nie jako człowiek oferujący manuskrypt? Cray nie pokazał Gabrielowi swojej kolekcji starodruków, a Gabriel nie wspomniał

o tym, by miał jakiś rękopis do sprzedania. Trzymał się swojej wersji, że przyjechał obejrzeć zamówione książki u biednego nie-szczęśnika, który padł ofiarą morderstwa. Cray kilkakrotnie skłonił go do opowiedzenia swojej historii, ale za każdym razem brzmiała identycznie.

W tym czasie Tim na serio zajął się ustaleniem odpowiedzi na pytanie o los wiekowych boazerii i innych elementów wyposażenia *chateau*. Okazało się, że wystarczy w tym celu dokładnie zbadać rejestry dotyczące licytacji w domu aukcyjnym Drouot. Boazerię z salonu i jadalni sprzedano anonimowo, na krótko przed tym, jak Crayowie wprowadzili się do domu, toteż powinno być łatwo dowieść, że nie mieli nic wspólnego z tą sprzedażą. Należało jedynie pociągnąć odpowiednie sznurki, by dowiedzieć się, kim był anonimowy sprzedający ale Tim był pewien, że potrafi tego dokonać. Spędzał więc teraz większą część każdego dnia w Drouot albo nawiązując znajomości z handlarzami antyków i *commissaires-priseurs*, którzy mogli zapamiętać tę transakcję, i miał nadzieję, że znajdzie w ten sposób pośrednika, który wzięł boazerię w komis. Cray każdego dnia domagał się nowych wiadomości w tej sprawie.

Tim nie był pewny czy Anne-Sophie zaczęła ciążyć perspektywa małżeństwa, czy jedynie ślubu, dwu rzeczy tak od siebie różnych, jak dozgonna miłość do teatru i sceniczna trema. A może chodziło o obolałe ramię. Stawała się coraz drażliwsza. Irytowała się z byle powodu i wszczyniała kłótnie.

- Zupełnie nie interesujesz się ślubem, nawet nie kiwnąłeś palcem!

Albo:

- Oczywiście to ja muszę napisać wszystkie listy z podziękowaniami. Nie wiem, skąd wziął się ten zwyczaj, że zawsze kobieta ma to zrobić.

Tim zwykle protestował:

- Większość tych rzeczy jest dla ciebie, nakrycia stołowe i tak dalej...

- Czemu niby to ma być moja zastawa? *Merde*. Jak rozumiem, ty nie jadasz z talerza, tak? - I nieuchronnie dochodziła do kwestii jego

narodowości. - Żaden Amerykanin nie ośmiela się zdradzić najmniejszego zainteresowania dla naczyń stołowych, czy to nie smutne?

Drażnił się z nią wtedy, mówiąc:

- Zaczynasz się zachowywać jak feministka. - Słyszał, że z jakiegoś powodu to największa obraza dla Francuzki.

Anne-Sophie protestowała gwałtownie:

- Oczywiście, że nie jestem feministką! Chcesz powiedzieć, że nie jestem dobra w łóżku, tak? Chyba naprawdę nie chcesz się ożenić, zaczynasz wszystkiego żałować. Dobrze, może ja też zaczynam żałować! - Na dźwięk tych słów przesywał ją lekki lęk, po czym posyłała mu swój najbardziej zachwycający anielski uśmiech.

Jednak dzięki takim rozmowom od czasu do czasu miał okazję wejrzeć w bardziej skomplikowaną stronę jej natury, którą zawsze starała się ukrywać. Niewiele wiedział o amerykańskich kobietach, ale Anne-Sophie wydawała mu się całkowitym przeciwieństwem Amerykanek, które zawsze pragnęły powiedzieć całą prawdę o sobie, o swoich mrocznych obawach i złożonej przeszłości. Czy i w Anne-Sophie czai się pragnienie, aby rozmawiać o takich rzeczach? Czy i ona skrywa jakieś mroczne obawy i bolesne przeżycia?

Anne-Sophie czytywała „Mariee”, czasopismo dla kobiet mających stanąć na ślubnym kobiercu, które w oczach Tima, gdy pośpiesznie je kartkował, wydawało się pełne artykułów zaczynających się od słów: „To najpiękniejszy dzień w twoim życiu” albo: „Jeszcze raz pomarźmy o bajkowym dniu, którego nigdy nie zapomnimy”. Kiedy zobaczyła, że przegląda czasopismo, uśmiechnęła się, chyba nieco zakłopotana swoim entuzjazmem. Chłodny dystans Estelle tłumił w niej bowiem wszelką, nieskomplikowaną radość, jaką mogłaby odczuwać w związku ze ślubem, przypominając jej, że to wszystko może okazać się nieporozumieniem, dzień wesela minie, rachunki pozostaną, a za te pieniądze, jakie pochłonęła ślubna ceremonia i weselne przyjęcie, można by wykarmić wiele głodujących dzieci. Wesele to tylko przyjęcie, nic z niego nie wynika i nie oznacza wcale, że czeka ich szczęśliwa przyszłość - może tak się zdarzyć, ale nie musi. To jedynie ustępstwo na rzecz wymogów społeczności, że człowiek bierze ślub i na chwilę staje się bohaterem uroczystej

ceremonii, a potem zajmuje swoje miejsce wśród szarych, prostych wyrobników i zjadaczy chleba.

- Zastanawiałam się, czy powinniśmy mieć *garçons d'honneur*, małych paziów i dziewczynki sypiące kwiaty - powiedziała. - Ale chyba nie. Nie. Choć one są takie słodkie.

Wielu jej przyjaciół miało już cztero-, pięcioletnie dzieci.

- Małe dzieci są takie rozkoszne na ślubie, wcale nie jest za późno, żeby to zorganizować. - Tim starał się wykazać zainteresowanie.

- Pomyślę o tym. Spytam madame Aix. Ale przypuszczalnie jest już za późno. - Westchnęła.

Tim nie miał żadnych wątpliwości, że ślub stresował Anne-Sophie o wiele bardziej niż jego, ponieważ sam potrafił na wiele dni kompletnie o im zapomnieć. Przypuszczał, że byłoby jej znacznie łatwiej, gdyby Estelle okazała się bardziej pomocna. Wiele z narastających trosk Anne-Sophie miało związek z jej matką. Tim nie miał wątpliwości, że to z powodu popularności Estelle jako pisarki magazyn „Mademoiselle Decor” zwrócił się do niej z propozycją, że sfotografuje kwiaty i dekorację stołu oraz uroczą młodą parę wychodzącą z kościoła i ludzi raczących się szampanem podczas przyjęcia weselnego itd. („*Une bouteille de champagne pour deux personnes - c'est pas possible!*” - zaprotestowała Anne-Sophie, czytając o zalecanych ilościach). Domyślał się, że Anne-Sophie i Estelle były zadowolone z tego, że znajdują się w czasopiśmie o krajowym zasięgu, niezależnie od tego, czy działo się to z powodu sławy Estelle, czy ich pozycji społecznej, choć obie temu zaprzeczały. Obie uważały, że to będzie dobre dla ich kariery. Doradczyni w sprawach małżeńskich, madame Aix, była zachwycona. Poufne informacje, jakie otrzymała od pewnej amerykańskiej przyjaciółki, że Tim Nolinger jest przypuszczalnie dziedzicem fortuny amerykańskich hotelarzy, oznaczały, że ten ślub wzbudzi zainteresowanie szerokiego kręgu czytelników.

ROZDZIAŁ 34

Świat łowów

Tim rozumiał postawę Clary Holly wobec polowań. To była typowa postawa amerykańskiej kobiety - ekologiczna, pełna współczucia, wielkowiejska. Ale choć sam nie polował, w przeszłości nie miał nic przeciwko myśliwym. Po prostu nie interesował się tym zagadnieniem. Jednak gdy zaczął się teraz nad tym zastanawiać, skłaniał się ku stanowisku Crayów sprzeciwiających się polowaniom, zwłaszcza odkąd mer pozwalał sobie grać jeszcze ostrzej, wszczynając prawne prześladowania i zarządzając pomiary gruntów. Poza tym zdecydowanie zgadzał się z Crayem w kwestii znaczenia własności prywatnej. Oburzało go, że przyjemności myśliwych mogą być ważniejsze od czegoś tak podstawowego jak przysługujące człowiekowi prawo do zabrania obcym wstępu na jego ziemię, jeśli nie ma na to ochoty, nawet jeśli dotyczyłoby to również dróg dojazdowych, publicznych ścieżek spacerowych i plaż. Zaczął pisać na ten temat artykuł do „Reliance”, starannie unikając jednak komentarzy związanych z prawem do posiadania broni, ponieważ, jak przypuszczał, w przekonaniu „Reliance” Francuzi niemal tak samo jak Amerykanie cieszyli się prawem do posiadania broni, nawet jeśli ich konstytucja o tym nie wspomina. Redaktorzy i czytelnicy „Reliance” wierzyli, że w sprawie broni palnej Bóg osobiście opowiedział się po jednej stronie sporu.

- Jak możesz pisać do czegoś takiego jak „Reliance”, to pismo dla idiotów - powiedziała Delia. - A potem jednocześnie do „Concern”.

- To nie twoje zmartwienie, cha, cha - odparł Tim. - Mogę pisać dla obu, ponieważ potrafię dostrzec argumenty obu stron.

- Obu stron w sprawie dostępu do broni palnej? Aborcji?

- Oczywiście.

- To niesmaczne - orzekła Delia.

W sprawie polowań Anne-Sophie skłaniała się raczej w stronę „Reliance”. Choć nie nosiła już bransoletek z kości słoniowej, nadal nie widziała niczego złego w odwiecznym zwyczaju strzelania do bażantów, które z pewnością nie były zagrożonym gatunkiem. Nie miała nic przeciwko jeleniom czy królikom, jednak polowanie kojarzyło jej się przede wszystkim z koźmi i strzelbami, z przebywaniem na świeżym powietrzu, w lasach, z poczuciem braterstwa i wspólnymi śniadaniem myśliwych. To była kwestia kontaktów towarzyskich, a nawet interesów. Na szczęście dla jej interesów każdy myśliwy musiał mieć gdzieś w domu zbiór rycin na tematy łowieckie oraz ozdobny stojak na strzelby. Anne-Sophie i Tim nie rozmawiali o różnicy swoich poglądów w tej materii, ale niewątpliwie istniała. Tim miał nadzieję, że nie należy do mężczyzn, którzy są przekonani, iż żona musi koniecznie podzielać ich poglądy pod każdym względem.

Oboje byli nieco podminowani przez napięcia związane z *travaux*, jakie prowadzono w ich nowym mieszkaniu. Oboje, choć każde z innych powodów, pragnęli jak najszybciej pozbyć się wszelkich śladów po poprzednich właścicielach, państwu Flieu - Tim z powodu półtek na książki, Anne-Sophie z chęci zatarcia przeszłości, stanowiącej najwyraźniej naturalny odruch Francuzów. Kazali więc na nowo pomalować wszystkie pokoje i przerobić łazienkę. Anne-Sophie poświęcała remontowi swój czas w środku tygodnia i zaniedbywała nieco straganik na pchlim targu.

Clara zdawała sobie sprawę z tego, że psychicznie coraz bardziej oddala się od pozostałych domowników, których liczba wzrosła teraz do trojga: Serge'a, Delii i Gabriela, oczywiście nie licząc senhory Alvares czy *maitre-chien* o imieniu Patrick, asystentów Serge'a, Freda Connolly'ego i Marca Duvalla, którzy to pojawiali się, to znikali, i kilku nowych osób zaangażowanych do prac nad filmem, które

także pojawiały się i znikwały pod kierunkiem Serge'a, nieoczekiwanie emanującego niespożytą energią. Ci wszyscy ludzie wydawali jej się zupełnie obcy nawet jej mąż, a w dodatku byli całkowicie niewrażliwi na jej kłopoty do tego stopnia zaabsorbowani swoimi sprawami, że nie potrafili dostrzec miotających nią gwałtownych przeżyć. Część jej złości na Serge'a brała się właśnie stąd, że najwyraźniej zapomniał o grożących jej nieszczęściach. Przecież cały czas gromadzono dossier w sprawie przedmiotów, które zginęły z ich domu, oraz w sprawie aukcji w Drouot, wytropionej przez Tima, podczas której sprzedano boazerię kilka miesięcy wcześniej, przed ich wprowadzeniem się do *chateau*. Sędziowie próbowali ustalić, gdzie znajdowała się Clara w tym momencie.

Niestety nikt nie wiedział, kim był człowiek, który sprzedał boazerię. Tim w swoich poszukiwaniach natknął się na kilka tropów, które prowadziły donikąd. Sprzedający zrobił to anonimowo za pośrednictwem pośrednika, który nie znał albo udawał, że nie zna tożsamości zleceniodawcy. Trop urywał się w archiwach domu aukcyjnego Drouot. Przyszłość miała pokazać, czy francuski wymiar sprawiedliwości potrafi zdobyć na ten temat więcej informacji, ale Tim zrobił już w tej sprawie wszystko, co było w jego mocy. Przymuszczalnie okaże się, że Crayowie nie mogli mieć nic wspólnego z tą sprzedażą, jednak należało liczyć się z ewentualnością, że na mocy jakiegoś tajemniczego zapisu we francuskim prawie okaże się, że kupując zniszczony pomnik dziedzictwa narodowego, stali się prawnie odpowiedzialni za brak kominków i ogołoczone ściany. Prawnicy Craya starali się zgłębić to subtelne zagadnienie.

Groźba, że Clara znajdzie się w więzieniu, znikłaby, gdyby pozwolili myśliwym polować na swoich terenach. Oboje nie mieli złudzeń co do proponowanego *quid pro quo*. Jednak Clara stała się w tej kwestii jeszcze bardziej nieprzejednana. Widziała w miasteczku straszne rzeczy - okaleczone tułowia jeleni i dzików wiszące w witrynie sklepu rzeźniczego, pyski, na których wciąż malowały się lęk i udręka, w jakiej zwierzęta zakończyły życie, osaczone przez psy albo zastrzelone - nie umiała powiedzieć, czy zostały zastrzelone, czy zaszczute na śmierć. Wydawało jej się wyjątkowo odrażające, że

myśliwi sprzedawali swoje łupy rzeźnikowi, jawnie zaprzeczając własnym kłamliwym twierdzeniom, jakoby zabijali zwierzęta z szacunku dla tradycji lub żeby wykarmić swoje rodziny. Nie, chodziło jedynie o zysk i krwiożercze instynkty.

Antoine de Persand zjawił się ponownie, tym razem by zaprosić Crayów do swojego domu na lunch w najbliższą niedzielę. Zamierzał złożyć im pewną propozycję, a jednocześnie uczynić gest sąsiedzkiego wsparcia, zważywszy na ich rosnącą izolację w powodzi wrogich artykułów prasowych i szykan prawnych.

Bezczynność Delii nadal irytowała Clarę, podobnie zresztą jak ilość czasu, jaką dziewczyna spędzała w towarzystwie Serge'a albo na niekończących się rozmowach telefonicznych z handlarzami antyków ze Sweet Home w stanie Oregon. Gabriel wydawał jej się uroczy. Równie namiętnie mówił o zarówno książkach, jak i polityce - choć rozmawiał także o tym, jak zorganizować swój wyjazd z Francji. Serge doradzał mu, żeby dla bezpieczeństwa pojechał pociągiem do jakiegoś innego miasta, na przykład Brukseli albo Amsterdamu, i dopiero stamtąd odleciał samolotem do domu, na wypadek gdyby jego nazwisko znajdowało się na jakiejś francuskiej liście osób, które trzeba zatrzymać na lotnisku.

Na razie jednak Gabriel musiał zająć się kwestią odzyskania swoich rzeczy, w tym paszportu, z hotelu Le Mistral. Zamierzał to zrobić właśnie tego dnia. Serge dał mu trochę pieniędzy, a Clara zaproponowała, że zawiezie go do Paryża, kiedy będzie jechała z Deką do Luwru. Delia bowiem każdego dnia pragnęła teraz odwiedzać Luwr. Kilka dni wcześniej, gdy postanowiła wybrać się tam na własną rękę, autobusem i pociągiem, wróciła tak zmęczona, że Clara zaproponowała, że sama zawiezie ją nazajutrz, a potem także każdego dnia do końca tygodnia. W ten sposób wszyscy mieli pojechać do Paryża - Gabriel, żeby zapłacić rachunek w hotelu, Delia, żeby zobaczyć Luwr, Clara, żeby zajrzeć do biednej Anne-Sophie, która z powodu pogryzionego ramienia została w domu, choć normalnie w poniedziałek pracowałaby na pchlim targu.

To miała być czwarta albo piąta wizyta Delii w Luwrze, jednak za każdym razem zatrzymywała się w muzeum jedynie godzinę, co Clara uważała za inteligentny i dość zdyscyplinowany sposób przyswajania sobie jego ogromnych zasobów. Niemniej była nieco zaskoczona, że Delia znajduje w nim tak wiele rzeczy, które ją interesowały. Nie sprawiała wrażenia kogoś, kto jakoś szczególnie interesowałby się sztuką, jeśli nie liczyć obowiązkowych wizyt u Wenus z Milo, Nike z Samotraki, Mony Lizy oraz dziwnego obrazu przedstawiającego dwie francuskie księżniczki, czy też kimkolwiek tam były, z których jedna szczypie sutek drugiej, zawsze obleganego przez turystów, o którym Delia wypowiedziała się z niechęcią.

Zanim pojawił się u nich Gabriel, Clara przelotnie zastanawiała się, czy przypadkiem nie spotykali się w Luwrze potajemnie z Delią, tak często wspominała o tym, że pragnie tam pojechać. Muzeum byłoby idealnym miejscem do sekretnych spotkań - takie rzeczy chodziły jej teraz po głowie. Wyobrażała sobie, jak sama przechadza się z Antoine'em de Persandem po galerii malarstwa flamandzkiego, wysłuchując jego opinii o van Eycku. Lunch w Grand Vefour, a potem następowałyby długie popołudnia seksu w hotelu du Louvre, a może w Opera Concorde albo w jakimś mieszkaniu, które by wynajął, słyszało się, że Francuzi miewają *garconnieres* nigdy nieodwiedzane przez ich żony. Przy takich wyobrażeniach jej bielizna robiła się wilgotna. Antoine de Persand zaprzętał jej myśli niemal równie często jak grożące jej więzienie.

Tego dnia wysadziła Delię na rue de Rivoli, niedaleko wejścia do Luwru - „spotkamy się dokładnie tutaj” - i pojechała na spotkanie z Anne-Sophie, cudem znajdując miejsce do parkowania tuż przed wejściem do jej kamienicy. Zastała Anne-Sophie w trakcie pisania listów z podziękowaniami albo zaproszeń na ślub. Na stoliku do kawy zobaczyła plik kopert i małych kart różnej wielkości. Anne-Sophie przyniosła jej filiżankę.

- Czy myślisz, że to wygląda właściwie? Madame Aix uważa, że tak, ale ona patrzy na to z francuskiego punktu widzenia. Rodzice Tima są rozwiedzeni, dlatego monsieur Gerald Nolinger i madame Barzun

Nolinger nie zostali wymienieni w tym samym wierszu. Widzisz? Stronę przeznaczoną dla nich napisaliśmy po angielsku. Mam przyjaciółkę, która wychodzi za faceta z Louvain, strona zaproszenia przeznaczona dla jego rodziny została sformułowana po flamandzku.

- Oczekujesz wielu gości z Ameryki?

- Znacznie więcej, niż się spodziewałam - przyznała Anne-Sophie.

- Przypuszczam, że wielu jego krewnych postanowiło, że zrobią sobie przy tej okazji miłe wakacje we Francji. Zamówiliśmy już miejsca w hotelach. Tim ma *belle poignee* rozmaitych krewnych. A do tego będzie trochę jego przyjaciół z college'u.

- Nie możemy się już doczekać naszego udziału, wiesz, kolacji w przeddzień wesela. Serge bardzo się w to zaangażował. Porobił już różne plany.

- Och, bardzo się cieszymy. To jest *si gentil*. A jeśli chodzi o przyjęcie po ślubie, co myślisz o torcie? Madame Aix mówi, że tort weselny z kilku warstw byłby bardziej szykowny niż z kruchego ciasta, zwłaszcza kiedy się wychodzi za Amerykanina. Biała polewa z zabawnymi małymi figurkami na szczycie, ozdobiony kwiatami i dzwonami z cukru. W kilku cukierniach w Paryżu wiedziano by, jak zbudować taki tort.

- Powinniście mieć jedno i drugie - uznała Clara. - Tort na kruchym cieście dla Amerykanów, nigdy czegoś takiego nie widzieli.

O piątej pojechała odebrać Delię w umówionym miejscu na rue de Rivoli. Obok niej stał Gabriel, bez bagażu.

- Obserwują hotel - powiedziała. - Jakiś facet w kawiarni po drugiej stronie ulicy, to było zupełnie jasne. Nawet nie wchodziłem.

- Ale już raz cię zatrzymali i wypuścili. Czemu mieliby obserwować hotel?

- Nie Francuzi, to FBI - odparł.

- Och, na pewno to nie może być takie skomplikowane! - zawołała Clara nagle zirytowana tą całą atmosferą tajemniczości, czując nie po raz pierwszy, że Delia i Gabriel prowadzą jakąś swoją dziwną grę i że doprawdy posuwają się za daleko.

- Po prostu napisz mi *attestation*, sama odbiorę twoją walizkę.

ROZDZIAŁ 35

Zdejmij to

Pojawienie się rottweilerów na terenie posiadłości Crayów oznaczało, że miejscowy listonosz, który i tak sympatyzowałby z merem, odmówił dostarczania poczty do domu i po prostu zostawiał ją w dużej skrzynce przy frontowej bramie. Listy polecone trzeba było odbierać osobiście w miasteczku i gdy w czwartek pojawiło się zawiadomienie o kolejnej przesyłce, Cray zaproponował, żeby Tim pojechał razem z Clarą ją odebrać. Tim wiedział, że zaczyna się staczać do roli chłopca na posyłki, ale zbyt nie tym nie przejmował. Był ciekawy dalszego biegu wydarzeń, wiedział, że ostatecznie będzie miał o czym pisać, i coraz śmieiej ulegał fascynacji Clarą.

Niemniej powoli zaczął odczuwać bolesne sprzeczności w swoim życiu, albowiem choć niewzruszenie maszerował w stronę ołtarza, by poślubić Anne-Sophie, jednocześnie żywił w głębi duszy nadzieję, że uda mu się uwieść Clarę Holly, choć czuł, że nie ma na to najmniejszych szans. Zdawał sobie sprawę z tego, że jest dla niej jedynie rówieśnikiem, energicznym mężczyzną, który na każde skinienie spełniał prośby jej męża. Poza tym nie należało zapominać o jej osobliwym (dla niego) przywiązaniu do idei wierności małżeńskiej. Ponieważ nie zamierzał być niewiernym mężem, skoro już się ożeni - wszystkie obrazy namiętnego seksu z piękną Clarą traktował jako wspomnienie jakiejś niedawnej przeszłości, poprzedzającej czekający go stan życia małżeńskiego - czuł się coraz bardziej nieswojo, gdy raz po raz nieproszone zjawiały się w jego marzeniach.

Kiedy nadeszło pięć tysięcy dolarów z jego amerykańskiego konta nadesłane przez matkę, coś w nim się zbuntowało - miałyby zmarnować tę okazałą sumę na jakieś francuskie półki na książki? Zresztą i tak wziął już na nie kredyt hipoteczny, a poza tym moralnie mu się należały, razem z całym mieszkaniem. Pomyślał, że chyba robi się małostkowy, a do tego zachowuje się nierozsądnie, skoro wiedział, że takie właśnie zwyczaje panują we Francji, ale i tak czuł się rozżalony. Można przecież było przeznaczyć te pieniądze na milion innych, ciekawszych rzeczy. Na przykład wielki diament dla Anne-Sophie albo jakąś szaloną zagraniczną wycieczkę dla nich dwojga.

- Cha, cha, wyglądasz jak facet, który wkrótce się żeni - powiedział Cray któregoś dnia. - Kto to powiedział, że wraz z małżeństwem kobiety zmieniają nazwisko, a mężczyźni naturę? Wyluzuj się. Małżeństwo to doskonałe rozwiązanie. W każdym razie dla takich pantoflarzy jak ja. Ciekawe, czy to właśnie miał na myśli Poe, pisząc *Zagładę domu Usherów*. Muszę sprawdzić etymologię...*

Czy to prawda, że mężczyźni zmieniają swoją naturę? Najwyraźniej w wypadku Tima ta zasada nie obowiązywała, wiedział, że nadal będzie tym samym człowiekiem, co przed ślubem, niezależnie od tego, jak bardzo pragnął poczuć przypływ świeżych sił i zapału, jaki ogarnia nowożeńców.

W samochodzie, którym jechali na pocztę, Clara miała ten sam enigmatyczny, marzycielsko skupiony wyraz twarzy, jaki nie opuszczał jej, odkąd wyszła z aresztu.

- Co sądzisz o planach Serge'a? Myślisz, że film się uda? Coś ci opowiadał na jego temat?

- Trudno powiedzieć. Należałoby raczej spytać Delii. Mam wrażenie, że rozmawiają w kółko o końcu świata i czarnych helikopterach.

- Za rzadko jeżdżę do Ameryki. Powinnaś wiedzieć więcej o tym wszystkim.

- Czytałaś wycinki z jego pudełka?

W oryginale gra słów: „uxorious type” - pantoflarz, i „House of Uxor” - przekreślony tytuł utworu Poego *House of Usher* (przyp. tłum.).

- Jeśli wierzyć temu, co tam napisano, w przyszłym roku czeka nas koniec świata. Serge uważa, że w Ameryce są miliony uzbrojonych paranoików, ogromne arsenały znalazły się w rękach ludzi przekonanych o wyższości białej rasy, samotnych mścicieli i opanowanych obsesją zemsty osobników robiących bomby domowej roboty.

- Nie chodzi o to, jak jest w rzeczywistości. Ale trochę się martwię o to, co on zamierza z tym zrobić. Nie jestem pewny, czy rozumiem jego poglądy polityczne.

Clara westchnęła

- Tak samo jak ja.

Zaparkowała na drugiego przed budynkiem poczty i weszła do środka. Tim wysiadł z samochodu, żeby rozejrzeć się wokół, dzięki czemu zauważył trzech albo czterech mężczyzn w strojach myśliwskich, którzy wysiadając z vana przed piekarnią, dostrzegli Clarę i teraz pospiesznie zmierzali w stronę poczty wykrzykując „*C'est elle*” i „*Voila la dame*”. Kobieta, która ukradła boazerię z *chateau* i staje na drodze ich polowań.

W ciągu kilku minut, jakie upłynęły, nim Clara zdążyła odebrać listy, przed pocztą zgromadziła się grupa około dwudziestu osób. Zaniepokojony Tim chciał podejść bliżej wejścia do budynku, żeby na nią zaczekać. Kiedy zobaczyła dum, zatrzymała się w drzwiach, zastanawiając się, co się dzieje. Tim ruszył w jej stronę, ale w tej samej chwili rozległy się gniewne głosy mężczyzn wykrzykujących chaotyczne oskarżenia i rozmaite wariacje na temat hasła „jankesi do domu”. Zebrani nie sprawiali wrażenia nieokrzesanych farmerów, ale raczej mieszkańców miasta przebranych w weekendowe stroje, mimo to ich pomruki brzmiały prostacko i brutalnie. „To ona”. Tak. „O, więc to ta”.

Wtedy jeden z nich krzyknął:

- *On voudrait te voir deplumee. A poil!* Rozbieraj się tak, jak nas ogołociłaś.

Ktoś inny dodał:

- *Oui, a poil*, zobaczymy, jak wygląda nago.

Rozległy się śmiechy i kolejne okrzyki. Tim przypomniał sobie, że pewna minister francuskiego rządu została niedawno upokorzona w podobny sposób. Skojarzenia z oskubaniem wkrótce nabrały dość

wulgarnego charakteru, ponieważ grupa zgromadzonych Francuzów doskonale zdawała sobie sprawę z urody Clary Rozbieraj się, krzyzczeni. Podeszli bliżej. Teraz Tim zaniepokoił się na serio i zaczął się przepychać przez tłum, żeby ją osłonić.

- *A poil*, zobaczmy, jak wygląda goła.

Wydawało się, że mają ochotę zedrzeć z niej ubranie. Ktoś krzyknął, że rozwiązanie a la lady Godiva będzie najlepszą odpowiedzią na zakaz polowań na ich terenie.

Clara dostrzegła Tima i wyciągnęła do niego rękę z miejsca, w którym stała, na stopniach budynku poczty, otoczona coraz ściślej kręgiem mężczyzn. Tim wbił się ramieniem w tłum, popychając jakiegoś mężczyznę, który zrewanżował się tym samym. Tim miał ochotę go uderzyć, czuł, że mógłby wdać się w bójkę. Jednak się powstrzymał. To nie pomogłoby Clarze. Jeszcze raz wbił się ramieniem w grupę mężczyzn, odpychając kilku z nich; patrzyli na niego, jak gdyby posuwał się do nadmiernej przemocy. Osłonił Clary ramionami, a tłum rozstał się i pospiesznie ruszyli w stronę jej samochodu.

Clara drżała i była lekko spocona ze strachu. Niezgrabnie objął ją i delikatnie pocałował w miejscu, w którym jej czoło było najbardziej wilgotne, u nasady włosów, po czym pomógł jej wsiąść do samochodu. Jakże często wyobrażał sobie ten uścisk z dalszymi szczegółami... Usadowił się na miejscu obok kierowcy. W chwili gdy trzymał Clary w ramionach, czuł, jak jej serce mocno bije. Przypomniało mu się wyrażenie z kolorowego pisma czytanego przez Anne-Sophie - *coeur en chamade*. Jeśli zdołał w tym momencie poczuć jej wewnętrzne wzburzenie, to znaczyło, że jest kobietą obdarzoną niemal nadprzyrodzoną umiejętnością panowania nad sobą, chroniącą samą siebie przed jakimś szalejącym w niej gniewem albo namiętnością, które pewnego dnia mogą wybuchnąć. W tym momencie zrozumiał, że jest zgubiony. Wbrew swojej woli kochał ją beznadziejnie.

Myśliwi, na poły wściekli, na poły rozbawieni, otoczyli jej samochód, ale nie próbowali im przeszkodzić, kiedy Clara włączyła silnik. Jednak w tym momencie popełniła błąd i wrzuciła niewłaściwy bieg, jedynkę zamiast wstecznego. Gdy samochód nagle skoczył do przodu, zahamowała tak gwałtownie, że silnik zgasł. Na widok tego popisu niekompetencji mężczyźni odsunęli się od samochodu. Poza jednym, który krzyczał:

- *Mon pied, mon pied! Madame!*

Zatrzymała się bowiem na jego stopie.

- O nie, cholera, nie! - zawołała. - Jak mogłam coś takiego zrobić?

Tim wyskoczył z wozu i zobaczył stopę mężczyzny uwięzioną pod przednim kołem. Nieszczęśnik stał jak wryty w obawie, że każdy ruch przysporzy mu więcej cierpienia albo po prostu dlatego, że nie mógł się poruszyć. Tim warknął do niego, żeby się stąd zabierał.

Ale oczywiście tamten nie mógł, Clara musiałaby najpierw zjechać z jego stopy. Wbijając wzrok w dźwignię zmiany biegów, jakby obawiała się, że popełni kolejny błąd i przejedzie go do końca, ostrożnie zapaliła silnik, wrzuciła wsteczny i uwolniła stopę Francuza. Odjechała kilka kroków; zamierzała wysiąść i zobaczyć, co się stało. Ale mężczyzna, lekko kulejąc, odszedł w przeciwną stronę; gniewny wyraz jego twarzy zapowiadał rychły pozew sądowy. Tim odprowadził go wzrokiem, wszedł do środka i Clara wyjechała wreszcie na drogę.

- Nie mam pojęcia, czy może mieć złamane kości... - powiedziała.

- Chyba nie, te małe kości w stopie są elastyczne. Szedł zupełnie normalnie.

- Niczego nie czułam - powtarzała raz po raz. - Tim, jesteś pewny, że normalnie szedł? - Przynajmniej mogła zapomnieć o nieprzyjemnej scenie, jaką rozegrała się na schodach urzędu pocztowego.

Jednak od tej pory nie chciała nigdzie jeździć sama.

List polecony, jak należało się spodziewać, przyszedł z *mairie*; merostwo informowało w nim, że pomiary geodezyjne lokalnych dróg i terenów do nich przylegających będą wymagały obecności mierniczych na terenie posiadłości państwa Crayów.

Zdarzenie na poczcie głęboko wstrząsnęło Clarą w sposób, jakiego się początkowo nie spodziewała. Na moment emocje wyrwały się spod kontroli, jednak głębsze znaczenie tego zdarzenia było takie, że ona i Serge, choć ludzie kłaniali im się w sklepach albo podczas niewielkich koncertów, jakie czasami organizowano w *Bibliothèque Municipale*, byk ludźmi znienawidzonymi i zostali znieważeni. Obrażliwe, wulgarnie okrzyki i szarpnięcia za rękaw były równie upokarzające jak pobyt w areszcie i nawet może bardziej przerażające. Gra, jaką prowadzili

z Serge'em, nie przysparzała im sympatii miejscowych i okazywała się teraz niebezpieczna. Clara pomyślała o futerałach na broń, ręcznie rzeźbionych pułapkach, jakie widziała w sklepach za tysiące franków, o butach i bryczesach, męskich przywilejach, starodawnych zwyczajach i o tym dziwnym kraju, w którym oboje z Serge'em narażają się na konflikt z jakimiś pierwotnymi przeświadczeniami, głęboko ukrytym barbarzyństwem i namiętnościami. Pomyślała o południu Ameryki, o Ku-Klux-Klanie - czy spalone krzyże, a może nawet zwęglone ciała mogą pojawić się w spokojnej, na poły wiejskiej Francji?

Po tym wydarzeniu zadzwoniła do matki, nie żeby opowiedzieć o tym, co się stało, ale spytać, czy matka wpuszczała myśliwych na pole za padokiem w sezonie polowań na bażanty.

- Och, kochanie. - Pani Holly roześmiała się. - To było wiele lat temu. Odkąd porobili te działki z tyłu za Thrifty już tutaj nie polują, to by wypadało na czyimś podwórku. Twój ojciec chodził na bażanty, ale w końcu musieli wyprawiać się aż do Metford - powiedziała.

Dopiero po incydencie na poczcie Tim powiedział sobie wreszcie otwarcie, że nie tylko pragnął się przespać z Clara, ale przede wszystkim się w niej zakochał - fakt, na który w głębi duszy starał się dotąd nie zwracać większej uwagi z powodu Anne-Sophie i Craya, z powodu tego, że nie miał pojęcia, co ona w ogóle myśli na jakikolwiek temat, oraz z powodu ogólnego poczucia, że nie jest jej godny (choć dopuszczał myśl, że jest mniej niegodny niż gruby Cray albo jakiś łysejający Francuz, jak Persand). Mógł jakoś znieść gorące przyпіływy pożądanía, panikę nastolatka, pragnienie i tęsknotę, ale miał sobie za złe, że porzucił szczerą, radosną i łatwą miłość, jaką odczuwał do Anne-Sophie. W najmniejszym stopniu nie lubił zdawać sobie sprawy ze swoich emocji. Pograżał się w smętnych rozmyślaniach. Czuł, że jest zakochany, ale zadowoliliby się seksem. Gdyby zdołał ją namówić, by się z nim przespała, chociaż raz, jego nieszczęście zostałoby złagodzone. Tak, przystałby na ten jeden raz. Dzięki temu mógłby przestać myśleć o seksie, który stałby się jedynie wspomnieniem, marzeniem o ideale. Wtedy byłby gotowy do małżeństwa.

ROZDZIAŁ 36

Rozmowa Tima z Antoine'em

Clara była wstrząśnięta również dlatego, że uświadomiła sobie, iż wjechanie na stopę tamtego człowieka wcale nie było czystym przypadkiem. Przez ułamek sekundy, przerażona i wściekła, czuła, że mogłaby bez wyrzutów sumienia, a nawet z pewną złośliwą satysfakcją wjechać prosto w tłum otaczających ją mężczyzn. Mężczyzn, którzy wołali "a poil" i kto wie, do czego by się posunęli, gdyby dostali ją swoje ręce. Najwyraźniej chcieli ją dostać w swoje ręce, a wtedy, w gniewie, mogliby zrobić jej to, co mężczyźni potrafią zrobić kobiecie. Podobało jej się, gdy Tim Nolinger ostro potraktował jednego z nich. Czuła, że jej życie stacza się do poziomu pierwotnych reakcji pożądania i lęku i że w pewnym sensie są one lepsze niż uległość.

Zaczęła powoli dopuszczać do siebie różne, coraz bardziej złożone racjonalizacje: życie jest takie krótkie, człowiek musi chwycać szczęśliwe momenty, nawet tak ulotne jak krótka namiętność, przemijające poczucie, że jest się kochanym, chwila kochania się z kimś w gwałtownym paroksyzmie wrażeń i emocji, tylko raz, nigdy więcej, a potem można poświęcić się dobrem uczynkom. Pomyślała, że byłaby gotowa oddać się dobrem uczynkom i zajmować się Serge'em, wszystkim, czego on potrzebuje dla rozkwitu swojego geniuszu, oraz Larsem, gdyby tylko mógł do niej wrócić - w zamian za chwilę radoznego, nieskomplikowanego seksu, jakiejś bez troskiej zabawy z miłym nieznajomym. Tak byłoby najlepiej, bez żadnych komplikacji ani

przyszłości. W tym momencie ignorowała fakt, że ów nieznajomy był temu zdecydowanie przeciwny.

Nie potrafiła już nawet rozpoznać kobiety, która w ten sposób czuje i myśli. Sama była dla siebie kimś obcym.

Clara tak często poruszała problem małżeńskiej wierności, że najwyraźniej musiała jej ona coraz bardziej ciążyć. Czy może raczej, jak widział Tim, jej myśli, nawet jeśli sobie tego nie uświadamiała, krążyły teraz wokół niewierności. Czy to możliwe, że martwiła się o to, że Delia i Cray spędzają razem tak wiele czasu? Delia często przesiadywała w gabinecie Craya godzinę albo dwie, ale Clara twierdziła, że niczym się nie martwi.

- Serge i Delia? - mawiała. - Czemu miałabym się tym przejmować? To raczej oznaka powrotu jego twórczej energii. Czyż to nie byłoby ważniejsze od tak zwanej wierności? Ta cała kwestia wierności i niewierności wydaje mi się zupełnie nieistotna - w końcu to bez znaczenia, z kim się sypia. Nie rozumiem, czemu ludzie rezygnują ze swojego życia. A poza tym... Serge? - Niemniej nie ulegało wątpliwości, że irytowała ją obecność Delii.

Jeśli chodzi o Craya, to raczej Gabriel działał mu na nerwy.

- Wyrzucam łajdaka w sobotę, za czterdzieści osiem godzin od tej chwili, nieważne, czy pozałatwiał swoje sprawy. To nie jest noclegownia. Poza tym nie chcę ryzykować i jeszcze bardziej wkurzać Francuzów ze względu na kłopoty Clary. Francuzi nie wchodzą ci w drogę, jeśli naginasz literę prawa, ale nie jest dobrze widziane rzucać mu wyzwania. Jeśli ktoś szuka Gabriela, nie zamierzam go ukrywać.

- Zdaje się, że nikt go specjalnie nie szuka, chyba że ma manuskrypt - stwierdził Tim. Zauważył, że Cray powiedział „kłopoty Clary”, a nie „nasze kłopoty”. - Może powinniśmy po prostu go spytać, czy ma ten cholerny manuskrypt.

- W sobotę się stąd wynosi, z manuskrytem lub bez.

Wkrótce po tej rozmowie Tim, ku swemu zaskoczeniu, usłyszał w szatni klubu tenisowego Marne-Garches-la-Tour przyjazne powitanie Antoine'a de Persanda, który przebierał się właśnie w swój strój tenisowy. Stał nagi, nakładając suspensorium. Mimo woli Tim spojrział w jego stronę - mocno zbudowany facet, mniej więcej jego

wzrostu, z bladym torsem i opalonymi rękami i nogami tenisisty, umięśniony, z ciężkim penisem, choć skromnie odwrócił się na bok, gdy Tim wszedł do szatni. Persand wymusił na nim obietnicę, że po skończonej grze wspólnie napiją się piwa. Po godzinnym meczu z Adrianem Tim wszedł do klubowego baru. Persand, przebrany już w miejskie ubranie, stał przy barze, w zamyśleniu sącząc piwo. Przywitał się z Timem i zamówił dla nich po jednym. Tim zastanawiał się nad różnymi rzeczami, jakie Persand mógłby mu powiedzieć. Na pewno coś związanego z Crayami. Przenieśli się do stolika.

- Słyszałem o zdarzeniu w miasteczku. Naprawdę godne pożalowania. To szczęście, że pan tam był. Moja żona wszystko widziała, była na poczcie.

- Mogło się skończyć nieprzyjemnie, ale na szczęście tak się nie stało - przyznał Tim.

Z pewnym zaskoczeniem poczuł, że nie ma ochoty opowiadać Persandowi o incydencie przed pocztą, mimo to uległ ciekawości rozmówcy i opowiedział o wszystkim szczegółowo. W końcu co takiego ma przeciw Persandowi?

- Nastroje są bardzo nieprzychylnie wobec Crayów, nawet wśród ludzi, którzy nie polują. Nie mówię w tym momencie o sobie. Nie mam nic przeciwko nim. Rozumiem Amerykanów, sam mam amerykańską bratową - powiedział Antoine.

Nie musiał wyjaśniać, czego dotyczyły wrogie nastroje. Kłopotliwi cudzoziemcy powinni wrócić do siebie, zamiast zaprowadzać tu swoje porządki.

- Państwo Crayowie są zdumieni biegiem wypadków - rzekł Tim - aresztowaniem pani Cray, napaścią. Oczywiście nie mają nic wspólnego ze zniknięciem boazerii i kominków z ich domu.

- Zaprosiłem ich na lunch w niedzielę. Mam nadzieję, że pan i Anne-Sophie także zechcecie nas odwiedzić. Nie miałem jeszcze okazji pogratulować wam z okazji waszego *fiancilles*. Wie pan, znamy Anne-Sophie od czasów, gdy była małą dziewczynką. Jej ojciec był lekarzem mojego ojca.

- Słyszał pan, że została pogryziona przez jednego z psów Craya?

Nie, o tym nie słyszał. Persand spojrział na niego, jak gdyby usiłował odgadnąć, w jaki sposób zdarzenie to wpłynęło na stosunki Tima z Crayami. Porozmawiali jeszcze chwilę. Wbrew sobie Tim poczuł, że zaczyna lubić Persanda. Wydawał się dżentelmenem i najwyraźniej był czymś przygnębiony. Tim czekał na chwilę, w której padnie jakaś wzmianka o Clarze. Nie pomylił się.

- Wyobrażam sobie, że to wszystko jest bardzo trudne dla madame Cray - powiedział w końcu Persand. - Wydaje się niesprawiedliwe, że to ona musi znosić konsekwencje uporu swojego męża.

- Myślę, że się z nim zgadza. Oboje sprzeciwiają się polowaniom.

Persand nie odpowiedział. Zmienił temat i zaczął mówić o proponowanej zmianie opłat w klubie, o Chiracu i o długowieczności zmarłego niedawno Rene Lacoste'a, swego czasu najlepszego tenisisty we Francji, co uznawał za argument na rzecz korzyści z gry w tenisa. Persand był czarujący, ale Tim miał się na baczności; zbyt dobrze zdawał sobie sprawę z niewypowiedzianego tematu tej rozmowy, czyli Clary. Przyjął zaproszenie na niedzielny lunch.

ROZDZIAŁ 37

Opinia publiczna

Obie sprawy, zarówno boazerii, jak i polowań, wzbudziły powszechne poruszenie w okolicach Etang-la-Reine i w sąsiednim Val-Saint-Remy podobnie jak w całej gminie Val-Lanval, aż do granic Paryża. W ciągu kilku dni Clara Holly stała się w umysłach myśliwych z gminy Val-Lanval symbolem Ameryki, która stara się zniszczyć prawowite dziedzictwo Francji. Lokalna prasa ochoczo podchwyciła słowo *deplumer*, oskubać, ze względu na jego narzucające się skojarzenia z drobiem i nieczystą grą. Miejscowy „Le Quotidien” zamieścił kilka krytycznych tekstów na temat Crayów. Jednocześnie poświęcono sentymentalny artykuł Madame du Barry oraz jej kulturalnej spuściznie, bezpowrotnie zniszczonej przez Amerykanów, którzy dopuścili się zbrodni przebudowania jej domu.

Niemal natychmiast po zwolnieniu Clary z aresztu, czekając na dossier w jej sprawie, wątek *l'affaire Cray* podjęli również francuscy politycy oraz podchwyciła francuska prasa. Gazety związane z partią zielonych skupiły się na pewnym fakcie, który przy okazji wyszedł na jaw: otóż myśliwi z gminy Val-Lanval polowali - głównie na kaczki, ale także na inne, bardziej zagrożone gatunki ptactwa - wcześniej, niż pozwalała na to data rozpoczęcia sezonu łowieckiego zatwierdzona przez Wspólnotę Europejską, oraz po zakończeniu tego okresu. Tak doskonała okazja do krytyki nie uszła uwagi przeciwników prawicowego francuskiego prezydenta, którzy zaatakowali go za uleganie szowinistycznym grupom nacisku popierających myśliwych,

jak ujął to „Le Monde”. „Chirac rzuca wyzwanie Strasburgowi w sprawie prawa do polowań”.

Prasa prawicowa dla odmiany atakowała socjalistycznego ministra ochrony środowiska pod hasłami poszanowania praworządności za to, że nic nie zrobił w sprawie nielegalnych praktyk łowieckich, narażając tym samym na szwank dobre imię i honor *la France*. W rezultacie reakcje wyrażone w prasie zarówno lewicowej, jak i prawicowej skierowały się przeciwko myśliwym.

Jednak uczucia francuskiej opinii publicznej zwracały się, jak można się było spodziewać, przeciw Crayom z powodu zniszczenia pomnika dziedzictwa narodowego. Niektórzy uważali, że Crayowie zostali potraktowani zbyt pobłaźliwie z powodu sławy otaczającej reżysera, inni sądzili, że system wymiaru sprawiedliwości z tego samego powodu potraktował ich wyjątkowo surowo pod wpływem zwolenników protekcjonizmu wobec rodzimego przemysłu filmowego.

Datę posiedzenia sądu w sprawie Clary wyznaczono na siódmego grudnia. Amerykański ambasador Charlie Nolan w rozmowie z francuskim ministrem sprawiedliwości dał wyraz swemu oburzeniu, że obywatele amerykańscy, w niczym nienaruszający francuskiego prawa, są niesprawiedliwie prześladowani pod zarzutem czynów, których przypuszczalnie nie mogli popełnić. „Doprawdy, Jean-Louis, ci nieszczęśnicy nie zdążyli wtedy jeszcze kupić tego domu!”. W tym samym czasie wywodzący się z partu socjalistycznej minister ochrony środowiska dowodził w prasie, że Amerykanie, którzy zbezczeszcili pomnik dziejów Francji, cieszą się specjalnymi względami partii prezydenta - Amerykanie, którzy bez skrupułów okupują i znieważają pomniki narodowych dziejów i starają się przeszkodzić kultywowaniu francuskich tradycji łowieckich, muszą zostać ukarani. I tak dalej.

Bruksela ogłosiła, że rozważy wniesienie skargi w sprawie naruszenia przez Francję zasad Wspólnoty Europejskiej w kwestii dat rozpoczęcia i zakończenia sezonu łowieckiego, jako swego rodzaju *amicus curie* w sprawie rozpatrywanej przez Trybunał w Strasburgu, więc w pewnym sensie kwestia nabrała wymiaru ogólnoeuropejskiego.

- *L'affaire Cray* - oświadczył Clovis Mornay czołowy francuski intelektualista podczas panelu we francuskiej telewizji Canal Plus

poświęconego *l'antiamericanisme* - stanowi doskonały przykład tego, w jaki sposób wrodzone Amerykanom dążenie do hegemonii, widoczne w działaniach zwykłych obywateli oraz w poczynaniach państwa, jest w istocie próbą wtrącania się w odwieczne tradycje Francji. To także przykład arogancji Hollywood, przy czym samo Hollywood należy traktować jako nieformalne narzędzie amerykańskiego państwa, a może nawet, niejawnie, jego podstawowy instrument działań politycznych.

Ostatecznym celem, jaki im przyświeca, jest ogłupienie francuskiego umysłu, aby przygotować go w ten sposób na przeprogramowanie dokonane przez amerykańskich moralizatorów. Przede wszystkim, należy zapomnieć o własnej historii - w tym wypadku tradycji łowieckiej sięgającej w tym kraju przypuszczalnie epoki brązu.

- Tak, coś jest w jego słowach - powiedziała Estelle do swojego wieloletniego przyjaciela Cyrille'a Doroux, członka Akademii. - Amerykanom brakuje subtelności. Mają prostsze umysły.

- Zdecydowanie.

- Nawet Tim, choć jest bardzo miły, ma skłonność do nadmiernych uproszczeń.

- Oni nigdy nie myślą politycznie - zgodził się z nią monsieur Doroux - lecz moralistycznie, Mornay ma całkowitą rację.

ROZDZIAŁ 38

Lunch u Persandów

Anne-Sophie była niezadowolona, że Tim przyjął zaproszenie na lunch w wiejskim domu Persandów na niedzielę. Ma pracę, uskarżała się; prowadzi interes, a niedziela jest dla niej najważniejszym dniem w tygodniu. Czy to była zapowiedź jego oczekiwań, że kiedy się pobiorą, będzie rzucała wszystko w każdą niedzielę z powodu banalnych zobowiązań towarzyskich albo po to, by spełnić życzenie Serge'a Craya? Ale ponieważ dzień zapowiadał się pogodnie, w końcu ustąpiła, pod warunkiem, że Tim o szóstej rano, w kompletnych ciemnościach, zawiezie ją na pchli targ i wróci po nią w południe, spełniwszy wcześniej swoją misję w hotelu Le Mistral.

Tim obiecał bowiem, że spróbuje tego ranka odzyskać bagaże Gabriela Billera. Czekając na powodzenie tego przedsięwzięcia, Cray odłożył konfrontację z Gabrielem, a sam zainteresowany doszedł do wniosku, że jeśli Tim pojedzie do hotelu w niedzielny poranek, w porze zmiany pracownika w recepcji, niewykluczone, że nowy recepcjonista okaże się kimś, kto nie widział ani Tima, ani Gabriela. Jednak dla pewności Tim zabrał ze sobą kartę kredytową Gabriela oraz jego prawo jazdy i chociaż w niczym nie byli do siebie podobni, niewielka niewyraźna fotografia mogła równie dobrze przedstawiać kogoś z nich albo w ogóle jakiegoś przystojnego mężczyznę po trzydziestce o nieokreślonym kolorze włosów.

W hotelu nie robiono Timowi żadnych trudności. Recepcjonista nie widział wcześniej ani Tima, ani Billera. Obliczył należną zapłatę,

otworzył pomieszczenie bagażowe i wyniósł kurtkę, plecak oraz małą walizkę, która, jak Tim dobrze pamiętał, nie była zamknięta na klucz. W samochodzie otworzył ją, ale nie było w niej niczego, co przypominałoby cenny średniowieczny manuskrypt. Włożył rzeczy Gabriela do bagażnika i pojechał odebrać Anne-Sophie.

Monsieur Lavallo wbrew swojej obietnicy nie przyszedł na targ staroci, co oznaczało, że Anne-Sophie, jak to ujęła, będzie musiała zamknąć kramik na dobre, tracąc bez wątpienia ogromne dochody. Miała nieco urażoną, pełną poczucia wyższości minę osoby która zachowuje się wyjątkowo szlachetnie. Tim pocałował ją ostrożnie, starając się nie urazić jej pogryzionej ręki, owiniętej jeszcze większą niż poprzednio ilością bandażu i plastra, po czym ruszyli w stronę Porte de Saint-Cloud.

Dopiero gdy Antoine de Persand zaprosił ich na niedzielny lunch, Clara uświadomiła sobie, że jego ziemie przylegały do ich posiadłości w jednym jedynym miejscu, w którym nie było ogrodzenia. Między drzewami w oddali można było dostrzec ładny kamienny osiemnastowieczny dwór z mansardowymi oknami, położony w centrum dość rozległej posiadłości, choć przypuszczalnie nie tak wielkiej jak w czasach, gdy go zbudowano. Pewnego dnia w środku tygodnia poszła razem z Timem na spacer wzdłuż granicy swojego lasu, żeby sprawdzić, co Persand miał na myśli, mówiąc, że jest ich sąsiadem. Dzień później wybrała się tam sama wczesnym rankiem, zanim Serge i Delia zeszli na dół, z operową lornetką w kieszeni swojej kurtki od Eddie Bauera. Ale oczywiście w środę w posiadłości Persandów nie było żywej duszy.

Kiedy uświadomiła sobie, że patrzy na jego dom, ogarnęło ją poczucie zażenowania, niemal tak silne jak wtedy, gdy złożyła mu śmiałą propozycję w więziennej sali rozmów, wyrzucając z siebie pod wpływem impulsu kilka słów, które od tamtej pory wielokrotnie obracała w pamięci z nadzieją, że znajdzie w nich jakąś niejednoznaczność, dzięki czemu on, przypominając sobie to ich spotkanie, mógłby dojść do wniosku, że miała zupełnie co innego na myśli. Mógłby wtedy dostrzec, że się pomylił, sądząc, że w ogóle cokolwiek

miała na myśli, nie mówiąc już o śmiałej propozycji seksualnej. Niestety jej słowa nie zawierały w sobie żadnej niejednoznaczności.

W niedzielę Cray, który z racji swojej tuszy nie przepadał za spacerami, ogłosił, że razem z Delią pojedą do Persandów samochodem.

- Ale ja wcale nie jestem zaproszona - zaprotestowała Delia. - Nie sądzę, żeby brał mnie pod uwagę.

Jednak Cray upadł się, żeby pojechała razem z nim. Najwyraźniej nie przeszkadzało mu, gdy Clara oświadczyła, że woli raczej pójść pieszo przez las i spotka się ze wszystkimi na miejscu. Pogoda była słoneczna i rześka, dobry dzień na przechadzkę po suchych liściach, można cieszyć oko zmienną arabską plam światła przenikającego przez zarośla. W lesie było cicho, znikąd nie dobiegały żadne odgłosy polujących ani ich ofiar.

Wspominając później ten moment, Clara przypomniała sobie, że gdy weszła na teren posiadłości Persanda i uważnie przyjrzała się tylnej ścianie kamiennego budynku, zobaczyła kort tenisowy i trójkołowe rowerki. Czy to możliwe, żeby miał małe dzieci? Serce zabiło jej mocno w konsternacji. To by oznaczało młodą żonę. Może drugą żonę? Ale równie dobrze mogło chodzić o wnuki. W sercu czuła jakiś ogromny zamęt, albowiem z jednej strony wyobrażała sobie, że zauważy coś, co ją rozczaruje i osłabi jej fascynację Persandem, a zarazem z drugiej miała nadzieję na jakiś znaczący moment, może nawet chwilę, w której znajdzie się z nim sam na sam - przypomniała sobie sceny z filmów, w których pan posiadłości pokazuje bohaterce salę bilardową albo piwnicę win... Jednak niepokoiło ją, że madame Persand może być kobietą piękną - lub kobietą brzydką, co byłoby smutnym przypomnieniem, że monsieur de Persand jest w końcu tylko mieszkającym po sąsiedzku bankierem w średnim wieku. Szydziła z samej siebie za te naprawdę infantylne emocje. Coś takiego nigdy wcześniej jej się nie przytrafiło.

Kiedy obeszła dom, kierując się w stronę frontowego wejścia, dostrzegła Tima i Anne-Sophie, a land-rover Serge'a właśnie wjeżdżał na dziedziniec. W tym samym momencie otworzyły się drzwi i ukazał się w nich monsieur de Persand w spodniach koloru khaki

i w koszuli rozpiętej pod szyją jak u Amerykanina. Natychmiast ogarnął ją niepokój, że sama jest nieco zbyt elegancko ubrana, w gustowny spodnium i kaszmirowy sweter. Rzuciła okiem na Anne-Sophie, idealną *Francaise*, ale z ulgą przekonała się, że ubrała się tak samo.

Clara uśmiechnęła się do Antoine'a przyjaźnie, ale z dystansem; równie dobrze mógłby być miejscowym *boulangier*. Położyła swoją kurtkę na stercie ubrań leżących na małej *canape* w holu i rozejrzała się wokół. Wygodny wiejski dom, w którym panowała pewna aura nieładu - liczne buty terenowe różnych rozmiarów, parasole oraz ładny, ale wyszczerbiony porcelanowy wazon na stole. W głębi sąsiedniego pomieszczenia zobaczyła półki z książkami i zasłony ze starego, stuletniego aksamitu w kolorze fioletowobrazowym okalające wysokie okna. Jednak nie potrafiła zachować przyjaznego i całkowicie neutralnego uśmiechu, jak sobie obiecywała, ponieważ serce skurczyło jej się boleśnie na widok tych wszystkich butów - wysokie do pół łydki, muszą należeć do niego, buty do jazdy konnej albo polowań przywodzące na myśl różne skojarzenia: jego silnych łydek, silnych ud mężczyzny mężczyzn jadących konno, białych bryczesów... Poczuła, że się rumieni. Czy do tego stopnia była zgłodniała i pobudzona, że nawet widok butów do jazdy konnej wprawia ją w bolesny stan pożądania? Po przyjacielsku uściśnął jej dłoń, niezbyt mocno. Ale nie pocałował jej w oba policzki, choć mógłby, zgodnie ze zwyczajem panującym wśród sąsiadów. Poczuła, że jej pożądanie jest jedynie kolejnym źródłem upokorzenia zesłanym przez los. Przypuszczalnie czekały ją jeszcze inne; była skazana nieodwołalnie na to, żeby żyć w udreće niczym postać z Dantego. Uśmiechnęła się promiennie.

W jednym końcu holu zobaczyła jelenie rogi wiszące nad szerokimi drzwiami prowadzącymi do salonu i właśnie tam zaprowadził ich Persand, witając się przyjaźnie, choć nieprzesadnie, z Serge'em i Delią, którzy również weszli do środka.

- Madame, w ten weekend gości u nas moja matka, córka oraz, jak zwykle, dwie siostrzenice - wyjaśnił. - Używamy tego domu przez całą zimę, jeśli pogoda jest równie sprzyjająca jak dziś.

Anne-Sophie w salonie witała się właśnie z niewysoką, starszą, przystojną blondynką w spódnicy i miejskich butach na wysokim obcasie. Przez ułamek sekundy Clara zastanawiała się, czy to może być żona monsieur de Persanda. Ale oczywiście to była jego matka.

- Moja żona, Trudi - mówił dalej, zwracając się ku innej, czterdziestokilkuletniej kobiecie, która w tym momencie weszła do salonu; miała brązowe włosy z jasnymi pasemkami, jak połowa kobiet we Francji, i uśmiechała się przyjaźnie.

- Jestem Trudi, witam - powiedziała. Zdecydowanie mniej swobodnie posługiwała się angielskim niż jej mąż.

Starsza madame de Persand mówiła w tym języku z wielką precyzją.

- Byliśmy dotąd, przykro to powiedzieć, dość nieobecniymi sąsiadami. Trzymaliśmy się swojego towarzystwa, ale teraz pragniemy się poprawić. Słyszeliśmy o tym, jak straszliwie potraktowano panią przed pocztą, madame.

- Dziękuję pani, to było raczej niegroźne, naprawdę - odrzekła Clara.

- Ależ to było przerażające! - odezwał się Tim Nolinger. - Miałem wrażenie, że jeszcze chwila, a dojdzie do jakiejś nieprzyjemnej sceny.

- T i m zachował się bardzo rycersko. - Clara się roześmiała. Przyjrzała się nieco dokładniej Trudi, która była kobietą nieco od niej wyższą i niewątpliwie atrakcyjną, ale nie miała w sobie nic szczególnego.

Antoine zwrócił się do Serge'a i Delii, którzy nadal stali koło drzwi salonu:

- Czego się napijecie?

Dodał, że zwykle w weekend o tej porze piją kir vermouth. Normalny niedzielny lunch, Clara rozluźniła się nieco.

- Wiem, że ludzie w moim wieku mają na ogół pewną skłonność do narzekania na współczesne obyczaje - mówiła dalej starsza madame de Persand - ale doprawdy! I proszę nie myśleć, że wyobrażam sobie, że to byli jacyś miejscowi rolnicy, o nie, to byli nasi sąsiedzi, *bourgeois*, w swoich weekendowych strojach, a w każdym

razie niektórzy z nich. Oczywiście zabawiając się w ten sposób, naśladowali niedawny epizod z udziałem kobiety sprawującej urząd ministra w naszym rządzie. W mieście nie zachowaliby się podobnie. *Deplorable.*

- To było okropne. Jak to mówicie? Złe maniery. Widziałam wszystko - potwierdziła Trudi - byłam wewnątrz *poste*. Chciałam zadzwonić na policję, miałam przy sobie komórkę. Ale wtedy monsieur położył temu kres. - Uśmiechnęła się do Tima. - Oczywiście nie sądzę, żeby naprawdę zamierzała zrobić madame Cray jakąś krzywdę.

- Byłam pewna, że nic mi nie zrobią - powiedziała Clara wyniośle, choć wcale nie była tego taka pewna.

- Wydaje się, że moglibyśmy zagrać dzisiaj w tenisa - zauważył Antoine. - Przywiózł pan ze sobą swój sprzęt?

Tim jako jedyny miał w bagażniku samochodu raketę tenisową, więc mogli rozegrać tylko kilka singli.

W tym czasie pozostali sączyli kir w przeszklonej przybudówce od strony ogrodu. Clara odniosła wrażenie, że rozmowa toczy się wyłącznie wokół rozmaitych nieszczęść. Oprócz incydentu przed budynkiem poczty mówili o ramieniu Anne-Sophie, o zarazie, która dotknęła niewielką winnicę pozostającą nadal w posiadaniu rodziny Persandów, oraz o ogólnym pogorszeniu się sytuacji na Bałkanach. Tim i Antoine zegrali kilka setów, dobrze widoczni z wnętrza oranżerii. Tim był nieco lepszy, ale nie na tyle, by zirytować gospodarza. Kobiety uznały, że gra toczy się przyjaźnie i siły są wyrównane.

Jakże pięknie wyglądają mężczyźni podczas gry, pomyślała Clara. Przypomniały jej się obrazy z greckich waz przedstawiające nagich zapasników albo wojowników z oszczepami.

Długi owalny stół w jadalni można było rozbudować do ogromnych rozmiarów, o czym świadczyły dodatkowe części oparte o ścianę. Tego dnia było ich tylko jednaścioro: Serge i Clara, Delia, Anne-Sophie i Tim, Trudi i Antoine, dwie siostrzenice, nieśmiała czternastoletnia córka Persanda o imieniu Garance oraz madame de Persand. Clare posadzono po prawej ręce Antoine'a, Anne-Sophie po jego lewej. Starsza madame Persand miała po bokach Craya

i Tima, pozostali zasiedli wzdłuż dłuższych boków stołu, wśród nich Trudi, najbliżej kuchni i w miejscu, skąd mogła skutecznie zaprowadzić porządek wśród nastolatków.

Clara z zainteresowaniem i delikatnym ukłuciem zazdrości obserwowała, jak Antoine otwierał dla obandażowanej Anne-Sophie *moules*, co sprawiało, że częściej zwracał się w stronę Anne-Sophie niż ku niej. Czy Anne-Sophie uważa, że jest atrakcyjny? Czy tak samo jak Clara zdaje sobie sprawę z jego męskiego uroku? A może jedynie za sprawą swojej odruchowej skłonności do flirtu uśmiechała się do Antoine'a, zdaniem Clary nieco zbyt często, aż jej się robiły dołeczki w policzkach? Tak, w uśmiechu Anne-Sophie zdecydowanie była jakaś dodatkowa iskra, jakaś świadomość własnej kobiecości. Antoine zwracał się do Clary regularnie, jak przystało na gospodarza, i przerywał na moment paplaninę Anne-Sophie, żeby podać Clarze półmisek albo zadać jakieś pytanie.

Spytała o jego amerykańską bratową, którą znała przelotnie, i starała się sobie przypomnieć, czy mają jeszcze jakichś wspólnych znajomych. Pochwaliła jego bekhend. Wspomniała o jakimś konflikcie handlowym, który groził, że Amerykanie zostaną pozbawieni możliwości kupowania torebek Vuittona.

- Nad czym pan teraz pracuje, monsieur Cray? - spytała madame de Persand. - Czy możemy się spodziewać następnego filmu? Jak rozumiem, nie znosi pan pytań tego rodzaju.

- W żadnym wypadku, madame - odparł Cray, który zachowywał się niezwykle przyjaźnie i po sąsiedzku. - Robię film o amerykańskiej fali prawicowego protestu. Oczywiście rzecz jest bardziej skomplikowana, to film o prostych ludziach, którzy w szopach i jaskiniach próbują znaleźć kryjówkę przed czarnymi helikopterami. Ludziach, którzy magazynują żywność w oczekiwaniu na zbliżające się milenium, gdy świat rozpadnie się na kawałki. O rozległych terenach Montany oraz Idaho, gdzie gromadzą całe arsenały. Zerwanie - próbuję to jakoś ogarnąć. Film o Ameryce. Brzmi skromnie?

Roześmiał się i uważnie przyjrzał słuchaczom swoimi dziwnymi bystrymi oczami, starając się ocenić wrażenie, jakie wywarły jego słowa. Osiągnął zamierzony efekt, ponieważ wszyscy na moment

zamilkli. Clara słyszała w jego słowach dobrze wyćwiczone akapity prezentacji nowego projektu, jak gdyby byli grupą dyrektorów wytwórni filmowej. Nie znaczy to, że Serge musiał prezentować swoje projekty szefom wytwórni. Pozwalali robić mu wszystko, na co miał ochotę, jeżeli tylko w ogóle miał na coś ochotę.

- Kto chciałby pan mieć jako gwiazdę? - spytała w końcu Trudi de Persand.

Cray zmarszczył brwi.

- „Kogo”, *cherie* - sprostowała Suzanne de Persand. - Po angielsku mówi się „kogo” na początku zdania. Z jakiegoś powodu.

- Kogo - powtórzyła Trudi zrezygnowanym tonem osoby, która wie, że tak naprawdę nigdy nie zdoła opanować tego obcego języka.

- Czy sympatyzuje pan z tymi wszystkimi ludźmi, czy jest pan przeciwko nim? - spytał Craya Antoine.

- Przypuszczam, że będzie widać moją ambiwalencję. Jest w nich wiele rzeczy, które można podziwiać, i wiele, których trzeba się lękać. Wiele rzeczy niepokojących, groźnych i wiele naprawdę szlachetnych. Fanatyzm ma swoją szlachetną stronę. - Mówił teraz tonem człowieka udzielającego wywiadu.

- Trudno się z tym zgodzić, monsieur - odparł Persand. - Fanatyzm zawsze wydaje się czymś złym.

- O, wiele nauczyłem się od Delii. Ona tkwi w tym po uszy. - Cray uśmiechnął się do niej. - Zwłaszcza jeśli chodzi o kwestię milenium. Ona uważa, że świat skończy się pod koniec roku 1999.

- Nie, nie całkiem. Nie wiem, co o tym sądzić - sprostowała Delia. - Istnieje mnóstwo dowodów, są ludzie, którzy się tym zajmują. Po prostu nie staram się aż zbyt wiele się nad tym zastanawiać. Niektórzy ludzie są bardziej religijni, bardziej uduchowieni niż inni. Jeśli świat skończyłby się jutro, pomyślałabym, cholera, nigdy nie będę miała naprawionego biodra. Ale szanuję ich niepokoje.

- Kogo chciałby jeszcze trochę *moules*? Chce pani trochę? - spytała Trudi. Wstała i poszła do kuchni.

- Fanatyzm jest zawsze niedobry i ostatecznie daremny, czyż nie tego uczy historia? - rzekł Antoine, rzuciwszy żonie szybkie, trudne do rozszyfrowania spojrzenie.

- W żadnym wypadku. Historia dowodzi, że ostatecznie jest skuteczny - odparł Serge.

- Oczywiście Ameryka raczej nie interesuje się historią, zdaje sobie z tego sprawę - powiedział Persand.

- Mamy historię - sprzeciwiła się Delia.

- To niesprawiedliwe mówić o „Ameryce” - zaprotestowała Clara w tym samym momencie. - Jest taka wielka i taka zróżnicowana.

- To prawda - zgodził się z nią Tim. - Europejczycy zwykle myślą o niej, jakby to było jednolite miejsce.

- A zatem gdzie znajduje się prawdziwa Ameryka? - spytała madame de Persand z uprzejmym zainteresowaniem. - W Waszyngtonie, jak przypuszczam. A może w Nowym Jorku?

- O nie! - zawołali Delia, Clara oraz Serge, każde z osobna.

- Nikt się co do tego nie zgodzi - wyjaśnił Tim. - Jest tak wiele Ameryk. Europejczycy tego nie rozumieją. Starałem się o tym pisać w swoich tekstach.

- Być może dlatego nikt nie czuje się odpowiedzialny za mniej strawne poczynania Ameryki - zastanawiała się madame de Persand.

- Jeśli spytacie Amerykanów, co ich kraj zrobił w Bośni albo w Wietnamie, po prostu patrzą, jakby chcieli powiedzieć: a co to może mieć z nami wspólnego?

- Zawsze mi się wydawało, że nie ponoszę winy za amerykańskie wpadki, ponieważ wychowywałem się w Europie - powiedział Tim.

- Ale w college'u zdałem sobie sprawę z tego, że nikt nie czuje się winny z powodu poczynań Ameryki, gdyż ona jest taka wielka. Wszyscy czują się bardzo oddaleni od ludzi, którzy podejmują decyzje w polityce. Ameryka jest zbyt ogromna, by wzbudzać poczucie amerykańskiej solidarności.

- Tim chce przez to powiedzieć, że każdy z nas sądzi, że problemem są tamte dupki: ci z Południa albo ci z Nowego Jorku. Tymczasem Europejczycy uważają, że wszyscy jesteśmy tacy sami: same dupki - rzekł, śmiejąc się, Cray.

- Nie jest pani obeznana z *moules*, mademoiselle? Namawiam, żeby pani spróbowała - powiedziała Suzanne de Persand do Delii, widząc, że na jej talerzu nadal leży sterta małży w skorupach. Być

może matka Antoine'a chciała w ten sposób odwrócić uwagę od poważnej dyskusji.

- Mam alergię na małże - wyjaśniła Delia. - Ale mamy małże w Oregonie. One żyją w Oregonie.

- Naprawdę? - zdziwiła się madame de Persand.

- Daj mi je - odezwał się Serge i przysunął jej talerz do siebie. Clara z obrzydzeniem patrzyła, jak unosi skorupki i wsuwa sobie do ust ponure odrażające małe kawałki mięsa.

- Pomyliłem się, mówiąc o historii, być może pamięć jest tym, czego brakuje Ameryce - zaczął znowu Antoine. - Wydaje się, że Ameryka żyje w terażniejszości.

- Mamy bażanty. Właśnie je przyniesiono, ale chyba powinny najpierw trochę skruszeć - powiedziała Suzanne de Persand, nadal uporczywie starając się zmienić temat. - Zobaczmy.

Clara oczami wyobraźni zobaczyła bażanty wiszące na wystawie u rzeźnika; ich zmatowiałe, niegdyś lśniące piersi, obwisłe pióropusze, niewidzące oczy. Czy to możliwe, że te bażanty zastrzelił Antoine? Nagle wyszło jej w gardle i nie mogła niczego przełknąć. Czy to był jakiś żart, czy raczej krytyka ich postawy wobec polowań? A może po prostu się nie zastanowili? Przestała jeść. Myślni powędrowała w stronę marzenia, by znaleźć się gdzie indziej, samotnie, tylko z nim.

Kiedy ponownie skupiła się na rozmowie, usłyszała, jak Antoine mówi do Serge'a:

- Mój pomysł polega na tym, że sprzedałbym panu kilka hektarów z tyłu mojej posiadłości, dzięki czemu pańskie tereny osiągnęłyby bezpieczną wielkość. Mogę odzależnić dwa albo trzy, bez ryzyka, że zejdem poniżej dwudziestu hektarów, a dla pana to będzie wystarczające.

- To cholernie wspaniałomyślna propozycja - rzekł Serge, zaskoczony.

- Oczywiście to nie znaczy, że chcę zrobić panu prezent. - Antoine się uśmiechnął. - Ziemia w tej okolicy jest droga, będzie to pana trochę kosztowało.

Suzanne de Persand i Trudi patrzyły na niego z niedowierzaniem.

- *Mais, c'est vrai*, to nie jest najlepszy moment... możemy to omówić... innym razem. - Nagle wydał się zakłopotany, że złożył publicznie tę szlachetną propozycję, jak gdyby prosił o to, żeby docenić jego dobrą naturę. A może był zirytowany pełną zdumienia dezaprobatą żony i matki.

- To naprawdę dobry pomysł - powiedział Serge. - To mogłoby zaszachować mera.

ROZDZIAŁ 39

Spacer w lesie

Podobnie jak wszystkie niedzielne obiady we Francji, również ten u Persandów zakończył się wyprawą na spacer - obowiązkowym rzeńskim marszem służącym zdrowiu i odrodzeniu sił, czy to wiejskimi drogami, czy wśród zieleni wokół domu, po parku, czy choćby ulicą, jeśli człowiek musiał zostać w mieście. Nawet Cray poddał się temu imperatywowi. Wszyscy wspólnie wybrali się do publicznego *foret*, położonego między posiadłością Persandów a miasteczkiem Etang-la-Reine. Niemniej na mocy zgodnego przekonania, nie musieli już dłużej sobie dotrzymywać towarzystwa. W końcu są jakieś granice cywilizacji. Nie można zapominać o takich sprawach, jak trawienie, intymne wyznania, prywatne refleksje oraz potrzeba, by nieco otrzeźwieć na świeżym powietrzu. W nastroju całkowitej wolności, jaka zapanowała po obiedzie, rozbili się na dwu-, trzyosobowe grupki, zgodnie z tempem marszu i naturą zainteresowań, i stopniowo rozeszli w różne strony. Suzanne de Persand zmieniła pantofle na obcasie na parę terenowych butów stojących w holu i podczas leniwej przechadzki alejkami z Garance i Delią oddawała się praktycznej lekcji botaniki, podpowiadając Deki francuskie nazwy rozmaitych roślin.

Najwyraźniej nie otrząsnęła się jeszcze z szoku, jakim była dla niej propozycja Antoine'a, by sprzedać hektar albo dwa Crayowi. Było oczywiste, że nie wspomniał wcześniej nikomu o tym pomysle. Była zamyślona, zdecydowanie mniej ożywiona niż zwykle.

Doświadczenie nauczyło ją, że Amerykanie oznaczają kłopoty, a tutaj było ich wyjątkowo wielu.

Trudi de Persand maszerowała różnym krokiem z Timem i Anne-Sophie, po czym została w tyle, by pozwolić dogonić się teściowej. Cray szedł przez chwilę z Persandem, omawiając, być może, kwestię sprzedaży ziemi, po czym, jak zauważył Tim, porzucił całe towarzystwo i poszedł poszukać swojego samochodu.

- Chodź, wrócimy do stajni w Etang-la-Reine i wypożyczymy sobie konie na godzinę albo dwie - Anne-Sophie zaproponowała Timowi. - To byłaby taka przyjemna przejażdżka, moglibyśmy pojechać aż do *grands rochers*, czyli miejsca, gdzie starożytny lodowiec pozostawił ogromne głązy w środku lasu.

Tim wprawdzie niespecjalnie przepadał za jazdą konną, ale nie zgłaszał zastrzeżeń, jeśli nie liczyć niebezpieczeństwa, jakie jego zdaniem stanowiła dla Anne-Sophie jazda z jedną sprawną ręką. Wzgardliwie zbyła jego niepokój,

- Na koniach ze stajni? Nonsens, *pas de probleme*.

Zaczęli się spierać, w którą stronę leży Etang-la-Reine. Anne-Sophie nie miała najlepszej orientacji przestrzennej, ale upierała się, bez żadnych wątpliwości, dokąd powinni pójść, i zupełnie przy tym nie zgadzała się z opinią swojego narzeczonego. Tim zauważył, że już dawno minęła trzecia po południu i słońce wkrótce zacznie zachodzić na zachodzie, w kierunku, w którym leżało miasteczko, a więc zgoła przeciwnym niż ten, w którym ona zamierzała pomaszerować. Tim jak zwykle postawił na swoim, ale w tym momencie można już było śmiało powiedzieć, co przyjął z wielką ulgą, że zrobiło się za późno na przejażdżkę. Noc zapadała teraz wcześniej, w końcu był prawie grudzień.

Nagle zaskoczył ich niski gardłowy warkot i trzask gałązek tuż przed nimi, gdzieś w podszyciu. Tim, który szedł pierwszy ścieżką, zatrzymał się i unosząc dłoń, dał Anne-Sophie znak, żeby nie podchodziła. Początkowo nie mógł dostrzec źródła niepokojącego dźwięku, po czym przez gęste zarośla zauważył postaci dwojga osób, mężczyzny i kobiety, zamarłych bez ruchu, oraz jednego z rottweilców Craya w ciężkim skórzanym kagańcu. Pies, który przywarł do

ziemi niedaleko stóp Tima, obserwując tamtą parę, spoglądał to na Tima, to na swój łup, niepewny, co powinien teraz zrobić.

Tim domyślił się, że przypadkiem zrobił ręką gest, który zwierzę odczytało jako komendę. Gdy obniżył rękę, pies przywarł mocniej do ziemi, przygotowując się do tego, by ruszyć w stronę nieszczęsnej pary stojącej w krzakach; kiedy trzymał rękę uniesioną, stworzenie zamarło, przysiadając na tylnych łapach, i nie spuszczało oczu z ręki Tima. Najprawdopodobniej pies skojarzył Tima z Crayem oraz z *maitre-chien*, innymi mężczyznami rządzącymi w domu, i był gotowy wykonywać jego rozkazy.

- Stój spokojnie - powiedział Tim do Anne-Sophie, która ostrożnie podeszła do niego na tyle, by dostrzec to samo co on. Na moment ogarnęła go obawa, że tamci go zobaczą i pomyślą, że ich szpieguje. Anne-Sophie zrobiła *moue* i zachichotała bezgłośnie. Postaci za krzaków spiesznie się oddaliły.

Minęło zaledwie kilka sekund. Na ścieżce za nimi pojawił się *maitre-chien* i zagwizdał na psa.

- *Ca va?*

- *Ca va, gentil chien.*

- Widziałaś, kto to był? - spytał Tim. Anne-Sophie miała wrażenie, że dostrzegła *pantalons* koloru khaki i białą koszulę jednej z postaci oraz szarą górę i czarne spodnie drugiej; każdy, kto miał odrobinę pamięci do ubrań, bez trudu mógł ich rozpoznać.

- *Pas vraiment* - powiedziała.

W pierwszej chwili ją to rozbawiło, przypomniała sobie opowieść Tima o tym, jak zobaczył ich w klubie tenisowym Marne-Garches-la-Tour. Ale potem na myśl przyszedł jej sztuki Feydeau, w których zepsuci i niewierni mężowie i żony wyskakują z szafy albo wpełzają pod łóżko, i to się nazywa francuską farsą. *Alors*, ale dlaczego francuską?

Ogarnęło ją poczucie głębokiego niepokoju. Francuzi wchodzą do szafy albo z niej wychodzą, gdy tymczasem w sztukach amerykańskich żona zawsze zalewa się łzami, nie ma żadnych przyjaciół oprócz psa albo kota i zawsze jest uzależniona od narkotyków lub alkoholu. A więc lepiej być żoną w sztuce francuskiej czy raczej amerykańskiej? Czy amerykański mąż i francuska żona powinni zawczasu umówić

się, w jakiej sztuce grają? A w jakiej sztuce zamierzają właśnie odegrać swoje role Amerykanka, madame Cray, i Francuz, Antoine de Persand? Tymczasem ona, Anne-Sophie, z pewnością nie chciała grać w żadnej sztuce, zależało jej na prawdziwym życiu, które wkrótce miało się zacząć, i prawdziwym *mariage*.

Co właściwie powoduje, że pragniesz jednej kobiety bardziej niż innej, zaczął zastanawiać się Tim z poczuciem winy, i co sprawia, że ona pożąda innego mężczyzny, a nie ciebie? Coś innego niż piękno, coś dogłębnie chemicznego, co wchodzi w rezonans z wcześniejszymi spotkaniami, marzeniami, najdawniejszymi doznaniem - coś, nad czym człowiek nie ma żadnej kontroli. Co sprawia, że zachowujesz się tak, jak najwyraźniej nie zamierzałeś się zachowywać? Czy ludzie, których zobaczyli w lesie, pragnęli właśnie zachować się w sposób, w który nie zamierzali się zachować?

Cray wziął swój samochód, więc Tim i Anne-Sophie odwieźli Delię z powrotem do domu Crayów. Delia była w doskonałym humorze; najwidoczniej dobrze jej zrobiło to popołudnie, podobnie jak posiadłość sąsiadów z jej wystawnym ładem i dobra sałatka. Nawet spacer jej się podobał.

- Przeszłam chyba ze dwie mile. Zauważyliście? Dwa tygodnie temu to byłoby niemożliwe. Widać, że to działa.

- Działa?

- Wizyty w Luwrze. Chodzę tam codziennie od tygodnia. Gdybym mogła jeździć do Paryża przez następny tydzień, poprawa na pewno utrzymałaby się na stałe.

Myśl o zbawiennym, zdrowotnym sztuki rozbawiła Tima; pomyślał, że chciałby opowiedzieć o tym Clarze, bo Anne-Sophie nie widziała w tym nic zabawnego.

Kiedy dotarli do domu Crayów, Tim ze zdziwieniem zauważył swojego przyjaciela Ceesa, który opierał się o maskę małego, urzędowo wyglądającego renault, zaparkowanego przed frontowymi drzwiami *chateau*; w drugim samochodzie na tylnym siedzeniu dostrzegł Gabriela. Delia natychmiast pobiegła w jego stronę. *Zbliżająca*, się z krzykiem młoda kobieta najwyraźniej nie zrobiła jednak żadnego wrażenia na kierowcy.

- Czekałem z nadzieją, że tu przyjedziecie - odezwał się Cees.
- Nie wspominałeś, że będziesz w Paryżu. Co się dzieje?
- Dzwoniłem do twojego mieszkania, a potem tutaj, ale ktoś powiedział, że jesteście poza domem.

- Weekend w Paryżu? Czy Marta jest z tobą?

- Nie, nie, sprawy służbowe. Przyjechaliśmy po waszego zbiega, ponieważ podejrzewamy, że ukradł manuskrypt. Skoro nie miał ochoty nic wam powiedzieć, może zechce powiedzieć coś u nas. Najwyraźniej jest zamieszany w różne sprawy, na tyle poważne, że możemy zatrzymać go pod kilkoma innymi zarzutami przynajmniej przez kilka dni. Zaczynam dochodzić do przekonania, że nie zamierzał więcej odzywać się do Craya w sprawie manuskryptu.

- Gdzie go zabieracie?

- Nakaz został wystawiony w Amsterdamie, tam go zatrzymamy. Mamy zgodę Francuzów.

- Ale... - Tim był osłupiały, nie zdawał sobie sprawy, że Cees mógłby albo chciały coś takiego zrobić.

- Do diabła z tobą! - wrzeszczała Delia na Tima.

Tim był przerażony. Wyszło na to, że to on sam de facto oddał tego faceta w ręce policji. Wcale tego nie chciał. To pachniało zdradą, donosicielstwem, kolaboracją - wszystkimi brudnymi i godnymi pogardy sytuacjami, jakich porządny człowiek unika. Nie chodziło o to, że popiera łamanie prawa, bo tak nie było, ale zdecydowanie nie widział się w rok policyjnego informatora. Niemniej dotarło do niego, że cały czas pełnił taką rolę, na bieżąco opowiadając Ceesowi o przebiegu wypadków. Czemu nie przyszło mu do głowy, że Cees zachowa się po prostu zgodnie z nakazami swojej profesji? Tim był wstrząśnięty.

- Myślę, że zajmuje się jedynie sprzedażą - powiedział Cees. - Nie jest złodziejem.

- Na razie niczego nie sprzedał - odparł Tim. - Co on właściwie zrobił?

- W ten sposób uratujemy go przed nim samym. - Cees się roześmiał. - Jeśli nam pomoże odzyskać dokument, nie będziemy mogli wysunąć przeciw niemu żadnych zarzutów, a poza tym poprawi to

nieważną jego sytuację w sprawie amerykańskich oskarżeń związanych z bronią. Najwyraźniej to jakieś sprawy z jego przeszłości.

Anne-Sophie także była wstrząśnięta. Podeszła do Tima i Ceesa, żeby gorąco zaprotestować.

- Ale to jest miły młody człowiek, który spędził wiele dni w *gre-nier* w Clignancourt. Wiedziałam, że tam jest, i nie wydałam go policji. W każdym razie nie całkiem... Miałam go na oku. Ale oczywiście to nie on był mordercą. Nikomu nic złego nie zrobił, nikogo nie skrzywdził. To straszne wydać kogoś policji... - W tym momencie przypomniała sobie, że praktycznie uwięziła go u siebie na strychu. - To znaczy chodzi mi o ludzi, którzy robili takie rzeczy na przykład podczas wojny.

- Nie wydałam go w ręce policji. I nic nie wiem o tym, co zrobił - powiedział Tim żałośnie. - Za co miałbym go wydać policji?

- Co za dupek! - Delia przykuśtykała i zaczęła na niego pomstować swoim wysokim płaczącym głosem. - Nigdy nie mówiłeś, że współpracujesz z policją. - Rozpłakała się.

- Ale to nieprawda, ja tylko... Cees jest moim starym przyjacielem, cały czas rozmawiamy ze sobą.

- Możliwe, że to nic poważnego, młoda damo - powiedział Cees - ale jeśli byłaby pani z nami szczerza na temat tego, co pani wie o jego interesach, mogłoby to mu pomóc. Aha, to jest Anne-Sophie?

- Nie, to jest Delia, przyjaciółka Gabriela z Ameryki. To jest Anne-Sophie. A to Cees, mój przyjaciel z Amsterdamu.

- *Bonjour, monsieur* - odezwała się Anne-Sophie nieprzyjaznym tonem.

- To straszne, już był taki szczęśliwy, czuł się tak bezpiecznie, cały czas go ścigano... - zawodziła dalej Delia.

- Nikt go nie ścigał - powiedział Cees. - Cokolwiek zmusiło go do tego, żeby się cały czas ukrywać, to na pewno nie była policja. Dwukrotnie był przesłuchiwany i za każdym razem go zwalniano.

- Przypuszczam, że powinniśmy zajrzeć do jego walizki - rzekł Tim. - Jest w bagażniku.

Postanowił chwycić byka za rogi i w nadziei, że znajdzie w walizce, na oczach wszystkich, cenny manuskrypt, przyniósł ją do kuchni i otworzył w towarzystwie Ceesa, Delii i Anne-Sophie. Maszynka do golenia, bielizna na zmianę, szczoteczka do zębów, kilka katalogów. Nic podejrzanego.

- A co, nie mówiłam? - zawołała Delia.

ROZDZIAŁ 40

Stan umysłów w Ameryce

Przez następne kilka dni Delia nadal wściekała się z niesłabnącą siłą, lamentując gorączkowo swoim wysokim przenikliwym głosem, ale jej gwałtowna furia w istocie nie była skierowana przeciwko Timowi. Przyjęła jego przeprosiny i sama poprosiła go o wybaczenie; wiedziała, że nie próbował zdradzić Gabriela. Nieustannie rozmawiała z kimś przez telefon albo konferowała z Crayem, który powoli przeistaczał się w obrońcę Gabriela. W następstwie wielu rozmów telefonicznych - najwyraźniej z jej kolegami, antykwariuszami ze Sweet Home, w Oregonie - zapadła decyzja, że w istniejących okolicznościach będzie musiała zostać dłużej we Francji, by pomóc Gabrielowi. Co za szczęście, że ma za darmo dach nad głową. Antykwariusze mieli przesłać pieniądze, Sara Towne zobowiązała się, że sama poprowadzi na razie ich wspólny sklepik i wszyscy w Oregonie najwyraźniej byli zdania, że Delia działa w słusznej sprawie. Forby Anderson, która miała pewne znajomości w kręgach prawniczych, szukała kontaktów z jakimiś międzynarodowymi prawnikami w Paryżu. Nikt nie był wiedział, ile kosztują usługi takiego człowieka; w tej sprawie solidarność Oregonczyków nieco osłabła. Ale Gabriel mógł potem zwrócić im wyłożoną sumę - albo zbierze niezbędne fundusze, albo ma już jakieś pieniądze, albo - co pozostało niewypowiedziane - będzie je miał, kiedy sfinalizuje transakcję, którą miał pierwotnie przeprowadzić z monsieur Boudherbe'em.

O swoich uczuciach wobec Gabriela Delia mówiła niewiele. Tim i Cray mieli okazję porozmawiać z nim raz przez telefon, gdy połączono ich z amsterdamskim więzieniem, oraz z jego holenderskim prawnikiem, który wypowiadał się bardzo ostrożnie. Adwokat był także przyjacielem Ceesa, więc wszystkie sprawy związane z uwięzieniem Gabriela przybrały charakter rozmowy między dżentelmenami w dobrym klubie.

- Naprawdę obawia się ekstradycji - powiedział holenderski prawnik - chociaż Amerykanie jak dotąd się o nią nie zwrócili. Czemu miałyby obawiać się ekstradycji, jeśli jest niewinny? Wydaje się, że najbardziej obawia się FBI.

- On wie, dlaczego FBI chciało śmierci pewnej kobiety - wyjaśniła Delia.

- Jakiej kobiety?

- Pani Weaver. W Ruby Rigde. Wie także o kilku innych sprawach, które oni mają na sumieniu.

Tim, zirytowany aurą całkowitej niewiedzy na temat Gabriela i manuskryptu, jaką roztaczała wokół siebie Delia, zaczął ją podejrzewać. Kilka dni później zaczekał, aż pójdzie do łazienki, i gdy znalazł się z nią sam na sam w korytarzu, wykręcił jej ramię boleśnie do tyłu, przycisnął jej głowę do ściany i wysyczał:

- A teraz powiesz mi wszystko, co wiesz o Gabrielu, pieprzonym manuskrypcie i morderstwie.

Próbowała się wyrwać i uderzyć go drugą, wolną ręką, więc przytrzymał swoją wielką dłońią oba jej drobne nadgarstki za plecami.

- Puść mnie, już mówiłam, powiedziałam wszystko Serge'owi.

- Co! Powiedz mi jeszcze raz.

Zaciągnął ją do łazienki, zauważając mimochodem, że to musi być pokój Clary. Duże łóżko przykryte amerykańską narzutą oraz haftowanymi białymi poduszkami i kilka zdjęć w ramach przedstawiających zapewne synka Larsa. Delia najwyraźniej uwierzyła, że Tim chce ją skrzywdzić. Pomyślał, że chętnie by to zrobił, wykręciłby jej ramiona tak, żeby przypominały jej biodro. Wyglądała na przestraszoną, ale nie krzyczała.

- Czy Gabriel ma manuskrypt?
- Nie wiem, co miał ze sobą. Miał coś cennego do sprzedania człowiekowi z pchłego targu.
- Coś, co ukradł?
- Nie! On tylko sprzedaje. Handluje książkami, jest pośrednikiem, tak powiedział.
- Nie mówił dokładniej, skąd wziął swój towar?
- Nie wiem. Puść mnie.
- Wziął w komis?
- Tak, oczywiście.
- Ile wynosi jego procent od pięciuset tysięcy dolarów?
- Skąd mam wiedzieć?
- Powiedzmy, połowa. Podejmuje przecież pewne ryzyko. Co zamierza zrobić z pieniędzmi?
- To dla SuAnn, jak sądzę, dla jej grupy, skąd mam to wiedzieć? Poza tym przecież ich nie dostał, prawda? Pewnie morderca je zabrał. Zabił tamtego człowieka, żeby zabrać pieniądze.

Odwróciła się w jego stronę i kopała go po łydkach. Puścił jej ręce i zasłonił sobą drzwi.

- Mów dalej. SuAnn to ta stuknięta córka Cristal, stukniętej opiekunki?

- One nie są stuknięte. To znaczy SuAnn, formalnie rzecz biorąc, jest, jak przypuszczam. One należą do jakiejś grupy, ale ci ludzie nie są agresywni. Kupują ziemię we wschodnim Oregonie przed nadejściem milenium albo na wypadek, gdyby policja ich aresztowała... A może to jest jakiś aśram... Nie wiem, nie śledzę grupy SuAnn.

- Więc co się dzieje? Jesteś zamieszana w skomplikowaną kradzież, międzynarodowy handel skradzionymi dziełami sztuki i morderstwo, a do tego jeszcze banda hipisów z Oregonu. Jak to się ze sobą wiąże?

- Nie wiem, Tim, więc otwórz drzwi.

- Co łączy Gabriela z SuAnn?

To był słaby punkt Delii. Nie znosiła związku Gabriela z SuAnn.

- Myślę, że jest mu jej żal - powiedziała.

- Dobra, Gabriel w Amsterdamie. Dlaczego boi się ekstradycji?

- Mówiłam ci, boi się FBI, wie, że nigdy nie wróciliby do domu, zabiliby go i powiedzieli, że próbował uciec. Cały czas tak robią.

- Czemu mieliby tak zrobić?

- Mówiłam ci. On wie, dlaczego zabili panią Weaver, i wie o kilku innych rzeczach. FBI finansuje niektóre z tych grup i nie chce, żeby to wyszło na jaw.

- Więc jednak coś wiesz na ten temat.

Nie był pewny, czy Delia była równie obłąkana jak ludzie, o których mówiła, czy po prostu ma rację. Kim, do diabła, była pani Weaver?

- Czytałam w gazetach, tak jak wszyscy. Jak Serge. Spytaj Serge'a, to Serge domyślił się, czemu Gabriel boi się FBI.

- Nie dowiedziałaś się tego wszystkiego od Gabriela ani SuAnn, więc od kogo? Od twojej przyjaciółki Sary?

- Nie! Razem z Sarą prowadzimy interes, wynajmujemy sklep od... Myślę, że właściciele należą do sekty Moona.

- Jezu... - jęknął Tim, rozpaczliwie usiłując znaleźć w tym wszystkim jakiś sens.

- Nie śledzę tego tak dokładnie. A może to jest Kościół Ocalonych? Chyba tak. Ale to bez znaczenia, oni wszyscy są mniej więcej podobni, zwracają uwagę na te same sprawy. Chcą rozwiązać problemy naszego społeczeństwa. Nikt z nich nie lubi rządu ani policji. Nigdy nie wierzyli, że zagrażają nam Rosjanie, ale nienawidzą świadomego rodzicielstwa i tych wszystkich innych rzeczy. „Triple A”^{*} Co innego być stukniętym, a co innego się mylić. Wiesz, oni mogą mieć rację.

Kościół Ocalonych. Tim był zachwycony tą nazwą. Ciekawe, jakie są ich wierzenia? Co się właściwie dzieje z tą Delią, że traktuje to wszystko jak oczywistość najwyraźniej całkowicie bezkrytycznie, jakby nie miała własnego osądu? Nic jej nie dziwi. Czy to normalny stan umysłów w Oregonie? A może normalny stan umysłów w Ameryce?

* „Triple A” - Against All Authority; ang. - przeciw wszelkiej władzy (przyp. tłum.).

ROZDZIAŁ 41

Cecile

Anne-Sophie poświęcała teraz swój czas w środku tygodnia na nadzorowanie prac malarskich prowadzonych w ich nowym mieszkaniu, zaniedbując przez to stoisko na pchlim targu. Na szczęście miała niewielki zapas statuetek i rycin o tematyce łowieckiej, jednak musiała dokonać nowych zakupów. W poniedziałek pracowała w swoim kramiku, a we wtorek razem z Timem pojechali na jarmark antyków do Arles, gdzie miała nadzieję znaleźć trochę interesujących staroci. Tim zaczął pisać tekst do czasopisma poświęconego podróżom. Oboje z przyjemnością wyrwali się z domu tylko we dwoje; to było jak dawniej, bardziej normalnie, bez związku z kłopotami mieszkańców Oregonu, Crayów czy ze ślubem. Anne-Sophie w końcu pojęła, że Tim nie doniósł na policję na biednego młodego człowieka, a w każdym razie tego nie chciał; Tim mógł na chwilę wyrzucić wszystkie sprawy Crayów z pamięci.

Jednak czekały już na nich pewne kłopoty oznaczające, że nie powinni bawić poza domem zbyt długo. Po pierwsze, niekończące się *ennuis* w sprawie mieszkania. Tim miał wrażenie, iż Anne-Sophie uznała, że ich mieszkanie zostało całkowicie zbrukane obecnością byłych lokatorów, i postanowiła usunąć z niego wszelkie ślady minionych łat - i to ona, *antiquaire!* Kazała więc przemalować wszystkie ściany, jednak remont łazienki znacznie się opóźniał, zważywszy na to, że mieli zamiar wprowadzić się w tygodniu poprzedzającym wesele.

Po drugie, w czwartek spodziewali się przyjazdu matki Toma, która postanowiła przyjechać wcześniej niż pozostali goście z Ameryki. Chciała jeszcze przed ślubem wybrać się do Brukseli na spotkanie ze swoimi krewnymi, dalekimi kuzynami, których nie zaproszono na ceremonię. Poza tym chciała zanurzyć się we francuskojęzycznym świecie, porobić zakupy i oczywiście pomóc Timowi i Anne-Sophie oraz matce Anne-Sophie, którą z niecierpliwością pragnęła poznać. Czytała jedną czy dwie jej powieści i starała się nie formułować na tej podstawie żadnych sądów na temat biednej Anne-Sophie, która na pewno była zupełnie inna niż jej matka.

Tim, mimo całego przywiązania do matki, czuł pewne napięcie na myśl o jej przyjeździe. Była dla niego jeszcze jedną osobą, za którą uważał się w jakimś sensie odpowiedzialny. Zaliczał do tego grona także Anne-Sophie, a ostatnio również Craya, Delię, Clare, a nawet Gabriela Billera, którego los ciążył mu mocno na sumieniu. Tim wiedział, że jego troski w ogólnym porządku rzeczy tego świata nie należały do największych, niemniej nie było mu lekko. Miał nadzieję, że jego matka będzie dobrze się czuła, że polubi Anne-Sophie i Estelle. Miał także nadzieję, że nie dojdzie do żadnych nieprzyjemnych incydentów pomiędzy matką a ojcem oraz matką i macochą; że zostanie mu wybaczone to, iż niechcący wydał Gabriela w ręce policji; że coś uleczy go ze skurczu pożądania, jaki odczuwał za każdym razem, gdy widział Clare Holly albo o niej pomyślał. Miał też nadzieję, że „Reliance” przyjmie jego tekst na temat narastających antyamerykańskich nastrojów we francuskiej polityce zagranicznej oraz że czasopismo „Travelling Light” okaże się zainteresowane jego spostrzeżeniami na temat Arles. I miał również nadzieję, że znajdzie trochę czasu na wizytę w hiszpańskich klasztorach - ale kiedy, na Boga? - oraz że zastanie swojego ojca w dobrym zdrowiu: groziła mu rozedma płuc. Wszystkie te niepokoje, w tej lub innej kolejności, niczym kawałki styropianu wydostające się z gnijącego wraku, wypływały na powierzchnię jego codziennych myśli i pojawiały mu się przed oczami, zakłócając jego sen w nocy i skupienie w ciągu dnia.

*

Estelle zaprosiła ich na kolację, którą zamierzała wydać pierwszego wieczoru po przylocie jego matki stosunkowo wcześniej, ponieważ Cecile będzie przypuszczalnie cierpiała z powodu różnicy czasu. Tim i Anne-Sophie przyjęli jej propozycję, gdyż uznali, że spotkanie obu matek stanowi przeszkodę, którą należało pokonać jak najszybciej. Oboje zgodnie przypuszczali, że panie odniosą się do siebie z głęboką niechęcią, mimo że obie były francuskojęzyczne - jedna tak bardzo krytyczna wobec Ameryki z powodu tamtejszego moralizatorstwa i powszechnej nadwagi, druga tak bardzo konwencjonalna, amatorka golfa, a do tego osoba, która wykazała się w oczach Estelle niewybaczalnym brakiem zdrowego rozsądku i nie wróciła do Europy, wyzwoliwszy się z więzów małżeństwa. Czym innym można to wytłumaczyć? Wprawdzie Estelle nigdy nie powiedziała tego głośno, że ta kobieta musi być idiotką, ale ton jej pytań wyraźnie na to wskazywał.

- Czy twoja matka będzie bardzo nieszczęśliwa, jeśli nie uda nam się znaleźć jakiegoś znajomego członka klubu golfowego niedaleko Paryża? W Normandii oczywiście znam kilka osób; Jacky Borde na pewno by kogoś znała...

Kolejną rzeczą, jaką można było zarzucić Cecile Barzun Nolinger, było to, że po rozwodzie postanowiła pozostać w Bay City, w stanie Michigan, podczas gdy ojciec Tima i jego macocha Terry zamieszkali w Grosse Pointe, na przedmieściu Detroit. Zarówno Anne-Sophie, jak i Estelle uznały za rzecz całkiem naturalną, że każdy wolałby mieszkać w mieście wyróżniającym się francuską nazwą, a tym samym doszły do osobliwego wniosku, że ojciec Tima, nawet jeśli nie mówił słowa po francusku, jest osobą inteligentniejszą z dwojga jego nieznanym rodziców. Obie wymawiały Grosse Pointe i Detroit po francusku jako „gross puęt” i „detrua,” co bardzo irytowało Tima.

Ostatni raz widział matkę dwa lata temu i był teraz zaskoczony tym, jak bardzo sam ucieszył się na jej widok. Mimo że mieszkała w Michigan, zachowała cechy Francuzki - była szczupła i nosiła krótko ostrzyżone włosy koloru blond. Rzuciła palenie, ale nadal miała głos palaczki, i nie straciła silnego francuskiego akcentu, choć od dawna nie mówiła już w tym języku.

- Czy wiesz, że ostatni raz byłam tu cztery lata temu! - powtarzała w taksówce. Była podniecona i głąskała ciągle Tima po dłoni. - Poznam wreszcie kochaną Anne-Sophie!

Rodzina Nolingerów przyjęła bez większego zaskoczenia to, że Tim wybrał Francuzkę na żonę. Skoro miał matkę Belgijkę i zamieszkał w Europie, można się było spodziewać, że zechce poślubić kogoś, kogo tam poznał. Jednak dopiero gdy Tim i Anne-Sophie ogłosili, że zamierzają się pobrać, jego rodzina tak naprawdę zainteresowała się, kim jest owa Francuzka o imieniu Anne-Sophie. Cecile zamierzała pokochać Anne-Sophie. To, że Tim wybrał narzeczoną z francuskojęzycznego kraju, potraktowała jako komplement wobec siebie samej, jako pewną wymówkę wobec jego ojca oraz jako rzecz całkowicie naturalną.

- Mam nadzieję, że będę mogła pójść razem z nią na *marche aux puces*, niewątpliwie bardzo dobrze zna to miejsce.

Rzeczywiście była zapaloną amatorką golfa - to była jej gra, jej ulubiona rozrywka - ale zapewniła Tima, że nie będzie miała czasu, by zagrać podczas tej wyprawy, która zapowiadała się bardzo pracowicie. Tim zawiózł ją prosto do hotelu, sugerując, aby się zdrzemnęła przed wizytą u Anne-Sophie, a następnie u Estelle, tak żeby mogła wytrwać tego pierwszego wieczoru przynajmniej do dziesiątej.

- Wszystko, czego sobie życzysz, kochanie, jestem w twoich rękach - powiedziała i Tim ponownie uświadomił sobie, że rzeczywiście przyjechała na całe dwa tygodnie.

Anne-Sophie czekała na nich w domu, podczas gdy Tim pojechał jej samochodem odebrać matkę z hotelu o szóstej. Cecile objęła ją z całą bezpośredniością i przyjrzała jej się uważnie, tonąc w nieustających zachwytach. Była *ravie*, Anne-Sophie była *ravissante*. Mówili po francusku.

- Dokładnie taka piękna i urocza, jak się spodziewałam!

Choć, jak wyznała, kłóciło się to z naturą francuskiej teściowej, by natychmiast polubić kobietę, którą syn wybrał na żonę, w jej wypadku tak właśnie się stało. To była prawda. Cecile i Anne-Sophie spojrzały na siebie, dwie szczupłe, wysportowane blondynki, i każda zobaczyła w tej drugiej swoje odbicie. To podobieństwo Anne-Sophie

do jego matki kazało Timowi zastanowić się chwilę - czy wszystko rzeczywiście jest aż tak zdeterminowane?

- Mieszkanie jest cudowne, chciałabym zobaczyć suknię! - zawołała Cecile. - Chciałabym zobaczyć wszystko!

Jeśli chodzi o spotkanie Estelle i Cecile, raczej nie można było mówić o natychmiastowej sympatii. Mimo łączącej je *francophonie* wspólny język zdawał się jeszcze bardziej irytująco podkreślać dzielące je różnice. Nieduża Estelle, elegancko ubrana w czarne spodnie i sweter z golfem oraz srebrne pantofle, krytycznie przyjrzała się Cecile w tweedach, która przypuszczalnie sama uszyła fioletowy blezer z adamaszku, jaki włożyła na tę okazję. Już samo to było niepokojące, ponieważ wskazywało na skąpstwo anglosaskich mężczyzn - nawet tak niesłychanie bogatych jak monsieur Nolinger - gdy chodziło o ich byłe żony. Rzecz, która nie wróżyła najlepiej Anne-Sophie, gdyby syn Cecile okazał się podobny do ojca, jeśli sprawy między młodymi nie ułożyłyby się tak harmonijnie, jak zakładali wszyscy z wyjątkiem powieściopisarki Estelle.

- To takie odważne z pani strony, że została pani w Ameryce. Nie odczuwała pani nigdy pokusy, by wrócić do Francji, to znaczy do Belgii?

- Och, mieszkam już w Stanach tak długo, mam tam swoich przyjaciół - wyjaśniła Cecile łagodnie.

- Zawsze chciałam odwiedzić Amerykę. Pewnego dnia to zrobię. W każdym razie Nowy Jork - powiedziała Estelle.

- Zdaje się, że niewielu Francuzów przyjeżdża do Michigan - przyznała Cecile smętnie. - Gra pani w brydża?

- Brydża? Nie! - odrzekła Estelle. - Niestety - dodała nieszczerze. Cecile porzuciła ten temat.

- Chciałabym, żeby pani zadzwoniła do mnie, gdyby trzeba było jakiejś pomocy w dowolnej sprawie; ślub już za dwa tygodnie, musi pani być szalenie zajęta. Proszę koniecznie do mnie zadzwonić.

Tim i Anne-Sophie wymienili porozumiewawcze spojrzenia, oboje poczuli się niezręcznie. Estelle nie była zavalona pracą z powodu ślubu, prawdę mówiąc, nawet nie zainteresowała się szczegółami.

- Z całą pewnością ja będę potrzebowała pani pomocy, gdy termin ślubu zacznie się zbliżać - Anne-Sophie szybko zapewniła Cecile. - Chciałabym pokazać pani *liste de mariage* oraz prezenty jakie nadeszły do tej pory.

- Rodzina ojca Toma ma trochę pięknej chińskiej porcelany, Limoges, mam nadzieję, że to od nich dostaniesz - powiedziała Cecile. - Sama niczego nie zatrzymałam, oddałam wszystko. Także srebra, ale zawsze mówiłam, że żona Toma powinna to dostać.

- Wiesz, tata przyjeżdża na ślub. Razem z Terry... - powiedział Tim nagle przestraszony, że być może matka nic o tym nie wie. Na podstawie przelotnej zmiany wyrazu jej twarzy nie potrafił powiedzieć, czy rzeczywiście nic o tym nie wiedziała.

- Och, mam nadzieję, że tak! - zawołała radośnie.

ROZDZIAŁ 42

Zasady

Przez kilka następných dni po niedzielnym lunchu Clara czekała na telefon i rozmyślała nieustannie o krótkiej chwili, jaką spędziła na polanie z Antoine'em de Persandem. Gdyby poszli jeszcze kilka kroków dalej, weszli głębiej w las, mieli jeszcze trochę czasu, mogliby się pocałować. Zbliżyła się do niego, on zbliżył się do niej i właśnie wyciągał rękę - oboje znaleźli się we władaniu jakiejś przemożnej potrzeby, która wykluczała jakąkolwiek dyskusję i kierowała ich ciałami. Nagle rozległo się niskie gardłowe warczenie zwierzęcia, trzasnęła gałązka, szybko zorientowali się, że ktoś jest w pobliżu, i uświadomili sobie bezprawną naturę swoich impulsów oraz to, że być może gdzieś niedaleko jest Serge albo Trudi. Z poczuciem winy szybko skryli się za skałą, jak gdyby schwytano ich *en flagrant delit*.

- Zadzwoń. Mogę zadzwonić? - powiedział smutno.

- Tak - szepnęła. - Tak.

Po czym spiesznie tuszeli w przeciwnych kierunkach przez zarośla.

Ale kiedy w końcu w poniedziałek rozległ się dźwięk telefonu, w słuchawce odezwał się reporter „Le Monde”, który chciał dowiedzieć się od madame Cray, kiedy może spodziewać się zapowiadanego rozwiązania sporu w stylu lady Godivy. Clarę aż zatkało. Skąd mogli się dowiedzieć o tej nieprzyjemnej scenie?

- Widziała pani ostatniego „Paris Matcha”, madame?

Szybko pobiegła po czasopismo. Zobaczyła w nim swoją fotografię (całkiem dobrą), jak stoi na schodach urzędu pocztowego Etang-

-la-Reine otoczona przez grupę osobników wyglądających na tyrolskich wieśniaków. Wszystko w kolorze.

Cray był wściekły, gdy zobaczył tę scenę w poważnym tygodniku, o wiele bardziej wściekły niż wtedy, gdy Clara mu o niej opowiedziała. Członkowie amerykańskiej społeczności w Paryżu także zobaczyli zdjęcie i na nowo zapałali oburzeniem; czyżby Amerykanie nie byli bezpieczni nawet na poczcie? Pewne kręgi francuskiego społeczeństwa również poczuły się oburzone w imieniu Clary. Crayowie nie zdawali sobie sprawy z tego, że mogą mieć we Francji stronników, ale gdy prasa zaczęła się rozpisywać o całym zdarzeniu, relacje te wzbudziły w pewnych kręgach zdecydowany sprzeciw wobec polowań, podobnie jak odruch zdecydowanego poparcia w innych. W rezultacie u drzwi Crayów pojawili się przedstawiciele zarówno Towarzystwa Świętego Huberta, jak i Stowarzyszenia Świętego Eustachego, Ligi Przeciwników Polowania oraz Towarzystwa na rzecz Obrony Dzikich Zwierząt; osoby sprzeciwiające się strzelaniu do ptaków przed okresem godowym oraz obrońcy praw posiadaczy własności prywatnej; osoby składające petycje do Parlamentu Europejskiego i rzecznicy zakazu polowań w środy, gdy uczniowie szkół wybierają się do lasów, albo w niedzielne popołudnia, albo po pijanemu. Clara i Serge, poruszeni, zapraszali swoich stronników do środka i częstowali herbatą, Clara odbierała od nich wszystkie broszurki zachęcające do przesyłania dotacji. Wysłannicy LPP zostawili im wielkie tablice do rozwieszenia w lesie z napisem:

REFUGE, CHASSE INTERDITE

Nul n'a le droit de chasser sur la propriété d'autrui sans le consentement du propriétaire ou de ses ayants droit.

ICI COMMENCEMENT LE RESPECT DE LA VIE ET
L'AMOUR DE LA NATURE

W odpowiedzi na te działania przeciwników polowań - niektórzy z nich byli posiadaczami dużych majątków - mer Etang-la-Reine szybko zakazał zbierania grzybów na terenach należących do gminy i przeznaczonych na polowania.

- Poza tym wiosną zastanowimy się nad sprawą ścinania kwiatów
- obwieścił z groźbą w głosie.

W europejskim wydaniu „Time'a” zamieszczono reportaż na temat całej sprawy, wydobywając przy tej okazji z archiwów wytwórni filmowej kilka dawnych fotografii Clary. Na widok tego, jak bardzo zmieniła się od tamtej pory, zakręciło jej się w głowie z przerażenia na myśl, że życie tak szybko przeszło jej obok. Jak mogła w ogóle sądzić, że monsieur de Persand będzie nią zainteresowany, to przecież niemożliwe. Wiedziała, że to szaleństwo chorować z miłości w chwili, gdy powinna się raczej martwić albo grożącym jej więzieniem, albo losem swojego dziecka w Anglii, albo nieszczęściem niewinnych stworzeń żyjących w lasach.

Jednocześnie nie było wcale nieprzyjemne zostać bohaterką oraz ikoną walki o słuszną sprawę. Z inicjatywy Dorothy Sternholz paryscy Amerykanie postanowili zorganizować imprezę dobroczynną na rzecz Funduszu Obrony Amerykańskich Wolności.

- Arthur Pearlberg wyjaśnił mi, że chodzi tu również o inne kwestie i stawka jest znacznie poważniejsza niż ten jeden przypadek - oświadczyła Dorothy Sternholz, *nee* Minor, w rozmowie z Amesem Everettem. - Jeśli nie zareagujemy na tak niesprawiedliwe prześladowania Amerykanów, możemy liczyć się z eskalacją. To tylko odprysk nieoficjalnej francuskiej polityki zagranicznej. Zdaniem Arthura powinniśmy od czasu do czasu przypominać Francuzom, że sporo zainwestowaliśmy we francuską gospodarkę, nie mówiąc już o tym, że kupujemy w Stanach ich towary.

- Jestem pewna, że wielu Francuzów podziela nasze uczucia - dodała Martha Jacobs, bibliotekarka w American Library.

- Nie chodzi o to, że Serge'a Craya nie stać na obronę żony, ale nikt nie może pozwolić na to, by jakiś naród dopuszczał się prawdziwie irracjonalnych prześladowań. Wszyscy wiedzą, że Crayowie wprowadzili się do zupełnie pustego domu, po prostu ruiny, gołych ścian.

- Czy to prawda, że sprawa boazerii jest tak nagłaśniana, by zmusić ich do ustąpienia w kwestii polowań?

- Pewnie tak. Jednak boazerię ktoś usunął, a potem sprzedał. Miejscowa gmina i historia Francji zubożały i ktoś musi za to zapłacić. I trudno mieć o to pretensje.

- Zastanawiam się, czy możemy wstępnie zwrócić się do Tima Nolingera o dziesięć tysięcy. Dużo zadaje się teraz z Crayami.

- Lepiej spytać go teraz. Przypuszczalnie będzie hojniejszy przed ślubem niż później - rzekł Ames ze śmiechem. - Jak mówi porzekadło: potrzebujesz księgowego, ożeń się z Francuzką.

Arthur Pearlberg przyszedł na spotkanie nieco wcześniej niż inni i stali teraz we trójkę, rozmawiając przyjaźnie. Zawsze z pewnym zdumieniem słuchali, gdy wielki prawnik, niewysoki, posiwiały osobnik skryty za rogowymi okularami, dawał się porywać swojej niespożytej elokwencji i szeroko rozwódził się o tym, w jaki sposób narastające antyamerykańskie nastroje w Europie stanowią, paradoksalnie, odbicie wzrostu antyrządowych nastrojów w samych Stanach.

- Skoro Amerykanie nie są teraz bezpieczni nawet na poczcie...
- Dorothy zadrzała.

- Pamiętaj, że w Ameryce także nie są bezpieczni na poczcie. Słyszałaś o tych strzelaninach - przypomniał jej ktoś.

Tim i Anne-Sophie wzięli udział w zbiórce funduszy oraz w muzycznej części wieczoru, na którą złożyły się pieśni skomponowane przez Samuela Barbera. Anne-Sophie, jako osoba obdarzona dość przeciętnym słuchem muzycznym, wierciła się niespokojnie podczas koncertu i po wyjściu powiedziała złośliwie do Tima:

- Muzyka amerykańska jest naprawdę okropna, musisz to przyznać. Nie licząc jazzu i muzyki popularnej. Kiedyś słuchaliśmy Ferde Grofe i myślałam, że umrę.

- Naprawdę sądzisz, że Samuel Barber jest gorszy niż Gabriel Faure? Albo Ravel? Czy naprawdę dobrowolnie chciałybyś słuchać *Lenfant et les sortilèges*? - odparł wojowniczo.

Na szczęście dla spokoju swojego sumienia błędnie odczytał proponowaną mu sumę datku i z poczuciem głębokiej słuszności i spełnionego obowiązku zaoferował dziesięć dolarów.

Cray z jeszcze większą intensywnością rzucił się w wir prac związanych z filmem. Zadzwonił do kilku osób, które współpracowały z nim przy wcześniejszych produkcjach, między innymi do Lesa Chadbourne'a, scenografa *Królowej Karoliny*, i do operatora Gusa Gustafsona, który stał na czele drugiego zespołu, by omówić

z nim kwestię znalezienia plenerów, jeśli nie we Francji, to może w Hiszpanii, które mogłyby odegrać rolę amerykańskiego Zachodu. Prowadził długie konsultacje z Delią i zastanawiał się, czy nie nadeszła pora, by ściągnąć scenarzystę. Wydawało się, że jego ciężkie ciało porusza się teraz lekko, i nie wysiadywał już przy kuchennym stole pogrążony w lekturze. Clara nie potrafiła odgadnąć, czy to wszystko miało coś wspólnego z filmem, czy raczej ze sprawą polowań, a może obie kwestie były w jakiś sposób ze sobą powiązane i działały na siebie pobudzająco. Raz czy dwa Serge chciał się z nią kochać; nieczęste wydarzenie w ostatnich czasach.

- SuAnn nie jest obłąkana. To znaczy rzeczywiście jest bardzo spięta i łatwo się ekscytuje, może mieć pewne zaburzenia, kiedy nie bierze leków, ale nie myli się co do tego, co tu się u nas dzieje. Jest pełno znaków wskazujących, co planują federalni, kiedy zaczną się kłopoty. Widzisz, to będzie wymówka, zamieszki, braki żywności, i wtedy federalni wkroczą. Nie wierzę w to, że to jest jakiś obcy rząd, oczywiście że nie, to jest nasz rząd. Choć są ludzie, którzy uważają, że to cudzoziemcy, a teraz tam u was aresztowali chłopaka SuAnn i można się zastanawiać, czy Francuzi sami się w to wszystko nie zaangażowali.

- Delia spróbuje się zorientować, co się stało - powiedziała Clara niejasno.

- Delia Sadler?

- T a k .

- Ta dziewczyna od nas? Wiesz, przyczepiła się do chłopaka SuAnn, są z nią pewne kłopoty - powiedziała Cristal.

- Biedne dziecko, z tym jej biodrem...

- Chcesz porozmawiać ze swoją mamą?

- Tak, dwa słowa.

- Ludzie widzieli czołgi niedaleko Hood River. Tu jest o wiele gorzej, niż ci się wydaje, nie masz o tym zielonego pojęcia.

- Proszę, daj mi mamę do telefonu, Cristal - powiedziała Clara.

ROZDZIAŁ 43

Wyrzeczenie

Kiedy Antoine de Persand w końcu zadzwonił po kilku dniach, mówił przyjaźnie jak sąsiad, ale rzeczowo. Podziękowała mu za niedzielny obiad. Spytał, czy może bywa czasami w tygodniu w Paryżu.

- Ostatnio tak. Mamy gościa, który spędza mnóstwo czasu w Luwrze. Zresztą poznał ją pan. Zawożę ją tam prawie każdego dnia.

- *Dejeuner* pewnego dnia, może w czwartek?

Naprawdę się zawahała. Wiedziała, że to niedobry pomysł.

- Dobrze, w porządku. - Jej reakcjami kierowała pewna bierność sprawiająca jej głęboką satysfakcję.

- *Bien*. O pierwszej w... powiedzmy, Pierre Traiteur? To przy rue de Richelieu, naprzeciwko Palais Royal. Niedaleko Luwru, więc nie powinno sprawić kłopotu.

- Dobrze. Tak - powiedziała. - A więc o pierwszej. Do widzenia.
- I odłożyła słuchawkę.

Z nadzieją pomyślała, że przypisał jej małomówność obecności męża kręcącego się gdzieś w pobliżu, a nie jakiejś zasadniczej tępcie. Do tego stopnia była podekscytowana tą rozmową, że niemal spodziewała się, iż Serge wszystko słyszał albo nagrał na taśmę.

Nie mogąc doczekać się czwartku, Clara żyła w jakimś transie pełnym niedowierzania i oczekiwań. Spodziewała się, że głównym motywem tego lunchu będą jego słowa: „nie możemy” i „to szaleństwo”. Niemal słyszała jego argumenty i nie miała żadnych kontrargumentów.

Z drugiej strony coś w jego zrezygnowanym uśmiechu na leśnej polanie wskazywało na to, że porzucił już swoje obawy. Nie obchodziło ją, czy będzie tak, czy inaczej; spędzi z nim przynajmniej ten lunch, z tym jedynym na świecie człowiekiem, z którym najbardziej pragnęła po prostu porozmawiać i poczuć, że jest jej przyjacielem.

Życie potrafi rozjaśnić się w nieoczekiwany sposób. Clara dostrzegła teraz we wszystkim iskrę, która przynajmniej chwilowo rozwiewała mroczne widma czekającego ją więzienia, kłopotów z Larsem, Serge'em i matką, i ta iskra wcale nie musiała mieć nic wspólnego z seksem. Co właściwie myślała o tym wszystkim, czekając na potajemne czwartkowe spotkanie?

W środę obudziła się zlana potem ze strachu. W nocy przyszło jej do głowy, że być może naprawdę ukradła tę boazerię. Słowo „boazeria” zawsze kojarzyło jej się z bogato rzeźbionymi panelami z jasnego drewna, a może były malowane i pozłacane, z fragmentami chińskich tapet lub ściennych malowideł Watteau. Ale teraz, w półsennej sekwencji obrazów, zobaczyła robotników zdejmujących coś, co wyglądało jak zniszczone płyty ze sklejki w jasnozielonym kolorze, na których widniały być może jakieś prostokątne nacięcia, jak w drzwiach. Czy to właśnie były owe boazerie? Przerazona pomyślała, że musi pójść do Serge'a i go spytać. Może on coś pamięta. I co się stało z tymi zielonymi płytami? Na myśl przyszedł jej śmietnik albo kominek, drewno na opał. Takie panele widuje się przy okazji burzenia starych domów, z przylepionymi do nich kawałkami tapety, pokryte plamami wilgoci i pyłem zdartych tynków, odrażającym śmietnikiem dawnego życia.

Postanowiła zadzwonić do Tima Nolingera i opowiedzieć mu o tym wszystkim. Powie mu, że być może ukradła tę boazerię, choć nawet jeśli się tak stało, nie rozwiązywało to zagadki, kto sprzedał ją następnie na aukcji w Drouot. Ale gdyby Tim zdołał znaleźć osobę, która je kupiła, mogliby je odkupić i wszystko stałoby się łatwiejsze.

W czwartek rano obudziła się z lekkim sercem, ponieważ w nocy podjęła ostateczną decyzję, że nie będzie angażowała się w żaden romans z Antoine'em de Persandem, gdyby nawet zarysowała się taka możliwość. Nie miało sensu zaczynać jakiegoś nowego związku,

choćby miał sens i był uzasadniony moralnie. Groziło jej więzienie albo deportacja, musi się teraz skupić na walce o swoje życie; chodziło o kwestię priorytetów oraz przyzwoitości. Clara głęboko wierzyła w znaczenie kilku spraw i jedną z nich było przestrzeganie własnych zobowiązań, na przykład małżeńskich. Jeszcze raz przeprosi za swoje bezmyślne wyznanie miłości uczynione w więzieniu. Więzienne wyznanie. Wstawała z czystym sercem i umysłem, wolna od lubieżnych, niewytłumaczalnych nadziei na choćby najdrobniejszą pieszczotę. Była znowu Dianą, czystą i przeciwną łowom.

Mimo swoich obaw o los Gabriela i nieustannych narad, jakie prowadziła w tej sprawie z przyjaciółmi w Ameryce, Delia chciała wciąż spędzać co dzień kilka godzin w Luwrze. Jak się okazało, dotyczyło to również dnia, w którym Clara umówiła się na lunch z Antoine'em, okoliczność nader dogodna, ponieważ dzięki temu Clara nie potrzebowała innych wymówek. Delia zgodziła się, by wyruszyły w południe.

Niezależnie od swoich czystych intencji Clara wykapała się i ubrała starannie. Miała pewne wyobrażenia na temat tego, co Francuzka włożyłaby na lunch z atrakcyjnym mężczyzną, z którym nie ma zamiaru wdawać się w romans. Inspiracji w tej materii dostarczyła jej pewna scena, jakiej była świadkiem wiele lat temu, na początku swojego pobytu we Francji, gdy w jakimś butikku zobaczyła tęgą, normalnie wyglądającą kobietę w średnim wieku, z początkami zmarszczek na szyi, która wysunęła głowę z przebieralni, żeby o coś zapytać, i widać było, że ma na sobie czarny stanik ozdobiony różowymi wstążkami, czarne kolorowe majtki oraz dobrany do tego koronkowy pas i pończochy. Pod swoją zwykłą sukienką ta francuska gospodyni domowa była ubrana niczym madame z jakiegoś westeru albo dziewczyna z wodewilu!

Zrobiło to na Clarze ogromne wrażenie. Wyraźnie erotyczne konotacje bielizny tamtej kobiety dawały świadectwo dbałości o własną przyjemność, a także przypuszczalnie szacunku dla siebie samej, o jakim przeciętna mieszkanka Oregonu nie ma zielonego pojęcia. Niewykluczone, że włożyła ten seksowny strój, żeby zrobić

wrażenie na sprzedawczyniach ze sklepu, ale chyba nie w tym rzecz - nosiła go z jakichś metafizycznych powodów. Clara nosiła z reguły amerykańską bieliznę, Olga albo Warner's, wyłącznie białą.

Zaczęła przeglądać szuflady w poszukiwaniu stanika i majtek, które przynajmniej pasowałyby do siebie, z nadzieją, że zachowały choć odrobinę niezniszczonej koronki. Oczywiście nie miała pasa do pończoch. Lekko zadrzała; w jej pokoju było zimno - w *chateau* Madame du Barry było zimno. Całe to przebieranie się wydało jej się głupie, bo przecież nie będą się kochać - nigdy! - ale przynajmniej poczuje się wzmocniona wewnątrz przez te pasujące do siebie komponenty z różowej satyny.

Wysadziła Delię tam, gdzie zwykle, naprzeciw muzeum, i pojechała zostawić samochód na podziemnym parkingu; idąc przez Tuileries oraz place du Palais Royal, a potem w górę rue de Richelieu, mijała część Paryża, w której galanteria i seksualne spotkania królowały już w siedemnastym wieku, a może wcześniej.

Estelle była raczej rozczarowana Cecile. Przy bliższym wejrzeniu jej garderoba prezentowała się całkiem normalnie i niezbyt kosztownie, nawet biorąc pod uwagę amerykańską oszczędność, a do tego ten belgijski akcent i skromne aspiracje! Na plus można jej było policzyć to, że najwyraźniej uwielbiała Anne-Sophie i była gotowa ją pokochać, nie zanosilo się więc na to, że zamieni się w kłopotliwą teściową.

- Ojciec przyjedzie dopiero w przeddzień ślubu. Jak przypuszczam, to bardzo amerykański w typie mężczyzna, opętany fikcją braku czasu - mówiła Estelle w rozmowie z Cyrille Doroux. - Bez wątplenia źle traktował biedną Cecile, to znaczy *maman*, jego nowa żona na pewno będzie się popisować. Tim nie wspominał nigdy, co myśli o macosze. Zagadka, ale mam nadzieję, że nie jakaś katastrofa.

ROZDZIAŁ 44

Spotkanie

Monsieur de Persand zjawił się tuż przed nią w restauracji i rozmawiał właśnie z *maitre d'hôtel*, który najwyraźniej go znał (jadł tutaj często? z kochankami?). Miał na sobie ciemny garnitur biznesmena i jedwabny krawat w paski i gestem stałego bywalca wręczył swoją teczkę dziewczynie z *vestiaire*.

- Ach - powiedział na widok Clary - *bonjour*.

Uśmiechnęła się do niego i do *maitre d'hôtel*, który nawiązał na ułamek sekundy wzrokowy kontakt z Antoine'em i dał mu dyskretne, bez impertynencji do zrozumienia, że jest pod wrażeniem jej urody oraz doskonałego gustu i szczęścia monsieur de Persanda. Antoine skłonił się nad jej wyciągniętą dłońią. Kierownik sali zaprowadził ich do stolika. Niewielka restauracja, w której goście widzą się nawzajem; uwagi obecnych nie uszła piękna kobieta w eleganckim kostiumie i starannie dobranych perłach, która upuściła torebkę. Clara zajęła miejsce z rumieńcem na twarzy.

Antoine de Persand wydawał się spokojny, zdradzając wyraźne doświadczenie w kwestiach zasiadania do dobrego francuskiego lunchu.

- Aperitif? Może porto?

Mówili po francusku, co wzmagało jej niepokój. Choć mówiła już w tym języku niemal idealnie, w chwilach stresu nagle potrafiła wszystkiego zapomnieć, i zwykle tak właśnie się działo.

- *Kir champagne* - zaproponował.

Serce zabiło jej mocniej. To był aperitif kojarzący się z uwodzeniem i uroczystymi okazjami.

- J a k pięknie wyglądasz, Claro. Claro, jeśli mogę?

- Antoine - zgodziła się na tę eskalację.

Jej zdecydowane postanowienie osłabło leciutko na widok jego przystojnej twarzy z dołkiem na brodzie, jego wyniosłego dystansu, zupełnie jakby był jakimś reflektorem, który świecąc z wysoka, przypadkiem skupił się na niej. Czy powinna zaraz na wstępie powiedzieć to, co ma do powiedzenia? Wyrzucić to z siebie od razu, przeprosić, wyjaśnić, że była wtedy taka nieszczęśliwa - a kto by nie był, w więzieniu - że po prostu nie była sobą? Ale jak wyjaśnić ten magnetyzujący moment, chwilę w lesie, gdy omal nie rzuciła mu się w ramiona?

Zamówił drinki. Kelner przyniósł menu, ale Antoine położył swoje na stoliku, nie otwierając.

- Co nowego dzieje się w twojej sprawie?

Powiedziała mu, co wie o postępkach w pracy *juge d'instruction*, sędzi, która zbliżała się już do podjęcia ostatecznej decyzji; o poszukiwaniu prawdy w kwestii sprzedaży boazerii.

Antoine się roześmiał.

- Wy Amerykanie, macie dziwne pojęcie o prawdzie. We Francji sędziowie nie przejmują się prawdą. A poza tym czym jest prawda? Każdy i tak ma swoją prawdę. Francuski sędzia usiłuje znaleźć takie rozwiązanie, dzięki któremu ludzie mogą jakoś ze sobą żyć. Tak samo prawnicy, adwokaci usiłują znaleźć porozumienie, dzięki któremu ludzie mogą *vivre ensemble*. Równowaga społeczna, stabilność systemu. To jest najważniejsze. Rzeczywista prawda nie ma znaczenia. Napoleon dobrze o tym wiedział. - Otworzył swoje menu.

- To dlatego, że jesteśmy Amerykanami, tak? Dlatego nas przesładują?

- Rzeczywiście, istnieje u nas pewna skłonność do nienawidzenia Amerykanów, wydaje się, że cykliczna. W tym momencie przybiera postać sporów handlowych i nowych zastrzeżeń wobec NATO. Francuzi zawsze są nacjonalistami, polityczna prawica w sposób otwarty, a lewica - no cóż, dochodzi do tych samych wniosków, tylko

inną drogą. Mówi: niech każdy będzie sobą, pozwólcie nam być Francuzami, a zatem do diabła z *Parkiem Jurajskim* i innymi świadectwami kulturowej dominacji Ameryki.

Westchnęła.

- Mimo to nie rozumiem, jak mogą mówić, że sprzedaliśmy coś, czego nie mieliśmy. - Nie powiedziała mu o swoim śnie sprzed zaledwie dwóch dni, w którym śniło jej się, że tak właśnie się stało. Zobaczyła w wyobraźni tę boazerię z zielonej sklejki równie żywo jak tamtej nocy. - Jak sądzisz, co powinniśmy zrobić?

- Ty i ja? - Uśmiechnął się.

- Och nie, miałam na myśli siebie i Serge'a i nasze kłopoty z boazerią oraz polowaniami.

- Aha. Tutaj robią wyjątkowo dobre *oeufs meurette*. Także nerekci w sosie musztardowym.

- Wezmę sałatkę, a potem *steack de thon* - powiedziała, prawie nie zaglądając do menu.

- Wolisz lekkie czerwone wino do *thon*? Czy raczej wolałabyś Pouilly Fume?

- Czerwone, zdecydowanie. - W tym momencie najwyraźniej wyczerpali wszelkie możliwości rozmowy na temat menu.

- Jestem zadowolony ze swojego pomysłu sprzedania wam dwóch hektarów leżących na tyłach moich ziem. Choć obawiam się, że moja matka będzie robiła trudności w tej sprawie. Niemniej to rozstrzygnie kwestię polowań. Nawiasem mówiąc, wielu Francuzów stoi po waszej stronie, wiele osób sprzeciwia się polowaniom. Nie jesteśmy wyłącznie narodem zabójców.

- Dlaczego właściwie to robisz? - spytała Clara.

- Jesteś bezpośrednia, jak wszyscy Amerykanie. - Roześmiał się. - Przypuszczalnie głównie dlatego, że się w tobie zakochałem. Nie znoszę myśli, że miałabyś znaleźć się w więzieniu. - Powiedział to tonem flirtu, najwyraźniej nie całkiem na serio. - Chciałbym wyświadczyć ci przysługę. Oczywiście nie zależy mi specjalnie na tym, żeby wyświadczyć przysługę twojemu mężowi. *Au contraire*. - I to również powiedział tak lekko, że na chwilę zabrakło jej tchu. Tonem, który mówił, że nie należy brać go całkiem na serio, może jedynie odrobinę.

- Powinniśmy porozmawiać... o tym, o czym musimy porozmawiać, i po prostu mieć to za sobą, żebyśmy mogli spokojnie cieszyć się naszym lunchem. - Clara, z powodu swojego amerykańskiego bezpośredniego stylu bycia, nie potrafiła znieść powolnej ewolucji tak ważnej rozmowy, zwłaszcza teraz, gdy sięgnęła wyżyn otwartości mimo lekkiego tonu, w jakim była prowadzona, i gdy jej samej groziło, że nadal będą ją dręczyły niepokojące myśli i gorące pragnienia. - Przykro mi, że powiedziałam wtedy do ciebie to, co powiedziałam, po prostu... pomyliłam się.

- Przykro mi to słyszeć. - Skinął na kelnera, żeby nalał im wina.

- To znaczy mówiłam szczerze - zapewniła - ale to jest coś, z czym nie możemy nic zrobić, więc byłoby mniej niestosownie, gdybym tego nie powiedziała.

Byłoby mniej niestosownie, *moim indiscipline*. Dlaczego po francusku trzeba wszystko powiedzieć w formie przeczącej i w szyku odwrotnym?

- A czemu w ogóle zjawiłem się w więzieniu? Ponieważ musiałem cię zobaczyć. Ponieważ już wtedy opanowały mnie „szalone myśli”. Zgadzam się, że to raczej dość niewygodna namiętność. - Uśmiechnął się, aby zaznaczyć, że w jego zdaniu *sa guillements*, *znaki* cudzysłowu okalające słowo „namiętność”.

Miała wrażenie, że mu żal tak samo jak jej, tylko że najwyraźniej doszedł do całkiem przeciwnego wniosku niż ona i stara się jej teraz powiedzieć, że być może powinni postąpić zgodnie z nakazami wzajemnej fascynacji. Zdecydowanie pokręciła głową, starając się przekazać w ten sposób, że to niemożliwe, i podjęła jakiś banalny wątek. Czy poza polowaniem jeździ na nartach, a może żegluje?

Wdali się w rozmowę dwojga osób, które pragną się poznać. On nie wiedział, skąd ona pochodzi, ani o tym, że ma głuche dziecko; ona nie wiedziała, na czym dokładnie polega jego praca, ani tego, że zajmuje się sprawami Roxy de Persand - Amerykanki, którą znała dość przelotnie. Spytał ją, jak długo jest żoną Craya, i wypytywał o Larsa. Czy lubi gotować? Czy to ona zajmuje się ich ślicznym ogrodem? Nie mówili więcej o swoich uczuciach. Jeśli nie liczyć wyznań, od jakich zaczęli na początku, tak bardzo najeżonych pułapkami

przesady albo nieszczerości, nie znali się nawzajem na tyle dobrze, by mogli mówić o uczuciach.

Nie rozmawiali też o swoich małżonkach ani o tym, czy są szczęśliwi albo nieszczęśliwi. Clara starała się naśladować radosny ton, który tak podziwiała u Francuzek, i naprawdę cieszyło ją, że ma teraz nowego przyjaciela, że są sąsiadami, oboje kochają psy i podziwiają malarstwo La Toura. Zdała sobie sprawę z tego, że nie zna wielu Francuzów. Widywali gości z Kalifornii, wielbicieli talentu Craya, innych Amerykanów, jak Tim Nolinger albo państwo Pace'owie, a także członków kościoła episkopalnego, ponieważ Clara czasami odczuwała potrzebę, by posłuchać muzyki w amerykańskiej katedrze, oraz dziennikarzy - ale nie Francuzów, jeśli nie liczyć mera Briaca albo *commercants* z miasteczka. Nieco lepiej znała Francuzki.

Persand natomiast dobrze znał Amerykanki - rodzinę swojego zmarłego brata - i często wydawały mu się irytujące z tym ich nieszczerem, przesadnie szerokim uśmiechem. Clara także uśmiechała się w ten amerykański sposób, gdy coś ją rozbawiło, poza tym jednak sądził, że na jej obliczu królowało piękne zamyślenie.

Dowodziło to głębi jej uczuć; to była twarz kogoś, nad kim wisiały prawdziwe ciemne chmury, i w jej radości dostrzegał ich przelotne przebłyski. Podobało mu się, że lubi jeść, docenia każdą potrawę i zjada ją do końca. W Nowym Jorku, gdzie bywał czasami, ludzie zjadają jedynie połowę tego, co mają na talerzu, dając dowód marnotrawstwa i złych manier. Zawsze zwracał na to uwagę; pozostałość nauk z dzieciństwa, jakie wysłuchiwał od rodziców, którzy musieli znieść ciężkie czasy podczas wojny. Ludzie, którzy mieli za sobą wojnę, nigdy nie zostawiali niczego na talerzu. Ona zjadała wszystko i była tak piękna, a do tego miała w sobie jakąś tęsknotę, jakieś niespełnienie - w każdym razie tak mu się wydawało, choć nie umiałyby powiedzieć, co to takiego - czekające na chwilę przebudzenia.

Ostatecznie wdali się jednak w rozmowę kochanków - dwoje ludzi, którzy nigdy się nawet nie pocałowali, analizujący okoliczności swojego pierwszego spotkania, każde słowo, jakie wtedy wymówili, i co chcieli przez to powiedzieć. Oczywiście to się musi skończyć. Niemniej ogarnęło ją ekscytujące, szalone poczucie wolności, jak

gdyby znalazła się na łodzi żaglowej podczas silnego wiatru przerażającego się w szkwał. Widzieli, że oboje namiętnie siebie pożądata, jednak teraz, zamiast kochankami, zostaną przyjaciółmi. Już samo w sobie będzie to niezwykle cenne, jako sąsiedzka manifestacja niezwykle szczęścia. Pomyślała, że taki rezultat ich rozmowy może przynieść mu pewną ulgę.

Sztywny, nawet nieco pruderyjny mężczyzna siedzący po drugiej stronie stołu w pięknym garniturze, niemal błękitnoczarnym, w subtelne prążki, oraz idealnie białej koszuli i szarawym krawacie, pachnący delikatnie mydłem do golenia, wydawał jej się najbardziej godnym pożądaną mężczyzną, jakiego kiedykolwiek spotkała. W jego ciemnych, niezwykle intrygująco osadzonych oczach wyczuwała coś w rodzaju bólu albo tęsknoty, skrytych w jakichś głębszych rejonach szczerości, za całą tą swobodą francuskich manier, z ich galanterią, komplementami i starannym doborem win. Cywilizacja jest bolesna, pomyślała, to przez nią tkwimy tu na naszych krzesłach. Spytała, skąd wzięła się szrama na wierzchu jego dłoni (wybacz, że jej dotykam), i o talenty jego dzieci.

Pora na kawę. Persand poprosił o rachunek. Popatrzyli na siebie z nieskończonym żalem i pewną satysfakcją ludzi, którzy wiedzą, że robią słusznie; pocałowali się w oba policzki, jak należy, po francusku, ale trzy razy, raczej dość długo, Antoine przyłożył wargi do jej uperfumowanego policzka, nie markował pocałunku, po czym odebrał z szatni swoją teczkę.

- Cóż, madame Cray... - powiedział.

Nie spierali się o to, czego nie powinni teraz zrobić, i ani on nie stanął po jednej stronie sporu, ani ona po drugiej, i nie zamienili się potem zdaniem, analizując wszelkie przyczyny moralne i rodzinne oraz wszystkie pozostałe, choć mogliby, bo znali je na pamięć. Wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się, po czym jeszcze raz podziękowała za lunch.

Dokąd mogłoby to ich zaprowadzić? Lepiej niczego nie zaczynać, pomyślała raz jeszcze, tłumiąc nieśmiałe argumenty, te same, które powtarzała sobie po wielekroć, o krótkości życia, o ulotnej naturze szczęścia, o tym, że trzeba ulec pożądanemu, skoro dostrzegli swoją

miłość - Erosa, tego boga, który odsłania swoją twarz jedynie najszczęśliwszym ze śmiertelników, jakże nielicznym.

Po wyjściu z restauracji Clara spojrzała na zegarek. Jak to możliwe, że była już prawie czwarta? Delia na pewno dawno zdążyła wyczerpać swój skromny zapas uwagi, jaki mogła poświęcić sztuce. Clara pomknęła w stronę Luwru. Nagle ogarnął ją niezwykle silny ból w czaszce, chociaż nigdy nie cierpiała na bóle głowy. Zaczął się w jakimś węzle z tyłu szyi - czy to tam znajduje się rdzeń kręgowy zarządzający niektórymi prymitywnymi funkcjami, jak oddychanie? - i rozlał niczym fala sejsmiczna trzęsienia ziemi między dwiema połówkami czaszki, docierając aż do szczytu głowy, do punktu między oczami. Po obu stronach tego rozdzierającego bólu rozszerzał się jakiś tępy ucisk, jakiego nigdy wcześniej nie czuła. To było tak niespodziewane; czyżby jakiś rodzaj wylewu, który zdarza się nawet młodym kobietom? Poczwała, że musi zaraz pojechać do domu albo zwymiotuje, musi się położyć. Minęła długą kolejkę turystów spokojnie czekających na wejście, wyjaśniła strażnikowi, że spóźniła się na spotkanie, i zaczęła rozglądać się za Deką w rozległej przestrzeni zwieńczonej piramidą.

ROZDZIAŁ 45

Kasztany od Suzanne de Persand

Tim zadzwonił do Ceesa z pytaniem, czy nie ma jakichś nowych wiadomości w sprawie Gabriela, pragnąc upewnić się, że nieszczęsny Amerykanin uwięziony w Amsterdamie nie został brutalnie potraktowany lub poddany ekstradycji.

- Dziwny szczegół - powiedział Cees. - Czy wiesz, że Cray finansował terrorystyczną grupę z Oregonu?

Tim uznał to za niemożliwe, chyba że Delia namówiła go na jakąś dotację dla jednej z organizacji, w których działalność zgodnie ze swoimi opowieściami jest zaangażowana.

- Tak, tak, czek na - nie tak wiele, ale jednak - cztery tysiące dolarów pojawił się na koncie pewnej osoby powiązanej z grupą podejrzewaną o zamach bombowy na kościół w Lake Grove w Oregonie kilka lat temu.

- Naprawdę czasami mnie zdumiewacie. - Tim nie potrafił w żaden sensowny sposób powiązać tych faktów.

- W minionym roku w Ameryce było osiemset zamachów bombowych na kościoły, jak myślisz, Tim, co to oznacza?

- Nie mam pojęcia - powiedział Tim radośnie. - Epidemia antyklerykalizmu?

Jak dotąd nie zauważył, żeby Cray żywił jakieś specjalnie złe uczucia wobec religii. Nie, to zupełnie niemożliwe, żeby Cray wspierał terrorystów dokonujących zamachów bombowych na kościoły w Oregonie.

Cray, po lunchu zjedzonym w Etang-la-Reine z Chadbourne'em, brytyjskim scenografem, zmierzał właśnie na górę do swojego gabinetu, gdy powiadomiono go, że przyszła madame de Persand. W pierwszym odruchu chciał zostawić sprawę wizyty Clarze, jednak pewna myśl, coś, co Delia powiedziała mu ostatnio, skłoniła go do zmiany zdania; poza tym Clara była w Luwrze. Jednak gościem okazała się matka, nie żona przyjaznego sąsiada, Antoine'a de Persanda. Miała na sobie dobrze skrojony szary tweedowy kostium, z jakimiś odznaczeniami w butonierce wskazującymi na dawną służbę dla francuskiej ojczyzny.

- Monsieur Cray, miło pana widzieć znowu. Mam nadzieję, że wybaczy mi pan to nagłe najście. Przyniosłam madame Cray trochę kasztanów, zostawiłam je w holu.

- Ach, proszę usiąść, madame. Rozumiem, że ma pani jakąś sprawę do omówienia - powiedział Cray, ignorując zaproszenie do sąsiedzkich pogawędek na temat kasztanów. - Zdaje się, że staliśmy się ostatnio obiektem pewnej wrogości sąsiadów. Czy psy nie niepokoiły pani?

- Pański człowiek je powstrzymał.

- To dobrze.

- Powiem szczerze - rzekła madame de Persand, siadając - byłam niezwykle zaskoczona, gdy mój syn oznajmił, że chciałby sprzedać panu dwa hektary naszej ziemi.

- Sądzi pani, że to nie najlepszy pomysł. - To było stwierdzenie, nie pytanie.

- To bardzo życzliwy, dobry człowiek i oczywiście chciałby pomóc sąsiadowi. Cała ta sytuacja wymknęła się spod kontroli, mam na myśli zarówno *contretemps* w sprawie polowań, jak i kwestię zniszczenia *chateau*. Wiem, że to dla was bardzo przykre. Jednak jestem całkiem pewna, że mogę wywrzeć pewien wpływ na *monsieur le maire*, merze Briacu, i sądzę, że mogłabym panu pomóc.

- Potrzebna nam wszelka pomoc, jeśli to tylko możliwe.

- Przede wszystkim jestem gotowa powiedzieć mu, że my z naszej strony, a mamy więcej niż dwadzieścia hektarów, także nie pozwolimy dłużej polować na naszych terenach, odchodząc tym

samym od naszego zwyczaju w minionych latach, jeżeli nie zaprzestanie swoich upartych prób, by urządzić polowania na waszej ziemi. Ponieważ oba majątki przylegają do siebie w taki sposób, że polowanie w waszych lasach nie ma większego sensu dla miejscowych myśliwych, jeśli nie mają dostępu do naszych, takie postawienie sprawy powinno wystarczyć, by zostawili was w spokoju. Rozumie pan sens mojej groźby? Mer nie ma wyjścia i będzie musiał się zgodzić. W tej sytuacji ani pan nie będzie musiał niczego kupować, ani my niczego sprzedawać. Jeśli coś takiego powiem merowi, nie będą polować na waszym terenie.

- To byłoby bardzo szlachetne, madame de Persand. Ale co ma pani przeciwko sprzedaży?

- Och, zwykłe sprawy. Mam rozległą rodzinę, sporo wnuków, po prostu byłoby czymś nieodpowiedzialnym sprzedawać ziemię w tym momencie.

Cray roześmiał się,

- Rozumiem panią. A czy pani syn zawsze jest takim sympatycznym sąsiadem?

Cray przypomniał sobie słowa Delii po lunchu u Persandów: „Najwyraźniej pan de Persand jest zauroczony Clarą, zauważyłeś?”.

Madame Suzanne de Persand nie odpowiedziała. Coś w jej spojrzeniu wskazywało, że jej syn w żadnej mierze nie zawsze jest takim sympatycznym jegomościem i jego niewytłumaczalne zachowanie wzbudziło jej niepokój.

- Jeśli chodzi o prześladowania, jakie mer wszczął przeciw mojej żonie, to mam nadzieję, że wie pani, madame, iż nie zniszczyliśmy tego domu.

- Tak, to bardziej skomplikowana sprawa. Jestem *inquietee* o biedną madame Cray - odrzekła madame de Persand. - Ale na razie nic nie przychodzi mi do głowy, ponieważ trudno powstrzymać maszynę sprawiedliwości, kiedy raz zacznie działać. Musimy się zastanowić.

ROZDZIAŁ 46

Moc piramid

Delia siedziała niemal w samym środku rozległej podziemnej kondygnacji osłoniętej ogromną szklaną piramidą przykrywającą wejście do Luwru. Rozsiadła się na posadzce obok małej sterty złożonej z jej płaszcza i wielkiej torby oraz notatnika, tak że ludzie musieli obchodzić ją dookoła. To zaskakujące, że strażnicy pozwolili jej koczować w ten sposób, ale ta rozległa przestrzeń miała w sobie coś z obozowiska, jasnego nawet w szarym świetle późnej jesieni. Wokół nieustannie kręcili się turyści wychodzący z długich ruchomych schodów albo kierujący się w stronę innych schodów prowadzących dalej w dół, w głąb starożytnego pałacu. W oświetlonej stożkowej budowli, której ściany zbiegały się ponad ich głowami, niektórzy stali, rozglądając się, inni jedli albo czytali przewodniki lub gromadzili się, czekając na wycieczkę z przewodnikiem.

- Cześć, Delia, jesteś gotowa? - Clara starała się opanować łyż napływające jej do oczu i zastanawiała się, czy widać po niej ból.

- Mogę zostać jeszcze dziesięć minut? Nie zaczęłam dzisiaj na czas, ponieważ najpierw poszłam zobaczyć Wenus z Milo - powiedziała Delia. - Pomyślałam, że przynajmniej powinnam obejrzeć jakieś dzieło sztuki.

O czym ona mówi?

- Czy nie po to tutaj przyjeżdżasz?

- Tak, ale bardziej w sprawie terapii - wyjaśniła Delia. - Zaleca się siedzieć godzinę dziennie albo tak długo, jak zdołasz wytrzymać.

Luwr - dodała znacząco, widząc, że Clara najwyraźniej nie rozumie. - Moc piramid. Skupiających kosmiczną energię. Robiłam to przez ponad tydzień. Gdybym mogła przychodzić tu przez następny tydzień, na pewno poczułabym się całkiem dobrze.

- O Boże, Delia - powiedziała Clara, mocno poruszona. Łzy znowu napłynęły jej do oczu i zachciało jej się śmiać mimo straszliwego bólu głowy. Moc piramid! - Zauważyłam, że chodzisz lepiej.

Szczerze mówiąc, niczego takiego nie zauważyła, ale pomyślała, że niezależnie od wartości placebo, co jej szkodzi? A potem łzy niemal stłumiły jej śmiech. Musiała wyciągnąć chusteczkę z torebki. Straszliwie bolało ją serce.

Po powrocie do Etang-la-Reine nie potrafiła dłużej powstrzymać łez i pobiegła do swojego pokoju. Zaledwie kilka minut później Serge zastukał do drzwi jej sypialni.

- Claro, coś niedobrego stało się w Oregonie. Lepiej wyjdź.

Ale to on wszedł do środka. Siedziała na łóżku i czekała na jego słowa, wcale nie zaskoczona. Coś stało się jej matce i, jak rozumiała, na mocy karmicznego obrotu rzeczy, sama ściągnęła na nią nieszczęście swoim flirtem.

- Moja matka? - To nieuchronne, że będzie musiała zapłacić za sprzeniewierzenie się obowiązkom, nakazom lojalności i za to, że pozwoliła sobie ulec pragnieniom serca. Czy nie coś takiego sugerowała mgliście jej matka przez całe życie: że tak czy inaczej musimy zapłacić za wszystko?

- W pewnym sensie - powiedział Serge. - Zdaje się, że została porwana.

- O Boże!

- Dzwoniła matka Delii. Rozmawiałem z nią. To nie ma nic wspólnego z policją i możliwe, że nic się nie stało. Zejdź na dół, Delia ci wyjaśni, o co chodzi.

Clara szybko zbiegła na dół, by wysłuchać opowieści Delii.

- Zadzwoiła moja matka i powiedziała, że zatrzymała się koło domu twojej mamy, ponieważ zauważyła jakiś ruch na podjeździe, jacyś ludzie coś wnosili. Początkowo pomyślała, że coś wynoszą, że to włamanie. Tak czy inaczej, zainteresowało ją, że może ktoś nowy

się wprowadza, a ona nie ma pojęcia, że twoja mama się wyprowadziła. Wystawiła więc głowę przez okno samochodu i spytała, gdzie jest Cristal, na co jakiś facet powiedział, że Cristal wyjechała i że wnoszą tylko rzeczy do piwnicy. A potem spytała - to znaczy moja mama spytała - gdzie jest pani Holly, a on odparł, że razem z Cristal. I dodał, że nic więcej nie wie. Dlatego moja matka zadzwoniła tutaj, żeby dowiedzieć się czegoś więcej od ciebie.

- Czy zadzwoniła na policję?

- Nie sądzę, chyba uważała, że ty znasz jakieś wyjaśnienie.

- Na pewno stało się coś złego! Musimy zadzwonić na policję. Muszę tam pojechać! - zawołała Clara, czując, że zrobiła źle i że dzieje się coś niedobrego. Przypomniały jej się wszystkie dziwne, niedorzeczne rzeczy, jakie słyszała ostatnio od Cristal.

Kiedy niedawno rozmawiały, powiedziały:

- Coś się wkrótce wydarzy. Chcę, żebyś wiedziała, że będziemy tu bezpieczne. Są ludzie, którzy obiecali, że będą chronić twoją mamę i mnie. - Te słowa dobiegły do niej teraz równie wyraźnie jak wtedy, gdy usłyszała je od Cristal.

- Chyba zdecydowanie powinnaś pojechać - przyznała Delia. - Moja mama nie martwi się bez powodu.

- Oczywiście, że pojedę - zapewniła Clara, jednocześnie starając się uporządkować myśli: samoloty, rozkłady jazdy, przypuszczalnie nocny lot jeszcze dziś wieczorem. - Ale na razie muszę do kogoś zadzwonić.

- Nie zapominasz o czymś? - wtrącił się Serge. - Jesteś we Francji w stanie oskarżenia. Nie możesz wyjechać z kraju.

Oczywiście miał rację. Naruszyłaby zasady zwolnienia za kaucją. Zostałaby przestępcą ściganym międzynarodowym listem gończym. Poczula przygnębienie zmieszane z dziwną ulgą.

- A ty nie mógłbyś pojechać? - poprosiła. - Ktoś musi tam jechać od razu.

Ku jej zaskoczeniu Cray się zgodził.

- Myślę, że tak będzie najlepiej. Pojadę razem z Delią.

- Nie ma się czemu dziwić - odezwała się Delia. - Aresztowanie Gabriela na pewno wprowadziło wielką zmianę planów. Ludzie będą

się bali tego, co on może powiedzieć. Przeniosą się szybciej, niż zamierzali.

Ale nie potrafiła, a może nie chciała, wyjaśnić niczego więcej, a Cray nie naciskał. Najwyraźniej zachwycały go jej najbardziej nawet enigmatyczne wypowiedzi, jak gdyby był przekonany, że - niczym orzeczeń delfickiej wyroczni - nie należy poddawać ich zbyt dokładnej analizie, żeby nie odsłonić w ten sposób ich zasadniczej bezsensowności i nie zaprzepaścić mocy.

ROZDZIAŁ 47

Zabierz mnie na świetlisty brzeg

- Spędzasz każdą chwilę z Crayami - powiedziała Anne-Sophie ze złością poprzedniego wieczoru, gdy czekali na ulicy na taksówkę po kolacji, na której spotkali głównie jej francuskich przyjaciół. W miarę jak zbliżała się data ślubu, przyjaciele Anne-Sophie zaczęli akceptować fakt, że Tim stał się trwałym elementem ich kręgu towarzyskiego, i zaczęli zapraszać ich oboje. - Za kilka dni mamy się przeprowadzić, wraca twoja matka, jest tyle rzeczy do zrobienia, nawet sobie tego nie wyobrażasz, teraz jeszcze kwiaty, a ja muszę przypominać ci o każdym detalu. Co takiego fascynującego jest w tych Crayach? No tak, wiem, lepiej, żebyś nie odpowiadała.

- Głównie chodzi o Gabriela - powiedział Tim nieszczerze. - Mam poczucie, że to nasza wina, że biedny facet znalazł się w więzieniu. To znaczy moja wina. Czuję, że powinienem zrobić wszystko, co w mojej mocy, żeby mu pomóc, inaczej nie będę mógł sam ze sobą wytrzymać.

- Musisz raczej przenieść swoje książki i poukładać je na półkach tak, jak masz na to ochotę.

- Tak, sławne półki - wycedził Tim przez zęby.

Kiedy jednak zaczął ustawiać książki na półkach, jego niechęć nieco osłabła w obliczu tego fascynującego zajęcia; książki, o których zapomniał, książki, których nie miał czasu przeczytać. Gdy odezwała się komórka Tima, Anne-Sophie była właśnie w ich świeżo pomalowanej kuchni. Dzwonił Cray. Reżyser zaproponował Timowi wspólną

wyprawę, trzy dni maksimum, do Oregonu. Cray musi sprawdzić, co się stało z matką Clary, Les Chadbourne, scenograf, chciałby obejrzeć niektóre pejzaże i lokalizacje, Delia ma pokazać im niektórych alternatywnych myślicieli i newage'owych paranoików ze Sweet Home Antique Barn, a przy okazji wrócić do domu. Cray oczywiście nadal będzie płacił Timowi na tych samych zasadach, na jakich płacił mu za detektywistyczną pracę w sprawie boazerii. Poza tym Tim będzie miał materiał do nowego tekstu. Tim pomyślał o wszystkich powodach przemawiających przeciwko wyjazdowi w tym momencie, po czym wyraził zgodę, z przerażeniem myśląc, co na to powie Anne-Sophie. Wyruszyliby następnego dnia rano albo tak szybko, jak tylko wytwórnia Monday Brothers zdoła przysłać samolot.

- Trzy dni! - zawołała Anne-Sophie. - Doskonale. Będę mogła kupić trochę amerykańskich rzeczy tam, gdzie pracuje Delia, a poza tym, najdroższy, zobaczę wreszcie na własne oczy twój rodzinny kraj, choć to nie Michigan. Czy Oregon bardzo różni się od Michigan?

Tim ciągle rozprawiał o różnicach regionalnych w Ameryce.

- Nie, nie bardzo - przyznał. - Oba stany leżą na północy, w obu rosną sosny i żyją niedźwiedzie. - Nie miał nic przeciwko temu, żeby Anne-Sophie pojechała razem z nimi, choć nie wiedział, jak dużym samolotem dysponuje wytwórnia Monday Brothers. Zadzwoił jeszcze raz do Craya.

Estelle była szczerze zdumiona, ale i nieco podekscytowana na wieść o szalonej decyzji Anne-Sophie, żeby wybrać się na trzydniową wycieczkę do Oregonu w Ameryce tydzień przed ślubem. Ten spontaniczny i nieoczekiwany pomysł oznaczał, jak miała nadzieję, że w jej córce obudziło się poczucie wolności, spontaniczności i pragnienie przygody, coś, o czym jako matka marzyła od dawna. Kto wie, może Tim w końcu okaże się dobrym wyborem dla Anne-Sophie. Estelle nie ominęły też zwykłe macierzyńskie troski na myśl o małym prywatnym samolocie.

- Zastanawiam się, czy Amerykanie będą, no, tacy jak Tim, *alors*, w marynarkach niepasujących do spodni, albo czy będą nosili sportowe buty w mieście, no wiesz, takie rzeczy... - powiedziała Anne-Sophie radośnie.

- O tak, jestem szczęśliwa, że jadę do domu, jeśli nie liczyć tego, że martwię się, że zostawiam Gabriela - oświadczyła Delia. - W pewnym sensie tutaj jest okropnie, to znaczy pięknie, ale jeśli się chwilę nad tym zastanowić, również okropnie. Na przykład wy, dwoje ludzi, mieszkacie w ogromnej posiadłości, w której śmiało mogłoby się zmieścić dwadzieścia osób, wszyscy tutaj są bogaci, jecie straszne, zabójcze potrawy, pełne tłuszczu i śmietany, ludzie mają służbę i zmuszają czarnych albo Algierczyków, żeby zamiatali ulice. Ameryka mogłaby równie dobrze dla was nie istnieć. Nikt nie ma najmniejszego pojęcia o Ameryce, a Amerykanie, którzy tutaj mieszkają, są najgorsi; zapomnieli, co się dzieje w domu, gdzie ludzie są głodni i ogarnia ich gniew, i gdzie cały kraj przesuwają się, niczym wielka góra pod wpływem jakiejś geologicznej siły pracują od wewnątrz, i po prostu niedługo się rozpękuje jak wielki pieczony kartofel. Serge przynajmniej pragnie ludzi przebudzić. On potrafi to sobie wyobrazić, żaden inny Amerykanin, którego spotkałam tutaj, nie potrafi sobie tego wyobrazić, ani żaden Francuz, nie ma szans. - Wygłaszała te podsumowania z radosną, niemal promienną miną osoby przygotowanej na niezwykle wydarzenia.

- Niepokoje wśród kreacjonistów żyjących na preriach Kansas, gniew poligamistów z Utah, zabójcy policjantów i najemnicy ukrywający się w Montanie, ci biedni szaleńcy z Teksasu, którzy dali się usmażyć - Serge podrzucał jej tematy, niczym rodzic zachęcający swoje błyskotliwe dziecko do dalszych popisów.

- A federalni użyli wtedy gazu palnego; kłamali na ten temat. Chcieli spalić tych ludzi żywcem! - zawołała Delia podekscytowana.

- Francuzi sami mają swoje problemy. Front Narodowy, skinheadzi - dodał Serge.

- Tak, lecz nie mówię o ludziach tego rodzaju. Nie o rasistach czy zwolennikach wyższości białych - powiedziała Delia. - Z ludzi, których znam, nikt w to nie wierzy. Oczywiście są i tacy, tyle że my nie mamy z nimi nic wspólnego. Tylko dla rządu nie ma między tymi ugrupowaniami żadnej różnicy. Rząd mówi o grupach nienawiści, ale to rząd wszystkich nienawidzi! Im jest wszystko jedno, kogo zabijają, możesz być rasistą, możesz być religijny...

Ciągnęli ten dość radosny, gorączkowy festiwal oskarżeń. Słuchając ich, Clara poczuła się winna, że myślała tylko o zabijanych jeleniach. Uderzyła ją skromność jej oburzenia. Niemniej należy się sprzeciwiać złu, jakie człowiek widzi wokół siebie. Nigdy nie była świadkiem żadnych aktów przemocy wobec człowieka. Najbardziej agresywna scena, jaka rozegrała się na jej oczach, to incydent na poczcie, którego sama padła ofiarą.

- Powiedziałybym, że ty sama jesteś obrzydliwa, gdyby nie to, że byłoby niegrzeczne tak mówić. Obrzydliwa w tym sensie, że żyjesz w luksusach i niczego nie dajesz innym - zwróciła się Delia do Clary.

Na pewno miała rację. Clara pomyślała o czymś, co widziała w metrze. Na zaokrąglonym sklepieniu stacji zobaczyła ogromny plakat organizacji charytatywnej działającej na rzecz Afryki: Alliance Faim. Przedstawiał dwie fotografie mniej więcej siedemnastoletniej, uśmiechniętej afrykańskiej dziewczyny. Na pierwszej była wychudzona, miała ogromne zęby w skurczonych dziąsłach, a w jej wodnistych oczach było coś chorobliwego. Ta sama dziewczyna, za sprawą „stu franków, jakie możesz ofiarować”, stała się zachwycająco pulchniejsza, nie widać już było jej dziąseł i promieniała zdrowiem. Ale uwagę Clary zwrócił fakt, że dziewczyna uśmiechała się na obu fotografiach. Nawet wtedy, gdy głodowała, była ludzką istotą, która miała nadzieję na odmianę losu. Może wyobrażała sobie, że dzięki temu zdjęciu jej życie się odmieni. I rzeczywiście tak właśnie się stało, ponieważ musieli jej dać jeść i podać lekarstwa, żeby mogła tak dobrze wyglądać na drugim zdjęciu.

Clara nie lubiła fotografów, zwłaszcza tych, którzy potrafią zatrzymać się, żeby zrobić zdjęcie umierającego dziecka albo drżącej antylopy, którą zaraz zadławi drapieżnik, ale nie mają zamiaru jej uratować i nie zabraliby dziecka do schroniska, gdyż według nich i tak są przepełnione. Clara wiedziała, że to nie fotograf dał dziewczynie te sto franków.

Wiedziała także, że nawet jeśli pójdzie do więzienia za to, że chciała powstrzymać myśliwych od zabijania młodych jeleni w swoim lesie, nie powstrzyma ich od zabijania jelonków w ogóle; to był jedynie sentymentalny gest, niewielki cios wymierzony w okrucieństwo,

tak wszechobecne, tak mocno okopane i tak nieważne w porównaniu z cierpieniami ludzi - wiedziała to wszystko. Ból głowy groził teraz, że wróci z nową intensywnością.

- Och, wiem, masz całkowitą rację.

ROZDZIAŁ 48

Żądza

- Do widzenia, do widzenia! - Clara ścisnęła wszystkich na pożegnanie, gdy pojawiły się taksówki, by zabrać odjeżdżających na lotnisko Le Bourget. - Dzwon do mnie o każdej porze, na pewno odbiorę, będę czekała przy telefonie. - Łzy stanęły jej w oczach na myśl o tym, co mogło ich tam spotkać i jak bardzo zawiodła jako córka, skoro nie może polecieć razem z nimi, żeby pomóc swojej matce.

Po ich odjeździe napisała smutny list do Larsa, przeczytała wczorajszy „Le Monde” i wypijała poranną kawę. Kiedy rozległ się dzwonek, zaczęła, aż senhora Alvares otworzy drzwi. Serce zabiło jej mocniej ze zdumienia, gdy w drzwiach ukazał się Antoine de Persand. Wyglądał wyjątkowo posępnie, choć pocałował ją w oba policzki.

- Proszę, wejdź...

Poszedł za nią kilka kroków do salonu.

- Chciałbym zobaczyć się z pani mężem, madame... Claro, jeśli mogę? Wygląda na to, że moja matka odwiedziła go w tygodniu i złożyła mu jakąś okropną propozycję.

- Okropną? Mój Boże, nie wierzę!

- W każdym razie nie do przyjęcia. Idiotyczną.

- Ale czy to nie wydaje się najprostszym rozwiązaniem? - spytała po chwili, nie widząc niczego upokarzającego w propozycji madame de Persand.

Pokręcił głową, jego chmurna twarz pociemniała jeszcze bardziej.

- Chyba przez dwadzieścia lat byłem członkiem miejscowego koła łowieckiego, a nawet jego sekretarzem. Miałbym nagle powiedzieć moim wieloletnim towarzyszom - całemu miasteczku - że nie mogą już dłużej polować na mojej ziemi? Niemożliwe, po prostu niemożliwe. Musimy doprowadzić do sprzedaży, i to po cichu, jeśli w ogóle mamy to zrobić. Poza tym pozostaje problem, jak to rozegrać z moją matką. Prawdę mówiąc, może zablokować sprzedaż, ale... Nawet nie masz pojęcia, jakie to irytujące i żenujące...

- Mój mąż wyjechał na kilka dni - powiedziała Clara.

Milczenie. Chwila milczenia przedłużała się. Gdy tylko wypowiedziała te słowa, usłyszała ich sens w pełnej orkiestracji, z łomotem cymbałów, doniosłym dudnieniem kotłów i ostatecznymi akordami uniesienia, a on najwyraźniej także to usłyszał albo poczuł, głęboko w swoim ciele.

Wobec tak jasno rysujących się możliwości natychmiast stopniały wszystkie zastrzeżenia i przestali się bronić.

- Nieśmiertelne słowa „mój mąż wyjechał” - rzekł Persand. - Boccaccio i tak dalej. Wiele sztuk teatralnych zaczyna się w ten sposób... - Zawahał się, zamilkł.

- Rzeczywiście, tak się zaczyna wiele opowieści - przyznała.

- Na jak długo?

- Trzy dni, może dłużej.

Popatrzyli na siebie. Dalsza zwłoka wydawała się bezcelowa, musieli działać od razu, a potem zmierzyć się z konsekwencjami, niech już tak będzie.

- A więc...

- Tak - powiedziała Clara z pozorów całkiem spokojnie, choć dzikie uniesienie ogarniało ją coraz potężniej.

- J a . . .

- O c h . . .

Antoine spojrzął w stronę kuchni.

- Senhora Alvares! - zawołała Clara. - Może pani odebrać gazety i to, co zamówiłam u rzeźnika?

Senhora Alvares wsunęła głowę przez drzwi. Niewiele uchodziło jej uwagi. Miała nieprzenikniony wyraz twarzy.

- W tej chwili?

- Tak, powiedziałam, że będę koło dziesiątej, i jeszcze chleb, dobrze?

Kiedy usłyszeli odgłos zamykania frontowych drzwi, Clara położyła rękę na jego ramieniu. Zaczęli wchodzić po schodach.

- Tylko ten jeden raz, żeby uwolnić się od tego straszliwego uczucia - zastrzegła.

- Tak, tylko raz.

Po kilku krokach ujął ją lekko w łokciu. U szczytu schodów pocałowali się namiętnie i zaczęli zdzierać z siebie ubranie, które spadało na podłogę, znacząc ślad do pokoju Clary, po czym wśród westchnień opadli, wreszcie, na jej łóżko, Boże, jakże oboje byli wygłodzeni. Na moment zatkało go na widok jej wspaniałych obfitych piersi, ją na widok jego imponującego penisa gotowego do akcji; od razu rozsunęła nogi.

Nawet nie usłyszeli, gdy kilka godzin później wróciła senhora Alvares, która zabawiła nieco dłużej w miasteczku. Słyszała stuki i jęki, ekstatyczne krzyki dochodzące z pokoju madame. Zebrała z podłogi bluzkę madame oraz krawat monsieur i powiesiła je na klamce drzwi do sypialni madame.

Była prawie trzecia, gdy zeszli na dół na lunch, ani na chwilę nie spuszczać się z oczu; na ich twarzach malowały się leniwe, zadowolone uśmiechy, ich ręce poszukiwały siebie nawzajem, gdy tylko senhora Alvares nie podawała im do stołu. Porozmawiam z nią później, pomyślała Clara. Oboje byli nieco zdumieni, ona i Antoine, swoimi seksualnymi apetytami, i tym, co to namiętne interludium zdawało się mówić o wszystkim, czego im brakowało oraz co czuli do siebie nawzajem. Kiedy na siebie patrzyli, mieli ochotę się śmiać bez powodu albo z powodu wszystkich sekretnych powodów, których nie musieli omawiać.

Po lunchu poszli na trochę z powrotem na górę. Antoine wyszedł koło piątej. Odchodząc, spojrzał na nią intensywnie z niejaką udręką i powiedział:

- Zawsze wydawało mi się, że człowiek musi sobie odmawiać radości.

ROZDZIAŁ 49

Oregon

Anne-Sophie czuła się komfortowo na pokładzie samolotu Hawker-Siddley 800, sześciuosobowego dyrektorskiego odrzutowca należącego do wytwórni Monday Brothers i ani przez moment nie miała żadnych obaw. Pilot emanował kompetencją i należnym szacunkiem i mówił z gardłowym amerykańskim akcentem jak wszyscy piloci. Siedzenia były skórzane i szerokie. Drugi pilot przyniósł stoliki, żeby mogli coś zjeść, pachniało wonią nowego samochodu albo luksusowego butikiu. W samolocie znajdował się mały przedział kuchenny i bar. Poniżej za oknami widziała rozległą panoramę Starego Świata; w dole, niczym wielka gra planszowa, rozpościerała się Francja zamków i pól oraz reaktorów nuklearnych w Pikardii. Lecieli na zachód, na zachód, w stronę Nowego Świata.

Anne-Sophie była zachwycona. Wiedziała, że samolot nie należy do Tima i że to nie dzięki jego pozycji znaleźli się na jego pokładzie, niemniej byk w nim, więc w pewnym sensie zawdzięczali to jemu i ludziom, których znał. Dzięki znajomości z kimś takim jak Serge Cray miała poczucie, że dołączyli do świata prywatnych samolotów, wyrafinowanego świata, do którego sami co prawda nie należeli, ale było czymś zabawnym spróbować, jak tam jest.

W pewnej chwili zajrzała do kokpitu, gdzie powitały ją szerokie uśmiechy. Pilot był oczarowany jej francuskim akcentem.

- Och, czy to Angka?
- Taa.

Cray okazał się niespokojnym pasażerem, odpinał pas bezpieczeństwa, żeby stać w przejściu między siedzeniami, albo układał pasjansa. Tim próbował pracować nad tekstem do magazynu „Concern”, poświęconym losom afrykańskich imigrantów we Francji. Zjedli lunch, pasztet z łososia oraz zgrabne małe kanapki, które wcześniej zamówiono u Fauchona, napili się wina; później Tim się zdrzemnął. Chadbourne z Crayem rozmawiali niezobowiązująco o tym, co powinni obejrzeć w Portland. Delia przez cały czas wbiła spojrzenie w mały cyfrowy wskaźnik szybkości mrugający do nich z kabiny pilota, poganiający ich wciąż do przodu przez oświetlone słońcem niebo; wracała do domu.

Wylecieli z Paryża o siódmej rano, a ponieważ trajektoria lotu w zdumiewający sposób prowadziła ich przez kolejne strefy czasowe i pory dnia, coraz dalej od mroku nocy, mieli wrażenie, że czas się cofa, i gdy wysiedli na płytę lotniska w deszczowym, posępnym Oregonie, ze zdumieniem przekonali się, że jest dopiero dziesiąta rano, a mimo to byli pełni energii.

Anne-Sophie była zachwycona, że wreszcie zobaczy, jak naprawdę wygląda Ameryka. Pomimo tego, co się słyszało i czytało, w kraju, który w pewnym stopniu ukształtował jej ukochanego Tima, na pewno mieszka wielu inteligentnych i porządných obywateli, żyjących w spokojnych społecznościach, wśród malowniczych krajobrazów, skoro Tim był *intelligent, gentil, beau*. Od początku miała bardzo dobre wrażenia - *sympa*, bezpretensjonalny mały hangar, przyjazny urzędnik na lotnisku, który rzucił okiem na ich paszporty, całkiem czysta toaleta dla pań, w której poprawiła włosy. Na spotkanie wyszli im rodzice Delii. Wyglądali jak Amerykanie z filmu - *papa* miał koszulę w kratkę, *maman* sukienkę z drukowanego materiału, oboje kurtki z kapturem. Ich samochód, duży pojazd przypominający jeepa, nazywał się Explorer.

Uściskali Delię z widoczną ulgą i radością, jak gdyby właśnie wyszła z więzienia w obcym kraju, gdzie przetrzymywano ją bez powodu.

- Delio, kochanie, chodzisz tak dobrze! - rzekł ojciec.

- Bardzo mi miło pana poznać - powiedziała pani Sadler do Craya. - Byłam zachwycona *Królową Karoliną*.

Raczej dość niepewnie powiedzieli *bonjour* do Anne-Sophie i do Tima, najwyraźniej sądząc, że on także jest Francuzem.

Sadlerowie poinformowali ich, że nie ma żadnych nowych wiadomości na temat pani Holly i Cristal Wilson. Rozmawiali z policją oraz z niektórymi przyjaciółmi Delii ze Sweet Home Antiques Barn. Policjanci nie byli zbyt zaniepokojeni. Z informacji, jakie zgromadzili, wynikało, że wśród osób, które wnosily rzeczy do domu pani Holly, była SuAnn Wilson oraz kilku innych handlarzy. SuAnn powiedziała podobno, że Cristal i pani Holly pojechały na małą wycieczkę do Hood River.

- Jednak nie byłabym taka pewna i wiem, że Clara musi się bardzo niepokoić - mówiła pani Sadler współczująco. - Moim zdaniem, ani SuAnn, ani Cristal nie są całkiem przy zdrowych zmysłach.

Sadlerowie chcieli oczywiście usłyszeć wszystko na temat Francji i dramatycznych przeżyć Delii. Najwyraźniej nie mogli tak po prostu uwierzyć, że spędziła cały miesiąc w luksusowym *chateau*, mimo że mieli przed oczami sławnego Craya i widzieli prywatny odrzutowiec; to wszystko było zdumiewające i cudowne. Sama Delia zaczęła postrzegać swój powrót z Francji jako ucieczkę w ostatniej chwili, a pobyt we wspaniałym francuskim *chateau* jako normalny sposób życia w tym kraju. We Francji zewsząd czyhały jakieś niebezpieczeństwa. Jej przyjaciel Gabriel musiał ukrywać się przed wrogo nastawioną francuską policją, a ona była niepokojona w hotelu, władze odmówiły jej wydania nowego paszportu, kiedy dotychczasowy gdzieś zniknął...

W Oregonie, chociaż było zimno i deszczowo, wszędzie kwitły kwiaty. W drodze do miasta Anne-Sophie co chwila zachwycała się pięknem roślinności, jaką widziała po bokach autostrady i na pasie oddzielającym kierunki ruchu, oraz obfitością zieleni. Wszystko wokół było zielone, sosnowe, nawet trawa była świeża i młoda, zupełnie jak gdyby w Oregonie panowała wieczna wiosna, utrzymywana w dobrej kondycji przez chłodną temperaturę niczym kwiaty w lodówce w kwaciarni. Doszła do wniosku, że wszystko jest piękne jak w *Silvie et Bruno*.

- Tak, rododendrony będą wcześniej w tym roku - przyznała pani Sadler.

Cray także najwyraźniej rozkoszował się każdym detalem podczas jazdy z lotniska - autostradą i mijającymi ich samochodami z napędem na cztery koła. Ciągłe szturchał Chadbourne'a, pokazując mu różne rzeczy.

- Nie byłem w Stanach przez prawie dwadzieścia lat - powtórzył kilkakrotnie. - To już dwadzieścia lat, kiedy byłem tu po raz ostatni.

- *Tiim, cheri*, chciałabym pójść do *supermarche* - szepnęła Anne-Sophie do Tima. - Centrum handlowe, wszystko, co jest *typique*.

A głośno powiedziały:

- Samochody są takie wielkie!

- Tak, mnie to też zaskakuje. Na Boga, naprawdę trzeba wszystko samemu zobaczyć. Oko zapomina - wołał Cray. - Popatrz tam, Chadbourne, popatrz na to!

- *Quelle belle riviere* - zauważyła Anne-Sophie, gdy przejeżdżali przez rzekę. - Jak się nazywa? Willamette? *Un nom francais!*

- Amerykanie są takimi wspaniałymi kierowcami! - wołała. - Zobacz, jak się zatrzymują, żeby przepuścić pieszych. Jak czekają na tych, którzy skręcają w lewo - naprawdę, co za organizacja. Francuzi powinni się od nich uczyć!

Wszyscy oprócz Delii mieli zatrzymać się w nowym motelu, jaki pani Sadler poleciła im w centrum Lake Oswego, pięć minut od domu pani Holly, z widokiem na piękne jezioro. Cray w scenerii własnego domu nigdy nie wydawał się Timowi jakimś dziwakiem, ale w Oregonie jego skrytość i ekscentryczność rzucały się w oczy. Zameldował się w Tualatlnn pod nazwiskiem Stan Carson, chciał mieć pokój od podwórka, zamiast z widokiem na piękne zimowe jezioro i kazał innym odbywać wszystkie rozmowy telefoniczne.

Pani Sadler zostawiła ich w motelu, by mieli czas się rozgościć, mając nadzieję, że będzie im tam wygodnie, i obiecała, że kiedy już się rozpakują, obwiezie ich po okolicy.

- Są dobre hotele w centrum Portland, ale nie tak wygodnie położone, jeśli byście chcieli od razu pojechać do domu pani Holly - powiedziała.

Motel Tualatlnn mieścił się w przebudowanym domu z czasów wiktoriańskich, wyposażonym w mosiężne łóżka, ozdobne dębowe toaletki i porcelanowe umywalki, tkaniny Laury Ashley oraz mnóstwo szydełkowych narzut i dywaników zrobionych osobiście przez właścicielkę, panią Barrater.

- Zachwycające, cudowne! - wołała Anne-Sophie. - Uwielbiam domy z drewna. Jakie to urocze!

Teraz mieli okazję przekonać się, na czym polegają talenty wielkiego reżysera. W małym salonie Tualatlnn Cray opracował, zaplanował i zorganizował trzydniowy program działań zmierzających do tego, by znaleźć panią Holly, obejrzeć lokalizację na użytek filmu oraz odwiedzić bastiony tyłu wyznawców teorii spiskowej, religijnych fundamentalistów i innych radykałów przekonanych o nadchodzącym końcu świata, ilu tylko Delia potrafi wskazać. Anne-Sophie i Delia miały zająć się tym już tego południa. Wezwał sierżanta miejscowej policji z Lake Oswego i ślusarza, żeby otworzyć zamknięte drzwi kuchenne domu pani Holly oraz kilku znajomych Deki, którzy znak miejscowe polne drogi. Tim odniósł nieodparte wrażenie, że odnalezienie samej pani Holly zajmowało w planach Craya drugie miejsce po pragnieniu obejrzenia z bliska szczegółów millenarystycznego protestu Ameryki. Niemniej mieli zacząć od domu pani Holly. I choć czuli się wyraźnie niewyspani i zaczynała im doskwierać różnica czasu, mieli wyruszyć od razu, nie rozpakowując walizek.

- To nie może nam zająć więcej niż trzy dni, sądzę bowiem, że tyle potrwa, zanim prasa zwietrzy, że tutaj jestem, a następnie pojawi się IRS i cała reszta - powiedział Cray.

Dom pani Holly leżał na niewielkim wzgórzu, niedaleko wiejskiej drogi wysadzananej jeżynami i porośniętej po bokach zimową trawą pokrytą szronem oraz innych sporych domostw, dyskretnie oddzielonych od siebie obowiązkowym pasem ziemi o powierzchni dwu akrów. Sprawiał wrażenie, jakby był opustoszały - zasunięto okiennice i zamknięto garaż, na schodkach, na końcu długiego podjazdu dostrzegli kilka ulotek reklamowych i gazet. Pani Sadler, która wiozła Craya i Tima, pojechała w ślad za policyjnym radiowozem za róg

domu, w stronę głównego wejścia, ale i ono było zamknięte, a niska brama wiodąca na podwórko zaryglowana. Policjant sięgnął ponad ogrodzeniem, pomanipulował w zamku i brama się otworzyła.

Kiedy weszli do domu, Tim nie miał wątpliwości, że Cray był w nim po raz pierwszy. Nigdy wcześniej nie odwiedził matki Clary i niespecjalnie obchodziło go jej zniknięcie. Ale Tima to wszystko interesowało, miał nadzieję, że zobaczy pokój Clary, jakieś ślady tego, jak wyglądała w szkole średniej, może fotografie z dzieciństwa. Ogarnęła go niemal romantyczna ciekawość życia Clary, taka sama, jaką Anne-Sophie najwyraźniej przejawiała na jego temat. Starła się na podstawie Oregonu wyobrazić sobie, jak wyglądało jego życie w Michigan, gdzie w jej przekonaniu Tim dorastał, choć w rzeczywistości spędził tam bardzo mało czasu.

Policjanci nie mieli nic przeciwko temu, żeby Cray, zięć pani Holly, wszedł do jej domu, choć sami woleli tego nie robić poprzedniego wieczoru, gdy pani Sadler zdecydowała się do nich zadzwonić. O zmierzchu przyjechali pod dom i poświecili latarkami po krzakach, ale nie znaleźli nic niepokojącego.

Teraz pani Sadler weszła razem z nimi do środka. Gdy tylko ślusarz otworzył drzwi i znaleźli się w kuchni, od razu się zorientowali, że w domu stało się coś niedobrego. Pani Sadler, która była tam wcześniej, potwierdziła ich obawy. W jadalni pani Holly zmagazynowano jakieś rupiecie - istna gmatwanina rowerów do ćwiczeń, domowych barków, telewizorów, pluszowych zabawek - przedmiotów, które w żadnym wypadku nie powinny się tam znajdować. Delia i pani Sadler były zdecydowanie oburzone w imieniu pani Holly. Ktoś jej usunął meble - to było skandaliczne i co miało znaczyć? Wszystko wydawało się zarazem jakieś smutne i złowrogie. Zniszczone świeczniki i żyrandole z jelenich rogów, gipsowe podstawy lamp, tanie meble w pokrowcach mógł cenić tylko ktoś, kto nie miał poza tym nic cenniejszego. Było coś rozpaczliwego w chęci przechowywania tych śmieci, nie mówiąc już o tym, by umieszczać je w jadalni starszej kobiety. Prawdziwy najazd na cudzy dom, słyszało się o takich wypadkach.

Z pewną ulgą zauważyli, że w sypialni pani Holly panuje porządek i że nigdzie nie ma śladu jej przyborów toaletowych, jakby miała

czas spokojnie spakować się przed jakąś wycieczką. Ale to nie dawało pewności, że nic jej się nie stało.

W kuchni, wetknięte w szczelinę między lodówką a rogiem pomieszczenia i owinięte narzutą z szenili, znaleźli trzy karabiny automatyczne i dwie dubeltówki.

- W porządku, mieliście rację - powiedział policjant z satysfakcją. - Teraz to już sprawa policji. Myślę, że przede wszystkim trzeba znaleźć panią Holly. - Zaczął manipulować przy krótkofalówce.

Cray wszedł do salonu, by zadzwonić do Clary ze swojej komórki.

- To cholera nie działa - zajączał.

- Amerykańskie telefony komórkowe nie działają nigdzie indziej na świecie, a europejskie nie działają tutaj - przypomniał mu Tim. - Podobnie jak telewizory Nie przewidziano, że Amerykanin będzie chciał dzwonić ze swojego telefonu za granicą.

- Muszę zadzwonić, zanim zrobi się za późno we Francji - wyjaśnił Cray policjantowi. Po czym coś sobie przypomniał. - Zdaje się, że i tak płacę cholerne rachunki tej kobiety - powiedział, podnosząc słuchawkę telefonu pani Holly.

Clara chyba rzeczywiście siedziała przy telefonie, ponieważ odebrała natychmiast. Tim słyszał, jak Cray opowiedział jej, że przyjechali do Oregonu i nie znaleźli na razie jej matki, ale tutejsi ludzie raczej się nie martwią, nikt bowiem nie podejrzewa, że stało się coś złego albo niebezpiecznego. Miejscowi uważają, że Cristal Wilson nie jest groźna. Sądząc z odpowiedzi Craya, Clara była zgnębiona i zaniepokojona wiadomościami o matce, ale miała nadzieję, że wszystko skończy się dobrze.

W obliczu dowodów przestępczych zamiarów stało się jasne, że policjanci nie chcą, by Cray i jego goście kręcili się dalej po domu, toteż pani Sadler zawiozła Craya i Tima z powrotem do Tualatlnn, gdzie mieli zaczekać na Chadbourne'a i Anne-Sophie, których Delia zabrała do Sweet Home Antiques Barn. Tim poszedł wynajmując samochód.

W centrum handlowym Antiques Barn panował zamęt, co nie zdziwiło Anne-Sophie, ponieważ tak zwykle wyglądają miejsca,

w których handluje się starociami: półciężarówki i samochody od przewodzących, rozmaite starannie opakowane meble, które ludzie przynosili i ładowali do swoich pojazdów, ogólny rozgardiasz. Jednak w tej chwili wyglądało na to, że kilka osób całkowicie wynosiło się ze Sweet Home Antiques Barn. Jakieś koźły do piłowania albo porzucone krzesła blokowały wejście do całkowicie opustoszałych stoisk. Delia nie starała się niczego wyjaśnić.

Sara Towne, partnerka Delii w interesach, pulchna dziewczyna w długiej babcinej sukience, podbiegła, aby ją uściskać, po czym ucałowała także Anne-Sophie, choć nigdy się nie widziały. To było siostrzane powitanie, mające widocznie coś wspólnego z ich zainteresowaniami.

- Zawsze wiedziałam, że ta wycieczka dobrze zrobi Delii, widzę, że czuje się o wiele lepiej, i wiem, że to dzięki tobie, to było cudowne, brzmiało tak fantastycznie... - mówiła bez przerwy.

Anne-Sophie nie chwyciła wszystkich odniesień, ale cieszyła się, że znalazła się w centrum Antiques Barn, w którym było mnóstwo cudownych amerykańskich wyrobów, w tym rzeczy mające związek z końmi. Kupiła cynowe tace z obrazami koni oraz końskich podków, lampy o podstawach w kształcie koni, lampę zrobioną ze strzemienia, kubki, na których widniały podobizny sławnych czempionów, przedmioty zrobione z końskich podków. Najwyraźniej cała tutejsza kultura była zafascynowana jazdą konną i końmi. Anne-Sophie wcześniej nie zdawała sobie z tego sprawy, zawsze myślała, że Amerykanie bardziej interesują się samochodami. Kiedy się nad tym teraz zastanowiła, dostrzegła, że tutejsze samochody często noszą imiona nadawane koniom, jak mustang albo bronco lub pinto.

Chadbourne także kupił kilka ozdobnych przedmiotów, najwyraźniej niepowiązanych ze sobą - proporczyki amerykańskich szkół średnich, cynowe kosze na śmieci, wózek dla lalek. Anne-Sophie uznała, że niektóre z tych rzeczy są dość dziwne, ale Chadbourne wyjaśnił jej, że to dla monsieur Craya, do jego filmu.

- Czy na rynku panuje jakaś recesja? - spytała Anna Sophie, patrząc na puste stoiska.

- Myślę, że słyszeli o Gabrielu - powiedziała Delia.

- Wszyscy wyglądają tu jak na filmach Clinta Eastwooda - zawołała Anna Sophie, tylko trochę żartując. Skakała po kanałach telewizyjnych, gdy tego pierwszego wieczoru szykowali się w swoim pokoju do kolacji. W podnieceniu nie zauważyła, że Tim martwił się tym wszystkim, czego był świadkiem po południu. Ktoś najechał dom pani Holly, zniknęła jej szczoteczka do zębów, nikt nie wie, co się stało z kobietą po siedemdziesiątce, a do tego wszędzie kręciła się policja nadająca jakieś wiadomości przez krótkofalówki.

- *Ravissants*. Te buty i kurtki z kapturem! Ci mężczyźni są tacy przystojni jak Bruce Willis. Po prostu jak Tiim! Teraz widzę, że jesteście przeciętnym amerykańskim mężczyzną, nic specjalnego - wszyscy jesteście *tres beaux*. A jakie cudowne poczucie humoru mają Amerykanie, programy są takie różnorodne i takie głupie, doprawdy, to zachwycające.

Po wizycie w Antiques Barn, gdy Tim z Crayem zajęli się sprawą pani Holly, Anne-Sophie spędziła resztę dnia z Chadbourne'em i Delią. Widziała supermarket oraz sklep pod nazwą Tower Records wypchany płytami CD i kasetami po nieprawdopodobnie niskich cenach. Tim zaczął się w końcu irytować jej zachwykami, które najwyraźniej wskazywały, a w każdym razie tak mu się wydawało, że miała jakieś protekcyjne wyobrażenia na temat Amerykanów. Uważała na przykład, że obfitość paczkowanej żywności stanowi wspaniałe udogodnienie dla społeczeństwa, w którym, jak wiadomo, kobiety nie gotują. Podobnie jak ich wielkie, obszerne samochody, przystosowane do polnych dróg malowniczego pogranicza, którymi pokonują ogromne odległości, ponieważ nie ma tam kolei.

- Mają taki wielki *camion* na parkingu supermarketu, nazywa się „Recycling”, i ludzie przynoszą tam nie tylko butelki, tak jak my, ale nawet papierowe torby i puszki! To takie wspaniałe! Francuzi mogliby się wiele nauczyć.

Tim nigdy nie miał silnego poczucia swojej narodowości. Choć jego paszport jednoznacznie świadczył, że jest Amerykaninem, nigdy nie odczuwał potrzeby opowiedzenia się, czy w głębi serca jest Amerykaninem, czy raczej Europejczykiem i w ogóle uważał, że kwestia narodowości jest czysto arbitralna i tylko ludzi dzieli. Ale gdy

Anne-Sophie zaczęła wychwalać w Oregonie właśnie to wszystko, co jemu samemu wydawało się w Ameryce okropne, paradoksalnie wzmocniło to jego przywiązanie do amerykańskości. Zamiast poczuć się obco, zaczął się irytować i złościć na niedorzeczność ogromnych supermarketów, betonowych centrów handlowych i autostrad. Tutejsze jedzenie, z pewnością dalekie od politycznej poprawności, stanowiło zalew śmiecia, tymczasem Anne-Sophie twierdziła, że jest nim zachwycona, a może była naprawdę? Albo jedynie starała się nim pokierować, odgrywając rolę żony typowego tępawego amerykańskiego mężczyzny, który na niczym się nie zna i wierzy we wszystko, co mówi mu żona.

W porze kolacji w Oregonie było już za późno, żeby zadzwonić ponownie do Clary, piąta rano we Francji, poza tym chciało im się spać i chętnie sami znaleźliby się w łóżku. Jednak Cray nalegał, żeby nie kładli się przed dziesiątą, i zabrał ich na kolację. Zaprosił także Sadlerów wraz z Delią i wszyscy poszli do ponoć najlepszej restauracji w Lake Oswego, gdzie zjedli łososia z Pacyfiku, gotowane ziemniaki i surówkę z kapusty („...filet z łososia z Pacyfiku: zostawiamy skórę i gotujemy tylko z dodatkiem balsamicznego sosu winegret, lekko przyprawionego szalotką, podajemy z małymi czerwonymi ziemniakami Washington duke, pieczonymi z solą, z odrobiną oliwy z oliwek, oraz puree z czerwonej papryki na podkładzie z kapusty...”). Jeśli chodzi o wino, „Lorne Cellars jest lepsze niż Knickerbocker Farm. Czy wolicie bardziej maślane czy suche?” - spytała kelnerka, mając na myśli chardonnay

Tim z pełnym współczuciem obserwował, jak Anne-Sophie zgodnie z francuskim zwyczajem starała się obrać ze skórki malutkie ziemniaki. Nie zauważyła, że wszyscy pozostali jedli je ze skórką. Pewne dialogi stanowiły wyzwanie dla jej angielszczyzny; zmarszczyła brwi, gdy kelnerka spytała, czy chce, żeby „touch up” wodę? Ale i tak wszystko szalenie jej się podobało.

- *Saumon a l'unilateral*, tutejsza kuchnia jest na bardzo wysokim poziomie!

W ogóle jej nie przeszkadzało, że musi pójść do foyer, żeby zapalić, spodziewała się tego. Chadbourne poszedł razem z nią.

Siedząc z coraz bardziej zamykającymi się oczami nad bezkofeinową kawą, omawiali plany na następny dzień. Tim razem z Crayem i policjantami mieli nadal próbować znaleźć panią Holly, a następnie spotkać się z wyznawcami rozmaitych ideologii, których zna Delia. Anne-Sophie i Chadbourne chcieli kontynuować zwiedzanie.

Kiedy siedzieli w restauracji, temperatura na zewnątrz nagle spadła, nieoczekiwanie wcześniej tego roku, i zerwał się mroźny wiatr, przekształcając lekki deszcz w burzę śnieżną, która zaszokowała gości zebranych w restauracji i wzbudziła ekscytację przybyśców z Paryża. Miejscowi z wahaniem stawali w drzwiach, po czym skuleni mknęli do swoich samochodów. Cray i jego goście szybko przeszli na piechotę krótki dystans do Tualatlnn, dla ochrony przed wiatrem nakrywając głowy płaszczami.

Znalazszy się w swoim pokoju, Tim i Anne-Sophie skulili się w łóżku i oglądali telewizję, dopóki nie zmorzył ich sen. Nagłą zmianę pogody obwieszczono nabożnym tonem, zarezerwowanym dla komunikatów o niespodziewanych katastrofach, ale w Tualatlnn było ciepło i przytulnie.

- Jutro chciałabym pójść do Taco Bell - powiedziała Anne-Sophie, całując Tima na dobranoc. - Zupełnie tak, jakbyśmy mieli podróż poślubną przed ślubem. Gdybyśmy tylko mogli pojechać do Las Vegas...

Obudzili się o czwartej, *heure blanche* ludzi cierpiących z powodu różnicy czasu. Słyszeli wiatr wyjący nad jeziorem i dobiegające skądś ostre krótkie dźwięki niczym odgłosy strzałów armatnich, zerwanej markizy albo żagla. Idąc do łazienki, Anne-Sophie odsunęła zasłonę, żeby wyjrzeć za okno. Na zewnątrz było biało i cały świat migotał w świetle księżyca, śnieg leżał wysoko na parapetach i na poręczy tarasu, zasłaniając widok przez szybę. Jak to możliwe, że przyroda może dopuścić do tak gwałtownej zmiany w ciągu zaledwie kilku godzin? Tim podniósł się z łóżka, żeby wyjrzeć przez okno, po czym oboje wpełzli z powrotem pod kołdrę, rozbudzeni i zdezorientowani, słuchając w odległym Oregonie wycia burzy, która najwyraźniej przybierała na sile. Nie próbowali się kochać, wydawało się to zbyt skomplikowane.

ROZDZIAŁ 50

Zmartwienia Ginewry

Zaraz po przebudzeniu Clara wpadła w panikę - wiedziała, że jej matka przez nią umrze po tym, co ona robiła z de Persandem. Opanowała jakoś ten irracjonalny, ale przerażająco rzeczywisty lęk i leżała w łóżku, próbując myśleć o Larsie i o swojej matce, jednak po raz setny jej myśli powędrowały w stronę miłości z Antoine'em. Przypomniała sobie legendarne przykłady mężów, którzy wyjechali z domu: król Marek, czy to w Tristanie i Izoldzie? Król Artur także szukał czegoś poza domem, czy to był Graal? A może miecz wbity w kamień? Oba te obrazy wydawały jej się nie najgorszą metaforą wyprawy Serge'a do Ameryki oraz tego, co przytrafiło się jej samej. Zastanawiała się, co Antoine o tym sądził. Czy już się obudził? Czy w ogóle o niej myśli?

Zastanawiała się nad seksem w ogólności, nad jego tajemniczą naturą. Jej doświadczenia nie były zbyt rozległe. Kilku chłopców w szkole średniej, a potem Serge i małżeństwo; nie mogła narzekać, ale dla wczorajszego popołudnia zabrakło jej przymiotników. To, co się stało, otworzyło jej oczy, wyjaśniło wreszcie te namiętne fragmenty w książkach, wytłumaczyło zagadkę grzechu i jego wiecznej atrakcyjności; teraz wiedziała, czemu ludzie byk gotowi pójść za to do piekła. Świadomie decydowali się pójść do piekła w imię seksualnej namiętności. Oczywiście tak naprawdę nie wierzyła w piekło! Musiała teraz zupełnie przeorganizować swoje pojmowanie przyjemności; trzeba mieć odpowiednie nastawienie wobec przyjemności

i dostrzegać, że jest czymś dobrym i czyni człowieka lepszym. Pomyślała o tych fragmentach książek D.H. Lawrence'a, z których kiedyś sama się naśmiewała, a które teraz wydawały jej się całkowicie sensowne. Nawet te głupie wieńce z kwiatów... Jak miała znieść dziką szarpaninę między szczęściem a przekonaniem, że zabiła własną matkę?

Wstała; będzie musiała porozmawiać z senhora Alvares, ale nie zdecydowała się jeszcze, czy wymyślić jakieś niewinne wyjaśnienie, czy ją przekupić.

ROZDZIAŁ 51

Przysypani śniegiem

O szóstej rano w Oregonie, gdy Clara od dawna już była na nogach, Tim i Anne-Sophie wstali z łóżka i włączyli telewizję. Na ekranie pojawiły się obrazy samochodów, które utknęły na drodze, policjantów w żółtych kurtkach, maszyn do odśnieżania autostrad, oraz ludzi, którzy przytupywali z zimna.

- Wszystko jest tak dobrze zorganizowane, natychmiast podają ci wiadomości. We Francji pojechałbyś i utknął - powiedziała Anne-Sophie.

Tim darował sobie uwagę, że w Paryżu człowiek nie musiałby nigdzie jechać podczas burzy śnieżnej.

O siódmej w holu czekała już na nich kawa. Kiedy Tim zastanawiał się, czy nie jest za wcześnie, żeby zbudzić Craya, reżyser pojawił się na schodach z miną, jakby się czegoś obawiał.

- Panie Cray, jestem ogromnym wielbicielem pańskich filmów - rzekł pan Barrater, który wniósł właśnie w płóciennym worku drewno na opał.

Ponieważ Cray zameldował się pod nazwiskiem Carson, spojrzał groźnie na mężczyznę i nie powiedział ani słowa.

- Zakładając, że drogi są w porządku, możemy z Anne-Sophie pojechać na jarmark antyków i spróbować dowiedzieć się, czy ktoś nie wie, gdzie jest córka Cristal - zaproponował Tim.

Rozmawiali o tym poprzedniego wieczoru.

Cray prychnął:

- Na pewno jej tam nie będzie. Z pewnością zdążyli już usłyszeć, że policja szuka matki Clary.

- Nie mogę się doczekać amerykańskiego *petit dejeuner* - powiedziała Anne-Sophie.

- Mam nadzieję, że nie zamierzacie dzisiaj nigdzie daleko jechać - odezwała się pani Barrater. - To burza lodowa. Nasza miejscowa specjalność. - Jak gdyby natura chciała zilustrować znaczenie tych słów, nagle zgasły światła, podobnie jak komputer, który cicho szumiał włączony na jej biurku, i zniknął obraz z telewizora. - Wysiadło zasilanie - wyjaśniła. - To się zdarza każdego roku i zawsze są zaskoczeni.

O dziewiątej się rozwidniło i pani Barrater przygotowała obfite śniadanie, w stylu angielskim, z rogalikami i bitą śmietaną oraz oreońskim ou-la-la dżemem („Ou-la-la” powiedziała Anne-Sophie). Nadal nie było prądu. Pani Barrater bezskutecznie próbowała się dodzwonić do przedsiębiorstwa energetycznego.

- Przynajmniej mamy telefon i piec gazowy - powiedziała. - Tryb awaryjny.

W Tualatlnn zrobiło się najpierw chłodno, a potem zimno i pan Barrater przyniósł więcej drewna, żeby napalić w kominkach znajdujących się w pokojach.

- Czy w drewnianym budynku jest bezpiecznie? - zastanawiała się Anne-Sophie.

Zadzwoił telefon. Policjanci zapowiedzieli, że przyjadą po Craya i Nolingera, którzy ze względu na stan dróg nie powinni nigdzie się ruszać sami. Powiedzieli też, że karabiny nie były jedyną dziwną rzeczą, jaką znaleziono w domu pani Holly; było tam także dwa dziećcia uncji semteksu. Wezwano już agentów Biura do spraw Alkoholu, Tytoniu i Broni.

Chociaż Anne-Sophie słyszała, że centrum Lake Oswego znajduje się w odległości krótkiego marszu, najwyraźniej nie było dokąd iść; w każdym razie w najbliższej okolicy nie ujrzała żadnego oczywistego punktu docelowego, jedynie stację benzynową, pralnię i dwa sklepy, oba zamknięte. Jak okiem sięgnąć, ani jednej dobrze ogrza-

nej oazy handlu. Anne-Sophie nigdy czegoś takiego nie widziała: ulic pokrytych grubą warstwą lodu, który więził wszystkie kamyki i śmiecie, jak gdyby zachowując je na wieczność niczym mamuty w wiecznych śniegach. W Paryżu ulice zwykle były ciepłe, z powodu znajdującego się pod nimi metra. Nie sposób było poruszać się po tym lodzie, a jednak wielkie explorery tahoe i bronco mozolnie posuwały się naprzód, a ich koła obracały się z wysiłkiem. Na zwisających nisko nad ulicą liniach elektrycznych widać było sople lodu, który piętrzył się także na dachach i poręczach oraz łamał gałęzie i krzewy, pokrywając wszystko równą warstwą. Drzewa opierały się o ściany domów, ciężkie gałęzie kładły się na dachach. Anne-Sophie próbowała zrobić razem z Chadbourne'em kilka kroków i poślizgnęła się. Złapała się Chadbourne'a, który chwycił klamkę drzwi wejściowych do gabinetu dentystycznego.

- J e z u , co za miejsce - jęknął.

Anne-Sophie w swoim kusym paryskim *manteau* wyglądała jak ktoś, kto zaraz przemarznie, zwłaszcza na tle kilku odważnych Amerykanów w długich puchatych kurtkach, którzy ostrożnie park przed siebie albo starali się odskrobać okna samochodów zaimprovizowanymi narzędziami, raz po raz zacierając ręce w przenikliwym chłódzie.

- Tylko cholerne jeepy jakoś sobie tutaj radzą - powiedział Chadbourne. - Idziemy dalej?

- *Mais out.*

Podreptali powoli w stronę świateł na skrzyżowaniu. Minał ich policyjny samochód i zaparkował przed Tualatlnn, przypuszczalnie, żeby zabrać Tima i Craya. Z kominów niektórych domów unosiły się smugi dymu, świadczące o zapobiegliwości mieszkańców. Nigdzie nie paliły się światła ani neony i nie działało żadne urządzenie elektryczne. Patrząc na witrynę sklepu ze zwierzętami, martwili się, że właściciel nie był w stanie przyjechać i nakarmić gromadki szczeniąt, przypuszczalnie labradorów, które piszczały błagalnie na widok ludzkich twarzy za oknem.

- A co będzie, jeśli tam w środku nie jest dość ciepło? - zastanawiała się Anne-Sophie. - Co powinniśmy zrobić?

- Te psy to labradory rozumiesz? - powiedział Chadbourne.

Skręcili w główną ulicę. Zobaczyli sklep Safeway, otwarty i wystarczająco ciepły, choć wewnątrz było ciemno. Przechadzając się wzdłuż półek, Anne-Sophie zdumiewała się obfitością towarów, choć przyznawała, że było coś w uwadze Chadbourne'a: „Na pewno za nic nie chciałaś tego jeść”. Pomyślała sobie, że akurat Anglik nie powinien narzekać na straszne jedzenie, choć podobno jedzenie zdecydowanie się u nich poprawiło, odkąd w Londynie zaczęli pracować francuscy szefowie kuchni. Wymienili kilka uwag na ten temat i kupili produkty na kanapki - miejscowy *pain de mie* oraz dziwnie pokrojony ser, zawinięty w małe paczuszki, a także całkiem obiecująco wyglądające *pate* produkcji firmy o francusko brzmiącej nazwie. Jacyś Amerykanie radosnym tonem opowiedzieli im najnowsze wiadomości na temat burzy lodowej: nie było prądu aż po Gresham i najprawdopodobniej nie będzie przez następne kilka dni. Na autostradzie w Hood zderzyło się siedem samochodów, poza tym zorganizowano operację ratunkową, żeby przewieźć chorych i osoby starsze do cieplejszych miejsc. Znaleziono czwórkę nastolatków, którzy zamarli na śmierć w chacie na Mount Hood. Biedna Clara Holly pomyślała Anne-Sophie, na pewno słyszy to wszystko i zamartwia się jeszcze bardziej o swoją matkę. Ona najbardziej martwiła się o szczenięta.

- Za pięć dni wychodzę za mąż! - powtórzyła kilka razy, jak gdyby sama nie mogła w to uwierzyć.

Tim i Cray o wpół do dziesiątej razem z dwoma policjantami wyruszyli na poszukiwania policyjnym samochodem z napędem na cztery koła, który jednak wcale nie lepiej niż inne radził sobie z tym zdumiewającym lodem pokrywającym teraz cały świat. Mieli sprawdzić kilka adresów podanych przez ludzi ze Sweet Home Antiques Barn: dom SuAnn, letni domek przy drodze do Beaverton oraz jakieś miejsce w okolicy Mount Hood. W końcu znaleźli Cristal i panią Holly w trzecim z nich. Ponieważ jednak późnym rankiem zatrzymali się, żeby zjeść burgera, zrobiło się już popołudnie i było ciemno jak w środku nocy, gdy wjechali na drogę prowadzącą do niewielkiego

drewnianego domku z cieniami ścianami i gankiem położonym tyłem do drogi, na którym wisały na sznurze zamrożone, sztywne ścierki i kuchenne fartuchy. Tim zauważył, że policjanci trzymali ręce na broni, gdy zapukali do drzwi i zawołali, że szukają Cristal Wilson.

- Policja - powiedzieli.

- Idę - odezwał się głos.

Jakaś kobieta powoli uchyliła drzwi.

- Cristal Wilson? Czy jest tutaj Cynthia Holly?

- Tak. A co? Czy coś się stało?

- Szukamy jej. Ktoś zgłosił jej zaginięcie.

Cristal otworzyła drzwi szerzej. Wychudzona kobieta po czterdziestce w dżinsach i kurtce z kapturem.

- J e s t tutaj. A gdzie by miała być?

W domku było zimno. Na zapalonych palnikach kuchenki gazowej stały odwrócone do góry dnem gliniane dzbanki na kwiaty, które emitowały trochę ciepła. Przy kuchence, na krześle, pod stertą koców tkwiła chuda drobna kobieta, przypuszczalnie pani Holly, obok niej na drugim krześle siedziało jakieś dziecko z podwiniętymi kolanami, równie okutane, które wpatrywało się tępo w odrobinę widocznego ciepła rozprowadzanego przez gliniane naczynia.

- Nie zrobiliśmy nic złego, po prostu przyjechaliśmy tutaj. To oczywiste, że nie spodziewaliśmy się burzy - powiedziała Cristal.

- Byliśmy w domu pani Holly - odezwał się starszy z policjantów.

- T a k ?

- Znaleźliśmy broń.

Cristal zrobiła minę niewinnej obojętności.

- To nie ma nic wspólnego ze mną ani z Cynthią Holly. Nie pytajcie mnie, co oni tam powstawiali. Po prostu nas wyrzucili. Kazali nam wyjechać. Obiecali, że nie zabiorą żadnych rzeczy pani Holly. Guru SuAnn. - Starła się szydzić, niezbyt przekonująco, ale widać było, że jest przestraszona.

- Pani Holly, dobrze się pani czuje? - spytał policjant.

Kobieta patrzyła na Serge'a.

- To jest mąż Clary, prawda? Gdzie ona jest? Coś się stało? - mówiła zaczepnym, gderliwym tonem. Nie wyglądała zbyt czysto.

- Tak, jestem Serge, u Clary wszystko dobrze - odezwał się Cray z czułością w głosie, która zaskoczyła Tima.

- Powinnyśmy były zadzwonić, mówiłam ci - powiedziała pani Holly do Cristal.

- No dobrze, Thelma i Louise - oznajmił policjant. - Nie możecie tutaj zostać, mróz potrwa jeszcze kilka dni.

- Chętnie się stąd wyniesiemy, możecie mi wierzyć - odpada Cristal.

- Kim oni są, ci ludzie, którzy przyszli do pani domu, pani Holly? - spytał policjant.

- Nie znam ich, nie wiem. - Pani Holly zaczęła płakać; ciche łzy bezradności, które najwyraźniej zirytowały Cristal.

- Ona bierze leki, wiecie, i czasami nie mogę przemówić jej do rozumu - powiedziała Cristal.

- Czyje to dziecko?

- To moja wnuczka Tammi, dziecko SuAnn. Jakiś tydzień temu coś ich przstraszyło i powiedzieli, że chcą umieścić swoje rzeczy w naszym domu - wyjaśniła Cristal. - Nie mamy z tym nic wspólnego. Po prostu przyszli i kazali nam wyjść. Ciągłe odczytują jakieś znaki. Nie nadałam za tym.

- Dobrze, idziemy, bierzcie swoje rzeczy, nie możecie tutaj zostać - powtórzył policjant.

- Popatrz na to bujane krzesło i na stare radio Arvin - powiedział Cray do Tima. - Chciałbym zrobić zdjęcie tej konstrukcji na kuchni i rzeczy wiszących na ganku, na sznurku od bielizny.

- Zabieramy panią Holly do szpitala - rzekł policjant.

Jak wyjaśnił Crayowi, nie dlatego że jest chora, choć wyglądała na osłabioną, ale dlatego że szpital miał awaryjne generatory prądu i było w nim ciepło. Zawieziono już tam kilka starszych osób, a Czerwony Krzyż dostarczył trochę łóżek. Tymczasem policja skonfiskuje rzeczy znalezione w domu pani Holly, dzięki czemu Cray będzie mógł kazać wysprzątać dom przed jej powrotem. Cray nie był pewien, czy matka Clary powinna wrócić do swojego domu; musi to omówić ze swoją żoną, kiedy wróci do Tualatlnn i zdoła się do niej dodzwonić.

Cristal i mała dziewczynka zebrały swoje rzeczy, upychając je w papierowych torbach, i poszły do starego samochodu Cristal. Sprawiały wrażenie otępiałych, ale może były tylko przemarznięte i dlatego poruszały się w zwolnionym tempie.

- Dokąd pojedziecie? - spytał Tim, który niósł pudełko z rzeczami Cristal. Wydawało mu się, że są w nim jakieś kamienne naczynia i buty.

- Myślę, że do SuAnn - odparła Cristal.

Zmroziła go jej całkowita obojętność wobec dobroci, jaką starała się zawrzeć w swoim w głosie. To była beznamiętność kogoś, kto nie spodziewa się żadnej dobroci.

Sprawiały wrażenie, jakby potrzebowały pieniędzy.

- Macie pieniądze?

Nie miał przy sobie wiele, ale dał im to, co miał, trzydzieści pięć dolarów, nie wiedział dlaczego.

- Nie oddalaj się nigdzie, Cristal, dopóki się nie rozejrzemy - nakazał jej policjant.

- Chciałbym przysłać tu jutro jednego z moich ludzi - powiedział Cray do policjanta - żeby zrobił kilka fotografii dokumentalnych. Wystrój jest idealny, to podwórko, te sztywne rzeczy wiszące na sznurze do bielizny.

Chadbourne i Anne-Sophie wrócili do motelu, by zrobić kanapki. Było jeszcze zimniej niż poprzednio. Najwyraźniej pan Barrater nie nadażał z paleniem w kominkach, które i tak nie dawały zbyt wiele ciepła. Anne-Sophie stała długo zwrócona plecami do kominka w swoim pokoju, ale wyraźnie przygasała. Pomyślała, że najlepiej będzie, jak po prostu wskoczy do łóżka i może coś poczyta. Zaczynało się ściemniać.

- Myślę, że powinniśmy położyć się do łóżka, Les - zaproponowała, patrząc na pulchnego Chadbourne'a; jego okrągłe ciało emanowało ciepłem spalanych kalorii.

Chadbourne chętnie się zgodził. Zdjęli buty i weszli do łóżka Anne-Sophie, nie zapominając o zostawieniu otwartych drzwi, żeby pan Barrater mógł wejść z drewnem. Na wierzchu położyli pled

z łóżka Chadbourne'a. Po czym, ponieważ była czwarta po południu, najgorszy moment dla ich zaburzonych biorytmów, zasnęli.

Tim przez chwilę był niezadowolony, gdy wróciwszy z Crayem o siódmej, zastał Anne-Sophie i Chadbourne'a skulonych w łóżku. Ale zaraz pomyślał, że to akurat podoba mu się u Francuzów, ten brak fałszywej pruderii w nadzwyczajnej sytuacji.

Śpiący obudzili się i usiedli na łóżku.

- Och, *zut*, zasnęłam, teraz będę trzeźwa przez całą noc - jęknęła Anna-Sophie.

- Jezu, tu jest zimniej niż na zewnątrz - powiedział Tim.

- Może powinniśmy dostać kolację do łóżka - zauważył Chadbourne.

Serge czekał do dziesiątej - siódma rano we Francji - zanim zadzwonił do Clary z wiadomością, że jej matka jest bezpieczna, choć znalazła się w szpitalu. Clara usiadła na łóżku, łyży spływały jej po policzkach. Wytarła je prześcieradłem. W cudowny sposób tym razem uniknęła kary, jej matka była bezpieczna.

- Ale będziesz musiała coś zrobić z Cristal - rzeki Serge. - Ta kobieta jest ewidentnie stuknięta.

Nie powiedział jej nic o karabinach i semteksie.

Obudzwszy się o czwartej, Anne-Sophie musiała odeprzeć falę ogarniającego ją przygnębienia. Znajdowała się sześć tysięcy mil od Francji w lodowatym mroku jakiegoś dziwnego kraju. Wpatrywała się w ścianę oświetloną światłem księżyca, na której wisiała haftowana makatka z napisem: „Pocałunki nie przetrwają, gotowanie tak”. Coś dokładnie przeciwnego do słów hrabiny Ribemont w *Wbrew fali*. Zgodnie z jej opinią „Wszyscy mężczyźni tak naprawdę pragną tego, by w wyszukany sposób podziwiać ich genitalia”. Anne-Sophie znalazła się w świetle zapóźnionym i odwróconym na lewą stronę.

Miała wrażenie, że śpiący obok Tim w jakiś dziwny sposób przestoczył się w amerykańskiego kowboja. Z jego walizki wyłoniła się puchata kurtka z kapturem, od L.L.Bean, w której zatracił wszelkie podobieństwo do kosmopolitycznego Europejczyka. Cały czas

mówił po angielsku, nawet do niej - uświadomiła sobie, że w domu rzadko słyszy, by mówił w tym języku, zazwyczaj u Crayów. Tutaj mówił „yeah”, a raz nawet powiedział „okey-dokey”. Kupił butelkę burbona, żeby wypić w pokoju. Wydawało jej się, że jego przystojne rysy w jakiś dziwny sposób roztopiły się albo zatraciły wyrazistość, aż zaczął przypominać mężczyzn z oregońskich billboardów, jasnych, nijakich, umięśnionych, z małymi nosami i mocnymi szczękami.

Za kilka dni będzie jej mężem. Zamieszkają razem na pierwszym piętrze, co z tego, że przy modnej ulicy, i będą żyć z niepewnych dochodów, choć, dzięki Bogu, nie w Oregonie.

A jednak Oregon wydał jej się taki piękny, mimo że zimny. Wiedziała, że jest roztrzęsiona z powodu braku elektryczności, wrażenia niezwyklej gwałtowności przyrody, które na szczęście nie odnosi się do Paryża, i lęku, że znalazła się na skraju odległego kontynentu, skąd można nie wrócić. Powiedziała sobie jeszcze raz, że Oregon jest naprawdę piękny, ma śliczne, szerokie ulice i wygodne stacje benzynowe... Na pewno latem jest tu mnóstwo pól golfowych, co stanowi wielki atut, i jedzenie wydaje się naprawdę dobre. Tak bardzo chciała znowu zasnąć i obudziwszy się jutro, zobaczyć, że za oknem jest odwilż, i zdążyć jeszcze obejrzeć jakieś amerykańskie *objects* i *antiquites*.

Tim zaś powiedział sobie, że to tylko niewygodna ich sytuacji sprawiła, że odniósł takie niedobre wrażenia z Oregonu. Spodziewał się, że będzie bardziej... ekologiczny. Przecież chwali się ekologią, prawda? W odróżnieniu od podupadłych, opuszczonych miast stanu Michigan zdrowe, radosne miasteczka Oregonu miały reputację miejsc położonych blisko natury, przyjaznych obywatelom; ich jedynymi społecznymi wrogami byli Kalifornijczycy oraz plaga Cyganów, którzy w jakiś sposób dotarli aż tutaj. To była kraina indywidualistów, kraina wolności. A także, no cóż, wszystkiego, co wskazywało na niewygody i złą organizację, brzydkich centrów handlowych, chaotycznych przedmieść i skupisk barów szybkiej obsługi, między którymi starały się przebić wspaniałe wielkie drzewa i od czasu do czasu jakaś roślina, jakiś chwast. Dlaczego ci ludzie nie widzą, co robią z tym miejscem?

Irytowało go, że Anne-Sophie najwyraźniej się to wszystko podoba. Czy zachowuje się szczerze, czy tylko dyplomatycznie? Chciałby

potrząsnąć nią i powiedzieć: „Obudź się, bądź ze mną szczerą, nie musisz udawać”.

- Och, Tiim, byłam w Circuit City. - Westchnęła. - To prawdziwe niebo, co jeszcze pozostało mi w życiu? - Ale miała dość poczucia humoru, by roześmiać się na dźwięk obłąkanej przesady swoich słów.

Cray nie chciał wracać do domu, dopóki nie spotka przynajmniej niektórych bohaterów swojego filmu, nie skoryguje przerysowanych obrazów podsuwanych przez wyobraźnię, nie doprecyzuje pewnych szczegółów ich retoryki, nie zobaczy, jak żyją na co dzień. „Karykatura jest wrogiem starannego realizmu, jaki pragnę zachować w tym utworze”, powiedział. Postanowili odwiedzić SuAnn, jeśli tylko Delia nie myliła się co do jej adresu.

Przyjechali do swego rodzaju kondominium, niegdyś małego dziedzica, wokół którego stały niewielkie domki ustawione w półkolu, niedaleko ulicy w Westmoreland. Obok rozmaitych domków albo w trawie na bocznym podwórku stały różne stare samochody i półciągarówki. Zapukali na chybił trafił do jakichś drzwi i spytali o SuAnn. Pulchna, dość normalnie wyglądająca kobieta powiedziała, że nie widziała jej, choć może jest ze swoją matką.

- Wejdźcie, proszę, jest zimno, zawołam kogoś, kto coś wie. Możliwe, że jest znowu w szpitalu.

Weszli do małego domku. Czworo dzieci siedziało na malutkich krzesłach w salonie.

- Mamy tu szkołę - wyjaśniła. - Uczymy dzieci w domu.

- Dobrze, bardzo dobrze, doskonale - powiedział Serge Cray, zacierając ręce.

- W e c i e , że są na tej ziemi ludzie ukształtowani przez jakieś obce, sadystyczne metody wychowania dzieci; ludzie tak bardzo do nas niepodobni pod żadnym względem, że człowiek ma nadzieję, że to inny gatunek. Na przykład jak ci ludzie w Rwandzie, którzy zarzynają się nawzajem. Nie, my sami uczymy nasze dzieci - powiedziała kobieta rzeczowo. - Chcecie trochę kawy?

- Może mi pani opowiedzieć trochę o programie? - poprosił Cray radośnie.

ROZDZIAŁ 52

Tymczasem w Paryżu

Antoine okazał się miłym człowiekiem. Był przystojny i w dodatku sympatyczny - ostatecznie właśnie to przypieczętowało miłość Clary. Był jej męskim odpowiednikiem, skromnym, przyzwoitym człowiekiem prowadzącym aż do tej pory poprawne życie - wyrażenie „w cichej rozpacz” wydawało się wręcz niedorzecznie ponure w odniesieniu do osób tak uprzywilejowanych. Poprawne życie, miłe życie nagle zamienia się w nasycone dramatyzmem i dążeniem do poszukiwania własnych przyjemności, zrodzonym z pragnień, które dotąd pozostawały w ukryciu. Jedynie na trzy dni, obiecali sobie, a potem cała przyszłość pełna spojrzeń, jakie będą słać sobie z oddali w miasteczku, uśmiechów, ślubowania stałego miejsca w sercu. Inaczej być nie mogło. Ale ich serca szalały na myśl o tej chłodnej perspektywie, a przynajmniej jej serce szalało.

Bóg jeden wie, co Antoine mówił żonie albo w *bureau*, żeby wyjaśnić swoją dziwną nieobecność, nagłe wyjścia bez słowa wyjaśnienia, tak nieoczekiwane u pełnego godności, opanowanego człowieka. W jego *bureau secretaires* wymieniały nieśmiałe uśmiechy.

Przyjeżdżał na śniadanie, kochali się, jedli lunch i znowu się kochali, szli na wczesną kolację, spacerowali po lasach. Śmiali się i rozmawiali, trzymając się za ręce - mieli mnóstwo do nadrobienia. Czuli się, jak gdyby Platon z uśmiechem satysfakcji patrzył z zaświatów na tych dwoje ludzi, którzy najwyraźniej, wbrew wszelkim przeciwnościom, potwierdzali jego teorię. Oczywiście Antoine nie mógł spędzić u niej

nocy. Clara przewracała się do późna na łóżku z tęsknoty i nie kładła się przed drugą, żeby jeszcze raz porozmawiać przez telefon z Serge'em w Oregonie, który zapewniał ją, że jej matka jest bezpieczna.

Antoine przyjechał rano z Paryża i zabrał Clarę do swojego domu. Poszli pieszo przez las. Rottweilery nie zwracały na nich uwagi, już się przyzwyczyły.

- Chciałbym po prostu cię tam zobaczyć. Chcę cię zobaczyć w moim domu. Będziemy sami. Nikt nie przyjeżdża tu w środku tygodnia.

Podobnie jak Clara cieszył się na myśl, że wywraca wszystko do góry nogami. To on był zawsze w rodzinie tym dobrym chłopcem, harcerzem, tym, który zaprowadzał spokój, niemal zawsze wierny Trudi. Z pewnością nigdy nie był dla niej źródłem niepokoju, ani dla swojej matki, ani dla żadnej innej kobiety, aż do tej pory...

Clara wolała nie patrzeć na jelenie rogi wiszące w holu, ich symboliczne znaczenie bowiem zbyt bezpośrednio odnosiło się do jej życia, by mogła im się przyglądać. Antoine przyniósł z piwnicy gevery-chambertina rocznik 1985, Clara udusiła trochę grzybów zebranych przez mieszkańców wsi, a on zrobił tosty. Zjedli w kuchni, rozmawiali, potem kochali się na sofie w salonie. Może pomyślał, że widok małżeńskiego łóża będzie dla niej zbyt denerwujący, a może nie chciał poważić się aż na takie świętokradztwo; nie wiedziała tego, ale była zadowolona, że nie widziała dwóch poduszek, dwóch szafek nocnych, szczoteczek do zębów w łazience.

Pod koniec trzeciego dnia, kiedy oboje wiedzieli, że Serge przyjeżdża już jutro, świadomość, iż wszystko to miało się skończyć, stawała się coraz trudniejsza do zniesienia. Czy to możliwe, że myśl o przyszłych dniach bez przyjemności, o hipotetycznej utracie mogłaby zagrozić przyjemności, jaką odczuwają obecnie?

- To może być jakiś protestancki problem - powiedział Antoine - ale przynajmniej, że dręczy także mnie.

- Przecież nie jesteśmy zakochani, to tylko... to tylko...

Żadne z nich nie sądziło nigdy, by mogło przytrafić im się coś takiego, jak poczucie, że są szalenie zakochani. Woleli posługiwać się innymi słowami niż „miłość” - mówili o oddaniu, o pożądaniu.

A jednak, mimo tych ograniczeń, jakie nakładali na swoje słownictwo, Clara wiedziała, że oboje z Antoine'em nie już panują nad sobą i znaleźli się w stanie pełnego udręki zachwytu. To było tak, jakby ktoś im powiedział, że zostały im tylko trzy dni życia - tyle, ile trwa wyprawa Craya. Skoro świat miał się skończyć za trzy dni, kto by się przejmował tym, co robi dziś? Czy to była pora na ostrożność i panowanie nad sobą?

A czy namiętny romans wydawał się tym słodszy, że jego koniec był z góry przesądzony? Tak czy inaczej, te cenne momenty nadawały znaczenie wielu innym sprawom, których wcześniej nie rozumieli. Rozmawiali o tym. Clara czuła, że będzie odtąd lepszą matką i żoną, choć trudno było powiedzieć, w jaki sposób. Nawet gdyby połączyli ich tylko seks i przyjemność, gdyby Antoine nauczył ją jedynie tego, to i tak były to sprawy niezwykle ważne, których wartość nauczyła się teraz cenić. Antoine z kolei mówił z taką radością o swojej metamorfozie ze statecznego *banquier* w romantycznego kochanka i przysięgał, że już nigdy nie wróci do poprzedniego życia; w głębi serca stał się wiecznym buntownikiem. Ludzie się zmieniają. Czy i ona się odmieniła?

Trzeciego dnia późnym popołudniem Clara dowiedziała się od Serge'a, który właśnie wstał, że razem ze swoimi gośćmi wylatuje z Oregonu i zamierza dotrzeć do Paryża jutro przed południem. To będzie jej ostatni wieczór z Antoine'em. Powinni zjeść jakąś uroczystą kolację; postanowiła, że zabierze go do wspaniałej restauracji Taillevent. On wymyśli jakąś wymówkę dla swojej żony, a potem będą się gdzieś kochali na pożegnanie, w hotelu albo w jego biurze. Ktoś mógłby pomyśleć, że są już zmęczeni tym całym pieprzeniem, ale oni nie byli.

Clara w prostej czarnej sukience była mimo to aż nazbyt widoczna, zbyt piękna dla Antoine'a, by mógł czuć się całkiem swobodnie nawet w restauracji, w której nie znano go zbyt dobrze. Rzuciła się w oczy jak Wenus; nikt, kto na nią patrzył, nie zawracałby sobie głowy polowaniem. Modlił się o jakiś ustronny stolik, ale jednocześnie czuł się zadowolony i nieco oszołomiony, że ta cudowna istota

zjawiła się w jego towarzystwie. Uświadomili sobie, że żadne z nich nie jest głodne, i muszą jakoś przebrnąć przez trzy dania; było błędem zwracać się ku *haute cuisine*, gdy człowiek ma uwagę skupioną gdzie indziej; wielkie, wspaniałe restauracje są dla znudzonych i nasyconych.

Clara wiedziała, że jeśli zaczną mówić o rozstaniu, rozpłacze się, co byłoby kłopotliwe i żenujące w restauracji, więc uśmiechała się i poruszała ogólne tematy. Antoine był dobry w ogólnych tematach. Literatura?

- Cudzołóstwo to wielki temat dziewiętnastowiecznej literatury - zauważył. - A nawet literatury średniowiecznej, gdy kontekst jest świecki.

- Uwielbiam cudzołóstwo - powiedziała Clara. - Wystawiam je.
- Upodobania raczej nabyte, na pewno.

- Madame Bovary, Anna Karenina... ale to się zawsze źle kończy! - przypomniała sobie nagle.

Każdy inny temat także nieubłaganie prowadził ku kwestii tęsknoty ich ciał i doskonałej zbieżności zainteresowań, mimo pewności, że już nigdy nie spotkają się w ten sposób; to były ostatnie momenty ich sekretnego życia.

ROZDZIAŁ 53

Pożegnanie z Nowym Światem

Przez całą noc ekipy z łopatami i solą starały się oczyścić autostrady z lodu i rankiem większość dróg była przejezdna, choć nadal do wielu rejonów nie docierał prąd. Goście z Europy postanowili wykorzystać ostatni dzień pobytu w Oregonie na sprawy, którymi najbardziej chcieli się zająć. Cray pragnął poznać więcej znajomych Delii, wyznawców różnych kultów, millenarystów i członków sekty Moona, a może także pobyć w towarzystwie samej Delii. Anne-Sophie chciała kupić wyroby rzemiosła rdzennych Amerykanów, z motywem tkaniny w szeroką kratę. Chadbourne chciał sfotografować krajobrazy w kilku sąsiednich miasteczkach, a ponieważ mógł to zrobić przy okazji wyprawy Anne-Sophie na poszukiwanie antyków, postanowili, że pojedą razem. Sympatyczna pani Sadler zaferowała, że ich zawiezie.

Tim jako jedyny nadal martwił się o los matki Clary i Cristal oraz jej biednej małej wnuczki. Zaczął od wizyty w szpitalu adwentystów, żeby zobaczyć się z panią Holly. Awaryjne generatory utrzymywały część szpitala w ciepłe, toteż w swego rodzaju sali dziennego pobytu zebrano pacjentów w różnych stadiach choroby, przymocowanych do kroplówek i rozmaitych przewodów. Pielęgniarki krążyły między łózkami, krewni w ubraniach wierzchnich mogli jedynie zaglądać przez drzwi, ale nie zapraszano ich do środka, jak gdyby w obawie, że mogliby wyssać z pomieszczenia za dużo ciepła.

Tim zorientował się, że pani Holly, skulona bez ruchu w szpitalnym fotelu, znajduje się na tyle blisko miejsca, w którym stał, że

mógł z nią porozmawiać. Przypomniał jej kim jest, przyjacielem Clary, z Francji, poprzedniego dnia się widzieli. Odniósł wrażenie, że ożywiła się nieco na myśl, że ktoś ją zna.

- Gdzie jest Cristal? - spytała.

Tim nie wiedział.

- To już się zdarzało wcześniej, podobne ataki zimy - odezwała się. - Cristal wie, co wtedy zrobić, kiedy jesteśmy w domu, ale oni kazali nam się wynieść, słyszał pan o tym?

- Co to za ludzie?

- Jacyś mężczyźni. Powiedzieli, że chcą przynieść rzeczy do kuchni. - Mówiła tonem pełnej akceptacji, pozbawionym ciekawości, z absolutnym pragmatyzmem ludzi starych.

- Nie powiedzieli dlaczego?

- Może i mówili, ale nie słyszałam - odpada.

Jakie to dziwne, pomyślał Tim, że człowiek może tak nie przejmować się własną bezradnością, czy to za sprawą wieku? A może to jakaś amerykańska obojętność, brak wyobraźni, że może zdarzyć się coś złego?

Próbował dowiedzieć się od pielęgniarki, co się stanie z panią Holly, gdy w domach pojawi się ponownie elektryczność, ale oczywiście nie wiedziała. Przymuszczałnie pani Holly zostanie umieszczona w jakimś domu opieki albo zostanie tutaj i najwyraźniej sama zdawała sobie z tego sprawę, widać to było w pochyleniu jej skurczonego starego kręgosłupa i zwisającej głowie. Musiała kiedyś wyglądać tak jak Clara. Co pomyślałaby Clara, gdyby zobaczyła swoją matkę, jak siedzi tutaj z kocem na kościstych drobnych kolanach, wdychając powietrze lekko przesycone wonią uryny? Pani Holly nie bardzo wiedziała, kim jest Tim, ale życzliwie przyjęła jego troskę, gdy starannie owinął kocem jej nogi.

- Dziękuję, tak jest lepiej. Czy pogoda się poprawia?

- Nie bardzo, pani Holly. Wygląda na to, że będzie lepiej, gdy zostanie tu pani parę dni.

- Wróci pan i nas odwiedzi. Czy Clara nie marznie?

- Nie, jestem pewien, że nie marznie - zapewniał ją Tim, szykując się do wyjścia. - Czy ma tu pani coś do czytania? Przynieść pani coś?

- Jest dziewięć godzin różnicy między nami a Paryżem - powiedziała pani Holly tęsknie.

Wyszedł przytłoczony świadomością daremności ludzkich poczynań i obrazem starości. Chociaż wiedział, że Clara nie miała wyboru i musiała zostać we Francji, jednak miał jej nieco za złe, że zostawiła tę starą kobietę na łaskę losu i zaniedbania. Zastanawiał się, czy ciepłe uśmiechy, jakie posyłały mu pielęgniarki, brały się stąd, że był tutaj niemal jedynym mężczyzną; wszyscy pozostali goście odwiedzający starszych krewnych to były kobiety.

Przed opuszczeniem Tualatlnn mieli jeszcze do załatwienia różne sprawy przez telefon. Tim zadzwonił do domu swojego ojca w Grosse Pointe, gdzie dowiedział się, że Jerry i Terry Nolingerowie wyjechali już na ślub do Francji.

Pojawił się Cray, ożywiony po niedawnej wizycie u przyjaciół Delii. Promieniował radością i entuzjazmem, jakby wchłonał w siebie szaloną energię fanatyków.

- Pomyślałabyś, że ci ludzie będą skryci, tajemniczy. Nic podobnego, ani trochę! Są całkowicie otwarci! Mają swoje przekonania. Żadne czyny nie są dobrymi czynami poza tymi, które Bóg sam do takich zaliczył. Żadne uczynki stworzenia - to znaczy nas - nie zaskarbia nikomu korony w niebiesiech. Spytałem ich więc, po co im broń.

- I po co semteks? - dodał Tim.

- Odpowiedź - wyjaśnił Cray - polega na tym, że człowiek nie wie, które z jego wewnętrznych impulsów pochodzą od samego Boga, trzeba więc działać z pewnym rozrzutem - to jak strzelanie z dubeltówki. Poza tym chyba wierzą, że Bóg sprzyja jednostkom wojowniczym.

- Chodzi więc o religię, a nie patriotyzm?

- Nie, to jest jedno i to samo - powiedział Cray. - Ameryka to kraj Boga. A czemu teraz? Z powodu Apokalipsy. Znak Bestii, Nierządniczy Babilońskiej - ci ludzie traktują Pismo równie dosłownie jak tysiąc lat temu. Wielka sprawa!

Delia przyszła razem z Crayem, aby pożegnać się z pozostałymi, i udało jej się zrobić to w taki sposób, żeby nikt nie mógł

sobie pomyśleć, że wcześniej darzyła kogoś z nich choćby cieniem sympatii. Na pożegnanie uśmiechnęła się do wszystkich, nawet do Tima, z którym jednak starała się nie znaleźć sam na sam, odkąd wykręcił jej rękę. Objęła Serge'a. Trudno było powiedzieć, czy te dwa ciała obejmowały się kiedykolwiek w gorętszych uściskach. Objęła także Anne-Sophie, a po krótkim wahaniu Tima, jak również Chadbourne'a, jak gdyby nie chciała być niegrzeczna i go pominąć. Życzyli jej szczęścia.

- Czy byłąbyś tak miła i dała mi znać, kiedy Gabriel bezpiecznie wróci do Ameryki? - poprosił Tim.

ROZDZIAŁ 54

Prawdziwe życie

Madame Aix, ogromnie podekscytowana tym, że „Mademoiselle et Decor” planuje reportaż ze ślubu Anne-Sophie, osobiście zaangażowała się pod nieobecność panny młodej w dopilnowanie wielu detali ślubu, którymi normalnie zajęłaby się Anne-Sophie. Była bardzo wzburzona całkowicie nieortodoksyjną nieobecnością Anne-Sophie, dosłownie w przededniu ślubnej ceremonii, i niesłuchanie przygnębiona bezczynnością Estelle d'Argel, choć ta obiecała, że pomoże zabrać kwiaty i kilka pudełek kieliszków do szampa wypożyczonych na tę okazję, rzeczy na tyle lekkie, by można je było przewieźć pociągiem; poza tym postanowiła wydać przyjęcie koktajlowe dwa dni przed ślubem. (Do tego nie angażowała madame Aix). Madame Aix czuła, że pragnie podzielić się z całym światem swoim oburzeniem na to niegodne postępowanie powieściopisarki, tej *mere* od siedmiu boleści, opowiedzieć wszystkim o jej obojętności i braku jakiegokolwiek zaangażowania. Przysięgła sobie, że nigdy, ale to nigdy, nie kupi już żadnej książki Estelle. W końcu postanowiła poświęcić jedno popołudnie i sama pojechała pociągiem do Val-Saint-Remy, by obejrzeć kościół oraz ocenić, na jakie trudności mogą natknąć się fotografowie i ludzie od cateringu. Oczywiście Estelle sama powinna była to zrobić, jednak madame Aix nie chciała pozostawiać niczego przypadkowi, ponieważ do pewnego stopnia w grę wchodził także honor jej *bureau*.

Kiedy zobaczyła maleńki i zakurzony, choć bez wątpienia uroczy kościół, natychmiast ogarnęło ją przeczucie tego, co się wydarzy -

strumień płynący zaledwie piętnaście metrów od świątyni na pewno wzberze i wyleje w dniu ślubu. O tym, że w przeszłości zdarzało się tak całkiem często, świadczyły ślady na murach nawy.

Prawnik z firmy Biggs, Rigby, Denby Fox zostawił wiadomość dla Clary. Ma natychmiast do niego oddzwonić. Francuska sędzia śledcza przekazała już prawnikom swój pogląd, że Clara formalnie, nawet jeśli nie de facto, jest winna zarzucanych jej czynów, i choć nie można dowieść, że osobiście dopuściła się przestępstwa, będzie musiała ponieść karę; należało się spodziewać *prison ferme*, obawiał się adwokat, choć istniała niewielka szansa na apelację. Wyrok zostanie wydany następnego dnia. On sam, Chris Okver, jest już w drodze. Nie powinna rozpaczać, mają jeszcze wiele asów w rękawie...

W pierwszej chwili ta wiadomość wydała się udręczonej Clarze jedynie pomniejszym i raczej spodziewanym ciosem, o wiele gorsze było rozstanie z Antoine'em. Jednak wkrótce dotarło do niej w pełni realne znaczenie grożącego jej więzienia i pogrzyżała się w poczuciu całkowitego nieszczęścia. Prawnik, kiedy już dotarł do *chateau*, nie był w stanie powiedzieć niczego pocieszającego, jednak mimo to spędził wiele czasu z piękną panią Cray, starając się jakoś ją uspokoić.

W samolocie Tim wypił kilka szklaneczek czystego burbona, zastanawiając się, czy nie powinien się na niego przerzucić. Po botanicznych tajemnicach szkockiej whisky amerykański trunek miał w sobie coś świeżego i nieskomplikowanego jak płyn do płukania ust.

- Właściwie czemu to się nazywa burbon? - zapytał na głos. Słowo „burbon” nagle zabrzmiało mu zbyt francusko i jedynie pogłębiło pewne wahania, jakie ogarnęły go na myśl o tym, że wraca do Francji. Przypomniał mu się fragment wiersza - jemu, choć nie miał głowy do poezji - jakiegoś poety z pokolenia bitników, który pracował w barach i lasach Oregonu:

Ta krótko ostrzyżona radość i szorstkość -
Ameryko - twoja głupota.
Niemal mógłby cię znów pokochać.

Może był Amerykaninem bardziej, niż sam się tego spodziewał? A może po prostu lękał się tego, co czekało na niego we Francji, może to były naturalne obawy, jakie wszyscy mężczyźni podobno odczuwają przed ślubem, i dlatego był taki przybity. Dotarła do niego realność ślubnej ceremonii nadchodzącej szybkimi krokami oraz związanych z nią trudów następnych kilku dni, które trzeba będzie jakoś przetrwać.

Ale jeszcze bardziej chodziło o świadomość, że w pewnym sensie podobało mu się w Oregonie i nadal przejmował się sprawami, jakie zostawiali za sobą, nawet jeśli nie były to kłopoty ściśle z nim związane - biedna pani Holly, biedne małe dziecko Tammi, czy jak tam się nazywała, a nawet biedna Cristal oraz inni zrozpaczeni ludzie, także dojmujący chłód i ubóstwo oraz ich czyste szaleństwo. Tim doceniał skupienie Craya na tych sprawach, jego pragnienie, by to wszystko pokazać i opowiedzieć o tym światu.

Pomyślał także o Clarze, o jej promiennej urodzie i nieprzeniknionej naturze, o tym, jak cała drżała, gdy otoczyli ją myśliwi przed pocztą. Na zewnątrz opanowana, a wewnątrz przerażona, zrećźnie skrywająca swoje uczucia za uśmiechem tak pięknym jak uśmiech Ostatniej Księżnej z wiersza Browninga. Może i ona doprowadzała Craya do szału, tak jak księcia doprowadzał do furii nieprzenikniony sposób, w jaki księżna rozdzielała swoje uśmiechy. W ogóle nie powinien myśleć o Clarze. Spojrzał na Anne-Sophie; z jasnymi włosami holenderskiej dziewczyny i policzkami postaci z obrazów Bouchera nagle wydała mu się podobna do marionetki, niewątpliwie uroczej marionetki, choć pozbawionej duszy.

Czy człowiek powinien się żenić, gdy ogarniają go zastrzeżenia? Jednak w rzeczywistości nie miał żadnych zastrzeżeń, nie sądził, by je miał. Kochał Anne-Sophie. Reszta to tylko nerwy i szok kulturowy.

Anne-Sophie usiadła w najdalszym fotelu małej kabiny z amerykańską edycją czasopism „Vogue”, „House and Garden” i „Bride” na kolanach. Zapięli pasy i samolot zaczął kołować. Nagle wydał jej się taki mały niczym model z balsy, za kruchy, by przelecieć nad biegunem, przez ocean. Nadal dręczyła ją pewność, że już nigdy nie wróci do Francji. Wiatr zmiecie ich z kursu, rozbiją się, jakiś członek sekty

Gałąz Dawida podłożył na pokładzie bombę, żeby urwać głowę monsieur Crayowi, który pragnie pokazać ich światu w swoim filmie, choć przecież pragnął ich wychwalać bez umiaru, z takim ożywieniem rozprawiał o swoich wrażeniach z wyprawy z Delią do obozu rybackiego, cokolwiek znaczyła ta nazwa.

- Delia przyjedzie do nas, omówiłem to z jej matką. Biodra robią teraz najlepiej w Anglii, z użyciem na nowo ukształtowanej naturalnej kości. Mielą ją i formują jak płytę październową - mówił Cray o Delii. (Czy coś ich łączy? - zastanawiała się Anne-Sophie).

Ale oni sami nigdy nie wrócą do Francji. A ona nigdy nie wyjdzie za mąż. Tragiczna śmierć panny młodej i pana młodego w przededniu ślubu, dosłownie w przededniu ślubu, ludzie zebrani już w kościele w Val-Saint-Remy ksiądz wygłasza mowę pogrzebową, zamiast udzielać ślubu, rozpacz Estelle na wieść o tym ostatecznym niedopasowaniu... Choć wiedziała, że to głupie, nie potrafiła opanować poczucia paniki, jaka ją ogarniała na myśl, że znalazła się tak daleko od Francji, w kruchym, niewielkim samolocie i w towarzystwie obcych ludzi. Nawet Tim, człowiek, z którym spała i którego znała dobrze, wydawał jej się teraz jakimś zimnym, nieczułym cudzoziemcem. Wzięła jeden z moherowych płedów z monogramem, owinęła się i starała się skupić na słuchaniu muzyki.

Cray opowiedział im dokładniej o swojej wyprawie z Delią w górę kanionu rzeki Columbia, do obozu rybackiego, w którym znaleźli SuAnn Wilson i jej towarzyszy. W latach czterdziestych to było jakieś uzdrowisko, ale z tamtych czasów zostało tylko rozpadające się nabrzeże.

- Myślę, że nawet Delia była przerażona - powiedział. Ale sam był zadowolony. - Ci ludzie mają broń. Dziesięć albo jedenaście rodzin zamierza wyruszyć do wschodniego Oregonu i kupić tam ziemię. Sławna SuAnn? Nie ma znaczenia, czy jest obłąkana, pasuje do nich doskonale. Wyglądali jak biedni ludzie, którzy mają niedobry gust do złych programów telewizyjnych i lubią niezdrowe jedzenie. I wszyscy mają broń, mnóstwo broni, ogromne, zawsze naładowane karabiny, i są święcie przekonani, że coś, nawet jeśli to tylko siły historii, jest przeciwko nim w postaci sąsiadów, policji i rządu federalnego. Podają

różne przykłady - Gałąź Dawida, Weavers - nawet nazwy są idealne. Pamiętacie grupę z lat sześćdziesiątych The Weavers? *Joshua, Row Your Boat Ashore?* Tim, ty jesteś za młody, ale Chadbourne?

- Tak, oczywiście, amerykański zespół, ale czy tam nie było „Michael”? - odrzekł Tim niepewnie.

- *Michael, Row Your Boat Ashore* - powtórzył Cray.

Chadbourne, który opisywał rolki filmu z aparatu fotograficznego i umieszczał je w zielonej płócienniej torbie, zaczął rozmawiać z Crayem o tym, co widzieli w obozie millenarystów.

- Potrzebujemy takiej postaci jak Delia - mówił Cray. - Wyrafinowanej intelektualnie, ale jednocześnie takiej, która z góry niczego nie podaje w wątpliwość. Czeka, chce zobaczyć, co będzie. Ta postać w efekcie funkcjonuje jako narrator, ktoś, kto się niczemu nie dziwi...

- Na zdjęciach musi być sklep z bronią w centrum Lake Grove - powiedział Chadbourne. - I flagi, wszędzie flagi. A potem jakies ujęcia kanionu rzeki Columbia z helikoptera...

Anne-Sophie pomyślała o monsieur Boudherbie i o nieodgadnionej naturze życia. Ktoś może przyjść i ukraść ci pieniądze, zamordować cię w twoim własnym sklepiku na pchlim targu. Twój samolot się rozbije. Miałaś wyjść za tego mężczyznę, zamiast za jakiegoś innego. Orgazm to jedynie orgazm, z tym mężczyzną albo z innym. Tylko ten plemnik, a nie inny, zrobi to, co ma zrobić z twoim jajeczkiem: Francja domaga się Francuzów. To więcej niż przygnębiające, to smutne, wszystko z góry przesądzone. I gdzie w tym sens? Czy człowiek ma jakiś wybór, czy po prostu musi grać swoją rolę?

Przynajmniej przestała niemądrze zachwycać się wygodą i energią amerykańskiego systemu autostrad oraz ruskimi cenami wszystkich towarów, pomyślał Tim. Poza tym miał już dosyć ciągłych przemów Craya, chciał, żeby oboje z Chadbourne'em się zamknęli. Rozmowa o tych szaleńcach ukrytych w zapomnianym motelu budziła w nim zbyt wiele skojarzeń, smutnych obrazów biednych ludzi, o których ci, co im dobrze życzą, nie powinni zapominać - to znaczy on sam nie powinien spokojnie lecieć do Francji, nie wiedząc, czy wszystko z nimi w porządku.

ku. Nie potrafił uwolnić się od niepokoju. Biedna malutka pani Holly i inni starzy ludzie w szpitalu adwentystów, miasta zamrażające w lodowatym wietrze i dzielni ludzie odłupujący lód i próbujący poruszać się samochodami za pomocą łańcuchów, swego rodzaju wytrwała odwaga w zmaganiu się z siłami natury. Ta mała dziewczynka i Cristal, postaci jak ze Steinbecka; chciałby też zobaczyć maniakalno-depresyjną SuAnn. Życie w Oregonie to było życie na pierwszej linii zmagania, całe społeczeństwo skupione na walce - zmagania opon, zmagania z lodem, zmagania karburatorów, walka o bezpieczeństwo, walka przeciw bombom (albo za ich pomocą), automatyczne karabiny za lodówką. Może te zmagania wyrażały ducha nadciągającego milenium, jednak coraz bardziej przynębiała go desperacja i nieproporcjonalne, przesadne reakcje: ucieczka, zapasy broni, patrole policyjne, te wszystkie niepokoje i asfaltowe drogi w stanie, który powinien być zielony... Nie, nie powinien był odlatywać stamtąd prywatnym odrzutowcem do Europy na wielkie przyjęcie wśród zamożnych Amerykanów - swój ślub - dopóki nie dodał swojego głosu protestu do głosów protestów rozlegających się gdzieś w Oregonie. Francji nie był potrzebny tak bardzo jak Oregonowi.

- Oczywiście to nie jest opowieść Delii, jeszcze nie wiem czyja, przypuszczalnie córki, SuAnn? Może Cristal. Cholera, zapomniałem spytać o Lady. Psa. Clara na pewno o niego spyta - mówił właśnie Cray. - Cholera, Tim, niech ktoś zadzwoni, może ty się dowiesz, co z tym psem? Po prostu powiedz: „Lady, pies”, będą wiedzieli.

Nie kochaliśmy się ani razu w Ameryce, pomyślała Anne-Sophie. Kochanie się stawia jakąś pieczęć na danym miejscu. Ale jeszcze będziemy tam wracać.

- Gładko poszło. - Cray roześmiał się, przechadzając się tam i z powrotem do kokpitu. - Ta cała wyprawa. Przylatujemy, wylatujemy, mama uratowana, gotowe plany dla drugiego zespołu, a IRS nadal nie ma pojęcia, że w ogóle tam byłem.

- Czy naprawdę wolisz George'a Gershwina od Delibes'a? - spytała zaczepnie Anne-Sophie, usłyszawszy muzykę rozlegającą się w słuchawkach Tima.

ROZDZIAŁ 55

Odliczanie do ślubu

Wylądowali znacznie przed południem, co oznaczało, że mieli cały dzień przed sobą, na szczęście, ponieważ było wiele do zrobienia w sprawie ślubu, do którego zostały zaledwie trzy dni. Tim pojechał do ich mieszkania, Anne-Sophie wzięła taksówkę, która zawiozła ją prosto do Estelle. Planowała spotkać się z Timem przed kolacją i wydarzeniami tego wieczoru, a do tego czasu Tim miał skontaktować się z ojcem i macochą, którzy przypuszczalnie już przyjechali.

Kiedy wszedł do środka, właśnie dzwonił telefon - Cees przekazał mu z Amsterdamu wiadomość, że Gabriel podjął strajk głodowy, ponieważ ze Stanów nadeszła prośba o ekstradycję: prokurator federalny domagał się jego powrotu do stanu Nowy Jork. Gabriel twierdził, że Amerykanie chcą go ściągnąć, a następnie oskarżyć o przestępstwo zagrożone karą śmierci.

- Jeśli potrafi tego dowieść, zgodnie z holenderskim prawem ekstradycja będzie niemożliwa - wyjaśnił Cees.

Tim powiedział, że zawiadomi o wszystkim Serge'a Craya, ale tak naprawdę teraz, po wyjeździe Delii, Gabriel przestał kogokolwiek interesować. Tima nadal męczyło lekkie poczucie winy z powodu współudziału w jego aresztowaniu, ale jeśli facet był winny jakiegoś przestępstwa zagrożonego karą śmierci, czy nie stawiało to kolaboracji Tima z policją w innym, nieco lepszym świetle?

Z automatycznej sekretarki Tim odsłuchał kilku wiadomości od matki, która wróciła już do Paryża i ulokowała się w hotelu Lutetia.

Jego ojciec z macochą zamieszkali w Duc de Saint-Simon, co w oczach Estelle potwierdzało jej teorię na temat ich pozycji i majątku, wskazując jednocześnie na pewną *connaissance*, choć w rzeczywistości to Tim zarezerwował im w miejsca hotelu, ponieważ leżał blisko *passage de la Visitation*.

Od dawna przewidywano, że jednoczesna obecność w Paryżu Jerry'ego Nolingera i jego drugiej żony oraz jego pierwszej żony Cecile, matki Tima, może stać się źródłem pewnej niewygody. Estelle naradzała się z różnymi przyjaciółmi, w jaki sposób rozwiązać ten delikatny problem - podobne sytuacje coraz częściej pojawiały się także we Francji. Madame Aix zaproponowała zwykle stosowane rozwiązanie, polegające na swoistym podziale pracy. I tak Dorothy Sternholz wzięła pod swoje skrzydła Jerry'ego i Terry Nolingerów, podejmując ich u siebie na kolacji, na którą zaprosiła także grono swoich francuskich przyjaciół oraz kilka osób z amerykańskiej społeczności. W tym czasie Estelle, jak postanowiły razem z Dorothy, zajmie się Cecile Nolinger oraz kilkorgiem przyjaciół Tima z college'u, którzy przyjechali z Ameryki. Młoda para zjawi się najpierw u Estelle, a potem wpadnie do Dorothy na kawę.

Anne-Sophie przeżyła prawdziwy wstrząs, gdy wiedziona jakąś obawą, której źródła nie umiała wyjaśnić, postanowiła przymierzyć ślubną suknię i okazało się, że nie pasuje w talii. Po prostu nie mogła zapiąć czterdziestu małych guziczków z boku. Estelle, która usłyszała jej krzyk, natychmiast przybiegła z pomocą. Zobaczywszy, w czym rzecz, przez chwilę myślała, że może Anne-Sophie jest w ciąży, i ku swemu zdumieniu uśmiechnęła się promiennie w przypływie jakiejś nagłej babcinej radości, jakiej się po sobie nie spodziewała. "*Ma chérie!*"

Ale to były tylko skutki trzydniowego pobytu w Ameryce.

- Muszą coś dodawać do jedzenia - jęczała Anne-Sophie. - Oni są strasznie grubi, *maman*. Co ja teraz zrobię?

Z posępnymi minami przyjrzały się zapinkom oraz wewnętrznej stronie szwów w nadziei, że znajdą tam dość materiału, by coś popuścić, ale nie było żadnych naddatków. Łzy stanęły Anne-Sophie w oczach na myśl o upokarzającym sztukowaniu. Wystarczyły jej problemy z rękawem z powodu zranionego ramienia; chociaż jej

ręka wróciła już prawie do normalnego rozmiaru, rękaw i tak trzeba było poszerzyć.

- Nic nie jesz przez następne trzy dni, *la pauvre* - zaleciła Estelle radośnie.

Maitre-chien podszedł do Craya, gdy tylko reżyser wysiadł z taksówki, i przedstawił swój raport.

- Madame miała kilku gości, ale nie pojawił się nikt z myśliwych - oświadczył. - Nie mieliśmy żadnych kłopotów. Monsieur, który bywał tutaj dość często, został rozpoznany przez psy jako sąsiad i nie atakują go. Poza tym żaden myśliwy nie próbował wejść na teren posiadłości i nikt nie strzelał do ptaków. Tutaj są godziny i daty, oraz wszystkie wizyty gości.

Cray dłuższą chwilę wczytywał się w treść raportu, wracając do niego raz po raz. Podziękował *maitre-chien*.

Tim słyszał, jak Anne-Sophie w rozmowach z przyjaciółmi, wypiewkuje peany na cześć Ameryki.

- Nie, nie pojechaliśmy do Las Vegas, ale to naród czytelników. *Je t'assure*, widziałam wiele sklepów z książkami i każdy ma tam samochód. Ogromny. Kupiłam kilka *ravissantes* rycin przedstawiających ptaki, autorstwa pewnego *Francais*, Jeana Jamesa Audubona, są bardzo cenione w Ameryce...

Podczas koktajlu u Estelle wszyscy zachwycali się, jak pięknie wygląda Anne-Sophie w małym czarnozielonym kostiumie z jedwabiu, nawet jeśli wydaje się trochę na nią przyciasny; rozpięta żakiet. Ale jaka promienna, ślub już za dwa dni. Oboje z Timem wyglądali na szczęśliwych; wszyscy przyjaciele Tima z college'u, którzy przylecieli ze Stanów, wyrażali się o niej z podziwem - niektórzy już troszkę łysiejący, z małym brzuszkiem, ale wciąż młodzi, w towarzystwie sympatycznych żon. Myśleli, że Tim nigdy się nie zdecyduje skoczyć na głęboką wodę. Przyjaciele podziwiali także matkę Anne-Sophie, taka szczupła i spontaniczna, podaje takie wspaniałe potrawy, i jaka elegancja, stół, cudowne kwiaty, toasty... Tego wieczoru zjawili się

Jerry Howarth, Graves Mueller, Dick Trent i Peter French. Inni będą na samej uroczystości - wszyscy jego znajomi z Ameryki, którzy mogli urwać się z pracy, starali się zorganizować sobie przy tej okazji małe wakacje, kilka dni w Paryżu albo w jednym z rozkosznych hoteli w Normandii.

Amerykańscy przyjaciele rozmawiali z francuskimi parami, przyjaciółmi Anne-Sophie, których także zaproszono do Estelle tego wieczoru. Wyglądało na to, że kontakty francusko-amerykańskie przebiegają bez zarzutu. Francuzi są o wiele bardziej przyjaźni, niż to się zwykle słyszy, często zatrzymują się na ulicy, kiedy widzą, że ktoś wczytuje się w plan miasta, i proponują pomoc, mówili zaskoczeni Amerykanie. Cecile, matkę Tima, znali oczywiście z letnich wizyt w Michigan w czasach studiów, gdy cała piątka przyjaciół znalazła pracę przy zbieraniu jagód i pomidorów. Estelle zaprosiła także kilkoro swoich przyjaciół, wśród których był akademik Cyrille Doroux, co zrobiło wielkie wrażenie na Cecile, choć nie czytała ani słowa z jego podziwianych utworów.

Anne-Sophie nie tknęła jedzenia i wypłała trzy łyżki szampana.

- Rzecz w tym - mówiła do swoich przyjaciółek, Victoire i Celine - że każdy w Ameryce jeździ samochodem, ponieważ w ogóle nie ma tam pociągów. Ameryka jest taka rozległa, praktycznie nie sposób się dostać z jednego miejsca do drugiego. Musieli zlikwidować pociągi z powodu bizonów, coś w tym rodzaju, wiecie, martwe bizona na torach... To było oczywiście dawno temu, ale wyszli z nawyku używania kolei. Dlatego niemal nie sposób dotrzeć do pewnych miejsc w Ameryce. Jedno z nich nazywa się Dakota Południowa - czy to nie romantyczne?

- Nie do wiary - wyszeptał do Tima jego stary przyjaciel Dick Trent, jedyny, który jeszcze się nie ożenił - ale tamta Francuzka, najładniejsza dziewczyna tutaj, oczywiście poza Anne-Sophie, nazywa się Pussy. Rany! Po prostu nie do wiary!

W pewnym stopniu odgrywał burleskową rolę amerykańskiego prostaka. Tim zastanawiał się, czy sam już zatracił wycucie komicznych możliwości niektórych anglo-francuskich *faux-amis*, ponieważ nigdy nie zwrócił uwagi na amerykańskie konotacje imienia przyja-

ciółki Anne-Sophie, która nazywała się Phyrne, ale wszyscy mówili na nią Pussy.

- *Out*, mieliśmy cudowną wycieczkę do Ameryki, wszyscy Amerykanie mówią po francusku, to dość zaskakujące. - Tim usłyszał Anne-Sophie w rozmowie z kolejną przyjaciółką.

- Anne-Sophie to wspaniała dziewczyna - podkreślił Dick. - Opowiadała mi o swoim sklepiku na pchlim targu.

- To dość tajemnicza sprawa - powiedział Tim. - Na mój gust to wygląda jak okropne śmieci, ale ona sprzedaje je za straszne pieniądze.

Estelle, wykorzystując swój talent do odgrywania roli gościnnej pani domu i wiedząc, że większość jej gości to Amerykanie, z wielką pompą starała się eksponować różne rzeczy, które podobno Amerykanie darzą szczególnym upodobaniem, jak choćby kostki lodu. Specjalnie wynajęta na ten wieczór służąca regularnie przechadzała się więc między nimi z wiaderkiem do lodu i szczypcami, przyprowadzając Tima o nagłe skurcze wściekłości nie tylko na Estelle, ale także na Amerykanów, którzy uprzejmie brali kostki lodu i wkładali do swoich *kir champagne* albo szklanek perriera. Przypuszczalnie całe ogromne, katastrofalne konflikty międzynarodowe zaczynały się od takich drobiazgów.

W wysokich, pomalowanych na różowo salach apartamentu księżnej Dorothy Sternholz, przy rue du Bac, wśród gości tego wieczoru dominowali Francuzi, wpływowi ludzie, którzy chętnie mogli zamienić kilka słów z Nolingerem seniorem, a do tego kilku Amerykanów - dziekan amerykańskiej katedry, attache kulturalny z ambasady, para przyjaciół Dorothy, właściciele sławnego ogrodu w Gordes. Po kolacji, którą podano na dole, goście pili właśnie kawę w salonie, gdy zjawiała się młoda para. Wszyscy kochają młodą parę tuż przed ślubem, wszyscy dzielą się swoimi życzeniami i marzeniami i wymieniają swoje zastrzeżenia na temat zgodności ich charakterów albo na temat samej instytucji małżeństwa. Wielebny Edward Marks, pastor Tima, podczas ceremonii ślubnej miał stanąć jako akolita obok katolickiego księdza z Val-Saint-Remy. Anne-Sophie uważała, że to jeden z najbardziej twórczych pomysłów madame Aix. Zamówiła także odegranie kilku akordów melodii Aarona Coplanda,

niemniej wciąż zastanawiała się gorączkowo, czy Tim naprawdę woli Aarona Coplanda od Berlioza.

Tim dostrzegł ojca oraz Terry w otoczeniu przyjaźnie uśmiechniętych francuskich gości, pogrążonych w ożywionej rozmowie. Z zadowoleniem pomyślał, że oboje dobrze się bawią. Nigdy nie uważał ojca za szczególnie utalentowanego rozmówcę czy też osobę wyjątkowo towarzyską, zresztą ojciec nie musiał sięgać po te umiejętności, odkąd przeszedł na emeryturę po latach pracy w roli zagranicznego przedstawiciela firmy, która w nazwie miała jego nazwisko; zatrudniono go tam chyba z racji jakiegoś dalekiego pokrewieństwa. Tim zaprowadził Anne-Sophie do rodziców, uścisnął ojca i macochę. Oboje ciepło powitali Anne-Sophie, chociaż donośny głos Terry z wyraźnym akcentem ze Środkowego Zachodu wprowadził go w lekkie zakłopotanie.

- Ojciec jest dokładnie taki, jak o nim mówiono, taki zabawny i *sage* - westchnął ktoś po francusku.

- Cóż, mówię trochę po turecku - jego ojciec wrócił do rozmowy z madame Wallingforth. - Spędziłem wiele lat w Stambule.

- Naprawdę? - spytała madame Wallingforth z wyraźnym podziwem.

- *Richissime* - szepnął Herve Donend do swojego przyjaciela Pierre'a Marie Sarberta.

- *Tiens, ils sont tous richissimes, les Américains.*

Być może podobne zjawiska atmosferyczne obejmowały szersze połacie globu, ponieważ wiatr, który skul lodem Oregon wiele tysięcy mil na zachód, sprowadził do Paryża rześisty deszcz, a w Alpach obfite opady śniegu. A może to był zupełnie inny wiatr. Tim i Anne-Sophie wyszli z przyjęcia razem z Jerrym i Terry Nolingerami, pragnąc odprowadzić ich na rue du Bac do hotelu Duc de Saint-Simon.

- Miłe przyjęcie, Tim. Można tu spotkać całkiem sympatycznych ludzi - powiedział jego ojciec. - Szkoda tylko, że nigdy nie nauczyłem się więcej francuskiego, choć mówię trochę po turecku.

- Myślałam, że mogliby się bardziej wysilić, żeby mówić po angielsku, w końcu jesteśmy gośćmi w ich kraju - uskarżała się Terry.
- Nikt nie odezwał się do mnie przez cały wieczór oprócz tej kobie-

ty, w której mieszkaniu byliśmy. Ciekawe, czy oni wszyscy muszą mieszkać w mieszkaniach? Zupełnie jak w Nowym Jorku. Czy bardzo bogaci mają domy? Ciekawe, jak wygląda w Paryżu odpowiednik nowojorskich kamienic.

- Och, oni wolą mieszkania - powiedział Tim, widząc już, że czeka go kilka trudnych dni. - Jutro wieczorem mamy przedślubną kolację u Crayów, a Crayowie mają dom.

Nagle Terry wydała z siebie głośny okrzyk. Zobaczyła coś, co wydawało jej się przypominać żywego niedźwiedzia patrzącego na nich z foyer salonu z wypchanymi zwierzętami, który mieścił się w sąsiedniej kamienicy, obok domu księżnej.

- Mój Boże! - Zatrzymali się, żeby popatrzeć na witrynę pełną lisów, małych nosorożców i innych zagrożonych gatunków. - Pomyśleć, że człowiek mieszka koło czegoś takiego! - Terry zadrżała, głęboko współczując księżnej. Poszli szybko naprzód.

Kiedy Tim i Anne-Sophie dotarli do swojego mieszkania, byli przemoknięci.

- Mam dosyć przyrody - powiedziała Anne-Sophie ze złością, co znaczyło przypuszczalnie „mam dosyć rodziców”, a może nawet „twoich rodziców”.

W ich nowym mieszkaniu zastali liczne kartonowe pudła, które zagradzały im drogę w holu. Większość z nich była wciąż nierozpakowana, czemu trudno się dziwić, skoro najpierw Anne-Sophie została pogryziona, a potem wyjechali do Ameryki. Przez ostatnie kilka dni ogrzewanie było wyłączone i w powietrzu wisiał sztywny zapach świeżej farby, niemal w toksycznym stężeniu. Dominował nastrój pustki i ubóstwa. Oboje poczuli, że nie powinni tutaj mieszkać przed ślubem, że jakieś przesady przemawiają wyraźnie przeciw temu, ale zrobiło się późno i byli zbyt przemoczeni, by pójść gdzie indziej. Przez chwilę stali, obejmując się smutno, a potem prawie bez słowa poszli do łóżka, jeśli nie liczyć zdawkowego: „Tak, to było przyjemne przyjęcie”. Anne-Sophie nie wspomniała o swoim zaskoczeniu, że jego ojciec jest taki małomówny, i nie spytała, dlaczego jego macocha oczekuje, że ludzie w obcym kraju będą mówić jej językiem, a Tim nie powiedział nic o pieprzonych kostkach lodu.

Leżąc z szeroko otwartymi oczami, Anne-Sophie nie wiadomo dlaczego przypominała sobie jakiś fragment powieści swojej matki, przypuszczalnie z *Plusieurs Fois*, który kiedyś wydawał jej się niezwykle piękny, za to teraz niepokojący bardziej niż kiedykolwiek. Opowiadając o swojej bohaterce, tuż po akcie miłosnym z kochankiem, narratorka mówi: „Jej serce pulsowało niczym miękkie labia rozgwiezdy, gdy pokryta adamaszkiem mała rybka wbijała się dziwnie energicznie w delikatną komorę rozkoszy samego serca głodnego stworzenia”. W porównaniu z tymi ekspresyjnymi opisami jej serce zdawało się prawie martwe. Minęło już - policzyła - sześć dni, odkąd kochali się z Timem, ale nawet wcześniej aksamitna powierzchnia miłości wydawała jej się dziwnie cienka. Czemu męskie uderzenia stały się takie anemiczne? A może to jej reakcje stępiały? Co się stało? Albowiem coś najwyraźniej było nie w porządku.

To nie Anne-Sophie, rozmyślał Tim, to Francja, to niedopasowanie Francji i mnie. Francja się zmieniła, już mnie nie potrzebuje, nie ma tu dla mnie miejsca. Małżeństwo i Francja to pomyłka i powinienem się stąd wynieść z godnością, przeprosić, lecz zdecydowanie, po prostu powiedzieć...

Ale jak miał to zrobić? Jeszcze należał do Ameryki. Taki dylemat wart był rozmyślań w bezsennej noc, jednak Tim rzadko w swoim życiu leżał bezsenne nocą, i teraz nie było inaczej.

W Etang-la-Reine Crayowie siedzieli w kuchni, możliwie blisko pieca Aga. Resztę domu trudno było ogrzać. Dzień prawie minął i senhora Alvares zrobiła kolację. Serge z nietypowym dla siebie sentymentalizmem spytał Clare, czy za nim tęskniła. Oczywiście, odparła, ale była zaskoczona. Nigdy wcześniej nie zadawał takich pytań, może dlatego, że rzadko wybierał się gdziekolwiek bez niej, w każdym razie nie na długo. Powiedziała mu o ich - to znaczy o swoim - palącym problemie; zachowała tę wiadomość na koniec, aż do chwili gdy będą mogli spokojnie usiąść i porozmawiać o decyzji sędzi śledczej, która uznała, że są - to znaczy ona jest winna zbezczeszczenia narodowego skarbu.

- Myślisz, że mogłabym uciec? - spytała z drżeniem w głosie, gdy pomyślała o czekającym ją horrorze więzienia. - Mogłabym uciec w samolocie Monday Brothers.

- Adwokaci są już gotowi, żeby złożyć apelację. Muszą być jakieś procedury...

Clara zachowała pewną dozę wiary we wpływy Serge'a, nawet gdy okazało się, że nie potrafił oszczędzić jej spędzenia tygodnia w więzieniu, i dość zaufania, by uwierzyć teraz w jego pocieszenia. A jednak jakie to gorzkie, że właśnie w tym momencie, gdy jej dni nabrały blasku, ma znaleźć się w miejscu oddzielającym ją od życia i światła, wyrzucona poza nawias jak jakaś niepotrzebna istota ludzka. Po prostu nie mogła uwierzyć, że mogłaby znowu znaleźć się w więzieniu, choć już raz to się zdarzyło i podsuwało jej wyobraźni bardzo dokładne obrazy tego, jak tam jest.

- Co robiłaś, kiedy mnie nie było? - spytał Serge łagodnie.

- J a ? Nie wiem. Bardzo się martwiłam, oczywiście. O mamę, o ciebie, o tę sprawę z sądem. - Coś w głębi niej zadrżało, jak gdyby przejrzał ją na wylot.

- Tak, wyobrażałem sobie, że się martwisz. Musiałaś czuć się okropnie, że nie możesz tam być. - Coś dziwnego brzmiało w jego głosie, ale patrzył na nią życzliwie.

To naprawdę było bardzo miłe z jego strony, że poleciał tak daleko i załatwił wszystko w Oregonie. Zewsząd otaczała ją tak wiele dobroci i miłości, łzy napływały jej do oczu, a może to było coś innego - lęk i pożądanie, poczucie śmiertelności, poczucie, że niszczyła swoje życie w chwili, gdy zaczęło jej na nim zależeć. Ku swemu zakłopotaniu zaczęła łkać, przeprosiła go i poszła na górę do swojego pokoju. Jej serce rozdzierał ból dziwnej, nieokreślonej rozpacz.

ROZDZIAŁ 56

Popołudnie w przeddzień

Rankiem w *chateau* pojawili się ludzie z firmy cateringowej, która miała zwolnić senhorę Alvares z obowiązku przygotowania przedślubnej kolacji na czterdzieści osób, jaką Crayowie wydawali tego wieczoru dla Anne-Sophie i Tima. Sami Crayowie spędzili przedpołudnie w towarzystwie prawników z firmy Biggs, Rigby, Denby, Fox, którzy z całą powagą poradzili im, aby natychmiast zabrali ze swojego lasu rottweilery i aż do odwołania nie zakłócali myśliwym polowania na ptaki na swoim terenie; zresztą sezon łowiecki tak czy inaczej miał się ku końcowi i pojednawcza postawa miałaby duże znaczenie.

Wczesnym popołudniem Clara musiała stawić się przed obliczem sędzi, gdzie oficjalnie miała się dowiedzieć, że została skazana na trzy miesiące *prison ferme*, ponieważ nie zdołała udowodnić, że nie sprzedała boazerii, a zarazem nie dowiedziono, by uczynił to ktoś inny. W sensie prawnym była więc za to odpowiedzialna. Serge wsadził ją do długiej limuzyny wynajętej przez firmę Biggs, Rigby, Denby, Fox, żeby zawieźć ją do sądu, ale sam został w domu. Rzecz nie tak znowu niezwykła, ponieważ Serge bardzo rzadko opuszczał teren *chateau*, jednak towarzyszący im prawnik Bradley Dunne uważał to zachowanie za wyjątkowo chłodne i gdyby tylko mógł, chętnie spróbowałby pocieszyć Clarę osobiście.

- Jeśli pozwolimy dzisiaj miejscowym strzelać do ptaków, czy to cokolwiek zmieni? Czy ustąpią w sprawie boazerii? - spytał Serge adwokata.

- Te dwie sprawy nie są już ze sobą powiązane - oznajmił Bradley Dunne z żalem. - Od chwili gdy wniesiono oskarżenie i zarzuty zostały udowodnione, lub też oddalone, cała sprawa nie leży już w rękach mera.

- To dlaczego mielibyśmy pozwolić im teraz na polowanie? - zawołała Clara.

- Ponieważ zgodnie z prawem nie możecie zabraniać im wstępu do swojego lasu. Doszło do eskalacji problemu. Pani mąż może także w końcu wylądować w więzieniu.

- Powinniśmy mieć odwagę obstawać przy naszych przekonaniach. Do tej pory się nie ugięliśmy.

- Tak. Kiedy ma się pieniądze, można sobie pozwolić na przekonania - powiedział cynicznie Dunne. - Ale tylko do pewnego momentu.

- Zastanawiam się, czy ludzie, to znaczy zwykli ludzie, działają z reguły zgodnie ze swoimi przekonaniem, czy też postępują wbrew nim? Na przykład gdy ich przekonania kłócą się z przyjętymi zasadami? - W tym momencie miała na myśli nie tylko konflikt w sprawie polowań, ale także swój romans z Antoine'em, swoje świeżo odkryte przeświadczenie, że powinna postępować zgodnie z głosem serca.

- Jeśli zasady byłyby opcjonalne, jaki byłby z nich pożytek? - spytał Bradley Dunne.

- Chodzi mi o to, że trzymamy się zasad, a jednocześnie wierzymy, tak, wierzymy w to, o czym jesteśmy głęboko przekonani. Cha, cha, niestety, ponieważ niektóre z tych zasad są w najwyższej mierze dysfunkcjonalne... - powiedziała.

Wydało mu się całkiem naturalne, że jest tak spięta i przerażona; chciał ją objąć. Wyglądała wyjątkowo pięknie, co prawdopodobnie wywrze niekorzystne wrażenie na sędzi.

Tima i Anne-Sophie czekał pracowity dzień. Tim obiecał, że pokaże niektórym swoim amerykańskim gościom trochę Paryża. Anne-Sophie i Estelle miały spotkanie z fotografami z pisma „Mademoiselle Decor”, którzy chcieli z wczasu zrobić zdjęcie

Anne-Sophie w ślubnej sukni, fotografii kwiatów, stołu z prezentami i innych martwych natur, gdyż w dniu wesela trudno byłoby się tym zajmować.

Następnie Tim i Anne-Sophie zaprosili obie matki na lunch. Tim miał nadzieję, że w jakiejś mierze udobrucha w ten sposób Cecile, która doszła do przekonania, że wczorajsze przyjęcie *chez la princesse* było przypuszczalnie o wiele wspanialsze niż to, w którym wzięła udział w domu Estelle, i robiła kąśliwe uwagi na temat tego, jak to Terry doskonale bawi się w Paryżu.

- *Desolee*, że wysiłki *maman* nie zadowolily jej wysokich oczekiwań - powiedziała złośliwie Anne-Sophie.

Tim trafnie potraktował tę uwagę jako oznakę przedślubnego napięcia, ponieważ zwykle oboje z Anne-Sophie raczej ochraniaли siebie nawzajem, a nie swoje matki. Wzruszył łagodnie ramionami, ale miał wrażenie, że Anne-Sophie powinna przejawiać więcej zrozumienia dla niezręcznej pozycji Cecile jako porzuconej żony.

Cecile jednak była podczas lunchu w wyjątkowo dobrym humorze (w Recamier). Wszyscy wzięli *ragout z cepes*.

- T a k się cieszę, że przyjechałam akurat w sezonie na *cepe*, w ogóle nie mamy ich w Michigan. Ludzie z Michigan raczej nie zbierają grzybów w lesie. Choć niedaleko mojego domu rosną dziko wspaniałe jagody, *myrtilles*...

Estelle dostosowała się do tej rozmowy o jedzeniu, ale Tim i Anne-Sophie siedzieli milcząco i ponurzy, ograniczając się od czasu do czasu do zdawkowych odpowiedzi, i co chwila zerkali na zegarki w sposób, które obie matki uznały za wyjątkowo niegrzeczny, nawet jeśli wytłumaczalny.

Anne-Sophie, Estelle i Cecile miały następnie pojechać mini Anne-Sophie do Val-Saint-Remy, aby umieścić Cecile w gospodzie, a potem pomóc babce Anne-Sophie w domu, gdzie po ślubie miała odbyć się uroczysta kolacja weselna. Timowi popołudnie zeszło głównie na rozwożeniu amerykańskich gości do różnych małych hoteli w Val-Saint-Remy, gdzie zarezerwowano dla nich wcześniej pokoje, oraz na pomaganiu w załatwianiu rozmaitych spraw, które nie wypaliły. Jakieś trudności z hotelami, „paryskie” problemy

żołądkowe, o których istnieniu nigdy dotąd nie słyszał, kłopoty z biletami powrotnymi. Amerykanie po zainstalowaniu się w hotelach znajdują się jutro w sąsiedztwie ceremonii ślubnej, a dziś wieczorem będą mogli pójść na piechotę do *chateau* Crayów, albo, jeśli nie mają płaszców przeciwdeszczowych, podjechać taksówką. To było naprawdę niezwykle uprzejme, dowód wielkiej przyjaźni ze strony Crayów, że zaprosili do siebie wszystkich gości, którzy przyjechali przed ślubem, ponieważ większość z nich miała za sobą męczącą podróż. Cray planował kolację przy długim stole, z muzyką i rozrywkami, prawdziwą galę na cześć Tima i Anne-Sophie podejmujących Wielki Krok w życiu.

Tim umówił się, że o szóstej trzydzieści odbierze z małej stacji Ceesa i jego żonę Martę oraz dwoje innych gości. Przyjęcie miało rozpocząć się o siódmej; wcześniej jak na Francuzów i późno dla wszystkich Amerykanów zmagających się z następstwami różnicy czasu. Pogoda się nie poprawiła, ale nie miało to większego wpływu na przebieg przedślubnej kolacji, ponieważ główne sale *chateau* doskonale nadawały się do podejmowania pod dachem dużej liczby gości.

- Cześć, staruszku - zawołał Cees, pomagając ciężarnej Marcie wysiąść z pociągu, który przywiózł ich z Saint-Lazare. Dwójka pozostałych gości spóźniła się na ten pociąg, ale następny miał przyjechać za czternaście minut, więc usiedli na peronie, żeby na nich poczekać i porozmawiać.

Cees uśmiechał się tajemniczo, zadowolony z wiadomości o niesłychanym obrocie spraw, jaką miał właśnie zdradzić Timowi.

- Apokalipsa Driad została zwrócona do Morgan Library - powiedział taki tonem, jak gdyby ktoś zrobił im wszystkim doskonały dowcip. - Dostałem właśnie przed chwilą telefon z mojego biura. Manuskrypt nadano pocztą lotniczą z przedmieścia Portland w stanie Oregon.

Tim zaczął się zastanawiać, czy to miało znaczyć, że manuskrypt nigdy nie opuścił terenu Stanów Zjednoczonych, czy też że ktoś przywiózł go z powrotem do Oregonu, przypuszczalnie tym samym samolotem, którym lecieli. A może to tylko zbieg okoliczności?

- Delia? To nie ma żadnego sensu. A Gabriel? Czy Delia była jego współniczką? Ale czemu nie sprzedała go komuś innemu, kiedy on znajdował się w areszcie? Albo Serge'owi? Jeśli zamierzała go po prostu zwrócić, czemu pozwoliła na to, żeby jej przyjaciel tkwił w amsterdamskim więzieniu? No i co z morderstwem?

- Jeśli chodzi o morderstwo, jest tak, jak przypuszczaliśmy. Boudherbe został zamordowany przez swojego kolegę, który ukradł pół miliona dolarów, jakie Boudherbe miał zapłacić Gabrielowi za manuskrypt. Oczywiście badamy ewentualne związki Boudherbe'a z kradzieżą pozostałych manuskryptów.

- Aha, więc Gabriel kręcił się wokół targu staroci w nadziei, że trafi na jakiś ślad „brakującego” pół miliona.

- Całkiem zrozumiałe.

- A Delia?

- Może po prostu miała wspaniałe wakacje we Francji. Nie wiem. Ale jeśli chodzi o więzienie, nie mamy teraz powodu, by trzymać dłużej tego człowieka. Z naszego punktu widzenia nie możemy postawić mu żadnych zarzutów. Przypuszczalnie go wypuścimy; niech nowojorska policja go sobie znajdzie, jeśli jej na nim zależy. Jednak zastanawiam się, czy to naprawdę dziewczyna odesłała manuskrypt - mówił dalej Cees. - W tej chwili to już nie ma większego znaczenia, chodzi jedynie o ciekawość. W tej sprawie nie będzie już żadnego śledztwa. Niemniej, czy to możliwe, że to sam Cray? Może kupił manuskrypt od Gabriela, obejrzał, skopiował, a potem zwrócił? Zawsze mówił, że oddałby dokument, gdyby go dostał w swoje ręce.

- Jakoś nie widzę, żeby miał wydać, ot tak, pół miliona - czy jaka tam byłaby ostateczna cena - a potem potajemnie oddać manuskrypt. Czemu miałyby to zrobić? Poza tym myślę, że coś bym o tym wiedział - rzekł Tim.

- Chyba powinniśmy go spytać - zaproponował Cees. - Kto inny mógłby to zrobić? Jak się trzymasz, mój drogi? Jutro o tej porze będziesz już żonaty.

- Zacząłem się zastanawiać, czy nie popełniamy oboje wielkiego błędu. - Tim pocieszał się, że jego ton brzmi na tyle lekko, by jego rozmówca odniósł wrażenie, że tylko żartuje, choć w rzeczywistości

tak właśnie myślał. Odczuwał nieodparte pragnienie, by o tym wspomnieć w nadziei, że ktoś powie coś pomocnego.

- Cha, cha, całkiem normalne - zaśmiał się Ceas.

Na przedślubną kolację, traktowaną jako swego rodzaju próba generalna, Estelle oczekiwała niecierpliwie z powodu pewnej delikatnej sprawy o charakterze praktycznym, którą miała nadzieję przy tej okazji załatwić. Jeśli bowiem interesowała się tak bardzo ogólną sytuacją majątkową Jerry'ego Nolingera, to między innymi dlatego, że niepokoiły ją koszty ślubu. Wprawdzie Anne-Sophie i Tim upierali się, że jako odpowiedzialni, pracujący dorośli sami za wszystko zapłacą, jednak Estelle podchodziła do sprawy bardziej tradycyjnie. A to we Francji często oznaczało, że rodziny panny i pana młodego dzielą się kosztami po połowie, tymczasem właśnie dowiedziała się, że w Ameryce sytuacja wcale nie maluje się tak różowo i tam to ona, Estelle, czyli rodzina panny młodej, musiałyby pokryć wszystkie wydatki.

- *La famille de la mariee* - powiedziała ze wzgardą w głosie. - Jakie to prymitywne. Zupełnie jak w Indiach albo w Afganistanie, gdzie chodzi o zachętę, żeby pozbyć się córek z domu.

Wiedziała, że powinna była napisać do monsieur Nolingera, ale niepewność co do jakości jej angielszczyzny sprawiła, że zwlekała z tym do ostatniej chwili i w końcu było już za późno. Miała nadzieję, że Tim sam poruszy ten temat w rozmowie z ojcem, który przypuszczalnie mógłby jednym podpisem w książeczce czekowej zlikwidować cały rosnący dług - same *fleurs* kosztowały ponad osiem tysięcy franków, jako że kwiaty, oczywiście obok jedzenia, stanowiły wydatek, na którym w żadnej mierze nie miała ochoty oszczędzać. Jednak Tim był albo zbyt roztrzepany, albo niewrażliwy na jej aluzje, będzie więc musiała osobiście poruszyć tę sprawę w rozmowie z monsieur Nolingierem przy kolacji.

Państwo Crayowie podejmują

Wszyscy oczywiście oczekiwali wielkiego rozmachu od sławnego *auteur* oraz *metteur en scene* i Cray nie zawiódł tych oczekiwań. Kazał zapalić dwanaście wspaniałych kandelabrow - każdy o osiemnastu ramionach - tych samych, które występowały w filmie *Królowa Karolina*, i zgromadził chyba z pół tony zielonych gałązek sosnowych i ostrokrzewu porożkądanych na kominkach, wokół kominków i zawieszonych ponad wejściowymi drzwiami do pomieszczeń, tak że ogromne sale lśniły światłem świec i przeniknięte były zapachem sosnowych igieł nadających całej scenie odświętny, weselny nastrój, budząc jednocześnie skojarzenia z nieodległymi świętami. Goście przybywający samochodami albo pieszo z miasteczka stawali oszołomieni w holu wejściowym i z podziwem patrzyli na tę scenerię, podczas gdy senhora Alvares, w czarnej sukni i fartuchu odbierała od nich okrycia wierzchnie.

Jednym z gości, choć nieproszonych, okazał się mer, monsieur Briac.

Niektórzy zapewne nie zauważyli albo nie pojęli dramatyzmu tej wizyty, wśród nich Anne-Sophie. Na widok takiej liczby gości, bogatych dekoracji i ogólnej aury lekkiego podekscytowania, pomyślała, że monsieur Cray jest jednak miłym człowiekiem i naprawdę lubi Tima. Pomyślała także, że w zamęcie zabawy chyba nie będzie miała okazji porozmawiać z Timem sam na sam.

Znalazła dla niego idealny prezent ślubny. Choć Tim być może nie jeszcze potrafi docenić wartości takich rzeczy, na pewno zrozu-

mie jej wybór, kiedy mu wszystko wyjaśni - to była para niezwykle rzadkich fajansowych koni, Delft, od Lampetkana, z około 1750 roku; delikatnie oddane dwa konie stojące dęba, z zupełnie nie- tkniętą koronkową uprzężą, nigdzie najmniejszego odprysku, naprawdę wspaniałe i zupełnie jak żywe. A do tego kupiła je naprawdę okazjnie, ponieważ w rzeczywistości były warte dwa razy więcej. Pewien handlarz z Londynu, kiedy zobaczył je u niej na biurku, z miejsca zaoferował jej prawie dwa razy więcej, niż zapłaciła za nie kilka minut wcześniej. W dodatku będą cudownie wyglądały w ich nowym mieszkaniu przy passage de la Visitation. Pomyślała, że to będzie odpowiedni moment, żeby wręczyć prezent Timowi dziś wieczorem, ale powinni być wtedy sam na sam. Może uda im się urwać na kilka minut po kolacji, a jeśli nie, będzie musiała poczekać do wieczora po jutrzejszym przyjęciu.

Poza tym miała pewną nadzieję - przemknęła jej taka myśl - że być może dostanie coś z rodzinnej biżuterii Nolingerów, co będzie mogła włożyć jutro - „coś starego”, jak nakazuje amerykański ślubny rytuał. Jednak szczerze mówiąc, jeśli sądzić po dość skromnym stylu, zarówno Terry, jak i Cecile, szanse, że Nolinger *pere* jakoś szczególnie ceni ozdoby, wydawały się nieduże.

Clara ubrana, jak przystało na grzesznicę i przestępczynię, w piękną karmazynową satynę, trzymała się na uboczu, nadzorując ostatnie przygotowania w kuchni. Sercem była gdzie indziej, nie przy zabawie. Nadal czuła się ogłuszona nieubłaganą surowością francuskiej sędzi, która przecież wiedziała, że choć Clara w sensie prawnym jest odpowiedzialna za zniknięcie boazerii, sama jej przecież nie ukradła. Niemniej szokujące słowa krytyki i surowy wyrok, jaki usłyszała kilka godzin wcześniej, wstrząsnęły nią, choć była na nie przygotowana.

Bradley Dunne wyjaśnił jej, że należy się spodziewać niepomysłnego wyroku z powodu pewnych trudnych do przewidzenia wydarzeń, które nie miały nic wspólnego z samą Clarą - chodziło o świeżo odzyskane poczucie niezależności francuskich sędziów, którzy postanowili zdecydowanie nie ulegać naciskom władzy wykonaw-

czej. Wyglądało na to, że minister sprawiedliwości zadzwonił do prokuratora i wyjaśnił, dlaczego, zważywszy na interes państwa, należałoby unikać wzbudzania gniewu i niechęci sławnego reżysera filmowego Craya - między innymi dlatego, że mogłoby to zaszkodzić wysiłkom rządu na rzecz pogłębienia francusko-amerykańskiej współpracy przy produkcji filmów. Poza tym w grę wchodziła osobista przyjaźń ministra z amerykańskim ambasadorem, a także ogólne niechętnie przyjęcie, z jakim spotkała się ta sprawa wśród amerykańskiej społeczności. Do tego kobieta przypuszczalnie jest niewinna i należałoby uwzględnić ewentualne gospodarcze konsekwencje tej afery - zawsze okazywało się, że zagraniczne inwestycje słabną w okresie napiętych stosunków - i tak dalej, i tak dalej. Wysłuchawszy tego wszystkiego, sędziowie zirytowali się i postanowili jeszcze bardziej zdecydowanie stawić opór naciskom.

Dunne pokazał Clarze nagłówek: „Czy sędziowie powiedzą NIE ministerstwu w sprawie Cray?”.

W artykule zamieszczonym w „International Herald Tribune” zinterpretowano postawę francuskich sędziów jako przełomową manifestację niezależności, ponieważ w przeszłości zwykle sympatyzowali z interesami państwa. Jednak teraz najwyraźniej poczuli się na tyle mocni, by obstawać przy koncepcji niezależnego sądownictwa, toteż gdy prokurator zaproponował wypuszczenie Clary na wolność, nie mogli się na to zgodzić.

- Gdyby cię wypuścili na wolność, oznaczałoby to, że ulegli rządowi - wyjaśnił Clarze Bradley Dunne.

Serge, pochłonięty przez przygotowania do fety, niemal z nią nie rozmawiał, kiedy wróciła do domu, jedynie skinął z oddali; unikał jej, jak gdyby już była w więzieniu. Ale Clara miała inne zmartwienia na głowie. Na kolacji, jako starzy przyjaciele Estelle i Anne-Sophie, mieli zjawić się Persandowie; czekało ją pierwsze spotkanie z Antoine'em po ich rozstaniu. To będzie rodzaj sprawdzianu pokazującego, do jakiego stopnia dzielnie to zniosą. Lękała się, że ona nie będzie w stanie tego udźwignąć, niemniej uczepliła się nadziei, że poczuje, jak jego miłość niewidzialnie emanuje ponad tłumem gości. Zresztą już samo to, że go zobaczy, będzie małym szczęściem, zyska

jeszcze jedno wspomnienie, którego będzie mogła się trzymać, obok innych, bardziej intymnej natury. Wyjdzie do gości, kiedy Persandowie się pojawiają, ale teraz miała wymówkę w postaci przygotowań, których należało dopilnować za starodawnymi beżowymi drzwiami wiodącymi do kuchni.

Była właśnie w kuchni, gdy zadzwoniła do niej matka ze szpitala adwentystów; mówiła gorączkowo.

- Po prostu powiedziałam im, że muszę zadzwonić, co tam. Można by pomyśleć, że nikt stąd nigdy nie dzwonił do Paryża we Francji. Musieli zapytać administratora szpitala.

- Zadzwonię do nich w poniedziałek i jakoś to załatwię.

- Ja nie chcę tutaj być do poniedziałku, Claro. Nie jestem chora. Mówią, że prąd będzie z powrotem już w weekend, chcę wrócić do domu.

- Nie wiem, mamó. Serge sądzi... policja znalazła... Gdzie jest Cristal?

- Ona... nie wiem, nie jest szczęśliwa, chce wrócić do domu. Powiedziałam, że może zabrać ze sobą Tammi.

- Ale twój dom, mamó... - Clara westchnęła. Dlaczego nie można niczego rozwiązać? - Powiedz Cristal, żeby zadzwoniła do mnie, kiedy ją zobaczysz, dobrze?

Tim chciał koniecznie powiedzieć Crayowi, że Apokalipsa Driad w jakiś zagadkowy sposób została zwrócona prawowitym właścicielom, i zobaczyć, jak się zachowa w tym momencie. Ale nie było łatwo odciągnąć reżysera na bok. Całkowicie pochłonęło go przybycie mera Briaca, który pojawił się u drzwi *chateau* z trzema innymi myśliwymi. Wszyscy mieli na sobie bryczesy i tweedowe marynarki, i nieśli ze sobą dubeltówki, mer przyniósł kilka bażantów i martwego królika. Ceremonialnie wręczył je Crayowi, który stał w drzwiach, witając przybywających gości. W pierwszej chwili Tim nie potrafił sobie wyobrazić, kto mógł zaprosić Briaca. Czy to jeszcze jeden francuski zwyczaj, może jakaś odmiana *droit du seigneur*?

Jak gdyby czytając w jego myślach, mer oświadczył w tym momencie:

- Zgodnie ze zwyczajem, należy podziękować właścicielowi gruntów, którego zwierzyne ustrzeliliśmy.

Mówił sardonicznie, nie zdejmując swojej sztywnej czapki, kiedy podawał dziczyznę Crayowi. Reżyser skinął na człowieka parkującego samochody przed domem, który stał na żwirowanym podjeździe, by odebrał krwawy dar.

- Proszę wejść - powiedział Cray do Briaca, odpowiadając na prowokację łagodną uprzejmością.

Mężczyźni oparli swoje strzelby o ścianę. Cray, który początkowo wydawał się nieco zdezorientowany, skinął do pozostałych myśliwych.

- Zabierz ptaki do kuchni, dobrze? - polecił parkingowemu. - Nie chciałbym, żeby moja żona je widziała. - Uśmiechnął się do Briaca. Teraz mer poczuł się zbity z tropu, najwyraźniej nie wiedział, jak ma rozumieć porozumiewawczy ton głosu Craya. - Za wcześniej, żeby je gotować, prawda? Muszą trochę powiszieć, jak rozumiem?

- Kilka dni - przyznał Briac.

- Ale mogę zaproponować skromną strawę, jaką już przygotowaliśmy - rzekł Cray. - W oczekiwaniu na kolację pijemy właśnie szampana i nalegam, aby panowie się do nas przyłączyli.

- Jak pan wie, my, Francuzi, przywiązujemy wielką wagę do tradycji i... Przepraszam, że przeszkadzamy, widzę, że macie państwo gości - powiedział mer Briac; w obliczu migoczących świec, widoku ludzi zbierających się w salonie oraz intensywnego zapachu zielonych gałęzi poczuł zadowolenie, że zachował się z takim umiarem. - Jednak z miłą chęcią podziękowałbym także pięknej madame Cray. Mieliliśmy cudowny dzień, może właśnie dlatego, że wcześniej nie strzelaliśmy w tej okolicy w tym sezonie.

Cray odebrał od mera dubeltówkę i wniósł ją do środka, jak gdyby zamierzał umieścić ją w bezpieczniejszym miejscu. Człowiek parkujący samochody zajął się pozostałymi strzelbami, wnosząc je do sieni.

- Ta kobieta chce dziesięć tysięcy dolarów - wymamrotał nagle ojciec Tima, chwytając go za łokieć.

- Co?

- Matka twojej dziewczyny. Mój udział w weselu. Pierwsze słyszę o czymś takim.

- O nie, nie, tato, Anne-Sophie i ja sami się wszystkim zajmujemy.

Wiedział, że jego ojciec, żyjący z emerytury i mający dwie żony na utrzymaniu, nie ma pieniędzy na dodatkowe wydatki. Było mu przykro, że w ogóle ktokolwiek mu o nich wspominał.

- Mówią, że Francuzi mocno trzymają dolary w garści, to znaczy franki, cha, cha.

- Nie, naprawdę.

Tim był zaszokowany wielkością podanej sumy. Dziesięć tysięcy dolarów, czyli sześćdziesiąt tysięcy franków, a to zapewne jedynie połowa kosztów, przy założeniu, że Estelle proponuje, by obie rodziny podzieliły się wydatkami. Tim nie miał pojęcia, że suma sięgnie aż dwudziestu tysięcy dolarów. Anne-Sophie zapewniała go, że wszystko będzie rozsądne i skromne. Ale może tak właśnie wyglądała skromność na tle kosztów przeciętnego ślubu? Mój Boże.

- Myślałem, że to rodzina panny młodej płaci. W każdym razie tak mi powiedzieli, kiedy przyszło do płacenia za wesele twojej siostry. Pamiętam to dobrze.

- Nie jestem pewien, jak jest tutaj. To znaczy myślę, że we Francji dzieli się po połowie.

Jego ojciec spojrział beznamiętnie.

- Byłoby nie najgorzej, gdybym to ja się wszystkim zajął.

W tym momencie zgromadziła się już większość z czterdziestu zaproszonych osób. Pojawiło się więcej gości, niż Tim się początkowo spodziewał, pieszo, z okolicznych hoteli, albo samochodami. Przyjechali na przykład Antoine i Trudi de Persand oraz madame de Persand, jego matka, a także brat Anne-Sophie, spory tłumek kuzynek i jej przyjaciółek, Jerry Howarth i Graves Mueller z żonami oraz Dick Trent.

- Gdzie jest Clara? - zawołał Cray. - Mam dla niej niespodziankę.

Ktoś poszedł jej poszukać. Cray, słynny z wycucia dramatyzmu, zaaranżował teraz pojawienie się małego chłopca, który wszedł do

chateau, wraz z idącym za nim kierowcą, dokładnie w tej samej chwili, gdy Cray wypowiadał słowa „mam niespodziankę”. Lars, ich synek, błądzący jedenastoletni chłopiec w krótkich spodenkach angielskiego ucznia, z zaskoczeniem patrzył na niespodziewanie wielki tłum ludzi zgromadzony w ich domu. Clara, która weszła w tym momencie do holu, westchnęła głośno i pobiegła w jego stronę. Cray także uściśkał dziecko. Goście zebrali się wokół Clary i jej synka, poruszeni ich radością. Tim zauważył, że Clara wykonywała do chłopca, który najwyraźniej był głuchy, różne gesty palcami i dłońmi, ale Cray po prostu mówił do niego głośno. Cray jeszcze raz objął dziecko, podniósł je, postawił i wrócił do mera. Rozpromieniona Clara zaczęła przedstawiać Larsa gościom.

- *Bonjour, monsieur* - powiedział chłopiec do Tima.

Lars był dość pulchny i z wyglądu przypominał Craya, ale miał uśmiech i włosy matki. Mówił monotonnym głosem kogoś, kto nigdy nie słyszał wypowiedzianych słów.

Clarę ogarnęło uczucie szalonej wdzięczności. To było takie nieoczekiwane miłe ze strony Serge'a, że sprowadził Larsa do domu, zanim będzie musiała pójść do więzienia. Serge był jednak dobrym człowiekiem, mimo swoich dziwnych, samotniczych obyczajów oraz dystansu do ludzi, i na pewno ją kochał. Jakaż była niedobrą kobietą.

Stała w kuchni, rozmawiając z senhorą Alvares, która nagle szepnęła:

- Pani mąż, senhora... Nic mu nie powiedziałam.

Clara, w pierwszej chwili zdezorientowana tą bezpośredniością, wymamrotała jedynie:

- Och, to dobrze.

Jednak musiała zapytać, co takiego Serge chciał wiedzieć. Pytał o to, co robiła, kiedy jego nie było?

- *Sim*, senhora. Powiedziałam mu, że nikogo nie zauważyłam. Zastanawiał się, czy tu był ktoś wysoki, czy niski albo łysy, jaki miał kolor włosów. Powiedziałam, że był jeden senhor, tylko na parę chwil. Miał na głowie kapelus.

- Senhora... Dziękuję. Mąż nie powinien był pani wypytywać.

Jej myśli pędziły jak oszalałe. Czemu Serge ją sprawdzał? Zawsze wydawało się, że jest mu całkowicie obojętne, co ona robi.

Cray ponownie rozmawiał z merem i oglądał jego strzelbę, ale chyba nie była naładowana?

Kelnerzy w czarnych marynarkach roznosili szampana na srebrnych tacach. Zapach topionego sera i małych kiełbasek *en croute* rywalizował ze świąteczną wonią igliwia i zapachowych świec. Tim starał się cały czas stać blisko Craya, który rozmawiał przyjaźnie z innymi gośćmi, często spoglądając w stronę Clary, niesłychanie pięknej w ciemnoczerwonej sukni i promiennie uśmiechniętej ze szczęścia z powodu Larsa, którego spodziewała się dopiero za tydzień. Tim nieobecny tonem odpowiadał na gratulacje i ostrzeżenia przed pułapkami małżeńskiego stanu padające pod jego adresem.

- J a k się trzymasz, Tim? Poczujesz się o wiele lepiej, kiedy to wszystko się skończy. - Ojciec podszedł do niego ponownie; sądząc z jego życzliwego tonu, najwyraźniej wypił więcej niż jeden kieliszek szampana.

- Zastanawiam się, czy to wszystko nie jest jednym wielkim błędem - powiedział Tim.

Ta uwaga zabrzmiała nieco bardziej przekonująco, niż sam tego pragnął, ale nie bardziej, niż dyktowały mu to jego uczucia.

Jego ojciec potraktował ją z całą powagą, zrodzoną z doświadczenia.

- Coś jest nie tak?

- To tylko trema.

- Cóż, pamiętaj, o wiele trudniej jest wyrwać się z małżeństwa niż zerwać zawczasu. Powinienem był wiedzieć. Ostatnia szansa.

- Dzięki.

- Najważniejsze to zaufać swojemu instynktowi - dodał ojciec.

- Wiedzieć, skąd jesteś.

Tim był ciekaw, kiedy jego ojciec nauczył się tego newage'owego języka.

Z niewielkiej galerii dla muzyków w sali jadalnej dobiegały dźwięki tria smyczkowego, w miarę jak goście zasiadali do stołu. Tim podszedł do Anne-Sophie. Miał wreszcie szansę wyszeptać sensacyjną wiadomość:

- Manuskrypt został zwrócony właścicielowi, po tym wszystkim.

- Wiem. - Uśmiechnęła się od ucha do ucha. - To ja go wysłałam z amerykańskiej poczty. *C'était moi*.

Upłynęła dobra sekunda, zanim Tim zrozumiał jej słowa.

- Skąd go miałas? Aha, Gabriel ci dał. Czy Delia?

- Poszłam sprawdzić, czy przypadkiem nie został w moim *grenier*, i rzeczywiście tam go znalazłam, tak jak się spodziewałam.

Tim zaczął się jąkać, jego umysł najwyraźniej nie radził sobie z zadaniem wyjaśnienia tego samemu sobie. Nie pokazała mu manuskryptu, nawet o nim nie wspomniała - jak miał rozumieć taki brak zaufania, współpracy, rozwagi? Chciałby przynajmniej na niego rzuścić okiem.

- J a k mogłaś coś takiego zrobić?

- No cóż, gdybyś się o tym dowiedział, musiałbyś zadzwonić do swojego przyjaciela z Amsterdamu. Zatrzymaliby biednego młodego człowieka w więzieniu na zawsze, a przecież on niczego nie ukradł ani nikogo nie zabił. Będzie rozczarowany, prawda, kiedy wróci, żeby poszukać manuskryptu?

- Sama opowiesz o tym Ceesowi. Będziesz musiała mu to wyjaśnić...

- Ty mu to wyjaśnij, ja nie chcę.

- A do tego wysłałaś manuskrypt wart pół miliona dolarów amerykańską pocztą?

- No cóż, nie wysłałabym go *poste francaise*, ale jestem pewna, że amerykańska poczta działa idealnie. Pomyśl tylko, jacy zmyślni są Amerykanie z tymi swoimi bombami, które wpadają przez komin i tak dalej.

Czy Anne-Sophie szydziła z niego? Nie miał pojęcia. Nie potrafił wyjaśnić swojego zdumienia, swojego ogłuszającego poczucia, że rozmawia z kimś kompletnie nieznanym.

ROZDZIAŁ 58

Reguły gry

Stół ozdobiono zielonymi gałązkami i złotymi dzwoneczkami - symbolizującymi zarówno ślub, jak i święta Bożego Narodzenia - które powiązано wstążkami z napisem „Anne-Sophie et Tim”. Kartoniki z nazwiskami wskazywały gościom, gdzie powinni usiąść, począwszy od Craya, na najdalszym końcu stołu, w towarzystwie Cecile i Estelle, obu matek siedzących po jego bokach, aż po Clarę na drugim końcu stołu, wraz z babcią, Anne-Sophie i Timem po jej obu stronach, głuchym wujem oraz młodymi amerykańskimi i francuskimi przyjaciółmi młodej pary siedzącymi po bokach. Madame de Persand *mere* siedziała obok swojej starej przyjaciółki Estelle. Najwyraźniej wszyscy byli zadowoleni z tego *plan de table* - specjalność Clary.

Cray krążył wśród gości z dubeltówką pod pachą, prowadząc mera Briaca w stronę długiego stołu, a właściwie kilku stołów połączonych jednym obrusem, zastawionego na czterdzieści osób. Strzelba była złamana jak należy, skierowana lufą ku podłodze. Mimo to Tim wolałby, żeby Cray oddał ją z powrotem merowi. Jednak Cray po prostu oparł dubeltówkę o stół koło swojego krzesła i zaczął przestawiać kartoniki z nazwiskami, tak aby zrobić miejsce dla mera i trzech pozostałych myśliwych, i domagał się więcej krzeseł. Jak się okazało, mer miał usiąść tuż obok Craya, między nim a Cecile lub Estelle.

Kolacja przerywana toastami na cześć pary młodej, jutrzejszego ślubu i gościnności Crayów była prosta i dobra, składała się z czystej zupy i pieczonej jagnięciny z pieczonymi ziemniakami oraz płonące-

go puddingu, który wniesiono na srebrnych tacach przy dźwiękach fanfar; do tej sceny należało pogasić wszystkie światła. Następnie przyjaciółki Anne-Sophie przygotowały mały skecz - jutro należało się spodziewać ich więcej, po właściwej weselnej uczcie. Kilka młodych Francuzek włożyło fartuchy i zaśpiewało piosenkę ułożoną na cześć Anne-Sophie, z której Tim zapamiętał tylko refren:

Ma mam etait bien jouee; nous sommes maries, nous sommes maries.

Dobrze rozegrałam moje karty, wzięliśmy ślub.

Dick Trent najwyraźniej stracił serce dla Pussy Lautremont. Zalotnie mrugnęła do niego okiem, gdy śpiewaczki wracały na miejsce.

Uciec, uciec, myślał Tim żałośnie, nie mogąc uwolnić się od myśli o Apokalipsie Driad i zdradzie Anne-Sophie.

- Mam tu coś, co chciałbym państwu przedstawić - powiedział Cray.

Strzelba, jak zauważył Tim, leżała teraz bezpiecznie pod stołem. Cray wstał i podszedł do projektora stojącego w głębi sali. Na białej ścianie w drugim końcu jadalni pojawiły się ruchome czarno-białe zarysy i plamy, które wkrótce przybrały postać kobiety biegnącej przez jakieś foyer. Cray zatrzymał film i przez chwilę go przewijał. Goście przestali rozmawiać i przestawiali krzesła w taki sposób, żeby każdy mógł dobrze widzieć.

- To nowa kopia wielkiego klasycznego dzieła z poprawioną ścieżką dźwiękową - wyjaśnił Cray głośno, żeby go wszyscy słyszeli.
- Dźwięk nadal nie jest najlepszy, ale, jak sądzę, można wytrzymać.

Tim od razu rozpoznał tę scenę, zupełnie jak z kroniki filmowej, choć przez chwilę nie potrafił przypomnieć sobie tytułu filmu, przedstawiającą wielu mężczyzn w różnych ubraniach wierzchnich, tweedowych czapkach i wiejskich strojach, którzy idą szeregiem przez porośnięte krzewami pole, krzyczą i śmieją się, uderzają w gałęzie i zarośla patykami albo rzucają przed siebie w krzaki kamieniami. Wielu gości także najwyraźniej rozpoznało dzieło.

Natychmiast przypomniało mu się, że to wielki film Jeana Renoira *La regle du jeu, Reguła gry*. W scenie, którą Cray właśnie pokazywał, występowali naganiacze, mieszkańcy wsi płoszący przed

sobą dziką zwierzynę w stronę grupy arystokratycznych, modnie ubranych myśliwych. Wśród widzów w *chateau* Crayów rozległ się pomruk oczekiwania, ponieważ wszyscy lubili ten film, a poza tym to było klasyczne arcydzieło, jak Cray sam przed chwilą powiedział.

Tim przypomniał sobie, że bohaterowie filmu znajdują się na przyjęciu w wiejskiej rezydencji. Analogia, która musiała się nasunąć samemu Crayowi jako gospodarzowi tego wieczoru. Jednak nie było jasne, jaki cel mu przyświecał - czy chciał w ten sposób powiedzieć coś o polowaniach, czy po prostu zabawić swoich gości? Film niezbyt pasował do jutrzejszej ceremonii ślubnej, tak naprawdę to bardzo dziwny pomysł, żeby pokazywać go na kolacji na cześć nowożeńców. Tim spojrzął na mera i jego przyjaciół, na ich twarzach malowała się beznamiętna uprzejmość i zainteresowanie. Cray gdzieś zniknął.

Przed nadciągającą nagonką uciekały króliki, małe ptaki trzepotały, wzbijając się do góry, albo wylatywały z gęstego zagajnika wspaniałym niepohamowanym lotem. Dźwięk nawet elektronicznie poprawiony był słaby i brzmiał archaicznie. Kiedy to się ukazało? W latach czterdziestych, pomyślał Tim. Niezbyt interesował się historią filmu, ale przypuszczał, że przed drugą wojną światową, wiele lat przed jego urodzeniem, gdy filmy właśnie tak wyglądały, a ich brzęcząca muzyka brzmiała dokładnie tak samo jak w dniu, gdy po raz pierwszy pojawił się film dźwiękowy.

Przepiórki i zające w coraz większej panice albo kierując się czystym instynktem, uciekały przed gromadą naganiaczy. Kamera dłuższą chwilę zatrzymała się na jednym, sympatycznie wyglądającym króliku, który z wahaniem skoczył przed siebie i niepewnie przykucnął, oraz na przerażonej wiewiórcie. Na drugim końcu pola stali goście przyjęcia u markiza, piękne kobiety w kostiumach z szerokimi, wатовanymi ramionami i w eleganckich małych kapelusikach, mężczyźni w *tenue*, sportowych marynarkach, wszyscy ze strzelbami, śmiejąc się i plotkując w oczekiwaniu, aż zwierzyna znajdzie się w ich zasięgu; jedna czy dwie postaci omawiały żywo jakiś osobisty dramat - nie pamiętał już jaki. Rozmawiali, czekając na dogodny moment do strzału, ale dźwięk był nadal słabej jakości i trudno było ich zrozumieć.

Przypominał sobie następną, pamiętną, szokującą sekwencję, w której ptaki przelatywały nad głowami myśliwych, a mały królik podjął złą decyzję i pobiegł w stronę strzelców. Uśmiechnięci, bogaci, syci ludzie z wyraźną obojętnością unieśli swoje strzelby, bardziej zainteresowani tym, o czym rozmawiali, niż strzelaniem, i wzięli zwierzęta na cel; wymordowali wszystko, co tylko się ruszało. Każdy z nich był doskonałym strzelcem. Tym, co Tim wyparł z pamięci, były drżące ciała królików i trzepot zestrzelonych umierających ptaków - i to, że scena ciągnęła się w nieskończoność, strzał po strzale, umierające zwierzęta, jedno po drugim, drżące w konwulsjach wśród liści. Jednym z nich było małe stworzenie, które jeszcze chwilę wcześniej tak śmiało spoglądało w kamerę, a teraz leżało martwe. Przerazająca długość tej sekwencji była godna samego Craya, który sam niechętnie przerywał sceny w swoich filmach, co stanowiło jeden z jego charakterystycznych manierizmów, niemal filmowy tik. Ktoś z tyłu sali - Tim miał wrażenie, że to jego macocha Terry - powiedział: „No nie”.

Na ekranie członkowie nagonki i niektórzy strzelcy zaczęli przechadzać się po polu, zbierając ciała zwierząt. Cray z tyłu sali wyłączył projektor i ponownie zapalił światła. Przez jakąś niesamowitą chwilę wszyscy obecni byli tamtym towarzystwem z filmu, *chateau* stało się dworem małego markiza, a oni byli jego gośćmi przebranymi teraz w stroje wieczorowe i przypominali sobie rozrywkę, w której sami uczestniczyli po południu. Niesamowity efekt, z pewnością o coś takiego właśnie Crayowi chodziło.

Naturalnie mer Briac nie zamierzał pozostawić tego bez komentarza. Cokolwiek Cray miał na myśli, postanowił stawić mu czoło.

- *Alors?* - powiedział. - Jedno z wielkich, pomnikowych dzieł francuskiego kina, dziękuję panu, monsieur.

Cray jednak spoglądał na Clarę. Tim podążył za jego wzrokiem. Clara przytuliła Larsa do piersi, żeby zasłonić mu przerażającą scenę filmu. Siedziała, zasłaniając ręką usta, jak gdyby widok drżących, umierających królików przypawił ją o mdłości.

- Dobrze się czujesz? - zawołał Cray z drugiej strony stołu.

Clara nie odpowiedziała ani słowa i zaczęła się podnosić.

On wie, pomyślała, takie było przesłanie strzelania do królików, chce mnie pognębić, a nawet zastrzelić tak jak tego królika, którego filmowcy bezlitośnie zamordowali. Widziała to w jego twarzy. Właściwie nie bała się, ale Serge miał pewną skłonność do przemocy, w każdym razie chciałby ją mieć, fascynowała go, widać to było po jego filmach; pokazanie tego filmu dziś wieczorem było wstrętne.

- W Ameryce, monsieur, zdaje się, zabijają ludzi, nie króliki? - spytał mer, który najwyraźniej układał tę zniewagę jako swoje ostatnie słowo i teraz wstał, żeby ją wygłosić z zadowolonym uśmiechem.

Jednak właściwa chwila minęła i jego słowa nie zabrzmiały z taką siłą, jakiej się spodziewał.

- To alegoria małżeństwa. Pomyślcie o królikach jako o mężach - powiedział Cray do obecnych przy stole. - Wszystkie kobiety są bardzo dobrymi strzelcami, cha, cha.

Królik został naprawdę zastrzelony, pomyślała Clara, zabili go dla filmu.

Ktoś przy końcu stołu, gdzie siedział Cray, zadał mu jakieś pytanie, Tim nie dosłyszał jakie. Podnosząc głos tak, aby wszyscy mogli go usłyszeć, Cray mówił dalej:

- Nie, teraz oczywiście te zwierzęta tak naprawdę wcale by nie zginęły. To byłoby niedozwolone, a gdyby ktoś tak zrobił, film nie mógłby się ukazać. Ludzie od produkcji musieliby mi znaleźć jakiś krótko działający środek paraliżujący, który można by dać króliczkom, coś, co przyprawiłoby je o drgawki, a potem by się obudziły. Jeśli chodzi o ptaki lecące w powietrzu, to byłoby trudniejsze. - Jego ton był sardoniczny.

Tak, on wie, powiedziała sobie Clara i do jej serca zamiast lęku zakradła się irracjonalna nadzieja, że skoro on wie, to nie będą potrzebne sekrety i wybaczenie i że będą mogli spotykać się z Antoine'em, kiedy tylko będą chcieli.

Tim miał wrażenie, że cała sala nagle przekształciła się w scenerię nie tyle jego weselnego przyjęcia, ile zupełnie innego dramatu. A może to tylko jego chaotyczna wyobraźnia, z powodu jutrzejszego dnia, projektowała na Craya jakąś złość, której wcale tak napraw-

dę nie czuł? Albowiem Tim przypomniał sobie dalszy ciąg filmu Renoira: lojalny słuźący, mąż jednej z pokojówek, widząc żonę z kochankiem w oranżerii, mówi coś w rodzaju „*Je vais les descendre, tous le deux*”. I w końcu zabija kochanka.

Tak, „zamierzam zabić ich oboje”, powiedziała postać w filmie.

Mimo woli Tim rozejrzał się wokół, żeby zobaczyć, gdzie są Clara i Anne-Sophie. Nie potrzeba było wiele wyobraźni, a jedynie pewnej zakulisowej wiedzy, by zorientować się, co się dzieje lub też co może się wydarzyć. Najwyraźniej Cray powziął pewne podejrzenia, słuszne lub nie, na temat swojej żony i Antoine'a de Persanda. A ponieważ Tim miał te same podejrzenia, łatwo domyślił się, o co chodzi. Najwyraźniej Persand także pamiętał dalszy ciąg *Reguły gry*. Tim zauważył, że ze skupieniem wpatruje się w dubeltówkę, którą Cray podniósł teraz z podłogi. Wprowadziło to pewien ogólny niepokój, choć wyglądało na to, że reżyser zamierza po prostu zilustrować jakąś kwestię dotyczącą filmu; poza tym wydawało się nie do pomyślenia, żeby broń mogła być naładowana.

- To jeden z aksjomatów teatru - powiedział Cray. - Maksyma Czechowa, że strzelba, którą widzicie w pierwszym akcie, musi wypalić w trzecim.

Jego słowa zabrzmiały złowieszczo. Mimo to Tim nadal nie potrafił sobie wyobrazić, że coś takiego mogłoby się wydarzyć. Wspominając jakąś krwawą scenę, ludzie często mówili: „Nie mogłem uwierzyć, że to się dzieje naprawdę” albo „Nie myślałem, że on to naprawdę zrobi”. Delikatna równowaga prawdopodobieństw i możliwości. Co miał ktoś do stracenia albo do zyskania? Jak bardzo był obłąkany albo wściekły? Jak bardzo nienawidził? Tim nie potrafił zgadnąć, co Cray zamierzał teraz zrobić.

Na szczęście Serge nie jest jednym z tych mężczyzn, pomyślała Clara, mając na względzie opowieści o zamordowanych siostrach u Saudyjczyków, krwawych sycylijskich zemstach, maltretowanych kobietach w schroniskach dla kobiet, zastrzelonych kochankach. Mimo to zakręciło jej się w głowie. Czy Antoine'owi coś grozi? Ale oczywiście nie było żadnego niebezpieczeństwa, to była cywilizacja,

Francja, dwudziesty wiek. Cray nie zna przecież imienia jej kochanka, nawet jeśli podejrzewa, że ona go zdradza.

Serge nie myśli o kobietach jako o własności. Ale czy na pewno? Nie ma żadnego archaicznego poczucia naruszonej męskości. Na pewno? Pomyślała o jelenich rogach wiszących na ścianach we wszystkich miejscowych dworach. Nie miała pojęcia, jak się dowiedział o jej zdradzie, ale była pewna, że wie.

Poroża, jelenie rogi, odwieczne symbole tak bardzo rozwścieczające mężczyzn. Dlaczego?

- No cóż, ta strzelba ma dziś wieczorem pewne znaczenie symboliczne. Jak sądzę, to nie jest pierwsza strzelba, która pojawia się na weselu, cha cha.

Cray popatrzył przez lufę otwartej dubeltówki. Wokół stołu przebiegło niepewne poczucie niepokoju, rozległy się chichoty i głosy „ciii, ciii”.

Cray często powtarza, że człowiek ma prawo bronić swojej własności, pomyślała Clara. Biorąc pod uwagę jego wypowiedzi dla prasy, zawsze był po stronie ludzi stających w obronie swojej własności. Prawdę mówiąc, nie знаła dobrze Serge'a. Nie zastrzelił jej tutaj, na oczach Larsa, ale musiała spodziewać się zemsty, to pewne. Nie kiwnie palcem, żeby wyciągnąć ją z więzienia. Na myśl o więzieniu poczuła, że jej przyszłość skończyła się, spowiła mrokiem. Równie dobrze mogłaby umrzeć; a jednak jakoś to przeżyje.

W oszalałym tempie przez umysł przelatywały jej projekcje poczucia winy. Miała w głowie zamęt. Nagle koło niej zjawiła się senhora Alvares i odciągnęła Larsa. Clara uśmiechnęła się do synka uspokajająco, pocałowała go i poprosiła o opuszczenie pokoju, robiąc drobne znaki obiema rękami; cały czas nie spuszczała Craya z oka. Nie zastrzeli mnie, dopóki Lars był w pobliżu, ale teraz już będzie mógł.

- Ślub z definicji stanowi akt pierwszy - mówił Serge spokojnie.

Włożył dwa naboje do obu luf dubeltówki i zamknął broń z wyraźnym kliknięciem - choć dla niektórych gości dzisiejszy wieczór może być aktem trzecim zupełnie innego dramatu.

- *Attention, monsieur* - odezwał się mer, wstając i cofając się o krok od stołu.

Cray uniósł broń, wycelował ponad głowami zebranych w jeden ze wspianałych pozłacanych żyrandoli zwisających z sufitu w głębi salonu i wystrzelił z jednej lufy. Okazało się, że żyrandol był z papier-mache, kawałki rozerwane przez wystrzał wirowały w powietrzu.

- Ach! - wykrzyknął Cray.

Słysząc było odgłos odsuwanych krzeseł, ludzie protestowali, rozległy się gniewne głosy, jakieś śmiechy. Niektórzy z gości wstali i odsunęli się od stołu, jednak wszyscy nadal patrzyli z zainteresowaniem, niepewni, czy to burleska, czy jakiś inny rodzaj rozrywki.

Teraz mnie zastrzeli, pomyślała Clara. Jej ciało skurczyło się, skuliło wbrew jej woli.

Cray wrócił do stołu, nadal trzymając strzelbę w ręku. Tim poderał się z miejsca, zdecydowany odebrać mu dubeltówkę. Cray nagle uniósł ponownie broń i spoglądając na muszkę, zaczął rozglądać się wokół stołu, dopóki na celowniku nie znalazła się Clara. Rozległy się krzyki. W chwili gdy Tim rzucił się w stronę reżysera, podobnie zrobił Antoine de Persand oraz, co zaskakujące, Jerry Nolinger, ojciec Tima, z nich trzech siedzący najbliżej Craya. Reżyser bez oporu oddał broń Nolingerowi, uśmiechając się znacząco i sarkastycznie do Persanda; wszyscy dobrze widzieli jego malowniczy skok z odległości ponad trzech metrów.

- Tak naprawdę nigdy nie wątpiłem, że to pan - powiedział Cray.

Wszystko skończyło się w ciągu kilku sekund. W głupawym nastroju rozładowanego napięcia, jaki wszystkich ogarnął, goście wrócili do stołu, usiłując zachowywać się z przesadną wesołością, jak gdyby nic się nie stało.

- Proszę usiąść, proszę usiąść! - zawołał Cray. - Nie chciałem nikogo przestraszyć ani zaniepokoić, proszę usiąść. To tylko mały żart, nie chciałem... Mamy jeszcze tańce.

Tim kątem oka zauważył, że Cees wkłada do kieszeni jakiś przedmiot, przypuszczalnie pistolet.

Nie wszyscy goście usłyszeli słowa Craya i dla wielu z nich całe zdarzenie musiało wyglądać jedynie na jakiś incydent, podczas którego ludzie obeznani z bronią, Nolingerowie i Antoine de Persand,

zachowali się odpowiedzialnie i odebrali strzelbę z rąk nienawykłego do posługiwania się bronią i może trochę pijanego reżysera. Mimo to kilka osób wkrótce opuściło przyjęcie, między innymi Persandowie - obie panie de Persand z bardzo posępnymi minami. Clara z nieruchomym wzrokiem, niczym oczy zwierzęcia nocą, dotąd nie ruszała się z miejsca, ale teraz wstała i odeszła od stołu.

Widziała, że Antoine ją kocha i że ryzykował dla niej życie.

Poszła do foyer odprowadzić wychodzących gości, rozmawiała ze zwykłą swobodą, spokojnie dziękując im za przybycie i zapraszając do ponownych odwiedzin. Wszyscy podziwiali jej odwagę - musiała przeżyć chwilę niepokoju, gdy mąż, nawet przypadkowo, skierował strzelbę w jej stronę. Tim przypomniał sobie, jak kątem oka zauważył, że uniosła dłoń w daremnym geście obrony przed nadlatującą kulą.

- Cholera, ja bym zemdląła - powiedziała żona Gravesa, Sue.

Antoine nie mógł wiedzieć, że Serge nie wystrzeli (chyba że mógłby wystrzelić?), rozważała Clara, i chciał ją ratować, a teraz zapewne jego żona, która zrozumiała to, o czym był przekonany Serge, będzie myślała to samo. Było jej przykro, że Antoine może mieć kłopoty. Ale czy rzeczywiście? Wróci do tego później. Przyjdzie na to czas.

Antoine nie odezwał się do niej przez cały wieczór, ani przy powitaniu, ani wychodząc. Persandowie wyszli tak nagle; ona i Antoine nie mieli nawet czasu na wymianę spojrzeń, na którą Clara tak bardzo liczyła: na znak wiecznej miłości, wiecznego pożądania. A jednak przyszedł dziś wieczorem i odważnie rzucił się w stronę Serge'a.

Ale to samo zrobił ojciec Tima, człowiek jej zupełnie obcy. To było normalne zachowanie rycerskiego mężczyzny, każdego, kto ma trochę odwagi. Tim Nolinger również skoczył w stronę Serge'a. Widziała tę scenę ze wszystkimi szczegółami, zawsze będzie ją miała przed oczami.

L'abbe Des Villons odprowadził Persandów do wyjścia, obejmując ramieniem Trudi, która z pewnością będzie potrzebowała duchowego przewodnictwa i pocieszenia po tej scenie, którą pojęła aż nadto dobrze: Antoine i żona sąsiada! Wzburzona madame Suzanne de Persand nie odezwała się ani słowem do Antoine'a.

Trudno dawać wyraz podnieceniu w obcym języku i jednym z następstw nieprzewidzianego dramatu było całkowite załamanie się swobodnej dwujęzycznej konwersacji. Francuzi rozmawiali teraz po francusku z innymi Francuzami, Amerykanie zebrali się, by porozmawiać w swoim gronie. Tim i Anne-Sophie namówili swoich przyjaciół, żeby zostali trochę dłużej, potańczyli. Anne-Sophie zatańczyła z Timem pierwszy taniec, ale unikała jego spojrzenia.

Amerykanie skupili się zwłaszcza wokół Jerry'ego Nolingera, dopytując się, co przemknęło mu przez myśl w chwili, gdy rzucił się w stronę uzbrojonego człowieka.

- Niesłychana odwaga Jerry'ego Nolingera - szepnęła Dorothy Sternholz do Terry Nolingera. - Prawdziwy amerykański arystokrata.

- To było ukartowane, czysta inscenizacja - powiedział jeden z Francuzów.

Można było odnieść takie wrażenie, ponieważ Cray nie zachowywał się jak niebezpieczny osobnik, który omal nie uległ morderczemu instynktowi, ale raczej jak człowiek obdarzony umysłem godnym Hitchcocka, który właśnie zademonstrował jakąś arystotelesowską zasadę dramatu albo jakiś efekt reżyserii filmowej. Przechadzał się wśród gości i z uśmiechem zadowolenia zapraszał ich z wyszukaną uprzejmością, by napili się jeszcze szampana. Nie patrzył na Clare.

To niedobrze, pomyślała Clara, że Serge wiedział o wszystkim, bo teraz będzie niżej cenić jej uczciwość, jej charakter. Ale narastał w niej bunt, będący bardziej wyzwaniem rzuconym stuleciom władzy, jaką mężczyźni sprawowali nad kobietami. Czy można się sprzeciwiać czemuś, co nie zostało otwarcie zakazane? Czy można mieć nielegalny romans, a jednocześnie poczucie absolutnej słuszności i przyzwoitości?

Przewidywała, że w jakiejś dogodniejszej chwili, może w nocy, nagromadzone przez lata drobne pretensje do Serge'a znajdą do niej swobodniejszy dostęp, na jaki nie pozwalała sobie wcześniej; uświadomi sobie jego chłód, jego dystans i to, że nie jest atrakcyjny. Przypuszczalnie ludzie zawsze zastanawiali się, jak ona może sypiać z Serge'em; ale rzeczywiście, jak ona mogła?! W ten sposób serce Clary utwardzało się, słuchając nakazów dyktowanych przez jej pragnienia.

Ci, którzy z bliska obserwowali rozgrywające się zawirowania, nie mieli wątpliwości, że Cray jest wściekły na żonę, co można było łatwo wyjaśnić, zwłaszcza w przypadkach, gdy żona jest znacznie młodsza i atrakcyjniejsza niż mąż.

- Pieniądze zwykle wprowadzają jakąś równowagę - zauważyła Estelle w rozmowie z madame Wallingforth. - Pieniądze i sława Craya mogą zrównoważyć czystą biologię, ale tylko do pewnego stopnia.

- Często traktował ją bardzo źle, sama to widziałam - powiedziała Anne-Sophie. - Któregoś razu, gdy tutaj byliśmy, nazwał ją najgłupszą kobietą na świecie.

- Więc myślisz, że Persand jest jej kochankiem? - spytał Tim, rozmyślając o roli Anne-Sophie w sprawie manuskryptu i o tym, że nigdy tego nie zrozumie, ani jej, ani w ogóle kobiet, ani tego, na czym polegał sekret Persanda, że udało mu się zwabić Clarę do łóżka - jeśli rzeczywiście taki był wniosek z tego małego dramatu, który równie dobrze mógł być po prostu popisem męskiej rywalizacji.

- Nigdy nie powiedziałabym tego Suzanne - wyznała ze śmiechem madame Wallingforth w rozmowie z Estelle - ale naprawdę jej synowie powinni siedzieć w domu. Tylko pomyśl, co zdarzyło się z Charles'em-Henrim.

- Zwłaszcza gdy w grę wchodzi Amerykanki. Ich poglądy są takie staroświeckie - powiedział mer Briac, który nie spieszył się do wyjścia i rozmawiając z paniami, dobrze się bawił problemami Crayów i ogólnym zamieszaniem.

- Nie mówiąc już o tym, że prymitywne - przyznał monsieur l'abbe, który właśnie wrócił do salonu.

- Tam, na zewnątrz - powiedziała Anne-Sophie do Tima. - Mam coś dla ciebie... ślubny prezent, chciałam go dać ci dziś wieczór, jutro będzie tak...

- A le tam jest zimno, leje deszcz - zaprotestował Tim. - Nie masz płaszcza.

- Czy kobiecie może być zimno w przededniu nocy poślubnej? - Wypowiedziała tę słodką uwagę tonem oschłego wzburzenia.

Gdy wyszli na taras, Tim zauważył, że Anne-Sophie trzęsie się ze złości, a nie z zimna. Dotknął jej policzka, ale ona uchyliła głowę. Schowali się przed lodowatymi kroplami pod markizą.

Powiedziała rozwścieczona:

- Skoczył odebrać broń - jaki dzielny! Ale jak... jak... Teraz ślub jest *rate, gache*, zepsuty, kompletnie przyćmiony, nikt nie będzie niczego pamiętał oprócz przerażającej sceny z oszalałymi - przepraszam, ale właśnie tak - wymachującymi bronią Amerykanami... Mogłeś zostać postrzelony.

- Pamiętny wieczór? - podrzucił Tim.

- Wszystko kręci się wokół Clary, kochanej słodkiej Clary z dużym biustem, wokół której tańczą oszaleli z zazdrości, chorzy z miłości mężczyźni, a wśród nich pan młody...

- Nie bądź głupia, Anne-Sophie - powiedział Tim, wyczuwając z jej irracjonalnego tonu głosu rozmiary nadciągającej burzy.

Anne-Sophie opanowała się, przypominając sobie nauki hrabiny Ribemont, by nie wspominać mężczyźni, że jakaś inna kobieta jest piękna albo godna pożądania: „Mężczyźni są nieślychanie podatni na sugestię. Nigdy nie próbuj zasiać w ich umyśle myśli o urodzie innej kobiety. Ale jednocześnie pamiętaj, by nigdy nie twierdzić, że jakaś kobieta jest brzydka, ponieważ się z tobą nie zgodzi, i sugerując banalność tej drugiej, prowokujesz go do tego, by stanął w jej obronie. Strategicznym błędem jest samo wspomnianie o innych kobietach”.

- *Desolee* - powiedziała, opanowując się, z uroczym uśmiechem. - Chodzi tylko o to, że nie co dzień bierzemy ślub. Mam wrażenie, że trochę zaćmiła moją gwiazdę. Oczywiście ty tego nie rozumiesz.

Prawdę mówiąc, Tim nie rozumiał. Nie rozumiał nawet tego wyrażenia, wszystko wydawało mu się takie trywialne w porównaniu do tragedii, jakiej udało się uniknąć, do wybuchu bolesnych scen w domach Crayów i Persandów, krążących wokół ponurych, niewyjaśnionych namiętności, więzienia... To wszystko wydawało mu się o wiele ważniejsze niż poczucie Anne-Sophie, że ktoś inny zwrócił na siebie uwagę.

- Weź się w garść, wszystko będzie dobrze. - To nie była najlepsza odpowiedź, ale w tym momencie takt był ostatnią rzeczą, o jakiej myślał.

- Ach, jakie to bohaterkie powstrzymać kulę przeznaczoną dla Clary! I pomyśl, jakie to smutne, ludzie zebrani w kościele, a tu nie ma pana młodego...

- Jak dla mnie brzmi nie najgorzej - powiedział Tim - choć nie myślałem akurat o śmierci jako sposobie, żeby się z tego wykręcić.

Miał to być swego rodzaju żart, ale oboje zdali sobie sprawę z niezwyklej trafności jego słów. Anne-Sophie zmierzyła go twardym spojrzeniem całkowitego zrozumienia. Tim dostrzegł w jej oku jakiś nieprzenikniony błysk, jakąś niewzruszoną twardość.

- O czym ty mówisz? - spytała.

Wepchnęła mu w rękę *cadeau de mariage* i bez słowa weszła do środka. Tim położył paczkę pięknie owiniętą w srebrny papier razem ze swoim płaszczem, zamierzając otworzyć ją później.

Nawet jeśli niektórzy, jak Tim, niepokoiłi się tym, co wydarzy się teraz między Crayami, nikt nie żywił jakichś głębszych obaw. Po odjeździe ostatnich gości po domu kręcili się jeszcze ludzie z cateringu, rozbierając stoły i składając serwety. To nie był moment, w którym byliby naprawdę sami. Kiedy zgaszono świece, w ogromnej sali zapanował mrok.

- Zostaw jedną - powiedziała Clara.

Pomagała zbierać serwety i nie patrzyła w stronę Serge'a, dopóki sam nie stanął w kuchennych drzwiach, zasłaniając jej przejście.

- Myślałaś, że cię zastrzelę? - spytał.

Rozpaczliwie poszukiwała odpowiedzi.

- Nie wiem. - Najrozsądniejsze, co jej przyszło do głowy.

- Mogło tak się zdarzyć. Nie miałem takich zamiarów, chciałem tylko zrobić mały numer w stylu Agathy Christie albo Hitchcocka, w którym prawdziwy morderca nie wytrzymuje napięcia i sam się zdradza. Oczywiście w tym wypadku nie chodziło o mordercę. Zresztą i tak wiedziałem, kim jest twój kochanek. Ale kiedy miałem cię na muszce, przez ułamek sekundy... zrozumiałem, jak to się dzieje, nieodparty impuls, mogło tak się stać...

- Przykro mi, Serge - powiedziała.

- Rozumiem, Claro. Byłaś przynębiona, przeżyłaś okropny tydzień w więzieniu, Lars... Rozumiem cię bardzo dobrze.

O Boże, pomyślała Clara, zaczyna mi wybaczać. To była pod względem moralnym najtrudniejsza sytuacja, jaką mogła sobie wyobrazić. Czy wybaczenie było tym samym co przyzwolenie na to, żeby jej romans trwał? Nagle zrozumiała, że Serge'owi po prostu w ogóle nie zależało. Urażona próżność - może, ale zasadniczo chciał to mieć za sobą, żeby móc wrócić do swojego filmu, do swoich manuskryptów. Cienki strumyk ulgi dotarł do jej serca.

- Zawsze wiedziałem... byłaś taka młoda, niedoświadczona... zawsze wiedziałem, że w końcu oddalisz się ode mnie, jeśli w ogóle masz trochę ikry. Co nie znaczy, że mi z tym łatwiej, oczywiście czuję się zraniony... - mówił dalej.

Ale Clara zrozumiała, o co mu chodzi, i przestała go słuchać, w uszach jej dudniło, jego słowa ginęły w ogarniającym ją poczuciu ulgi.

- Dobranoc, Serge - wymamrotała.

- Przyjdę później do ciebie - powiedział.

Wspólnie zajrzeli do Larsa. Tak jak przewidziała, przyszedł potem do jej sypialni. Pełna skruchy obnażyła swe obfite piersi i odłożyła na bok koszulę nocną, zastanawiając się, czy to jest wielka, czy mała cena, jaką musi zapłacić; tak czy inaczej, nie będzie pierwszą kobietą, która płaci za swój wewnętrzny spokój i za bezpieczeństwo przyszłych zamierzeń. Tego wieczoru Serge kochał się z nią namiętnie, z uwagą, jakiej nie okazywał jej od miesiący. Dla Clary było już za późno, jednak na szczęście tego nie zauważył.

Tim odprowadził Anne-Sophie, Estelle i madame d'Argel do domu państwa d'Argel. Sam zatrzymał się w małym hotelu, po drugiej stronie placu, naprzeciwko kościoła, gdzie umieścił także Dicka Trenta. Szarmancko pocałował panie na dobranoc.

- Cha, cha - roześmiała się Estelle. - Wspaniała chwila, gdy Antoine de Persand skoczył w stronę wycelowanej broni, wszystko było szyte grubymi nićmi.

Anne-Sophie nadal była naburmuszona.

- Głupie teatralne pokazy na przyjęciu z okazji naszego ślubu. To takie niesmaczne i niestosowne... - snuła swoje narzekania. Nagle

urwała, jak gdyby poruszyła ją jakaś myśl, i powiedziała: - Mam nadzieję, że nigdy nie będziesz chciał mnie zastrzelić, Tiim. - Uśmiechała się teraz do niego słodko, niemniej wiedział, co miała na myśli. Chodziło o nadzieję, że oni dwoje nigdy tak nisko nie upadną, nie narażą się na niewierność, gniew.

- Dobranoc, Tiim, nie zapomnij: w urzędzie o jedenastej.

- J a s n e - powiedział niewyraźnie, pożegnał się i poszedł przez ciemny, pokryty kamiennymi płytami plac, myśląc tylko o tym, że zostawił ślubny prezent u Crayów i będzie musiał go odebrać z samego rana.

Idąc korytarzem swojego hotelu, słyszał wyraźnie szepty i kobiece śmiechy dobiegające z pokoju Dicka Trenta.

Dzień ślubu

Tim ze zdumieniem zorientował się, że urzędnikiem, który miał im pomóc w dopełnieniu formalności ślubu cywilnego w budynku merostwa, jest odwieczny przeciwnik Craya, monsieur Briac, którego widzieli w stroju myśliwskim wczoraj na przedślubnej kolacji. Jednak mer nie odwoływał się do tego faktu, unikając jakichkolwiek wzmianek o wydarzeniach poprzedniego wieczoru. Z całą powagą pokazywał im, gdzie mają się podpisać i co mają oświadczyć, po czym uroczystie ogłosił, że Tim i Anne-Sophie są od tej chwili małżeństwem według prawa Francji. Prawdę mówiąc, wszystko potoczyło się tak szybko, w ciągu zaledwie kilku minut, że trudno było potraktować ceremonię poważnie, choć nowożeńcy popatrzyli sobie w oczy, pocałowali się, rozglądali się wokół w poszukiwaniu swoich rodziców i głupio uśmiechali. Zresztą niemal natychmiast zostali rozdzieleni, ponieważ Anne-Sophie musiała pojechać do domu babki przebrać się do kościoła.

Szybko pocałowali się na do widzenia, Anne-Sophie zawiozła Estelle i Cecile z powrotem do domu madame d'Argel. Tim razem z Gravesem Muellerem, swoim świadkiem na ślubie, postanowił wpaść do baru-brasserie na jednego, *pression*, który zamienił się w kilka. Tim wbrew sobie wracał myślą do nieszczęsnych figurek koni, zastanawiając się, czemu Anne-Sophie mu je podarowała. Później podejmował na lunchu swoich rodziców i przyjaciół w klubie w Marne-Garches-la-Tour. Godziny wlokły się niemiłosiernie przed uroczystością w kościele, zaplanowaną na czwartą.

- Albo jak tutaj mówią: „16.00”, co brzmi bardziej jak zapowiedź nalotu - uskarżał się znajomym.

Niewielki jedenastowieczny kościół w stylu romańskim pod wezwaniem św. Błażeja w Val-Saint-Remy został w dziewiętnastym stuleciu ozdobiony gustownymi witrażami ukazującymi rozmaite sceny, jak choćby przyjęcie Roberta le Pieux, *roi de France*, przez św. Henryka, oraz inne sceny historyczne, tak dobrze znane Anne-Sophie z niezliczonych wizyt w dzieciństwie, gdy odwiedzała to miejsce razem ze swoją babcią. Jej ulubiony witraż przedstawiał Saint Eveque Wolfga. Wnętrze mogło wydawać się nieco za małe i zbyt mroczne na znaczący ślub, ale wielkie okno rozetowe, znajdujące się z tyłu za ołtarzem zamiast w transepcie, nawet w szary, w tej chwili burzowy dzień wpuszczało do środka dość światła, by spowić pannę młodą atrakcyjną różowawą poświatą. Wnętrze kościoła miało w sobie coś świątecznego, intymnego, idealnie nadawało się na ceremonię ślubną.

Dzwony (z początku osiemnastego wieku) wybiły godzinę trzecią trzydzieści, znacząco - tak w każdym razie im się wydawało - zrywając wszystkich na uroczystość, i goście, którzy skryli się przed lodowatym deszczem w swoich samochodach, zaczęli wchodzić do środka.

- *Alors* - powiedziała madame Wallingforth. - Co za pogoda, wiesz, skąd to się bierze? Amerykanie zużywają tak wiele energii - słyszałam o tym we France Inter - że tworzy się rodzaj ssania, które destabilizuje cyrkulację na całym świecie i w efekcie powstaje rodzaj wiru nad kontynentem północnoamerykańskim, który wywiera niekorzystny wpływ nawet na nas tutaj.

Pewne poruszenie wywołało pojawienie się Clary Holly Cray, która przysła samotnie, bez męża, ponieważ plotki wędrują szybko, a mer Briac, między innymi, siedział akurat dość blisko monsieur Craya, szalonego Amerykanina, swojego przeciwnika w sprawie polowań, by zauważyć, kogo Cray miał przez moment na muszce swojej dubeltówki, i usłyszeć niewielką wymianę słów między nim a Persandem - cholerny szczęściarz. Mer Briac powtórzył tę historię swoim towarzyszom, gdy wracali do domu wczoraj wieczorem. A teraz proszę, Cray nie przyszedł do kościoła. Przymuszczalnie nale-

ży spodziewać się nieuchronnej separacji małżonków i wieść o tym rozeszła się błyskawicznie.

- Słyszałaś, co stało się wczoraj wieczorem podczas przedślubnej kolacji? Jej mąż groził, że ją zabije, trzech z jej kochanków wyrwało mu strzelbę - wyszeptał wydawca książek Estelle, monsieur Lepatré, do kolegi Anne-Sophie, monsieur Lavallo'a.

- Trzech kochanków?

- Pan młody, a także, zdaje się, jego ojciec oraz miejscowy arystokrata.

- Co za przykrość dla sąsiadów! Ale jeśli ona pójdzie do więzienia, co ponoć ją czeka, przynajmniej miejscowe żony mogą spać spokojnie.

Zrobiło się jeszcze ciekawiej, gdy w kościele zjawił się Antoine de Persand, stary przyjaciel rodziny Anne-Sophie, ze swoją matką, ale bez żony, po czym usiadł nie obok matki, ale po drugiej stronie kościoła - z pozoru dlatego, że zabrakło miejsc po stronie gości panny młodej. Pomógł matce usiąść w ławie, a potem z całkowitą swobodą zajął miejsce obok madame Cray, jak gdyby oboje już do siebie należeli, i chociaż nie dotknęli się i nie okazywali najmniejszej zażyłości, madame Cray spozrzała na niego kątem oka i zarumieniła się, jasno zdradzając w ten sposób swoje uczucia.

Zebrali nie potrafili odgadnąć, co też Antoine de Persand mógł powiedzieć swojej żonie i matce, ale sądząc z nieobecności Trudi, najwyraźniej nie chodziło o przyrzeczenie poprawy. Kiedy usiadł koło Clary, można było pomyśleć, że ich związek jest już niemal sprawą przesądzoną, jako jeden z tych społecznych faktów przyjmowanych ze znaczącym mrugnięciem, odsyłającym do jakichś śród albo innego dnia spotkań dwojga ludzi poślubionych komu innemu, których pozamałżeńskie uczucie zostało usankcjonowane przez swego rodzaju społeczny konsens - w końcu to jest Francja, Europa, Stary Kontynent, niemal u progu nowego tysiąclecia.

A może wkrótce się sobą znudzą i zaangażują w inne związki, w inne dramaty. To bardziej podobne do ludzkiej natury. Jednak Clara i Antoine, niezależnie od silnego seksualnego pociągu, byli

ludźmi o raczej spokojnym i lojalnym usposobieniu, którzy przypuszczalnie wytrwają.

W pewnym momencie nastąpiło lekkie poruszenie wśród fotografów z pisma „Mademoiselle Decor”, dyskretnie zainstalowanych w jednym końcu transeptu, którzy zauważyli, że woda zaczęła napływać do środka, najwyraźniej przeciekając przez mury, i zbierać, zagrażając zalaniem stóp zebranych gości. Tim razem z Gravesem stali w kaplicy, czekając na moment, gdy powinni wyjść przed ołtarz. Tim czuł, że mu niedobrze - normalna rzecz, zapewnił go jego ojciec - sięgnął po chusteczkę; pocił się niemiłosiernie. Jeszcze raz przypomniały mu się figurki koni. Co ona miała na myśli? Wydał całkiem sporo na szmaragdowy pierścionek. Przeklął sam siebie za takie myśli.

- Po prostu trochę się trzęsę - powiedział do Gravesa.

- Nic dziwnego, stoisz w lodowatej wodzie - zauważył Graves zadowolony ze swojego dowcipu.

Jednak francuscy fotografowie zrozumieli to całkiem dosłownie. W panice zaczęli szukać czegoś, na czym mogłyby stanąć osoby przed ołtarzem.

- Panu młodemu przemarzły nogi - szepnęła madame Aix z niepokojem. - Panna młoda będzie w lekkich pantoflach, zostanie zapalenia płuc, jeżeli nie znajdziecie przynajmniej jakiejś maty.

Anne-Sophie razem z matką, druzną i innymi osobami ze swojej świty skończyła się ubierać w domu babki. Serce zaczęło jej mocno łomotać na myśl, że to wszystko jest jakimś straszliwym błędem, ale w drzwiach sypialni pokazał się jej wuj Guy, który uśmiechnął się w obliczu kilometrów tiulu i kwiatnych zapachów i powiedział, że samochód jest gotowy.

Jakiś sopran dobiegający od strony chóru zaczął śpiewać pieśń Aarona Coplanda, która przyprawiła Tima o skurcz nagłej irytacji, choć wiedział, że to sygnał dla niego, żeby coś zrobić, żeby wyszedł i stanął u ołtarza. Graves pociągnął go za ramię, „Dolina miłości i rozkoszy”, śpiewał głos z ciężkim francuskim akcentem. „Wszystko

będzie dobrze". Po czym bardziej złowieszczo: „Zawróć, zawróć". To był refren, ale było już za późno, żeby zawrócić.

Głos ucichł, i rozległy się takty *marche nuptiale* Wagnera. W rytm rozlewających się szeroko i jak na jej ucho raczej pogrzebowych dźwięków organów Anne-Sophie zaczęła kroczyć nawą w stronę ołtarza wsparta na ramieniu wuja. Tim i pozostali pojawili się u ołtarza, jednak Amerykanie, sądząc po tym, że wiercili się z nieuwagą, najwyraźniej nie zdawali sobie sprawy, że słyszą marsz weselny. Byli przyzwyczajeni do melodii *Here Comes the Bride*.

Po drodze Anne-Sophie spojrzała na *autel* w bocznej kaplicy i to, co tam dostrzegła, potwierdziło ogarniające ją poczucie przygnębienia - obraz przedstawiający Marię, wiele symbolów dziewictwa, lilie i takie rzeczy, na którego przesłanie, całkiem niemądrze, nie zwracała uwagi aż do dzisiaj. Była tam także Maria Magdalena. Czy Maria Magdalena żałowała, że porzuciła swoje wcześniejsze rozpustne życie? Łzy napłynęły jej do oczu.

Pomyślała o pilocie samolotu wytwórni Monday Brothers, o przystojnym Gabrielu, gdziekolwiek się znajdował, o Antoinie de Persandzie i o innych mężczyznach, z którymi nie będzie już mogła teraz pójść do łóżka. Wiedziała, że potrzebuje nagłego przypływu adrenaliny, żeby stąd uciec; czekała na przypływ adrenaliny albo pewności, ale nie spłynęło na nią żadne z obu tych odczuć, by uwolnić ją od niepokoju. Jakiś wybór możliwości definitywnie zniknął ze świata, jego miejsce zajęła nieuchronna płaska nuda. Spojrzała na Tima - był przystojny, dość zaróżowiony, jak gdyby coś wypił, z napiętym uśmiechem paniki na twarzy nienawykły do szarego fraka. Powyżej z rozetowego okna łagodnie uśmiechał się do niej Chrystus w otoczeniu aniołów, na szczęście, dzięki Bogu, nie było tam żadnych elementów ikonograficznych, które mogłyby zaniepokoić protestantów, ale Tim wydawał jej się przygnębiony.

Stojąc u ołtarza, Tim poczuł nagły lęk, kiedy ujrzał nadchodzącą Anne-Sophie, i jednocześnie uświadomił sobie, jaka jest śliczna. Więcej gości weselnych siedziało oczywiście po stronie francuskiej -

spore grono *cousines* Anne-Sophie, jej przyjaciele, wujowie, brat, Estelle w srebrzystej sukni, a obok niej z przodu teściowa i jej siostra, akademik *monsieur Doroux*. Suzanne de Persand, jak na nią, była wyjątkowo posępna. Niewykluczone, że w takich chwilach jak ta można odczytać na twarzach zebranych ich własne małżeńskie doświadczenia; uroczyść ślubna jako rodzaj testu Rorschacha.

Dostrzegł znajome twarze wśród widzów po swojej stronie nawy: jego przyjaciele uśmiechający się z powagą, ich żony w kapeluszach, inni dziennikarze i przyjaciele z tenisa z Paryża, Cees i Marta, jego rodzice i macocha - najwyraźniej na tę chwilę przełknęli wszelkie animozje (dotyczące alimentów, jakie ojciec wciąż płacił Cecile) i siedzieli wszyscy troje w tym samym rzędzie - a kilka rzędów za nimi, po tej samej stronie nawy promienna Clara, obok niej jej mały synek i - na Boga - Persand.

Abbe powiedział coś cicho do Anne-Sophie i Tima, czego żadne z nich nie dosłyszało zbyt wyraźnie, po czym głośno powitał zebranych. Kilku członków chóru zaczęło śpiewać i Anne-Sophie podjęła słowa:

Dieu vivant, Dieu tres haut
Tu es le Dieu d'amour

Francuskie słowa mszy działały dość usypiająco, rywalizując z narastającą aurą pośpiechu, jaka towarzyszyła całemu wydarzeniu, co w efekcie dawało zebrany od czasu do czasu możliwość skupienia się nieco dłużej. Między tymi momentami Tim odpływał gdzieś myślami, choć nie zaprzętało go nic konkretnego, pragnął jedynie, żeby to się już skończyło, poza tym miał nadzieję, że się nie potknie, że w odpowiednim momencie zjawią się obrączki i tak dalej - zwykłe objawy tremy. Czul na sobie spojrzenia zgromadzonych, ciężar zbiorowych oczekiwań, jakie wiązali z małżeństwem. Usłyszał, że Anne-Sophie odchrząknęła.

Protestanci zaczęli się niecierpliwić, czekając na wymianę przysięg i obrączek, jedyną część mszy, jaką potrafili rozpoznać, i to do tego po francusku, choć wszyscy zgodzili się, że jest piękna. Wszyscy znali francuski na tyle, by stosownie się wzruszyć, słysząc wersy:

*Porter a deux bonheur et misere
Tourner vers le meme horizon
Les yeaux eclaires d'une meme lumiere
Chanter une meme chanson...*

Teraz nastąpiły uroczyste słowa przysięgi wiążące ich małżeńskim węzłem w oczach Boga, ostatnie słowa kapłana, wymiana obrączek. Ojciec Marks, anglikanin, wystąpił do przodu i powiedział po angielsku:

- Czy ty, Thomasie Ackroyd, bierzesz tę kobietę, Anne-Sophie Laure Marie, na swoją prawowicie poślubioną małżonkę?

Na co Tim wyduśił:

- T a k .

Słyszał, jak Anne-Sophie powtarza to samo. Uroczystość ponownie zaczęła toczyć się po francusku, w języku, którym mówił idealnie, ale który z jakiegoś powodu przestał w tym momencie rozumieć. Uklękli poruszeni i onieśmieleni powagą dostojnych kadencji oraz zbiorową siłą woli zgromadzonych, którzy obdarzali ich swoją aprobatą. Czując na palcu obrączkę, do której nie był przyzwyczajony, Tim przypomniał sobie, jak jego ojciec zawsze powtarzał: „Dżentelmen nie nosi biżuterii”. Anne-Sophie, ściskając swój bukiet, spojrzała ukradkowo na śliczny, choć trochę mały szmaragd i nową złotą obrączkę na palcu.

Kiedy ksiądz pobłogosławił Anne-Sophie i Tima, w oczach Clary zaszklily się łzy. Widziała teraz, że wiodła dotąd płytkie życie, pełne napięć i skupienia na sobie, ale postanowiła, że to się odtąd zmieni. Jej krótkie męczeństwo, pobyt w więzieniu dla dobra sprawy zwierząt, oczyści ją z wszelkiego występku. Trafiła kiedyś na zdanie Colette: „Występek to złe uczynki, które robi się bez przyjemności”. Czy to oznaczało, że przyjemność jest cnotliwa? Sama skłaniała się ku takiemu pogładowi. A może to znaczyło, że zło, które czynimy z przyjemnością, jest cnotliwe? To przypominało bardziej markiza de Sade albo któregoś z tych spaczonych francuskich filozofów. Antoine będzie wiedział na pewno.

- Nie do wiary, puścili w ruch kapelusz! - zdumiał się Jerry Nolinger szeptem podczas zbierania na tacę. - Ci ludzie nie przepuszczą żadnej okazji!

Śpiew, modlitwa, ciągle nie mogli się doczekać końca. L'abbe Des Villons udzielił im komunii, nawet Timowi. Kilka starszych osób podeszło, by przyjąć komunię razem z nimi. Modlitwa. *Magnificat, magnificat, magnificat anima mea Dominum*. Otrzymali błogosławieństwo. Jeszcze raz poproszono ich o złożenie podpisów - wielki Boże! Te śpiewy znowu zaniepokoiły Tima. Dźwięki Bacha, potem Beethovena - *Oda do radości*? Niesłychana hipokryzja, czemu sam nie zajął się muzyką? Miał wrażenie, że słyszy Estelle, która mówi: „Nie ma nic bardziej przygnębiającego, jak ślub”. Przeszli pomiędzy zgromadzonymi po obu stronach kościoła ludźmi i wyszli na lodowato wilgotne stopnie przedsionka.

ROZDZIAŁ 60

Początek

Gdybyż tylko mogli w tym momencie podziękować l'abbe Des Villons, pomachać wszystkim na pożegnanie, chwilę postać pod gradem ryżu i po chwili w jakiś cudowny sposób znaleźć się na Majorce! Niestety, pierwszego wieczoru mieli pojechać jedynie do Trianon w Wersalu, a stamtąd na kilka dni do Bilbao i Lizbony, jednak wcześniej musieli jakoś przetrwać koktajlowe przyjęcie z tymi wszystkimi przykrymi momentami pod koniec, gdy goście niezaproszeni na weselną kolację na pewno nie zechcą się prędko pożegnać i w ten niezręczny sposób będą opóźniali właściwą uroczystość. Do tego jeszcze nieubłagane nieprzyjemne pogoda i wylewająca rzeczka. Niektórzy z miejscowych gości, parafianie, zostali poproszeni o pozostanie chwilę dłużej i pomoc w przeniesieniu ławek na tył sanktuarium, gdy woda zaczęła wzbierać coraz wyżej w chórze; fotografowie z „Mademoiselle Decor” wykorzystali ten moment przerwy, by zrobić Anne-Sophie kilka pozowanych fotografii w drzwiach kościoła.

Potem miała jeszcze nastąpić uroczysta kolacja z męczącymi toastami i zabawnymi scenkami i dopiero wyjazd - na szczęście Tim i Anne-Sophie w tym punkcie mogą dać przykład innym, ale i tak czekają ich jeszcze podziękowania i rozmowy oraz nieznośna nuda przerw między zakończeniem ceremonii ślubnej a chwilą, gdy goście pojawią się na przyjęciu koktajlowym po drugiej stronie placu i ponownie po jego zakończeniu, kiedy powoli będą schodzić się na kolację (Pussy Lautremont i Dick Trent oraz Clara Holly i Antoine

de Persand, najważniejsi z gości, którzy pominęli koktajl, a mieli pojawić się na kolacji, przybyli na nią jako jedni z ostatnich).

Osozłomiona młoda para w tym momencie miała już za sobą większość wydarzeń poprzedzających weselną kolację. Goście, godziwie ugoszczeni podczas koktajlowego przyjęcia, mieli niemal od razu zasiąść do stołu po przybyciu do domu madame d'Argel. Spodziewano się osiemdziesięciu osób, dla których przyszykowano osiem wynajętych stołów ustawionych w salonie i w jadalni. Mała kartka przy każdym miejscu zapowiadała menu:

*Salade de langoustines et parfait de canard a l'huile
de noix, Brioche tiede
Navarin d'agneau
Buffet des desserts „a l'americain”
Petits Fours*

Do przygotowania i podania weselnych potraw zaangażowano kobiety pracujące na co dzień w miejscowej *boulangerie* i w restauracji. Z włosami przewiazanymi chustkami zapalały w kuchni ogień pod *pommes purees*, w tym czasie w piekarnikach dusiło się już *agneau*.

Antoine de Persand, miejscowy arystokrata, zwykle pełen rezerwy i wyniosłości, pojawił się uśmiechnięty i niefrasobliwy, nie żałując komplementów wszystkim paniom; troskliwie opiekował się matką i całkowicie otwarcie okazywał swoje względy madame Cray, której kartkę z nazwiskiem, jak zauważono, przeniósł z miejsca, gdzie zgodnie z planem miała usiąść razem z mężem (nieobecnym) przy stole ojca Tima, do swojego stołu. Niektórzy z obecnych odebrali to jako dowód skrajnej bezczelności, zważywszy na to, że przy tym samym stole miała siedzieć Suzanne de Persand; nie było rzeczą właściwą łączyć swoją kochankę ze swoją matką. Na szczęście madame Aix sprawdzająca usadzenie gości z zawczasu przygotowanym planem w rękę dostrzegła błąd i umieściła karteczki z powrotem na właściwych miejscach.

Niektórzy z gości, zwłaszcza Amerykanie, uważali, że powinni pobłażliwiej potraktować Clarę Cray, skoro, jak było powszechnie wiadomo, miała rankiem następnego dnia rozpocząć karę więzienia.

Clara miała spokojną, niemal uduchowioną minę, co wprawiało w pewne zdumienie innych, zwłaszcza Francuzów.

- I pomyśleć, że idzie jutro do więzienia - szepnęła Anne Servian Beridot.

- To ta Amerykanka, która ukradła boazerię Madame du Barry - powiedziała Carole Simonot.

- To ona? Przyjaźni się z Anne-Sophie? - dopytywała się Marie-Helene Pinard.

- *Out.* Bardziej z Timem, jak sądzę. Ona i jej mąż, ale to ona to zrobiła.

- Nie do wiary, jakie to niegodziwe. Niektórzy Amerykanie są mili, ale nie mają żadnego szacunku dla historii. Myślą tylko o pieniądzach. Szczerze mówiąc, jestem zdumiona, że Anne-Sophie ją zaprosiła.

- Cóż, idzie do więzienia, niech to będzie lekcja dla nas wszystkich - powiedziała Anne Servian Beridot.

- Ale jaka lekcja? - zastanawiała się Pussy Lautremont, która widziała, że przystojny monsieur de Persand najwyraźniej uważał promienną Clarę za jakąś bohaterkę, wielką kobietę, niczym La Pasionarię albo samą Mariannę.

- Czyżby? Czy kobieta może być podmiotem działań moralnych? - spytała Estelle w rozmowie z kimś innym. - Sądzę, że nie. Biedna Clara naturalnie myśli, że idzie do więzienia, żeby ratować zwierzęta, i nie zdaje sobie sprawy z tego, że tam, gdzie chodzi o moralność, kobieta jest czystą biernością. Godzi się, podporządkowuje albo rzuca wyzwanie najbardziej konserwatywnym nakazom narzuconym jej przez społeczeństwo, ale nie potrafi nic zrobić, żeby je zmienić. W ich świetle możemy jedynie kobietę podziwiać albo potępiać. Zdaje się, że Clara tego nie wie. W każdym razie niewiele kobiet działało aktywnie albo twórczo w sprawach moralności. Och, Joanna d'Arc. Czy możesz wymienić jakieś inne?

Clara czuła wciąż na ustach niedawny pocałunek Antoine'a, skradziony po drodze za konstrukcją energetyczną, przed frontem sklepu z antykami. Uczucie rozplwające się w jej ciele to prawdopodobnie

jest szczęście. Czy szczęście jest ogniem, który trzeba ciągle podsycać? Czy raczej jest jak obraz na ścianie, stale na miejscu? Musi zachować to poczucie w pamięci przez co najmniej trzy miesiące, a potem będzie mogła je znowu odnowić, rozpaścić. Pomyślała, że chyba miała rację, czując wzgardę do ludzi, którzy poszukują szczęścia. Zawsze uważała, że szukanie go prowadzi do pewnego skupienia na sobie, które jest nieprzyjemne i przypuszczalnie niegodziwe, a do tego daremne. Szukać szczęścia to jakby patrzeć na słońce podczas zaćmienia. Nie tylko słońce znika, ale możesz sobie spalić oczy. A tu proszę, w jakiś dziwny sposób szczęście samo do niej przyszło, mimo że go nie szukała.

Nie chodzi o to, że wierzyła w poświęcenie, wątpliwą cnotę, którą zawsze narzucano zwłaszcza kobietom, a która najwyraźniej przyprowadziła ją do fizycznej dolegliwości - przypomniała sobie swój okropny ból głowy. Niemniej pewną przyjemność sprawiła jej myśl, że przebywając w więzieniu, będzie z góry płaciła za wszystkie przyszłe grzechy, jakich zamierza się dopuścić, tak często jak to tylko możliwe, z Antoine'em de Persandem.

- Jedną z wielkich radości mojego powołania - l'abbe wznosił kieliszek do pierwszego toastu - jest móc udzielić ślubu tym kobietom, które widziałem jako małe dziewczynki i którym udzielałem pierwszej komunii, i łączyć je przed Bogiem w małżeństwie - a potem oczywiście witać na świecie pierworodne dzieci i wszystkie maleństwa, które się następnie pojawiają... Pamiętam Anne-Sophie tak dobrze, jej loczki, zawsze podrapane kolana... W tamtych czasach jeździła konno i było jasne, że robi to z wielkim talentem. Ale była pobożna, nigdy nie zapominała o swoich powinnościach. A więc za Anne-Sophie, która wkracza w ten święty stan, i Thomasa, oby jego serce było gotowe na Chrystusa, i za ich przyszłość nieskałaną jakimikolwiek trudnościami, i oby nigdy zapominali o swoich błogostawieństwach...

Anne-Sophie wymknęła się do sypialni babci, żeby przebrać się przed wyjazdem w inną sukienkę. Słyszała odgłosy radości dobiegające od stołów, gdzie goście weselni, nie żałując sobie szampana, zaczęli tańczyć. Miała wrażenie, że w jej żołądku rozprzestrzenia

się uczucie ulgi, jak gdyby połknęła jedną z tych chińskich kuleczek, które rozwijają się w wodzie i przekształcają w kwiaty i zamki. Zaczynała sobie uświadamiać, że wyszła za męża. Dziwnemu uczuciu w żołądku towarzyszył nieznany wcześniej ostrożny optymizm, a przynajmniej świadomość, że co się stało, to się stało, i jeśli coś poszło nie tak z weselną kolacją, to *tant pis*. Przynajmniej wreszcie może jeść! Nic dziwnego, że poweselała.

Albowiem skoro nie można zawrócić, najlepiej skłonić się w stronę przyszłości. Tim popatrzył w lustro na swoją niezmienną twarz, gdy rozwiązywał weselny krawat i wkładał drugi, w poważne paski, który przygotował sobie wcześniej. Kiedy wszedł do tego pokoju i zamknął drzwi, okazało się, że schowała się tu starsza madame d'Argel, babcia Anne-Sophie, żeby zapalić papierosa. Na jej miękkiej starczej twarzy pojawił się dziki wyraz pomieszania, radości i paniki.

- Ty jesteś... znam cię - powiedziała. - Oni nie pozwalają mi palić.

- Kto nie pozwala?

- Moja synowa... i inni, i lekarz.

- A co tam - odparł Tim. - Proszę zostać, tylko zmieniam marynarkę. Może pani palić. To mój ślub i mówię pani, że może pani palić.

Kiedy wyszedł do holu, usłyszał głos ojca.

- Za Anne-Sophie i Tima - mówił Terry Nolinger najwyraźniej nienawykły do publicznych przemówień, ale bardzo radośnie, pełen dobrej woli. - Mam nadzieję, że będą równie szczęśliwi jak reszta z nas. Albo szczęśliwsi. Cóż, nie tak powinienem był to ująć. Nawet szczęśliwsi, należałoby powiedzieć. Właściwie chcę powiedzieć oczywiście: tak szczęśliwi, jak tylko ludzie mogą być szczęśliwi i jak na pewno będzie szczęśliwy taki szczęściarz jak Tim, bo niby jak może być inaczej z takim aniołem u boku... Dziękuję wam wszystkim, francuscy przyjaciele, za to, że jest nam tutaj tak przyjemnie, dziękuję raz jeszcze i wypijmy więc za Anne-Sophie i Tima!

- Brawo, brawo, brawo!

Tim rozejrzał się wokół. Anne-Sophie wychodziła właśnie z sypialni babci. Ponad na wprost niezrozumiałą kakofonią angielskich i francuskich gratulacji usłyszał wyraźnie jej śmiech. Wyciągnęli ku sobie ręce ponad ramionami tłoczących się wokół nich gości.